

ROBERT LUDLUM

ILUZJA SKORPIONA

tom 1

Przełożył: SŁAWOMIR KĘDZIERSKI

Tytuł oryginału

THE SCORPIO ILLUSION

Autor ilustracji

KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Opracowanie graficzne

Studio Graficzne „Fototype”

Redaktor

EWA PIOTRKIEWICZ

Redaktor techniczny

ANNA WARDZAŁA

Copyright (c) 1993 by Robert Ludlum

For the Polish edition

Copyright (c) 1993 by Wydawnictwo Mizar Sp. z o.o.

Published in cooperation with

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-85309-52-7

Wydawnictwo Mizar Sp. z o.o.

Warszawa 1993. Wydanie I

Skład: „Fototype” w Milanówku

Druk: Łódzka Drukarnia Dziełowa

Dla Jeffrey, Shannona i Jamesa

Zawsze radości!

PROLOG

Aszkelon, Izrael, godzina 2.47 nad ranem

Nocny deszcz zaciął srebrzystymi, ostrymi kaskadami. Ciemne niebo przesłaniały jeszcze ciemniejsze zwały skłębionych czarnych chmur. Fale i przenikliwy wiatr morderczo szarpały dwa związane razem pontony zbliżające się do linii brzegu.

Grupa desantowa była przemoczona, po uczernionych twarzach ludzi spływały strużki potu i deszczu. Mrugali wciąż oczyma, wytężając wzrok, aby dostrzec zarys plaży. Oddział składał się z ośmiu Palestyńczyków z doliny Bekaa i jednej kobiety. Nie należała do ich narodu, lecz poświęciła się ich sprawie. Walka, którą prowadzili, stała się nieodłączną częścią jej własnej, wynikała bowiem z postanowienia, powziętego przez nią przed laty. Muerte a toda autoridad! Była żoną dowódcy grupy.

- Jeszcze tylko chwilę! - zawołał potężnie zbudowany mężczyzna, klęczący koło kobiety. Jego broń, podobnie jak u pozostałych członków oddziału, była starannie przytwierdzona do czarnej odzieży. Umocowany niemal na karku czarny wodoszczelny tornister zawierał materiał wybuchowy.

- Pamiętaj! Kiedy zejdziemy, rzuć kotwicę dokładnie między łodzie. To ważne.

- Rozumiem. Czułabym się jednak lepiej, idąc z tobą...

- I zostawiając nas bez możliwości wycofania się, aby znowu podjąć walkę? - zapytał.

- Linia wysokiego napięcia jest w odległości niecałych trzech kilometrów od brzegu. Dostarcza elektryczność do Tel Awiwu, więc kiedy ją wysadzimy, zapanuje chaos.

Ukradniemy jakiś pojazd i wrócimy w ciągu godziny, ale nasz sprzęt musi tu być!

- Rozumiem.

- Naprawdę? Czy możesz sobie wyobrazić, co się będzie działo? Większa część, jeżeli nie cały Tel Awiw w ciemnościach!

I oczywiście, również sam Aszkelon. To doskonały plan... I właśnie ty, ty, moja najdroższa, odnalazłaś słaby punkt, idealny cel!

- Tylko zwróciłam na niego uwagę. - Poglądziła go dłonią po policzku. - Wróc do mnie, kochany.

- Na pewno, moja Amayo z ognia... Już jesteśmy wystarczająco blisko... Teraz! - Dowódca grupy desantowej dał znak swoim ludziom na pontonach. Wszyscy ześlizgnęli się przez burty w skłębiony przybój. Trzymając broń wysoko nad głowami, szarpani łamiącymi się falami, szli ciężko przez miękki piasek w kierunku plaży. Na brzegu dowódca na chwilę

przycisnął przełącznik latarki, wysyłając jeden krótki sygnał, oznaczający, że cały oddział znalazł się na terenie nieprzyjaciela, jest gotów przeniknąć dalej i wykonać zadanie. Kobieta rzuciła ciężką kotwicę pomiędzy dwa związane pontony, utrzymując je w jednym miejscu na falach. Podniosła do ucha miniaturową krótkofalówkę. Cisza radiowa mogła być przerwana jedynie w wyjątkowej sytuacji - Żydzi byli sprytni i na pewno prowadzili nasłuch.

Nagle, w straszliwie ostateczny sposób, wszystkie sny o chwale rozerwał na strzępy ogień broni maszynowej, który rozszalał się na obu skrzydłach grupy desantowej. To była masakra. Żołnierze biegli po piasku, pakując pociski w ciała bojowników Brygady

Aszkelonu, rozwalając ich głowy, nie szczędząc żadnego z nieprzyjaciół.

- Nie brać jeńców! Zabijać wszystkich!

Kobieta na zakotwiczonym pontonie zaczęła działać błyskawicznie, pomimo szoku, który paraliżował jej umysł. Szybkie ruchy zrodzone instynktem samozachowawczym nie usunęły dręczącego ją bólu, jedynie nieco go przytłumiły. Natychmiast wbiła długie ostrze noża w burty i dna obu pontonów. Potem schwyciła wodoszczelną torbę, w której znajdowała się broń oraz fałszywe dokumenty, i ześlizgnęła przez burtę we wzburzone morze. Walcząc z całą siłą z przybojem i gwałtownym prądem dennym, przeszła wzdłuż brzegu jakieś pięćdziesiąt metrów na południe, a potem dopłynęła do plaży. Oślepiąca siekącym deszczem, przeczołgała się z powrotem na miejsce masakry. Nagle usłyszała głosy izraelskich żołnierzy nawołujących się po hebrajsku i poczuła, jak ogarnia ją lodowata wściekłość.

- Powinniśmy byli wziąć jeńców.

- Po co, żeby potem znowu zabijali nasze dzieci, tak jak zamordowali moich synów w autobusie szkolnym?

- Będą nas krytykować - wszyscy nie żyją.

- Mój ojciec i matka również. Te skurwysyny zastrzeliły ich w winnicy, dwoje starych ludzi...

- Niech ich diabli! Hezbollah zameczył mojego brata!

- Weźmy ich broń i wystrzelmy amunicję... Potem kilku z nas skaleczy się w rękę albo w nogę!

- Jacob ma rację! Kontratakowali i wszyscy mogliśmy zginąć.

- W takim razie jeden z nas powinien pobiec do obozu po posiłki!

- Gdzie są ich łodzie?

- Pewnie już ich nie ma. Nigdzie żadnej nie widać! Chyba było kilkanaście! Dlatego musieliśmy zabić tych, na których się natknęliśmy!

- Jacob, pospiesz się! Nie możemy dać tym cholernym liberałom żadnych powodów do podejrzeń!

- Czekaście! Jeden z nich jeszcze żyje!

- Niech zdycha. Weźcie ich broń i otwórzcie ogień.

Ostra kanonada rozerwała deszczową noc. Potem żołnierze rzucili broń grupy desantowej obok skrwawionych ciał i pobiegli na piaszczyste wydmy porośnięte ostrą trawą. Po chwili tu i ówdzie rozbłysły osłonięte dłońmi zapalniczki i zapalniczki. Masakra się skończyła, nadeszła pora działań maskujących.

Kobieta pełzła ostrożnie w płytkiej wodzie, a dudniące echo strzałów podsycalo przepełniające ją uczucie nienawiści. Nienawiści i wielkiej straty. Zamordowali jedyne go człowieka, którego kochała; jedyne go, którego uznała za równego sobie, nikt inny bowiem nie mógł rywalizować z nim siłą i zdecydowaniem. Odszedł i nie spotka już nikogo takiego jak on - przypominającego boga zapaleńca o ognistych oczach i głosie, którym potrafił porwać tłumy, zmusić je do śmiechu lub płaczu. A ona zawsze była przy nim, kierując nim i uwielbiając go. Ich pełen przemocy świat nigdy nie zobaczy już takiej pary.

Usłyszała jęk, cichy krzyk, który przedarł się przez szum deszczu i huk przyboju. Po piaszczystym stoku stoczyło się ciało, zatrzymując na samej krawędzi lustra wody, w odległości kilku zaledwie metrów od kobiety. Przeczotła się szybko ku niemu mężczyzna leżał z twarzą zagłębioną w piasku. Odwróciła go.

Deszcz zaczął obmywać jego zakrwawioną twarz. To był jej mąż.

Większa część jego gardła i głowy była masą czerwonych, poszarpanych tkanek. Przytuliła go z całej siły. Na chwilę otworzył oczy, a potem zamknął je na zawsze.

Kobieta popatrzyła na wydmy, na osłonięte światełka zapalek i papierosów przebijające się przez deszcz. Za pomocą pieniędzy i fałszywych dokumentów utworuje sobie drogę przez znieawidzony

Izrael, pozostawiając za sobą śmierć. Wróci do doliny Bekaa i dotrze do Rady Najwyższej. Wiedziała dokładnie, co ma zrobić.

Muerte a toda autoridad!

Dolina Bekaa, Liban, godzina 12.17

Pałace południowe słońce spiekało na kamień gruntowe drogi obozu uchodźców, enklawy ludzi wypędzonych z ich rodzinnych miejsc, często już zubożonych wskutek wydarzeń, na które nie tylko nie mieli żadnego wpływu, ale nawet nie mogli ich pojąć.

Poruszali się wolno, ociężale, z nieruchomymi twarzami, a w ich wbitych w ziemię oczach widniał ból zacierających się wspomnień - obrazów, które nigdy już nie staną się

rzeczywistością. Inni byli jednak zuchwali - gardzili pokorą, odrzucali obecny stan rzeczy, uważając go za nie do przyjęcia. To byli muquateen, żołnierze

Allacha, mściciele Boga. Chodzili szybkim, zdecydowanym krokiem, zawsze z bronią na ramieniu, zawsze czujni. Ich pełne nienawiści oczy patrzyły przenikliwie i uważnie.

Od masakry w Aszkelonie minęły cztery dni. Kobieta w zielonym mundurze z podwiniętymi rękawami wyszła ze skromnego budynekczku o trzech pokojach. Jego drzwi były przesłonięte czarnym materiałem, powszechnym symbolem śmierci. Był to dom dowódcy

Brygady Aszkelonu. Przechodnie spoglądali w jego stronę i wznosili oczy ku niebu, mrużąc pod nosem modlitwę za umarłych. Od czasu do czasu rozlegało się przenikliwe zawodzenie, wzywające

Allacha, aby pomścił ten straszliwy mord. Kobieta krocząca gruntową drogą była wdową po dowódcy. Ale była zarazem kimś więcej niż kobietą, niż żoną. Zaliczano ją do wielkich muquateen tej wijącej się doliny pokory i buntu. Ona i jej mąż stanowili symbole nadziei w sprawie już niemal przegranej.

Gdy tak szła po spieczonej ulicy obok rynku, tłum rozstępował się przed nią. Wiele osób dotykało ją delikatnie, z czcią, mrużąc bez przerwy modlitwy, aż wreszcie zgodnym chórem wszyscy zaczęli lamentować: Baj, Baj, Baj... Baji

Kobieta nie zwracała na nikogo uwagi i przeciskała się w stronę drewnianego, przypominającego barak, domu spotkań, znajdującego się na końcu drogi. Oczekiwali tam na nią przywódcy

Rady Najwyższej Doliny Bekaa. Weszła do środka. Wartownik zamknął drzwi i kobieta stanęła przed dziewięcioma mężczyznami siedzącymi przy długim stole. Powitania były krótkie. Złożono jej pełne powagi kondolencje, po czym zabrał głos siedzący pośrodku leciwy Arab, przewodniczący Rady:

- Otrzymał mi twoją wiadomość. Gdybym powiedział, że nas zdziwiła, skłamałbym.
- To śmierć - dodał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w mundur jednej z licznych formacji muquateen. - Mam nadzieję, że wiesz, co cię czeka.
- W takim razie prędzej połączę się z mężem, nieprawdaż?
- Nie wiedziałem, że przyjechałaś naszą wiarę - wtrącił następny.
- To nie ma znaczenia. Chcę jedynie waszego wsparcia finansowego. Sądzę, że przez tyle lat zasłużyłam na nie.
- Niewątpliwie - przytaknął kolejny członek Rady. - Wasz oddział był wspaniały, a pod dowództwem twojego męża - niech

Allach go przyjmie w swych ogrodach - nawet wyjątkowy. Mimo wszystko jednak widzę pewien problem...

- Ja i ci, których wybiorę, aby poszli ze mną, będziemy działać samotnie. Naszym jedynym celem stanie się pomszczenie Aszkelonu.

Czy to wyjaśnia twój „problem”?

- Jeżeli zdołasz tego dokonać... - dodał następny przywódca.

- Już udowodniłam, że potrafię. Czy mam was odesłać do archiwów?

- Nie, to zbyt kosztowne - stwierdził przewodniczący. - W wielu jednak sytuacjach wyprowadziłaś naszych wrogów na takie manowce, że kilka bratnich rządów ukarano za akcje, o których nic nie wiedziały.

- Jeżeli zajdzie taka konieczność, będę postępowała w identyczny sposób. Mamy... macie... wrogów i zdrajców wszędzie, nawet wśród waszych „bratnich rządów”. Wszędzie władza ulega korupcji.

- Nie ufasz nikomu, prawda? - zapytał Arab w średnim wieku.

- Nie podoba mi się to sformułowanie. Poślubiłam jednego z was na całe życie. Oddałam wam jego życie.

- Przepraszam.

- I słusznie. Czy mogę usłyszeć odpowiedź?

- Otrzymasz wszystko, czego potrzebujesz - oznajmił przewodniczący. - Ustal wszystko z Bahrajnem, tak jak poprzednio.

- Dziękuję.

- Kiedy w końcu dotrzesz do Stanów Zjednoczonych, będziesz działała za pośrednictwem innej siatki. Będą cię obserwowali, sprawdzą, a gdy się przekonają, że istotnie jesteś niewidzialną bronią i nie stanowisz dla nich zagrożenia, nawiążą z tobą kontakt.

Wówczas staniesz się jedną z nich.

- Kim są?

- Ludzie mający dostęp do najgłębszych tajemnic znają ich jako Skorpiony. A właściwie, mówiąc ściślej: Scorpios.

ROZDZIAŁ 1

Zachód słońca. Uszkodzony jacht o maszcie strzaskanym piorunem i żaglach poszarpanych sztormowymi wiatrami zdryfował na małą, spokojną plażę prywatnej wyspy na Małych Antylach. W ciągu ostatnich trzech dni, zanim nastąpiła cisza, tę część Karaibów nawiedził nie tylko huragan o sile osławionego Hugona, ale również tropikalna burza. Od piorunów, które raz po raz wstrząsały ziemią, zapaliło się około tysiąca palm. Setki tysięcy mieszkańców archipelagu zanosili błagalne modły do swoich bóstw z prośbą o ocalenie.

Ale Wielki Dom na tej wyspie wyszedł cało z obu katastrof.

Zbudowano go ze stali i kamieni połączonych żelaznymi prętami, toteż nadal stał na wielkim wzgórzu na północnym wybrzeżu niczym forteca - nie do zdobycia i niezniszczalny. Natomiast fakt, że niemal rozbity jacht przetrwał kataklizmy i przedostał się do pełnej kamiennych raf łukowatej zatoki z maleńką plażą - stanowił istny cud. Ów cud jednak zawierał w sobie jakąś groźbę. Czarna pokojówka w białym uniformie uznała, że nie był on dziełem jej boga, zbiegła więc po kamiennych stopniach tuż nad samą wodę i cztery razy wystrzeliła w powietrze z pistoletu.

- Ganja! - krzyknęła. - Żadni parszywi ganja nie mają tu wstępu! Wynocha!

Na pokładzie jachtu kłęczała samotna kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat. Miała ostre rysy twarzy, długie, zaniedbane włosy pozlepiane w strąki, a na sobie stanik i szorty noszące ślady niedawnych zmagania z żywiołami. Z jej oczu powiało chłodem, kiedy oparła karabin na nadburciu, spojrzała w celownik optyczny i powoli nacisnęła spust. Huk wystrzału rozerwał ciszę zatoki, odbijając się echem od skał i zbocza wzgórza. W tej samej chwili pokojówka runęła na twarz w delikatnie pluszczące fale.

- Strzelają, słyszałem strzały! - Z położonej pod pokładem kabiny wyskoczył mocno zbudowany, wysoki, mniej więcej siedemnastoletni chłopak z gołym torsem. Był muskularny, przystojny, o regularnych, niemal klasycznie rzymskich rysach. - Co się stało?

Co zrobiłaś?

- Tylko to, co należało - odparła spokojnie kobieta. Proszę, idź na dziób i wskocz do wody, kiedy zobaczysz dno. Jest jeszcze wystarczająco jasno. A potem przyciągniesz nas do brzegu.

Nie ruszył się z miejsca. Patrzył na leżącą na plaży postać w białym uniformie, wycierając nerwowo dłonie o obcięte nad kolanami dzinsy.

- Mój Boże, przecież to tylko służąca! - zawołał po angielsku, z wyraźną włoską wymową. - Jesteś potworem!

- Jeszcze jakim, dzieciaku! Czy nie jestem taka w łóżku? I czy nie byłam potworem, kiedy zabiłam tych trzech mężczyzn, którzy zwiążali ci ręce, założyli pętlę na szyję i zamierzali zrzucić cię z mola za to, że zamordowałeś portowego supremol

- Nie zabiłem go. Mówiłem ci już tyle razy!

- Wystarczyło, że oni tak myśleli.

- Chciałem iść na policję. Nie pozwoliłaś mi!

- Głupi dzieciak. Czy sądzisz, że w ogóle dotarłbyś na salę sądową? Nigdy. Zastrzeliliby cię na ulicy, załatwili jak jakiś kawałek śmiecia, bo supremo, dzięki swoim kradzieżom i korupcji, był dobroczyńcą dokerów.

- Tylko się z nim pokłóciłem, nic więcej! Potem poszedłem i piłem wino.

- Rzeczywiście, bardzo dużo wina. Kiedy znaleźli cię w zaułku, byłeś tak nieprzytomny, że świadomość odzyskałeś dopiero wówczas, gdy miałeś już stryczek na szyi i stałeś na krawędzi mola... A przez ile tygodni cię ukrywałam, ciągle zmieniając miejsca, podczas gdy wszystkie portowe męty polowały na ciebie, poprzysięgłszy zabić cię przy pierwszej okazji.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego jesteś dla mnie taka dobra.

- Miałam swoje powody... i ciągle je mam.

- Bóg mi świadkiem, Cabi - powiedział chłopak, nie mogąc oderwać wzroku od leżących na plaży, ubranych na biało zwłok. Jestem ci winien życie, ale nigdy... nigdy nie spodziewałem się czegoś takiego!

- A może wolałbyś powrócić na pewną śmierć do Włoch, do Portici i swojej rodziny?

- Nie, nie, oczywiście, że nie, signora Cabrini.

- W takim razie witaj w naszym świecie, droga zabaweczko rzekła z uśmiechem kobieta. - I wierz mi: będziesz pragnął wszystkiego, co zechcę ci dać. Jesteś tak doskonały. Nawet nie potrafię ci opisać, jak bardzo doskonały... Za burzę, mój cudowny

Nico... Już!

Chłopak zrobił, co mu kazała.

Deuxieme Bureau, Paryż

To ona - oznajmił mężczyzna siedzący za biurkiem w zaciemnionym gabinecie. Na prawej ścianie znajdowała się wyświetlona szczegółowa mapa Karaibów z zaznaczonym rejonem Małych

Antyli. Na wysepce Saba migotała błękitna kropka. - Możemy założyć, że przepłynęła cieśniną Anegada, między Dog Island i Virgin Gorda. Tylko w ten sposób mogła przetrzymać tę pogodę.

Jeżeli przeżyła.

- Może jednak zginęła - wyraził przypuszczenie siedzący po przeciwnej stronie i wpatrzony w mapę asystent. - Z całą pewnością ułatwiłoby nam to życie.

- Oczywiście. - Dyrektor Deuxieme zapalił papierosa. - Ale jeśli chodzi o tę wilczycę, która przeszła piekło Bejrutu i doliny

Bekaa, zanim odwołam polowanie, muszę mieć niepodważalne dowody jej śmierci.

- Znam te wody - odezwał się mężczyzna stojący z lewej strony biurka. - Służyłem na Martynice w czasie kryzysu kubańskiego i mogę zapewnić, że w tym rejonie wiatry bywają wyjątkowo paskudne, a fale szczególnie niszczycielskie. Przypuszczam, że zginęła, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, czym płynęła.

- A ja zakładam coś wręcz przeciwnego - rzucił ostro dyrektor

Deuxieme. - Nie mogę sobie pozwolić na przypuszczenia. Znam ten akwen jedynie z map, ale widzę na nim mnóstwo naturalnych przystani i małych portów, do których mogła wpłynąć. Bardzo dokładnie się z nimi zapoznałem.

- Nie sądzę, Henri. Na tych wodach w pierwszej minucie sztormu wiatr wieje najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a potem zmienia kierunek na przeciwny. Gdyby takie ukrycia istniały, byłyby oznakowane i zamieszkane. Ja je z n a m. Analizowanie mapy jest tylko ćwiczeniem umysłowym, a nie ich sprawdzaniem w poszukiwaniu sowieckich okrętów podwodnych. Mówię wam: nie mogła przeżyć.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Ardisonne. Tego świata nie stać na tolerowanie istnienia Amai Bajaratt.

Centralna Agencja Wywiadowcza, Langley, Wirginia

W białym podziemnym centrum łączności CIA pojedynczy, zamykany na klucz pokój był przeznaczony dla dwunastu analityków - dziewięciu mężczyzn i trzech kobiet, pracujących na zmianę przez całą dobę w czteroosobowych zespołach. Byli poliglotami, specjalistami od międzynarodowej korespondencji radiowej. W składzie grupy znajdowało się również dwóch najbardziej doświadczonych kryptografów Agencji. Mieli rozkaz nie rozmawiać na temat swojej pracy z nikim, nawet z najbliższą rodziną.

Mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami odsunął obrotowy fotel i spojrzał na kolegów ze zmiany zaczynającej się o północy - kobietę i dwóch mężczyzn. Była już prawie czwarta nad ranem, niemal połowa ich dyżuru.

- Może coś mam - powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

- Co takiego? - zapytała kobieta, Jak do tej pory, ta noc jest dla mnie wyjątkowo nudna.

- Gadaj, Ron - wtrącił się siedzący tuż przy nim mężczyzna. - Radio Bagdad usypia mnie swoim pieprzeniem.

- Spróbuj Bahrajn, a nie Bagdad - rzekł Ron, podnosząc wydruk wyrzucony z drukarki do drucianego pojemnika.

- Czyli tam, gdzie są ci bogaci ludzie? - Trzeci mężczyzna podniósł wzrok znad konsoli aparatury elektronicznej.

- Otóż to, bogaci. Nasz kontakt w Manamah przesłał informację, że na zakodowany numer konta w Zurychu przekazano pół miliona dolarów z przeznaczeniem dla...

- Pół miliona? - przerwał mu drugi mężczyzna. - W tym towarzystwie to małe piwo!

- Nie powiedziałem jeszcze, jakie jest ich przeznaczenie ani metoda transferu. Bank Abu Zabi do Credit Suisse w Zurychu...

- To kanał doliny Bekaa - zareagowała natychmiast kobieta. - Punkt docelowy?

- Karaiby. Konkretna lokalizacja nie znana.

- Więc ją ustal!

- Nie da się w tej chwili.

- Dlaczego? - zapytał trzeci mężczyzna. - Bo nie można zdobyć potwierdzenia?

- Mamy takie potwierdzenie, i to bardzo paskudne. Naszego informatora zabito w godzinę po nawiązaniu kontaktu z łącznikiem z ambasady, urzędnikiem protokołu. Tego drugiego natychmiast wycofano z placówki.

- Bekaa - powtórzyła cicho kobieta. - Karaiby. Bajaratt.

- Prześlę informację bezpiecznym faksem do O'Ryan. Potrzebujemy jego pomocy.

- Jeżeli dziś wysłali pół miliona - rzekł trzeci mężczyzna jutro może być pięć milionów, jeśli kanał D okaże się pewny.

- Znałam naszego człowieka w Bahrajnie - powiedziała ze smutkiem kobieta. - To był fajny facet. Miał wspaniałą żonę i dzieciaki... Niech to diabli. Bajaratt!

MI-6, Londyn

Dyrektor brytyjskiej zagranicznej służby wywiadowczej podszedł do tkwiącego pośrodku sali konferencyjnej kwadratowego stołu, na którym leżał wielki, gruby tom - jeden z kilkuset stojących na półkach. Zawierały one wydrukowane na płótnie szczegółowe mapy różnych rejonów świata. Złoty napis na czarnej okładce znajdującej się na stole księgi głosił:

Karaiby - Wyspy Zawietrzne i Nawietrzne. Antyle. Wyspy Dziewicze, terytoria brytyjskie i Stanów

Zjednoczonych.

- Nasz pracownik terenowy w Dominikanie poleciał na północ i potwierdził wiadomość, którą otrzymaliśmy od Francuzów. Znajdź mi z łaski swojej cieśninę Anegada - poprosił swojego pomocnika.

- Oczywiście. - Drugi mężczyzna, widząc irytację swojego przełożonego, zareagował natychmiast. Przyczyną zdenerwowania szefa nie była sytuacja, ale nieposłuszna, sztywna prawa ręka.

Pomocnik przerzucał ciężkie płócienne stronice, aż wreszcie dotarł do żądanej mapy. - Jest... Dobry Boże, nikt nie mógł dopłynąć tak daleko w czasie podobnych sztormów! W każdym razie nie taką łupinką.

- Może nie dopłynęła.

- Dokąd?

- Tam, gdzie płynęła.

- Z Basse-Terre do Anegady w ciągu takich trzech dni? Nie sądzę. Aby dotrzeć na miejsce tak szybko, musiałaby spędzić ponad połowę czasu na otwartych wodach.

- Dlatego cię poprosiłem. Znasz ten rejon dość dobrze, prawda? Byłeś tam oddelegowany.

- Jeżeli w ogóle istnieje ktoś taki jak ekspert, to chyba można mnie za niego uważać. Byłem kontrolerem Szóstki przez dziewięć lat. Siedziałem na Tortoli i latałem nad całym tym cholernym obszarem. Prawdę mówiąc, miałem całkiem przyjemne życie. Wciąż jestem w kontakcie ze starymi przyjaciółmi. Wszyscy uważają, że byłem dość dobrze sytuowanym wagabundą, który lubił sobie polatać od wyspy do wyspy.

- Tak. Czytałem twoje akta. Wykonałeś wspaniałą robotę.

- Zimna wojna działała na moją korzyść, a poza tym miałem o czternaście lat mniej, choć wcale nie byłem taki młody. Teraz nie usiadłbym za sterami dwusilnikowego samolotu i nie latałbym nad tamtymi wodami, choćby mi dawano fortunę.

- Tak, rozumiem - rzekł dyrektor, pochylając się nad mapą - A więc jako ekspert uważasz, że nie mogła ocaleć?

- Nie mogła jest zbyt kategorycznym stwierdzeniem. Powiedzmy, że to bardzo mało prawdopodobne, prawie niemożliwe.

- Tak samo uważa twój odpowiednik z Deuxieme.

- Ardisonne?

- Znasz go?

- Nazwa kodowa: Richelieu. Tak, oczywiście. Fajny gość, chociaż dość zawzięty.

Działał z Martyniki.

- Jest uparty. Przekonywał, że zginęła w morzu.

- W tym wypadku zapewne ma rację. Ale skoro poprosiłeś mnie, abym coś zaproponował, czy mogę zadać parę pytań?

- Oczywiście, Cooke.

- Ta Bajaratt jest najwyraźniej legendą w dolinie Bekaa, a mimo to nie przypominam sobie, żeby trafił na jej nazwisko w spisach z ostatnich kilku lat. Dlaczego?

- Bo Bajaratt nie jest jej prawdziwym nazwiskiem - odparł szef MI-6. - Przybrała je wiele lat temu. Myśli, że nikt nie ma pojęcia, skąd pochodzi ani kim naprawdę jest. Zakładając, że jesteśmy zinfiltrowani, a jej plany rzeczywiście dotyczą czegoś poważnego, utrzymujemy tę informację w wyłączonych ze zwykłego obiegu „czarnych” aktach.

- Ach tak, tak, rozumiem. Jeżeli zna się fałszywe nazwisko i jego genezę, jest pewna szansa określenia profilu osobowości, a nawet opracowania wzorca przewidywanych zachowań. Ale kim właściwie jest ta kobieta, czym się zajmuje?

- Należy do najskuteczniejszych obecnie terrorystów.

- Arabka?

- Nie.

- Izraelka?

- Nie. I nie rozpowszechniałbym zbytnio tego przypuszczenia. , |

- Nonsens. Mossad prowadzi działalność na bardzo wielu płaszczyznach... Ale jeśli można, chciałbym, abyś odpowiedział na moje pytanie. Weź pod uwagę, proszę, że pracowałem w zupełnie innym rejonie. Dlaczego ta kobieta jest tak niezwykle ważna?

- Bo jest na sprzedaż.

- Co...?!

- Podąża tam, gdzie wybuchają jakieś niepokoje, rozruchy, powstania, gdzie toczy się wojna partyzancka, i sprzedaje swój talent temu, kto da najwięcej. Muszę dodać, że z zadziwiającymi rezultatami.

- Wybacz, ale brzmi to dość idiotycznie. Samotna kobieta udaje się w samo piekło rewolucji i oferuje swoje rady? W jaki sposób? Śledzi ogłoszenia w prasie?

- Wcale nie musi, Geoff- odparł dyrektor MI-6, wracając do stołu konferencyjnego. Przesunął niezgrabnie lewą ręką fotel i usiadł. - Jest geniuszem, jeżeli chodzi o destabilizację. Zna mocne i słabe strony wszystkich walczących ze sobą partii i ich przywódców. I wie, jak

je wykorzystać. Nie ma trwałych powiązań - moralnych ani politycznych. Jej rzemiosło - to śmierć. Cała] sprawa jest prosta.

- Wcale tak nie uważam.

- Oczywiście, prosty jest wynik, a nie początek, nie jej pochodzenie... Usiądź, Geoffrey, i pozwól, że opowiem ci krótką | historię, którą udało się nam zrekonstruować. - Dyrektor otworzył leżącą przed nim dużą brązową kopertę i wyjął z niej trzy fotografie - powiększenia zdjęć wykonanych ukrytym aparatem.

Przedstawiły kobietę w ruchu. Na każdym zdjęciu jej oświetlona słońcem twarz była wyraźnie widoczna. - To jest Amaya Bajaratt.

- Przecież to trzy różne osoby! - zawołał Geoffrey Cooke.

- Która z nich jest Amayą? - zapytał dyrektor. - A może ona jest wszystkimi trzema?

- Rozumiem, co masz na myśli... - odparł z wahaniem pracownik służby zagranicznej.

- Na każdym zdjęciu włosy są inne

- blond, czarne i, jak sądzę, jasnokasztanowe... Krótkie, długie i średniej długości...

Rysy także różnią się w każdym wypadku choć chyba nie tak zdecydowanie. Ale na pewno są nieco inne.

- Może cielisty plastik? Albo воск? Umiejętność kontrolowania mięśni twarzy? Żadna z tych metod nie jest szczególnie trudna.

- Myślę, że spektrografia dałaby precyzyjne wyjaśnienie.

Przynajmniej jeśli chodzi o zastosowanie jakichś dodatków, takich jak plastyki czy воск.

- Mogłaby, ale nie dała. Nasi eksperci twierdzą, że istnieją związki chemiczne mogące wprowadzić w błąd skanery fotoelektryczne. Podobno nawet odbicie jaskrawego światła może wywołać identyczny efekt... Co oczywiście oznacza, że nie zaryzykują wydania decydującej opinii.

- Dobrze - oznajmił Cooke. - Najprawdopodobniej jest jedną, albo i wszystkimi trzema kobietami z tych zdjęć, skąd jednak, u diabła, możesz mieć taką pewność?

- Sądzę, że to sprawa wiarygodności.

- Wiarygodności?

- Francuzi i my zapłaciliśmy bardzo dużo pieniędzy za te fotografie. Pochodzą z zakonspirowanych źródeł, z których korzystamy od wielu lat. Żadna z osób, które je nam dostarczyły, nie podsunęłaby fałszywek, ryzykując utratę poważnych dochodów.

Wszyscy informatorzy są przekonani, że fotografowali właśnie

Bajaratt.

- Ale dokąd ona zmierza? Odległość z Basse-Terre do Anegady, jeżeli istotnie jest to Anegada, wynosi ponad dwieście kilometrów.

A przy tym te szalejące sztormy... I dlaczego właśnie cieśnina Anegada?

- Ponieważ słupek spostrzeżono niedaleko wybrzeża Marigot.

Nie mógł dobić do brzegu z powodu raf, a niewielki port został zrównany z ziemią.

- Kto go dostrzegł?

- Rybacy zaopatrujący hotele na Anguilli. Obserwację potwierdził nasz człowiek z Dominikany. - Dyrektor zauważył oszołomienie malujące się na twarzy Cooke'a i ciągnął dalej: Kierując się wskazówkami, które przesłaliśmy mu z Paryża, poleciał na Basse-Terre i dowiedział się, że kobieta w wieku zbliżonym do wieku Bajaratt wyczarterowała jacht. Była w towarzystwie wysokiego, muskularnego młodego człowieka. Bardzo młodego człowieka.

Odpowiada to ustaleniom z Paryża: że kobieta o rysopisie i w wieku

Bajaratt, posługując się zapewne fałszywym paszportem, wyleciała z Marsylii na wyspę Gwadelupa - a właściwie, jak dobrze wiesz, na dwie wyspy: Grande-Terre i Basse-Terre, również w towarzystwie tak właśnie wyglądającego młodzieńca.

- W jaki sposób służby celne w Marsylii zorientowały się, że te osoby coś łączy?

- Nie znał francuskiego. Powiedziała, że jest jej dalekim krewnym z Łotwy, którym zaopiekowała się po śmierci jego rodziców.

- Cholernie nieprawdopodobne wyjaśnienie.

- Ale całkowicie do przyjęcia dla naszych przyjaciół zza

Kanału. Nie zawracają sobie głowy nikim, kto urodził się na północ od Rodanu.

- Dlaczego miałyby podróżować z nastolatkiem?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- I znowu to samo pytanie: dokąd zmierza?

- Mamy jeszcze większą zagadkę. Najwidoczniej jest doświadczoną żeglarką. Znała sytuację wystarczająco dobrze, aby dobić do brzegu, zanim zerwał się sztorm. Na jachcie było radio, a ostrzeżenia nadawano w czterech językach w całym zagrożonym rejonie.

Dlaczego więc ryzykowała?

- Może musiała gdzieś zdążyć na spotkanie?

- Tak, to jest jedyne sensowne wytłumaczenie. Czy jednak z tego powodu narażałaby własne życie?

- Rzeczywiście, raczej nieprawdopodobne - przytaknął były kontroler z MI-6. - Chyba że istniały okoliczności, o których nic nie wiemy... Mów dalej, najwidoczniej doszedłeś do jakichś wniosków.

- Owszem, ale obawiam się, że niewiele wymyśliłem. Zakładam, że terrorysta bardzo rzadko rodzi się terrorystą, że staje się nim w rezultacie jakichś wydarzeń. Z zebranych informacji wynika, że chociaż Bajaratt jest poliglotką - słyszano, jak mówi językiem, którego właściwie nie sposób zrozumieć...

- W Europie takim językiem mógłby być baskijski - wtrącił cicho Cooke.

- No, właśnie. Wysłaliśmy głęboko zakonspirowaną grupę do prowincji Vizcaya i Alva, aby zdobyła jakieś wiadomości. Wpadli na trop pewnego wyjątkowo paskudnego wypadku, który wydarzył się wiele lat temu w małej, związanej z buntownikami wiosce w zachodnich Pirenejach. Była to historia z tych, które przechodzą do góralskich legend i są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

- Coś w rodzaju My Lai albo Babiego Jaru? - zapytał

Cooke. - Totalna masakra?

- Coś gorszego, jeżeli to w ogóle możliwe. W czasie akcji przeciwko buntownikom wszystkich dorosłych mieszkańców wsi zabił jakiś nieregularny oddział. Ci dorośli mieli od dwunastu lat wżwyz! Młodsze dzieci musiały na to patrzeć, a potem pozostawiono je w górach, żeby umarły.

- Czy Bajaratt była wśród tych dzieci?

- Pozwól, że ci wyjaśnię. Baskowie żyjący w górach są bardzo izolowani. Mają zwyczaj zakopywać swoje kroniki na własnym terytorium, między najdalej na północ rosnącymi cyprysami. W naszej grupie był antropolog, specjalista zajmujący się góralami z Pirenejów, który znał ich język w mowie i piśmie. Odnalazł te kroniki. Kilka ostatnich stron zapisała mała dziewczynka. Odtworzyła cały koszmar, między innymi, jak bagnetami obcięto głowy jej rodzicom i jak wcześniej jej ojciec i matka musieli przyglądać się katom ostrzącym narzędzia mordy o skały.

- Straszne! I tą dziewczynką była Bajaratt?

- Podpisała się Amaya el Baj... Yovamanaree, Po baskijski znaczy to mniej więcej tyle samo, co po hiszpańsku jovena mujer młoda kobieta. A potem było jedno zdanie po hiszpańsku: Muerte a toda autoridad...

- Śmierć wszelkiej władzy - przetłumaczył Cooke. - Czy to wszystko?

- Nie, jeszcze dwie informacje. Ta dziesięcioletnia dziewczynka napisała również ostatnie słowa: Shirharra Baj.

- Co, u diabła, to znaczy?

- Ogólnie rzecz biorąc, tak nazywają młodą kobietę, która wkrótce będzie gotowa począć dziecko, ale nigdy go na tym świecie nie urodzi.

- Niewątpliwie makabryczne, lecz w tych okolicznościach chyba zupełnie zrozumiała.

- Góralskie legendy opowiadają o dziewczynce, która wy- prowadziła wioskowe dzieci z gór, wymykając się licznym patrolom, i nawet zabijała zwabionych przez siebie żołnierzy ich własnymi bagnetami.

- Dziesięcioletnia dziewczynka?! Wprost niewiarygodne! Geoffrey Cooke zmarszczył brwi. - Ale wspominałeś o dwu informacjach. Jaka jest ta druga?

- Ostatni dowód potwierdzający jej tożsamość. Wśród zakopanych kronik znajdowały się również kroniki rodzinne. Niektóre, bardziej izolowane, rody baskijskie żyją w ciągłej obawie przed małżeństwami o zbyt bliskim stopniu pokrewieństwa. Dlatego tak wiele młodzieży wysyła się z tych wiosek w świat. W każdym razie istniała rodzina Aquirre, której pierwszą córkę ochrzczono dość popularnym imieniem Amaya. Nazwisko Aquirre zostało ze złością wydrapane - zupełnie jakby przez jakieś rozgniewane dziecko i na jego miejsce wpisano: Bajaratt.

- Dobry Boże, po co? Dowiedziałaś się, dlaczego tak zrobiła?

- Owszem. Paskudna sprawa. Pominę bardziej koszmarnie szczegóły i powiem od razu, że nasi chłopcy mocno nacisnęli swych” partnerów w Madrycie, posuwając się nawet do groźby, iż całkowicie zaprzestaniemy pomocy w najbardziej istotnych dla Hiszpanów kwestiach. Chyba że zapewnią im dostęp do całkowicie utajnionych akt dotyczących akcji przeciwko Baskom. Użyłeś określenia „makabryczne”. Nawet nie masz pojęcia, jak jest ono trafne. Znaleźliśmy nazwisko Bajaratt. Należało do pewnego sierżanta - jego matka była Hiszpanką, ojciec Francuzem z pogranicza - który brał udział w tym barbarzyńskim ataku na góralską wioskę. Mówiąc krótko, to on właśnie obciął głowę matce Amyai Aquirre. Przybrała jego nazwisko, ponieważ był dla niej symbolem grozy. Zrobiła to prawdopodobnie w bardzo wyraźnie określonym celu: aby nigdy, dopóki żyje, nie zapomnieć o tej masakrze. Chciała się stać zabójczynią równie obrzydliwą jak człowiek, który na jej oczach wbił bagnet w kark jej matki.

- Nieprawdopodobnie perwersyjne - powiedział ledwo słyszalnie Cooke - ale nietrudne do zrozumienia. Dziecko przybiera postać potwora i marzy o zemście, identyfikując się z nim. Cała sprawa bardzo przypomina „syndrom sztokholmski” - brutalnie traktowani jeńcy zaczynają utożsamiać się ze swoimi oprawcami.

A cóż dopiero dziecko... Zatem Amaya Aquirre jest Amayą Bajaratt.

Ale chociaż ukryła swoje prawdziwe nazwisko, nigdy również do końca nie ujawniła się jako Bajaratt.

- Porozumieliśmy się z psychiatrą, specjalizującym się w dziecięcych zaburzeniach umysłowych - ciągnął dalej dyrektor MI-6. Wyjaśnił nam, że dziesięcioletnia dziewczynka jest w pewnym sensie bardziej rozwinięta niż jej rówieśnik. Mam liczne wnuki i z dużą niechęcią muszę przyznać mu rację. Psychiatra stwierdził również, że dziewczynka w tym wieku, po tak strasliwym szoku i cierpieniach, może zdradzać tendencję do ujawniania jedynie części swojej osobowości.

- Chyba niezbyt rozumiem.

- Użył określenia: syndrom testosteronowy. Chodzi o to, że w podobnych okolicznościach dziecko płci męskiej mogłoby bez trudu napisać: „Śmierć wszelkiej władzy”, i podpisać się własnym imieniem i nazwiskiem, aby wszyscy wiedzieli o jego zemście.

Dziewczynka natomiast zachowa się inaczej, ukrywając pełną informację o sobie, ponieważ będzie myślała o prawdziwej przyszłej zemście. Musi być sprytniejsza, a nie silniejsza od swojego przeciwnika... Jednocześnie jednak nie może się powstrzymać, żeby nie utrwalić części swojej osobowości.

- Bardzo sensowne - oznajmił Cooke, kiwając głową. Ale, dobry Boże, cóż to za historia: zakopane kroniki, cyprysy i krwawa inicjacja... masowy mord, obcinanie głów bagnietami i dziesięcioletnie dziecko, będące świadkiem tego wszystkiego!

Chryste Panie, przecież mamy do czynienia z oczywistą psychopatką! Marzy tylko o obcinanych głowach, spadających na ziemię tak jak głowy jej rodziców.

- Muerte a toda autoridad - rzekł dyrektor MI-6. - Głowy tych, którzy rządzą - wszędzie.

- Tak, rozumiem to zdanie...

- Obawiam się jednak, że nie uświadamiasz sobie całej powagi tych ustaleń.

- Słucham?

- Przez kilka ostatnich lat Bajaratt przebywała w dolinie

Bekaa. Żyła tam z przywódcą szczególnie wojowniczej frakcji ruchu palestyńskiego, absolutnie się z nim identyfikując. Zapewne pobrali się minionej wiosny, w czasie jakiejś nieoficjalnej uroczystości pod drzewem owocowym. Jej mąż zginął dziewięć tygodni temu na plaży Aszkelonu, na południe od Tel Awiwu.

- Ach tak, przypominam sobie - odezwał się Cooke. Wybito ich do nogi. Nie było jeńców.

- Czy pamiętasz oświadczenie rozpowszechnione na cały świat przez pozostałych przy życiu członków frakcji, a konkretnie przez jej nowego przywódcę?

- Było tam chyba coś o broni.

- Właśnie. Oświadczenie głosiło, że izraelską broń, która zabiła „bojowników wolności”, wyprodukowano w Ameryce, Anglii i Francji, i że pozbawieni siłą swojej ziemi nigdy nie zapomną i nie wybaczą bestiom, które dostarczyły tę broń.

- Słyszeliśmy już te bzdury. I co z tego?

- To, że Amaya Bajaratt, przybrawszy przydomek „Niewybacząca”, przesłała informację do Rady Najwyższej w dolinie Bekaa.

Dzięki Bogu, twoi przyjaciele, albo eks-przyjaciele, z Mossadu przechwycili tę wiadomość. Amaya i jej towarzysze poświęcają swe życie, aby „pozbawić głów cztery wielkie bestie”. Ona sama będzie

„piorunem, który da znak”.

- Jaki znak?

- O ile Mossad prawidłowo ustalił, ma to być sygnał przekazany dla jej zakonspirowanych współpracowników w Londynie, Paryżu i Jerozolimie, aby przystąpili do ataku. Izraelczycy są przekonani, że najważniejsza część hasła brzmi: „Kiedy najgorsza z tych bestii padnie za wielkim morzem, następne muszą szybko, podążać ich śladem”.

- Najgorsza...? Za morzem...? Dobry Boże, Ameryka?!

- Tak, Cooke, Amaya Bajaratt zamierza zamordować prezydenta Stanów Zjednoczonych. Taki będzie jej znak.

- Absurd!

- Jej akta świadczą, że nie taki znowu absurd. Z zawodowego punktu widzenia nigdy chyba nie doznała porażki. Jest patologicznym geniuszem, a jej ostatecznym celem stała się zemsta na całej

„brutalnej” władzy, obecnie podbudowana jeszcze głęboko osobistym motywem - śmiercią męża. Trzeba ją koniecznie powstrzymać, Geoffrey. Dlatego właśnie Foreign Office, przy pełnym poparciu mojej organizacji, uznało, że powinieneś natychmiast powrócić na swój poprzedni posterunek na Karaibach. Jak sam stwierdziłeś, nie ma nikogo, kto dorównywałby ci doświadczeniem.

- Mój Boże, przecież rozmawiasz z sześćdziesięcioletnim facetem, który ma wkrótce przejść na emeryturę!

- W dalszym ciągu dysponujesz kontaktami na całym archipelagu. Tam, gdzie nastąpiły jakieś zmiany, zapewnimy zastępstwa. Mówiąc szczerze, jesteśmy przekonani, że

zdołasz ruszyć tę sprawę z miejsca szybciej niż ktokolwiek inny, kogo znamy. Musimy ją odnaleźć i zlikwidować.

- Czy przyszło ci do głowy, mój stary, że nawet jeżeli wyruszę dzisiaj, to zanim dotrę na miejsce, ona może ulotnić się Bóg wie gdzie? Wybacz, ale znowu przychodzi mi do głowy określenie:

„Brzmi to idiotycznie”.

- Jeśli obawiasz się, że mogłaby się „ulotnić” - powiedział dyrektor z lekkim uśmiechem - to ani Francuzi, ani my nie przewidujemy, aby w najbliższych dniach - może przez tydzień lub dwa tygodnie - miała zamiar gdziekolwiek się wybrać.

- Dowiedziałeś się o tym ze swojej kryształowej kuli?

- Nie, po prostu tak podpowiada zdrowy rozsądek. Biorąc pod uwagę zakres jej zadania, będzie ono wymagało zakrojonych na szeroką skalę działań przygotowawczych, z udziałem wielu ludzi, oraz odpowiednich środków finansowych i technicznych, w tym również samolotów. Może Bajaratt jest psychopatką, ale nie wariatką. Nie będzie próbowała przeprowadzić swojej akcji na terytorium Stanów Zjednoczonych.

- Musi to być zatem miejsce poza zasięgiem bezpośredniej kontroli władz federalnych - przyznał niechętnie Cooke. - A zarazem z łatwym dostępem do banków położonych na wyspach oraz do personelu na lądzie.

- Tak również brzmi nasza interpretacja - oznajmił szef MI-6.

- Zastanawiam się jednak, po co wysłała informację do Rady Doliny Bekaa.

- Być może uważa to za swój Gotterddmmerung, Zmierch Bogów. Chce, aby te zabójstwa przyniosły jej sławę. Co jest nawet logiczne z psychologicznego punktu widzenia.

- No cóż, podrzuciłeś mi zadanie, któremu raczej trudno się oprzeć, prawda?

- Liczyłem na to.

- Przeprowadziłeś mnie przez wszystkie niezbędne etapy, co?

Od niejasnej tajemnicy o straszliwej, lecz fascynującej dokumentacji do grożącego w najbliższej przyszłości niebezpieczeństwa. Nacisnąłeś wszystkie właściwe guziki.

- A czy był jakiś inny sposób?

- Nie dla zawodowca, ale gdybyś nie był profesjonalistą, nie siedziałbyś w tym fotelu.

- Cooke wstał i spojrzał przełożonemu prosto w oczy. - A teraz, kiedy możesz już uznać, że wyraziłem zgodę, chciałbym coś zasugerować.

- Bardzo proszę, stary.

- Kilka minut temu nie byłem z tobą całkowicie szczery.

Powiedziałem, że wciąż utrzymuję kontakty z dawnymi przyjaciółmi.

Mogłeś to zrozumieć tak, że jedynie korespondujemy ze sobą. To prawda, ale nie cała. W rzeczywistości większość moich corocznych urlopów spędzam na wyspach - trudno do nich nie tęsknić, wiesz?

I oczywiście - ciągnął - starzy koledzy i nowi znajomi o podobnej przeszłości spotykamy się i wspominamy.

- Och, to zupełnie zrozumiałe.

- No cóż, dwa lata temu poznałem Amerykanina, którego wiedza o tych wyspach jest większa, niż ja kiedykolwiek zdołam osiągnąć. Czarteruje swoje dwa jachty z rozmaitych marin - od

Charlotte Amalie do Atiqui. Zna każdy port, każdą zatoczkę i zakamarek w całym archipelagu.

- Doskonała rekomendacja, Geoffrey, ale nie sędzę, aby...

- Poczekaj - przerwał mu Cooke. - Jeszcze nie skończyłem.

Upredzając twoje zastrzeżenia, chciałbym powiedzieć, że jest on emerytowanym oficerem wywiadu marynarki Stanów Zjednoczonych. Jest stosunkowo młody, ma chyba niecałe czterdzieści pięć lat, i na dobrą sprawę nie wiem, dlaczego wystąpił ze służby, ale wydaje mi się, że okoliczności nie były zbyt sympatyczne. Mimo wszystko jednak uważam, że świetnie by się nadawał do tej roboty.

Dyrektor MI-6 pochylił się nad biurkiem.

- Tak, wiem. Nazywa się Tyrell Nathaniel Hawthorne III. Jest synem profesora literatury amerykańskiej na uniwersytecie w Oregonie. Okoliczności jego rozstania z wywiadem marynarki były istotnie mało sympatyczne, mówiąc twoimi słowami. I, oczywiście, mógłby być niezwykle cennym współpracownikiem, ale nikt w Waszyngtonie, w kołach związanych z wywiadem, nie może go zwerbować. Próbowali wielokrotnie, dawali mu mnóstwo interesujących propozycji w nadziei, że zmieni zdanie, lecz nic z tego.

Ma o nich bardzo kiepską opinię i uważa, że nie odróżniają prawdy od kłamstwa. Zawsze wysyła ich do diabła.

- Mój Boże! - zawołał Geoffrey Cooke. - Wiedziałeś wszystko o moich urlopach, wiedziałeś dokładnie. Nawet o tym, że się z nim spotkałem!

- Przyjemny trzydniowy rejsik po Wyspach Zawietrznych w towarzystwie twojego przyjaciela Ardisonne'a, nazwa kodowa:

Richelieu.

- Ty sukinsynu!

- Cooke, daj spokój, jak możesz? Przypadkiem były kapitan marynarki wojennej Hawthorne płynie właśnie do mariny na brytyjskiej Gordzie, gdzie - jak podejrzewam - będzie miał problemy z silnikiem pomocniczym. Twój samolot na Anguillę startuje o piątej, masz więc wiele czasu, żeby się spakować. Stamtąd razem ze swoim przyjacielem Ardisonne'em polecicie małym prywatnym samolotem na Gordę.- Szef MI-6, Wydział Specjalny, uśmiechnął się czarująco. - Powinno to być wspaniałe spotkanie.

Departament Stanu, Waszyngton D.C.

Wokół stołu w bezustannie sprawdzanej sali konferencyjnej siedzieli sekretarze stanu i obrony, dyrektorzy Centralnej Agencji Wywiadowczej i Federalnego Biura Śledczego oraz przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów. Po lewej ręce każdego z nich znajdował się adiutant, podwładny wysokiej rangi, człowiek o nieskazitelnej reputacji. Zebraniu przewodniczył sekretarz stanu.

- Wszyscy panowie otrzymali te same informacje co ja powiedział - i w związku z tym możemy pominąć wszelkie zbędne wstępy. Na pewno niektórzy z obecnych uważają, że nasze działania są przesadne. Przyznam, że aż do dzisiejszego ranka podzielałem tę opinię. Istnienie samotnej terrorystki ogarniętej obsesją zabicia prezydenta i zapoczątkowania tym czynem serii morderstw przywódców politycznych Wielkiej Brytanii, Francji i Izraela, może się wydawać zbyt naciągniętym pomysłem.

Jednakże dziś o szóstej rano miałem telefon od dyrektora

CIA. Zadzwoił do mnie ponownie o jedenastej i zacząłem zmieniać zdanie. Czy zechciałby pan wyjaśnić sprawę, panie

Gillette?

- Postaram się, panie sekretarzu - odparł korpulentny dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Wczoraj w Bahrajnie zabito naszego człowieka, który obserwował operacje finansowe związane z doliną Bekaa. Zginął godzinę po poinformowaniu zakonspirowanego łącznika, że do Credit Suisse w Zurychu przelano pół miliona dolarów. Suma nie była oszałamiająca, ale kiedy nasz agent z Zurychu spróbował dotrzeć do własnego miejscowego informatora - wysoko opłacanego, nigdzie nie zarejestrowanego nie udało mu się to. Gdy później ponowił próbę - oczywiście anonimowo, przedstawiając się jako stary przyjaciel - dowiedział się, że poszukiwany przez niego człowiek polecał w interesach do

Londynu. Po powrocie do mieszkania zastał jednak w swojej automatycznej sekretarce zarejestrowaną wiadomość. Od tego właśnie informatora, który na pewno nie mógł znajdować się w Londynie, albowiem prosił, i to niemal rozpaczliwie, o spotkanie w kawiarni w

Dudendorfie, mieście położonym nieco ponad trzydzieści kilometrów na północ od Zurychu. Nasz agent pojechał tam, ale jego informator w ogóle się nie pojawił.

- Jakie wyciąga pan stąd wnioski? - zapytał szef wywiadu wojskowego.

- Usunięto go, aby zatrzeć ślad przelewu pieniędzy - odparł krępy mężczyzna o przerzedzonych rudych włosach, siedzący z lewej strony dyrektora CIA. - Oczywiście, to hipoteza, jeszcze nie potwierdzona - dodał.

- Na czym więc oparta? - zapytał sekretarz obrony.

- Na logice - wyjaśnił sucho pracownik Agencji. - Najpierw zabito człowieka z Bahrajnu, ponieważ przekazał pierwszą informację. Potem informator z Zurychu zmontował legendę o swoim wyjeździe do Londynu, by móc się spotkać z naszym agentem w Dudendorfie, z dala od miejsc, w których zazwyczaj bywał.

Ludzie związani z Bekaa zdemaskowali go i postanowili usunąć ten ślad, jak widać z dobrym skutkiem.

- Z powodu sześciocyfrowego przelewu? - wtrącił szef wywiadu marynarki wojennej. - Strasznie dużo zachodu jak na tak niewielką sumę, nieprawdaż?

- Bo nie ona miała tu znaczenie - wyjaśnił krępy asystent o nalanej twarzy. - Ważny był adresat, a także miejsce, w którym przebywa. To właśnie starali się ukryć. Poza tym, kiedy już ustalono, że przelew dotarł bez przeszkód, następne sumy mogą być stokroć większe.

- Bajaratt - oznajmił sekretarz stanu. - A więc zaczęła swoją podróż... W porządku, będziemy działać w określony sposób i absolutnie najważniejszym czynnikiem staje się zachowanie jak najściślejszej tajemnicy. Oprócz pracowników Agencji monitorujących łączność radiową tylko obecni przy tym stole mają prawo wymieniać wiadomości zebrane przez nasze wydziały. Proszę przełączyć wszystkie osobiste faksy biurowe na tryb poufny i prowadzić rozmowy telefoniczne między sobą wyłącznie zabezpieczonymi liniami. Żadna informacja nie może się wydostać poza krąg zgromadzonych tu osób, chyba że za zgodą moją lub dyrektora

Agencji. Nawet pogłoski o takiej operacji mogłyby przynieść niepożądane skutki i spowodować niepotrzebne komplikacje.

Rozległ się stłumiony brzęczyk czerwonego telefonu stojącego przed sekretarzem stanu, który natychmiast podniósł słuchawkę.

- Słucham? To do pana - powiedział, spoglądając na dyrektora CIA.

Gillette wstał z fotela i podszedł do szczytu stołu. Wziął słuchawkę i się przedstawił. Słuchał prawie minutę, w końcu rzekł:

- Rozumiem.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na krępego asystenta o przeredzonych rudych włosach.

- Ma pan swoje potwierdzenie, O'Ryan. Na Spitzplatz znaleziono naszego zuryskiego agenta z dwiema kulami w głowie.

- Robią wszystko, żeby chronić tyłek tej suki - warknął

O'Ryan, analityk CIA.

ROZDZIAŁ 2

Opalony tropikalnym słońcem na głęboki brąz, wysoki nie ogolony mężczyzna w białych żeglarskich szortach i czarnym podkoszulku nadbiegł ścieżką i popędził mołem ze stanowiskami cumowniczymi jachtów motorowych. Dotarł do końca pomostu i wrzasnął do dwóch ludzi siedzących w zbliżającej się łodzi wiosłowej:

- Co, u diabła, ma znaczyć, że mam przeciek z silnika pomocniczego? Płynąłem na nim w sztilu i był w absolutnym porządku!

- Słuchaj, stary - odparł brytyjski mechanik zmęczonym głosem, gdy Tyrell Hawthorne złapał rzuconą mu cumę. - Wisi mi i powiewa, czy ten twój silnik jest prosto od krowy, czy nie. Nie masz nawet deka oleju w skrzyni korbowej. Jej cała zawartość zapaskudza właśnie naszą miłą zatoczkę. A jeśli chcesz wyprowadzić swoją łajbę i wpakować się w kolejny sztil, to proszę bardzo. Płyn i rozpieprz sobie silnik. Ale masz jak w banku, że złożę raport. Nie zamierzam ponosić konsekwencji twojej głupoty.

- Dobra, dobra - odparł Hawthorne, podając rękę mechanikowi wchodzącemu po drabince na pomost. - Co o tym myślisz?

- Wywalona uszczelka i dwa zniszczone cylindry, Tye. Mechanik obrócił się i założył drugą cumę na poler, aby jego towarzysz mógł wejść na molo. - Ile razy, chłopie, mówiłem ci, że za bardzo polegasz na wietrze? Musisz częściej korzystać ze swojej maszynierii, bo wysycha w tym pieprzonym słońcu! Sam powiedz, nie uprzedzałem cię już z tuzin razy?

- Zgadza się, Marty, mówiłeś. Nie mogę zaprzeczyć.

- Nie możesz! A przy swoich cenach wynajmu z całą pewnością nie musisz się martwić kosztami paliwa. Tyle to nawet ja wiem.

- Nie chodzi o pieniądze - zaprotestował szyper. - Jeżeli nie natrafiamy na długie sztile, czarterujący jacht lubią pływać pod żaglami, dobrze o tym wiesz. Ile czasu zajmie ci naprawa? Kilka godzin?

- Nigdy w życiu, Tye. Spróbuj dowiedzieć się jutro koło południa. A i to pod warunkiem, że do rana uda mi się sprowadzić samolotem z Saint T. odpowiednie wiertła.

- Cholera! Jest paru dobrych klientów na pokładzie, którzy spodziewają się, że będą jutro na Tortoli.

- Daj im parę ponczów rumowych a la Gordie i załatw pokoje w klubie. Nie zauważą różnicy.

- Nie pozostaje mi nic innego - odparł Hawthorne. Odwrócił się i ruszył wzdłuż mola.
- Masz u mnie overtona. - Szybkim krokiem poszedł wzdłuż stanowisk cumowniczych.

- Przepraszam, stary - mruknął pod nosem mechanik, spoglądając na przyjaciela skręcającego w lewo na ścieżkę. - Paskudnie się czuję, robiąc ci ten numer, ale taki dostałem rozkaz.

Karaiby ogarnął mrok. Było już późno, kiedy kapitan Tyrell

Hawthorne, właściciel Olympic Charters Ltd., jedyne jacht klubu zarejestrowanego na amerykańskich Wyspach Dziewiczych, odprowadził kolejno swoich klientów - najpierw jedną parę, a potem drugą - do ich pokoi w hotelu klubowym. Może po przebudzeniu przeżyją pewne rozczarowanie, ale z zaśnięciem nie powinno być problemu - barman zapewniał go o tym. Tye Hawthorne powrócił więc do pustego baru na plaży i wyraził swą wdzięczność pracującemu w nim człowiekowi w bardziej konkretny sposób. Wręczył mu mianowicie pięćdziesiąt dolarów.

- Hej, Tye, nie musisz tego robić.

- Dlaczego więc tak je ściskasz w garści?

- Odruchowo, mon. Mogę ci oddać.

Roześmiali się obydwaj. Taki był rytuał.

- Jak interesy, kapitanie? - spytał czarny barman, nalewając

Hawthorne'owi tradycyjną szklaneczkę białego wina.

- Nie najgorzej, Rogerze. Obie łodzie mam wyczarterowane i jeżeli mój braciszek-idiota zdoła wrócić do Red Hook na Saint T., może nawet uda się nam w tym roku coś zarobić.

- Hej, mon, lubię twój brata. To śmieszny facet.

- O tak, zupełnie jak Myszka Miki, Roge. Czy wiesz, że ten dzieciak jest doktorem?

- Co, mon! Ciągłe tu przychodzi, a mnie wszystko boli tu i tam. Mógłbym się u niego leczyć?

- Nie, nie takim doktorem - wyjaśnił Tyrell. - Ma doktorat z literatury, tak samo jak nasz papcio.

- Nie nastawia kości i nie leczy bólów? Jaki więc z niego pożytek?

- On jest tego samego zdania. Powiedział, że siedział na tyłku przez osiem lat, żeby zrobić ten cholerny doktorat, i w rezultacie zarabiał mniej niż śmieciarz w San Francisco. Miał tego powyżej uszu, rozumiesz, o co mi chodzi?

- Jasne - odparł barman. - Pięć lat temu łowiłem ryby dla turystów, sprzątałem po nich pawie i kładłem ich do łóżek, kiedy byli naprani. Żadne życie, mon! Nagle stuknąłem się w głowę i nauczyłem się, jak im pomagać dawać sobie w szyję.

- Słuszna decyzja.

- Zła, Tye - szepnął nagle Roger i sięgnął pod ladę. Dwaj, mon, idą od ścieżki. Szukają kogoś, a ty jesteś tutaj jedynym człowiekiem. Mam kiepskie przeczucie... Nie podobają mi się. Są w marynarkach z długimi rękawami i idą zbyt wolno. Ale nie martw się, mam spluwę.

- Hej, Roger, o czym ty mówisz? - Hawthorne obrócił się na barowym stołku. - Geoff! - zawołał. - To ty, Cooke? I ty, Jacques? Co wy tu, u diabła, robicie? Odłóż broń, Roger, to moi starzy przyjaciele.

- Odłożę, gdy się upewnię, że oni jej nie mają.

- Hej, koledzy, on jest również moim starym przyjacielem, a na wyspach zrobiło się ostatnio dość paskudnie. Wyjmijcie tylko ręce z kieszeni i powiedzcie mu, że nie macie żadnej broni, dobra?

- Jakim cudem moglibyśmy mieć jakąkolwiek broń? - zapytał wzgardliwie Geoffrey Cooke. - Obaj lecieliśmy międzynarodowymi rejsami, a tam na każdym kroku stoi wykrywacz metali.

- Mais oui! - przytaknął Ardisonne, nazwa kodowa: Richelieu.

- Są w porządku - oświadczył Hawthorne. Zeskoczył ze stołka i uściśnął dłonie obu starszych mężczyzn. - Pamiętacie, jak płynęliśmy przez... Ale, ale, dlaczego właściwie tu jesteście? Sądziłem, że obydwaj zażywacie już rozkoszy emerytury.

- Musimy porozmawiać, Tyrell - oznajmił Cooke.

- I to natychmiast - dodał Ardisonne. - Nie ma czasu do stracenia.

- Hej, chwileczkę. Nagle mój silnik, który był w idealnym stanie, przestaje pracować. Jednocześnie, równie niespodziewanie, pewnej spokojnej nocy pojawia się ni stąd, ni zowąd Cooke razem ze starym kumplem Richelieu z Martyniki. O co tu chodzi, panowie?

- Powiedziałem, że musimy porozmawiać - powtórzył z naciskiem Cooke.

- Wcale nie jestem tego pewien - odparł Hawthorne, były komandor wywiadu marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Bo jeżeli macie zamiar rozmawiać o czymś, co w jakiś sposób wiąże się z tym gównem, którym Waszyngton mnie obrzuca, lepiej od razu dajcie sobie spokój.

- Masz pełne prawo pogardzać Waszyngtonem - Ardisonne mówił po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem - ale nie masz powodu, aby nas nie wysłuchać. Czy mógłbyś jakiś wymyślić?

To prawda, że powinniśmy już być na emeryturze, ale „nagle”, że zacytuję twoje własne słowa, okazało się, iż jesteśmy potrzebni.

Czemu? Czy to nie wystarczający powód, żebyś nas wysłuchał?

- Wysłuchajcie wy mnie, koledzy, i to uważnie... Firma, którą reprezentujecie, zabrała mi kobietę, z którą chciałem spędzić resztę życia. Te cholerne podchody zabiły ją w Amsterdamie, a więc mam nadzieję, że zrozumiecie, kiedy wam oznajmię powtórnie, że nie zamierzam z wami w ogóle gadać. Daj tym „tajnym agentom” po drinku, Rogerze, i wpisz to na mój rachunek. Idę na swoją łódź.

- Tyrell, przecież wiesz, że ani ja, ani Ardisonne nie mieliśmy nic wspólnego z Amsterdamem - powiedział Cooke.

- Ale te pieprzone podchody miały, i też o tym wiesz.

- To już odległa przeszłość, mon ami - odezwał się Richelieu. - Czyż w przeciwnym razie moglibyśmy razem żeglować?

- Posłuchaj mnie, Tye - Geoffrey Cooke mocno zacisnął dłoń na ramieniu Hawthorne'a. - Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi i musimy porozmawiać.

- O, kurwa! - Tyrell złapał go za rękę. - Dał mi szpilę! Wbił mi ją przez koszulę! Weź spluwę, Roge...!

Zanim barman zdołał wydobyć broń, Richelieu uniósł rękę i skierował ją na cel. Strzelił palcami. Z rękawa wyleciała mu usypiająca lotka i wbiła się w kark mężczyzny za barem.

Wschód słońca. Zaczęły pojawiać się obrazy, stawały się coraz wyraźniejsze, ale nie wiązały się z ostatnimi, które zarejestrował

Hawthorne. Żadna z pochylonych nad nim twarzy nie należała do

Geoffreya Cooke'a ani Jacquesa Ardisonne'a. Zamiast nich dostrzegł znajome rysy Marty'ego i jego kumpla Mickeya, mechaników portowych z Virgin Gordy.

- Jak się masz, stary? - zapytał Marty.

- Chcesz kropelkę dżinu? - dodał Mickey. - Czasami rozjaśnia w głowie.

- Co się, u diabła, stało? - Tyrell zamrugał oczyma, próbując przyzwyczaić wzrok do padającego przez okna jaskrawego światła słonecznego. - Gdzie jest Roger?

- W sąsiednim łóżku - odparł Martin. - W pewnym sensie zarekwirowaliśmy tę willę. Powiedzieliśmy w recepcji, że zobaczyliśmy, jak wpełza tu cała rodzina węży.

- Na Gordzie nie ma węży.

- Ale oni o tym nie wiedzą, stary - stwierdził Mickey. - To w większości nieudaczniki z Londynu.

- A gdzie Cooke i Ardisonne? Ci faceci, którzy nas uśpili?

- Tutaj, Tye - Martin wskazał ręką dwa fotele z wysokimi oparciami, stojące po drugiej stronie pokoju. Przywiązani do nich

Geoffrey Cooke i Jacques Ardisonne siedzieli z ustami zatkanymi zwiniętymi ręcznikami. - Powiedziałem Mickowi, że musiałem zrobić to, co zrobiłem, bo tak kazał mi cholerny rząd, ale nie było żadnych poleceń na później. Nie spuszczaaliśmy cię z oka. I gdyby te sukinsyny zrobiły ci jakąś prawdziwą krzywdę, pływałyby teraz jako przynęta koło Wyspy Rekinów.

- A więc nie było żadnej awarii silnika?

- Jasne, stary. Główna szacha z Urzędu Gubernatora wezwała mnie osobiście i zapewniła, że działa dla twojego dobra.

Nieźle, co?

- Jak cholera - przytaknął Hawthorne, unosząc się na łóżku i spoglądając na byłych przyjaciół.

- Hej, mon! - Z łóżka, na którym leżał Roger, rozległ się zduszony okrzyk. Głowa barmana miotała się po poduszce.

- Sprawdź go, Marty - polecił Tyrell, opuszczając nogi na podłogę.

- Jest w porządku - oświadczył Mickey, klękając przy czarnym mężczyźnie. - Poprosiłem starego Franca, żeby się przyznał, co wam zrobił. Miał do wyboru: albo śpiewać, albo nosić jaja w pudełku. Przysięgał, że to przestaje działać po pięciu-sześciu godzinach.

- Sześć godzin minęło, Mick. Właśnie zaczyna się następne sześć.

Kobieta pomogła młodemu człowiekowi zabezpieczyć kadłub jachtu, owijając cumę wokół kamienia sterczącego z muru ochronnego tuż za niewielką plażą i osłoniętego mnóstwem lian i płożącego się listowia.

- Teraz nie odpłynie - powiedziała, przyjrzawszy się łodzi. - Zresztą to nie ma znaczenia. Nadaje się już tylko na podpałkę.

- Jesteś wariatka! - Umieśniony wyrostek zaczął zdejmować z pokładu leżącego na plaży jachtu nieliczne bagaże, w tym również karabin. - Gdyby nie łaska Chrystusa, moglibyśmy już nie żyć i nasze ciała znajdowałyby się na dnie morza.

- Weź karabin i zostaw resztę - poleciła Bajaratt. - Nie będziemy tego potrzebowali.

- Skąd wiesz? Gdzie jesteśmy? Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo musiałam.

- To żadna odpowiedź!

- No cóż, moje kochane dziecko, chyba masz do niej prawo.

- Mam prawo? Trzy dni, w czasie których nie wiedziałem, czy ocaleję, czy zginę, i umierałem ze strachu? Tak, sądzę, że mam prawo.

- Och, daj spokój, nigdy nie było aż tak źle, jak sądzisz. Nie wiedziałeś, że przez cały czas byliśmy w odległości zaledwie dwustu - trzystu metrów od brzegu i zawsze na zawietrznej.

Oczywiście, nie miałam wpływu na pioruny.

- Wariatka! Jesteś wariatka!

- Niezupełnie. Nie tak dawno żeglowałam po tych wodach niemal przez dwa lata. Znam je bardzo dobrze.

- Dlaczego to zrobiłaś? - powtórzył. - Przecież mogliśmy zginąć! I dlaczego zastrzeliłaś tę czarną kobietę?

Bajaratt wskazała ręką zwłoki.

- Weź jej broń. Przyptyw sięga do połowy tego muru ochronnego. W nocy woda zabierze ciało w morze.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie!

- Ustalmy jedno, Nico. Masz prawo wiedzieć tylko tyle, ile będę miała ochotę ci powiedzieć. Ocaliłam ci życie, młody człowieku, i ponosząc duże wydatki, ukrywałam przed portowymi bandziorami, którzy zabiliby cię przy pierwszej okazji. Potem zdeponowałam dla ciebie w Banco di Napoli wiele milionów lirów. Z tych właśnie powodów mam prawo zachować w tajemnicy wszystko, o czym nie chcę z tobą mówić... Weź broń.

- O mój Boże - szepnął młody człowiek, pochylając się nad ubranymi na biało zwłokami kobiety. Z grymasem obrzydzenia wyjął z zaciśniętej ręki pistolet. Drobniutkie fale omywały twarz zabitej.

- Nie ma tu nikogo innego?

- Nikogo, z kim należałoby się liczyć. - Kobieta spojrzała na fortecę, czując, jak napływają wspomnienia. - Tylko niedorozwinięty ogrodnik, który zajmuje się sforą mastiffów, ale łatwo nim pokierować. Właściciel wyspy jest moim dobrym przyjacielem, starym człowiekiem wymagającym opieki medycznej. Obecnie znajduje się w Miami na Florydzie, na radioterapii. Jeździ tam pierwszego dnia każdego miesiąca na pięć dni. To wszystko, co musisz wiedzieć. No, chodź, ruszamy tymi schodami w górę.

- Kim jest ten człowiek?

- Moim jedynym prawdziwym ojcem - Amaya Aquirre-Bajaratt odpowiedziała cicho, z rozmarzeniem, po czym zamilkła nagle. Kiedy tak szli z trudem przez plażę, Nicolò zrozumiał, że nie należy jej przeszkadzać w rozmyślaniach. O czym myślała? O

najszczęśliwszych dwóch latach życia zaprzedanego piekła. Padrone, vizioso elegante, był najbardziej podziwianym przez nią człowiekiem. Mając dwadzieścia cztery lata kontrolował kasyna w Hawanie - wysoki złotowłosy chłopak o lodowatych błękitnych oczach, wybrany przez donów z Palermo, Nowego Jorku i Miami. Nie bał się nikogo i miał strach wśród wszystkich, którzy przeciwstawili się jego woli. Niewielu się na to odważyło, a ci nieliczni śmiałkowie zniknęli bez śladu. Baj słyszała te historie - w Bekaa, Bahrajnie i Kairze.

Capo dei capi mafii wybrał go, uznawszy za najbardziej utalentowanego pomocnika od czasów Ala Capone, który władał amerykańskim miastem Chicago, mając zaledwie dwadzieścia siedem lat.

Śmiałe plany młodego padrone pokrzyżował jednak szalony Fidel, który zszedł z gór i zniszczył wszystko, w tym również Kubę, którą przysięgał ocalić.

Ale nic nie mogło powstrzymać złościgo vizioso elegante, przez niektórych nazywanego „Marsem Karaibów”. Udał się najpierw do

Buenos Aires, gdzie stworzył niedoścignioną organizację, współpracując oczywiście z generałami. Potem przeniósł się do Rio de

Janeiro, rozwijając się coraz bardziej, w sposób przekraczający najbardziej szalone marzenia swoich przełożonych. Prowadził działania ze swojej posiadłości o powierzchni ponad dziesięciu tysięcy akrów i handlował śmiercią na całym świecie. Zwerbował armię składającą się z byłych żołnierzy, specjalistów w sztuce zabijania, wyrzutków sił zbrojnych wielu krajów, i sprzedawał ich talenty za niesłychaną cenę. Jego towarem było zabójstwo, a w politycznie niestabilnym świecie popyt na tego typu usługi trwał bez przerwy. Donowie nazywali tę armię La nostra Legipne

Straniero i ryczeli ze śmiechu, popijając wino w Palermo, Nowym Jorku, Miami czy Dallas i zagarniając procent od każdego kosztownego zabójstwa. W rzeczywistości bowiem niewidzialna, milcząca armia padrone była ich własną Legią Cudzoziemską.

Tak było, dopóki wiek i choroba nie zmusiły padrone do wycofania się na tę niedostępną wyspę. Wtedy też w jego życiu pojawiła się nagle kobieta. Po drugiej stronie kuli ziemskiej, w cypryjskim porcie Yasilikos, Bajaratt została bardzo ciężko ranna. Polowała na grupę likwidacyjną wysłaną przez Mossad z zadaniem zabicia zlokalizowanego tam palestyńskiego bohatera, zawiadki, który później został jej mężem. Dowodząca kontratakiem

Baj zaskoczyła grupę przy brzegu. W swojej szybkiej łodzi, niczym królowa piratów, strzelała bez przerwy do schwytych w pułapkę

Izraelczyków, atakowała ich z flanki, oskrzydlała i wreszcie zepchnęła na mielizny, w światła reflektorów. Została przy tym czterokrotnie ranna w brzuch; pociski poszarpały jej wnętrzności tak, że życie ledwo się w niej tliło.

Zakonspirowany lekarz na Cyprze oświadczył wprost, że może jedynie ją opatrzyć, częściowo powstrzymując wewnętrzny krwotok.

Gdyby udało się poważnie ochłodzić organizm, można byłoby utrzymać ją przy życiu dzień lub dwa dni, ale bez poważnej operacji, i to z zastosowaniem najnowszej techniki chirurgicznej, umrze. Był jeszcze jeden problem. Żaden szpital czy zespół chirurgiczny dysponujący niezbędną aparaturą - ani w ogóle w cywilizowanej części basenu Morza Śródziemnego, ani w ogóle w Europie - nie udzieliłby pomocy rannej terrorystce, nie powiadamiając przy tym władz... A Związek Radziecki nie mógł już służyć jako miejsce schronienia.

Jednakże powtarzane seanse łączności z doliną Bekaa pozwoliły znaleźć wyjście. Nie było żadnej gwarancji, że Amaya przeżyje, ale istniała pewna szansa - jeżeli tylko przetrwa dwa, a jeszcze lepiej trzy dni. Na Karaibach mieszkał bowiem potężny pośrednik we wszystkich interesach - od narkotyków począwszy, przez szpiegostwo przemysłowe i wojskowe po niezwykle transporty broni.

Często pracował z Bekaa, a także dla niej, inwestując grubo ponad dwa miliardy dolarów w przedsięwzięcia na całym Bliskim Wschodzie. Nie mógł odmówić Radzie Najwyższej. Nawet on by się na to nie odważył.

Mimo wszystko jednak przez kilka godzin próbował się wykręcać. Ale słynny bojownik o wolność, któremu Bajaratt ocaliła życie, nie chciał słyszeć o odmowie. Przysiągł, że jeśli człowiek z Karaibów odmówi, wszystkie sztylety z doliny Bekaa, a przede wszystkim jego własny, poderzną gardła niewdzięcznego pośrednika i jego sojuszników, gdziekolwiek by się znajdowali.

Na wpół żywą Baj przewieziono więc samolotem do Ankary, stamtąd zaś wojskowym transportowym odrzutowcem na Martynikę, gdzie umieszczono ją w dwusilnikowym wodnopłatawcu.

Jedenaście godzin po opuszczeniu Cypru znalazła się w porcie na nie zaznaczonej na mapie wyspie padrone. Zespół chirurgów z Miami, utrzymujący stałą łączność z lekarzem na Cyprze, już na nią czekał. Ocalono jej życie, a padrone nie szczędził wydatków na leczenie.

Gdy Bajaratt i Nicolo podeszli do kamiennych schodów prowadzących do ufortyfikowanej posiadłości, Baj roześmiała się mimowolnie.

- O co chodzi? - zapytał ostrym tonem Nico. - Nie widzę tu nic śmiesznego.

- Nic ważnego, mój uwielbiany Adonisie. Po prostu przypominałam sobie pierwsze dni, które tu spędziłam. Nie zacieka cię to... No, chodź, te schody są męczące, ale bieganie po nich w górę i w dół wspaniale pozwala odzyskać siły.

- Nie potrzebuję takich ćwiczeń.

- A ja kiedyś - tak. - Gdy zaczęli iść pod górę, przypomniła sobie, jak wyglądały pierwsze tygodnie spędzone u padrone, i znowu zachciało jej się śmiać. Początkowo, kiedy mogła się już poruszać, chodzili wokół siebie jak dwa podejrzliwe koty. Amayę oburzał luksus, na jaki sobie pozwalał, jego zaś irytowało jej wtargnięcie w ten wygodny świat. A potem, zupełnie przypadkowo, weszła do kuchni w chwili, gdy wyrażał niezadowolenie z powodu cannelloni

Sambuca Florentine, przygotowanego przez kucharkę - tę samą, która teraz leżała martwa na brzegu. Bardzo przepaszając służącą, Bajaratt przygotowała je po swojemu. Zasmakowały nieprzyjemnemu właścicielowi wyspy. Potem były szachy. Padrone uważał się za mistrza, ale młoda kobieta zwyciężyła go dwukrotnie, a potem, w zupełnie niedwuznaczny sposób, dała mu wygrać.

Zdał sobie z tego sprawę i ryknął śmiechem, doceniając jej uprzejmość.

- Jesteś uroczą kobietą - oznajmił. - Lecz nie rób tego nigdy więcej.

- W takim razie będę wygrywała z panem za każdym razem i będzie pan zły.

- Nie, moje dziecko. Będę się od ciebie uczył. Na tym polegało moje życie. Uczyłem się od każdego... Kiedyś chciałem być wielkim gwiazdorem filmowym, wierząc, że producenci zachwycą się moją sylwetką i złocistymi włosami. I wiesz, co się stało? Mniejsza o to, powiem ci. Rossellini obejrzał próbne zdjęcia, które wykonałem dla

Cinecitta w Rzymie, i zgadnij, co orzekł...? No, dobrze, przyznam się. Powiedział, że w moich błękitnych oczach jest brzydota, zło, którego nie potrafi wytłumaczyć. Miał rację - zająłem się czym innym.

Od tej nocy wiele godzin spędzali wspólnie, jak równy z równym, odkrywając nawzajem swoje obsesje i doceniając geniusz rozmówcy.

Wreszcie, gdy pewnym późnym popołudniem siedzieli na werandzie, patrząc na purpurowe słońce, padrone rzekł:

- Jesteś córką, której nigdy nie miałem.

- Jesteś moim jedynym ojcem - odparła Bajaratt.

Kiedy dotarli do szczytu schodów, Nicolo - idący krok przed

Baj - podał jej rękę. Wyłożona kamieniami ścieżka prowadziła do potężnych rzeźbionych drzwi o grubości przynajmniej siedmiu centymetrów.

- Chyba są otwarte, Cabi.

- Owszem - przytaknęła. - Hectra musiała się spieszyć i zapomniała je zamknąć.

- Kto?

- Nieważne. Daj mi karabin. Przyda się, jeżeli psy są spuszczone. - Podeszli do na wpół przymkniętych wrót. - Otwórz je, Nicolo - rozkazała.

Nagle, gdy znaleźli się w wielkim holu, znikąd, a zarazem ze wszystkich stron rozległy się gwałtowne eksplozje. Wystrzały potężnych strzelb o krótkich lufach odbijały się echem od kamiennych ścian, kiedy Bajaratt i chłopak rzucili się na marmurową posadzkę. Amaya zaczęła strzelać bez przerwy - znowu wszędzie i nigdzie - tak długo, aż skończyły się jej naboje. A potem, wśród kłębow dymu unoszących się ku wysokiemu sufitowi, zapadła nagła cisza i oboje zorientowali się, że są cali i zdrowi. Unieśli głowy i zobaczyli, że dym znika w promieniach zachodzącego słońca, padającego słupami przez maleńkie okna. Żyli, choć żadne z nich nie wiedziało, dlaczego. Wreszcie w rzedniejącym dymie pojawiła się postać starego człowieka w wózku inwalidzkim. Jechał ku nim od strony niszy w przeciwległej ścianie holu. Na półokrągłym balkonie nad spiralnymi schodami stali dwaj mężczyźni, uzbrojeni w ulubiony sycylijski sprzęt - lupary, czyli dubeltówki z obciętą lufą. Uśmiechali się. Strzelali ślepą amunicją, nabojami pozbawionymi śmiertelności zawartości.

- Ojej, Annie! - zawołał słabym głosem mężczyzna na wózku.

Mówił po angielsku, choć z lekkim obcym akcentem. - Nigdy nie przypuszczałem, że mogłabyś to zrobić.

- Przecież powinieneś być w Miami. Zawsze w tych dniach jesteś w Miami! Na zabiegach!

- Daj spokój, Baj, cóż mi one mogą pomóc? Ale zabicie twojej starej przyjaciółki Hectry, która przed pięcioma laty opiekowała się tobą, nie było zbyt ładne... A skoro już o tym mowa, jesteś mi winna kobietę równie lojalną jak ona. Może ty nią zostaniesz...?

Bajaratt wstała powoli z posadzki.

- To miejsce jest mi potrzebne na kilka dni i nikt, nikt, nawet

Hectra, nie mógł wiedzieć, gdzie jestem i co robię ani kogo mam zamiar spotkać. Masz radio, łączność satelitarną... Sam mi pokazywałeś!

- Powiedziałaś, że nikt nie wie, co robisz albo, ściślej mówiąc, co masz zamiar zrobić. Czy sądzisz, że ta pożałowania godna postać przed tobą postradała rozum, zanim utraciła siły? Zapewniam cię, że nie. Podobnie jak nie straciłem moich znajomych w Bekaa, we francuskim Deuxieme, wspomniałem MI-6 i wśród ich nieco mniej wspaniałych amerykańskich kolegów. Wiem dokładnie, jakie masz zamiary... Muerte a toda autoridad, czyż nie tak?

- To moje życie. Niewątpliwie koniec mojego życia, ale zrealizuję wszystko, padrone.

- Tak. Rozumiem. Bez względu na to, jak wiele bólu zadamy, każde z nas może go znieść tak niewiele. Współczuję ci z powodu twojej straty, Annie, ostatniej straty poniesionej w Aszkelonie.

Słyszałem, że był wspaniałym mężczyzną, prawdziwym przywódcą zdecydowanym i nieustraszonym.

- Bardzo mi ciebie przypominał, padrone. Takiego, jakim byłeś w jego wieku.

- Mam wrażenie, że był jednak nieco większym idealistą.

- Mógł tak wiele osiągnąć, zostać, kimkolwiek by chciał, lecz świat mu przeszkodził.

Tak samo jak mnie. Rzeczy, nad którymi nie panujemy, panują nad nami.

- Masz rację, córko. Chciałem być gwiazdorem filmowym, czy ci o tym mówiłem?

- Tak, i byłbyś wspaniały, mój jedyny prawdziwy ojciec odparła Bajaratt. - Ale czy pozwolisz mi spełnić ostatnią misję mego życia?

- Tylko z moją pomocą, moja jedyna prawdziwa córko. Ja również chcę, aby zginęli ci, którzy panują, oni bowiem uczynili z nas to, czym jesteśmy... Chodź i obejmij mnie jak dawniej. Witaj w domu.

Kiedy Bajaratt uklękła i wyciągnęła ręce do siedzącego w wózku inwalidzkim kaleki, starzec wskazał na młodego człowieka, który wciąż leżał skulony na marmurowej posadzce i zafascynowany obserwował całą scenę przerażonymi oczyma.

- Kto to taki, u diabła? - zapytał.

- Nazywa się Nicolo Montavi i stanowi najistotniejszą część mojego planu - szepnęła Baj. - Zna mnie jako signorę Cabrini i nazywa Cabi.

- Cabrini? Jak ten ukochany amerykański święty?

- Naturalmente. Dzięki bowiem mojej akcji stanę się drugą amerykańską świętą, czyż nie?

- Złudzenia wymagają wielkiej ilości rumu i obfitego posiłku.

Dopilnuję tego.

- Pozwolisz mi działać, prawda, padrone?

- Oczywiście, że tak, moja córko, ale tylko z moją pomocą.

Zabójstwo takich ludzi... Świat ogarnie lęk i panikę. Będzie to nasz ostateczny manifest przed śmiercią!

ROZDZIAŁ 3

Karaibskie słońce paliło ziemię, skały i piasek wyspy Virgin

Gorda. Była jedenasta, preludium żaru południa, i klienci Tyrella

Hawthorne'a chronili się pod strzechą baru na plaży, robiąc wszystko, co możliwe, aby zwalczyć mdłości. Kiedy dowiedzieli się od swojego kapitana, że nie zdołają wypłynąć wcześniej niż po południu, rozległy się cztery zgodne westchnienia ulgi. Jednocześnie bankier z Greenwich w stanie Connecticut wcisnął mu do ręki trzy studolarowe banknoty, jęcząc błagalnie:

- Postaraj się pan, żeby to było dopiero jutro.

Tyrell wrócił do willi, gdzie Mickey pilnował Cooke'a i Ardisonne'a, Marty tymczasem miał oko na port. Obaj intruzi siedzieli rozebrani do szortów - ich ubrania złożono w hotelowej pralni.

Hawthorne zatrzasnął drzwi i odwrócił się do mechanika:

- Mick, zrób mi tę grzeczność, skocz do baru i przynieś dwie butelki Montrachet Grand Cru... Albo nie - dwie butelki białego wina, może być nawet Thunderbird.

- Z którego roku? - zapytał Ardisonne.

- Z ubiegłego tygodnia - odparł Tyrell. Mickey wyszedł szybko, a Tyrell ciągnął dalej:

- No dobra, panowie tajni agenci, bierzmy się do dzieła, jak powiadają Anglicy.

- Nie jesteś wcale śmieszny - rzekł Cooke.

- Och, to naprawdę wspaniałe, kiedy wy, Europejczycy, wyłaniacie się z waszych zamglonych wąskich uliczek i ubrani w nieśmiertelne trencze snujecie się po dzielnicach portowych, ale czemu nie spojrzycie prawdzie w oczy? Wyparła was technika, tak samo jak pokonała mnie. Przekonałem się o tym w Amsterdamie, chyba że wszyscy oni kłamali na własną rękę, ale to raczej niemożliwe. Wszyscy byli zaprogramowani - rób i mów, jak ci każą maszyny, tylko tyle!

- Nieprawda, mon ami. Mówiąc szczerze, nie najlepiej radzimy sobie z tą techniką. Należymy do starej szkoły, której metody wierz mi - wracają w sposób, jakiego sobie nawet nie wyobrażasz.

Komputery i ich modemy, satelity, fotografie z dużych wysokości, granice przekraczane przez sygnały radiowe i telewizyjne - wszystko to magnifique, ale cały ten znakomity sprzęt nie może nic powiedzieć o czynniku ludzkim. A my możemy... Ty też.

Spotykamy się z mężczyzną lub kobietą twarzą w twarz i nasz wzrok, nasz instynkt mówią nam, czy on lub ona są wrogiem, czy nie. Maszyny tego nie potrafią.

- Czyżby ten wykład miał mnie przekonać, że nasze połączone średniowieczne metody doprowadzą do odnalezienia tej smoczej damy, Bajaratt, szybciej niż wysłanie faksem jej fotografii, rysopisu i wszystkiego, co mamy od zakonspirowanych agentów znajdujących się na mniej więcej pięćdziesięciu zamieszkanym wyspach? Jeżeli tak, mogę jedynie uznać, że powinieneś natychmiast przejść na emeryturę.

- Sądzę, że Jacques chciał powiedzieć - wtrącił Cooke - iż nasze doświadczenie, połączone z dostępną technologią, może być bardziej skuteczne niż jeden element bez drugiego.

- Dobrze powiedziane, mon ami. Ta psychopatka, ta morderczyni, ma dobry umysł, no i środki.

- Według Waszyngtonu nie jest również pozbawiona sporej porcji nienawiści, kołaczącej się w tym umyśle.

- Co z całą pewnością nie może usprawiedliwić tego, co zrobiła, ani tego, co - nie daj Boże - ma zamiar zrobić oświadczył stanowczo agent z MI-6.

- Oczywiście, że nie - przytaknął Hawthorne. - Zastanawiam się jednak, kim mogłaby być dzisiaj, gdyby przed wieloma laty ktoś jej dopomógł... Słodki Jezu, widzieć, jak obcinają głowy matce i ojcu! Sądzę, że gdyby to się zdarzyło mojemu bratu i mnie, obaj bylibyśmy takimi samymi zabójcami jak ona.

- Utraciłeś żonę, którą bardzo kochałeś, Tyrell - zauważył Cooke - ale nie zostałeś zabójcą.

- Nie, nie zostałem - zgodził się z nim Hawthorne. - Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że nie myślałem o zabiciu paru osób. I nie tylko myślałem, ale nawet w kilku przypadkach planowałem to zrobić.

- Jednakże nie zrealizowałeś tych planów.

- Tylko dlatego, że mi pomagano... Możesz mi wierzyć: tylko dlatego, że ktoś mnie powstrzymał. - Tyrell spojrział przez okno na morze. Nieprzerwany ruch fal zahipnotyzował go na chwilę. Tak, był ktoś, w kim znalazł oparcie. Boże, jak mu jej brakowało! Kiedy się upił, mógł jej opowiadać o swoich planach likwidacji tego czy tamtego, a nawet posuwał się tak daleko, że otwierał zamknięte szuflady na łodzi i w pijackim oszołomieniu pokazywał jej scenariusze, szkice ulic i budynków, założenia taktyczne odebrania życia tym, którzy spowodowali śmierć jego żony. Dominique podtrzymywała go, gdy pijany chwiały się na nogach, i szeptała mu do ucha, że czyjaś śmierć nie przywróci życia umarłym, jedynie sprawi

ból wielu innym ludziom, którzy nie mieli nic wspólnego z Ingrid Johansen-Hawthorne. Rankiem znowu była przy nim, rozwiewając łagodnym śmiechem wyrzuty sumienia z powodu kaca, a jednocześnie dalej uświadamiając mu, jak szalone i niebezpieczne są jego fantazje. Chciała, aby żył.

Chryste, kochał ją! I kiedy odeszła, whisky również zniknęła z jego życia. Może to była kolejna fantazja, ale niejednokrotnie zastanawiał się, czy zostałaby z nim, gdyby wcześniej rzucił ostre picie?

- Przepraszam za nasze natręctwo - odezwał się Ardisonne.

Cooke i on poczuli się zakłopotani nagłym milczeniem Hawthorne.

- Nie jesteście natrętni. Po prostu pomyślałem o pewnych osobistych sprawach.

- Jak więc brzmi twoja odpowiedź, kapitanie? Wyznaliśmy wszystko, nawet przeprosiliśmy za to, co zrobiliśmy ubiegłej nocy, chociaż wówczas uważaliśmy nasze działania za słuszne. Kiedy w środku nocy barman w pustej knajpie patrzy na człowieka z niechęcią i schyla się pod kontuar... No cóż, Jacques i ja znamy wyspy.

- Dobrze was rozumiem, ale zdecydowanie przesadziliście.

Powiedzieliście, że musimy natychmiast porozmawiać i że sprawa jest pilna. A mimo to wyłączyliście mnie niemal na sześć godzin.

Tyle, jeżeli chodzi o pilność tej sprawy.

- Nasze środki nie były przeznaczone dla ciebie ani dla twojego przyjaciela barmana - wyjaśnił Ardisonne. - Szczerze mówiąc, myśleliśmy o kimś innym.

- O kim?

- Tyrell, nie bądź naiwny. Dolina Bekaa ma powiązania z całym światem i tylko najbardziej niewinni wierzą, że w naszych służbach nie ma w takim czy innym wydziale skorumpowanych ludzi. Dwadzieścia tysięcy funtów może zawrócić jakiemuś urzędnikowi w głowie.

- Sądziłeś, że was przechwycą?

- Nie mogliśmy wykluczyć takiej ewentualności, mój stary, dlatego wszystkie materiały o Bajaratt mieliśmy wyłącznie w głowach. Nic na piśmie - żadnych fotografii, akt czy dokumentów.

Gdyby jednak ktoś otrzymał jakąś informację i próbował nas zatrzymać w Paryżu, Londynie czy na Antiqui, potrafilibyśmy go powstrzymać.

- A więc znowu w swoich trenczach wędzycie po ciemnych zaułkach?

- Dlaczego mielibyśmy rezygnować z tajemnicy i ukrytej broni? W czasie zimnej wojny nie raz przecież uratowały ci życie, czyż nie?

- Może raz albo dwa, nie więcej. I cholernie starałem się nie zostać paranoikiem. Przed Amsterdamem wszystko było dość banalne. Kogo możecie zmienić i jakim kosztem?

- Żyjemy obecnie w innym świecie, kapitanie, i nie mamy jak dawniej - tego luksusu, żeby znać naszych wrogów. To już inna rasa. Nie są to agenci czy podwójni agenci ani wtyczki z tej czy innej strony, które należy dekonspirować. Ich czasy już minęły.

Kiedyś może znowu o nich wspomnimy i uświadomimy sobie, jacy byli nieskomplikowani. Cóż, w końcu nasze sposoby rozumowania nie różniły się aż tak bardzo. Ale teraz wszystko się zmieniło. Już nie mamy do czynienia z ludźmi, których mechanizmy myślenia są podobne do naszych. Teraz spotykamy się z nienawiścią - nie władzą czy wpływami geopolitycznymi, ale z czystą, pierwotną nienawiścią. Pokrzywdzeni całego świata buntują się, ich odwieczne zawiedzione nadzieje eksplodują, zaczyna dominować ślepa pomsta.

- Brzmi to dramatycznie, Geoff. Sądzę jednak, że wyolbrzymiasz sprawę. Waszyngton wie o tej kobiecie i dopóki nie zostanie wyeliminowana, prezydent będzie unikał sytuacji, które mogłyby zagrażać jego bezpieczeństwu. Zakładam, że tak samo będzie w Londynie, Paryżu i Jerozolimie.

- Któż jest w pełni bezpieczny?

- Oczywiście, że nikt, ale musiałaby być cholerną fantastką, żeby stawić czoło armiom strażników i najbardziej wyrafinowanemu na świecie wyposażeniu zabezpieczającemu. Z tego, co powiedziano mi w Waszyngtonie, każdy ruch Gabinetu Owalnego jest pod kontrolą. Żadnych wyjść, żadnych tłumów wszystko w warunkach domowych i w pełnej izolacji. A więc, powtarzam po raz któryś z rzędu, po co, u diabła, jestem wam potrzebny?

- Dlatego, że ona jest illusionniste - oświadczył Ardisonne. Wymknęła się Deuxieme, MI-6, Mossadowi, Interpolowi i każdej służbie wywiadowczej czy kontrwywiadowczej, jaka ci przyjdzie do głowy. Ale w końcu wiemy, że jest w określonym rejonie, w sektorze, który można sprawdzić za pomocą wszelkich dostępnych nam środków technicznych. A później dojdzie czynnik ludzki - obława, poszukiwania prowadzone przez doświadczonych myśliwych, którzy znają obecne terytorium zwierzyny, zaułki, doki - wszystko.

Hawthorne przyglądał się obu mężczyznom w milczeniu.

- Załóżmy, że na określonych warunkach zgodzę się wam pomóc - oznajmił wreszcie.

- Od czego powinniśmy zacząć?

- Od technologii, którą tak wysoko sobie cenisz - odparł

Cooke. -- Każda placówka wywiadowcza NATO i wszystkie władze policyjne na całym Karaibach mają portrety pamięciowe

Bajaratt i młodego człowieka, z którym podróżuje.

- O, to wspaniale! - roześmiał się sarkastycznie Tyrell. Zarządziliście ogólny alarm na wyspach i czekacie na odpowiedź?

Jestem wstrząśnięty, panowie. Myślałem, że znacie wszystkie zaułki i dzielnice portowe.

- O co ci chodzi? - zapytał wcale nie rozbawiony Ardisonne.

- O to, że macie zaledwie trzydzieści procent szansy na uzyskanie jakichkolwiek informacji od kogoś, kto ich zobaczy, bez względu na to, czy będzie to osoba urzędowa, czy nie. Jeżeli ktoś się na nich natknie, nie przybiegnie do was, ale powędruje do tej damy i za parę tysięcy dolarów zamknie gębę na kłódkę. Zbyt długo was tu nie było, panowie, to już nie jest Kraina Oz. Oprócz nielicznych miejsc takich jak to, na każdej wyspie panuje bieda z nędzą.

- A co ty byś zrobił na naszym miejscu? - zapytał Cooke.

- Zacząłbym od najważniejszego - odparł Hawthorne. Powiedziałeś, że ta kobieta ma dostęp do banków znajdujących się poza kontynentem, i to jest wasz klucz. Nikt tu nie dostarczy dużej sumy pieniędzy obcemu, chyba że bezpośrednio - z rąk do rąk. Musicie zwrócić uwagę na wyspy, gdzie istnieją takie instytucje; to pozwoli wam ograniczyć ich liczbę do stu dwudziestu pięciu. Obydwaj poznaliście większość z nich, jeżeli nie wszystkie, w czasie waszych tutejszych wędrówek. Dotrzyjcie do kapusiów z dużą forszą w kieszeni i zmuście ich, aby to oni weszli w układy z władzami. Kuchenne wejście jest o wiele skuteczniejsze niż drzwi frontowe. Dziwię się, że muszę wam o tym mówić.

- Twoje rozumowanie jest bez zarzutu, ale obawiam się, że nie mamy wystarczająco dużo czasu. Paryż uważa, że Bajaratt pobędzie tu przynajmniej do dwóch tygodni, natomiast Londyn sądzi, że o wiele krócej - najwyżej pięć do ośmiu dni.

- W takim razie straciliście dżokeja tuż za maszyną startową.

Już przegraliście swój wyścig. Znalazła się poza waszą siecią.

- Niekoniecznie - odparł Richelieu.

- Za strategię odpowiedzialny jest Londyn - wyjaśnił

Cooke. - I wcale nie przeoczyliśmy korupcji, o której wspomniałeś. Do rozkazu o alarmie dołączono aneks, którego bynajmniej nie należy lekceważyć. Rządy Anglii, Francji i Stanów

Zjednoczonych wyznaczyły po milionie dolarów nagrody za informację, która doprowadziłaby do ujęcia zbiegów. Natomiast w razie zatajenia takiej wiadomości grozi niezwykle surowa kara.

Hawthorne gwizdnął.

- O rany - powiedział cicho. - Propozycja nie do odrzucenia.

Albo dwa miliony dolarów, albo kula w łeb w którymś z tych ciemnych zaułków.

- Otóż to - przytaknął weteran MI-6.

- Ukradliście pomysł staremu NKWD. Nawet KGB było sympatyczniejsze.

- Oj, nie. To sięga czasów Boewulfa. Bardzo skuteczne.

- Czas, Tyrell! - oznajmił Ardisonne. - Musimy działać szybko.

- Kiedy zarządzono alarm? Rysopisy?

Cooke spojrzął na zegarek.

- Mniej więcej sześć godzin temu, o piątej zero, zero czasu

Greenwich.

- Centrala operacji?

- Chwilowo Tower Street w Londynie.

- MI-6 - mruknął Hawthorne.

- Wspomniałeś o „określonych warunkach”, Tyrell - stwierdził Cooke. - Czy możemy przyjąć, że przyłączysz się do nas w interesie ogólnoświatowej równowagi?

- Nie możecie niczego przyjąć. Wcale nie kocham dupków, którzy rządzą tą planetą. Jeżeli chcecie, żebym wszedł do gry, musicie zabulić, bez względu na to, czy ich załatwię, czy nie. I to z góry.

- To nie krykiet, stary...

- Nie gram w krykieta. Jeśli mój brat i ja mamy rzeczywiście wejść do interesu, musimy mieć jeszcze dwie łodzie - używane, ale dobre, klasy A. Kosztują po siedemset pięćdziesiąt od sztuki, razem półtora miliona. Przelew na mój bank na Saint T. do jutra rana.

Wczesnie rano.

- Czy to nie za dużo?

- Za dużo? Przecież gotowi jesteście zapłacić dwa miliony informatorowi, który przypadkowo się natknie na tę Bajaratt i chłopaka, no nie? Daj spokój, Geoffrey. Płać albo jutro o dziesiątej rano wypływam na Tortolę.

- Cenisz się, Hawthorne.

- No to daj sobie spokój i płynę na Tortolę.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Z drugiej jednak strony zastanawiam się, czy jesteś wart tych pieniędzy.

- I się nie dowiesz, dopóki nie zapłacisz.

Centralna Agencja Wywiadowcza, Langley, Wirginia

Szpakowaty Raymond Gillette, dyrektor CIA, wpatrywał się w siedzącego przed biurkiem umundurowanego oficera marynarki z mieszaniną szacunku i obrzydzenia.

- MI-6 przy pewnej pomocy Deuxieme dokonało czegoś, czego pan nie zdołał, komandorze - oznajmił cicho. - Zwerbowali

Hawthorne'a.

- Próbowaliśmy - odparł komandor Henry Stevens, szef wywiadu marynarki wojennej. Jego ostry ton bynajmniej nie wskazywał na chęć usprawiedliwiania się. Wyprostował szczupłe ciało pięćdziesięciolatka, jakby chcąc w ten sposób podkreślić swoją fizyczną przewagę nad tęgim dyrektorem Agencji. - Hawthorne był naiwniakiem pierwszej klasy i nigdy nie przyjął tego faktu do wiadomości. Mówiąc otwarcie, był cholernym durniem i nie chciał nam uwierzyć, kiedy przedstawiliśmy mu niezbite dowody.

- Na to, że jego szwedzka żona była sowiecką agentką albo przynajmniej płatną informatorką?

- Właśnie.

- Jakie dowody?

- Nasze. Starannie udokumentowane.

- Przez kogo?

- Przez miejscowe źródła. Potwierdzili je wszyscy.

- W Amsterdamie - powiedział Gillette i było to stwierdzenie, a nie pytanie.

- Tak.

- Czytałem pańskie dokumenty.

- W takim razie zorientował się pan, jak niepodważalne są te dane. Była pod stałą obserwacją. Chryste, wyszła za mąż za wysokiego rangą tajnego funkcjonariusza wywiadu marynarki dwa miesiące po pierwszym spotkaniu. Widziano ją, sfotografowano, jak jedenastokrotnie wchodziła o jedenastej w nocy do ambasady sowieckiej tylnym wejściem! Czego jeszcze pan chce?

- Przychodzi mi do głowy weryfikacja danych. Na przykład przez nas.

- Robią to komputery tajnych akcji.

- Nie zawsze i jeżeli pan o tym nie wie, powinno się pana zdegradować do prostego marynarza.

- Nie muszę tego wysłuchiwać od cywila takiego jak pan.

- Lepiej jednak niech pan wysłucha tego ode mnie, czyli kogoś, kto docenia inne pańskie zasługi, bo w przeciwnym razie może się pan znaleźć na ławie oskarżonych, i to

zarówno sądu wojskowego, jak i cywilnego. Pod warunkiem, że przeżyłby pan dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Hawthorne dowiedziałby się prawdy.

- O czym, do cholery, pan mówi?

- Czytałem nasze akta żony Hawthorne'a.

- I co z tego?

- Rozesłał pan wiadomość i każdy agent w pańskiej amsterdamskiej siatce zaprzysiągłby pod paragrafem dwunastym WMW pełną anonimowość - że żona Hawthorne'a, tłumaczka z najwyższą klauzulą dostępu, pracowała dla Moskwy. Każdemu wbito w głowę dokładnie takie sformułowanie: „Ingrid Hawthorne była zdrajczynią NATO. Utrzymywała stałe kontakty z Sowietami”.

Bardzo mi to przypomina zepsutą płytę, zacinającą się w tym samym miejscu!

- To była prawda!

- To było kłamstwo, komandorze Stevens. Ingrid Hawthorne pracowała dla nas.

- Chyba pan zwariował. Nie wierzę!

- Niech pan przeczyta swoje akta... Doszedłem do wniosku, że - chcąc zachować czyste ręce - przekazał pan kłamstwo, które okazało się prawdą, fatalną prawdą. Za pośrednictwem wybranego agenta z powiązaniem w KGB poinformował pan, że pani Hawthorne jest podwójnym agentem, że jej małżeństwo jest prawdziwe i nie stanowi tylko taktycznego wybiegu, za jaki uważali je Sowietci. Zlikwidowali ją więc i wrzucili ciało do kanału

Heren. W ten sposób utraciliśmy wspaniałą wtyczkę, a Hawthorne żonę.

- O mój Boże! - Stevens wiercił się nerwowo w fotelu. Dlaczego, u diabła, nikt nas nie uprzedził? - Przerwał gwałtownie i wbił wzrok w Gillette'a. - Chwileczkę! Jeżeli mówi pan prawdę, to dlaczego nic nie powiedziała mężowi?

- Możemy się tylko domyślać. Pracowali w tej samej branży.

Wiedziała o nim, ale on nie wiedział o niej. W przeciwnym razie, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na które się naraża, zmusiłby ją do rezygnacji.

- Jak mogła to przed nim zataić?

- No cóż, zapewne skandynawska zimna krew. Niech pan popatrzy na ich tenisistów. Widzi pan - ona nie mogła przestać.

Jej ojciec zmarł w syberyjskim gułagu. Aresztowano go w Rydze za działalność antysowiecką, kiedy była jeszcze dzieckiem. Zmieniła nazwisko, stworzyła własną legendę, opanowała biegle rosyjski, a także francuski oraz angielski, i zaczęła pracować dla nas w Hadze.

- Niczego takiego nie mamy w naszej dokumentacji!

- Mogliście mieć, gdyby przed podjęciem decyzji sięgnął pan po słuchawkę. Była zarejestrowana poza systemem.

- Bzdura! Czy komukolwiek, u diabła, można ufać?

- Chyba dlatego właśnie siedzę na tym miejscu, młody człowieku - oznajmił Gillette. W jego wąskich, ukrytych pod grubymi powiekami oczach malowały się zarówno pogarda, jak i zrozumienie. - Jestem dość starym wyjadaczem z G-2 -w Wietnamie, gdzie sprawy były naprawdę cholernie popieprzone i tak paskudne, że w rezultacie zdobyłem znakomitą reputację. Prawdę mówiąc niezasłużenie, właściwie powinienem był stanąć przed sądem polowym. Dlatego wiem, jak do tego doszło, komandorze, choć nie jest to bynajmniej usprawiedliwieniem ani dla pana, ani dla mnie. Uważam jednak, że powinien się pan orientować w sytuacji.

- Jeżeli tak pan odczuwa, dlaczego przyjął tę pracę?

- Nazwał mnie pan cywilem i niewątpliwie ma pan zupełną rację. Jestem bardzo bogatym cywilem. Zarobiłem mnóstwo pieniędzy - częściowo dzięki tej właśnie niezasłużonej reputacji - kiedy więc zaproponowano mi tę pracę, uznałem, że nadszedł czas spłacania długów. Bardzo bym chciał nieco usprawnić tę szczególnie ważną dziedzinę sprawowania władzy... Może, aby naprawić własne dawne błędy.

- Zważywszy pańskie błędy, dlaczego sądzi pan, że ma odpowiednie kwalifikacje?

- Właśnie ze względu na te popełnione błędy. Tak się boimy o nasze tajemnice, że bardzo często nie przekazujemy sobie istotnych informacji - albo ich nie szukamy. Na przykład nie wydaje mi się, żeby powtórzył pan ten sam błąd co z Ingrid

Hawthorne.

- To nie był mój błąd! Sam pan przyznał, że nie była zarejestrowana w systemie!

- Podobnie jak osiemdziesięciu czy stu innych agentów. I co pan na to?

- Uważam, że to śmierdzi!

- W tym również parę tuzinów pańskich ludzi.

- Tak było, zanim objąłem moje stanowisko - odparł krótko oficer marynarki. - System nie działa, jeżeli się go lekceważy.

W tych komputerach są zainstalowane niezawodne procedury zabezpieczające.

- Niech pan nie mówi tego hackerom, którzy włamują się do komputerów Pentagonu. Mogą panu nie uwierzyć.

- Jedna szansa na milion!

- Mniej więcej taką samą ma plemnik, aby zapłodnić jajo, ale dziewięć miesięcy później rodzi się nowe życie. A pan zniszczył jedno życie, komandorze.

- Niech pana wszyscy diabli...

- Proszę sobie oszczędzić - oznajmił dyrektor CIA, unosząc dłonie. - Ta informacja nie wyjdzie poza obręb tego pokoju. Do pana wiadomości: popełniłem podobny błąd na szlaku Ho Chi

Minha - i ta wiadomość też nie powinna wydostać się poza ściany tego pomieszczenia.

- Czy już skończyliśmy?

- Jeszcze nie. Nie mogę panu wydać rozkazu, chciałbym jednak zasugerować, żeby dotarł pan jakoś do Hawthorne'a i udzielił mu wszelkiej niezbędnej pomocy. W odróżnieniu od nas ma pan ludzi na całych Karaibach - naszych przedstawicieli jest tam niewielu.

- Nie zechce ze mną rozmawiać - komandor odparł wolno, spokojnie. - Próbowałem już kilka razy. Kiedy tylko się zorientował, kto dzwoni, bez słowa odkładał słuchawkę.

- Rozmawiał z kimś od was, MI-6 to potwierdziło. Przyznał się ich człowiekowi, Cooke'owi na Virgin Gordzie, że wie o Bajaratt, o podjęciu maksymalnych środków ostrożności w Gabinecie Ovalnym i o tym, że prezydenta właściwie izolowano. A jeżeli nie pan mu to powiedział, to kto?

- Rzeczywiście dałem mu cynk - przyznał niechętnie Stevens. - Kiedy nie mogłem się z tym sukinsynem porozumieć, nadałem kilku jego znajomym, że jeśli któryś z nich uzna, iż może coś zyskać, niech przekaże Tyrellowi scenariusz.

- Tyrellowi?

- Zналиśmy się, może niezbyt dobrze, ale wypiliśmy raz i drugi po drinku. Moja żona pracowała w ambasadzie w Amsterdamie.

Przyjaźniły się z Ingrid.

- Czy podejrzewa pana o udział w zabójstwie swojej żony?

- Do diabła! Pokazywałem mu fotografie, ale przysiągłem, że nie mamy nic wspólnego z jej śmiercią. I faktycznie nie mieliśmy.

- Oprócz pana.

- W żaden sposób nie mógł tego wiedzieć. Poza tym Sowieci zostawili swój znak firmowy jako przestrożę dla innych.

- Ale przecież istnieje coś takiego jak instynkt, nieprawdaż?

- Czego pan ode mnie chce, dyrektorze? Nie mam już nic do dodania.

- Ponieważ zwerbowali go Brytyjczycy, niech pan niezwłocznie zwoła zebranie sztabowe i ustali, co możecie zrobić, żeby mu pomóc. - Gillette pochylił się nad biurkiem i napisał coś na kartce z bloczku. - Skoordynujcie działania z MI-6 i Deuxieme.

Ma pan tu dwóch ludzi, z którymi może się pan skontaktować.

Tylko z nimi i tylko bezpieczną linią. - Podał komandorowi kartkę.

- Na samej górze - zauważył oficer z wywiadu marynarki, zapoznawszy się z nazwiskami. - Jaki kod?

- „Krwawa Dziewczynka”... I proszę pamiętać: dopiero po połączeniu się bezpieczną linią.

- Wie pan - oznajmił Stevens, wstając z fotela i wkładając notatkę do kieszeni - mam wrażenie, jakbyśmy rzeczywiście działali historycznie. Przeżyliśmy już kilkadziesiąt takich alarmów z Bliskiego Wschodu wysyłano grupy likwidacyjne, psychopaci czyhali, by zastrzelić jakiegoś notabla na lotnisku, zamykaliśmy świrów, którzy pisali zwariowane listy... I w dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięciu dziesiątych procent wszystko okazywało się bzdurą. Aż tu nagle na naszych ekranach pokazuje się samotna kobieta podróżująca z wyrostkiem i w Jerozolimie, Waszyngtonie, Londynie i Paryżu zaczynają się urywać alarmowe dzwonki. Czy nie wydaje się panu, że to lekka przesada?

- Jak dokładnie zapoznał się pan z informacją, którą otrzymałem z Londynu i przekazałem panu?

- Bardzo dokładnie. To ogarnięta obsesją psychopatka, co jednak wcale nie znaczy, że jakaś super-Amazonka.

- Bo nią nie jest. Charakterystyczne postaci stanowią łatwiejsze cele, są bardziej widoczne. Bajaratt natomiast mogłaby równie dobrze być dziewczyną z sąsiedztwa w Centerville w Stanach, jak i próżną modelką w paryskim Saint-Honore czy wstydliwą szeregową w armii izraelskiej. Ona nie prowadzi do ataków, komandorze, ale je organizuje - na tym polega jej talent. Tworzy wydarzenia, a potem tak steruje ich uczestnikami, aby podążali prosto do wyznaczonych celów. Gdyby była Amerykanką i prezentowała inny sposób myślenia, być może siedziałaby teraz na moim miejscu.

- Czy mogę spytać...? - Oficer marynarki przestąpił z nogi na nogę i odetchnął głęboko. Jego twarz powoli nabierała czerwonego koloru. - Powiedział pan, że to, co zrobiłem, o Boże, to, co zrobiłem... nie wyjdzie poza ten pokój.

- Tak.

- Chryste, dlaczego...? - Oczy oficera były zamglone, drżał na całym ciele. - Dlaczego zabiłem żonę Tye'a?!

- Już po wszystkim, komandorze Stevens. Niestety, będzie pan z tym żył do końca swych dni, tak jak ja żyję przez trzydzieści lat od Ho Chi Minh. To nasza pokuta.

Marc Anthony Hawthorne - Marc-Boy, jak go nazywano w karaibskiej lingua franco. - przyleciał na Virgin Gorde, aby przejąć czarter brata. Pod wieloma względami był wiecznym młodszym bratem - nieco wyższym od wysokiego Tyrella, zdecydowanie szczuplejszym (chudym, prawdę mówiąc), o twarzy uderzająco podobnej, ale bez zmarszczek i beznamiętnych oczu starszego, bardziej doświadczonego Hawthorne'a. Był o siedem lat młodszy i choć od razu rzucało się w oczy, że uwielbia Tye'a, to jednak nietrudno również było się zorientować, iż często podaje w wątpliwość intelekt braciszka.

- Daj spokój, Tye! - oświadczył stanowczo, kiedy stali obaj o zmierzchu na pustym pokładzie. - Daj spokój tym pieprzonym sprawom! Nie możesz wrócić, nie pozwolę ci!

- Chciałbym, żebyś mógł mnie powstrzymać, braciszku, ale obawiam się, że nie zdołasz.

- O co, u diabła, tu chodzi? - Marc mruknął śpiwnie pod nosem. - Że marynarzem zostaje się na całe życie? Czy to chcesz powiedzieć?

- Wcale nie. Rzecz w tym, że mogę zrobić coś, czego oni nie mogą. Cooke i Ardisonne latali nad tymi wyspami, ja zaś wśród nich pływam. Znam każdą zatoczkę, każdy cypel - i ten umieszczony na mapach, i ten nie zarejestrowany. A ponadto prawie każdego przedstawiciela miejscowych władz przekupiłem dolarem czy pięćdziesięcioma.

- Ale dlaczego, na litość boską?

- Nie jestem pewien, Marc, być może jednak chodzi o coś, o czym wspomniał Cooke. Powiedział że są to „pokrzywdzeni całego świata”. Nie wrogowie, których znaleźliśmy poprzednio, lecz nowy gatunek, opętani fanatycy, ogarnięci pragnieniem zniszczenia wszystkiego, co zmusza ich do życia na śmietniku.

- To zapewne prawda z socjologiczno-ekonomicznego punktu widzenia, ale powtarzam: dlaczego ciebie wciągają w tę sprawę?

- Przecież ci mówiłem: mogę zrobić coś, czego oni nie są w stanie.

- To nie jest odpowiedź, lecz egoistyczne pseudousprawiedliwienie.

- Dobrze, mój bracie akademiku, spróbuję ci wyjaśnić.

Ingrid została zabita - z jakiegoś powodu, którego być może nigdy nie poznam. Wiem jednak, że nie możesz żyć z kobietą i nie zorientować się, że pragnie, aby przemoc ustała - w taki czy inny sposób. W tej chwili, muszę uczciwie to przyznać, nie wiem, po której była stronie, ale wiem, że pragnęła pokoju.

Trzymałem ją kiedyś w ramionach i nagle - ni stąd, ni zowąd zaczęła płakać. „Dlaczego nie może się to skończyć? Dlaczego wciąż trwa przemoc?” Potem, kiedy mi powiedzieli, że była sowiecką wtyczką... No cóż, wciąż nie mogę w to uwierzyć, ale jeżeli rzeczywiście nią była, to by ją w jakiś sposób usprawiedliwiało. Ona naprawdę pragnęła pokoju. Była moją żoną, kochałem ją i nie mogła mi skłamać, kiedy trzymałem ją w ramionach.

Zapadła cisza. Wreszcie cicho odezwał się Marc:

- Nie będę nawet próbował udawać, że rozumiem świat, w którym żyjesz. Bóg mi świadkiem, nie potrafię tego pojąć. Muszę cię jednak jeszcze raz zapytać, dlaczego naprawdę wracasz?

- Ponieważ chodzi tu o kogoś, kto reprezentuje coś potężniejszego, niż jesteśmy w stanie objąć naszym umysłem, i co musi zostać powstrzymane. Jeżeli dzięki znajomości kilku brudnych sztuczek zdołam wyeliminować tę psychopatkę, być może lepiej się poczuję wobec Ingrid. Bo takie właśnie brudne sztuczki doprowadziły do jej śmierci.

- Jesteś przekonujący, Tye - oświadczył Marc.

- Cieszę się, że tak uważasz. - Hawthorne spojrział na młodszego brata i trzepnął go lekko po ramieniu. - Dlatego że przez następny tydzień - albo i dłużej - ty będziesz prowadził interesy, co obejmie również wyszukanie dwóch nowych słupów klasy A. Z dużymi żaglami, dwumasztowych. Jeżeli znajdziesz taki na rynku za dobrą cenę, a mnie nie będzie pod ręką, wpłać za niego wadium.

- W jaki sposób? Papierkiem bez pokrycia?

- Dzięki moim obecnym pracodawcom pieniądze będą w naszym banku na Saint T. jutro rano.

- Cieszę się, że łączysz idealizm z realizmem.

- Są mi coś winni, i to nawet więcej, niż mogą zapłacić.

- A tymczasem, co zrobić w sprawie kapitana dla naszego czarteru? Mamy dwa zamówienia na poniedziałek.

- Zadzwoiłem do Barbie w Red Hook. Obejmie komendę.

Jej jacht ciągle jeszcze jest w remoncie po huraganie.

- Tye, wiesz przecież, że klienci nie czują się pewnie na jachtach dowodzonych przez kobiety!

- Powiedz jej, żeby robiła to samo, co robi zawsze, gdy ludzie przekonują się, że B. Pace nie oznacza Bruce'a czy Bena, ale Barbarę - niech daje w zęby swojemu stewardowi natychmiast, gdy wszyscy znajdą się na pokładzie.

- Ale im za to płaci.

- No to płąć, jesteśmy bogaci.

Nagle ciszę zmierzchu zakłócił dobiegający z parkingu za przystanią ryk silnika samochodowego, któremu towarzyszył przeraźliwy pisk opon. Po chwili rozległy się stłumione głosy Cooke'a i Ardisonne'a - wołali znajdujących się w warsztatach remontowych Marty'ego i Mickeya. W parę minut później Anglik i Francuz wbiegli na ścieżkę.

- Czy coś się stało? - spytał cicho Tyrell.

- Stało się! - zawołał Geoffrey Cooke, kiedy obaj zdyszani mężczyźni wbiegli na molo. - Właśnie wróciliśmy od gubernatora...

Cześć, Marc, obawiam się, że musimy porozmawiać z twoim bratem na osobności.

Człowiek z MI-6 odciągnął Hawthorne'a na lewy kraniec mola, a za nimi podążył Richelieu.

- Uspokój się - powiedział Tyrell. - Wciągnij powietrze i mów powoli.

- Nie ma czasu! - oznajmił Ardisonne. - Otrzymaliśmy cztery meldunki i każdy dotyczy kobiety z młodym człowiekiem!

- Na tej samej wyspie?

- Nie, na trzech, niech to diabli! - odparł Cooke. - Ale na każdej jest międzynarodowy bank.

- To znaczy, że dwa meldunki pochodzą z jednej wyspy.

- St. Croix, Christiansted. Na lotnisku czeka na nas samolot.

Biorę St. Croix.

- Dlaczego? - zaprotestował gniewnie Hawthorne. - Nie chcę cię urazić, Geoff, ale jestem młodszy i w zdecydowanie lepszej kondycji niż ty. Daj mi St. Croix.

- Nie widziałeś fotografii!

- Mówiłeś przecież, że przedstawiają trzy różne osoby, jaki więc z nich pożytek?

- Łatwo zapominasz, Tyrell. To wprawdzie dość nikła szansa, ale jedna z tych osób może być tą właściwą. Nie możemy tego zlekceważyć.

- Daj mi te zdjęcia.

- Musi je dostarczyć kurier. Virgin Gorda leży poza bezpiecznymi trasami. Z samego rana Deuxieme prześle je samolotem z Martyniki pocztą dyplomatyczną.

- Nie możemy tracić czasu - nalegał Ardisonne.

- Dam ci nazwiska naszych informatorów, Tyrell - oznajmił Cooke. - Weźmiesz St. Barthelemy, a Jacques sprawdzi

Anguille.

Hawthorne obudził się na wąskim łóżku w hotelu na wyspie St.

Barts, wciąż wściekły na Geoffreya Cooke'a, który wpakował go w sytuację z góry przegraną. Miejscowy informator, do którego dotarł za pośrednictwem lokalnego szefa bezpieczeństwa, bo do tej pory zajmował się narkotykami, był pospolitym chciwym cwaniaczkiem. Kiedy zobaczył, że z wodolotu z St. Martin schodzi leciwa niewiasta w towarzystwie młodzieńca, kierując się tak wątpliwymi przesłankami, ruszył po nagrodę w wysokości dwóch milionów dolarów. Babcia jednak okazała się mocno wymakijazowaną, niezmiernie niemiecką damą, której nie podobał się plebejski styl życia jej córki i zaproponowała wnukowi wspaniałą wycieczkę po wyspach.

- Niech to cholera! - eksplodował Hawthorne i sięgnął po słuchawkę, aby zamówić jakiegokolwiek śniadanie.

Tyrell szedł ulicami St. Barts, starając się jakoś zabić czas, zanim nadejdzie pora, aby zatrzymać taksówkę i pojechać na lotnisko, skąd samolot zabierze go z powrotem na brytyjską Gerdę. Nie miał żadnych zajęć, a nie cierpiał siedzieć samotnie w hotelu, gdzie pokoje przypominały więzienne izolatki, w których człowiek zaczyna się wściekać na samego siebie.

I wtedy to się stało. W odległości piętnastu metrów od niego przechodziła przez ulicę w kierunku Bank of Scotland kobieta, która ocaliła jego zdrowy rozsądek, a być może i życie. Była, jeżeli to w ogóle możliwe, jeszcze piękniejsza niż dawniej. Jej długie ciemne włosy, okalające uroczą opaloną twarz, sposób, w jaki szła, jej pewne ruchy kosmopolitycznej paryżanki, która nigdy nie odmówi odrobiny uprzejmości obcemu człowiekowi... Natychmiast powróciły wspomnienia i jej widok stał się czymś niemal nie do zniesienia.

- Dominique! - zawołał i roztrącając ludzi przebiegł przez ulicę w stronę kobiety nie widzianej tak długo, zbyt długo. Odwróciła się i jej twarz rozpromieniła się radosnym uśmiechem. Przeszedł z nią przez chodnik, po czym objął i przytulił z dawnym ciepłem i uczuciem.

- Mówiono mi, że wróciłaś do Paryża!

- Owszem, kochanie, musiałam uporządkować swoje życie.

- Ani słowa, żadnego listu ni telefonu! Myślałem, że oszaleję.

- Nigdy nie zastąpiłabym Ingrid, wiem o tym.

- Czy nie domyślałaś się, jak bardzo pragnąłem, abyś spróbowała?

- Pochodzimy z odmiennych światów, najdroższy. Twoje życie jest tutaj, moje w Europie. Spoczywa na mnie odpowiedzialność, która nie ciąży na tobie, Tye. Próbowałam ci to powiedzieć.

- Doskonale pamiętam. „Ocalcie Dzieci”, „Pomoc dla Somalii” - dwa czy trzy skróty, których nie potrafiłem rozwiązać.

- Zbyt długo mnie tu nie było, o wiele dłużej, niż chciałabym bez ciebie być. Organizacyjnie wszystko szwankowało i kilka rządów nie chciało nam pomagać. Ale teraz, kiedy Quai d'Orsay mocno nas popiera, sprawy idą lepiej.

- W jaki sposób?

- Na przykład w ubiegłym roku, w Etiopii...

Kiedy opowiadała o sukcesie jej kilku akcji charytatywnych i pokonywaniu biurokratycznych oraz jeszcze gorszych przeszkód, jej wrodzona impulsywność zdawała się w jakiś uroczy sposób elektryzować całe otoczenie. Duże łagodne oczy były pełne życia, wyrazista twarz promieniała nieskończoną nadzieją, która ją podtrzymywała i dodawała sił. Jej zdolność do współczucia była wprost nieprawdopodobna, ale stawała się absolutnie wiarygodna dzięki szczerości graniczącej niemal z naiwnością, której jednak zaprzeczały bystra inteligencja oraz światowość... a więc, jak widzisz, przedostaliśmy się z dwudziestoma ośmioma ciężarówkami! Nie możesz sobie wyobrazić, jak się czuliśmy, widząc mieszkańców wioski, zwłaszcza wygłodniałe, wynędzniałe dzieci i starców, którzy prawie stracili już nadzieję!

Nigdy chyba nie płakałam z tak wielkiego szczęścia... A teraz dostawy dochodzą regularnie, wszędzie się rozwijamy i bez przerwy naciskamy!

- Naciskamy...?

- Wiesz, kochanie, trzeba dręczyć dręczycieli za pomocą ich własnych gróźb, przedstawianych oczywiście w formie oficjalnych dokumentów. Z Republiką Francuską nie ma żartów! - oznajmiła triumfalnie Dominique. Jej oczy błyszczały.

Jakże on ją kochał. Nie może jej znowu stracić!

- Chodźmy się czegoś napić - zaproponował.

- O tak, proszę! Tak bardzo chcę z tobą porozmawiać, Tye.

Ależ mi ciebie brakowało. Mam w banku spotkanie z adwokatem mojego wuja, lecz on może poczekać.

- To się nazywa wyspiarski urok. Nikt nigdy nie przychodzi na czas!

- Zadzwońię do niego z miejsca, do którego pójdziemy.

ROZDZIAŁ 4

Siedzieli na ulicy, w ogródku kawiarni, trzymając się za ręce nad stołem, gdy tymczasem kelner przyniósł Dominique mrożoną herbatę, a Hawthorne'owi karafkę schłodzonego białego wina.

- Dlaczego zniknęłaś? - zapytał Tyrell.

- Powiedziałam ci już: miałam inne zobowiązania.

- Mogliśmy się stać jednym. Myślę o wzajemnym zobowiązaniu.

- Tego właśnie się obawiałam. Po prostu zacząłeś się stawać dla mnie zbyt ważny.

- Myślałem, że czujesz to samo co ja.

- Twoje poczucie winy z powodu Ingrid było wszechogarniające. Nie piłeś przecież dlatego, że byłeś alkoholikiem, o czym świadczą twoje czartery. Po prostu trochę zdziczałeś, nie będąc odpowiedzialnym za nikogo oprócz samego siebie. Nie mogłeś sobie wybaczyć tego, co się stało.

- O to chodziło, prawda?

- Co masz na myśli?

- Chciałaś być kimś więcej niż tylko pielęgniarką, a ja byłem tak zapatrzony w siebie, że tego nie dostrzegalem. Tak mi przykro.

- Tye, byłeś obolały po tej ciężkiej stracie. Doskonale cię rozumiem. Gdybym myślała tak, jak sądzisz, nie spędzilibyśmy wspólnie tyle czasu. To były niemal dwa lata, kochanie.

- I tak nie dość długo.

- Owszem.

- Pamiętasz, jak się spotkaliśmy? - zapytał Hawthorne ciepło, wpatrując się w jej oczy.

- Jak mogłabym zapomnieć? - odparła. Roześmiała się lekko i uścisnęła jego rękę. - Wypożyczyłam żaglówkę i kiedy wpływałam do marinety na St. Thomas, okazało się, że mam pewne trudności z odnalezieniem wyznaczonego mi miejsca do cumowania.

- Trudności? Wpłynęłaś pod pełnymi żaglami, zupełnie jakbyś finiszowała w regatach. Przeraziłaś mnie jak wszyscy diabli!

- Nie wiem, czy się bałeś, ale z pewnością byłeś wściekły.

- Dominique, mój słup znajdował się dokładnie na linii twojej szarży!

- O tak, stałeś na pokładzie, machałeś rękami i kłąłeś na czym świat stoi. A jednak udało mi się minąć twój jacht.

- Wciąż nie wiem, jakim cudem.

- Bo nie widziałeś, kochanie. Byłeś tak zły, że wpadłeś do wody! - Roześmiali się, pochylając ku sobie nad stolikiem. Strasznie mi było wstyd - mówiła dalej Dominique cichym głosem. - Ale przeprosiłam cię, kiedy wyszedłeś na brzeg.

- Wcale tego nie zrobiłaś! Kiedy przyszedłaś do mnie w Fishbaifs

Whisky Shack, zazdrościli mi wszyscy czarterujący łodzie... I to był początek najszczęśliwszych miesięcy w moim życiu. Najlepiej pamiętam nasze wyprawy na liczne maleńkie wysepki. Spaliśmy na plaży... Kochaliśmy się...

- Tak, kochaliśmy, najdroższy.

- Czy moglibyśmy zacząć od nowa? Przeszłość się zaciera, a obecnie jestem o wiele mniej szurnięty. Potrafię nawet często się śmiać i opowiadać głupie dowcipy. I pewnie polubisz mojego brata... Czy możemy zacząć od nowa, Dominique?

- Jestem mężatką, Tye.

Hawthorne poczuł się tak, jakby we mgle uderzył go dziób pasażerskiego liniowca. Przez kilka sekund nie mógł się odezwać odebrało mu mowę. Zdołał jedynie opuścić wzrok i udawać normalny oddech. Chciał puścić dłoń Dominique, ale zatrzymała go gwałtownie, kładąc drugą swą rękę na ich splecionych dłoniach.

- Proszę, nie rób tego, kochanie.

- Szczęściarz z niego - powiedział wreszcie Tyrell, spoglądając na ich ręce. - Czy jest miły?

- Jest kochany, ogromnie mi oddany i bardzo, bardzo bogaty.

- W dwóch punktach ma nade mną przewagę. Ale też byłbym ci oddany.

- Majątek pomaga, nie mogę zaprzeczyć. Nie mam szczególnie kosztownych upodobań, lecz moje akcje charytatywne wymagają pieniędzy. A zajęcie modelki, dzięki któremu stać mnie było wprawdzie na piękne mieszkanie i wspaniałe ubrania, nie pozwalało jednak na zatrudnianie szalonych krzyżowców. Z przyjemnością stwierdzam, że mam to już za sobą. Nigdy nie czułam się dobrze, prezentując kreacje, na które stać było jedynie nieliczne kobiety.

- Znalazłaś się w zupełnie innym świecie, moja damo. Czy jesteś również szczęśliwą mężatką?

- Tego nie powiedziałabym - odparła cicho Dominique, wpatrując się w ich splecione palce.

- Chyba czegoś nie rozumiem.

- Jesteśmy małżeństwem z rozsądku, jakby to określił La Rochefoucault.

- Słucham? - Hawthorne uniósł oczy i spojrzał w jej twarz.

- Mój mąż jest zadeklarowanym homoseksualistą.

- Dzięki ci Boże za łaski, wielkie i małe.

- Uważa to za zabawne... Prowadzimy dziwne życie, Tye. Jest dość wpływowy i niezmiernie hojny. Nie tylko pomaga mi zdobywać fundusze, ale również zabiega o wsparcie rządu, którego często potrzebujemy.

- Na przykład w uzyskiwaniu oficjalnych dokumentów? zapytał Tyrell.

- Prosto z Quai d'Orsay - Dominique uśmiechnęła się w swój ujmujący sposób. - Mówi, że może dla mnie zrobić przynajmniej tak niewiele, bo jego zdaniem służę mu niesłychanie cenną pomocą.

- Niewątpliwie. Kiedy jesteś u jego boku, zauważają i jego.

- Och, twierdzi, że nawet więcej - że przyciągam lepszą klasę klientów, bo tylko najbogatszych na mnie stać, jeżeli w ogóle jestem dostępna. Oczywiście, to żart. - Z wyraźnym żalem Dominique cofnęła dłonie.

- Oczywiście - Hawthorne nalał resztkę wina do szklanki i oparł się wygodnie. - Przyjechałaś odwiedzić swojego wuja na

Sabie? - zapytał.

- O Boże, zupełnie zapomniałam! Naprawdę muszę zadzwonić do banku i porozumieć się z jego prawnikiem... Teraz widzisz, co się ze mną dzieje, kiedy cię widzę.

- Chciałbym w to wierzyć...

- Możesz - przerwała mu Dominique cicho. Pochyliła się do przodu i wpatrywała w niego swoimi dużymi orzechowymi oczyma. - Naprawdę możesz, kochanie... Gdzie jest telefon? Jestem pewna, że gdzieś go tu widziałem.

- W holu.

- Wrócę za kilka minut. Drogi stary wujaszek znowu myśli o przeprowadzce - jego sąsiedzi zaczynają być zbyt natrętni.

- O ile sobie przypominam, Saba jest absolutną pustelnią powiedział z uśmiechem Tyrell - Nie ma tam telefonów, poczty i, jeśli to możliwe, żadnych gości.

- Uparłam się, że musi mieć antenę satelitarną - Dominique odsunęła fotel i wstała. - Uwielbia oglądać międzynarodowe mecze piłki nożnej. Uważa to za czarną magię, ale ogląda bez przerwy... No, pędzę.

- Zaczekam tutaj. - Hawthorne patrzył na oddalającą się kobietę, która, jak sądził, na zawsze zniknęła z jego życia. Gwałtowny napływ sprzecznych informacji sprawił, że czuł się, jakby szarpał nim potężny wiatr. Wiadomość o jej małżeństwie niemal go załamała, a

wyjaśnienie, że właściwie nie jest to małżeństwo, pozwoliło mu złapać oddech, przywróciło radosną pogodę ducha...

Nie chciał i nie mógł jej znowu utracić.

Zastanawiał się, czy przyjdzie jej do głowy zadzwonić do wujka na Sabie i powiadomić go, że wróci później. Między wyspami istniała łączność lotnicza i do wieczora samoloty latały co godzina.

Ich spotkanie nie mogło się ograniczyć do krótkiego „dzień dobry” i „do widzenia”, to było nie do pomyślenia. Znał ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że myśli i czuje tak samo. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie jej opowieści o ekscentrycznym wuju, paryskim adwokacie, który ponad dwadzieścia lat spędził w skomplikowanym, pełnym podstępów świecie arbitrażu, pędząc z sali konferencyjnej na sądową i podejmując decyzje dotyczące milionów dolarów. Nawet wtedy wystrzegał się klientów przedkładających pieniądze nad zasady.

Ten spokojny, miły człowiek marzył, by uciec od wyczerpującego jego siły szaleństwa i malować kwiaty oraz zachody słońca, stając się samozwańczym epigonem Gauguina. Dominique opowiedziała Tyrellowi, jak po przejściu na emeryturę wuj zabrał ze sobą leciwą pokojówkę, zostawił zaś zimną, nieczułą żonę, zaopatrzywszy ją w środki finansowe, które aż nadto pozwalały jej na utrzymanie dotychczasowego ekstrawaganckiego stylu życia.

Nie zwracał też sobie głowy skontaktowaniem się z dwiema nieznośnymi córkami, zarażonymi tą samą chorobą, na którą cierpiała ich matka - chciwością, i polecał na Karaiby „w poszukiwaniu swojego Tahiti”.

O Sabie dowiedział się przypadkiem, w czasie rozmowy z obcym człowiekiem w lotniskowym barze na Martynice. Mężczyzna ów uciekł niegdyś od cywilizacji, ale postanowił do niej wrócić i spędzić swoje ostatnie lata w światłach Paryża. Miał do sprzedania skromny, lecz dobrze urządzonej dom na wyspie. Tą wyspą była właśnie Saba. Wuj Dominique zainteresował się ofertą. Obejrzał fotografie posiadłości i - jak nigdy dotąd - kupił ją natychmiast, sporządzając osobiście odpowiednie dokumenty na stole w barze, ku ogromnemu zdziwieniu, a nawet przerażeniu starej pokojówki.

Następnie zadzwonił do swojej paryskiej firmy, polecając byłemu wiceprezesowi, a obecnie prezesowi, wypłacenie dotychczasowemu właścicielowi pełnej sumy w chwili, gdy tamten znajdzie się w Paryżu. Eks-podwładny miał potrącić koszty zakupu domu z bardzo dużej emerytury swego dawnego przełożonego. Przed zawarciem umowy wuj postawił jednak pewien warunek: były właściciel ma się porozumieć z przedsiębiorstwem telefonicznym na

Sabie i polecić natychmiastowe wyłączenie wszystkich telefonów w domu. Zaskoczony repatriant, oszołomiony nieoczekiwaną fortuną, błyskawicznie spełnił żądanie, korzystając z automatu na lotnisku.

Karaiby obfitowały w takie opowieści, wyspy bowiem były przystanią dla rozczarowanych, wypalonych i stopniowo popadających w abnegację. Zrozumieć ich mógł ktoś pełen współczucia, a pomóc - ktoś dysponujący odpowiednimi środkami. Dominique, jedna z prawdziwych działaczek charytatywnych, dbała o swojego wuja uciekiniera w wystarczający sposób, poświęcając mu swój czas i uwagę.

- Czy uwierzysz? - Dominique podeszła do Tyrella i przerwała jego wspomnienia. - Prawnik pozostawił dla mnie wiadomość, że zatrzymały go obowiązki i musimy przełożyć spotkanie na jutro!

Zadzwońliby do mnie na wyspę, gdyby był tam telefon.

- To logiczne.

- A potem zadzwoniłam jeszcze raz, komandorze poruczniku. Byłeś komandorem porucznikiem, prawda? - Dominique usiadła.

- Dawno temu - odparł Tyrell, kręcąc głową. - Teraz się awansowałem. Obecnie jestem kapitanem i mam własny statek jacht.

- Czy to awans?

- Daję słowo, doskonała promocja. Do kogo dzwoniłaś?

- Do sąsiadów wuja, małżeństwa uczynnego do tego stopnia, że wuj znowu chce się przeprowadzić. Przynoszą mu świeże warzywa ze swojego ogrodu, nie zważając na protesty pokojówki - przeszkadzają mu w malowaniu albo oglądaniu piłki nożnej.

- Wyglądają na miłych ludzi.

- I są tacy. Ale on nie jest, niech go Bóg błogosławi.

W każdym razie, dałam im pretekst do wizyty. Poprosiłam, aby poinformowali wuja, że są pewne problemy z tytułem własności i że jego prawnik, bank i ja będziemy próbowali je rozwiązać.

Mogę wrócić bardzo późno.

- Cuda nad cudami - oznajmił uśmiechając się Hawthorne, czując nowy przypływ entuzjazmu. - Miałem nadzieję, że coś takiego wymyślisz!

- Czy mogłabym postąpić inaczej, kochanie? To nie była uprzejmość z mojej strony, Tye. Bardzo mi ciebie brakowało.

- Właśnie wymeldowałem się z hotelu po drugiej stronie ulicy

- powiedział z wahaniem Tyrell. - Jestem pewien, że mógłbym tam wrócić.

- Proszę. Zrób to, proszę. Jak się nazywa ten hotel?

- Hotel to może za dużo powiedziane. Nazywa się „Flamboyant”, co również jest przesadą.

- Idź tam, kochanie, a ja przyjdę za dziesięć-piętnaście minut. Zostaw w recepcji wiadomość, że się mnie spodziewasz, i podaj numer pokoju.

- Dlaczego?

- Chcę sprawić ci... nam obojgu... prezent. To przecież święto!

W małym pokoju trzymali się w objęciach. Dominique drżała w ramionach Hawthorne'a. Jej prezentem były trzy butelki oziębionego szampana, wniesione na górę w wiaderkach z lodem przez obdarzonego przesadnie dużym napiwkami recepcjonistę.

- Przynajmniej białe wino - stwierdził Tyrell, wypuszczając ją z objęć. Podszedł do tacy stojącej na biurczku i otworzył pierwszą butelkę. - Czy wiesz, że ostatni raz piłem whisky cztery dni po twoim zniknięciu? Oczywiście, w tym czasie wysuszyłem zapasy na całej wyspie i straciłem dwa czartery, ale od tego właśnie dnia przestały mnie interesować butelki z burbonem.

- W takim razie moje odejście miało pozytywny skutek.

Whisky była dla ciebie, jedynie pomocą, a nie koniecznością. Dominique usiadła przy małym okrągłym stoliku z widokiem na port w St. Barts.

- Oszczędź mi tego, jestem teraz zupełnie innym facetem. Hawthorne odstawił kieliszki i butelkę na stolik, a potem krzesło przysunął do niej. - Jakie było to staroświeckie zdanie? - zapytał siadając. - W twoje ręce, dziecinko?

- Za nas oboje, kochanie. - Wypili i Tyrell ponownie napełnił kieliszki.

- A więc masz tu czarter? - spytała Dominique.

- Nie. - Tye zastanowił się przez sekundę, spoglądając w okno. - Sprawdzam Barts dla syndykatu hotelowego z Florydy.

Liczą na to, że wkrótce zalegalizują tu gry hazardowe, i chcą znać moją opinię. Tak się dzieje na całych wyspach, to po prostu konieczność ekonomiczna.

- Tak, słyszałam. Na swój sposób - przykra sprawa.

- Bardzo przykra i zapewne nie do uniknięcia. Kasyna zapewniają pracę... Ale nie chcę rozmawiać o wyspach, tylko o nas.

- O czym tu rozmawiać, Tye? Twoje życie jest tutaj, moje w Europie, Afryce albo obozach dla uchodźców w krajach objętych wojną, gdzie ludzie potrzebują naszej pomocy. Nalej mi następny, połączenie wina i ciebie jest upajające.

- A co z tobą, życiem dla siebie? - Hawthorne ponownie napełnił kieliszki.

- Może wkrótce będzie możliwe, kochanie. Pewnego dnia wrócę i jeżeli będziesz wciąż wolny, usiądę na progu twojego

Olympic Charters i powiem: „Halo, komandorze, weź mnie albo rzuć rekinom na pożarcie”.

- Jak długo muszę jeszcze czekać?

- Niedługo. Nawet moje siły są na wyczerpaniu... Ale nie mówmy o nieuniknionym, Tye. Musimy porozmawiać o terażniejszości.

- Co?

- Dzięki sąsiadom wujka rozmawiałam dziś rano z moim mężem. Muszę dziś w nocy lecieć do Paryża. Mąż ma załatwić jakiś interes z rodziną książęcą w Monako i chce, żebym mu towarzyszyła.

- Dziś w nocy?

- Nie mogę odmówić, Tye. Tak wiele mu zawdzięczam, a przecież prosi jedynie o moje towarzystwo. Wysłała po mnie na

Martynikę odrzutowiec spółki. Będę w Paryżu w ciągu kilku godzin, rano szybciotko zrobię zakupy i się spakuję, a później, jeszcze tego samego dnia, spotkam się z nim w Nicei.

- Znowu znikasz - powiedział Hawthorne. Od dawna nie pity szampan spowodował, że język zaczął mu się plątać. - Nie wrócisz!

- Mylisz się, kochanie... najdroższy. Wrócę za dwa - trzy tygodnie, uwierz mi. Ale teraz, przez tych kilka godzin, bądź ze mną, Kochaj mnie! - Dominique podniosła się z krzesła, zdjęła marynarkę swojego białego kostiumu i powoli rozpięła bluzkę.

Tyrell również zaczął się rozbierać, przerywając na chwilę, aby nalać szampana. - Na litość boską, Kochaj mnie! - zawołała

Dominique, pociągając ich oboje na łóżko.

Dym ich papierosów unosił się pod sufit w świetle padającego z zewnątrz słońca. Ich ciała były zmęczone i Hawthorne czuł, jak jego umysł odpręża się zarówno dzięki intensywnej miłości, jak i długim łykom z butelki szampana.

- Jak się czujesz, najdroższy? - szepnęła Dominique. Położyła się na nagim ciele Tyrella, jej obfite piersi musnęły jego twarz. .

- Jeżeli jest jakieś inne niebo, wcale nie chcę go znać - odparł z uśmiechem.

- Mówisz takie straszne rzeczy, że muszę ci nalać jeszcze jeden kieliszek. Sobie również.

- To ostatnia butelka i trochę przesadzamy z bąbelkami, moja damo.

- Nie dbam o to. Spędzamy ostatnią godzinę... zanim cię znowu zobaczę. - Dominique sięgnęła za łóżko i rozlała do kieliszków resztę szampana. Na podłodze po jej stronie widniały okrągłe mokre ślady. - Masz, kochanie - powiedziała, podając kieliszek Tyrellowi. Uniosła prawą pierś i przytuliła ją do jego policzka. - Muszę zapamiętać każdą chwilę z tobą.

- Wyglądasz wzorowo... Myślę, że tak właśnie brzmiałaby wojskowa ocena.

- Przyjmuję, komandorze... Och, zapomniałam, że nie lubisz tego stopnia.

- Opowiadałem ci o Amsterdamie - wybełkotał niemal niezrozumiale Hawthorne. - Nienawidzę tej rangi... O Chryste, jestem pijany i nie mogę sobie przypomnieć, kiedy... byłem pijany ostatni raz...

- Wcale nie jesteś, kochanie, po prostu świętujemy. Nie sądzisz?

- Tak... taa, oczywiście.

- Kochaj mnie jeszcze, mój najdroższy.

- Co...? - Głowa Tyrella opadła na bok. Stracił przytomność.

Olbrzymia porcja alkoholu, od którego już się odzwyczaił, pokonała jego organizm.

Dominique ostrożnie wstała z łóżka, podeszła do ubrania rzuconego na krzesło obok okna i szybko się ubrała. Nagle spostrzegła beżową bawełnianą marynarkę Hawthorne'a. Było to ubranie, które na wyspach stanowiło coś w rodzaju munduru lekki tropik z czterema naszytymi kieszeniami, noszony na gołe ciało. Jednakże nie sama marynarka zwróciła jej uwagę, lecz złożona, nieco zmięta koperta z niebiesko-czerwonym obramowaniem. Takich właśnie kopert używały instytucje rządowe albo prywatne kluby, które chciały w ten sposób dodać sobie prestiżu.

Uklękła, wyjęła kopertę z kieszeni i wydobyła z niej notatkę sporządzoną drobnym, wyraźnym pismem. Podeszła do okna, aby móc lepiej odczytać tekst, napisany na papierze listowym jachtklubu:

„O s o b y: Dorosła kobieta podróżująca z mężczyzną o połowę od niej młodszym.

Szczegóły: Opis niepełny, może jednak dotyczyć Bajaratt i jej młodego towarzysza, zaobserwowanych w Marsylii.

Nazwiska z wodolotu na St. Martin: Frau Marlene

Richter i Hans Bauer, wnuk. Dotychczas nie stwierdzono, aby Bajaratt posługiwała się niemieckimi nazwiskami ani że zna niemiecki, ale nie można wykluczyć takiej możliwości.

Kontakt: Inspektor Lawrence Major, szef służby bezpieczeństwa na wyspie St. Barts.

Informator: Nazwisko utajnione na żądanie informatora.

Metoda/Działanie: Zbliżyć się do podejrzanych od tyłu, z bronią gotową do strzału.

Wykrzyknąć nazwisko

Bajaratt i być gotowym do otwarcia ognia.”

Dominique zmrużyła oczy, wsuwając papier z powrotem do koperty. Podeszła do bawełnianej marynarki i ponownie umieściła kopertę w kieszeni. Wyprostowała się i popatrzyła na nagą postać leżącą na łóżku. Jej wspaniały kochanek okłamał ją.

Kapitan Tyrell Hawthorne, Olympic Charters, z amerykańskich

Wysp Dziewiczych, znowu był komandorem porucznikiem Hawthorne'em z wywiadu marynarki wojennej, zwerbowanym do upolowania terrorystów z doliny Bekaa, którzy odlecieli z Marsylii na Karaiby. Jakie to tragiczne, tragicznie ironiczne, pomyślała

Dominique, podchodząc do biurka i biorąc torebkę. Zrobiła dwa kroki w stronę łóżka, włączyła stojące na nocnym stoliku radio i zwiększała głośność do chwili, aż ostry, gwałtowny rytm wyspiarskiej muzyki wypełnił pokój. Hawthorne nawet nie drgnął.

Takie straszne i niepotrzebne... pełne bólu, którego nie chciała przyjmować do wiadomości, ale odrzucając go, jednocześnie potęgowała własne cierpienie. Wymyśliła sobie egzystencję, która nie kazałaby jej zabijać. Wyrzumiętego męża niezmiennie wspierającego jej sprawę, dzięki czemu mogła odnaleźć pełnię szczęścia bez zagłębiania się w świat zdrady i oszustwa. Mogłoby to być tak proste, tak łatwe, ale wcale takim nie było! Kochała nagiego mężczyznę leżącego na łóżku - jego umysł, ciało, nawet cierpienia, które tak dobrze rozumiała. Ale żyła w prawdziwym, nie zaś w wymyślonym świecie.

Otworzyła torebkę i wolno, ostrożnie wyjęła mały pistolet.

Przyłożyła go do złożonej podwójnie poduszki, którą przytknęła do lewej skroni Hawthorne'a. Jej palec wskazujący powoli ściągał spust, gdy tymczasem w pokoju coraz gwałtowniej narastała muzyka reggae... Nie, nie mogła tego zrobić! Pogardała sobą, ale nie mogła tego zrobić! To był człowiek, którego kochała, tak samo jak kochała zawadiakę z Aszkelonu!

Amaya Bajaratt włożyła broń do torebki i wybiegła z pokoju. x

Hawthorne obudził się. Potwornie bolała go głowa, ledwo widział, ale nagle uświadomił sobie, że w łóżku obok niego nie ma

Dominique. Gdzie się podziała? Zerwał się na równe nogi. Przez chwilę musiał przytrzymać się oparcia, aby utrzymać równowagę.

Rozejrzał się w poszukiwaniu staroświeckiego telefonu. Zobaczył go na stoliku nocnym z drugiej strony łóżka i sięgnął po słuchawkę.

Wybrał numer recepcji.

- Gdzie jest kobieta, która tu była?! - wrzasnął. - Kiedy wyszła?

- Ponad godzinę temu, mon - odparł recepcjonista. Miła dama.

Tyrell rzucił słuchawkę i poszedł do niewielkiej łazienki. Napełnił małą, za małą dla niego, umywalkę zimną wodą.

Zanurzył w niej twarz, przez cały czas myśląc o wyspie Saba.

Z pewnością Dominique nie wróci do Paryża; nie zobaczywszy się przedtem z wujem... Zanim jednak on tam popłynie, musi porozumieć się z Geoffreym Cooke'em na Virgin Gordzie, choćby tylko dlatego, aby przekazać mu wiadomość o fałszywym tropie.

- Christiansted też był guzik wart, stary. I Anguilla również odparł Cooke. - Mam wrażenie, że gonimy piórka na wietrze.

Wracasz dzisiaj po południu?

- Nie, mam zamiar sprawdzić jedną rzecz.

- Znalazłeś coś?

- Znalazłem i zgubiłem, Geoff. Sprawa jest ważna dla mnie, nie dla ciebie. Dam znać później.

- Bardzo cię o to proszę. Dostaliśmy dwie następne informacje.

Sprawdzą je razem z Jacquesem.

- Zostaw u Marty'ego wiadomość, gdzie będę mógł was znaleźć.

- U tego mechanika?

- Tak.

Pływaki wodnopłatowca uderzyły o spokojną wodę. Samolot zawrócił i znalazł się w pełnej kamieni zatoczce prywatnej wyspy.

Pilot podprowadził go do krótkiego pomostu, na którym oczekiwał strażnik z luparą. Złapał skrzydło i zatrzymał wodnosamolot.

Bajaratt zeszła na pływak i przytrzymując się ręki pomocnika, zeskoczyła na pomost.

- Padrone miał dobry dzień, signora. - Mężczyzna mówił po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem, starając się przekrzyczeć huk silników. - Spotkanie z panią jest dla niego lepsze niż zabiegi w Miami. Kiedy go kąpałem, śpiewał arie operowe.

- Dasz tu sobie radę? - zapytała Baj. - Muszę natychmiast się z nim zobaczyć.

- Z czym miałbym dać sobie radę, signora? Odepchnę skrzydło, a nasz amico silenzioso zrobi resztę.

- Va bene - Amaya pobiegła po kamiennych schodach, ale kiedy znalazła się na górze, zatrzymała się, by złapać oddech.

Lepiej nie okazywać niepokoju. Padrone odsuwał od siebie wszystkich, którzy zdawali się tracić zimną krew. W jej wypadku nie mogło być o tym mowy, lecz wiadomość, że służby bezpieczeństwa na wyspach wiedzą o jej obecności, była jednak wstrząsem. Potrafiła się

pogodzić z dekonspiracją przed padrone, miał bowiem wielu dłużników w świecie doliny Bekaa, ale świadomość, że polowanie na nią doprowadziło do zwerbowania emerytowanego Hawthorne'a, była nie do przyjęcia. Głęboko oddychając szła po wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce, aż znalazła się przed drzwiami frontowymi. Nacisnęła odlaną w brązie klamkę i zatrzymała się w wejściu. Pośrodku wielkiego kamiennego holu zobaczyła drobną postać w fotelu inwalidzkim, machającą do niej z dziecinną radością.

- Ciao, Annie! - wykrzyknął padrone., uśmiechając się słabo, z tą odrobiną entuzjazmu, jaką był w stanie z siebie wykrzesać. Czy miałaś dobry dzień, moja jedyna córko?

- W ogóle nie doszłam do banku - odparła lakonicznie

Bajaratt, wchodząc do środka.

- Szkoda. Dlaczego? Chociaż cię uwielbiam, moje dziecko, nie pozwolę, aby jakiegokolwiek fundusze przekazano dla ciebie z mojego konta. To zbyt niebezpieczne. Moi najbliżsi w rejonie śródziemnomorskim mają przecież wszelkie środki, aby przesłać ci wszystko, czego potrzebujesz.

- Pieniądze są nieistotne - odparła Amaya. - Mogę wrócić jutro i je podjąć. Ważniejszy jest fakt, że Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi wiedzą, że jestem na wyspach.

- Ależ oczywiście, że wiedzą, Annie! Ja również wiedziałem, że przyjeżdżasz, a jak myślisz, skąd?

- Sądziłam, że przez powiązania finansowe z Bekaa.

- Nie wspominałem o Deuxieme, MI-6, a nawet Amerykanach?

- Wybacz mi, padrone, lecz ukryty w tobie wspaniały gwiazdor filmowy ma niekiedy skłonność do popadania w przesadę.

- Molto bene! - roześmiał się ochryple inwalida. - Choć nie do końca słusznie. Mam Amerykanów na dyskretnej liście płac.

Powiadomili mnie, że ogłoszono alarm na wyspach i że cię poszukują. Ale w jakim rejonie, na której wyspie? Impossibile. Nikt nie wie, jak wyglądasz, a jesteś mistrzem - może raczej powinienem powiedzieć: mistrzynią - w zmianie wyglądu. Na czym polega niebezpieczeństwo?

- Pamiętasz mężczyznę o nazwisku Hawthorne?

- O tak, oczywiście. Skompromitowany oficer amerykańskiego wywiadu, chyba marynarki wojennej, który ożenił się z sowiecką podwójną agentką. Dowiedziałaś się, kim jest, zorganizowałaś spotkanie i cieszyłaś się nim przez kilka miesięcy twojej

rekonwalescencji. Sądziłaś, że możesz się od niego czegoś dowiedzieć, skorzystać z jego doświadczenia.

- Wówczas nie dowiedziałam się od niego niczego, co miałoby jakąś szczególną wartość, ale teraz jest znowu w akcji i poluje na

Bajaratt. Natknęłam się na niego po południu i spędziłam z nim wieczór.

- Jakże to niezwykle, moja córko - oznajmił padrone, nie spuszczać z twarzy Baj spojrzenia swych wodnistych oczu. - I cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. O ile sobie przypominam, byłaś w tamtych miesiącach wyjątkowo szczęśliwą kobietą.

- Korzystamy z drobnych przyjemności tam, gdzie możemy je znaleźć, mój ojciec. Był jedynie nieświadomym instrumentem, dzięki któremu mogłam się dowiedzieć czegoś dla mnie ważnego.

- Instrumentem, który tworzył w tobie muzykę, prawda?

- Bzdura!

- Śpiewałaś i tańczyłaś jak dziecko, którym, nigdy nie byłaś.

- Twoje filmowe wspomnienia źle wpływają na zmysł obserwacji. Po prostu moje rany dobrze się goiły, to wszystko... Jest tutaj, czy nie rozumiesz? Popłynię na Sabę i zacnie mnie tam szukać.

- Ach tak, przypominam sobie. Wyimaginowany francuski wujek, prawda?

- Trzeba koniecznie go zabić, padrone!

- Dlaczego ty tego nie zrobiłaś dziś po południu?

- Nie miałam możliwości. Widziano mnie z nim, mogliby mnie złapać!

- Jeszcze bardziej niezwykle - powiedział cicho stary

Włoch. - Baj zawsze stwarzała sobie szansę!

- Przestań, ojciec! Zabij go!

- Doskonale, córko. Serce nie zawsze potrafi się zdecydować...

Powiedziałaś: Saba? Dla naszej łodzi to mniej niż godzina.

Padrone podniósł głowę. - Scozzi! - zawołał jednego ze swych służących.

Szybkość działania była najważniejsza, na wyspach bowiem wszyscy mieli krótką pamięć, zwykle zresztą świadomie. Saba nie była miejscem, w którym zazwyczaj się zatrzymywał z czarterami, ale

Hawthorne znał ją z tych kilku razy, kiedy tam zawinął. Wszyscy w portach na wyspach od Saint T. do Tortoli szli na rękę kapitanom czarterów. To się opłacało, i Tyrell liczył na tę cechę tutejszych mieszkańców.

Wynajął wodnopłatowiec na Barts i poleciał do skromnego portu na Sabie. Zależało mu na wszelkiej możliwej współpracy i chyba udało mu się ją uzyskać, ale nic, czego się dowiedział, nie łączyło się w sensowną całość.

Nikt w marinie nie znał starego mężczyzny z francuską pokojówką. Nikt też nie widział kobiety o wyglądzie Dominique. Jak to było możliwe? Jak mogła ująć ich uwagi wysoka, przystojna kobieta, która tak często odwiedzała wuja? Dziwne. Chłopaki z portu zazwyczaj wiedzieli wszystko, co się dzieje na ich maleńkich wyspach, zwłaszcza na nabrzeżach. Przyływały przecież łodzie z zaopatrzeniem, -które należało dostarczyć mieszkańcom, a za dostawy płacono. Znajomość wszystkich dróg prowadzących do każdego domu na wyspie takiej jak Saba była właściwie zwyczajowym obowiązkiem handlowym. Z drugiej jednak strony Dominique powiedziała, że jej wuj żyje w „samotni”, a poza tym na wyspie było lotnisko, jak również kilka skromnych sklepów zaopatrywanych drogą powietrzną. Być może to wystarczało do zaspokojenia potrzeb słabego starego mężczyzny i jego pokojówki.

Tyrell przespacerował się w potwornym skwarze do miejscowego obdrapanego urzędu pocztowego tylko po to, aby usłyszeć od aroganckiego urzędnika: „Mówisz pan nonsensy, mon Nie ma skrytki pocztowej dla takiego człowieka ani kobiety, która mówiłaby jak francuska maman”.

Informacja była jeszcze dziwniejsza od tej, którą słyszał w marinie. Dominique mówiła mu przed laty że wuj ma „dość przyzwoitą” emeryturę ze swojej firmy i co miesiąc otrzymuje przekazy.

Oczywiście, znowu wytłumaczeniem mogło być lotnisko. Poczta na wyspach dostarczano raczej nieregularnie, więc być może Paryż przysyłał pieniądze swojemu emerytowanemu adwokatowi drogą powietrzną z Martyniki. Z pewnością był to sposób bezpieczniejszy i skuteczniejszy.

Tyrell spytał urzędnika pocztowego, gdzie mógłby pożyczyć motocykl, ulubiony środek transportu na Sabie. Sprawa okazała się prosta, ponieważ urzędnik miał na zapleczu kilka do wynajęcia.

Należało jedynie wpłacić dużą kaucję, zostawić prawo jazdy i podpisać oświadczenie, że zgadza się, aby ewentualne koszty naprawy pojazdu potrącono z tejże kaucji.

Niemal trzy godziny spędził Hawthorne na wyboistych drogach, jeżdżąc po wzgórzach i dolinach od domu do domu, od willi do szałasów, za każdym razem witany przez ponurych mieszkańców z bronią u boku i w towarzystwie warczących miejscowych psów.

Wyjątkiem była ostatnia wizyta u emerytowanego anglikańskiego księdza o opuchniętym - z wiadomych przyczyn - nosie i plamistej twarzy z czerwonymi żyłkami. Gospodarz natychmiast zaproponował Tyrellowi rum, a także możliwość odświeżenia się i oczyszczenia ubrania. Hawthorne podziękował za jedno i drugie, tłumacząc się pośpiechem, a kiedy rozmawiał z zaniedbanym kapłanem, jego niepokój narastał.

- Z prawdziwą przykrością muszę stwierdzić, że nie ma takiej osoby na wyspie, młody człowieku.

- Jest pan pewien?

- O, tak - ksiądz odpowiedział z rozmarzeniem połączonym z pewnym delikatnym rozbawieniem. - Pomimo mojej słabości mam momenty, kiedy czuję potrzebę pełnienia służby bożej tak, jak czyniłem to dawniej. Jak wędrujący Piotr chodzę z miejsca na miejsce, niosąc Słowo Boże. Zdaję sobie sprawę, że słusznie traktują mnie jak starego wariata, ale na jakiś czas czuję się oczyszczony i mogę pana zapewnić, że jestem przy zdrowych zmysłach. W ciągu dwóch lat mojego pobytu tutaj odwiedziłem każdy dom - bogatych i biednych, czarnych i białych - raz, dwa razy albo i trzy... Na Sabie nie ma opisanych przez pana ludzi. Jest pan pewien, że nie napiłby się rumu? Mam trochę cruzana. To wszystko, co mogę zaproponować, na co mnie stać. Hoduję limony i mango. Ich zmieszany sok doskonale pasuje do rumu.

- Nie, dziękuję, ojcze. Śpieszę się.

- Nie sądzę, że masz ochotę mi dziękować. W twoim głosie słychać zdenerwowanie.

- Przepraszam, jestem po prostu zdezorientowany.

- Któż nie jest, młody człowieku?

Hawthorne zwrócił w urzędzie pocztowym motocykl, odebrał prawo jazdy i bez protestów przyjął zaledwie połowę złożonej kaucji. Na piechotę wrócił do mariny i wyczarterowanego wodnopławca.

Nie było go.

Przyspieszył kroku i w końcu zaczął biec. Musi wrócić na

Gordę... Gdzie, u diabła, jest samolot?! Był zacumowany do mola, pilot i chłopaki z portu zapewniali go, że pozostanie w tym miejscu do chwili jego powrotu.

Potem zobaczył przybite do słupów tablice informacyjne, najwyraźniej pospiesznie namalowane. Niektóre były z błędami ortograficznymi, inne nie. NIEBEZPIECZEŃSTWO.

REMONT

PODPÓR. CUMOWANIE WZBRONIONE DO CHWILI USUNIĘCIA USZKODZEŃ.

Na litość boską, była już prawie szósta wieczorem. Woda ciemniała, karaibskie słońce rzucało wydłużające się cienie, co znaczyło, że pod powierzchnią musiała panować zupełna ciemność.

Nikt nie remontował podpór w takich warunkach. Molo mogło runąć, grzebiąc pod sobą płetwonurka, bo przy braku padającego z góry światła nic by go nie ostrzegło. Tyrell ominął barierę i pobiegł w stronę znajdującego się z prawej strony długiego nabrzeża warsztatu, z którego pochylnia slipu i liny wyciągarek schodziły do samej wody. W środku nie było nikogo. Jakieś wariactwo! O tej porze ludzie pracują pod wodą bez zabezpieczenia, bez aparatury tlenowej i wyposażenia medycznego?!

Kiedy wybiegł z warsztatu i popędził wzdłuż plaży prowadzącej do wejścia na molo, zauważył, że warstwa chmur przesłania promienie zachodzącego słońca. Jakim cudem mógł ktoś pracować w takich warunkach? Owszem, zdarzało mu się w podobnych warunkach remontować kadłuby, ale zawsze z zabezpieczeniem i linami, które trzymali ludzie gotowi w razie niebezpieczeństwa natychmiast wyciągnąć go na powierzchnię. Wszedł na schody i ostrożnie ruszył po molo. Ciemne deszczowe chmury zupełnie już przesłoniły słońce.

Najpierw miał zamiar wywołać płetwonurka na powierzchnię i wykorzystując autorytet byłego oficera, nawrzeszczyć na wszystkich z powodu ich głupoty i kazać im zaprzestać pracy aż do rana.

Kiedy jednak szedł po molo, czuł, jak jego pewność siebie zmniejsza się z każdym krokiem. Nie było lin, nie było bąbelków powietrza w ciemniejącej wodzie. Nie było nikogo ani na molo, ani pod nim.

Marina świeciła pustką.

Nagle włączyły się umieszczone na aluminiowych słupach reflektory, zalewając port oślepiającym światłem. A potem rozległ się huk wystrzału i Tyrell poczuł lodowate smagnięcie w lewe ramię.

Zakrył dłonią ranę i rzucił się z mola w wodę; znikając pod powierzchnią, słyszał łomot serii. Z niepojętych dla siebie powodów pozwolił, aby jego poczynaniami kierował lęk. Płynął pod wodą, dopóki starczyło mu oddechu, w stronę najbliższego jachtu. Dwukrotnie wynurzył jedynie twarz, aby zaczerpnąć powietrza, i płynął dalej, aż poczuł pod dłonią drewniany kadłub. Wynurzył się ponownie przy samej linii wodnej, nabrał powietrza i przepłynął pod dnem na drugą stronę. Podciągnął się na nadburcie i popatrzył na molo, którego jedna połowa znajdowała się w rozmytym, przegowanym świetle słonecznym, a druga skąpana była w blasku reflektorów. Jego dwaj niedoszli zabójcy kucnęli na krańcu mola i patrzyli na wodę.

- Suo sangue! - zawołał jeden.

- Non basta! - ryknął drugi. Wskoczył do łodzi motorowej, zapuścił silnik i poleciał koledze, aby zwolnił cumę i też wsiadł do łodzi. Pływali po małym porcie tam i z powrotem, trzymając w pogotowiu AK-47 i lupary.

Hawthorn przechylił się nad nadburciem, wyciągnął rękę i w nylonowym uchwycie koło pojemnika ze sprzętem rybackim znalazł to, czego szukał - zwykły nóż do patroszenia ryb.

Ześlizgnął się w wodę. Jego buty gdzieś zniknęły, teraz zdjął spodnie, starając się zapamiętać miejsce ich zatonięcia na wypadek, gdyby udało mu się przeżyć. Kiedy ściągał beżową marynarkę, przyszła mu do głowy dość dziwaczna myśl, że Geoffrey Cooke będzie musiał mu zwrócić utracone pieniądze, a także zapłacić za dokumenty i ubranie. Płynął przez ciemną wodę, uświadamiając sobie znowu, że jeden z mężczyzn na małej łodzi motorowej trzyma w ręku potężną latarkę i błądzi jej promieniem po mrocznej powierzchni. Zanurkował głęboko przed nadpływającą motorówką, pozostawał pod wodą do chwili, aż usłyszał jej silnik bezpośrednio nad sobą.

Wtedy, starannie obliczając swoje ruchy, Hawthorne wynurzył się tuż za łodzią i trzymając głowę przy burcie, a dłonie w cieniu, schwycił ruchomą obudowę silnika, unieruchamiając ster. Wściekły sternik, zdezorientowany utratą kontroli nad silnikiem, wychylił się za rufę. Na widok ręki Tyrella wytrzeszczył oczy, jakby dostrzegł jakąś koszmarną mackę wynurzającą się z głębin. Zanim jednak zdążył krzyknąć, Hawthorne zatopił ostrze noża w jego karku, lewą zaś dłonią schwycił go za gardło, tłumiąc jakikolwiek dźwięk, który mógłby się przebić przez warkot silnika. Przerzucił ciało za rufę do wody i ostrożnie odchyliwszy silnik w prawo, wdrapał się na łódź, zajmując miejsce swojego niedoszłego zabójcy. Podczas gdy mężczyzna na dziobie uparcie błądził promieniem latarki, badając wodę przed motorówką, Hawthorne schwycił AK-47 i powiedział głośno:

- O tej porze plusk fal jest dość głośny, a i silnik bardzo hałasuje. Odłóż broń albo dołączysz do swojego przyjaciela. Ty również możesz być smacznym kąskiem dla naszych rekinów. To naprawdę miłutkie stworzonka i wołają, gdy ich pokarm już się nie rusza.

- Che cosa? Impossibile.

- O tym właśnie musimy porozmawiać - oznajmił Tyrell, kierując łódź na otwarte morze.

ROZDZIAŁ 5

Zapadała ciemność, morze było spokojne, księżyc ledwo się przedzierał przez pokrywę chmur. Mała łódź kołysała się miarowo na łagodnych falach oceanu. Pozostały przy życiu niedoszły zabójca tkwił na maleńkim siedzeniu na dziobie, mrugając nerwowo i starając się osłonić oczy przed światłem potężnej latarki.

- Opuść ręce! - rozkazał Hawthorne.

- Światło mnie oślepia. Zgaś je.

- Prawdę mówiąc, ślepotą mogłaby być dla ciebie błogosławieństwem, jeżeli mnie zmusisz, abym cię okaleczył, zanim wyrzucę za burtę.

- Che cosa?

- Wszyscy musimy umrzeć. Czasami myślę, że liczy się nie sama śmierć, ale jej jakość.

- Co pan mówi, signore...!

- Powiesz mi, co chcę wiedzieć, albo zostaniesz przynętą na rekiny. Jeżeli wcześniej oślepniesz, nie zobaczysz wielkiego szeregu białych spiczastych zębów, które cię przetną na pół. Wiesz, wielkie ryby świecą, są doskonale widoczne w ciemnej wodzie. Popatrz! O, tam, płetwa grzbietowa! Musi mieć jakieś sześć metrów . To ich sezon, wiesz? Jak myślisz, dlaczego o tej porze roku na wszystkich wyspach urząda się zawody w połowie rekinów?

- Nic o tym nie wiem!

-• Nie czytujesz miejscowych gazet i wcale mnie to nie dziwi.

Nie drukują zbyt wielu informacji z Sycylii.

- Sicilia?

- Jakoś mi nie wyglądasz na nuncjusza papieskiego, zresztą nuncjusze strzelają chyba lepiej od ciebie... Daj spokój, paisan, spójrz na życie realnie... Albo się znajdziesz w wodzie z krwawiącą raną na ramieniu i pobawisz w berka z tą krążącą wokół nas rybeńką, z paszczą o szerokości jednej trzeciej twojego wzrostu.

Capo kręcił jak oszalały głową, mrugając szeroko otwartymi oczyma. Osłaniał je przy tym dłonią przed światłem i lustrował powierzchnię wody po obu stronach maleńkiej łódki.

- Nic nie widzę!

- Jest tuż za tobą. Odwróć się, a zobaczysz.

- Na rany Chrystusa, niech pan tego nie robi!

- Dlaczego próbowałeś mnie zabić?

- Takie miałem rozkazy!

- Czyje?

Zbir nie odpowiedział.

- No cóż, w końcu to ty umrzesz, nie ja - powiedział

Tyrell, odciągając suwadło zamka AK-47. - Drasnę cię w lewe ramię, to krew popłynie obficie. Oczywiście, wielkie białe rekiny najpierw lubią trochę poskubać. Wpierw przekąska, a dopiero potem główne danie. - Hawthorne nacisnął spust. Nocną ciszę rozerwał huk wystrzału i po prawej stronie mafiosa wytrysnęły fontanny wody.

- Przestań...! Na litość boską, przestań!

- O rany, ależ potraficie się szybko nawracać. - Tyrell znowu wypuścił ogłuszającą serię i tym razem pociski drasnęły skórę na lewym ramieniu capo.

- Per piacere! Proszę, błagam pana!

- Mój pletwiasty przyjaciel jest głodny. Dlaczego miałbym sprawić mu zawód?

- Czy... czy słyszał pan o dolinie...? - wykrztusił wreszcie niedoszły zabójca. Najwyraźniej ogarnięty paniką, poszukiwał wcześniej słyszanych słów, przypominał je sobie.

- Daleko stąd, za morzem!

- Słyszałem o dolinie Bekaa - odparł obojętnym tonem

Tyrell. - Leży nad Morzem Śródziemnym. I co z tego?

- Stamtąd przysły rozkazy, signore.

- Kto je przekazywał? Kto ci wydał te rozkazy?

- Przychodziły z Miami. Co jeszcze mogę panu powiedzieć?

Nie znam nikogo, capi!

- Dlaczego mnie?

- Nie wiem, signore.

- Bajaratt! - ryknął Hawthorne, dostrzegając w szeroko rozwartych oczach mężczyzny wszystko, co chciał zobaczyć. - To

Bajaratt, prawda?

- Si, si, słyszałem to nazwisko. Nic więcej.

- Z Bekaa?

- Proszę, signore! Jestem tylko soldato, czego pan chce ode mnie?

- W jaki sposób mnie znalazłeś? Czy śledziliście kobietę, która nazywa się Dominique Montaigne?

- Non capisco. Nie znam takiego nazwiska.

- Łżesz! - Tyrell znowu wypuścił serię z AK- 47, ale już dalej od ramienia capo. Doświadczenie dyktowało mu strategię postępowania z przerażonym fagasem.

- Przysięgam! - wrzasnął capo subordinato. - Inni także pana szukają.

- Dlatego, że wiedzą, iż ja szukam Bajaratt?

- Wszystkie drogi prowadzą do pana, signore.

- Najwidoczniej - odparł Tye, zawracając łódź.

- Nie zabije mnie pan...? - Niedoszły zabójca zamknął oczy, modląc się po cichu, gdy Hawthorne przestał mu świecić prosto w twarz. - Nie rzuci mnie pan rekinom?

- Umiesz pływać? - zapytał Tyrell, ignorując jego pytanie.

- Naturalmente - odparł capo - ale nie tutaj, zwłaszcza kiedy krwawię.

- Dobrze pływasz?

- Jestem Siciliano z Messyny. Kiedy byłem dzieckiem, nurkowałem po monety rzucane przez turystów ze statków.

- To świetnie. Ponieważ mam zamiar wysadzić cię pół kilometra od brzegu. Dalej poradzisz sobie sam.

- A co z rekinami?

- W tych wodach nie ma rekinów od ponad dwudziestu lat.

Odstrasza je zapach koralu.

Sycylijczyk kłamał i Hawthorne o tym wiedział. Ten, kto się krył za próbą zamachu na jego życie, kupił całą marinę i kazał ją zamknąć. Dolina Bekaa nie mogła tego zrobić, bez względu na to, czy mafia maczała w tym palce, czy nie. Istniał więc ktoś, kto znał wyspy i wiedział, które guziki nacisnąć. Ktoś, kto ochraniał Bajaratt.

Tyrell ukraść brudny kombinezon i teraz obserwował zza węgła warsztatu, jak zmęczony Włoch wyczołguje się z łagodnego przyboju na plażę. Niedoszły zabójca był tak zmordowany, że przez jakiś czas leżał jak długi na piasku i dyszał ciężko, próbując złapać oddech. W wodzie zrzucił marynarkę i buty, ale wypchana prawa kieszeń w spodniach świadczyła, że przełożył do niej wszystko, co uznał za konieczne. Hawthorne liczył na to, że gołąb pocztowy bez przesyłki będzie zupełnie bezużyteczny.

Po dwóch minutach oświetlony reflektorami mężczyzna podniósł głowę. Wstał niezgrabnie, wyraźnie obolały, i rozejrzał się szybko w lewo i w prawo, starając się zorientować, gdzie jest.

Wreszcie jego głowa znieruchomiała i capo zaczął wpatrywać się w warsztat. To z tego właśnie miejsca razem z nieżyjącym już kolegą rozpoczynali swoją operację - innego warsztatu tu nie było. Wewnątrz znajdował się włącznik reflektorów, tam też pieniądze

przeszły z rąk do rąk. A na kontuarze stał telefon... Od tego momentu, pomyślał Tyrell, przypominając sobie tuzin takich pułapek w Amsterdamie, Brukseli i Monachium, cel będzie działał jak zaprogramowany robot. Żeby przeżyć, musi kierować się instynktem. I zrobił to.

Dyszący ciężko mafioso pobiegł plażą w kierunku schodów prowadzących do warsztatu. Trzymając się poręczy, zaczął po nich wchodzić. Co chwila łąpał się za ramię i krzywił z bólu. Tyrell uśmiechnął się. Jego własne ramię obmyła morską wodą i teraz tylko lekko szczypało. W obu wypadkach wystarczyłyby plastry do opatrzenia ran, ale z psychologicznego punktu widzenia capo grał swój prywatny melodramat.

Sycylijczyk dotarł do warsztatu, otworzył drzwi kopniakiem, wkładając w ten gest zdecydowanie zbyt dużo siły, i wpadł do środka. W chwilę później reflektory zgasty i wewnątrz pomieszczenia zapaliła się lampa. Hawthorne przysunął się do otwartych drzwi i słuchał, jak mafioso kłóci się przez telefon z karaibskim operatorem centrali.

- Si! Tak, tak, to numero w Miami - tak, numer! - Capo powtórzył cyfry i Tyrell zapisał je na trwałe w pamięci. - Emergenza! - wrzasnął Sycylijczyk, uzyskawszy wreszcie połączenie z Miami. - Cerca U padrone via satellite, via satellite! Presto! Zanim ogarnięty paniką, trzymający się teraz za pachwinę mężczyzna odezwał się, a właściwie wrzasnął znowu, minęła dłuższa chwila. - Padrone, esso incredible! Scozzi e morto! Un diavolo da inferno...

Tyrell nie mógł zrozumieć wszystkiego, co podniecony capo wykrzykiwał po włosku do telefonu, ale dotarło do niego wystarczająco dużo. Miał numer w Miami oraz dowiedział się o istnieniu kogoś nazywanego padrone., z kim można się było połączyć za pośrednictwem satelity komunikacyjnego; kogoś na wyspach, kto pomagał i chronił terrorystkę Bajaratt.

- Ho capito! Nuova York. Va bene!

Ostatnie słowa nietrudno było zrozumieć, pomyślał Hawthorne, gdy mafioso odłożył słuchawkę i spojrzał z niepokojem w stronę drzwi. Otrzymał polecenie udania się do Nowego Jorku, w którym będzie mógł zniknąć do czasu, aż znowu okaże się potrzebny. Tyrell podniósł porzuconą zardzewiałą kotwicę, leżącą na pomoście warsztatu, i kiedy płatny zabójca wyszedł, z całej siły wyrzucił ją w jego nogi, miażdżąc mu oba kolana.

Capo wrzasnął przeraźliwie i nieprzytomny runął jak długi na deski pomostu.

- Ciao - mruknął Hawthorne. Pochylił się nad ciałem, wsunął rękę do prawej kieszeni spodni Sycylijczyka i wyciągnął całą jej zawartość. Wyraźnie zdegustowany, przeglądał każdą rzecz po kolei. Były tam: gruby czarny modlitewnik po włosku, różaniec oraz portfelik z dziewięciuset frankami - mniej więcej sto osiemdziesiąt dolarów. Nie było notesu, portfela ani żadnych dokumentów. Omerta.

Tyrell wziął pieniądze, wstał i zaczął biec. Musiał gdzieś, w jakiś sposób znaleźć samolot i pilota.

Drobny mężczyzna w fotelu inwalidzkim wjechał z gabinetu do wyłożonej marmurem ptaszarni, w której oczekiwała Bajaratt.

- Baj, musisz natychmiast zniknąć - oznajmił stanowczo. Natychmiast. Samolot będzie tu za godzinę, a Miami przysłała dwóch ludzi, żeby się mną zaopiekowali.

-Padrone, chyba oszalałeś! Mam nawiązane kontakty - twoje kontakty - i w ciągu trzech dni ci ludzie przylecą tutaj, aby się ze mną zobaczyć. Potwierdziłeś wkłady Bekaa w St. Barts. Nie będzie żadnych dokumentów, które naprowadziłyby na ślad.

- Sytuacja jest o wiele poważniejsza, niż myślisz, moja jedynaczko. Scozzi nie żyje, zabił go Hawthorne. Maggio jest na Sabie, nieprzytomny z histerii, i twierdzi, że twój kochanek to diabeł z piekła rodem!

- Jest tylko człowiekiem - odparła zimnym tonem Bajaratt. Dlaczego go nie zabili?

- Też bardzo chciałbym wiedzieć. Ale ty musisz wyjechać.

Natychmiast!

- Padre, jak możesz przypuszczać, że Hawthorne skojarzy mnie z tobą? A jeszcze mniej jest prawdopodobne, aby wpadł na myśl, że Dominique Montaigne ma coś wspólnego z Bajaratt. Mój

Boże, kochaliśmy się dziś po południu. Na pewno jest przekonany, że właśnie lecę do Paryża! Ten dureń mnie kocha!

- Czy nie jest czasem sprytniejszy, niż sądzimy?

- Z całą pewnością nie! To zranione zwierzę potrzebujące pomocy. Dlatego ma klapki na oczach.

- A co powiesz o sobie, moja jedyna córko? Pamiętam, jak cztery lata temu wypełniałaś te sale pieśniami radości. Ten człowiek był ci najwyraźniej bliski.

- Nie bądź śmieszny! Niewiele brakowało, abym go zabiła przed paroma godzinami, ale przypomniałam sobie o recepcjoniście.

Na pewno zapamiętał, że jestem w pokoju... Uznałeś moją decyzję za słuszną, padrone, nawet chwaliłeś mą ostrożność. Co mam jeszcze dodać?

- A teraz mnie posłuchaj, Baj. Przewieziemy cię samolotem na St. Barts. Rano podejmiesz pieniądze, potem zaś przerzucimy cię do Miami albo gdzie zechcesz.

- Ale co z moimi kontaktami? Spodziewają się zastać mnie właśnie tutaj.

- Zatrąszczę się o to. Dam ci numer telefonu. Dopóki nie nawiąże z tobą łączności ktoś reprezentujący wyższą władzę, ci ludzie będą spełniali twoje życzenia... Wciąż jesteś moją jedyną córką, Annie.

- Padrone, podaj mi ten numer! Dokładnie wiem, co zrobić.

- Spodziewam się, że najpierw mnie powiadomisz.

- Czy mamy wspólnych przyjaciół w Paryżu?

- Naturalmente.

- Molto bene!

Hawthorne musiał koniecznie znaleźć samolot i pilota, ale nie to było w tej chwili najważniejsze. Istniał jeszcze inny problem wredny szczur, który nazywał się komandor Henry Stevens z wywiadu marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Z popiołów utraconych marzeń jak Feniks wyłoniło się nagle widmo Amsterdamu. St. Barts i zniknięcie Dominique zbyt zaczynały przypominać koszmarnie wydarzenia, które doprowadziły do śmierci jego żony.

Wszystko zdawało się pozbawione sensu! Tye musiał się dowiedzieć, czy Stevens był w to wszystko zamieszany w jakikolwiek sposób. Kiedy wręczył sto franków i przeliterował nazwisko oraz stopień służbowy samotnemu, obojętnemu radiooperatorowi w wieży kontrolnej, która ani nie przypominała wieży, ani właściwie niczego nie kontrolowała oprócz oświetlenia pasa startowego, zdołał wreszcie skorzystać z telefonu. Numer w Miami musiał zapamiętywać, telefon w Waszyngtonie znał od dawna.

- Departament Marynarki Wojennej - odezwał się głos, odległy o dwa i pół tysiąca kilometrów.

- Proszę Wydział Pierwszy, Wywiad. Kod dostępności cztery-zero.

- Czy to sprawa pilna?

- Owszem, marynarzu.

- W-Jeden - odezwał się po chwili drugi głos. - Czy potwierdza pan cztery-zero?

- Tak jest!

- Czego dotyczy?

- Mogę to przekazać jedynie komandorowi Stevensowi. Proszę go odnaleźć. Natychmiast.

- Po godzinach wszyscy pracują na górze. Kogo mam zapowiedzieć?

- „Amsterdam” załatwi sprawę. Będzie chciał, żebyście się pospieszyli.

- Zobaczymy.

Wyniosły oficer wywiadu „zobaczył” najwyraźniej bardzo szybko, bo ostry głos Stevensa rozległ się w słuchawce po kilku zaledwie sekundach:

- Hawthorne?

- Wierzyłem, że zrozumiesz aluzję, sukinsynu.

- Co to ma znaczyć?

- Cholernie dobrze wiesz, co to ma znaczyć! Odnalazły mnie twoje roboty, a ponieważ twe maleńkie ego nie mogło się pogodzić z faktem, że zwerbowało mnie MI-6, ukradłeś ją, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co zdołasz, bo wiedziałeś, że ja wam nic nie powiem! Obiecuję, że będę miał twoją dupę przed sądem wojskowym, Henry.

- Hej, powoli! Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi ani gdzie ona jest! Spędziłem wczoraj paskudne dwie godziny z dyrektorem CIA. Wziął mnie na dywanik za to, że nawet nie chcesz ze mną gadać, a ty teraz dzwonicz i wściekasz się, że cię jakoby znalazłem - choć nawet nie wiem, gdzie, u diabła, jesteś i porwałem kobietę, o której nawet nie słyszeliśmy. Daj mi spokój!

- Jesteś pieprzonym kłamcą! Nałgałeś mi w Amsterdamie.

- Miałem materiał dowodowy, sam go widziałeś.

- Sfabrykowałeś go!

- Niczego nie fabrykowałem, Hawthorne. Sfabrykowano go dla mnie!

- Znowu powtarza się historia z Ingrid!

- Pieprzysz! I jeszcze raz ci mówię - nie mamy na wyspach nikogo, kto cokolwiek wiedziałby o tobie albo jakiejś kobiecie!

- Doprawdy, komandorze? Telefonowało do mnie tutaj paru twoich błaznów i próbowało mi sprzedać bajeczkę o panice w Waszyngtonie. Wiedzieli, gdzie jestem. Reszta mogła być łatwa, nawet dla nich.

- W takim razie wiedzą coś, czego ja nie wiem! A ponieważ rano będę miał zebranie z tymi, jak ich nazywasz, błaznami, może mi coś powiedzą.

- Musieli mnie śledzić do St. Barts, zobaczyli tę kobietę ze mną i zwinęli ją, kiedy wyszła.

- Tye, na litość boską, naprawdę się mylisz! Oczywiście, przyznaję, że cholernie nam zależało, aby cię ściągnąć z powrotem...

Bylibyśmy durniami, gdyby było inaczej. Ale się nam nie udało, prawda? Angolom i Francuzom - owszem, lecz nam nie! Nie mamy na wyspach nikogo, kto mógłby cię rozpoznać!

- Nietrudno mnie znaleźć. Nawet się ogłaszam.

- Biorąc pod uwagę, że zależy nam na twojej pomocy, ostatnią rzeczą, jaką zrobilibyśmy, byłoby zatrzymanie i przesłuchanie twojej przyjaciółki. To zbyt głupie... Tye, czy znowu jesteś w obiegu?

- To chwilowa słabość. Bez znaczenia.

- Może jednak nie.

- Nie mógłbym przecież prowadzić dalej moich czarterów, gdybym się tym zajmował, dobrze o tym wiesz.

- Masz rację.

- Obaj mamy - odparł cicho Hawthorne. - Zamierzała dzisiaj wrócić do Paryża, a potem udać się do Nicei. Nie chciała jechać.

- Do diabła, ale pewnie tak zrobiła. Zapewne nie miała ochoty na długie pożegnania.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- Albo po prostu nie chcesz... Czy to możliwe?

- Wiesz - powiedział niechętnie Hawthorne, czując jak opuszcza go wola walki - kiedyś zrobiła już coś podobnego. Po prostu zniknęła.

- Założę się o swoją emeryturę, że postąpiła tak znowu.

Zadzwoń do niej wieczorem do Paryża. Sądzę, że ją tam znajdziesz.

- Nie mogę. Nie znam nazwiska jej męża.

- Bez komentarzy, komandorze poruczniku.

- Nie rozumiesz...

- Nawet nie próbuję....

- Trzeba się cofnąć o cztery... pięć lat.

- Przyznam się, że przestałem już kontaktować. To wtedy od nas odszedłeś.

- Tak, odszedłem od was, bo coś wyczułem. Wyczułem, że w Amsterdamie wszystko cholernie spieprzono. I tego przekonania nie wyzbędę się do końca życia.

- Nie mogę ci w niczym pomóc - odparł po dłuższym milczeniu dyrektor wywiadu marynarki wojennej.

- Nie oczekiwałem tego.

Znowu zapadła cisza.

- Czy razem z MI-6 i Deuxieme doszliście już do czegoś? zapytał wreszcie Stevens.

- Tak, niecałą godzinę temu.

- Zgodnie z sugestią Gillette'a z CIA rozmawiałem z Londynem i Paryżem. Z pewnością zechcesz się upewnić, ale ponieważ jestem najbliżej, mam ci dostarczyć wszystkie niezbędne informacje.

- Nie muszę niczego potwierdzać. Gdybyś skłamał, komandorze, i doprowadził do sytuacji, która wymknęłaby się spod kontroli, ukreśliłbyś stryczek na własną szyję. To nie w twoim stylu...

- Wiesz co, Hawthorne - oznajmił spokojnie Stevens - mogę znosić twoje chamskie uwagi tylko do pewnej granicy...

- Zniesiesz wszystko, co będę miał ochotę ci powiedzieć, Henry, wyjaśnijmy to sobie od razu. Jesteś urzędasem, a ja działam na umowie, i radzę, żebyś o tym nie zapominał. To ja ci wydaję rozkazy, a nie ty mnie, bo jeżeli spróbujesz, odejdę. Zrozumiałeś?

Zanim szef wywiadu marynarki odezwał się znowu, zapadła trzecia i najdłuższa pauza.

- Czy chcesz mi przekazać meldunek o rezultatach?

- Masz rację, chcę. I chcę również, żeby niezwłocznie podjęto działania. Dysponuję numerem w Miami, który ma bezpośrednie satelitarne łącze przekaźnikowe z jakimś miejscem tutaj na wyspach.

Chcę poznać tę lokalizację natychmiast, gdy ją ustalicie.

- Bajaratt?

- Możliwe. Zapisz numer. - Hawthorne wyrecytował go i aby upewnić się, że Stevens go zapisał, zażądał powtórzenia.

Potem podał numer lotniska na Sabie i właśnie miał zamiar odłożyć słuchawkę, kiedy szef wywiadu odezwał się znowu.

- Tyrell! - powiedział. - Odłóżmy na bok nasze nieporozumienia, mówię to zupełnie szczerze - I... czy mógłbyś udzielić mi jakichś informacji, scharakteryzować sytuację?

- Nie.

- Na rany boskie, dlaczego? Jestem twoim oficjalnym łącznikiem, dopuszczonym do sprawy przez wszystkie trzy rządy, doskonale wiesz, co to znaczy. Określenie „urzędas” dobrze do mnie pasuje. Będę wysuwał poważne żądania, a ludzie będą oczekiwać wyjaśnienia.

- Czyli w obiegu będą meldunki inner sanctum, prawda?

- Tryb maksymalnego bezpieczeństwa. To standard, jak ci wiadomo.

- W takim razie moja odpowiedź zdecydowanie brzmi: nie. Dla was dolina Bekaa może być sobie nawet ośrodkiem narciarskim, ale nie dla mnie. Widziałem, jak ich cholerne macki sięgają z Libanu do Bahrajnu, z Genewy do Marsylii, ze Stuttgartu do Lockerbie. Jesteście spenetrowani, Henry, tylko nie chcesz tego dostrzec... Jeżeli dowiesz się czegoś szybko, zadzwoń do mnie na Sabę, jeżeli później - łap mnie w jachtklubie na Virgin Gordzie.

W ciągu następnej półtorej godziny na Sabie wylądowały trzy prywatne samoloty, ale żaden z pilotów nie poddał się błaganiom obszarpanego Hawthorne'a ani też obietnicom hojnej zapłaty za przewiezienie go na Gorde. Według radiooperatora czwarty i ostatni samolot miał przylecieć mniej więcej za trzydzieści pięć minut.

Kiedy wyląduje, pas zostanie zamknięty na noc.

- Czy nawiązuje kontakt przed wylądowaniem?

- Oczywiście, mon, na podejściu jest już ciemno. Jeżeli wieje wiatr, podaję mu kierunek i prędkość.

- Kiedy pilot się zgłosi, chcę z nim porozmawiać.

- Jasne, mon, dla władzy wszystko.

Po czterdziestu jeden pełnych niepokoju minutach na wieży kontrolnej odezwał się głośnik radiowy:

- Saba, tu lot z Orangestad, F-O-cztery-sześć-pięć, zgodnie z planem. Czy warunki są normalne?

- Jeszcze dziesięć minut, mon, i nie miałbyś żadnych warunków, bo muszę się trzymać przepisów. Masz opóźnienie, F-O-pięć.

- Daj spokój stary, wiozę dobrych klientów.

- Nie w tej maszynie, mon. Nie znam cię...

- Jesteśmy nowi. Widzę twoje światła. Powtarzam, czy wszystko w normie? Mieliśmy ostatnio sporo świrowatej pogody.

- W normie, mon, poza tym, że jest tu ktoś, kto chciałby z tobą pogadać, honkie.

- O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz...

- Tu komandor porucznik T. Hawthorne z marynarki wojennej

Stanów Zjednoczonych - oznajmił Tyrell, chwytając antyczny mikrofon. - Mamy tu, na Sabie, sytuację alarmową i muszę zarekwirować pański samolot, żeby dostać się na brytyjską Virgin

Gorde. Plan lotu jest zatwierdzony, a pan otrzyma hojną zapłatę za stratę czasu i sprawione kłopoty. Czy ma pan dosyć paliwa? Jeżeli trzeba, wyprowadzimy cysterne.

- Tak jest, marynarzu! - w głośniku rozległ się podniecony okrzyk. Hawthorne popatrzył w wielkie, sięgające sufitu okno, wychodzące na pas i ku swojemu zdziwieniu zobaczył, że światła podchodzącego do lądowania samolotu zaczynają gwałtownie wzbijać się ku górze, a potem pochylają ostro w prawo i oddalają od Saby z maksymalną prędkością.

- Co on, u diabła, wyprawia! - wrzasnął Tyrell. - Co pan robi?! - powtórzył do mikrofonu. - Powiedziałem przecież, że mamy sytuację alarmową!

W głośniku panowała cisza. Żadnej odpowiedzi.

- Nie ma ochoty tu lądować, mon - oznajmił radiooperator.

- Dlaczego?

- Może dlatego, że pan z nim gadał. Mówił, że jest z Orangestad. Może tak, a może nie, mon. Może leciał z Vieques, co by znaczyło, że wystartował z Kuby.

- Skurwysyn! - Hawthorne wyrznął dłonią w oparcie krzesła. - Jakie interesy tu prowadzicie?

- Nie krzycz pan na mnie, mon. Codziennie składam meldunki, ale nikt z władz mnie nie słucha. Niedobre samoloty przylatują tu co dzień, lecz nikt się tym nie przejmuje.

- Przepraszam - powiedział Tyrell, spoglądając na pełną troski twarz radiooperatora. - Muszę zadzwonić w jeszcze jedno miejsce. Marynarka zapłaci. - Wybrał międzywyspowe połączenie z Gordą.

- Tye, chłopie, gdzie u diabła jesteś?! - wrzasnął Marty. Podobno masz być tutaj.

- Nie mogłem... Nie mogę złapać samolotu z Saby. Próbuję od trzech pieprzonych godzin.

- Na tych maleńkich wysepkach kładą się spać z kurami.

- Przeżyję jakoś do rana, ale jeżeli nie zdołam załatwić sobie stąd rejsu, zadzwonię, żebyś przysłał mi samolot.

- Żaden problem... Mam dla ciebie wiadomość, Tye...

- Od faceta, który nazywa się Stevens?

- Jeśli jest w Paryżu, to tak. Parę godzin temu zadzwonił do mnie recepcjonista i zapytał, czy twój czarter ciągle tutaj jest, a ja, po rozmowie z Cooke'em, powiedziałem - jak było uzgodnione - że odbieram wszystkie przeznaczone dla ciebie wiadomości. Mam tę informację tutaj. Jest od Dominique, razem z numerem telefonu w Paryżu.

- Daj mi go! - Hawthorne złapał leżący na biurku ołówek.

Mechanik z Gordy dyktował powoli. - Jeszcze jedno - odezwał się Tyrell. - Poczekać chwilę. - Odwrócił się do radiooperatora. Najwidoczniej nie uda mi się wylecieć stąd dziś w nocy, gdzie mógłbym się więc zatrzymać? To ważne.

- Wobec tego może pan, mon, zostać tutaj, kiedy zamknę lotnisko. W pokoju obok jest łóżko, ale nie znajdziesz pan tu żadnego jedzenia, tylko mnóstwo kawy. I tak moi przełożeni wystawią marynarce rachunek i schowają forszę do kieszeni. Rano przyniosę coś do zjedzenia. Przychodzę o szóstej.

- Dostanie pan ode mnie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby móc powiedzieć swoim przełożonym: „Pocałujcie mnie w dupę!”

- Bardzo mi się ten pomysł podoba.

- Jaki jest tu numer? - Radiooperator podał mu i Hawthorne, wróciwszy do telefonu, przedyktował go Marty'emu. - Jeżeli zgłosi się gość, który nazywa się Stevens... cholera, każdy kto do mnie zadzwoni... podaj mu ten numer, dobra? I dziękuję.

- Tye? - zapytał ostrożnie mechanik. - Chyba się w nic nie wkopałeś, chłopie?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Hawthorne, rozłączając się i natychmiast wybierając numer do Paryża.

- Allo, la maison de Couvier - odezwał się kobiecy głos.

- S'il vous pldit, la madame - odparł Tyrell. Jak na razie jego znajomość francuskiego okazywała się wystarczająca. - Chciałbym mówić z panią Dominique.

- Bardzo mi przykro, monsieur, ale zaraz po przyjeździe pani

Dominique zadzwonił z Monte Carlo jej mąż, nalegając, aby natychmiast do niego przyjechała... Madame darzy mnie zaufaniem, chciałabym więc zapytać, czy jest pan człowiekiem z wysp?

- Tak.

- Poleciała mi powtórzyć panu, że wszystko jest w porządku i powróci, jak tylko będzie mogła. Dziękuję Bogu, monsieur.

Jest pan człowiekiem, jakiego potrzebuje, na jakiego zasługuje.

Nazywam się Pauline i proszę rozmawiać w tym domu tylko ze mną. Czy możemy ustalić hasło na wypadek, gdyby madame była nieobecna?

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno: „Tu Saba”. I proszę jej powiedzieć, że nie rozumiem. Nigdy jej tutaj nie było!

- Jestem pewna, że miała ważny powód, monsieur. Niewątpliwie wszystko panu wyjaśni.

- Uważam, że jest pani naszą przyjaciółką, Pauline.

- Na zawsze, monsieur.

Na swojej prywatnej wyspie padrone, otoczony nowymi pomocnikami, chichotał na głos, wybierając numer hotelu w St. Barts.

- Miałaś rację, jedynaczko! - zawołał w słuchawkę, kiedy wreszcie połączono go z pokojem. - Kupił to! Połknął przynętę, jak powiadają Amerykanie, z haczykiem, żyłką i spławikiem. Ma teraz w Paryżu zaufaną osobę o imieniu Pauline!

- Doskonale, jedyny ojciec - odparła Bajaratt. - Niepokoi mnie jednak jeszcze jeden problem.

- Jaki, Annie? Twoja intuicja okazuje się zbyt dobra, aby ją lekceważyć.

- Ich kwatery główna znajduje się teraz w jachtklubie na brytyjskiej Virgin Gordzie...

Co otrzymali od MI-6? Albo nawet od amerykańskiego wywiadu?

- Co mam zrobić?

- Wyślij animale z Miami albo Porto Rico. Dowiedz się, kim są i czym dysponują.

- Zrobione, moje dziecko.

O czwartej rano przenikliwy dzwonek telefonu rozdarł ciszę opuszczonej wieży kontrolnej. Hawthorne stoczył się z wąskiego łóżka, przez chwilę mrugał oczyma, usiłując zorientować się, gdzie właściwie jest, a potem popędził przez otwarte drzwi do pomieszczenia z telefonem.

- Tak? - zawołał. - Kto mówi? - zapytał, potrząsając głową, aby pozbyć się resztek snu.

- Tu Stevens, ty sukinsynu - odparł oficer wywiadu z Waszyngtonu. - Siedzę nad tym niemal od sześciu godzin i kiedyś będziesz musiał wytłumaczyć mojej żonie, która z jakichś absolutnie niezrozumiałych powodów cię lubi, że pracowałem dla ciebie, a nie balowałem z nie istniejącą przyjaciółką.

- Każdy, kto używa takiego określenia, nie ma się o co martwić. Czego się dowiedziałeś?

- Zaczniemy od tego, że wszystko jest tak zakopane, iż trzeba archeologa, żeby wyciągnął to na światło dzienne. Oczywiście, numer w Miami jest zarezerwowany...

- Mam nadzieję, że nie sprawiło ci to kłopotów - wtrącił sarkastycznym tonem Tyrell. Stevens zignorował tę uwagę.

- Rachunki wystawiane są na popularną restaurację przy

Collins Avenue, która nazywa się „Wellington”, rzecz jednak w tym, że właściciel nic o tym nie wie, ponieważ żadnych rachunków nie dostaje. Skierował nas do firmy księgowej, która prowadzi jego finanse i płaci rachunki po weryfikacji.

- Można ustalić łącze. To się nazywa instalacja.

- Och, ustaliliśmy. Prowadzi do automatycznej sekretarki na jachcie stojącym w porcie w Miami. Właścicielem jest Brazylijczyk, którego chwilowo nie można złapać w Brazylii.

- Ten lupu nie rozmawiał z automatem! - naciskał Hawthorne. - Z drugiej strony był ktoś konkretny.

- Nie wątpię. Jak często w czasie operacji monitorowaliśmy automaty telefoniczne albo płatne telefony? Na jachcie był ktoś, komu polecono, aby się tam znajdował w czasie, gdy zadzwoni lupu.

- A więc nic nie osiągnąłeś.

- Tego bym nie powiedział - poprawił go Stevens. - Wezwaliśmy naszych elektronicznych czarodziejów z ich magicznym wyposażeniem. Rozebrali aparaturę jak szwajcarscy zegarmistrze, przelecieli ją kilkuset programami kontrolującymi i zdobyli coś, co nazwali laserowym śledzeniem satelitarnym.

- Co to daje?

- Zdobyli koordynaty miejsc, do których adresowano transmisję z satelity. Ograniczyli strefę odbioru do mniej więcej dwustu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych między cieśniną Anegada a Nevis.

- To bez znaczenia!

- Niezupełnie. Po pierwsze, jacht jest obecnie pod stałą obserwacją. Zwiniemy każdego, kto się do niego zbliży, i wypatroszymy - za pomocą chemii albo czegokolwiek.

- A co po drugie?

- Obawiam się, że mniej skuteczny wariant - odparł Stevens. - Dostaliśmy mniejszą wersję AWACS-a w bazie lotniczej

Patrick w Cocoa, na Florydzie. Może przechwycić transmisję satelitarną, ale żeby namierzyć talerze anteny, transmisja musi być aktywna.

- W takim razie zaprzestaną wszelkich transmisji, po obu stronach!

- Na to właśnie liczymy. Ktoś przyjdzie sprawdzić jacht i aparaturę. Musi to zrobić, bo ją uszkodziliśmy. Zjawi się, aby dociec, co się stało, i odebrać wszystkie przekazane informacje. To pewniak, Tye. Nie wiedzą, że ją odkryliśmy, a w chwili, gdy tylko ktoś się zbliży do jachtu, będziemy go mieli.

- Coś jest nie tak - odparł Hawthorne. - Coś jest nie tak, ale nie wiem, co.

Światło zachodzącego księżyca zniknęło za Miami, gdy niemal jednocześnie na wschodzie pojawił się brzask. Kamery wideo z teleobiektywem skierowano na jacht stojący w marinie, a odbierany przez nią obraz wyświetlany był na ekranie usytuowanym w odległości dwustu metrów od nabrzeża. Trzej agenci Federalnego

Biura Śledczego wpatrywali się po kolei w ekran, zmieniając się przy stole, na którym stał czerwony telefon z pojedynczym czarnym przyciskiem. Dzięki niemu mogli natychmiast połączyć się jednocześnie z CIA i wywiadem marynarki wojennej w Waszyngtonie.

- Wszystko to gówno warte - oznajmił dyżurujący agent, wstając z krzesła, aby odpowiedzieć na stukanie do drzwi. Mamy już pizzę, a ja wciąż nie odbieram całego obrazu. - Jego dwaj koledzy siedzący w fotelach obok otworzyli oczy, ziewając.

Drzwi się rozwarły.

Serie z pojedynczej broni automatycznej były ostateczne i śmiertelne. W ciągu niecałych czterech sekund wszyscy trzej agenci leżeli martwi na podłodze, zakrwawieni i podziurawieni jak sita. A widoczny na telewizyjnym ekranie, stojący w porcie jacht eksplodował, wysyłając ostre, poszarpane płomienie w niebo nad Miami.

ROZDZIAŁ 6

Jezu Chryste! - Stevens ryknął przez telefon do wciąż siedzącego na Sabie Hawthorne'a. - Wiedzą wszystko! Wszystko, co robimy!

- To znaczy, że masz przeciek.

- Nie mogę wprost uwierzyć!

- Lepiej uwierz. Taka jest prawda. Będę z powrotem na Gordzie mniej więcej za godzinę...

- Do diabła z Gordą, zabierzemy cię z Saby. Nasi kartografowie mówią, że to niedaleko rejonu celu.

- Twój samolot nie może lądować na tym pasie, Henry.

- Diabła tam nie może! Rozmawiałem z naszą kontrolą lotów.

Jest tam prawie dziewięćset metrów. Na maksymalnym ciągu hamującym można lądować. Chcę, żebyś sprawdził te koordynaty to wszystko, co nam zostało! Jeżeli coś się wyjaśni, podejmij wszelkie działania, jakie uznasz za stosowne. Samolot przechodzi pod twoją komendę.

- Dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych pomiędzy Anegadą i Nevis? Czyś ty, do cholery, zwariował?

- A masz jakąś lepszą propozycję? Tu chodzi o psychopatkę, która może rozwalić cały nasz rząd. Szczerze mówiąc, po tym, czego się o niej dowiedziałem, Tye, boję się, boję się jak diabli!

- Nie mam lepszych propozycji - przyznał Hawthorne. Odwołam Gordę i poczekam tutaj. Wierzę, że w Patrick służą wybitni piloci.

AWACS II pojawił się na niebie od zachodu - nieładny, gruby, o perkatym nosie samolot z wielkim dyskiem sterczącym nad kadłubem. Supertajna maszyna zniżła się, ale zamiast wylądować, doleciała do końca pasa, zatoczyła koło i powtórzyła operację.

Przypatrujący się temu Tyrell doszedł właśnie do wniosku, że pilot rozmawia z bazą Patrick i melduje im, że powariowali, kiedy przy trzecim podejściu potężny samolot niemal spłynął w dół jak piórko, niebezpiecznie blisko krawędzi pasa. Jego natychmiast przestawione na ciąg hamujący silniki odrzutowe głośno ryknęły.

- Hej, mon - zawołał radiooperator z wieży kontrolnej.

Z zapartym tchem wpatrywał się szeroko otwartymi oczyma, jak maszyna zatrzymuje się kilkaset metrów przed końcem pasa, potem zawraca i kołuje z powrotem. - Ten pilot jest dobry! Nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego na Sabie. Przecież on lata ciężarną krową!

- Już sobie pójdę, Calvin - oznajmił Hawthorne, kierując się w stronę drzwi. - Moi współpracownicy albo ja skontaktujemy się z tobą. Weź pieniądze.

- Jak już powiedziałem w nocy, mon, to całkiem fajny pomysł.

Tyrell biegł przez płytę lotniska, gdy boczne drzwi AWACS-a

II otworzyły się i po opuszczonych metalowych stopniach zszedł oficer w towarzystwie starszego sierżanta. Stanęli na ziemi i się przeciągnęli.

- Cholernie dobre latanie, poruczniku - pochwalił Hawthorne, widząc srebrny prostokąt na kołnierzu oficera.

- Próbujemy dostarczyć pocztę elektroniczną, przyjacielu. Był bez czapki, miał jasnokasztanowe włosy i wyraźną południową wymowę. - Jest pan mechanikiem? - zapytał, patrząc na przetłuszczony kombinezon Tyrella.

- Nie, jestem paczką, którą macie zabrać.

- Nie żartuje pan?

- Proszę go zapytać o jakiś dokument identyfikacyjny - odpowiedział starszy sierżant, trzymający groźnie rękę za pazuchą kurtki lotniczej.

- Jestem Hawthorne!

- Udowodnij to, kolego - nie ustępował sierżant. - Nie wyglądasz mi na komandora.

- Nie jestem komandorem... No cóż, kiedyś byłem, ale już nie jestem. Chryste, czy Waszyngton wam nie wyjaśnił? Wszystkie moje dokumenty leżą na dnie portu.

- No, no, bardzo wygodna wymówka - oznajmił podoficer, powoli wyciągając zza pazuchy służbowego kołta 0.45.- Mój kolega, pan porucznik, obsługuje te wymyślne zabawki, ja zaś pilnuję wszystkich pozostałych spraw. Takich jak, powiedzmy, sprawy bezpieczeństwa.

- Odłóż to, Charlie - odezwał się kobiecy głos. W luku pojawiła się szczupła postać w mundurze i zeszła po stopniach na ziemię. Zbliżyła się do Hawthorne'a i wyciągnęła rękę. - Major

Catherine Neilsen, komandorze poruczniku. Przepraszam za te dwa przejścia nad lądowiskiem, ale wątpliwości, wyrażone przez pana w rozmowie z komandorem Stevenssem, okazały się uzasadnione.

Lądowanie było ryzykowne... W porządku, Charlie, Waszyngton przefaksował jego fotografię. To ten człowiek.

- Jest pani pilotem?

- Zaskoczyło to pana, komandorze?

- Nie jestem komandorem...

- Marynarka twierdzi, że tak. Sierzancie, może lepiej nie chowajcie broni.

- Z przyjemnością, majorze.

- Czy moglibyście skończyć, te... te nonsensy?

- Chodzi o to, żebyśmy przestali pieprzyć głupoty? - zapytała pilot.

- O to właśnie mi chodzi.

- A może właśnie nam coś się tu nie podoba. Uznajemy zasadę, że poszczególne rodzaje sił zbrojnych powinny ze sobą współpracować, ale trudno pogodzić się z faktem, że były oficer marynarki, który absolutnie nie ma pojęcia o metodyce naszych działań, ma dowodzić tym samolotem.

- Ależ proszę pani... majorze, ja przecież o nic nie prosiłem!

Wciągnęli mnie w ten bajzel tak samo jak was.

- Nie wiemy, co to za bajzel, panie Hawthorne. Powiedziano nam jedynie, że mamy latać w rejonie o określonych koordynatach, przechwytywać wszystko, co zdołamy odnaleźć, a dane przekazywać

Panu. I że pan, tylko pan, będzie nas informował, co robić dalej.

- Co... co za cholerstwo.

- Absolutne gówno, komandorze.

- Dokładnie.

- Cieszę się, że tak dobrze się rozumiemy. - Major zdjęła oficerską czapkę z daszkiem, wyjęła kilka wsuwek i rozrzuciła włosy na ramiona. - A teraz wprawdzie nie mam ochoty na łamanie przepisów o tajemnicy, ale bardzo chciałabym się dowiedzieć w ogólnych zarysach, czego pan od nas oczekuje, komandorze.

- Proszę posłuchać, majorze. Jestem jedynie facetem czarterującym jachty na wyspach. Prawie pięć lat temu dałem sobie spokój z wojskiem, aż tu nagle zostałem zwerbowany przez rządy trzech państw, które całkowicie błędnie wyobrażają sobie, że mogę im dopomóc w rozwiązaniu czegoś, co uważają za kryzysową sytuację. No, a teraz, jeżeli ma pani inne zdanie, proszę zabrać stąd tę swoją ciężarną krowę i zostawić mnie w spokoju!

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Rozkazy.

- Twardy z pani człowiek, majorze.

- A pan jest cholerycznym byłym oficerem marynarki.

- Co więc będziemy robić dalej? Stać tu i obrażać się nawzajem?

- Proponuję, żebyśmy się wzięli do roboty. Niech pan wchodzi na pokład.

- Czy to rozkaz?

- Wie pan, że nie mogę go wydać - odparła pilot, odgarniając włosy lewą ręką. -

Dopóki jesteśmy na ziemi, jest pan ode mnie starszy rangą; na górze będziemy mniej więcej na równych prawach...

Ale nadal maszyną dowodzi pan.

- Dobra. W takim razie ładujcie tyłki na pokład i startujmy.

Stłumiony ryk silników odrzutowych stanowił ciągłe, denerwujące tło dźwiękowe, gdy AWACS II wędrował tam i z powrotem po niebie, pochylając się przy zwrocie rozpoczynającym kolejny przelot po trasie patrolu. Porucznik operujący złożonym wyposażeniem elektronicznym, słysząc nieregularne popiskiwanie o różnym natężeniu, manipulował dziwnymi przyciskami i obracał tajemnicze pokręta. Po każdej takiej czynności wystukiwał krótki zestaw liter na klawiaturze komputera, który następnie wyrzucał z drukarki do umocowanego do niej kosza wydruk dokumentujący jego działania.

- Rany boskie, co się dzieje? - zapytał Hawthorne, siedzący w obrotowym fotelu nieopodal młodego oficera.

- Niech się pan nie denerwuje prosiaczkami, komandorze odparł porucznik. - W porze obiadowej stają się trochę hałaśliwe.

- Co, u diabła, ma to znaczyć?

- Żeby łaskawie zechciał się pan zamknąć, sir, bo muszę się skupić... Oczywiście, za pozwoleniem marynarki wojennej... sir!

Tyrell odpiął pas biodrowy, wstał i przeszedł do kabiny pilotów, gdzie przy sterach siedziała major Catherine Neilsen.

- Czy mogę tu usiąść? - zapytał, wskazując wolny fotel obok niej.

- Nie musi pan pytać, komandorze. Jest pan odpowiedzialny za tego ptaszka, z wyjątkiem spraw dotyczących bezpieczeństwa lotów i regulaminu.

- Czy moglibyśmy dać sobie spokój z tymi wojskowymi ceregielami, majorze? - zaproponował Hawthorne, siadając w fotelu i zapinając pasy. Z ulgą uświadomił sobie również, że ogłupiający szum silników odrzutowych był tu o wiele słabszy. - Mówiłem już przecież, że nie jestem w marynarce i oczekuję waszej pomocy, a nie okazywania mi wrogości.

- No dobra, w jaki sposób mogłabym pomóc... Chwileczkę! Pilot poprawiła słuchawki.

- O co chodzi, Jackson? Mam ponownie wejść na ostatnią trajektorię z PW...? W porządku,

geniuszu. Neilsen znowu pochyliła samolot na skrzydło, wykonując zakręt o sto osiemdziesiąt stopni. - Przepraszam, komandorze, ale na czym skończyliśmy? Aha, w jaki sposób mogłabym pomóc?

- Niech pani zacznie od wyjaśnień. Co znaczy „ostatnia trajektoria”, dlaczego mamy ponownie na nią wchodzić i co, u diabła, ten „geniusz” robi tam z tyłu?

Major się roześmiała. Był to przyjemny śmiech - bez szyderstwa czy fałszywego poczucia wyższości. Po prostu dorosłą dziewczynę rozśmieszyła zabawna sytuacja.

- Zacznijmy od tego, sir, że Jackson jest geniuszem...

- Proszę sobie dać spokój z tym „sir”. Już nie jestem komandorem porucznikiem, a nawet gdybym nim jeszcze był, to o ile wiem, wcale nie jest to wyższa ranga od majora.

- W porządku, panie Hawthorne...

- Proszę mi mówić Tye. Skrót od Tyrell. Tak mam na imię.

- Tyrell? Cóż za koszmarnie imię. Nosił je zabójca dwóch młodych księząt w londyńskiej Tower. Szekspir dokładnie opisał ten fakt w Ryszardzie III.

- Ojciec miał dość dziwne poczucie humoru. Gdyby mój brat był dziewczyną, jestem pewien, że nazwałby go Medeą. Ale ponieważ okazał się chłopcem, ojczulek zadowolił się Marcusem

Antoniusem Hawthorne'em. Mama przerobiła to dumne imię na:

Marc Anthony.

- Chyba polubiłabym pańskiego ojca. Mój, który ledwo sobie dawał radę z pracą na roli w Minnesocie, był spragnionym wiedzy synem szwedzkich emigrantów. Miałam do wyboru: albo uczyć się jak wszyscy diabli, żeby zwolniono mnie z czesnego w college'u i bym mogła dostać się do West Point, albo do końca życia przetrzącać krowie gówno. Ojciec dał mi to wyraźnie do zrozumienia.

- Mam wrażenie, że również polubiłbym pani ojca.

- Wróćmy do pytań - oznajmiła Neilsen, nagle znowu zachowując poprzedni dystans. - Jackson Poole - z Luizjańskich

Poole'ów, proszę pamiętać - uśmiechnęła się lekko - to nasz geniusz, jeśli chodzi o tę aparaturę, a także wspaniałe pilot.

Jest moim zastępcą, ale gdy dotykam jego maszynierii, wrzeszczy na mnie.

- Innymi słowy, ma dwa wspaniałe talenty. I na pewno jest ciekawym facetem.

- Rzeczywiście. Wstąpił do wojska, bo tutaj idzie prawdziwa forsa na komputery, ale nie ma zbyt wielu wykwalifikowanych fachowców. Doskonale radzi sobie sam. W służbie liczy się, ile jesteś wart; armii nie stać, aby przegapić prawdziwe zdolności...

A przy okazji: powiedział mi, żeby ponownie wejść na tę samą trajektorię z PW, czyli - mówiąc przystępnym językiem - mamy zawrócić i przelecieć naszym obecnym kursem przez rejon poszukiwań od ustalonego punktu wejścia.

- Co to oznacza?

- Próbuje znaleźć panu wzór... Nie tej komunikacji, którą może zidentyfikować, a jest tego przynajmniej pięćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu źródeł, nie licząc wojskowych i dyplomatycznych, ale namierzając odchylenia - nadzwyczajne i na dobrą sprawę nie dające się wysledzić.

- Czy służą mu do tego właśnie owe guziki, wskaźniki i popiskiwanie?

- O tak, właśnie one.

- Nie cierpię renesansowych ludzi.

- Czy wspomniałam, że jest również jednym z najlepszych instruktorów karate w bazie Patrick?

- Jeżeli sprowokuje z panią bójkę, majorze - oznajmił z uśmiechem Tyrell - będę po jej stronie. Kulawy krasnoludek mógłby mnie wykopać z ringu.

- Raczej niezbyt się to zgadza z pańskimi aktami.

- Moimi aktami? To już nie ma nic świętego?

- Oczywiście, że nie, jeżeli przejmuje pan choćby częściową kontrolę nad oficerem równym rangą z innego rodzaju sił zbrojnych.

Wojskowa grzeczność, podobnie jak regulaminy, wymaga, aby podporządkowany oficer był w pełni przekonany o kwalifikacjach nowego dowódcy. Zostałam przekonana.

- Bynajmniej nie okazała pani tego na Sabie.

- Byłam wściekła. Pana też by wzięła cholera, gdyby jakiś obcy wpakował się w pański zakres działań i oświadczył, że przejmuje dowodzenie.

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- Oczywiście, że pan powiedział. W niedwuznaczny sposób rozkazując nam: „ładujcie tyłki na pokład”. Wtedy właśnie się przekonałam, że nadal jest pan komandorem porucznikiem Hawthorne'em.

- Mam! - W ogromnym kadłubie AWACS-a II rozległ się tak głośny wrzask, że przedarł się nawet przez ryk silników i wprawił w wibrację słuchawki. - To niesamowite! - Jackson Poole stał przy swoim długim biurku z blatem z masy plastycznej i machał rękami.

- Spokojnie, kochanie! - rozkazała major Neilsen, wyrównując samolot. - Usiądź i powiedz nam grzecznie, co znalazłeś...

Komandorze, proszę założyć słuchawki, aby mógł pan wszystko słyszeć.

- Kochanie? - zapytał mimowolnie Tyrell. Jego głos zabrzmiał ostro w intercomie.
- Nasz lotniczy żargon, komandorze. Niech pan nie próbuje niczego kombinować - odparła major Catherine.
- Niczego, marynarzu - dodał starszy sierżant Charlie ze służby bezpieczeństwa. - Może pan sobie być szyczą, sir, ale wciąż jest pan tu tylko gościem.
- Wie pan co, sierżancie, zaczyna, pan być wielkim wrzodem na dupie!
- Daj pan spokój, Hawthorne - próbowała go ułagodzić blond pilot. - Co znalazłeś, poruczniku?
- Coś, co nie istnieje, Cathy! Nie ma tego na żadnej mapie rejonu. A przecież sprawdziłem każdy szczegółowy program na ekranie!
- Mów jaśniej, proszę.
- Sygnał odbija się od japońskiego satelity i kieruje donikąd, przynajmniej na mapie. Ale to musi być tutaj! Transmisja jest wyraźna.
- Poruczniku - wtrącił się Tyrell. - Czy pańska aparatura może ustalić, skąd pochodzi transmisja?
- Nieprecyzyjnie. Nasi więksi bracia zapewne mogą, ale my jesteśmy ograniczeni w swoich możliwościach. Mogę panu jedynie pokazać skomputeryzowaną projekcję laserową.
- Co to, u diabła, takiego?
- Coś takiego jak gra w golfa w pomieszczeniu. Uderza pan w piłkę na podstawce, piłka uderza w ekran elektroniczny i ma pan natychmiastowy obraz, dokąd poleciałaby na prawdziwym polu.
- Nie gram w golfa, ale wierzę panu na słowo. Ile czasu to zajmie?
- Pracuję nad tym w trakcie naszej rozmowy... W tym wypadku mogę dać panu niemal gwarancję.
- W jakim wypadku?
- Naszej transmisji donikąd. Pochodzi skądś w rejonie Morza Śródziemnego i jest przekazywana przez japońskiego satelitę Noguma.
- Włochy? Południowe Włochy?
- Możliwe. Albo północna Afryka. Mniej więcej ten rejon.
- Mamy nasz cel! - oznajmił Hawthorne.
- Jest pan pewien? - spytała Neilsen.

- Dowodzi tego moje zranione ramię, trzy kawałki plastra i wszystko inne. Poruczniku, czy może mi pan podać dokładne, powtarzam: dokładne, koordynaty tego „nic” pod nami?

- Jasne, mam je już wprowadzone. Małe skrawki lądu w odległości około czterdziestu pięciu kilometrów na północ od Anguilli.

- Jestem prawie pewien, że je znam! Poole, pan rzeczywiście jest geniuszem.

- Nie ja, sir, ale aparatura.

- Możemy mieć coś lepszego niż koordynaty - oświadczyła

Catherine Neilsen, oddając wolant i zaczynając schodzenie. Obejrzymy sobie owo „nic na dole” tak dokładnie, że będzie pan znał każdy centymetr terenu.

- Nie, proszę tego nie robić.

- Zwariował pan? Jesteśmy na miejscu, na górze i mamy taką szansę!

- A ten, kto jest na dole, będzie od razu wiedział, co tu robimy.

- Ma pan cholerną rację.

- Właśnie! Byłoby kiepsko. Gdzie najbliżej może pani wylądować tą krową?

- Ten samolot, do którego jestem zresztą bardzo przywiązana, choć rzeczywiście może trochę przypomina niezgrabną krowę, nie ma prawa lądować na obcym terytorium. To absolutnie kategoryczny zakaz.

- Nie pytam, majorze, gdzie pani ma prawo lądować. Po prostu zapytałem, gdzie pani może. A więc?

- Według moich map na St. Martin. To francuskie terytorium.

- Wiem. Przecież pływam tu z czarterami, nie pamięta pani?

Czy w tej znajdującej się przede mną kolekcji niezwyklego wyposażenia jest coś, co mógłbym wykorzystać w charakterze zupełnie normalnego telefonu?

- Oczywiście. To coś nazywa się telefon i znajduje się bezpośrednio pod pańskim podłokietnikiem.

- Żartuje pani. - Hawthorne znalazł aparat, zdjął słuchawkę z widełek i zapytał: - Jak się z niego korzysta?

- Tak jak ze zwykłego telefonu, ale zdając sobie sprawę, że rozmowa jest zapisywana w bazie lotniczej Patrick i natychmiast przekazywana do Pentagonu.

- Uwielbiam coś takiego - oznajmił Tyrell, wybierając gwałtownie numer. Po paru sekundach odezwał się:

- W-Jeden, i to szybko, marynarzu! Kod cztery-zero, chcę mówić z komandorem Henrym Stevensem. Wyświadczyć mi też przyjemność i omińcie tego dupka, który będzie chciał wysłuchać mojej biografii. Nazwisko Tye, literuję: T, Y, E, ułatwi wam połączenie.

- Hawthorne, gdzie jesteś? Co ustaliliście? - Stevens odezwał się w słuchawce niecałe trzy sekundy później. Mówił tak szybko, że słowa niemal się zlewały ze sobą.

- Nasza rozmowa jest nagrywana i zostanie przekazana do Arlington...

- Nie z tego samolotu. Jest całkowicie utajniony. Możesz przyjąć, że jesteś w konfesjonale z najwyższym kapłanem tajemnic.

Jakie masz informacje?

- Ten szybki i paskudny samolot, który wyciągnąłeś z Patrick, jest cudowny. Znaleźliśmy cel transmisji i chcę, aby porucznika

Poole'a natychmiast awansowano do stopnia pułkownika albo i generała!

- Tye, piłeś coś?

- Nie i bardzo tego żałuję. Poza tym, ponieważ zajmujesz się tymi zabawami w Pentagonie, melduję, że mam tu pilota. Nazywa się Neilsen, na imię ma Catherine, i nalegam, aby uczyniono ją naczelnym dowódcą lotnictwa. Co ty na to, Hank?

- Widzę, że rzeczywiście wróciłeś - odparł Stevens ze złością.

- Nie ma mowy, Henry - odparł spokojnie i absolutnie trzeźwym głosem Tyrell. - Po prostu chciałem dać ci do zrozumienia, jacy są dobrzy.

- OK, przyjmuję do wiadomości i dostaną swoje wyróżnienia, zgoda? A teraz, co powiesz o celu?

- Jest nie zarejestrowany, nie ma go na mapie, ale znam tę grupkę tak zwanych bezludnych wysp - jest ich chyba pięć czy sześć - i dzięki temu samolotowi mam jego dokładne koordynaty.

- Wspaniale. Bajaratt musi tam być! Wyślemy grupę uderzeniową.

- Jeszcze nie. Pozwól mi najpierw upewnić się, czy ona rzeczywiście tam jest. A jeżeli jest, kim są jej opiekunowie. To przecież jedyna nić, która może nas zaprowadzić do siatki terrorystycznej.

- Tye, muszę ci zadać pytanie. Byłeś bardzo skuteczny w tego rodzaju sytuacjach parę lat temu, ale trochę czasu już upłynęło...

Dasz sobie radę, komandorze? Nie chciałbym... jestem za ciebie odpowiedzialny.

- Wydaje mi się, że robisz aluzję do mojej zmarłej żony, komandorze.

- Wolałbym nie zaczynać tego od nowa. Nie mieliśmy nic wspólnego z jej śmiercią.

- Dlaczego więc wciąż dręczą mnie wątpliwości?

- Twój problem, Tye, nie mój. Chcę się po prostu upewnić, że nie zamierzasz ugryźć więcej, niż możesz połknąć.

- Nie masz nikogo więcej do dyspozycji, dajmy więc sobie spokój z tymi pierdołami. Chcę, żeby ten samolot wylądował na St.

Martin, po francuskiej stronie. Połącz się więc z Deuxieme na Quai d'Orsay, a potem załatw sprawę z bazą lotniczą Patrick na Florydzie.

Kiedy tam wylądujemy, mam dostać całe potrzebne wyposażenie.

Bez odbioru, Henry. Ruszaj się.

Hawthorne odłożył słuchawkę, przymknął na chwilę oczy, a potem odwrócił się do pilota.

- Lecimy na St. Martin, majorze - rzekł ze zmęczeniem. Dostaniemy zezwolenie, zapewniam panią.

- Byłam na kanale telefonicznym - odparła Neilsen ze spokojnym zdecydowaniem. - Do moich obowiązków należy monitorowanie wszystkich rozmów prowadzonych z samolotu takiego jak ten. Jestem pewna, że pan to rozumie.

- Jestem pewien, że muszę.

- Wspomniał pan swoją żonę. Jej śmierć...

- Tak. Stevens i ja pracowaliśmy dość długo i czasami wymknie mi się w rozmowie coś, o czym nie powinienem wspominać.

- Przykro mi. Z powodu pańskiej żony.

- Dziękuję - odparł Tyrell i pogрузzył się w milczeniu. Proste słowo „kochanie” wyprowadziło go z równowagi, sprawiło, że zaczął się zachowywać jak głupiec. Zupełnie jakby uważał, że to czułe słówko jest zarezerwowane wyłącznie dla niego i nie powinno być używane przez nikogo więcej, a zwłaszcza przez arogancką

Amerykankę, oficera sił powietrznych, w rozmowie z podwładnym.

Ten zasadniczo europejski zwrot należało wypowiadać po cichu albo z uczuciem, albo ot tak, mimochodem, a jego głębię i ciepło rozumiało się samo przez się. Tylko dwie kobiety w jego życiu posługiwały się w miarę regularnie tym słowem. Ingrid i Dominique - jedyne kobiety, które kiedykolwiek kochał. Uwielbiana żona i nieuchwytna, pełna czaru istota, która przywróciła mu zdrowie psychiczne. Słowo to należało do nich i używały go, zwracając się do niego. Mimo wszystko jednak zachował się -jak idiota. Zwroty nie są niczyją wyłączną własnością, przecież doskonale o tym wie. Ale nie powinny być nadużywane, trywializowane.

O, Chryste! Musi się z tego otrząsnąć. Ma pracę do wykonania. Cel!

- St. Martin na kursie... Tye - oznajmiła cicho major Neilsen.

- Co? Przepraszam, co pani powiedziała?

- Przez kilka minut .byłeś w transie albo drzemałeś z otwartymi oczyma. Dostałam zezwolenie na lądowanie w St. Martin zarówno z Patrick, jak i od władz francuskich. Zatrzymamy się na krańcu płyty lotniska i oddział wartowniczy otoczy samolot zabezpieczony przez Charliego... Dowiadywałam się, czy jesteś zawodowcem, ale nie spodziewałam się czegoś takiego.

- Powiedziałaś do mnie: Tye.

- Polecieś mi, komandorze. Proszę nie nadawać temu jakiegóś szczególnego znaczenia, sir.

- Obiecuję.

- Patrick i Francuzi potwierdzili. Zostaliśmy odkomenderowani do twojej dyspozycji, dopóki nas nie zwolnisz. Przypuszczają, że potrwa to cały dzień dzisiejszy, a może nawet jutrzejszy... Co się, u diabła, dzieje, Hawthorne? Mówisz o terrorystach i kontaktach terrorystów, odnajdujemy nie zaznaczone na mapie wyspy, które marynarka wojenna gotowa jest zdmuchnąć z powierzchni oceanu...

Mam wrażenie, że to nieco niezwykle, nawet w naszej pracy.

- Bo jest niezwykle, i to nawet bardzo, majorze... Cathy.

Proszę nie nadawać temu jakiegóś szczególnego znaczenia, pani pilot.

- Zachowuj się poważnie. W końcu mamy prawo wiedzieć. Ty masz prawo wydawania poleceń dotyczących naszych zadań, ale ja jestem pilotem i ponoszę odpowiedzialność za ten bardzo kosztowny samolot i jego załogę.

- Racja, jesteś pilotem. Dlaczego więc mi nie powiesz, gdzie jest twój zastępca, czyli drugi pilot? •

- Mówiłam ci przecież, że Poole ma pełne kwalifikacje odparła Neilsen i głos jej lekko zadrżał.

- Rany boskie, majorze Neilsen, dlaczego wciąż mi się zdaje, że kogoś nam brakuje na pokładzie?

- W porządku - odrzekła zakłopotana Catherine. - Twój kapitan Stevens stanowczo nalegał, żeby wystartować z Patrick natychmiast albo nawet pięć minut wcześniej. Nie mogliśmy złapać

Sala, który zazwyczaj siedzi w twoim fotelu. Wiemy, że ma jakieś problemy małżeńskie, nie szukaliśmy go więc zbyt intensywnie.

W końcu, jak już powiedziałam, porucznik Polle jest równie dobrym pilotem jak ja, a to coś znaczy.

- Z całą pewnością. A czy ta Sal-jest kolejną niesłychanie zdolną kobietą oficerem?

- Sal jest zdrobnieniem od Salvatore. Jest wspaniałym facetem, ale ma żonę flądę, która ostro daje sobie w gaz. Ponieważ byliśmy na służbie, wystartowaliśmy, aby spełnić prośbę marynarki wojennej.

Prośbę? Do diabła, raczej rozkaz!

- Czy to nie jest wbrew przepisom?

- Słuchaj, nie powiesz mi, że nigdy nie kryłeś kolegi. Myśleliśmy, że będzie to dwu-, najwyżej czterogodzinny patrol. Wrócimy, nikt się o niczym nie dowie, a być może Manciniemu uda się w tym czasie rozwikłać jakieś swoje problemy. Czy jest przestępstwem zrobienie czegoś takiego dla przyjaciela?

- Nie - odparł Hawthorne. Przez głowę błyskawicznie przemknęły mu liczne niedopatrzienia, które w przeszłości udaremniły ze sto tajnych operacji. - Czy Patrick może monitorować kanały łączności z tego samolotu?

- Oczywiście, ale słyszałeś, co mówił Stevens. Nic nie jest rejestrowane ani wysyłane do Pentagonu. Wszystko jest utajnione...

- Tak, rozumiem, jednakże baza na Florydzie może nas podsłuchiwać?

- Owszem. Kilka wybranych osób.

- Połącz się z bazą i powiedz, że chcesz mówić ze swoim przyjacielem Mancinim.

- Co? Mam go wkopać?

- Po prostu zrób tak, majorze. Proszę pamiętać, że z wyjątkiem spraw pilotażu, ja dowodzę całą operacją.

- Ty sukinsynu!

- A teraz łącz się. Natychmiast.

Neilsen nastroiła się na częstotliwość Patrick i z wyraźnie wyczuwalną niechęcią odezwała się do mikrofonu:- Mój oficer pokładowy chciałby mówić z kapitanem Mancinim. Czy jest na miejscu?

- Cześć, majorze - rozległ się w głośniku kobiecy głos. Bardzo mi przykro, ale Sal jakieś dziesięć minut temu poszedł do domu. Ponieważ jednak nie ma wpisu do księgi raportów ani nic w tym rodzaju, muszę ci powiedzieć, Cathy, że jest ci bardzo wdzięczny za wszystko, co zrobiłaś.

- Mówi komandor porucznik Hawthorne z wywiadu marynarki wojennej - wtrącił się Tyrell, podnosząc do ust mikrofon. Czy kapitan Mancini zna nasze meldunki?

- Oczywiście, ma dostęp. Gathy, co to za facet z marynarki?
- Po prostu odpowiedz na pytania, Alice - rzekła Neilsen, wbijając wzrok w Tyrella.
- Kiedy kapitan Mancini pojawił się w waszym centrum łączności?
- Och, nie wiem, jakieś trzy czy cztery godziny temu, mniej więcej dwie godziny po starcie AWACS-a II.
- Czy jego zachowanie nie wydało się wam dziwne? Miał przecież być w samolocie, nie na ziemi.
- Hej, komandorze, jesteśmy ludźmi, nie robotami. Nie można się było porozumieć z nim na czas, a wszyscy wiemy, że w samolocie jest wykwalifikowany zmiennik.
- Wciąż chciałbym wiedzieć, dlaczego w tych okolicznościach znajdował się w waszym centrum łączności. Mam wrażenie, że kapitan Mancini wołał pozostawać nieosiągalnym.
- Skąd mogę wiedzieć... sir? Kapitan Sal jest bardzo sumiennym pracownikiem. Zachowywał się tak, jakby czuł się winny albo coś w tym rodzaju. Notował wszystko, o czym mówiliście.
- Wydajcie rozkaz aresztowania go - zażądał Hawthorne.
- Co?!
- Słyszeliście. Natychmiastowe aresztowanie i pełna izolacja, dopóki nie porozumie się z wami Stevens z wywiadu marynarki. On wyda wam następne polecenia.
- Nie mogę w to uwierzyć!
- Lepiej uwierzcie, Alice, bo nie tylko możecie znaleźć się bez pracy, ale i w areszcie.
- Hawthorne odłożył mikrofon.
- Co ty, u diabła, wyprawiasz?! - zawołała Catherine Neilsen.
- Dobrze wiesz, co robię. Człowiek z klauzulą bezpieczeństwa, pozostający w stałej dyspozycyjności, osiągalny pod każdym numerem, jaki pozostawi w bazie, w tym również za pośrednictwem zafundowanego przez rząd telefonu w samochodzie, nie otrzymuje żadnej informacji, ale nagle pojawia się w centrum łączności bazy?
- Jak wpadł na taki pomysł? Podobno o niczym nie wiedział, centrum więc powinno być ostatnim miejscem, w którym chciałby być widzianym.
- Nie mogę uwierzyć w twoje insynuacje.
- W takim razie proszę o inne logiczne wyjaśnienie.
- Nie potrafię.

- No to ja ci wyjaśnię, cytując człowieka, z którym rozmawiałaś i który stoi na czele całej tej operacji: „Są wszędzie, wiedzą wszystko, co robimy” . Czy teraz zaczynasz rozumieć?

- Sal nie mógłby czegoś takiego zrobić!

- Dziesięć minut temu wyjechał do domu. Wywołaj znowu swoją bazę i zażądaj, żeby cię połączyli z jego samochodem.

Pilot wykonała polecenie i przełączyła radio na głośnik w kabinie pilotów. Słyszeli ciągły sygnał telefonu w samochodzie kapitana

Manciniego, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- O mój Boże! - jęknęła Catherine.

- Jak daleko od Patrick jest jego dom?

- Około czterdziestu minut jazdy - odparła cicho Neilsen. Musi mieszkać daleko od bazy. Mówiłam ci, że ma poważne problemy z żoną.

- Czy byłaś u niego w domu?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek spotkałaś się z jego żoną?

- Nie. Wszyscy rozumieliśmy, że powinniśmy się trzymać z dala od jego spraw.

- W takim razie skąd wiesz, że w ogóle jest żonaty?

- Po prostu z jego akt! Poza tym jesteśmy bardzo ze sobą zżyci. Opowiadał o wszystkim.

- Chyba żartujesz! Jak często latacie nad Karaibami?

- Dwa-trzy razy w tygodniu. Takie rutynowe działania.

- Kto ustala koordynaty waszych patroli?

- Oczywiście, drugi pilot... Sal.

- Mój rozkaz dla Patrick pozostaje w mocy. Lądujemy w St.

Martin, majorze.

Kapitan Salvatore Mancini, ubrany nie w mundur, ale w białą guayabere, ciemne spodnie i skórzane sandały, wszedł do restauracji

„Wellington” na Collins Avenue w Miami Beach. Zbliżył się do gwarnego, zatłoczonego baru i wymienił spojrzenie z barmanem, który w odpowiedzi dwukrotnie skinął głową. Tak dyskretnie, że nikt z klientów niczego nie zauważył.

Kapitan skierował się dalej szerokim korytarzem, do którego przylegały pokoje, a na końcu znajdował się automat telefoniczny.

Wrzucił monetę i wybrał numer w Waszyngtonie. Telefoniście przedstawił się jako Wellington.

- Skorpion Dziewięć - powiedział, kiedy po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. - Otrzymał pan wiadomość?

- Jesteś spalony, wynoś się stamtąd - usłyszał w odpowiedzi.

- Chyba pan żartuje!

- Możesz mi wierzyć, że twoi współpracownicy są tym jeszcze bardziej zmartwieni niż ty - odparł głos. - Masz wynająć samochód na swoje trzecie prawo jazdy i jechać do portu lotniczego w West Palm. Tam będzie czekała rezerwacja na nazwisko z prawa jazdy. Rejs linią Sunburst Jetlines na Bahamy o czwartej po południu. Do Freeport. Stamtąd cię odbiorą i zawiozą, gdzie trzeba.

- Kto w takim razie będzie, u diabła, pilnował wyspy starego?

- Nie ty. Odebrałem osobiście rozkaz za pośrednictwem twojej zabezpieczonej linii z Patrick. Wydano nakaz twojego aresztowania, Skorpionie Dziewięć. Znaleźli cię.

- Ale kto... Kto?

- Niejaki Hawthorne. Pracował w tej firmie pięć lat temu.

- Przecież on jest skończony!

- Nie tylko ty tak sądziłeś.

ROZDZIAŁ 7

Nicolo Montavi z Portici oparł się o mur koło okna wychodzącego na ogródkową kawiarnię hotelu na wyspie St. Barts. Dobiały go przytłumione głosy, przemieszane z brzękiem szkła i cichym śmiechem. Było późne popołudnie, stali mieszkańcy i turyści przygotowywali się do korzystania z wieczornych przyjemności i okazji do zarobku. Tutejsza kawiarnia właściwie niczym się nie różniła od nadmorskich kawiarni w Neapolu. Może po prostu nie była tak wielka jak w Neapolu, ale na pewno większa od znajdujących się w Portici... Portici? Czy kiedyś jeszcze zobaczy swój dom rodzinny?

Zdawał sobie sprawę, że na pewno nie w normalnych okolicznościach. W dokach wydano na niego wyrok, uznano za traditore ai compagni, zdrajcę wszystkich pracujących na nabrzeżach. Byłby już martwy, gdyby nie ta dziwna bogata signora, która ocaliła go przed zrzuceniem z mola z pętlą na szyi. A potem ukrywała go przez wiele tygodni. Uciekali z miasta do miasta i wciąż miał świadomość, że go ścigają; bał się wyjść nawet w nocy - szczególnie w nocy, kiedy po ulicach włóczyli się myśliwi. Haki sztauerskie, noże i pistolety były ich bronią zemsty. Zemsty za zbrodnię, której nie popełnił.

- Nawet ja nie mogę cię ocalić - powiedział mu starszy brat w czasie jednej z ukradkowych rozmów telefonicznych. - Jeżeli cię zobaczę, będę musiał cię zabić. W przeciwnym razie zginę sam, a także nasza matka i siostry. Dom jest pod stałą obserwacją.

Czekają, aż wrócisz. Gdyby nasz ojciec - niech spoczywa w spokoju - nie był tak silny i tak lubiany, wszyscy moglibyśmy już nie żyć.

- Ale ja nie zabiłem capogruppo.

- W takim razie, kto to zrobił, mój głupi bracie? Byłeś ostatnim, który go widział. Groziłeś, że wyrwiesz mu serce.

- Tak tylko się odgryzałem. Okradł mnie!

- Okradał każdego, a przede wszystkim kradł z ładowni statków. Jego śmierć kosztowała nas miliony lirów, ponieważ potrzebował naszej współpracy, naszego milczenia.

- Co więc mam robić?

- Twoja signora rozmawiała z mamą. Powiedziała jej, że będzie bezpieczniej, jeżeli wyjedziesz z kraju, że zaopiekuje się tobą jak synem.

- Nie takim synem, o jakim myślimy...

- Jedź z nią! Może za dwa-trzy lata coś się zmieni, kto wie?

Nic się nie zmieni, pomyślał Nicolo, odwracając się bokiem do okna. Głowę miał wciąż pochyloną, jakby nadal obserwował scenę na dole. Kątem oka widział, jak siedząca przed toaletką po drugiej stronie dużego pokoju la bella signora robi coś dziwnego z włosami; jej dłonie i palce szybko się poruszały. Z jeszcze większym zdziwieniem zauważył, że owinęła się w pasie szerokim, wywatowanym gorsetem, na to włożyła za dużą bieliznę, po czym wstała i zaczęła się przyglądać swemu odbiciu w lustrze. Była tym tak zaabsorbowana, że zapomniała o jego obecności i nie uświadamiała sobie, iż gapi się na nią. Obracała się, wciąż wpatrując się w swoje odbicie. Nagle Nicolo stwierdził ze zdumieniem, że stała się zupełnie inną kobietą. Jej długie ciemne włosy nie były już tak ładne, kiedy związała je w prosty, surowy kok na karku. Cerę zawsze miała bladą, niemal szarą, ale teraz - z ciemnymi cieniami pod oczyma, pobrużdżoną i zwiotczałą skórą - jej twarz sprawiała koszmarnie wrażenie postarzałej nagle maski... Całe jej ciało stało się obrzydliwe; zaczęła przypominać tłustą świnie pozbawioną biustu, tak odmienną od podniecającej kobiety, którą była do tej pory.

Nicolo instynktownie odwrócił się w stronę okna. Nie wiedział dlaczego, ale wydawało mu się, że nie powinien tego widzieć.

Potwierdzenie przeczucia nastąpiło w chwilę później. Signora Cabrini przeszła szybko, hałaśliwie przez pokój i oznajmiła:

- Kochanie, mam zamiar wziąć prysznic, jeżeli w tym zapomnianym przez Boga miejscu zdołają doprowadzić wodę na drugie piętro.

- Z całą pewnością, Cabi - odpowiedział, wpatrując się w kawiarnię na dziedzińcu.

- A kiedy skończę, będziemy musieli przeprowadzić długą rozmowę, ponieważ czeka cię przygoda twego życia.

- Certo, signora.

- I to właśnie jest jedna ze spraw, o których musimy porozmawiać, mój piękny chłopcze. Od tej pory będziesz mówił tylko po włosku.

- Mój ojciec przewróci się w grobie, Cabi. Nauczył wszystkie swoje dzieci angielskiego, bo uważał, że w ten sposób można się ucywilizować. Złoiłby nam skórę, gdybyśmy przy obiedzie odezwali się po włosku.

- Twój ojciec był produktem wojny, Nico, który sprzedawał vino i kobiety amerykańskim żołnierzom. Teraz są zupełnie inne okoliczności. Wróć za kilka minut.

- Kiedy skończysz, może zeszlibyśmy do restauracji? Jestem bardzo głodny.

- Zawsze jesteś głodny, Nico, ale obawiam się, że nie będziemy mogli pójść. Mamy wiele do omówienia. Poza tym załatwiłam wszystko z obsługą hotelu. Możesz sobie wybrać z karty wszystko, co podają na dole. Lubisz, jak cię obsługują w pokoju, prawda, kochanie?

- Certo - powtórzył Nico i się odwrócił. Bajaratt gwałtownie zrobiła to samo. Najwyraźniej nie chciała, żeby zobaczył jej występ przed lustrem.

- Va bene - powiedziała, idąc do łazienki. - Solo italiano.

Grazie!

Uważa mnie za głupca! - pomyślał ze złością Ta bogata dziwka, która twierdzi, że odnalazła w jego ciele tyle rozkoszy musiał zresztą przyznać, że tak samo jak on u niej - wcale nie traktowała go ani zbyt dobrze, ani nazbyt hojnie. Od dawna nie miał nic do roboty, a przecież musiało o coś chodzić. Przystojny chłopak z doków mógł zarobić tysiące lirów, podrywając napaloną turystkę. Zaczęłoby się od napiwku za przeniesienie bagażu...

Benissimo! Ale signora Cabrini postąpiła inaczej. Zrobiła więcej, za dużo. Wciąż mówiła mu, że powinien zdobyć wykształcenie i porzucić nabrzeża Portici, a nawet posunęła się do tego, że złożyła dla niego pieniądze w Banco di Napoli, aby mógł później poprawić swoje życie - pod warunkiem, że będzie jej towarzyszył w podróży. Jaki miał wybór? Pozostać i dać się upolować przez zabójców z doków? Wciąż mu powtarzała, jak jest doskonały...

Ale do czego?

W Rzymie poszli na policję, specjalną policję. Tam ludzie, którzy widzieli ich tylko w nocy, w zaciemnionym pokoju, zdjęli mu odciski palców do dokumentów. Te dokumenty podpisał on, ale trzymała je przy sobie signora. Potem były dwie ambasady, znowu w nocy, gdzie znajdował się tylko jeden czy dwaj urzędnicy i jeszcze więcej dokumentów, papierów, fotografii. Po co? Teraz miała mu wszystko wyjaśnić - wiedział to, przeczuwał. „Czeka cię przygoda twego życia” - powiedziała.

Co to może być? Bez względu na wszystko - nie miał wyboru, musiał akceptować wszelkie jej propozycje. Przynajmniej chwilowo. W dokach krążyło pewne powiedzenie, które głęboko utkwilo mu w pamięci, choć tak bardzo starał się zapomnieć o samych dokach. „Całuj but turysty tak długo, aż będziesz mógł go ukraść”. W wypadku tej kobiety, która zabijała tak od niechcienia, będzie postępował w ten właśnie sposób. Nazywała go swoją zabawką, a więc będzie zabawką. Aż będzie mógł ukraść.

Nicoło znowu popatrzył na ożywiony dziedziniec i poczuł się tak jak w ostatnich tygodniach we Włoszech - jak więzień. Nie wolno mu było wówczas nigdzie wychodzić, bez względu na to, gdzie się znajdowali - czy w pokoju hotelowym, czy na pokładzie łodzi

należącej do znajomego Cabrini, czy też w wynajętym domu-samochodzie, którym mogli szybko przenosić się z miejsca na miejsce. Wyjaśniła mu, że to niezbędne, ponieważ wciąż muszą przebywać w rejonie Neapolu, gdyż pewnego dnia do portu zawinie statek, z którego będzie musiała o świcie odebrać przeznaczoną dla niej paczkę. I rzeczywiście, we wtorek wieczorem, w wiadomościach żeglugowych zamieszczonych w miejscowych czasopismach, znalazła się informacja, że wspomniany statek zawinie do portu tuż po północy. Na długo przed wschodem słońca signora wyszła z pokoju hotelowego. Rano powróciła bez paczki i oznajmiła mu: „Dzisiaj po południu odlatujemy do Marsylii, mój piękny młody kochanku.

Zaczyna się nasza podróż”.

- Dokąd, Cabi? - zaproponowała, aby Nicolò używał takiego zdrobnienia, chcąc uszanować jego głębokie uczucia religijne, chociaż, prawdę powiedziawszy, Cabrini było nazwą majątku niedaleko Portofino.

- Zaufaj mi, Nico - odrzekła. - Pomyśl o wpłaconych przeze mnie pieniądzach, które zabezpieczą ci przyszłość, i zaufaj mi.

- Nie masz żadnej paczki.

- Ależ mam. - Otworzyła wielką torbę i wyjęła z niej grubą białą kopertę. - Tutaj jest plan podróży. Potwierdzono nasze środki transportu, kochanie.

- Czy to musiało być dostarczone statkiem?

- O tak, Nico, niektóre rzeczy muszą być doręczone osobiście...

A teraz dosyć już pytań, musimy się spakować. Bierzemy jak najmniej, tylko tyle, ile zdołamy unieść.

Chłopak z doków odsunął się od okna. Rozmowa, o której myślał, odbyła się niecały tydzień temu, ale co to był za tydzień! Najpierw o mało nie zginęli w czasie sztormów na morzu, a potem rzeczywiście zetknął się ze śmiercią na dziwnej, nieprawdopodobnej wyspie, należącej do najbardziej zdumiewającego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkał. Dziś rano, gdy wodnosamolot spóźniał się z powodu złej pogody, rozwścieczyło to starego, chorego padrone, który bez przerwy wrzeszczał, że muszą odlecieć. A tutaj, na tej ucywilizowanej wyspie, Cabi chodziła od sklepu do sklepu, kupując tyle rzeczy, że wypełniły dwie walizki. Nabyła nawet tani, źle leżący garnitur dla niego...

- Potem je wyrzucimy - powiedziała.

Nicolò bezmyślnie podszedł do jej toaletki, oszołomiony bogactwem kremów, pudrów i niezliczonymi małymi buteleczkami.

Wszystko to przypomniało mu jego trzy siostry w Portici. Były trucco, jak często wykrzykiwał pod ich adresem ojciec. Nazwał je tak nawet wtedy, kiedy leżał na łożu śmierci, a dziewczynki przyszły, aby go pożegnać.

- Co robisz, Nico?

Owinięta w ręcznik Bajaratt wyszła z łazienki. Jej nagłe pojawienie się zaskoczyło chłopaka.

- Nic, Cabi. Po prostu myślałem o moich siostrach... Te wszystkie rzeczy na twoim stoliku...

- Wiesz chyba, że kobiety są próżne.

- Ty nie potrzebujesz niczego z tych...

- Jesteś kochany - przerwała mu Baj, odsunęła go gestem dłoni i usiadła. - W jednej z toreb na stole obok sofy jest butelka całkiem niezłego wina. Otwórz ją i nalej nam. Sobie mniej, bo czeka cię długa, pełna nauki noc.

- Ooo?

- Możesz to uważać za część tak upragnionego przez ciebie wykształcenia, które pozwoli ci porzucić doki w Portici.

- Ooo?

- Przynieś wino, kochanie.

Kiedy wino było już nalane, a kieliszki znalazły się w ich dłoniach, Bajaratt podała młodemu podopiecznemu białą kopertę, otrzymaną ze statku w Neapolu. Poleciała mu, żeby usiadł na sofie i otworzył ją.

- Umiesz dobrze czytać, prawda, Nico?

- Wiesz, że tak - odparł. - Prawie skończyłem scuola media.

- W takim razie zacznij czytać te kartki, a ja będę ci udzielała wyjaśnień.

- Signora? - Nicolo nie mógł oderwać oczu od pierwszej strony. - Co to takiego?

- Twoja przygoda, słodki Apollo. Mam zamiar zrobić z ciebie młodego barona.

- Che pazzia! Nie wiedziałbym, jak się zachowywać jako baron.

- Po prostu bądź sobą. Tak samo skromny i uprzejmy jak zawsze. Amerykanie uwielbiają skromną arystokrację. Uważają, że jest to szalenie demokratyczne i jakżeż pociągające!

- Cabi, ci ludzie...

- Twój przodek, najdroższy. Arystokratyczna rodzina ze wzgórz Ravello, która mniej więcej przed rokiem przeżywała trudny okres. Ledwo ją było stać na płacenie rachunków. Ziemia i wspaniała posiadłość rujnowały jej finanse; winnice były marne, do tego

dochodziły nadmiar nałogów, rozrzutne dzieci - słowem wszystkie zwykłe słabości ludzi bogatych. Ale nagle, w cudowny sposób, twoja rodzina znowu stała się bogata. Czyż to nie zadziwiające?

- Owszem, lecz w jaki sposób ta sprawa mnie dotyczy?

- Czytaj, Nico - przerwała mu Bajaratt. - Teraz ci ludzie mają miliony, znowu cieszą się wielkim szacunkiem i całe Włochy ich uwielbiają. Po prostu zmienność losu bogatych - dawne inwestycje przynoszą ogromne dochody, winnice stały się nagle classico, zagraniczne posiadłości osiągają bajeczną wartość... Czy nadażasz za mną, Nico?

- Czytam tak szybko, jak potrafię, słucham uważnie...

- Spójrz na mnie - zażądała zdecydowanym tonem Baj. Mieli syna. Osiemnaście miesięcy temu zmarł z przedawkowania narkotyków w osławionym getcie Wadenswill. Na polecenie rodziny jego zwłoki poddano kremacji. Nie było żadnych uroczystości czy nekrologów - krewni czuli się tym zhańbieni.

- O czym mi pani mówi, signora Cabrini? - zapytał cicho chłopak.

- Jesteście mniej więcej w tym samym wieku. Dopóki nie zniszczyły go narkotyki, byliście do siebie podobni... Teraz jesteś n i m, Nicolo. Bardzo proste, prawda?

- To nie ma sensu, Cabi - oznajmił ledwie słyszalnym głosem bardzo przestraszony chłopak z Portici.

- Nie wiesz, jak długo szukałam w dokach kogoś takiego jak ty, mój chłopcze. Kogoś, kto wyglądałby skromnie, ale zarazem odpowiadał obiegowym wyobrażeniu arystokraty, zwłaszcza wyobrażeniu Amerykanów. Wszystko, czego się musisz nauczyć, jest na tych kartkach - twoje życie, rodzice, nauka, hobby i osiągnięcia, nawet nazwiska przyjaciół rodziny i byłych pracowników w majątku - dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy są niedostępni... Och, nie rób takiej przerażonej miny. Po prostu zapoznaj się z tym wszystkim. Nie musisz być zresztą zbyt precyzyjny, ponieważ będę twoją ciocią i tłumaczką zarazem, zawsze obecną przy twym boku. Ale pamiętaj, mówisz tylko italiano.

- Proszę... perpiacere, signora! - wykrztusił Nicolo. - Jestem taki dezorientowany.

- W takim razie, jak już powiedziałam, pomyśl o pieniądzach na twoim koncie bankowym i rób, co ci każę. Mam zamiar przedstawić cię wielu ważnym Amerykanom. Bardzo bogatym, bardzo wpływowym. Na pewno się im spodobaś.

- Dlatego, że będę kim innym niż jestem?

- Dlatego, że twoja rodzina w Ravello poważnie inwestuje w amerykański rynek. Będziesz obiecywał wpłaty na rozmaite cele - muzea, filharmonie, dobroczynność, nawet dla określonych polityków, którzy zechcą poprzeć twoją rodzinę.

- Tak?

- Owszem, ale tylko i wyłącznie za moim pośrednictwem.

Wyobraź sobie, że pewnego dnia możesz nawet zostać zaproszony do Białego Domu na spotkanie z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Z presidente? - zawołał chłopak, uśmiechając się szeroko, z niekłamana radością. - To jest takie fantastico, chyba śnię, prawda?

- To dobrze obmyślony sen, moje dziecko. Jutro kupię ci ubrania godne jednego z najbogatszych młodych ludzi na świecie i rozpoczniemy naszą podróż w twój i mój sen.

- Ale o czym jest ten sen, signora! Co to ma znaczyć?

- Dlaczego nie miałabym ci tego powiedzieć, skoro i tak nic nie zrozumiesz? Kiedy pewni ludzie polują na innych ludzi, zawsze szukają tajemnicy, czegoś ukrytego, niewidzialnego. A nie tego, co mają tuż pod nosem.

- Masz rację, Cabi. Nie rozumiem.

- I bardzo dobrze - oznajmiła Bajaratt.

Ale ponownie zagłębiony w lekturze Nicolo doskonale wszystko rozumiał. W dokach nazywano to estorsione - odsprzedanie najpierw całowanego, a potem skradzionego buta za cenę wielokrotnie przekraczającą jego wartość, ponieważ samo jego istnienie mogło przynieść zgubę właścicielowi. Nadejdzie mój czas, pomyślał chłopak z Portici. Ale zanim to nastąpi, włączy się z zapałem do gry, którą prowadzi signora, zawsze pamiętając, że potrafi ona bez skrupułów zabijać.

Była szósta czterdzieści pięć wieczorem, kiedy obcy mężczyzna wkroczył do holu jachtklubu na Virgin Gordzie. Był niski, krępy, łysiejący, ubrany w białe spodnie z ostro zaprasowanymi białymi kantami i granatowy blezer z czarno-złotym emblematem Towarzystwa Jachtowego San Diego na kieszeni. Emblemat wzbudzał szacunek, był bowiem ściśle związany z Pucharem Ameryki i towarzyszącą mu regatową chwałą.

Wpisał się do księgi gości: „Ralph W. Grimshaw, adwokat i jachtsmen. Coronado, Kalifornia”.

- Oczywiście, mamy wymianę z San Diego - oznajmił stojący za kontuarem, ubrany w smoking recepcjonista, nerwowo przerzucając dokumenty - ale pracuję tu stosunkowo niedawno i może upłynąć nieco czasu, zanim obliczę niżkę.

- To nieistotne, młody człowieku - odparł z uśmiechem

Grimshaw. - Ulga nie jest taka ważna i jeżeli wasz klub, podobnie jak nasz, ma kłopoty w tych trudnych czasach, możemy zapomnieć o umowach. Z przyjemnością zapłacę pełną cenę, proszę się więc nie fatygować.

- Bardzo to uprzejme z pana strony.

- Jest pan Brytyjczykiem, prawda, kolego?

- Tak, przysłała mnie tu korporacja „Savoy”... Wie pan, na praktykę.

- Rozumiem. Moim zdaniem to wprost znakomite miejsce na szkolenie. Sam mam kilka hoteli w Kalifornii i zawsze wysyłam moich najlepszych młodych pracowników w najtrudniejsze miejsca, aby mogli się zorientować, jakie skomplikowane może być życie.

- Tak pan sądzi? Byłem trochę innego zdania.

- W takim razie nie wie pan, jakie są metody działania zarządu hotelowego. Tak właśnie wyszukujemy naszych najbardziej obiecujących nowych pracowników - stawiamy ich w najtrudniejszych sytuacjach i sprawdzamy, jak sobie dają radę.

- Nie przyszło mi to do głowy...

- Proszę nie mówić swoim szefom, że zdradziłem panu nasz sekret, ponieważ znam korporację „Savoy”, a oni mnie. Po prostu musi się pan pilnować i wyłapywać szczególnie ważne szychy. To druga, niezwykle istotna zasada.

- Tak jest, proszę pana. Dziękuję. Jak długo pan u nas zabawi, panie Grimshaw?

- Krótko, bardzo krótko. Dzień, może dwa. Sprawdzam łódź, którą być może nabędzie mój klub, a potem jadę do Londynu.

- Tak jest, proszę pana. Pańskie bagaże zostaną zaraz zaniezione do pokoju - oznajmił recepcjonista, rozglądając się po dość zatłoczonym holu w poszukiwaniu boya.

- Nie ma problemu, synu. Wziąłem tylko podręczny bagaż.

Pozostała część rzeczy jest w porcie lotniczym Porto Rico i czeka na mój lot do Londynu. Niech mi pan tylko da klucz, a sam znajdę pokój. Prawdę mówiąc, trochę się spieszę.

- Doprawdy?

- Tak, mam się spotkać w marinie z naszym rzeczoznawcą i jestem już o godzinę spóźniony. To pan Hawthorne. Czy zna go pan?

- Kapitan Tyrell Hawthorne? - zapytał nieco zdziwiony młody Anglik.

- Tak, to on.

- Obawiam się, że go tu nie ma, proszę pana.

- Co?

- Jego czarter wypłynął dzisiaj wczesnym popołudniem.

- Niemożliwe, nie mógł mi tego zrobić!

- Okoliczności były dość dziwne, proszę pana - dodał recepcjonista, pochylając się do przodu. Najwyraźniej „gruba szycha” zaprzyjaźniona z korporacją „Savoy” wywarła na nim wrażenie. - Było kilka rozmów telefonicznych do kapitana

Hawthorne'a. Wszystkie przełączyliśmy do Martina Caine'a, kierownika warsztatów obsługi technicznej, który miał odbierać wszelkie informacje.

- Rzeczywiście, dziwna sprawa. Przecież zapłaciliśmy temu facetowi! Chyba że ten Caine jakoś wszystko wyjaśni.

- Nie tylko to - ciągnął recepcjonista, coraz chętniej podtrzymując nową znajomość z bogatym adwokatem-jachtsmenem, dysponującym tak wspaniałymi znajomościami w Londynie. Znajomy pana Hawthorne'a, pan Cooke, Geoffrey Cooke, pozostawił dla kapitana dużą kopertę w naszym sejfie.

- Cooke...? Ależ oczywiście, to nasz człowiek od finansów. Ta koperta jest przeznaczona dla mnie, młody człowieku. Prawdopodobnie szacunkowy koszt prac remontowych.

- Czego, panie Grimshaw?

- Nie kupuje się jachtu o wartości dwóch milionów dolarów, jeżeli koszty wymiany zużytego wyposażenia wyniosą kolejne pięćset tysięcy albo i więcej.

- Dwa miliony?

- To tylko łódź średniej wielkości, synu. Jeżeli da mi pan tę kopertę, zapoznam się z kosztorysem w ciągu wieczoru, a potem złapię pierwszy lot z Porto Rico do Londynu... A przy okazji, proszę mi podać swoje nazwisko. Jeden z naszych angielskich przedstawicieli do spraw fuzji jest w zarządzie korporacji „Savoy”.

Nazywa się Bascomb. Z pewnością zna go pan.

- Obawiam się, że nie, proszę pana.

- W każdym razie on będzie pana znał. Proszę o kopertę.

- No cóż, panie Grimshaw, otrzymaliśmy polecenie, żeby przekazać ją wyłącznie kapitanowi Hawthorne'owi.

- Tak, oczywiście, ale jego tu nie ma, a ja jestem i w zadowalający sposób zidentyfikowałem zarówno kapitana, jak i pana

Cooke'a jako w zasadzie naszych pracowników, prawda?

- Tak, oczywiście, to nie budzi najmniejszych wątpliwości.

- Doskonale. Daleko pan zajdzie u naszych londyńskich przyjaciół. Proszę mi dać swój bilet wizytowy, młody człowieku.

- Chwilowo nie mam wizytówki... Nie zostały jeszcze wydrukowane.

- W takim razie niech pan napisze swoje nazwisko na jednym z tych formularzy meldunkowych. To zwróci uwagę starego Bascomba.

Recepcjonista błyskawicznie spełnił jego życzenie. Grimshaw wziął notatkę i uśmiechnął się lekko:

- Któregoś dnia, synu, kiedy zatrzymam się w „Savoyu”, a ty będziesz jego dyrektorem, możesz mi przysłać tuzin wspaniałych ostryg.

- Z prawdziwą przyjemnością.

- Poproszę o kopertę.

- Oczywiście, panie Grimshaw!

Mężczyzna, który przedstawił się jako Grimshaw, siedział w pokoju, trzymając słuchawkę w dłoni obciążonej rękawiczką.

- Mam wszystko, co zdobyli - powiedział przez telefon rozmówcy w Miami. - Cały pasztet, w tym również trzy fotografie

Baj. Zapewne nikt tego nie widział od chwili, gdy wszystko to włożono do rządowej koperty. Spalę te dowody i wynoszę się stąd. Nie mam pojęcia, kiedy pojawi się Hawthorne albo

Cooke z Szóstki, ale mnie tu już z pewnością nie będzie...

Tak, pamiętam o zawieszeniu lotów od siódmej trzydzieści.

Co pan proponuje? Wodnopłatowiec na południe od cypla Sebastian? Nie, znajdę go. Będę na miejscu o dziewiątej. Jeżeli się spóźnię, proszę nie wpadać w panikę. Przede wszystkim muszę się zająć łącznością. Centrum łączności Hawthorne'a przestanie istnieć.

Tyrell stał wraz z major Catherine Neilsen i porucznikiem Jacksonem Poole'em w poczekalni portu lotniczego St. Martin i czekał na wiadomość od starszego sierżanta Charlesa O'Briana, odpowiedzialnego za zabezpieczenie AWACS-a.

Nagle sierżant wpadł jak bomba przez podwójne drzwi. Przez cały czas spoglądał do tyłu, na płytę lotniska. Stanął przed nimi i oświadczył:

- Pozostaję w samolocie, majorze! Nikt w tym pododdziale wartowniczym nie mówi po angielsku, a nie lubię sytuacji, kiedy nie mogę się porozumieć.

- Charlie, to nasi sojusznicy - oświadczyła Neilsen. - Baza w Patrick wydała pozwolenie, a my spędzimy tu zapewne pozostałą część dnia i być może noc. Zostaw maszynę, nikt jej nawet nie dotknie.

- Nie mogę, Cathy... majorze!

- Do diabła, Charlie, wyluzuj się.

- Tego też nie mogę. Nie podoba mi się tu.

Zachód słońca. Zapadał już zmierzch, a Hawthorne wciąż jeszcze studiował wydruki komputerowe sporządzone przez pokładową drukarkę porucznika Poole'a. Młody oficer siedział przy nim w pokoju hotelowym.

- To musi być jedna z tych czterech wysp - oznajmił Tyrell, zbliżając lampę do wydruków.

- Gdybyśmy zeszli niżej, tak jak chciała Cathy, moglibyśmy ustalić to dokładniej.

- Ale wtedy wiedzieliby, że właśnie taki mamy zamiar, prawda?

- No i co z tego...? Major miała rację, jest pan uparty jak osioł.

- Chyba mnie nie lubi, co?

- E, do diabła, nie o pana tu chodzi... Ona po prostu jest kimś, kogo w Luizjanie nazywamy herod-babą.

- Ale jakoś pan z nią wytrzymuje?

- Skoro jest najlepsza w tym, co robi, dlaczego nie?

- W takim razie nie ma pan nic przeciwko temu jej podejściu „my, kobiety, przede wszystkim”?

- Dajże pan spokój, jasne, że mam! Jest moim szefem, ale niech mnie diabli, jeżeli nie miałbym ochoty jej poderwać... popatrzeć sobie na nią. Człowieku, to dopiero kobieta! Lecz jak już powiedziałem, jest moim przełożonym. Pilot wojskowy do szpiku kości. Niedotykalska.

- Bardzo wysoko pana ceni, poruczniku.

- Jasna sprawa, jak głupiego braciszka, który przypadkiem potrafi nastroić magnetowid.

- Pan ją naprawdę lubi, Jackson, co?

- Coś panu wyznam. Mógłbym dla niej zabić, ale nie dorównuję jej klasą. Jestem technoświr i wiem o tym. Może kiedyś...

Rozległo się ostre, gorączkowe łomotanie do drzwi pokoju.

- Do diabła, otwierajcie! - wrzasnęła major Neilsen.

Hawthorne pierwszy dobiegł do drzwi i otworzył zamek.

Catherine wpadła do środka.

- Wysadzili w powietrze samolot! Charlie nie żyje!

Padrone odłożył słuchawkę. Jego wychudzona, pomarszczona twarz była spięta i zrezygnowana. Znowu zadzwonił do niego tchórz, żądając zapłaty za dostarczone luksusy. Tchórz z francuskiego Deuxieme, bojący się żyć bez „wsparcia”, które nieznanne siły z

Karaibów mogły w każdej chwili cofnąć. Słaby człowiek, wieczny niewolnik swoich wykwinnych gustów i zmysłowych zachcianek.

Zawsze jednak udawał, że pogardza korupcją, która utrzymywała go i która mogła go zniszczyć. Tak, przede wszystkim należy znaleźć wpływowego tchórze, uzależnić go od siebie i trzymać w niepewności, aby nieustanny lęk był gwarancją jego dyspozycyjności. A teraz jeden zamach następował po drugim - od Miami do St. Martin. Do tego doszła kradzież ważnych dokumentów na brytyjskiej Gordzie, o której wkrótce się dowiedzą. Ludzie, którzy polują na Baj, wpadną w panikę, zaczną szukać w różnych, całkowicie odmiennych miejscach, zaglądać w ciemne zakamarki, gdy tymczasem powinni patrzeć w stronę światła. Przez najbliższe trzy godziny albo nawet dłużej nad tym rejonem nie będą latały wymyślne amerykańskie samoloty; potem zostaną wyłączone wszystkie odbiorniki, a wszystkie wiązki radiowe - skierowane w pustkę.

Chory, stary człowiek podniósł słuchawkę telefonu, pochylił się do przodu w fotelu na kółkach i starannie wybrał szereg cyfr na elektronicznej konsoli. Przerywane dzwonięcie w słuchawce umilkło, po czym rozległ się beznamiętny metaliczny głos: - Po sygnale proszę podać swój kod dostępu. - Długi brzęczyk urwał się i padrone wcisnął pięć kolejnych cyfr. Brzęczenie w słuchawce trwało jeszcze chwilę, aż wreszcie odezwał się inny głos:

- Halo, Karaiby, mam nadzieję, iż zdaje pan sobie sprawę, że ta rozmowa jest ryzykowna.

- Od ośmiu minut już nie, Skorpionie Dwa. Latającego natręta już nie ma.

- Co?!

- Został wyeliminowany w miejscu chwilowego wypoczynku.

Mniej więcej przez trzy godziny nie będzie niczego w powietrzu.

- Jeszcze nie dostaliśmy tej wiadomości.

- Posiedź przy telefonie, amico, a wkrótce ją otrzymasz.

- Może upłynąć więcej czasu, niż pan sądzi - odparł człowiek w Waszyngtonie. -

Najbliższy taki samolot jest w Andrews.

- Świetna nowina - powiedział padrone. - A teraz, Skorpionie Dwa, mam prośbę, której nie chciałbym szczegółowo uzasadniać.

- Nigdy nie prosiłem, aby pan cokolwiek uzasadniał, padrone.

Dzięki pańskiemu wsparciu moje dzieci otrzymują doskonałe wykształcenie. Na pewno nie mógłbym im tego zapewnić z mojej rządowej pensji.

- A twoja żona, amico!

- Każdy dzień dla tej dziwki jest świętem i co niedziela modli się na mszy za nie istniejącego wujka-hodowcę koni w Irlandii.

- Molto bene. W takim razie wszystko układa ci się dobrze.

- Tak czy inaczej, rząd od dawna powinien mi za wszystko zapłacić. Od dwudziestu jeden lat jestem mózgiem tego wszystkiego, ale oni uważają, że niewłaściwie się ubieram, że nie tak wyglądam, źle się poruszam i dlatego oświadczenia dla prasy składają idioci, którzy korzystają z mojej pracy. I nikt nawet nie wspomni mojego nazwiska!

- Calma, amico. Jak powiadają, ty będziesz się śmiał ostatni, prawda?

- Na pewno i jestem wdzięczny.

- W takim razie musisz wyświadczyć mi teraz przysługę. Nie powinna ci sprawić wielkich trudności.

- Proszę mówić.

- Czy może pan, korzystając ze swoich uprawnień, zlecić służbom imigracyjnym i celnym, aby przepuściły przylatujący do waszego kraju prywatny samolot bez dokonywania kontroli osób na pokładzie?

- Oczywiście. Sprawa dotycząca bezpieczeństwa państwowego.

Muszę znać tylko nazwę przedsiębiorstwa, do którego należy samolot, jego numer rejestracyjny, punkt docelowy oraz liczbę pasażerów.

- Przedsiębiorstwo nazywa się Sunburst Jetlines z Florydy.

Numer rejestracyjny: NC dwadzieścia jeden BFN, punkt docelowy:

Fort Lauderdale. Leci nim pilot, drugi pilot i jeden pasażer mężczyzna.

- Czy powinienem go znać?

- Czemu nie? Nie mamy zamiaru ukrywać jego nazwiska ani przewozić go nielegalnie do waszego kraju - wręcz przeciwnie.

W ciągu kilku dni jego obecność stanie się głośna w kręgach zamożnej finansjery i będzie-niezwykłe pożądanym gościem. Chciałby jednak przez kilka dni mieć możliwość swobodnego poruszania się i złożenia wizyty starym przyjaciółom.

- Któż to taki, u diabła? Papież?

- Nie, ale wiele pań z najlepszego towarzystwa będzie go traktowało tak, jakby nim był.

- To znaczy, że pewnie nigdy o nim nie słyszałem.

- Przypuszczalnie, ale zapewniam, że nie przynosi to panu żadnej ujmy. Oczywiście, pańscy urzędnicy w Fort Lauderdale, którzy również z pewnością o nim nie słyszeli, zaopatrzą go we wszystkie niezbędne dokumenty. Pragnęlibyśmy tylko, aby pozostał w

samolocie, dopóki nie znajdzie się na prywatnym lotnisku w West Palm Beach, gdzie będzie na niego czekała limuzyna.

- W takim razie, jak brzmi jego nazwisko?

- Dante Paolo, syn barona Ravello. Ravello jest i nazwiskiem, i nazwą prowincji, w której jego rodzina osiedliła się kilka wieków temu. - Padrone ściszył głos. - W zaufaniu mogę panu zdradzić, że przygotowują go do powierzenia mu niesłychanie odpowiedzialnych obowiązków. Jest synem jednej z najbogatszych .arystokratycznych rodzin we Włoszech. Baronów Ravello, mówiąc ściśle.

- Czołówka „Fortune-500”, prawda?

- Owszem. Z ich winnic pochodzi najwspanialsze wino marki

Greco di Tufo, a inwestycje przemysłowe rywalizują z przedsięwzięciami Giovanniego Agnelli. Dante Paolo zamierza zbadać możliwości dokonania zakupów w waszym kraju i poinformuje o nich swojego ojca. Muszę dodać, że wszystko jest całkowicie legalne i jeżeli zdołamy wyświadczyć wielkiej włoskiej rodzinie drobną przysługę, na pewno zapisze ten fakt w swej życzliwej pamięci. Czyż nie tak toczy się nasz świat?

- Nie jestem panu do tego potrzebny. Nasze Ministerstwo

Handlu będzie wyłazić ze skóry, aby pójść na rękę pańskiemu nadzianemu podróżnikowi.

- Oczywiście, ale na pewno uniknie się pewnych niedogodności, jeżeli przedstawiciel tak wielkiej nobilita nie będzie musiał o to zabiegać, prawda...? No i familia zapamięta, kto mu w tym dopomógł, czyż nie? A więc niech pan to dla mnie zrobi, capisci.

- Załatwione. Odprawa po przylocie bez żadnych biurokratycznych procedur. Jaki jest spodziewany czas przylotu i typ maszyny?

- Jutro o siódmej rano. Samolot Lear 25.

- W porządku, zapisałem... Chwileczkę, mój czerwony telefon wariuje. Proszę poczekać. - Po minucie i czterdziestu sześciu sekundach rozmówca padrone odezwał się znowu. - Miał pan rację, właśnie dostaliśmy wiadomość. AWACS II z Patrick został wysadzony w powietrze na St. Martin z członkiem załogi na pokładzie! Jesteśmy w stanie pogotowia. Czy chciałby pan omówić sytuację?

- Nie ma co omawiać, Skorpionie Dwa. Nie ma żadnej sytuacji, już po kryzysie. Po tej rozmowie wyłączam się, jestem nieosiągalny. Znikam.

W odległości dwóch tysięcy dziewięciuset kilometrów na północny wschód od wyspy-fortecy krępy mężczyzna o przerzedzonych rudych włosach i obrzmiałej piegowatej twarzy

siedział w swoim gabinecie w Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley, w stanie Wirginia.

Popiół z trzymanego w ustach cygara spadł na jego niebieski krawat. Zdmuchnął go i kropelki śliny upstrzyły wodoodporną tkaninę. Włożył zabezpieczony telefon do stalowej szuflady w dolnej części szafki biurka. Przypadkowy, nawet bardzo uważny obserwator nie dostrzegłby choćby śladu szuflady - jedynie równą ściankę sięgającą do samego dywanu. Mężczyzna ponownie zapalił cygaro. Życie jest wspaniałe, doprawdy wspaniałe. Co go to wszystko obchodzi.

ROZDZIAŁ 8

Przykryte szpitalnym prześcieradłem zwłoki odwieziono karetką sanitarną, skąpaną w świetle lotniskowych reflektorów. Hawthorne dokonał oficjalnej ich identyfikacji, a na jego stanowcze żądanie major Neilsen i porucznik Poole odeszli w tym czasie na bok. Nie opodał dymią przeksztalcony w koszmarny szkielet wrak samolotu zwiadowczego. Powyginane czarne zastrzały sterczały nad zwęglonymi, kopcącymi szczątkami wypatroszonego kadłuba, metalowe arkusze poszycia rozchyliły się na boki, przypominając rozwalony tułów wielkiego, palącego się, przewróconego owada.

Jackson Poole płakał, nie ukrywając łez, i wymiotował w każdym napotkanym skrawku cienia. Tyrell klęczał przy nim.

Mógł jedynie objąć porucznika za ramiona i trzymać go mocno.

Jakiegolwiek słowa obcego człowieka na temat martwego przyjaciela byłyby pozbawione znaczenia i stanowiłyby jedynie niepotrzebną ingerencję. Tye podniósł głowę i popatrzył na Catherine

Neilsen, majora, pilota do szpiku kości, i zauważył, że stoi wyprostowana. Na jej twarzy malowało się napięcie; z trudem powstrzymywała łzy. Powoli puścił Poole'a, wstał i podszedł do niej.

- Wiesz, czasami dobrze jest zapłakać - powiedział łagodnie, stojąc przed nią z opuszczonymi rękami, nie próbując jej dotknąć. W podręczniku dla oficerów nikt nie napisał, że jest to zakazane.

Straciłaś kogoś bliskiego.

- Wiem o tym - odparła, głośno przetykając ślinę. Powoli, jakby przełamywała jakiś opór, w jej oczach pojawiły się łzy.

Zaczęła drżeć. - Czuję się taka bezradna, zupełnie do niczego dodała.

- Czemu?

- Nie jestem pewna. Nie przygotowano mnie do tego.

- To nie to. Przygotowano cię, żebyś w obecności podwładnych nie okazywała nieobcej każdemu słabości. Na tym polega różnica.

- Ja... nigdy nie brałam udziału w walce.

- Teraz bierzesz, majorze. Może nie w tej chwili, ale zobaczyłaś, jak to wygląda.

- Zobaczyłam? O Boże, dotychczas nie widziałam zabitego... a tym bardziej kogoś mi bliskiego.

- Nikt tego nie wymaga w czasie nauki pilotażu.

- Powinnam być silniejsza, czuć się silniejsza.

- W takim razie albo oszukiwałabyś samą siebie, albo byłabyś cholerną idiotką, a w jednym i drugim wypadku - marnym oficerem. To nie jest jakiś głupi film, Cathy, wszystko się dzieje naprawdę. Nikt nie ufa dowódcy, który nie okazuje ludzkich uczuć w chwili, kiedy utraci kogoś bliskiego. Wiesz, dlaczego?

- Teraz nie wiem nic...

- Więc ci powiem. Bo taki da cię zabić.

- Dałam zabić Charliego.

- Nie. Byłem przy tym. Nalegał, że zostanie w samolocie.

- Mogłam mu rozkazać, żeby tego nie robił.

- Zrobiłaś tak, majorze, sam słyszałem. Postąpiłaś zgodnie z przepisami, ale odmówił wykonania polecenia.

- Co? - zapytała Neilsen, spoglądając na niego prawie nie widzącymi oczyma. - Próbujesz mnie pocieszyć, prawda?

- Tylko przemówić ci do rozsądku, Cathy. Gdybym chciał cię pocieszyć w smutku, zapewne przytuliłbym cię i pozwolił się wypłakać, ale nie zrobię tego. Po pierwsze, znienawidziłabyś mnie za to, a po drugie - musisz porozmawiać z konsulem generalnym

Stanów Zjednoczonych i jego kilkoma ludźmi. Zatrzymano ich przy bramie, ale już zaczynają się awanturować i krzyczeć o uprawnieniach dyplomatycznych, więc ich tu wpuszczą za jakieś pięć minut.

- Zrobiłaś to?

- Popłacz sobie teraz nad Charliem, a potem wracaj do swoich regulaminów. Wszystko w porządku, byłem już w podobnych sytuacjach i nikt mnie jeszcze z tego powodu nie zdegradował.

- O Boże, Charlie! - załkała Neilsen, wtulając twarz w pierś

Hawthorne'a. Objął ją delikatnie, ze współczuciem.

Minęło kilka minut. Przestała płakać i Tye łagodnie uniósł jej podbródek.

- Tylko tyle czasu możesz poświęcić na rozpacz. To kolejna rzecz, której się nauczyłem. Wytrzymaj oczy najlepiej jak potrafisz, ale nie myśl, że musisz ukrywać swoje uczucia...Możesz skorzystać z rękawa mojego kombinezonu.

- O czym... o czym mówisz?

- Nadjeżdża konsul ze swoimi ludźmi. Pójdę porozmawiać z Poole'em. Już wstał. Zaraz wróć. - Zaczął iść, ale zatrzymał się, poczuwszy na ramieniu jej dłoń. - O co chodzi? - zapytał odwracając się.

- Nie wiem - odparła, kręcąc głową. Przez płytę lotniska jechał w ich kierunku samochód konsulatu z amerykańską flagą powiewającą na błotniku. - Chyba chciałam ci podziękować...

Pora porozmawiać z władzami - dodała. - Wszystko z nimi załatwię. Teraz decyzja należy do Waszyngtonu.

- W takim razie weź się w garść, majorze... I nie ma za co.

Tyrell podszedł do Jacksona Poole'a, który stał koło wozu strażackiego z dłonią opartą o poręcz przy bębnie z węzem pożarniczym. Głowę miał pochyloną, przy ustach trzymał chusteczkę, a na jego twarzy malował się straszliwy smutek.

- Co pan robi, poruczniku?

Poole gwałtownym ruchem puścił poręcz i schwycił Hawthorne'a za przód kombinezonu. - Co to wszystko, do jasnej cholery, ma znaczyć?! - wrzasnął. - Zabiłeś Charliego, ty dupku!

- Nie, Poole, nie zabiłem Charliego - odparł Tye, nie próbując się uwolnić. - Zrobił to kto inny.

- Nazwałeś mojego kumpla cholernym wrzodem na dupie!

- To nie ma nic wspólnego z jego śmiercią ani z wysadzeniem samolotu, i dobrze o tym wiesz.

- Tak. Chyba tak - przyznał cicho Poole, puszczając zmięty materiał kombinezonu Hawthorne'a. - Po prostu, zanim się pan zjawił, było nas czworo: Cathy, Sal, Charlie i ja, i wszystko było fajnie. A teraz nie ma Charliego, Sal zniknął, a Wielka Dama zmieniła się w kupę bejruckiego śmiecia.

- Wielka Dama?

- Nasz AWACS. Nazwaliśmy go tak na cześć Cathy... Dlaczego, u diabła, wpakował się pan w nasze życie?

- Nie ja dokonałem wyboru, Jackson. W taki sam sposób wy znaleźliście się w moim. Nawet nie wiedziałem, że istniejecie.

- Tak... No cóż, wszystko jest takie popieprzone. Nie mogę już nic wykombinować, ale powiem panu, że i tak lepiej potrafię się połapać co i jak niż ktokolwiek inny!

- Owszem, w komputerach, promieniach laserowych, kodach dostępu i piskach, których nikt z nas nie rozumie - odparł ostro

Hawthorne. - Ale istnieje jeszcze inny świat, poruczniku, o którym nie ma pan zielonego pojęcia. Nazywa się ilorazem ludzkim i nie ma nic wspólnego z pańskimi maszynami i elektronicznymi cudami. To ludzie, z którymi musiałem mieć do czynienia. Codziennie, od lat. Nie żadne tam punkty świetlne czy wydruki, ale mężczyźni i kobiety, którzy mogą być przyjaciółmi, lecz równie dobrze mogą chcieć nas zabić. Niech pan spróbuje rozwiązać te równania na swoich elektronicznych ruletkach!

- Chryste, pan naprawdę jest wkurzony.

- Ma pan cholerną rację. Jestem! Wszystko, co przed chwilą powiedziałem, słyszałem przed kilkoma dniami od jednego z najlepszych tajnych agentów, jakich znałem, i wtedy oświadczyłem mu, że dostał kręćka. Teraz cofam wszystko!

- Może obaj powinniśmy trochę ochłonać - stwierdził porucznik, patrząc na samochód z konsulatu jadący z powrotem przez lotnisko. - Cathy skończyła już z urzędnikami i wygląda na bardzo nieszczęśliwą.

Nadeszła Neilsen. Miała zmarszczone brwi, a na jej twarzy widniała niepewność połączona z oszołomieniem i smutkiem.

- Wracają do swoich tajnych telefonów i szczegółowych instrukcji - oznajmiła. Potem spojrzała ostro na byłego oficera wywiadu. - W co nas właściwie wpakowałeś, Hawthorne? .

- Bardzo chciałbym móc odpowiedzieć na twoje pytanie, majorze, ale wiem tylko, że sprawa jest o wiele poważniejsza, niżby mi na tym zależało. Dzisiejsza noc była tego dowodem. No i Charlie.

- O Boże, Charlie...!

- Dosyć, Cathy! - Jackson Poole odezwał się nieoczekiwanie stanowczym tonem. - Mamy robotę do wykonania i jak Boga jedyne go kocham, chcę ją wykonać. Za Charliego!

Decyzja nie była łatwa, ale w końcu rozwścieczone dowództwo bazy lotniczej w Cocoa na Florydzie podjęło ją, zmuszone do posłuszeństwa przez połączone siły Ministerstwa Marynarki Wojennej i Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz nieodwołalnym rozkazem wydanym w podziemnych salach planowania strategicznego w Białym Domu. Sabotaż AWACS-a miano utrzymać w tajemnicy.

W świat puszczono legendę, że przyczyną eksplozji samolotu treningowego z Patrick, który wylądował na francuskim lotnisku w celu usunięcia awarii, było uszkodzenie przewodu paliwowego.

Na szczęście nikt nie zginął. Sprowadzonych do Waszyngtonu krewnych nieżonatego starszego sierżanta Charlesa O'Briana poinstruował - każdego oddzielnie - sam dyrektor CIA. Wydał on również polecenie grupie śledczej, aby „działała cicho, lecz skutecznie”.

Poszukiwania, które nazwano „Krwawa Dziewczynka”, były całkowicie priorytetową sprawą i stanowiły przedmiot najwyższej troski połączonych służb. Ścisłe kontrolowano wszystkie międzynarodowe rejsy z różnych stron świata, a pasażerów zatrzymywano, czasami na kilka godzin. Każdego podejrzanego podróżnego, który przybywał sam lub w czyimś towarzystwie, umieszczano w odosobnieniu, jego dokumenty zaś poddawano komputerowej kontroli i wielokrotnie sprawdzano. Liczba zatrzymanych osób sięgała setek, potem przekroczyła tysiąc. „The New York Times” określił owe działania jako „nieuzasadnione, złośliwe nękanie”, natomiast

„International Herald Tribune” donosiła o „amerykańskiej paranoi, nie znaleziono bowiem ani jednego egzemplarza broni, ani też żadnej zakazanej substancji”. Mimo to z Londynu, Paryża czy

Waszyngtonu nie było żadnej odpowiedzi, a tym bardziej wyjaśnienia. Ani razu nie wspomniano nazwiska Bajaratt, nie przedstawiono scenariusza działań... „Szukajcie kobiety podróżującej z młodym człowiekiem, nastolatkiem, nieznaney narodowości” to wszystko.

W czasie gdy trwały poszukiwania, do Fort Lauderdale przyleciał

Lear 25. Za sterami siedział mężczyzna, który kilkaset już razy przebywał tę trasę, drugim pilotem była silnie zbudowana kobieta o ciemnych włosach, upiętych pod czapką z daszkiem, służąca poprzednio w izraelskim lotnictwie wojskowym. Tylne siedzenie zajmował wysoki młody człowiek. Wśród zebranych z tej okazji funkcjonariuszy celnych znajdował się uprzejmy urzędnik, który przywitał przybyłych po włosku i szybko załatwił formalności wizowe. Amaya Bajaratt i Nicolo Montavi z Portici wylądowali na amerykańskiej ziemi.

Jak Boga kocham, nie mam pojęcia, w jaki sposób udało ci się dotrzeć tak wysoko - oznajmił Jackson Poole, wchodząc do pokoju hotelowego, w którym Hawthorne i Catherine Neilsen badali wydruki porucznika - ale wołałbym, żebyś z tym nie przesadzał.

- Czy dziewczyna z farmy w Minnesocie ma przez to rozumieć, że otrzymaliśmy zezwolenie? - spytała Cathy.

- Do diabła, majorze, ten jankeski pirat właśnie nas adoptował, nie oglądając się na naszą zgodę.

- Mam również statki niewolnicze - odparł cicho Tyrell.

Ponownie pochylił się ze szkłem powiększającym nad komputerowymi mapami oświetlonymi stojącą na stole lampą i pospiesznie przyłożył do nich dostarczoną skalę mikrometryczną.

- Proszę jaśniej, poruczniku.

- Należymy do niego, Cath.

- Mogę cię zapewnić, że niecałkowicie - rzekła major Neilsen.

- No cóż, w jakimś stopniu zgłosiliśmy się również na ochotnika. Rozkazy głoszą, że nie możemy wykorzystywać żadnego miejscowego pilota, gdyż ktoś stąd wysadził w powietrze Wielką

Damę i wszystko pozostaje utajnione. Ponieważ jesteś wpisana na listę osób na wyjeździe zagranicznym, w pewnym sensie sama się wybrałaś, Cathy. A ponieważ ja jestem o wiele od niego młodszy i zapewne również silniejszy, w Patrick podnieśli ręce do góry i powiedzieli: „Cokolwiek sobie życzy”.

- Czy chciałbyś coś jeszcze dodać? - zapytał pochylony nad stołem Hawthorne. - Na przykład, jak będziesz mnie wyprowadzał na spacer i pilnował, żebym regularnie brał mój geriatryk?

- Hej, dajcie spokój - wtrąciła się Catherine Neilsen. Wyraźnie dałaś do zrozumienia, że chcesz skorzystać z naszych usług, ale nie mogłeś nas prosić, a tym bardziej rozkazać nam, żebyśmy ci pomogli. Przecież byśmy się zgodzili. Ze względu na

Charliego.

- Nie wiem, co się tam dzieje, ale sam ograniczam zakres swojej władzy.

- Przestań pieprzyć, Tye - zachnęła się Cathy. - Dokąd mamy się stąd udać?

- Znam te wyspy. Przypominają mały wulkaniczny atol, do którego nie warto wpływać, bo nic tam nie ma, tylko skały i plaże z ostrymi kamieniami. Same śmiecie.

- Jedna z nich nie jest taka - zaprotestował Poole. - Słowo mojej aparatury.

- Owszem - przytaknął Hawthorne. - Musimy więc się do nich zbliżyć. Francuzi dają nam wodnopłatowiec - z dwoma wyciszonymi silnikami - i dziś w nocy spotkamy się w odległości siedmiu kilometrów od najbardziej wysuniętej na południe wyspy z dwuosobowym miniaturowym okrętem podwodnym przyholowanym tam przez brytyjski poduszkowiec patrolowy z Gordy.

- Dwuosobowy?! - zawołała Neilsen. - A co ze mną?

- Zostaniesz z samolotem i poduszkowcem.

- Na pewno nie. Nie wdając się w żadne wyjaśnienia, powiedz

Angolom, żeby przysłali pilota. Zawsze się tak robi... Bez względu na stopień służbowy, Charlie był dla mnie jak starszy brat, gdybym takiego kiedykolwiek miała. Idę z tobą i Jacksonem. Na pewno będziecie mnie potrzebowali.

- Mogę zapytać, po co?

- Jasne. Kiedy wy, dwaj faceci, wyruszyście na zwiady, co zrobicie z okrętem podwodnym? Zatopicie go w błocie?

- Nie. Wyciągniemy go na plażę i zamaskujemy. Przypadkiem znam się na tym.

- Biorąc pod uwagę oczywistą alternatywę, uważam, że z punktu widzenia taktyki przeżycia jest to nie najlepsza decyzja.

Przypadkiem ja się na tym znam... Jeżeli znajdziesz wyspę, która twoim zdaniem tam jest...

- Jest - wtrącił się Poole. - Moje maszyny nie kłamią.

- Dobrze - zgodziła się Cathy. - Zakładam, że tego rodzaju miejsce będzie wyjątkowo dobrze strzeżone zarówno przez ludzi, jak i środki techniczne. Zwłaszcza przez te ostatnie. Stosunkowo łatwo dałoby się rozmieścić elektroniczne czujniki na całej krótkiej linii brzegowej. Zgadzasz się ze mną, Jackson?

- Do diabła, oczywiście, Cath.

- Mam również wrażenie, że byłoby o wiele mądrzej wynurzyć się koło brzegu i wykatapultować was, żebyście mogli dopłynąć do punktu lądowania, który wybieriecie na miejscu.

- Może raczej powinniśmy ześlizgnąć się po burcie? Bez żadnych katapult, fruwających ciał i różnych takich. Mimo wszystko nie bardzo mi się ta propozycja podoba. Chyba przeceniacie środki techniczne prymitywnej, ledwo zamieszkaney wysepki.

- No, nie wiem, Tye - zaproponował porucznik. - Mógłbym przygotować taki skomputeryzowany system śledzenia, jaki opisała

Cathy, korzystając z PC, generatora za trzysta dolarów i paru tuzinów czujników. I wcale nie przesadzam.

- Mówisz poważnie? - Tyrell spojrzał na niego ostro.

- Nie bardzo wiem, jak ci to wyjaśnić - ciągnął Poole. - Ale jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu, kiedy byłem jeszcze nastolatkiem, ojciec kupił magnetowid z pilotem. Było to najgorsze, co mógł zrobić, oprócz kupna osobistego komputera. Nigdy nie nauczył się go obsługiwać, toteż, gdy próbował zarejestrować mecz

Saintsów albo jakiś program, którego nie mógł obejrzeć w porze nadawania, wściekał się, wrzeszczał, kłął na czym świat stoi i wysyłał całe to urządzenie do wszystkich diabłów. W końcu mój ojciec jest cwany, cholernie dobrym prawnikiem, ale te znaczki, cyferki i guziki, które trzeba było przyciskać, stały się jego osobistymi wrogami.

- Czy chcesz coś przez to powiedzieć ? - spytał Hawthorne.

- Jasna sprawa - odparł Poole. - Nienawidził tego, do czego nie był przyzwyczajony, ponieważ nie potrafił się tym posługiwać, nie miał matematyczno-technicznego podejścia...

- O co ci...?

- Jest człowiekiem o szerokich horyzontach, na przykład w sprawie kandydowania czarnych do administracji państwowej, lecz nie mógł przywyknąć do postępu technicznego, ze względu na jego tempo, a także jego „niehumaniczny charakter”. Bał się techniki.

- Poruczniku, co, u diabła, chcecie mi dać do zrozumienia?

- Że wszystko jest naprawdę bardzo proste, jeżeli się do tego przywyknie. Moja siostrzyczka i ja wychowaliśmy się na szkolnych komputerach i grach wideo. Tata nigdy się temu nie sprzeciwiał, ale nie chciał się nam przyglądać. My zaś przyzwyczailiśmy się do tych wszystkich guzików i znaczków, nawet do produkcji mikroczipów.

- I jaki z tego cholerny wniosek?

- Moja siostrzyczka jest programistką w Krzemowej Dolinie i już zarabia więcej, niż ja kiedykolwiek będę miał szansę, ale ja z kolei korzystam z aparatury, za którą mogłaby mnie zabić.

- A więc?

- A więc Cathy i ja mamy rację. Jej przypuszczenia i moje doświadczenie się pokrywają. Obmyśliła teorię, co możemy zastać na wyspie. Moja dająca się udowodnić koncepcja zastosowania prostego komputera, generatora za trzysta dolarów i paru tuzinów czujników teorię tę potwierdza. Zabezpieczenie takie nie przedstawia szczególnego problemu technicznego, ale zaniechanie go może nam sprawić poważne kłopoty.

- A całe to twoje pieprzenie sprowadza się do tego, że powinienem jej posłuchać?

- Zrozum, Tye. Ta dama jest dla mnie bardzo ważna. Mnie również wcale się nie podoba to, co zamierza zrobić, ale dobrze ją znam. Kiedy ma rację, nie ustąpi, zwłaszcza w sprawach, które wiążą się z taktyką i zasadami postępowania. Przeczytała wszystkie książki na ten temat.

- A co ze sterowaniem miniaturowym okrętem podwodnym?

- Potrafię poprowadzić wszystko, co się porusza do przodu lub do tyłu, po niebie, lądzie albo w wodzie - odpowiedziała w swoim własnym imieniu major. - Pozwólcie mi godzinę posiedzieć przy sterach i nad paroma wykresami, a będę mogła przewieźć was od A do Z, z dwudziestoma pięcioma przystankami w czasie podróży.

- Lubię skromnych ludzi, ale również nie ufam im.

- Wiem także, że podwodne grupy saperskie mogą nauczyć się obsługi takiego sprzętu w ciągu dwudziestu minut.

- Mnie nauka zajęła pół godziny - odparł Hawthorne.

- Wolno łapiesz, tak jak przypuszczałam. Posłuchaj Tye. Nie jestem idiotką. Gdyby ktoś zaproponował, żebym poszła z tobą na zwiady, musiałabym odmówić. Nie ze względu na tchórzostwo, ale ponieważ nie jestem ani fizycznie, ani psychicznie przygotowana do tego rodzaju pracy. Byłabym dla ciebie tylko zawadą. Jeśli jednak chodzi o maszynę, którą potrafię obsługiwać, mogłabym okazać się przydatna. Utrzymamy łączność radiową i jeżeli w dowolnym momencie będę ci potrzebna, znajdę się w wyznaczonym miejscu.

Stanowiłabym twoje wsparcie na wypadek, gdybyś wpadł w kabałę.

- Czy ona zawsze jest taka logiczna, Jackson?

Zanim uśmiechnięty od ucha do ucha Poole zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Ponieważ porucznik znajdował się najbliżej, podszedł do nocnego stolika i podniósł słuchawkę. - Tak? zapytał ostrożnie. Posłuchał przez chwilę, po czym odwrócił się do

Hawthorne'a, zakrywając mikrofon dłonią. - Jakiś Cooke do ciebie.

- Najwyższa pora! - Tyrell wziął słuchawkę. - Gdzie, u diabła, się podziewałeś? - zapytał.

- Mogę ci zadać takie samo pytanie - odparł głos z Virgin

Gordy. - Właśnie wróciliśmy, nie zastaliśmy od ciebie absolutnie żadnej informacji i zobaczyliśmy, że ktoś nas obrobił!

- O czym ty mówisz?

- Musiałem zadzwonić do tego dupka Stevensa, żeby dowiedzieć się, gdzie jesteś.

- Nie sprawdziłeś u Marty'ego?

- Marty'ego nie ma, podobnie jak jego kumpla Mickeya. Po prostu zniknęli, stary.

- Jasna cholera! - ryknął Hawthorne. - Jak nas obrobiono?

- Koperta, którą zostawiłem dla ciebie w sejfie, także zniknęła.

Wszystko. Kompletne, uaktualnione dane.

- Jezu Chryste!

- Jeżeli ten materiał wpadnie w niepowołane ręce...

- Mam głęboko wszelkie powołane i niepowołane ręce, chcę wiedzieć, gdzie jest Marty i Mickey. Nie mogli odlecieć jak ptaki, to do nich niepodobne. Zostawiliby wiadomość, podali jakiś powód!

Czy nikt nic nie wie?

- Najwyraźniej nie. Mówią, że facet, którego nazywają Stary

Ridgeley, poszedł do warsztatu, gdzie obaj mechanicy mieli podobno pracować przy jego silnikach, i zobaczył, że motory są rozłożone na czynniki pierwsze, ale nie ma nikogo.

- Coś tu śmierdzi! - wrzasnął Hawthorne. - Oni są moimi przyjaciółmi... Co, u diabła, narobiłem?!

- Skoro się tak martwisz, to powinieneś jeszcze dowiedzieć się o najgorszym – stwierdził Cooke. - Recepcjonista, który oddał kopertę, twierdzi, że we właściwy sposób doręczył ją „dżentelmenowi” o nazwisku Grimshaw, cieszącemu się w Londynie nieposzlakowaną reputacją. Ten jegomość zidentyfikował nas wszystkich i oświadczył, że koperta jest jego bezsporną własnością, ponieważ zapłacił nam za zawarte w niej informacje.

- Jakie informacje?

- Dotyczące oględzin jachtu, który zakupuje jego klub w San

Diego, czyli kosztorys wymiany części oraz ogólna ocena dzielności morskiej. Muszę przyznać, że legenda jest nader prawdopodobna.

Niestety, młody człowiek dał się na nią nabrać.

- Każcie tego sukinsyna rozstrzelać albo przynajmniej wylać.

- Sam się zwolnił, stary. Zgłosił rezygnację, słysząc pierwsze słowa krytyki. Powiedział, że zapewniono go, iż otrzyma stanowisko w londyńskim „Savoyu”, a poza tym ma już powyżej uszu siedzenia na tej zapomnianej przez Boga wysepce. Wyleciał ostatnim rejssem na Porto Rico, oznajmiwszy bezczelnie na odchodnym, że ma nadzieję złapać ten sam samolot do Londynu, co ów wspomniany

Grimshaw. Poza tym zagroził kierownikowi, że biedaczek za dzień lub dwa nie będzie miał nawet jego posady.

- Sprawdźcie listy pasażerów z Porto Rico na wszystkie rejsy do... - Tyrell przerwał i głośno westchnął. - Do diabła, już to zrobiłeś.

- Oczywiście.

- Żadnego Grimshawa - domyślił się Hawthorne.

- Żadnego Grimshawa - przytaknął Cooke.

- I pewne jak wszyscy diabli, że nie ma go w klubie.

- Jego pokój jest czyściutki, telefon wytarty, obie kłamki również.

- Cholera... Zawodowiec!

- No cóż, stało się, Tye. Nie możemy sobie zaprzętać tym głowy.

- Możesz się założyć, że będę sobie zaprzętał głowę Martym i Mickeyem, masz to jak w banku.

- Wysłaliśmy ścigacz torpedowy, a władze przeszukują wyspę...

Poczekaj, Tyrell, właśnie wszedł Jacques. Ma mi coś do powiedzenia.

Nie rozłączaj się.

- Jasne - odparł Hawthorne, przykrywając mikrofon, i odwrócił się do Catherine Neilsen i Jacksona Poole'a. - Mamy kłopoty na Virgin Gordzie - wyjaśnił. - Mój dobry przyjaciel, a zarazem łącznik, oraz kumpel, z którym też jestem zaprzyjaźniony, zniknęli. Podobnie zresztą jak materiał na temat tej dziwki.

Cathy i Poole popatrzyli na siebie. Porucznik wzruszył ramionami, dając tym gestem do zrozumienia, że nie wie, o czym Tyrell mówi. Major również uniosła brwi, wzruszyła ramionami i pokręciła głową, wyraźnie sygnalizując, żeby nie zadawał pytań.

- Geoff, gdzie jesteś?! - wrzasnął do telefonu Hawthorne, czując, że przedłużająca się cisza w słuchawce jest nie tylko irytująca, ale staje się groźna. Wreszcie odezwał się głos.

- Strasznie mi przykro, Tyrell - zaczął łagodnie Cooke. Wolałbym nie przekazywać ci tej wiadomości. Patrolowiec wyłowił ciało Michaela Simmsa w odległości jakichś dziewięciuset metrów od brzegu. Zabito go strzałem w głowę.

- O mój Boże - westchnął Hawthorne. - W jaki sposób się tam znalazł?

- Na podstawie wstępnej oceny dowodów rzeczowych, a szczególnie płatków farby na jego ubraniu, władze sądzą, że go zastrzelono, po czym umieszczono w małej motorówce, którą z zapuszczonym silnikiem wysłano na pełne morze. Uważają, że zapewne pod wpływem kołysania się łodzi ciało Mickeya przechyliło się na bok i wypadło za burtę.

- Co oznacza, że nigdy nie znajdziemy Marty'ego albo, jeżeli komuś się to uda, będzie martwy w łódce z pustym zbiornikiem na paliwo.

- Niestety, obawiam się, że brytyjska marynarka wojenna podziela twoją opinię. Londyn i Waszyngton wydały polecenie, aby utrzymać wszystko w tajemnicy.

- Do diabła! Wciągnąłem obu chłopaków w to gówno! Byli bohaterami na wojnie, a zostali zabici za byle co!

- Wybacz, Tye, ale jestem przekonany, że nie masz racji!

Masakra w Miami, twoje własne doświadczenia na Sabie i sprawa samolotu na St. Martin dowodzą, że mamy do czynienia z niezwykle poważnym problemem. Ta kobieta... ci ludzie dysponują środkami przekraczającymi najśmielsze wyobrażenia.

- Wiem - odparł Hawthorne ledwo słyszalnym głosem. Wiem również, jak moi nowi towarzysze przeżywają śmierć Charliego.

- Kogo?

- Nic, mniejsza o to, Geoff. Czy Stevens poinformował was o naszych planach?

- Tak, i szczerze mówiąc, Tyrell, muszę cię zapytać, czy rzeczywiście sądzisz, że dasz sobie radę? W końcu nie zajmowałeś się takimi sprawami od dobrych paru lat...

- Co, u diabła, mieliście ze Stevenssem posiedzenie kółka szydełkowania starych panien? - przerwał mu ze złością Hawthorne. - Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Cooke. Mam czterdzieści lat...

- Czterdzieści dwa - szepnęła z drugiej strony pokoju Neilsen. - Akta...

- Zamknij się! Nie, nie ty, Geoff. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Ruszamy za godzinę i mamy dużo do zrobienia.

Skontaktuję się z tobą później. Podaj łącznika.

- Kierownik? - zaproponował pracownik MI-6.

- Nie, nie on. Jest zbyt zajęty prowadzeniem firmy... Niech nim będzie Roger, barman z plaży, jest w sam raz.

- A, tak, czarny facet ze spluwą. Dobry wybór.

- Bądź w kontakcie - polecił Tyrell. Odłożył słuchawkę i odwrócił się do major Neilsen. - Mój wiek jest nieistotnym szczegółem, natomiast byłem precyzyjny, mówiąc, że będziemy w dwuosobowym okręcie podwodnym. Nie trzy- czy czteroosobowym, lecz dwu-. Mam nadzieję, że ty i twoje „kochanie” jesteście cholernie zaprzyjaźnieni, ponieważ, skoro tak bardzo nalegasz na wzięcie udziału w wyprawie, musisz siedzieć albo na nim, albo pod nim!

- Mała poprawka w sprawie miniaturowego okrętu podwodnego, komandorze Hawthorne - odparła major. - Z tyłu, albo może powinnam powiedzieć: od strony rufy, za drugim siedzeniem jest poziomy pojemnik o wymiarach równych stanowiskom załogi, jeżeli nie większych. Znajdują się w nim: ponton, zaopatrzenie na pięć dni, a także broń i rakiety. Proponuję, żebyśmy usunęli to wszystko, umieścili niezbędny sprzęt, a nie będzie problemu z miejscem dla mnie.

- Skąd tyle wiesz o miniaturowych okrętach podwodnych?

- Chodziła z pilotem z marynarki, który cholernie dobrze znał się na broni podwodnej - wtrącił się porucznik. - Sal, Charlie i ja byliśmy szczęśliwi jak świny w kałuży, kiedy mu powiedziała, żeby sobie poleciał na Saturna. Był z niego kawał aroganckiego, nadętego dupka.

- Proszę cię, Jackson, o pewnych sprawach nie mówi się publicznie.

- Na przykład o aktach osobowych?

- Takie są przepisy wojskowe.

- Wykopane z okresu wojny tysiąc osiemset dwunastego roku...

No dobra, mniejsza z tym. - Hawthorne podszedł do stołu i dokumentów. - Możemy podpłynąć ścigaczem torpedowym na odległość mniej więcej kilometra na południe od

pierwszej wyspy, oczywiście z wygaszonymi światłami, posługując się wyłącznie Loranem. A teraz popatrzcie tutaj. - Tyrell wskazał skalą mikrometryczną na przesłane faksem z Waszyngtonu dane, zawierające wszystko, co było wiadomo o atolu. Na szczęście w komplecie dokumentów znajdowały się również mapy sporządzone przed sześćdziesięcioma laty przez ludzi takich jak on. Zaznaczono na nich rafy oraz niewidoczne skały wulkaniczne. - Tutaj jest luka w zewnętrznym pierścieniu raf - powiedział, dotykając punktu na mapie.

- Czy nasz sonar zdoła ją odnaleźć? - spytał Poole.

- Jeżeli podejdziemy w zanurzeniu, zapewne tak - odparł

Tye. - Ale jeżeli się wynurzymy, nie. I wówczas wylądujemy na kupie koralu.

- W takim razie pozostaniemy w zanurzeniu - zaproponowała

Catherine.

- Wtedy dotrzemy do zewnętrznego pierścienia raf, nie mając określonej pozycji, i będziemy płynęli na ślepo - wyjaśnił Hawthorne. - A to zaledwie pierwsza wyspa. Cholera!

- Czy mogę zatem coś zasugerować? - nalegała Neilsen.

- Bardzo proszę.

- W czasie lotów treningowych, kiedy napotykamy grubą pokrywą chmur, schodzimy tak nisko, jak to możliwe, tuż nad nią, gdzie nasza aparatura ma największy zasięg obserwacji. Może byśmy spróbowali odwrócić sytuację? Popłynemy na maksymalnym wynurzeniu, korzystając z szerokokątnego peryskopu obserwacyjnego, i na minimalnej prędkości. W ten sposób, jeżeli nawet natrafimy na rafy, odbijemy się od nich.

- Kiedy się pominie cały ten specjalistyczny żargon - wtrącił się Poole - wszystko okazuje się bardzo proste. Podobnie jak z komputerami - wszystko stopniowo. Połowa w środku, połowa na zewnątrz. Oczy skierowane na cel, dziesięć palców na klawiszach.

- Jakich klawiszach?

- Czy możesz mi zorganizować prosty laptop i tuzin czujników, które mógłbym przykleić do poszycia okrętu?

- Oczywiście, że nie. Nie ma na to czasu.

- W takim razie skreślamy klawisze. Propozycja Cathy pozostaje w mocy.

- Mam nadzieję, że się nie myli.

ROZDZIAŁ 9

Zapuszczony motel w West Palm Beach stanowił zaledwie chwilowy przystanek barone-cadetto di Ravello. Zameldował się w nim jako robotnik budowlany, któremu towarzyszy ciocia w średnim wieku, mieszkanka Lake Worth, pomagająca siostrzeńcowi urządzić się „we wielgich Stanach Zjednoczonych, rozumi pan, co mam na myśli? On je wspaniały chłopak, który cinzko pracui!”

A o dziewiątej trzydzieści rano „ciocia” z „bratankiem” wędrowali po Worth Avenue, najdroższej ulicy Palm Beach, wybierając i płacąc gotówką za najlepsze ubrania w najbardziej eleganckich sklepach. Zaczęły się też rozchodzić słuchy: „Jest włoskim baronem...”

Mówią, że z Ravello, ale pst! Nikt nie może o tym wiedzieć!

Nazywają go barone-cadetto, co oznacza, że jest najstarszym synem, który dziedziczy tytuł, a jego ciotka to contessa, prawdziwa hrabina.

Wykupują wszystko na całej ulicy, wszystko, co najlepsze! Alitalia zagubiła cały ich bagaż, niesamowite, prawda?”

Oczywiście, wszyscy na Worth Avenue wierzyli w te pogłoski, słuchając dźwięku kas przyjmujących gotówkę. Właściciele sklepów zaczęli dzwonić do swoich ulubionych dziennikarzy w Palm Beach i Miami, aby podzielić się z nimi tajemnicą, pod warunkiem, że ich firma zostanie wymieniona w zauważalny sposób.

O dziewiątej wieczorem pokój w motelu wypełniały pudła z odzieżą oraz walizki od Louis Vuittona. Bajaratt zdjęła lekko wywatowaną suknię, westchnęła głośno i upadła na podwójne łóżko.

- Jestem wykończona! - zawołała.

- A ja nie! - Nico był pełen entuzjazmu. - Nigdy dotąd nie traktowano mnie w taki sposób. Magnifico!

- Uspokój się, Nicolo. Jutro przeprowadzamy się do wielkiego hotelu za mostem, wszystko jest już załatwione. A teraz daj mi spokój. Jeżeli można cię prosić, oszczędź sobie natarczywych młodzieńczych zalotów. Muszę pomyśleć, a potem się wyspać.

- Proszę myśleć, signora. Mam zamiar wypić kieliszek wina.

- Tylko nie przesadzaj. Jutro czeka cię dzień pełen zajęć.

- Naturalmente - odparł chłopak z doków. - W takim razie poczytam jeszcze trochę. A barone-cadetto di Ravello musi być dobrze przygotowany, prawda?

Dziesięć minut później Baj już spała, a z drugiej strony pokoju, w kręgu lampy stojącej obok sofy, Nicolo wznosił kieliszek wina nad kartkami zawierającymi jego nową osobowość. - W twoje ręce, święta Cabrini - powiedział w myśli, poruszając jedynie ustami. - I za zdrowie moje, przyszłego barona.

O jedenastej trzydzieści nocne niebo nad Karaibami było czyste, księżyc świecił jasno i jego promienie odbijały się od ciemnej powierzchni wody. Wodnopławiec spotkał się z poduszkowcem z Virgin Gordy o dziesiątej pięć. Od tego czasu troje Amerykanów zdążyło zmienić ubrania na dostarczone im przez Brytyjczyków czarne skafandry. Do pasków przymocowali małe pistolety z tłumikami. Major Neilsen przeszła krótki kurs operowania miniaturowym okrętem podwodnym, miała bowiem przejąć stery w chwili, gdy jej towarzysze wyruszą na plażę. Instruktażu udzielił jej młody brytyjski komandos, głęboko przekonany, że to on powinien brać udział w zwiadzie, a nie ta amerykańska pilotka. Jego opór osłabł, gdy major odprowadziła go na rufę i porozmawiała z nim na osobności.

Choć w dalszym ciągu komandos czuł się nieco rozczarowany, to jednak okazał się świetnym nauczycielem. Po godzinie był dumny z uczennicy.

- Aż się boję pomyśleć, co mu obiecałaś - odezwał się Tyrell, gdy Catherine weszła na pokład po zakończeniu ostatnich prób manewrowych na małym kawałku oceanu.

- Czy nadeszła pora na świństwa?

- Daj spokój, chciałem tylko wprowadzić trochę luzu. Czeka nas długa noc.

- Powiedziałam mu prawdę... o Charliem. Że naprawdę jestem mu coś winna. Sądzę, że byłam przekonująca.

- Jestem tego pewny.

- Obiecałam, że jeżeli nie dam sobie rady, zrezygnuję. Nie zaryzykuję życia dwóch ludzi... Ten Angol miałby wielką ochotę z tobą popłynąć i gdyby chciał, mógłby mnie oblać, ale tego nie zrobił. Wiedział, o co mi chodzi, i pokazał wszystko, co trzeba.

- Wierzę, majorze - odparł szczerze Hawthorne. - Wyruszamy do pierwszej wyspy za kilka minut. Czy chcesz coś przekazać pilotowi z Gordy, przejmującemu wodnosamolot, którym przylecieliśmy? O samej maszynie.

- Siedzi pod pokładem. Nie powinien nas widzieć ani my jego.

Mam zamiar zostawić mu krótką notkę.

- O to mi właśnie chodziło. Napisz ją zaraz.

- Prawdę mówiąc, byłaby tak krótka, że kapitan sam może mu wszystko powtórzyć. Chodzi o lewy ster wysokości - trochę ściąga i trzeba wyrównywać. Przekonałby się o tym po paru minutach.

- Przekażę informację. Jeżeli masz ochotę na małe siusiu, zrób lepiej teraz. Potem możesz nie mieć okazji, aż do rana.

- O wszystko zadbałam, dziękuję. Ale nie czuję sympatii do projektantów tych skafandrow. W najlepszym razie można o nich powiedzieć, że są męskimi szowinistami.

- Z miejsca, w którym stoję, nie dostrzegam żadnych problemów - odparł Tyrell, zerkając na skapaną w świetle księżycy postać obciągniętą czarnym skafandrem.

- Na tym polega problem: stoisz.

- Ruszamy! - Jackson Poole przyszedł do nich na rufę. Kapitan oświadczył, że podnoszą okręt podwodny na pokład i powinniśmy przeciwiczyć zajmowanie naszych miejsc na wypadek, gdyby trzeba było wprowadzić jakieś poprawki w rozmieszczeniu ładunku.

- Tak wcześnie? - zdziwiła się Neilsen.

- Wcale nie tak wcześnie, Cathy. Twierdzi, że przy szybkości poduszki dotrzemy na miejsce startu za dwadzieścia minut albo i szybciej.

- Sir! - Instruktor major Neilsen wyskoczył z cienia, stanął na baczność i zsalutował Hawthorne'owi.

- Tak, właśnie otrzymaliśmy wiadomość, sierzancie. Podnoście okręt. Jesteśmy gotowi.

- Nie o to chodzi, panie komandorze - odparł żołnierz. Czy mogę spytać, jak dawno posługiwał się pan tym sprzętem?

- Do licha, jakieś pięć czy sześć lat temu.

- Brytyjskiej produkcji?

- Zazwyczaj naszej, ale używałem i waszego. Nie ma wielkiej różnicy.

- To nie wystarczy, panie komandorze.

- Słucham?

- Nie mogę pozwolić, aby sterował pan naszym okrętem.

- Co?!

- Ta pani wykazała niezwykle umiejętności w tym względzie, doprawdy niezwykle.

- No cóż, miałam pewną praktykę w Pensacola, sierzancie oznajmiła skromnie Neilsen.

- Znakomicie ją pani przeszła.

- Chcecie powiedzieć, że ona ma sterować, kiedy po raz pierwszy odcumujemy od was?

- Tak jest, panie komandorze.

- Dajcie sobie spokój z tym komandorem. Znam te wyspy, a ona nie!

- Nie zdaje pan sobie sprawy z najnowszych rozwiązań technicznych. Sternik ma przed sobą ekran telewizyjny, który pokazuje mu wszystko, co widać przez peryskop z drugiego stanowiska. Jeżeli nie wie pan o tym, nie orientuje się pan również w innych ulepszeniach. Bardzo mi przykro, panie komandorze, ale nie mogę pozwolić panu usiąść przy sterach.

- Chyba zwariowaliście!

- Nie, panie komandorze. Ten okręt podwodny kosztował rząd brytyjski przynajmniej czterysta tysięcy funtów i nie mogę się zgodzić, aby sterował nim ktoś, kto nie robił tego od lat. A teraz zechcą państwo przejść na dziób. Trzeba go przewieźć na wodnosamolot.

- Powiedźcie pilotowi, że ster w lewym pływaku trochę ściąga - odezwała się Catherine. - Poza tym wszystko w normie.

- Tak jest, proszę pani. Wezwę państwa, gdy tylko podciągniemy samolot do burty i wsiądzie do niego pilot. - Sierżant wyprostował się, skinął głową i unikając spojrzenia Hawthorne'a, odszedł.

- Zostałem wykolegowany! - oświadczył ze złością Tyrell, kiedy szli już po pokładzie.

- Wiesz, Tye - oznajmiła Cathy, gdy znaleźli się na dziobie ścigacza o dziwacznej sylwetce - uważam, że tak będzie lepiej.

Słowo daję, nie zabierałabym się do tego, gdybym sądziła inaczej. Gdybym nie dawała sobie rady, zrezygnowałabym ze sterowania.

- Niby dlaczego tak ma być lepiej? - spytał Hawthorne.

- Ponieważ będziesz mógł się skupić na tym, czego szukasz, i nie zaprzętać sobie głowy sterami.

Tyrell popatrzył na nią i w świetle księżyca dostrzegł błaganie kryjące się w jej szarzielonych oczach - oczach małej dziewczynki w pięknej twarzy bardzo uzdolnionej kobiety.

- Może masz rację, majorze, nie mogę temu zaprzeczyć. Po prostu wolałbym, żebyś zrobiła to w inny sposób.

- Nie mogłam, bo nie wiedziałam, czy mi się uda.

Uśmiechnął się, czując, że gniew mu mija.

- Czy zawsze masz na wszystko odpowiedź? - spytał.

- A czy bayou kiedykolwiek wysycha? - wtrącił się szczupły, wysoki Poole. Stał oparty o reling, udając że nie przysłuchuje się rozmowie.

- Nie mów tego - rozkazał Tyrell, zbliżając dłonie do twarzy

Neilsen. - Tylko nie mów: „Spokojnie, kochanie”!

- A, o to chodzi - roześmiała się Catherine. - Kiedyś ci opowiemy, skąd się to wzięło, i może sam zaczniesz go tak nazywać. - Nagle jej wzrok stał się nieobecny i pełen smutku. - To był pomysł Sala i Charliego, oni zaczęli.

- Co?

- Zapomnij o tym - odparła. Mrugnęła i jej oczy znowu pojaśniały. - Jeżeli oczywiście nie masz opatentowanego tego zwrotu.

- Panie komandorze! - Z cienia przy prawoburtowym relingu wyłonił się sierżant komandosów. - Przygotowaliśmy okręt podwodny do zanurzenia.

- A więc chodźmy.

Pierwsza wyspa była po prostu tylko stertą wulkanicznego gruzu.

Pokonali zewnętrzną rafę, wynurzyli się i nie zobaczyli niczego oprócz poszarpanych skał i skąpej roślinności ledwo wegetującej dzięki sporadycznym deszczom wsiąkającym w wysuszoną słońcem ziemię.

- Dajmy sobie spokój - polecił Tyrell sternikowi siedzącemu na pierwszym stanowisku. - Kieruj się do numeru dwa. Leży w odległości kilometra stąd na południowy wschód, o ile dobrze sobie przypominam.

- Dobrze pamiętasz - odparła zza sterów Catherine. - Mam mapę i zaprogramowałam nasze wyjście. Zamknij luki, przygotowujemy się do zanurzenia.

Druga wyspa była jeszcze mniej, jeżeli to możliwe, prawdopodobnym miejscem, by mogły się na niej znajdować przewidywane przez Poole'a elektroniczne alarmy. Stanowiła pozbawioną życia formację skalną bez roślinności i piaszczystych plaży, produkt wulkanicznej działalności niewart zainteresowania ni ludzi, ni zwierząt. Trzyosobowy okręt podwodny skierował się więc w stronę trzeciej wyspy, leżącej w odległości sześciu i pół kilometra dokładnie na północ od drugiej. Tu i ówdzie widniały na niej plamy zieleni, ale wyraźnie zniszczone przez ostatnie sztormy i nie zdradzające najmniejszego śladu pielęgnacji. Palmy były powyginane, uszkodzone, a wiele połamanych leżało na ziemi. Ot, bezludna wyspa wydana na pastwę żywiołów. Mieli właśnie skierować się na wschód, ku następnej wyspie, kiedy Hawthorne, przyglądający się umieszczonemu przed Neilsen ekranowi telewizyjnemu, polecił cicho:

- Poczekaj, Cathy. Daj maszyny wstecz i wykonaj zwrot o dziewięćdziesiąt stopni.

- Dlaczego?

- Coś mi tu nie pasuje. Radar przy peryskopie daje echo.

Zanurzenie!

- Dlaczego?

- Rób, co ci każę.

- Dobrze, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego.

- Ja też - odezwał się Poole z przedziału ładunkowego.

- Siedźcie cicho. - Hawthorne przebiegał wzrokiem od ekranu telewizyjnego do zaopatrzonego w siatkę koordynat ekranu radaru i z powrotem. - Trzymaj peryskop w górze.

- Jest przez cały czas - odparła Catherine.

- To jest to - oznajmił Tyrell. - Twoja aparatura miała rację, kolego. Mamy go.

- A cóż to takiego? - zapytała major Neilsen.

- Mur. Cholerny, postawiony ludzką ręką mur, który daje sygnał na radarze. Według mnie jest zbrojony stalowymi prętami.

Ukryli go, ale odbija sygnał radarowy.

- Co teraz zrobimy?

- Opłyn wyspę, a potem, jeżeli nie napotkamy żadnych niespodzianek, wróc tutaj.

Ledwo wynurzeni, powoli popłynęli wokół wyspy, a niewidzialne wiązki radarowe omiatały każdy metr linii brzegowej.

Poole, aby móc prowadzić obserwację wzrokową, wcisnął się w otwarty luk nad stanowiskiem Tyrella i patrzył przez nocną lornetę.

- O rany! - wykrzyknął, wsuwając głowę w luk, aby lepiej go słyszeli. - Mają wszędzie rozsiane czujniki, chyba co sześć albo dziewięć metrów i z całą pewnością w określonych sekwencjach.

- Mów, co widzisz - polecił Hawthorne.

- Wyglądają jak małe szklane reflektory. Niektóre są na palmach, inne na słupkach wkopanych głęboko w ziemię. Te na pniach drzew mają pojedyncze czarne albo zielone przewody puszczone między liśćmi, a przy tych umieszczonych na słupkach chyba plastikowych - nie widać żadnych przewodów.

- Są wewnątrz słupków - wyjaśnił Tyrell - i wkopane do głębokości dwóch metrów. Nie dostrzegłbyś ich, chyba że z odległości dwudziestu centymetrów przy świetle dziennym. A może nawet wtedy by ci się nie udało.

- Jak wyglądają?

- Przypominają przezroczyste czarne żyły, a końcówki kontaktowe są w określonych kolorach, aby można je było łączyć w sekwencje. Miałaś rację pod tym względem.

- Choinka?

- Tak, lecz z rezerwowym zasilaniem. Nie można zrobić zwarcia w jednym i wyłączyć w ten sposób całej sekwencji. Przewody prowadzą do baterii umieszczonych przed lub za czujnikiem, co pozwala ominąć zwarcie i utrzymać kontakt.

- No proszę, posłuchajcie technika! Cóż to takiego?

- Wiązki kontrolne, a twoja komputerowa abrakadabra jest częścią aparatury. Wiązki mogą mierzyć gęstość - albo masę, jeśli wolisz - dzięki czemu małe zwierzęta, na przykład ptaki, nie uruchamiają sygnalizacji alarmowej.

- Imponujesz mi, Tye.

- Były w użyciu już wtedy, kiedy bawiłeś się w gry wideo.

- W jaki sposób się przez nie przedostaniemy?

- Przepelźniemy na brzuchach. To nie sztuka, poruczniku.

Dawnymi czasy, pięć albo sześć lat temu, chłopcy z KGB i my, aniołki z naszej paczki, pilibyśmy jak smoki w Amsterdamie, opowiadając sobie nawzajem, jacy byliśmy głupi.

- Robiłeś coś takiego?

- Wszyscy robiliśmy, Jackson. Nie zastanawiaj się nad tym.

Ale również nie licz na to.

- Wiesz co, komandorze, naprawdę wciąż mnie zadziwiasz.

- Jak ktoś kiedyś napisał, wszystko jest zagadką, młody człowieku... Poczekaj, majorze! - Catherine Neilsen spojrzała na niego znad sterów. - Tu jest zatoczka, ta sama, w której mieliśmy echo radarowe. Od muru.

- Czy mam do niej wpłynąć?

- Do licha, nie. Płyn wciąż na zachód, jakieś czterysta metrów, nie dalej.

- A co wtedy?

- Wtedy twoje „kochanie” i ja urwiemy się ze statku... Złaź stamtąd, Poole. Sprawdź broń i przygotuj wyposażenie.

- Jestem z tobą, komandorze. Sprawiasz wrażenie rzeczywiście zdecydowanego - odparł Poole.

Zadzwoił telefon. Jego ostry sygnał wyrwał Bajaratt ze snu i spowodował, że instynktownie sięgnęła pod poduszkę po pistolet. Potem usiadła na łóżku, mrugając i starając się opanować, ale zdziwienie nie ustępowało. Przecież nikt nie wie, gdzie się znajduje- gdzie oni się znajdują! Z położonego o piętnaście minut jazdy lotniska jechali do motelu trzema taksówkami - w dwóch pierwszych była w przebraniu izraelskiej pilotki lotnictwa wojskowego, a w trzeciej jako stara wiedźma, mówiąca jedynie łamaną angielszczyzną.

Motele takie jak ten, w którym się zatrzymali, nie wymagały żadnych listów polecających, a tym bardziej autentycznych nazwisk. Dzwonek telefonu rozległ się znowu. Natychmiast podniosła słuchawkę, aby go uciszyć, i spojrzała na leżącego obok niej chłopaka.

Spał głęboko, oddychając równo. Czuła od niego odór przetrawionego wina.

- Słucham? - powiedziała cicho do słuchawki, spoglądając na czerwone cyfry na zegarze wmontowanym w radioaparat stojący na stoliku obok łóżka. Była pierwsza trzydzieści pięć w nocy.

- Przepraszam, że panią budzę - oznajmił miły męski głos ale kazano nam pomagać pani, a mam pewną informację, którą może zechce pani przemyśleć.

- Kim pan jest?

- Instrukcja nie przewiduje wymieniania nazwisk. Wystarczy, jeśli powiem, że nasza grupa żywi wielki szacunek do chorego staruszka na Karaibach.

- W jaki sposób mnie pan znalazł?

- Ponieważ wiedziałem, kogo i gdzie szukać, a nie ma znowu aż tak wiele miejsc, w których mogłaby się pani ukryć... Spotkaliśmy się przez chwilę w czasie kontroli celnej w Fort Lauderdale, ale to nieważne. Natomiast moje informacje mogą mieć znaczenie. Proszę, niech mi pani nie utrudnia sytuacji. I tak podejmuję ryzyko, które wielu uznałoby za szaleństwo.

- Przepraszam pana. Szczerze mówiąc, zaskoczył mnie pan...

- Wcale nie - przerwał jej miły głos. - Wstrząsnąłem panią.

- No dobrze, przyznaję. Jaką ma pan wiadomość?

- Wykonała pani tego popołudnia wspaniałą robotę. Wszystkie miejscowe rekiny towarzyskie są wygłodniałe, jak zapewne pani oczekiwała.

- Staralam się tylko nas przedstawić.

- Osiągnęła pani więcej. Macie jutro niewielką konferencję prasową.

- Co?!

- To, co powiedziałem. Może nie ma tu sfer takich jak w Nowym Jorku i Waszyngtonie, ale jest paru sensownych dziennikarzy, zwłaszcza jeżeli chodzi o towarzystwo z Beach. Nietrudno ustalić, gdzie się pani zatrzymała, toteż kilku z nich udało się do

„The Breakers”. Uznaliśmy, że powinna pani o tym wiedzieć.

Oczywiście, może pani odmówić, lecz nie sądzimy, aby chciała pani być... zaskoczona.

- Dziękuję. Czy jest jakiś numer, pod którym mogłabym się z panem skontaktować?

- Zwariowała pani? - Głos umilkł i zamiast niego rozległ się sygnał.

Bajaratt odłożyła słuchawkę, wstała z łóżka i przez kilka minut spacerowała tam i z powrotem przed stosem walizek i pudełek ze sklepów na Worth Avenue. To nie było trudne, pomyślała, patrząc na sprawunki, i pogratulowała sobie umiejętności przewidywania. A także tego, że zażądała, aby z ubrań usunięto wszystkie metki świadczące o niedawno dokonanych zakupach.

Pakowanie rano pójdzie o wiele szybciej. Następny etap nie będzie jednak taki łatwy.

- Nicolo! - zawołała głośno, pociągając gołą stopę sterczącą spod kołdry. - Obudź się!

- Co...? O co chodzi, Cabi? Jest jeszcze ciemno.

- Już nie. - Baj włączyła stojącą przy sofie lampkę. Chłopak usiadł, przecierając oczy i ziewając. - Ile wypieś? - spytała

Bajaratt.

- Dwa albo trzy kieliszki wina - odparł ze złością. - Czy popełniłem przestępstwo, signora?

- Nie, ale czy dokładnie przeczytałeś informacje zawarte na tych kartkach, tak jak obiecałeś?

- Oczywiście. Czytałem je przez wiele godzin ubiegłej nocy, potem rano w samolocie i w taksówce, i zanim poszliśmy do tych eleganckich sklepów. Dzisiaj w nocy spędziłem na ich lekturze przynajmniej godzinę, kiedy pani spała.

- Czy wszystko pamiętasz?

- Pamiętam tyle, ile to możliwe. Czego pani jeszcze chce ode mnie?

- Gdzie chodziłeś do szkoły? - spytała ostro Baj, stając w nogach łóżka.

- Przez dziesięć lat pobierałem nauki w naszym majątku w Ravello - młody człowiek odpowiedział automatycznie, jak robot.

- A potem?

- L'ecole du Noblesse w Lozannie - natychmiast odrzekł

Nicolo. - Przygotowywałem się tam do... do...

- Szybko! Przygotowywałeś się do c z e g o?

- Do studiów na Univeriste de Geneve, właśnie tam! A potem mój chory ojciec wezwał mnie z powrotem do Ravello, abym przejął rodzinne interesy... Tak, wezwał mnie do rodzinnych interesów.

- Nie wahaj się! Pomyślą, że kłamiesz.

- Kto?

- Kiedy ojciec kazał ci wrócić?

- Zatrudniłem prywatnych nauczycieli... - Nicolò przytknął oczy, a potem słowa szybko popłynęły z jego ust - ... na dwa lata, aby uzupełnić braki w wykształceniu uniwersyteckim...

Uczyli mnie po pięć godzin każdego dnia! Uznano, że na esami di stato w Mediolanie osiągnąłem jeden z najlepszych wyników.

- Masz odpowiednie dokumenty - przypomniała mu Bajaratt. - Bardzo dobrze, Nico.

- Zrobię wszystko jak najlepiej, ale przecież to wszystko kłamstwo, czyż nie, signora? A założmy, że ktoś, kto zna włoski, zada mi pytania, na które nie będę umiał odpowiedzieć?

- Damy sobie z tym radę. Po prostu zmienisz temat albo ja ci w tym pomogę.

- Dlaczego mnie pani obudziła i kazała to wszystko powtarzać?

- Z konieczności. Nie słyszałeś, bo wino zatkało ci uszy, że dzwonił telefon. Kiedy jutro przyjedziemy do hotelu, zastaniemy dziennikarzy, którzy zechcą przeprowadzić z tobą wywiad.

- Nie, Cabi. Któż by chciał robić wywiad z chłopcem z doków w Portici? Przeprowadzą wywiad nie ze mną, ale z barone-cadetto di Ravello, prawda?

- Posłuchaj mnie, Nico. - Baj, słysząc niezadowolenie w jego głosie, usiadła na krawędzi łóżka. - Naprawdę możesz zostać barone-cadetto. Rodzina widziała twoje fotografie, dotarła do nich wiadomość o twym szczerym zamiarze przeobrażenia się w wykształconego człowieka, wspaniałego nobile italiano. Rodzice gotowi są powitać cię jako syna, którego nigdy już nie będą mieli.

- Znowu mówi pani dziwne rzeczy, signora. Kto z arystokracji chciałby skazić swą krew krwią z doków?

- Ta rodzina chce tego, ponieważ nie pozostał jej nikt oprócz ciebie. Ci ludzie mi ufają i ty również musisz mi zaufać. Zamień swoje nędzne życie na inne, o wiele lepsze, bogatsze.

- Ale dopóki to nie nastąpi, jeżeli w ogóle nastąpi, chce pani, żebym był barone-cadetto, prawda?

- Tak, oczywiście.

- I jest to dla pani bardzo ważne z powodów, o które zabroniła mi pani pytać.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co dla ciebie zrobiłam, a przede wszystkim fakt ocalenia ci życia, sądzę, że mogę tego od ciebie wymagać.

- O tak, oczywiście, Cabi. A ja zasługuję na nagrodę, ponieważ uczyłem się dla ciebie, a nie dla siebie.

Nicolò uniósł ręce, położył dłonie na jej ramionach i powoli pociągnął ją na łóżko. Nie opierała się chłopcu-mężczyźnie.

ROZDZIAŁ 10

Było tuż po drugiej w nocy, kiedy Hawthorne i Poole w czarnych skafandrach przeczołgali się przez ostre skały stanowiące miejsce ich lądowania na nie zaznaczonej na mapie wyspie, trzeciej na wulkanicznym atolu.

- Leż płasko - polecił Tyrell przez radio. - Pełnij tak, jakbyś był fragmentem gleby, zrozumiałeś?

- Do licha, tak, nie martw się o mnie - rozległa się wyszeptana odpowiedź.

- Kiedy miniemy pierwsze wiązki kontrolne, przez następne piętnaście czy dwadzieścia metrów nie podnoś się, rozumiesz? Na przestrzeni około piętnastu metrów będą rozmieszczone na różnych wysokościach kolejne wiązki - ci, którzy je instalowali, wychodzili z założenia, że każdy, kto znajdzie się na brzegu, po jakimś czasie musi wstać, co oczywiście w wypadku królika czy węża nie wchodziłoby w rachubę, rozumiesz mnie?

- Czy są tu węże?

- Nie, nie ma. Po prostu usiłuję ci wyjaśnić, w jaki sposób działa system - odparł ostro Tye. - Krótko mówiąc: nie wstawaj, dopóki ja tego nie zrobię.

- Jak sobie życzysz - odparł Poole.

Sześćdziesiąt osiem sekund później dotarli do często spotykanego na wyspach płaskiego fragmentu gruntu pokrytego wypaloną słońcem trawą, na którym nie mogły rosnąć ani palmy, ani inne drzewa.

- Teraz - oznajmił Hawthorne wstając. - Przeszliśmy. Pobiegli przez pustkowia i nagle zatrzymali się, słysząc dobiegające z oddali dziwne stłumione dźwięki. - Psy - szepnął Tyrell przez radio. - Poczuli nasz zapach.

- O Boże!

- To przez ten północno-zachodni wiatr.

- Co teraz?

- Musimy biec jak wszyscy diabli na południowy wschód.

Ruszaj za mną. - Puścili się pędem w lewo, w kierunku linii brzegowej, aż dotarli do gaju palmowego. Kiedy znaleźli się pod osłoną rozłożystego listowia, dyszący ciężko Hawthorne powiedział do Poole'a. - Wszystko to jakieś dziwne.

- Dlaczego? Psy już nie szczełają.

- Przestały czuć nasz zapach, ale nie o tym myślałem. - Tye rozejrzał się wokoło. - Ten gatunek palm przypomina wachlarze.

- I co z tego?

- Łamią się pierwsze podczas silnych wiatrów. Widzisz, kilka z nich sztormy zniszczyły, ale bardzo wiele stoi nadal.

- No to co?

- Przypomnij sobie, co widzieliśmy z okrętu podwodnego, kiedy byliśmy na wprost zatoczki. Prawie wszystko zostało zrównane z ziemią, wyrwane z korzeniami.

- W dalszym ciągu nie rozumiem. Niektóre drzewa wytrzymały, a inne nie. Co w tym dziwnego?

- Te tutaj znajdują się o wiele wyżej niż rosnące przy zatoce.

- Wybryk natury - wytłumaczył Poole. - Kiedy wieje od jeziora Pontchartrain, dzieją się różne niesamowite rzeczy. Kiedyś zdmuchnęło całą lewą część naszego domku letniskowego, ale stojąca przed nim psia buda pozostała nietknięta. Trudno przewidzieć, jak się zachowa przyroda.

- Może tak, może nie. Chodźmy. - Przeszli między grubymi drzewami w kształcie wachlarza, aż dotarli do małego występu skalnego, z którego rozpościerał się widok na zatokę. Tyrell wyjął z torby na pasku nocną lornetkę i podniósł ją do oczu. - Chodź tu, Jackson. Popatrz przez nią - prosto przed siebie na drugą stronę, niedaleko wierzchołka wzgórza - i powiedz mi, co widzisz. - Podał młodszemu koledze przyrząd i przyglądał mu się, podczas gdy Poole obserwował teren nad zatoczką.

- Hej, to niesamowite, Tye - odezwał się oficer lotnictwa. Widzę przez drzewa kilka rozmytych pasków światła. Ciągną się prosto na długim odcinku i zaginają ku dołowi, ale nie widzę ich źródła.

- Ciemnozielone okiennice przeciwhuraganowe, zamaskowane.

Nikommu się jeszcze nie udało wymyślić doskonałej maszyny obsługującej zewnętrzne okiennice. Nie wymyślono listew, które zamykałyby się idealnie szczelnie. Twoje popiskujące maszyny celnie trafiły, poruczniku. Tam jest cholernie wielka chałupa, a w jej środku ktoś, kto w tym wariactwie odgrywa ważną rolę, może nawet ta dziwka.

- Wiesz co, komandorze, czy przypadkiem nie uważasz, że najwyższa pora, abyś powiedział wreszcie major i mnie, o co tu, do jasnej cholery, chodzi? Słyszeliśmy takie określenia, jak „ta dziwka”, „terrorysty”, „tajne dokumenty” i „międzynarodowy chaos”, lecz nie dopytywaliśmy, co jest grane, bo nam po prostu rozkazano nie zadawać pytań. Cathy jest „regulaminową” Neilsen i podobnie jak ja .robi wszystko ze względu na Charliego. Ale pod jednym względem się różnimy. Mam głęboko w dupie wszystkie rozkazy.

Jeżeli mają podziurawić moje bezcenne ciało, przynajmniej chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- Dobry Boże, poruczniku, nie sądziłem, że taka z ciebie gaduła.

- Jestem rozgarniętym sukinsynem, komandorze. A teraz, o co tu, do kurwy nędzy, chodzi?

- I niesubordynowanym. Dobra, Poole, powiem ci. Sprawa dotyczy zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Co...?

- A zabójcą ma być kobieta, która jest zdolna zrealizować ten plan.

- Chyba zwariowałaś?! Przecież to zupełne wariactwo!

- Podobnie jak Dallas i teatr Forda... Otrzymaliśmy z doliny

Bekaa wiadomość, że jeśli zamach się powiedzie, będą trzy następne cele - premier Wielkiej Brytanii, prezydent Francji i szef rządu izraelskiego. Wszystko to ma nastąpić wkrótce po sygnale, jakim będzie zamordowanie naszego prezydenta.

- Niemożliwe!

- Widziałeś, co się zdarzyło na St. Martin, co się stało z Charliem i samolotem, pomimo gwarantowanych maksymalnych warunków bezpieczeństwa, którymi objęto jedną z waszych najbardziej tajnych broni. Nie wiesz natomiast, że w Miami zmasakrowano zespół głęboko zakonspirowanych agentów FBI, prowadzących działania obserwacyjne związane z tą operacją. Ja zaś o mało nie zginąłem na Sabie, próbując wyjaśnić pewną nie związaną z tą akcją sprawę - tylko dlatego, że ktoś się dowiedział, iż zostałem zwerbowany. Wiemy, że są przecieki w Paryżu i Waszyngtonie, a sytuacja w Londynie jest wciąż jeszcze niejasna. Według mojego przyjaciela, który - z zazdrością muszę to przyznać - jest fenomenalnym pracownikiem wywiadu z MI-6, ta kobieta i jej ludzie dysponują środkami, o których nikt dotąd nawet nie marzył.

Czy te informacje wam wystarczą, poruczniku Poole?

- O rany! - rozległ się w radiostacji Jacksona zachrypnięty głos major Catherine Neilsen.

- Tak - stwierdził porucznik, zerkając na torbę z aparatem. Jest włączona, chyba nie masz nic przeciwko temu? W ten sposób oszczędziłem ci konieczności powtarzania wszystkiego.

- Mógłbym was za to oboje zdegradować do stopnia szeregowca! - wybuchnął Hawthorne. - Czy przyszło wam do głowy, że mieszkaniec tamtego domu może mieć skaner częstotliwości?

- Poprawka - znów odezwał się w radio głos Neilsen. Jesteśmy na bezpośredniej łączności wojskowej, nie do wykrycia w promieniu dwóch tysięcy metrów. Całkowicie bezpieczni... Dziękuję, Jackson, chyba możemy już działać dalej. I dziękuję panu, panie Hawthorne. Czasami podwładni muszą być lepiej zorientowani w sytuacji. Jestem pewna, że pan nas rozumie.

- Jesteście niemożliwi! Koniec mojej wyrozumiałości... Gdzie jesteście, Cathy?

- Około stu pięćdziesięciu metrów na zachód od zatoki.

Pomyślałam, że będziecie tamtędy wracali.

- Wpłyn do niej, ale pozostań w zanurzeniu w odległości przynajmniej piętnastu metrów od brzegu. Nie znamy możliwości tej aparatury zabezpieczającej.

- Tak jest. Koniec.

- Koniec - powtórzył Poole, sięgając do torby i wyłączając radio.

- To był paskudny numer, Jackson.

- Jasne, ale zobacz, ile udało się wyjaśnić. Przedtem chodziło nam tylko o Charliego, teraz sprawa jest o wiele poważniejsza.

- Nie zapomnij o Mancinim, twoim lipnym kumplu Salu.

Mógłby wysadzić was w powietrze i nawet nie mrugnąłby okiem.

- Nie mam ochoty o nim myśleć. Nie mogę sobie z tym poradzić.

- Więc nie rozmyślaj. - Tyrell wskazał na zatoczkę. Idziemy. - Dwie ubrane w czarne skafandry postacie przesuwały się zygzakami w dół opadającego w stronę zatoczki zbocza niczym niewyraźne cienie. - Padnij - szepnął do radiostacji Hawthorne, gdy dotarli do plaży. - Przepęłniemy do tych niskich krzaków.

O ile się nie mylę, przed nami jest mur.

- O rany, niech mnie licho! - zawołał Poole, kiedy podczołgali się do stromej, oplecionej lianami ściany, i przesunął dłonią po listowiu. - To jest mur, czysty beton.

- A w nim więcej stalowych prętów niż w pasie startowym dodał Tyrell. - Wytrzymałby trafienie bomby, a cóż dopiero maleńkie tajfuny czy jakieś tam huragany. Nie wstawaj! Chodź dalej, chyba wiem, gdzie znajdziemy jeszcze parę niespodzianek.

Znaleźli. Pierwszą była warstwa zielonego astroturfu, pokrywająca kamienne stopnie prowadzące do wgłębienia tuż pod szczytem wzgórza.

- W życiu nie zobaczylibyśmy tego z powietrza - powiedział porucznik.

- W tym rzecz, Jackson. Tutejszy mieszkaniec nie rozwija czerwonego dywanu, ale zielony.

- Musi sobie niezwykle cenić samotność.

- Chyba masz rację. Trzymaj się z lewej i pełnij do góry jak wąż. - Obaj mężczyźni powoli i cicho posuwali się po stopniach pokrytych zieloną wykładziną, aż wreszcie dotarli do podestu kamiennych schodów, które wydawały się prowadzić w kierunku porośniętej palmami konstrukcji. Hawthorne uniósł krawędź zielonego astroturtu i odsłonił ukrytą pod spodem, wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę. - Mój Boże - szepnął do Poole'a. - Możesz zrobić tak z każdym domem w głębi lądu albo na brzegu i nikt tego nie dostrzeże - ani z powietrza, ani z morza.

- Jasne - przytaknął Jackson, wyraźnie pod wrażeniem. Sztuczna trawa to małe piwo, ale palmy to zupełnie inna rzecz.

- Co?

- Są lipne.

- Te tutaj?

- Nie jesteś chłopakiem ze wsi, komandorze, przynajmniej nie z Luizjany. We wczesnych godzinach rannych palmy się pocą wskutek zmiany temperatury. A popatrz na te - na tych wielkich liściach wcale nie widać błyszczącej wilgoci. To po prostu cholernie duże sztuczne kwiatki, nawet za duże do tych pni, które najprawdopodobniej są z plastyku.

- Czyli mamy tu zmechanizowane maskowanie - kamuflaż.

- Zapewne również skomputeryzowane, łatwe do wykonania, jeżeli wprowadzisz do swojej aparatury radarowy kod dostępności.

- Słucham?

- Daj spokój, Tyrell, przecież to proste. Jak drzwi garażu, które otwierają się, kiedy światła reflektorów padną na czujniki, tylko na odwrót. W tym wypadku aparatura śledząca niebo i powierzchnię wody wyłapuje nieznaną element i całe wyposażenie idzie w ruch. Zamykają sklepik.

- Tak po prostu?

- Jasne. Kiedy samolot czy łódź za bardzo się zbliżą, powiedzmy na odległość trzech czy czterech tysięcy metrów w pionie albo paru kilometrów w poziomie, anteny wysyłają informację do komputera, a ten uruchamia aparaturę. To zupełnie tak samo jak zamykanie drzwi garażu pilotem. Mógłbym opracować taki system za parę tysięcy zielonych, ale Pentagon nie chce nawet widzieć moich cyfr.

- Mógłbyś doprowadzić całą gospodarkę do bankructwa szepnął Hawthorne.

- Tak właśnie mówi mój tata, ale siostrzyczka się ze mną zgadza.

- Młodzi odziedziczą Ziemię i wszystkie guziki do przyciskania.

- I co teraz robimy? Pójdziemy przez te wielkie sztuczne liście i oznajmimy swoje przybycie?

- Nie. Nie będziemy szli. Bardzo ostrożnie przeczołgamy się między tymi atrapami drzew i zrobimy wszystko, aby nas nie zauważono.

- Czego szukamy?

- Wszystkiego, co uda się spostrzec.

- A dalsze plany?

- Zależy, co zobaczymy.

- Jesteś pełen najprzeróżniejszych pomysłów, komandorze.

- Pewnych rzeczy nie można zaprogramować w komputerze, młody człowieku. Ruszamy.

Pełzli przez twardą, ostrą trawę, pospolitą na Karaibach, obok wyrwanych z korzeniami fałszywych palm. Obaj spojrzeli na odsłonięty mechanizm i dotknęli „kory” pierwszego „pnia”. Poole skinął głową, jakby potwierdzając wcześniejszy domysł, że jest to gruba rura z płamistego plastyku, nie różniąca się od prawdziwego drzewa, ale stanowiąca o wiele mniejsze obciążenie dla urządzeń napędowych. Hawthorne wskazał wąską lukę w zieleni, dając porucznikowi znak, aby podążał za nim.

Czołgali się przez tunel z ufarbowanego materiału prosto do miejsca znajdującego się bezpośrednio pod linią światła padającego ze szczeliny w okiennicach. Gdy tam dotarli, obaj wstali cicho i zajrzeli do środka domu. Nic się nie działo, więc Tyrell, aby lepiej widzieć, rozsunął listwy o centymetr. To, co zobaczyli, było zadziwiające.

Wnętrze domu przypominało renesansową willę dożów. Wielkie łuki ze złościcie żyłkowanego marmuru prowadziły z jednego pomieszczenia do drugiego, a na białych ścianach widniały gobeliny, jakie zazwyczaj zapisywano albo oddawano w depozyt muzeom.

W polu widzenia pojawiła się postać starego człowieka w samobieźnym wózku inwalidzkim. Przejeżdżał właśnie łukowatym przejściem z jednego pokoju do drugiego. Zniknął, ale zaraz za nim pojawił się jasnowłosy gigant, którego potężne ramiona rozsadały marynarke.

Hawthorne dotknął ramienia Poole'a i ruchem ręki wskazał mu, żeby za nim szedł. Porucznik posłuchał i obaj mężczyźni posuwali się ostrożnie, odgarniając wielkie, wykonane z materiału palmy.

Wreszcie Tyrell dotarł do tej części domu, do której, jak przypuszczał, udał się stary człowiek w wózku inwalidzkim. Na tym odcinku muru okiennice przeciwhuraganowe nie przepuszczały światła, więc

Hawthorne przyciągnął Poole'a do siebie i rozchylił listwy okiennicy na wysokości oczu.

W środku znajdowała się niewiarygodna, fantastyczna dekoracja stworzona przez hazardzistę-maniaka: miniaturowe kasyno zaprojektowane dla cesarza cierpiącego na bezsenność. Stały tu automaty do gry, stół bilardowy, bardzo niski, wygięty stół do gry w blackjacka i koło fortuny. Wszystkie sięgały do pasa osobie siedzącej w fotelu inwalidzkim, a na ich krawędziach leżały paczki banknotów. Kimkolwiek był stary człowiek, grał jednocześnie dla kasyna i przeciwko niemu. Nie mógł przegrać.

Jasnowłosy ochroniarz - jak się domyślali - stał obok wychudzonego, siwowłosego, lekko łysiejącego mężczyzny w wózku inwalidzkim i ziewał, gdy stary człowiek wrzucał monety do aparatu i śmiał się lub krzywił, w zależności od rezultatu. Potem pojawił się drugi mężczyzna, popychając przed sobą stół z jedzeniem oraz karafką czerwonego wina i ustawił go koło inwalidy. Ten zmarszczył brwi i zawołał coś do ochroniarza-kucharza, który pospiesznie skłonił się i zabrał talerz, najwyraźniej zapewniając, że go natychmiast zamieni.

- Chodź! - szepnął Tyrell. - Nie trafi się nam lepsza okazja.

Musimy znaleźć drogę w czasie nieobecności tego drugiego goryla!

- Gdzie?

- Skąd mam wiedzieć? Ruszajmy!

- Chwileczkę! - szepnął Poole. - Znam ten rodzaj szkła i okien. Podwójna płyta szklana, a w środku próżnia. Gdy tylko wypełni ją powietrze, da się wybić ramieniem.

- Jak to zrobimy?

- Nasze pistolety mają tłumiki, prawda?

- Oczywiście.

- A kiedy automat do gry płaci, rozlega się dzwonek, prawda?

- Jasne.

- Poczekamy więc, aż uda mu się dużo wygrać, a potem wystrzelimy dziury po obu stronach i wypchniemy to cholerstwo.

- Poruczniku, może rzeczywiście jesteś geniuszem.

- Przez cały czas próbowałem ci o tym powiedzieć, ale nie chciałeś mnie słuchać. Strzelasz w dolny prawy, a ja w dolny lewy róg. Poczekamy parę sekund, żeby szyba zaszała mgłą, po czym ją wypchniemy. Kiedy powstanie taka poduszka powietrzna, hałas powinien być nawet mniejszy niż w wypadku zwykłego okna.

- Wierzę w każde pańskie słowo, generale.

Obydwaj mężczyźni rozpięli kabury i wyjęli broń.

- Wygrał, Tye! - zawołał Poole, gdy stary człowiek zaczął wymachiwać rękami, a automat oslepiająco zamigotał światłkami.

Wystrzelili jednocześnie. Kiedy przestrzeń między szklanymi płytami wypełniły przypominające mgłę opary, podsunęli do góry zewnętrzne żaluzje i wypchnęli okno w czasie, gdy automat wciąż migotał, wypluwając monety, a jazgot jego dzwonek odbijał się od marmurowych ścian. Przykucnęli na podłodze wśród odłamków sypiącego się szkła. Usłyszawszy brzęk, oszołomiony ochroniarz odwrócił się gwałtownie i sięgnął do pasa.

- Nawet nie próbuj! - ostrzegł go Hawthorne ostrym szeptem.

W tej samej chwili ucichł ogłuszający hałas automatu do gry. Jeżeli któryś z was krzyknie, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Wierście mi, ja naprawdę was nie lubię.

- Impossible! - jęknął mężczyzna w wózku inwalidzkim, wstrząśnięty widokiem dwóch napastników w lśniących czarnych skafandrach.

- Ależ zupełnie możliwe - odparł Poole. Podniósł się pierwszy i skierował ku inwalidzie broń. - Trochę mówię po włosku dzięki facetowi, którego uważałem za przyjaciela. Ale jeżeli to ty i on jesteście winni śmierci Charliego, za sekundę nie będziesz już potrzebował tego fotela na kółkach.

- Chcę go żywego - przerwał mu Tyrell. - Uspokój się, poruczniku. To rozkaz.

- Cholernie trudno mi go wypełnić, komandorze.

- Osłaniaj mnie - polecił Hawthorne. Podeszedł do jasnowłosego ochroniarza, szarpnięciem rozchylił jego guayabere i wyciągnął mu rewolwer zza paska. - Jackson, stań przy wejściu, tuż przy ścianie - rozkazał, spoglądając uważnie na wściekłego obezwładnionego goryla. - Jeżeli myślisz o tym, co myślę, że myślisz warknął - radzę ci, zastanów się jeszcze raz. Powiedziałem, że chcę mieć tego matuzalema żywego, ale na tobie wcale mi nie zależy.

Przejdź między te dwa automaty, i to już! I niech ci się nie zdaje, że możesz mnie zaskoczyć. Bandziory mnie nie interesują i nie będę po tobie płakać. Ruszaj się!

Potężny ochroniarz wcisnął się pomiędzy niskie automaty. Pot spływał kroplami po jego czole, oczy mu płonęły.

- Nie wyjdziecie stąd - mruknął łamaną angielszczyzną.

- Tak sądzisz? - Hawthorne podeszedł szybkim krokiem do sąsiedniego automatu, przełożył pistolet do lewej ręki i wyjął radiostację z torby przy pasie. Przełączył się na nadawanie, podniósł aparat do ust i odezwał się cicho: - Czy słyszysz mnie, majorze?

- Każde słowo, komandorze. - Kobięcy głos wydobywający się z miniaturowego głośniczka wyraźnie zaskoczył olbrzymiego strażnika i doprowadził do nagłej wściekłości bezradnego starca w fotelu inwalidzkim. Kaleka zadygotał z gniewu i ze strachu. Ale jego gniew minął równie szybko, jak się pojawił. Spojrzał na

Hawthorne'a i uśmiechnął się najbardziej wrogim uśmiechem, jaki Tye widział w całym swym życiu. Hawthorne zamarł na chwilę.

- Jaka sytuacja? - spytała Neilsen przez radio.

- W porządku, Cathy - odparł Tyrell, odrywając spojrzenie od twarzy, na której malowało się absolutne zło. - Jesteśmy w środku domu, który niewiele ustępuje willi Hadriana. Mamy dwóch lokatorów i czekamy na trzeciego. Nie wiemy, kto jeszcze tu jest.

- Czy przekazać brytyjskiemu ścigaczowi wiadomość o twoim odkryciu? - Słyszając te słowa, mężczyzna w fotelu pochylił się gwałtownie do przodu, zaciskając z ponowną furją dłonie na wyściełanej poręczy, w której tkwiły przyrządy sterownicze fotela.

Kiedy powstrzymała go stopa Poole'a, jego ręka opadła i chwycił szprychę.

- Jest poza zasięgiem bezpośredniej łączności?

- Tak.

- W takim razie poczekaj, aż Jackson zbada, jakim sprzętem tu dysponują. Nie chciałbym, aby ktoś przechwycił szczegóły. Jeżeli jednak z jakiegoś powodu stracisz z nami kontakt, natychmiast się z nimi porozum.

- Miej włączoną radiostację.

- Oczywiście. Przez materiał torby głos będzie trochę stłumiony, ale usłyszysz wystarczająco dużo.

Kroki! Dobiegający z zewnątrz ostry odgłos obcasów uderzających o marmurową posadzkę.

- Wyłączam się, majorze - szepnął Tye. Wsunął z powrotem radio do torby, znowu przełożył pistolet do prawej ręki i wycelował go w głowę stojącego w odległości metra jasnowłosego giganta.

- Arresto! - wrzasnął stary Włoch, ruszając gwałtownie fotelem w stronę drzwi. W tej samej chwili blond goryl naparł całym ciałem na znajdujący się po lewej stronie automat do gry i popchnął go na Tyrella z taką siłą, że Hawthorne przewrócił się na marmurową posadzkę. Automat i ochroniarz przygnietli go, unieruchamiając jego prawą rękę z pistoletem. Jednocześnie zza łuku wejścia rozległ się brzęk tłuczonych talerzy. Palce jasnowłosego giganta zacisnęły się na gardle Tyrella, odbierając mu oddech, ale w tym samym momencie tuż nad Hawthorne'em przeleciał pocisk wystrzelony z pistoletu z tłumikiem i rozwalił głowę

olbrzyma. Jego ciało osunęło się bezwładnie na bok w chwili, gdy Tye uwolnił się spod ciężkiego, migoczącego, lecz już niemego automatu i zerwał na równe nogi po to tylko, aby zobaczyć, jak Andrew Jackson

Poole V obezwładnia trzeciego mężczyznę serią straszliwych kopnięć i uderzeń kantem dłoni. Na wpół przytomny drugi ochroniarz zatoczył się, a wtedy porucznik schwycił go i cisnął prosto na plecy wątłego mężczyzny w fotelu inwalidzkim, uniemożliwiając mu w ten sposób dalszą ucieczkę.

- Hawthorne? Jackson? - Z ukrytej w torbie radiostacji dobywał się głos Catherine Neilsen. - Co się stało? Słyszałam straszny hałas!

- Poczekaj - odparł Tyrell, wciąż nie mogąc złapać tchu.

Podszedł do bezużytecznego jednorękiego bandyty, pochylił się i wyszarpnął sznur z kontaktu. Zwariowane migotanie ustało.

Spokój, który zapanował, był jednocześnie w jakiś sposób groźny.

Starzec ledwo dyszał pod ciężarem nieprzytomnego ochroniarza, dopóki Poole nie zdjął go z niego i nie upuścił bezceremonialnie na podłogę. Strażnik z trzaskiem wyrzucił głowę o marmur.

- Znowu mamy sytuację pod kontrolą - poinformował Cathy komandor. - I nalegam, aby niespełna trzydziestoletniego porucznika Andrew Jacksona Poole'a natychmiast awansowano do stopnia generała. Chryste, ocalił mi życie!

- Umie wyświadczać drobne przysługi. Co teraz?

- Sprawdzimy teren i wyposażenie. Utrzymuj łączność.

Tye i Jackson zakneblowali znalezionym w szafie kuchennej sznurem do bielizny mocno skrepowali ochroniarza oraz starego

Włocha, przywiązując ich ręce i nogi do foteli te zaś do przewróconego automatu do gry. Potem przystąpili do przeszukania domu i jego okolicy. Przechodzili się na południowy wschód od położonych w odległości zaledwie czterdziestu metrów ogrodzonych psiarni i wtedy zobaczyli mały, całkowicie pomalowany na zielono domek, otoczony wysokimi palmami, przez którego maleńkie okienko pulsowało słabe światło. Zbliżyli się ostrożnie i zajrzeli do środka. Ujrzeni otoczoną wielkimi kwitnącymi roślinami postać w fotelu z odchylonym oparciem. Wpatrywała się w ekran telewizora i wymachiwała pięściami w powietrzu, powtarzając gesty bohaterów kreskówki.

- Ten facet nie jest szczególnie groźny - szepnął Poole.

- Owszem - przytaknął Hawthorne. - Ale mimo wszystko jest jeszcze jednym członkiem personelu, zdolnym wykonać jakieś polecenie, które może się nam nie spodobać.

- Co chcesz zrobić?

- Drzwi są od drugiej strony. Wedrzemy się do środka, zwiążemy go, a ty wykonasz jeden z tych twoich zabiegów, który wyłączy go na kilka godzin. Dzięki temu nie będzie mógł nam przeszkodzić.

- Uderzenie kantem dłoni w kark? - upewnił się porucznik.

- Dobrze... Cicho! Coś usłyszał. Idzie do czerwonego pudełka stojącego na stole po drugiej stronie pokoju. Ruszamy!

Dwie ubrane na czarno postacie obiegły zamaskowany domek, wdarły się przez drzwi i stanęły przed oszołomionym człowiekiem, który na ich widok tylko się uśmiechnął i odwrócił do dzwoniącego aparatu.

- Sygnał dla mnie, żebym spuścił psy - wyjaśnił z wahaniem. - Zawsze ten sam sygnał - dodał, wyciągając rękę do dźwigni na ścianie. - Muszę natychmiast go wykonać.

- Nie! - krzyknął Hawthorne. - To przez pomyłkę!

- O, nie, sygnał nigdy nie jest pomyłką - odparł sennie ogrodnik. - Nigdy, ale to nigdy nie jest pomyłką. - Pociągnął dźwignię. Po sekundzie na zewnątrz rozległo się wycie i zajadłe szczekanie psów obronnych biegnących w stronę głównego budynku. - Poszły - oznajmił półgłówek z uśmiechem. - Moje kochane maleństwa.

- W jaki sposób dostałeś sygnał? - zapytał ostro Tyrell.

- Jest w fotelu padrone. Dużo ćwiczymy, ale wie pan, jak padrone niekiedy pije wino, czasem naciska guzik. Usłyszałem go kilka minut temu, lecz był krótki. Pewnie wielki padrone dotknął guzika przez pomyłkę i strażnik go wyłączył. Ale teraz nie. Teraz padrone chciał, żebym je wypuścił. Muszę iść. Być z przyjaciółmi.

To bardzo ważne.

- Brak mu piątej klepki - stwierdził Poole.

- Może nawet wszystkich, poruczniku, ale musimy jakoś tam wrócić... Flary!

- Co?

- Psy zwabia nie tylko zapach, ale i światło - rozbłyśki światła. Weź dwie flary, wetknij jedną z nich pod skafander i pocieraj nią pod pachą. Rób to dokładnie i miej nadzieję, że piaskiem nie będzie przeszkadzało, iż nie kapałeś się przez dwa czy trzy dni.

- Cholernie krępujące - stwierdził Poole, wykonując polecenie.

- Zrób to!

- Przecież robię!

- Zapal drugą flarę i rzuć ją za drzwi. W lewo, najdalej, jak potrafisz. A potem ciśnij tę pierwszą, lecz jej nie zapalaj.

- Bardzo proszę.

Po paru sekundach psy przebiegły obok domu w ślad za lejącą flarą, szukając światła, które pojawiło się tak nagle. Szczekanie stało się wręcz obłędne, gdy skupiły się wokół syczącej rurki, poczuły ludzki zapach wydzielany przez nie zapaloną flarę i zaczęły gryźć się między sobą.

- Niech mnie pan posłucha - Hawthorne odwrócił się do niedorozwiniętego opiekuna psów. - To taka zabawa... Padrone lubi zabawy, prawda?

- O tak, tak. Bardzo! Czasami gra tam u siebie przez całą noc.

- No cóż, teraz jest trochę inna gra i świetnie się bawimy.

Może pan znowu oglądać telewizję.

- O, dziękuję. Bardzo dziękuję. - Mężczyzna usiadł w fotelu i ponownie zaczął śmiać się z kreskówek.

- Dzięki, Tye. Nie bardzo bym chciał bić takiego faceta jak ten...

Zniecierpliwionym ruchem głowy Tyrell dał porucznikowi znak, aby ruszył za nim. Przebiegli z powrotem do głównego budynku, zamknęli za sobą drzwi i stanęli przed pomarszczonym starcem, wciąż siedzącym w inwalidzkim fotelu przy nieprzytomnym strażniku.

- Dobra, sukinsynu! - wrzasnął Hawthorne. - Chcę wiedzieć wszystko, co wiesz.

- Nie wiem nic - wychrypiał stary Włoch. Znowu na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. - A jeżeli mnie zabijesz, zostaniesz z pustymi rękami.

- Może się pan mylić, padrone... Nazywają pana padrone, prawda? Tak przynajmniej określał pana ten biedny półgłówek.

Coście mu zrobili, lobotomię?

- Bóg uczynił z niego idealnego sługę, nie ja.

- Zapewne uważa się pan za bliskiego krewnego Pana Boga?

- Błuzni pan, komandorze...

- Komandorze?

- Przecież tak się do pana zwracał pański kolega i ta kobieta przez radio.

Hawthorne patrzył na satanicznego kalekę. Dlaczego przez chwilę pomyślał, że stary Włoch go zna?

- Poruczniku, sprawdź pokój z tą elektroniczną aparaturą, na której tak dobrze się znasz. Jest tam, koło... - zwrócił się do

Jacksona.

- Dobrze wiem, gdzie jest - przerwał mu Poole. - Nie mogę się doczekać chwili, kiedy podłączę mu się do paru banków pamięci. Te zabawki są najwyższej klasy! - Oficer ruszył szybko w stronę gabinetu padrone.

- Może powinienem pana uprzedzić - oznajmił Hawthorne, przybliżając się do starego mężczyzny - że mój kolega jest tajną bronią naszego rządu. Nie ma takiego komputera, do którego by się nie włamał. To właśnie on pana odszukał i znalazł tę wyspę. Na podstawie wiązki wysłanej z Morza Śródziemnego i odbitej od japońskiego satelity.

- Nie znajdzie nic... Nic!

- Dlaczego więc słyszę nutkę niepokoju w pańskim głosie...?

Och, chyba wiem. Nie ma pan pewności i dlatego boi się jak diabli.

- Ta rozmowa do niczego nie prowadzi.

- Niezupełnie - stwierdził Tyrell, wyjmując pistolet z kabury. - Po prostu chciałbym, żeby pan wiedział, w jakiej jest sytuacji.

To, co za chwilę powiem, ma bardzo poważne znaczenie. W jaki sposób można sprowadzić psy z powrotem do psiarni?

- Nie mam pojęcia...

Hawthorne nacisnął spust i pocisk musnął górną część ucha padrone. Po karku starca zaczęła ściekać krew.

- Jeżeli mnie pan zabije, nic pan nie zyska! - krzyknął kaleka.

- Ale jeżeli pana nie zabiję, też nic nie zyskam, prawda? Hawthorne wystrzelił ponownie i tym razem pocisk drasnął lewy policzek padrone. Krew prysnęła na twarz starego Włocha i zaczęła spływać po jego szyi. - Daję panu jeszcze jedną szansę - oznajmił komandor. - Mam sporo doświadczenia z Europy... Psy, które na rozkaz można wypuścić z psiarni, następnym poleceniem można sprowadzić do niej z powrotem. Niech pan to zrobi, bo w przeciwnym razie kolejny pocisk wpakuję w pańskie lewe oko. A sinistro, tak się chyba mówi?

Inwalida bez słowa, niezgrabnie, z wysiłkiem poruszył przywiązaną prawą ręką, przesuwając dygocącymi palcami po boku fotela, na którym znajdowała się płytką z umieszczonymi w półkolu pięcioma guzikami. Nacisnął piąty. Natychmiast rozległ się chór szczekających i wyjących psich głosów. Dźwięki te oddalały się coraz bardziej, aż wreszcie zapadła cisza.

- Są z powrotem w psiarni - oznajmił z pogardą w głosie padrone i spojrzał ostro na Tyrella. - Drzwi zamykają się automatycznie.

- Do czego służą pozostałe przyciski?

- Nie musi się pan o nie martwić. Za pomocą pierwszych trzech wzywam pielęgniarkę i dwóch pomocników. Pokojówki już nie ma wśród nas, a mojego głównego opiekuna zabiliście. Ostatnie dwa stanowią sygnalizację dla psów.

- Kłamie pan. Jeden z tych sygnałów odebrała ta roślinka w domku. To on przecież zwolnił psy.

- Odbiera sygnał bez względu na to, gdzie się znajduje, i jeżeli na wyspie są goście albo nowy personel, musi przebywać razem z psami, bo tylko on nad nimi panuje. Bardzo często człowiek o niższej inteligencji porozumiewa się ze zwierzętami lepiej niż osoby bardziej inteligentne. Myślę, że jest to rezultatem obopólnego zaufania.

- Nie jesteśmy pańskimi gośćmi, któż więc jest nowy?

- Moi dwaj opiekunowie, w tym również ten, którego zamordowaliście. Są tu niecały tydzień i psy jeszcze się do nich nie przyzwyczyły.

Hawthorne pochylił się i uwolnił ręce starego człowieka. Potem podszedł do niskiego stołu z marmurowym blatem, na którym stało złote pudełko z papierowymi chusteczkami. Wziął je i podał kalece.

- Niech pan osuszy te draśnięcia.

- Czyżby widok krwi sprawiał panu przykrość?

- Ani trochę. Kiedy myślę, kim pan jest... Kiedy myślę o Miami, Sabie, St. Martin i tej psychopatycznej dziwce... widok pańskich zwłok sprawiłby mi prawdziwą przyjemność.

- Chyba pan nie wie, że nie robię nic oprócz podtrzymywania tłęcego się w tym ułomnym ciele życia - oznajmił stary Włoch.

Otarł krew z prawego ucha i przycisnął złożoną chusteczkę do lewego policzka. - Jestem inwalidą spędzającym swoje ostatnie lata w odosobnieniu i luksusie, na który w pełni sobie zasłużyłem.

Nie uczyniłem nic, co byłoby choćby w najmniejszym stopniu niezgodne z prawem. Jedynie podejmowałem kilku bogatych przyjaciół, którzy kontaktują się ze mną za pośrednictwem satelity.

-Zacznijmy od pańskiego nazwiska.

- Nie mam nazwiska. Jestem jedynie padrone.

- Tak, słyszałem to w domku opiekuna psów... a przedtem na Sabie, gdzie dwaj mafiosi przekupili ludzi w przystani i usiłowali mnie zabić.

- Mafiosi? A cóż ja mogę mieć wspólnego z mafią?

- Jeden z tych dwóch zbirów, ten który przeżył, miał mnóstwo do powiedzenia, kiedy stanął przed perspektywą popływania z krwawiącym ramieniem wśród rekinów. Przyszło mi

do głowy, że kiedy roześlemy odciski pańskich palców, jeden z kompletów adresując do Interpolu, dowiemy się, kim pan jest naprawdę. I mam pewne wątpliwości, czy okaże się pan tym samym kochanym dziaduniem, który lubi grać na automatach.

- Doprawdy? - Padrone odłożył chusteczki i z paskudnym aroganckim uśmiechem uniósł obie ręce, pokazując Hawthorne'owi swoje dłonie. Tyrell poczuł obrzydzenie i oszołomienie zarazem.

Czubki wszystkich jego palców były idealnie białe! Kiedyś, dawno temu, te ręce musiały ulec spaleni i ciało zastąpiono jakimś gładkim materiałem zastępczym - może wszczepionymi fragmentami ludzkiej lub zwierzęcej skóry. - Moje dłonie spaliły się od płonącego niemieckiego czołgu w czasie drugiej wojny światowej.

Jestem dozgonnie wdzięczny amerykańskim lekarzom wojskowym, którzy zlitowali się nad młodym partyzantem walczącym u boku ich żołnierzy.

- Ach, jakie to piękne - powiedział Tye. - Przypuszczam, że pana odznaczono?

- Niestety, nikt z nas nie mógł sobie na to pozwolić. Wiedzieliśmy, że niektórzy fanatyczni facisti mszczą się, więc wszystkie informacje o nas zniszczono, aby chronić nas i nasze rodziny.

Powinniście byli zrobić tak samo w Wietnamie.

- Doprawdy wzruszające!

- Sam pan widzi... Nie ma nic.

Ani Hawthorne, ani stary człowiek nie dostrzegli szczupłej, ubranej na czarno sylwetki Poole'a stojącego w drzwiach. Nadszedł cicho i w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

- Miał pan prawie rację - odezwał się wreszcie. - Nie ma tam niemal nic, chociaż nie jest to też absolutne zero. Muszę stwierdzić, że pański system jest rewelacyjny, ale każdy system jest jedynie w takim stopniu dobry, w jakim dobry jest obsługujący go człowiek.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Tyrell.

- Ta aparatura może robić wszystko, oprócz pędzenia bimbru.

Pracował tutaj ktoś, kto potrafił skasować wszystkie pliki, częściowo przeformatować dyskietki i nie pozostawić śladu w tablicach partycji.

Na żadnej z dyskietek nie ma nic, z wyjątkiem trzech zapisów na ostatniej. Musiał z niej korzystać ktoś inny, ponieważ nawet nie próbował wykonać podobnej operacji.

- Czy mógłbyś mówić po angielsku, a nie po komputerowemu?

- Wydostałem trzy numery telefonów, numery kierunkowe i tak dalej, a potem je sprawdziłem. Jeden numer jest w Szwajcarii i stawiam wszystko, że należy do banku, drugi jest w Paryżu, a trzeci w Palm Beach, na Florydzie.

ROZDZIAŁ 11

Białą limuzynę, która zajęła przed osłoniętą markizą wejście do hotelu „The Breakers” w Palm Beach, natychmiast otoczyli: wygalonowany odźwierny, jego pomocnik oraz trzech boyów w czerwonych liberjach. Scena miała w sobie coś ze współczesnej

Belle Epogue, w której zarówno państwo, jak i służący znali swoje miejsce - jedni zadowoleni ze swych przywilejów, a drudzy z entuzjazmem spełniający przypisane im obowiązki. Pierwsza wysiadła korpulentna dama w średnim wieku, ubrana w najdoskonalsze rzeczy, jakimi dysponowała Via Condotti, rzymska ulica haute couture - jedwabną suknię w duże kwiaty oraz kapelusz z szerokim rondem ocieniającym opaloną twarz o arystokratycznym wyrazie. Rysy miała ostre, lecz regularne, skórę gładką, a jakiegokolwiek zmarszczki były bardziej dziełem wyobraźni niż rzeczywiście widoczne. Amaya Bajaratt w niczym nie przypominała teraz dzikiej, zaniedbanej terrorystki na pontonie czy łodzi, umundurowanej bojowniczką z doliny Bekaa ani też megierowatej pilotki z izraelskiego lotnictwa wojskowego.

Obecnie była hrabiną Cabrini, o której mówiono, że jest jedną z najbogatszych kobiet w Europie, siostrą jeszcze bogatszego przemysłowca z Ravello. Przechyliła lekko głowę do tyłu i uśmiechnęła się, widząc wychodzącego z limuzyny wysokiego, wyjątkowo przystojnego młodego człowieka w granatowym blezerze, szarych flanelowych spodniach i skórzanych mokasynach imperiale.

Wystrojony w żakiet dyrektor eleganckiego hotelu wybiegł w towarzystwie dwóch pomocników, z których jeden, sądząc z wyglądu Włoch, był najwidoczniej tłumaczem. Wymieniono powitania w obu językach, po czym ciocia-opiekunka młodzieńca uniosła dłoń i oświadczyła:

- Młody barone ma wiele do zrobienia w waszym wspaniałym kraju i wolałby, aby zwracano się do niego po angielsku, chce bowiem oswoić się z językiem. Początkowo będzie rozumiał niewiele, ale takie jest jego życzenie... A ja, oczywiście, zawsze będę przy jego boku, aby mu służyć pomocą w tłumaczeniu.

- Pani hrabino - odezwał się cicho dyrektor, stając przy

Bajaratt, gdy tymczasem boyowie zabierali liczne bagaże. - Nie chciałbym narażać pani na zbędne niedogodności, ale w naszej większej sali konferencyjnej znajdują się reporterzy z miejscowych gazet, jak również towarzyszący im fotografowie. Oczywiście, bardzo chcieliby się spotkać z młodym baronem. Nie mam pojęcia, w jaki sposób dowiedzieli

się o jego obecności, lecz zapewniam panią, że hotel nie miał w tym najmniejszego udziału. Nasza dyskrecja jest niezrównana.

- Och, najwidoczniej ktoś był niegrzeczny! - zawołała contessa

Cabrini ze zrezygnowanym uśmiechem. - Proszę się nie martwić, signor amministratore, mamy z tym do czynienia przy każdym wyjeździe do Rzymu czy Londynu. Paryż jest wyjątkiem, bo we

Francji pełno jest fałszywej arystokracji, a socjalistyczna prasa już się nią nie interesuje.

- Oczywiście, możecie państwo ich zignorować. Dlatego zatrzymałem ich w sali konferencyjnej.

- Nie, nie ma potrzeby. Porozmawiam z barone-cadetto i poproszę, aby poświęcił dziennikarzom kilka minut. W końcu przyjechał tu, aby zdobyć przyjaciół, a nie zrażać do siebie prasę.

- W takim razie pójdę i ich zawiadomię. Oświadczę też wyraźnie, że spotkanie nie może być długie. Różnica czasu przy locie transatlantyckim na pewno męczy.

- Nie, signore, proszę tego nie mówić. Przylecieliśmy wczoraj i kupowaliśmy ubrania w odległości zaledwie pięciu minut stąd. Nie chcielibyśmy udzielać fałszywych informacji, które tak łatwo zweryfikować.

- Ale rezerwacja była na dzisiaj, pani hrabino.

- Och, proszę pana, wszyscy byliśmy kiedyś w jego wieku, prawda, signore?

- Pragnę zapewnić, pani hrabino, że nigdy jednak nie wyglądałem tak jak baron.

- No cóż, niewielu młodych ludzi ma to szczęście, ale ani jego wygląd, ani tytuł nie pozbawiły go całkowicie zrozumiałych młodzieńczych zachcianek. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Nietrudno zrozumieć, pani hrabino. Wieczorne spotkanie z bliską przyjaciółką?

- Nawet nie znam jej imienia.

- Rozumiem. Mój zastępca zaprowadzi państwa, a ja o wszystko zadbam.

- Jest pan wspaniałym człowiekiem, signor amministratore.

- Grazie, pani hrabino.

Dyrektor skłonił się i ruszył po wyłożonych dywanem schodach, Bajaratt zaś odwróciła się i podeszła do Nicola, który rozmawiał z zastępcą dyrektora i tłumaczem:

- O czym spiskujecie, Dante? - zapytała po włosku.

- Ma niente - odparł Nico, uśmiechając się do tłumacza. Zachwycaliśmy się z moim nowym przyjacielem wspaniałym otoczeniem i cudowną pogodą - ciągnął po włosku. -

Uskarżałem mu się, że moje studia i interesy ojca zajmują mi tak dużo czasu, iż nie nauczyłem się grać w golfa.

- Va bene.

- Obiecał, że znajdzie mi instruktora.

- Masz zbyt dużo pracy, aby tracić czas na takie zajęcia rzekła Baj, biorąc go pod ramię i prowadząc po schodach. Młody człowiek ukłonił się uprzejmie zastępcy dyrektora i tłumaczowi. Nicolo, nie spoufalaj się - szepnęła Amaya. - To nie przystoi człowiekowi z twoją pozycją. Bądź uprzejmy, ale pamiętaj, że są z niższej sfery niż ty.

- Z niższej sfery?- zapytał rzekomy barone-cadetto, przechodząc przez otworzone przed nimi drzwi do holu. - Niekiedy mówi pani zagadkami, signora. Chce pani, abym był kimś, kogo życiorysu nauczyłem się na pamięć, a jednocześnie wymaga pani, żebym był sobą.

- Tego właśnie chcę - ostrym szeptem odparła po włosku

Baj. - Nie życzę sobie tylko jednej rzeczy: żebyś myślał samodzielnie. Myślenie zostaw mnie, zrozumiałeś?

- Oczywiście, Cabi. Przepraszam.

- Tak jest lepiej. Czeka nas wspaniała noc, Nico. Moje ciało tęskni za tobą. Jesteś taki piękny. - Kiedy jednak chłopak z doków usiłował objąć ją pieszczotliwie, odsunęła się szybko. Nie. Idzie zastępca kierownika, żeby nas zaprowadzić do reporterów i fotografów.

- Po co?

- Mówiłam ci ubiegłej nocy o spotkaniu z prasą. To nic wielkiego, chodzi tylko o kronikę towarzyską.

- Ach tak, a ja bardzo słabo znam angielski. Mam się zwracać do ciebie, gdy będą zadawali mi pytania, prawda?

- Przy wszystkich pytaniach.

- Proszę tędy - powiedział wicedyrektor. - Do Sali Królewskiej jest tylko kilka kroków.

Konferencja prasowa trwała równo dwadzieścia trzy minuty.

Wrodzoną niechęć niewielkiej grupki dziennikarzy i fotografów do niewiarygodnie bogatych Europejczyków bardzo szybko rozwiął wysoki, skromny i ujmujący barone-cadetto. Początkowo napastliwe pytania zadawano w tempie karabinu maszynowego, a odpowiadała na nie contessa Cabrini, ciotka barone-cadetto di Ravello, która -jak uzgodniono na wstępie - będzie wspomniana w prasie jedynie jako „tłumaczka”. A potem mówiący po włosku reporter z „The Miami Herald” zadał pytanie bezpośrednio młodemu baronowi:

- Dlaczego, według pana, cieszy się pan takim zainteresowaniem? Czy uważa pan, że zasługuje na nie? Cóż takiego ważnego zrobił pan, oprócz tego, że się urodził?

- Nie sędzę, abym na cokolwiek zasługiwał, dopóki nie udowodnię, na co mnie stać, a to może zająć wiele czasu... Z drugiej jednak strony, signore, czy zechciałby mi pan towarzyszyć w nurkowaniu na Morzu Śródziemnym na głębokość mniej więcej stu metrów w celu prowadzenia badań oceanograficznych? A może przyłączyłby się pan do mnie, kiedy w pogotowiu górskim w Alpach

Nadmorskich spuszczałem się po zboczu wysokości kilku tysięcy metrów, żeby ratować człowieka, którego uznano już za martwego?

Moje życie, signore, rzeczywiście jest pełne przywilejów, ale nie brak w nim chyba również drobnych zasług.

Contessa Cabrini natychmiast przetłumaczyła jego słowa dziennikarzom przy akompaniamencie trzaskających fleszów, raz po raz oświetlających przystojną twarz bezpretensjonalnego młodego barona. Jego „tłumaczka” tymczasem usunęła się na bok, poza zasięg aparatów fotograficznych.

- Hej, Dante! - zawołała jakaś dziennikarka. - Dlaczego nie machniesz ręką na swoje szlachectwo i nie zaczniesz występować w telewizji? Jesteś kawał chłopca, dziecińco!

- Non capisco, signora.

- Zgadzam się z dziewczynami - przez ogólny śmiech przebił się głos leciwego reportera w pierwszym rzędzie. - Jesteś pan przystojny facet, ale chyba nie przyjechał pan tu po to, żeby przelecieć parę naszych dziewcząt.

Po wysłuchaniu natychmiastowego, niepotrzebnego przekładu pytania młody baron odparł:

- Proszę pana. Na pańskie pytanie - o ile dobrze je zrozumiałem - mogę odpowiedzieć tylko tyle, że bardzo bym chciał poznać amerykańskie dziewczęta, które traktuję z ogromnym szacunkiem. W telewizji są tak atrakcyjne i tak pełne życia - takie włoskie, rzekłbym.

- Czy ubiega się pan o jakiś urząd? - zapytał inny reporter. Bo jeśli tak, ma pan głosy kobiet w kieszeni.

- Biegam tylko rankiem, signore. Piętnaście, dwadzieścia kilometrów. Bardzo dobre dla zdrowia.

- Jaki ma pan plan zajęć, baronie? - dociekał reporter z pierwszego rzędu. - Rozmawiałem z pańską rodziną w Ravello, konkretnie - z pańskim ojcem. Mówił mi, że ma pan wrócić z pewnymi wnioskami wynikającymi z pańskich obserwacji amerykańskiego rynku inwestycyjnego, jego żywotności i planowanych działań. Czy to prawda?

Tłumaczenie było złożone. Baj mówiła cicho, kilka fragmentów powtarzała parę razy, sugerując treść odpowiedzi.

- Mój ojciec dobrze mnie przygotował, signore. Będziemy w codziennym kontakcie telefonicznym. Jestem jego oczyma i uszami, mam jego pełne zaufanie.

- Czy zamierza pan dużo podróżować?

- Sądzę, że będzie się do niego zgłaszało wielu przedsiębiorców - odparła contessa, nie tłumacząc pytania. - Firmy są tylko tyle warte, ile ich kierownictwo. Barone-cadetto ma wykształcenie ekonomiczne, ponieważ jest to niezbędne przy tak wielkim zakresie jego odpowiedzialności. Będzie zwracał uwagę na wiarygodność i uczciwość oraz porównywał wszystko z cyframi.

- Oprócz spraw zysku i strat - wtrąciła energiczna reporterka o rozzłoszczonej twarzy, obramowanej krótkimi ciemnymi włosami. - Czy ktokolwiek zastanowił się choć trochę nad warunkami społeczno-ekonomicznymi panującymi w przewidzianych pod inwestycje rejonach czy też, jak zwykle, interesujecie się tylko tymi miejscami, gdzie spodziewacie się większego zysku?

- Wydaje mi się, że jest to - jak się mówi? - krzywdzące pytanie - odrzekła contessa.

- Stronnicze pytanie - poprawił ją męski głos z tylnych rzędów.

- Ale odpowiem na nie z przyjemnością - ciągnęła hrabina. Może ta dama zechce zadzwonić do dowolnie wybranego dziennikarza w Ravello albo jego okolicach, a nawet w Rzymie. Dowie się, jak wielkim szacunkiem cieszy się ta rodzina w provincia.

W dobrych i niezbyt dobrych czasach hojnie pomagała ludziom w zdobyciu pracy, mieszkania i zapewnieniu im opieki lekarskiej.

Traktuje swoje bogactwo jako dar, który nie tylko daje poczucie władzy, ale także wymaga odpowiedzialności. Jest obdarzona wrażliwością społeczną i nie zmieni tych zasad również tutaj.

- Czy chłopak nie mógłby sam odpowiadać? - spytała wojownicza reporterka.

- Chłopak, jak go pani nazwała, jest zbyt skromny, aby publicznie wychwalać zasługi swojej rodziny. Jak państwo zapewne zauważyli, nie rozumie wszystkiego, co państwo mówią, ale samo jego spojrzenie świadczy, jak bardzo jest dotknięty, zwłaszcza że nie może pojąć przyczyny wrogości niektórych państwa.

- Mi scusi - powiedział płynnie po włosku reporter z „The

Miami Herald”. - Ja również rozmawiałem z pańskim ojcem, baronem w Ravello, i przepraszam za moją koleżankę - dodał uśmiechając się paskudnie do niemiłej dziennikarki. - Jest męcząca jak wrzód na dupie.

- Grazie.

- Prego.

- Gdybyśmy mogli wrócić do angielskiego - wtrącił się krępy dziennikarz siedzący w pierwszym rzędzie po prawej. - Nie zamierzam przyłączać się do insynuacji naszej koleżanki, ale rzeczniczka młodego barona poruszyła istotną kwestię. Otóż w tym kraju są rozległe rejony strukturalnego bezrobocia. Czy społeczna wrażliwość rodziny obejmuje także te strefy?

- Jeżeli sytuacja rozwine się pomyślnie, jestem pewna, że sprawy te znajdą się na pierwszym miejscu. Barone di Ravello to poważny człowiek międzynarodowych interesów, który wie, jak cenna jest lojalność, a także, jaką satysfakcję sprawia dobroczynność.

- Będziecie państwo mieli cholernie dużo telefonów - rzekł krępy reporter. - Jestem tego pewien.

- Obawiam się, że to. już wszystko, panie i panowie.

Mamy za sobą męczący ranek, a przed sobą resztę dnia. Uśmiechając się i kłaniając uprzejmie dziennikarzom, Bajaratt wyprowadziła przystojnego podopiecznego z pokoju, uszczęśliwiona z rozlegających się wkoło pełnych pochlebstw komentarzy. Z całą pewnością będzie wiele telefonów, tak jak zaplanowała.

Towarzyska siatka wywiadowcza w Palm Beach działała z przerażającą skutecznością. Do czwartej po południu otrzymali dwadzieścia osiem konkretnych zaproszeń i czternaście zapytań, czy Dante

Paolo barone-cadetto di Ravello zechciałby wziąć udział w lunchu lub obiedzie wydanym na jego cześć.

Z równą sprawnością Bajaratt przejrzała notes i wybrała jedenaście najbardziej prestiżowych domów, gdzie można będzie spotkać elitę świata polityki i przemysłu. Potem zadzwoniła do osób, których zaproszenia odrzuciła, ogromnie przepraszając, ale zarazem wyrażając nadzieję, że się spotkają u tych lub tamtych, którzy pierwsi zaprosili młodego barona. Kot się skrada, pomyślała

Baj, i wyciąga pazury dopiero wtedy, kiedy ktoś zabiera mu mysz.

Oni wszyscy będą tam, gdzie ona i Nicolo.

Muerte a toda autoridad!

To dopiero początek, ale podróż przebiegnie szybko. Nadeszła pora, aby sprawdzić Londyn, Paryż i Jerozolimę. Śmierć handlarzom śmierci z Aszkelonu!

Aszkelon - odezwał się cichy męski głos z Londynu.

- Tu Bajaratt. Czy są postępy?

- W ciągu tygodnia będziemy mieli Downing Street pod całkowitym nadzorem. Ludzi w mundurach policyjnych, służbę oczyszczania w pięknie poplamionych kombinezonach.

Pomsta za

Aszkelon!

- Rozumiesz, że może mi to zająć więcej niż tydzień?

- Nic nie szkodzi - odparł Londyn. - Lepiej się zaaklimatyzujemy, gruntowniej poznamy otoczenie. Nie możemy zawieść!

- Pamiętajmy Aszkelon!

Aszkelon - odezwał się kobiecy głos w Paryżu.

- Bajaratt. Jak wygląda sytuacja?

- Czasami wydaje mi się, że wszystko jest zbyt proste. Ten człowiek przychodzi i odchodzi w otoczeniu tak beznadziejnych ochroniarzy, że w Bekaa natychmiast by ich rozstrzelano. Francuzi są tacy arogancy, tak lekceważą zagrożenie, że to aż irytujące.

Sprawdziliśmy dachy - nikt ich nie-kontroluje!

- Strzeż się nonszalanckich francuskich lalusiów. Potrafią się odwrócić i uderzyć jak kobra. Pamiętaj o Resistance.

- Merde, jak oni mówią. Jeżeli nawet o nas wiedzą, nie traktują nas poważnie. Czy nie rozumieją, że chętnie umrzemy?

Pomsta za Aszkelon!

- Pamiętajmy Aszkelon.

Aszkelon - szepnął gardłowy głos w Jerozolimie.

- Wiesz, kim jestem.

- Oczywiście. Przewodniczyłem modłom pod drzewkiem pomarańczowym za ciebie i twojego męża. Będzie pomszczony, tak jak nasza sprawa, wierz mi.

- Wolałabym raczej dowiedzieć się czegoś o sytuacji.

- Och, jesteś taka zimna, Baj, taka zimna.

- Mój mąż nigdy tak nie uważał. Sytuacja!

- Do diabła, jesteśmy bardziej żydowscy niż ci śmierdzący

Żydzi! Nasze czarne kapelusze, pejsy i kretyńskie białe tałesy kołyszą się rytmiczniej od innych, kiedy stukamy głowami w tę pieprzoną ścianę. Załatwimy tego sukinsyna, kiedy wyjdzie z Knesetu. Kilku z nas może nawet zdoła uciec, aby walczyć dalej.

Czekamy tylko na wiadomość, na twój sygnał.

- Muszę mieć jeszcze trochę czasu.

- Poświęć tyle, ile go trzeba, Baj. Wieczorami wkładamy nasze izraelskie mundury i pieprzymy wygłodzone sabry, modląc się do

Allacha, żeby z ich brzuchów wyszli Arabowie.

- Trzymaj się tematu, przyjacielu.

- Trzymamy się tych żydowskich dziwek!

- Ale nie kosztem naszej misji!

- Nigdy. Pomsta za Aszkelon!

- Pamiętajmy Aszkelon.

Amaya schowała do torebki kilka kart kredytowych, w które zaopatrzone ją w Bahrajnie, i odeszła od automatów telefonicznych znajdujących się w holu hotelowym. Wjechała windą na górę i poszła eleganckim korytarzem do ich apartamentu. Skąpo oświetlony salon był pusty. Przeszła do ciemnej sypialni. Młody Nicolo, jak zwykle nagi, leżał na wznak na wielkim łożu. Spał mocno, a jego wspaniałe ciało sprawiało cudowne wrażenie. Przypatrując mu się, nie mogła odpędzić myśli o mężu, któremu tak krótko była poślubiona. Obydwaj mężczyźni mieli szczupłe, muskularne ciała.

Nicolo był oczywiście młodszy, ale w jakiś sposób podobny.

Pociągały ją takie ciała, podobnie jak zaledwie dwa dni temu pociągało ją ciało Hawthorne'a. Nagle usłyszała swój ciężki oddech, dotknęła nabrzmiewających sutek piersi i poczuła wzbierające w jej podbrzuszu pożądanie. Przygotowanie do czegoś, czego nigdy nie zazna. Przed wieloma laty przeszła w Madrycie prostą operację, która na zawsze wykluczyła zajście w ciążę. Pozostało jej tylko to.

Podeszła do łóżka i się rozebrała. Była teraz tak samo naga jak leżące przed nią ciało.

- Nico - powiedziała łagodnie. - Obudź się, Nicolo.

- Co...? - wymamrotał młody człowiek, mrugając oczyma.

- Jestem tu, przy tobie... kochanie. - Musisz, pomyślała. Tyle mojego!

Co to za numer w Paryżu? - zapytał Hawthorne. Stał nad padrone, ale zwracał się do Poole'a, który właśnie wchodził.

- Sprawdziłem - odparł porucznik. - Jest tam mniej więcej dziesiąta, doszedłem więc do wniosku, że mój telefon nie będzie dla nikogo szczególnym wstrząsem.

- I co?

- Bez sensu, Tye. Numer należy do biura podróży na Champs-Elysees.

- Jak to było, kiedy zadzwoniłeś?

- Jestem pewien jak cholera, że to prywatny telefon. Odebrała kobieta i powiedziała coś po francusku, kiedy zaś odezwałem się po angielsku, wyrażając nadzieję, że dobrze się

połączyłem, zapytała mnie również po angielsku, czy dzwonię do biura podróży o jakiejś francusko brzmiącej nazwie. Zapewniłem oczywiście, że tak i że sprawa jest pilna... Wtedy zapytała mnie, jakiego jestem koloru, więc odparłem, że białego. Wówczas powiedziała

„i?”, ale ja nie miałem pojęcia, co mówić dalej. No to odłożyła słuchawkę.

- Nie znałeś kodu, Jackson. W żaden sposób nie mogłeś go znać.

- Chyba tak.

- Dam to Stevensowi do rozszyfrowania, chyba że przekonasz naszego padrone, aby okazał więcej chęci do współpracy.

- Nic o tym nie wiem! - wrzasnął inwalida.

- Wygląda na to, że rzeczywiście mówisz prawdę - przytaknął

Tyrell. - Z tymi ostatnimi, nie wykasowanymi numerami rozmawiałeś nie ty, ale ktoś, kto nie wiedział, jak je usunąć. Cień

Rosemary Woods, padrone.

- Nic nie wiem. Nic!

- A co z Palm Beach, poruczniku?

- Takie samo kretynstwo, komandorze. Numer należy do bardzo szykownej restauracji na Worth Avenue. Powiedzieli, że muszę zarezerwować stół dwa tygodnie wcześniej, chyba że jestem na liście ich stałych gości.

- Wcale nie takie kretynstwo, Jackson, ale część mozaiki, bardzo cenne odkrycie. Lista stałych gości jest tym właśnie, czym jest z nazwy - spisem nazwisk, których nie jesteś w stanie wymyślić, i towarzyszących im haseł, których nie możesz znać. Przekażę wszystko Stevensowi razem z paryskim tropem. - Tyrell spojrział na starca. Dzięki papierowej chusteczce krwawienie z prawego policzka znacznie się zmniejszyło. - Czeka cię podróż, paisan oznajmił.

- Nie mogę opuścić tego domu.

- Wyjeżdżasz, scungilli...

- W takim razie strzel mi w łeb, wyjdzie na to samo.

- Kusząca perspektywa, ale raczej nie skorzystam. Pokażę cię kilku moim byłym współpracownikom, można powiedzieć - z innego życia...

- Tutaj jest wszystko, co podtrzymuje mnie przy życiu! Chcesz mieć trupa zamiast mnie?

- Niezupełnie, lecz podsunąłeś mi wyjście - odparł Hawthorne. - Proponuję, abyś wskazał wyposażenie, jakie jest ci potrzebne do krótkiej podróży. Podstawową aparaturę.

Znajdziesz się w szpitalu na kontynencie w ciągu kilku godzin i wiesz co? - założę się, że będziesz miał osobny pokój.

- Nie nadaję się do transportu!

- Założysz się? - zapytał Hawthorne i sięgnął do torby, słysząc trzaski dobiegające z radiostacji.

Neilsen mówiła monotonnym tonem, wyraźnie starając się opanować niepokój. - Jest problem.

- Co się stało? - spytał Poole. - Masz jakieś kłopoty?

- Co się stało? - powtórzył Tyrell.

- Pilot wodnopłatowca zameldował brytyjskiemu okrętowi patrolowemu, że pękł lewy statecznik, po czym odleciał! Samolot wodował w odległości mniej więcej stu dwudziestu kilometrów na północ od pozycji poduszki. Płyną po niego, zakładając oczywiście, że biedak przeżył.

- Cathy, odpowiedz mi najuczciwiej, jak możesz - rzekł

Hawthorne.- Czy na podstawie tego, co wiesz o samolotach, przypuszczasz, że był to sabotaż?

- A jak myślisz, nad czym łamię sobie głowę przez parę ostatnich minut? Nie wzięłam tego pod uwagę, choć powinnam!

Dobry Boże, naszego AWACS-a wysadzono w powietrze. Charlie!

- Dobra, uspokój się. Trzymaj się na kursie. W jaki sposób mogli dokonać sabotażu?

- Cięgła sterowe, do cholery! - Catherine wyjaśniła szybko, że każdą ruchomą część samolotu poruszają podwójne stalowe cięgła. Jednoczesne oberwanie się dwóch ich zestawów było nieprawdopodobne.

- Sabotaż - spokojnie powiedział Tyrell.

- Obydwa podcięto w jednakowy sposób, żeby pękły w tym samym momencie - stwierdziła Neilsen, bardziej już opanowanym tonem. - A mnie taka możliwość nawet nie przyszła do głowy.

Cholera!

- Czy mogłabyś łaskawie dać sobie spokój z tym samobiczowaniem, majorze? Ja również nie wzięłam tego pod uwagę. To ktoś na St. Martin, podsunięty przez D e u x i e m e. I jeżeli on lub ona zdołali to zrobić, w takim razie jesteśmy tutaj jak kaczkę na stawie.

- Mechanicy! - wrzasnęła Catherine przez radio. - Zebrać wszystkich pieprzonych mechaników z całej wyspy i przypiec im pięty. To jeden z nich!

- Możesz mi wierzyć, Cathy, że tego, który wykonał robotę, już tam nie ma. Tak się załatwia te sprawy.

- Nie wytrzymam tego! Angol pilotujący nasz samolot może już nie żyć.

- Tak się załatwia te sprawy - powtórzył Hawthorne. Chyba teraz rozumiesz, dlaczego wielu ludzi w Waszyngtonie, Londynie, Paryżu i Jerozolimie boi się odejść od swoich biur i telefonów? Nie mamy do czynienia z pojedynczym psychopatycznym terrorystą, ale z fanatykami, którzy dysponują siatką takich samych fanatyków nie wahających się umrzeć, byle tylko osiągnąć swój cel.

- Chryste, co mamy robić?

- Przede wszystkim natychmiast zacumuj okręt podwodny w zatoce i przyjdź do nas. Podniesiemy okiennice, żebyś mogła zobaczyć dom.

- Powinam utrzymywać łączność z poduszkowcem...

- Nic się już nie zmieni - przerwał jej ostro Tyrell. - Chcę, żebyś się tu znalazła...

- Gdzie jest Poole?

- Właśnie wyjeżdża z naszym pacjentem do holu. Cumuj okręt, majorze, nic się tutaj nie stanie. To rozkaz!

Nagle, bez najlżejszego szmeru, bez najmniejszej zapowiedzi nadciągającego zniszczenia, stało się wszystko! Wszędzie rozlegały się wybuchy, waliły się mury, pękały marmurowe kolumny, z hukiem padając na marmurową posadzkę. Pod łukowatym przejściem prowadzącym do centrum łączności zaczęła eksplodować aparatura, a stykające się ze sobą przewody wysyłały w powietrze krótkie trzeszczące błyskawice. Tyrell wybiegł do przedpokoju, przetoczył się po podłodze, aby uniknąć padającej bryły marmuru, i nie spuszczał oczu z Poole'a, przygniecionego przez aparaturę, która spadła z półki pod kolejnym łukiem przejścia. Potem zerwał się, podbiegł do porucznika, wyciągnął go spod regału i zaczął wlec do wyjścia. Tymczasem rozpadł się portal i ciężkie płyty marmuru runęły w dół. Tye szarpnął Jacksona z powrotem, odczekał, aż odłamki przestały spadać, i w odpowiedniej chwili rzucił się do przodu, pociągając Poole'a za sobą. Za ich plecami zwałił się poszarpany stos marmuru, który mógł zmiażdżyć ich obu. Hawthorne obejrzał się i zobaczył padrone, który śmiał się histerycznie, podczas gdy cały dom się rozpadał, grzebiąc go pod gruzami.

Ostatkiem sił Tyrell objął porucznika w pól i wysuwając ramię do przodu, przebił się przez grube szklane drzwi oraz ciężkie żaluzje.

Obaj wyrznęli z całej siły o pień sztucznej palmy i Jackson wrzasnął:

- Stój! Moja noga! Nie mogę się ruszyć!

- Lepiej spróbuj. Te palmy wylecą w powietrze w następnej kolejności. - Mówiąc to, Hawthorne zaczął wlec go zygzakiem między sztucznymi i prawdziwymi liśćmi. Nie zatrzymał się, dopóki nie dotarli do wyschniętej trawy.

- Puść mnie, na rany boskie! Jesteśmy już bezpieczni, a boli mnie jak cholera!

- Powiem ci, kiedy będzie cię bolało wystarczająco mocno zawołał Tyrell, przekrzykując huk płomieni wydobywających się z kupy gruzów, które do niedawna były potężną budowlą, przypominającą zamek. Zdarzenie, które przewidywał, nastąpiło w trzydzieści sekund później. Cały pierścień fałszywych palm eksplodował z siłą dwudziestu ton dynamitu.

- Nie mogę wprost uwierzyć! - szepnął niemal nieprzytomny

Poole. On i Hawthorne leżeli obok siebie na ciemnym, twardym, wypalonym słońcem polu. - Wywalił całe to pieprzone miejsce w powietrze!

- Nie miał innego wyjścia, poruczniku - wyjaśnił posepnie

Tye.

Jackson jednak nie słuchał go.

- O Boże... Cathy! - zawołał. - Gdzie jest Cathy?!

Z drugiej strony pola pojawiła się ubrana w ciemny kombinezon postać. Biegła, wymijając strzelające w górę płomienie, i krzyczała coś niezrozumiale. Hawthorne wstał i ruszył ku niej pędem, wrzeszcząc ze wszystkich sił:

- Cathy, jesteśmy tutaj! Wszystko w porządku!

Oświetlona blaskiem płomieni major Catherine Neilsen wpadła na pole i rzuciła się w ramiona emerytowanego komandora podporucznika Tyrella Hawthorne'a.

- Dzięki Bogu, nic ci się nie stało! Gdzie jest Jackson?

- Tutaj, Cathy! - krzyknął z mroku Poole. - Ten jankeski sukinsyn i ja jesteśmy kwita. Wyciągnął mnie stamtąd!

- Och, kochanie! - zawołała major w absolutnie nieregulaminowy sposób. Puściła komandora, podbiegła do porucznika, padła na niego i chwyciła go w objęcia.

- Ja chyba naprawdę czegoś tu nie rozumiem - mruknął pod nosem Hawthorne, idąc w stronę dwóch leżących postaci.

ROZDZIAŁ 12

Kwartet smyczkowy grał dyskretnie na balkonie umieszczonym nad zewnętrznym tarasem położonym obok basenu z jaskrawobłękitną wodą podświetloną podwodnymi reflektorami. Była to scenografia wczesnego wieczoru na Złotym Wybrzeżu Palm Beach.

Wokół wielkiego wypielęgnowanego trawnika, oświetlonego pochodniami, znajdowały się trzy barki i dwa razy tyle stołów bufetowych, obsługiwane przez służbę w żółtych marynarkach.

Serwowała ona potrawy i napoje miejscowej elicie, wyglądającej wspaniale w letnich wieczorowych strojach. Idealna ilustracja pięknego życia, na które zasługiwały uprzywilejowane osoby.

A uwagę wszystkich przykuwał nieco oszołomiony i niezwykle przystojny młody człowiek, któremu szkarłatna szarfa zastępowała szeroki pas u frakowych spodni. Nie do końca wiedział, co się z nim dzieje, ale czuł się tu o wiele lepiej niż w dokach Portici.

Po krótkich powitaniach, w czasie których jego ciotka contessa występowała w roli tłumaczki, zaborcza gospodyni o bardzo białych, zbyt dużych zębach i siwoniebieskich włosach oprowadziła go wśród licznie zebranych gości. Amaya Bajaratt szła za nimi, trzymając się zawsze w odległości zaledwie kilku metrów od swego

„bratanka”.

- Osobą, do której cię prowadzi, jest niezwykle wpływowy senator - szepnęła, widząc, że gospodyni kieruje ich w stronę tęgiego, niskiego mężczyzny. - Poznałeś go już w czasie prezentacji.

Kiedy się teraz spotkacie, mów do niego, co chcesz po włosku, a jak on się odezwie, zwróć się do mnie. To na razie wszystko.

- Dobrze, dobrze signora.

Gospodyni powtórnie ich przedstawiła:

- Senator Nesbitt, barone di Ravello...

- Scusi, signora - przerwał jej łagodnie Nicolo. - Barone-cadetto di Ravello.

- O tak, oczywiście... Zupełnie wyszłam z wprawy w mówieniu po włosku...

- Jeżeli kiedykolwiek ją miałaś, Sylvio. - Senator uśmiechnął się jowialnie do Nica i skłonił głowę przed hrabiną. - Bardzo się cieszę, młody człowieku - oznajmił, podając mu rękę. - Jeszcze nie zastąpił pan swojego ojca i mam nadzieję, że nieprędko to nastąpi.

- Si? - odparł Nico, odruchowo odwracając się do Bajaratt, która przetłumaczyła słowa senatora na włoski.

- Non, per centi anni, senatore! - zawołał w odpowiedzi.

- Powiedział, że pragnie, aby nie nastąpiło to szybciej niż za sto lat - wyjaśniła Baj. - Jest oddanym synem.

- Miło coś takiego słyszeć w dzisiejszych czasach - oświadczył

Nesbitt, spoglądając na rzekomą hrabinę. - Czy mogłaby pani zapytać młodego barona... Przepraszam, zapewne niewłaściwie go tytułuję...

- Barone-cadetto - rzekła z uśmiechem Bajaratt. - Oznacza po prostu dziedziczącego tytuł. Powszechniej używa się zwrotu baroncino, ale jego ojciec jest dość staroświecki i uważa, że barone-cadetto brzmi poważniej. Dante Paolo po prostu precyzyjnie określił swój tytuł, który jest dla niego o wiele mniej istotny niż wiedza, którą może zdobyć dzięki tak doświadczonemu człowiekowi jak pan, senatorze... O co mam go zapytać?

- Czytałem sprawozdanie z wczorajszej konferencji prasowej mówiąc szczerze, zwrócił na nie uwagę mój sekretarz, ja sam bowiem nie zaliczam się do zagorzałych czytelników kroniki towarzyskiej - i uderzyło mnie w nim zdanie na temat lojalności i dobroczynności. O tym, że jego rodzina lojalność ceni równie wysoko jak satysfakcję płynącą z dobroczynności.

- To prawda, senatorze Nesbitt. Te wartości są najważniejsze dla naszej rodziny.

- Tytuły są nieistotne, łaskawa pani... Przepraszam, contessa...

- To bez znaczenia, proszę mi wierzyć.

- Dziękuję... Zapewne uważa mnie pani za prowincjonalnego prawnika, który zaszedł wyżej, niż się kiedykolwiek spodziewał.

- O ile dobrze rozumiem, signore, ta „prowincja” jest prawdziwym kręgosłupem moralnym waszego narodu.

- Pięknie powiedziane, doprawdy, pięknie powiedziane. Jestem senatorem ze stanu Michigan, gdzie - mówiąc całkowicie szczerze - mamy dużo problemów, ale moim zdaniem równie wiele możliwości inwestycyjnych, zwłaszcza przy dzisiejszych cenach.

Przyszłość należy do pełnej poświęcenia, wykwalifikowanej siły roboczej, a tej nam doprawdy nie brakuje.

- Senatorze, bardzo proszę porozumieć się z nami jutro.

Upprzedzę recepcję, aby natychmiast nas połączono, i przekażę bratankowi, jak ogromne wrażenie wywarło na mnie pańskie doświadczenie.

- Prawdę mówiąc, jestem na wakacjach - oznajmił siwowłosy mężczyzna, spoglądając po raz trzeci w ciągu czterech minut na symbol swego osobistego sukcesu - wysadzanego brylantami roleksa. - Muszę wkrótce znaleźć się przy telefonie... Spodziewam się informacji od tych wiecznie czuwających krasnoludków z Genewy. Rozumie mnie pani, prawda?

- Oczywiście, signore - odpowiedziała Baj. - Pańska propozycja wywarła na barone-cadetto i na mnie ogromne wrażenie.

Rzeczywiście inwestycje są niezwykle.

- Mówię pani, hrabino, rodzina Ravello może zgarnąć niezłe zyski. Moje spółki w Kalifornii realizują siedem procent zamówień

Pentagonu, a procent ten może tylko rosnąć. Opanowaliśmy wysoką technologię, cała reszta w porównaniu z nami jest przeżytkiem, jeżeli dobrze mnie pani rozumie. Innym może się nie udać, ale nie nam. Mamy na liście płac dwunastu byłych generałów i ośmiu admirałów.

- Proszę skontaktować się z nami jutro. Uprzedzę recepcję.

- Rozumie pani, hrabino, że nie upoważniono mnie do przekazania pani ani temu młodemu książątku wszystkich szczegółów, ale powiem tylko, że chodzi o kosmos, i tym się zajmujemy. Cieszymy się uznaniem wszystkich perspektywicznie myślących członków

Kongresu i wielu z nich zainwestowało pokaźne sumy w nasze akcje dotyczące prac badawczo-rozwojowych w Teksasie, Oklahomie i Missouri, a dywidendy zapowiadają się astronomiczne! Mogę was skontaktować - oczywiście dyskretnie - z całym stadem kongresmanów i senatorów.

- Bardzo proszę porozumieć się z nami jutro. Uprzedzę recepcję.

- Uprawianie polityki na przyjęciach jest naszym narodowym sportem - powiedział z uśmiechem rudowłosy mężczyzna po trzydziestce, uściskawszy dłoń barone-cadetto i skłoniwszy się niżej, niż należało, przed hrabiną. - Przekonacie się państwo, gdy pospacerujecie tu bez naszej gospodyni, naszej madame Defarge ze zbyt wielkim zgryzem.

- Wieczór zbliża się ku końcowi i jak sędzę, Sylvia się poddała - oznajmiła śmiejąc się Baj. - Zaczęła nas opuszczać jakiś czas temu, najwyraźniej przekonana, że Dante poznał już każdego, kto ma jakiegokolwiek znaczenie.

- O, w takim razie zapomniała o mnie - odparł rudzielec. Powinna wykazać się lepszą orientacją. Bądź co bądź dostałem jej bardzo naglące zaproszenie.

- A kim pan jest?

- Jednym z najbardziej błyskotliwych strategów kampanii politycznych w tym kraju. Niestety, sława o mnie w niewielkim stopniu przekroczyła granice stanu... No, może kilku stanów.

- W takim razie nie można pana uznać za szczególnie ważnego - stwierdziła contessa.

- Poza tym, że otrzymał pan zaproszenie. Z jakiego powodu?

- Ponieważ moje wyjątkowe talenty skłoniły „The New York

Times” do dość regularnego publikowania nadsyłanych przeze mnie korespondencji. Płacą marnie, ale w tym zawodzie, jeżeli uda się wystarczająco często wepchnąć swoje nazwisko do Wielkiej

Matki, wszędzie indziej dostaje się większe honorarium. Proste.

- Tak, no cóż, była to niezwykle urocza i kształcząca rozmowa, ale obawiam się, że barone-cadetto i ja jesteśmy zmęczeni. Chyba się pożegnamy, signor giornalista.

- Proszę poczekać, hrabino. Może mi pani nie uwierzy, ale jestem po waszej stronie, jeżeli pani i on rzeczywiście jesteście tymi osobami, za które się podajecie.

- Dlaczego miałby pan sądzić inaczej?

Młody dziennikarz skinął głową w kierunku smagłego mężczyzny średniego wzrostu, który przypatrywał im się uważnie poprzez tłum. Był to mówiący płynnie po włosku reporter z „The Miami

Herald”.

- Niech pani z nim porozmawia, hrabino, nie ze mną. Uważa, że oboje jesteście lipni.

Hawthorne, cały obolały po szaleńczych wyczynach na dymiącym wzgórzu, siedział obok Poole'a na oświetlonej księżycem plaży.

Obaj zdjęli skafandry i rozebrali się do kąpielówek. Czekali, aż

Catherine Neilsen wyłoni się z miniaturowego okrętu podwodnego bezpiecznie spoczywającego na płyciźnie.

- Jak noga? - zapytał leniwie Tyrell.

- Nic złamanego, tylko kupa paskudnych i bolesnych siniaków •- odparł porucznik. - A co z twoim ramieniem? Założony przez Cathy bandaż cholernie namókł krwią.

- Można wytrzymać. Nie oszczędzała mnie, zakładając plastry - to wszystko.

- Czy krytykujesz mojego przełożonego? - zapytał Poole z uśmiechem.

- Nie ośmieliłbym się. A w każdym razie nie w twojej obecności, kochanie.

- Hej, wyraźnie ci to dopiekło, co?

- Nie, Jackson, ani trochę. Ale biorąc pod uwagę naszą poprzednią rozmowę, kiedy to wspomniałeś o nie odwzajemnionej miłości, nieco się zdziwiłem.

- Mam wrażenie, że powiedziałem wtedy „puszczony w trąbę”, komandorze. Nic poważnego.

- Czyżbym słyszał innego Poole'a?

- Nie, słyszysz niedoszłego męża z Luizjany, którego narzeczona nie dotarła na czas do kościoła.

- Powiniennem cię przeprosić? - zapytał Hawthorne, unosząc zamykające się same powieki i patrząc na wykrzywionego w uśmiechu lotnika.

- O, nie trzeba. Musiałem częściej przeproszać, niż ci się kiedykolwiek zdarzy. Tyle razy, że aż przeszło to w żart, tak jak

„kochanie”.

- Czy mógłbyś łaskawie mnie oświecić?

- Jasne - Poole uśmiechnął się, a potem zachichotał. Zapiłem i dostałem świra. Moja wybranka i ja zamówiliśmy sobie najszykowniejszy kościół baptystów w Miami, a nie był to łatwy do zlokalizowania obiekt w lepszych dzielnicach tego pięknego miasta.

Zjawiła się moja rodzina, jej rodzina, a po dwóch pieprzonych godzinach oczekiwania przyleciała z wrzaskiem jej drużyna i wręczyła mi karteczkę... Moja narzeczona nawiała z gitarzystą.

- O rany, przepraszam...

- Nie ma za co. Lepiej że wtedy niż po paru dzieciakach... No, ale zacząłem trochę świrować.

- Świrować? - Tyrellowi koszmarnie chciało się spać, lecz nie mógł oderwać wzroku od Poole'a.

- Wystartowałem stamtąd jak promień lasera, załatwiłem sobie kilka butelek burbona i pojechałem samochodem dla nowożeńców - z brzęczącymi puszkami, zamalowanymi oknami i tak dalej - do śródmieścia Miami, a tam zacząłem kursować po najwredniejszych barach z rozbierankami, jakie tylko mogłem znaleźć. Im więcej piłem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że przynajmniej powinienem kogoś przelecieć.

- Rany boskie, tylko nie waż się dokończyć opowieści!

- No cóż, Cathy, Sal i Charlie domyślili się, że mi odukało, i ruszyli za mną. Wcale nie byli tacy sprytni, jak im się zdawało.

W końcu samochód raczej się rzucał w oczy, no nie?

- Jasne. I co się stało?

- Ciężka awantura, komandorze. Znaleźli mnie w knajpie, w której zacząłem troszeczkę rozrabiać. Z ulubioną dziewczyną tygodnia kubańskiego właściciela knajpy. Sal i

Charlie byli dość skuteczni w walce wręcz, nie tacy dobrzy jak ja, ale zupełnie nieźli, i przekonali moich nieprzyjaciół, żeby pozostawili mnie w spokoju.

Powstał jednak problem, jak mnie stamtąd wyciągnąć.

- Chryste, dlaczego?

- Bo wciąż uważałem, że muszę kogoś przelecieć.

- O rany. - Hawthorne opuścił głowę, trochę ze zdziwienia, a trochę pod wpływem zmęczenia.

- Wtedy Cathy objęła moją głowę i zaczęła dość głośno szeptać mi do ucha: „kochanie, kochanie, kochanie”. No i wyciągnęła mnie stamtąd. I tak się zaczęło.

- To wszystko?

- Wszystko.

Zapadła cisza. Wreszcie Tyrell odezwał się zmęczonym głosem:

- Wiesz co? Wy naprawdę jesteście wariaci.

- Hej, komandorze, a kto odnalazł to miejsce?

- No dobra, nie jesteście głupimi wariatami...

- Słuchajcie! - krzyknęła ubrana w skafander major Neilsen, wychylając się do połowy z okrętu. - Otrzymaliśmy rozkazy za pośrednictwem brytyjskiego poduszkiowca. Potwierdzone przez

Waszyngton i Paryż. O świcie będzie tu łódź latająca z Patrick, mniej więcej za trzy lub cztery godziny, i zabierzemy się na nią.

Aha, a pilot żyje. Ma złamaną nogę i jest na wpół utopiony, ale się wykaraska.

- Gdzie nas zabiorą? - spytał Hawthorne.

- Nie powiedzieli. Po prostu zabiorą nas stąd.

- A co ze szczeniakami? - spytał Poole. Z oddali wciąż dobiegało wycie zaniepokojonych psów strażniczych. - Nie wyjadę, dopóki się nimi nie zajmą.

- Samolotem przyleci treser, który zaopiekuje się psami, a także ogrodnikiem. Będzie towarzyszył grupie śledczej. Pozostaną tutaj mniej więcej dobie.

- Powtarzam pytanie: dokąd zabiera nas samolot z Patrick?

- Nie wiem. Pewnie z powrotem do bazy.

- Nie ma mowy! Muszę dostać się na Gordę, nawet jeżeli miałbym skakać na spadochronie. Co już robiłem w swoim życiu.

- Dlaczego?

- Dlatego, że zginęło tam moich dwóch przyjaciół i chcę wiedzieć, kto ich zabił i z jakiego powodu. Zamierzam pójść tym tropem. Tylko to ma jakiś sens. Ta cholerna psychopatka działa na wyspach.

- Kiedy znajdziemy się już w samolocie, możesz porozumieć się z kim tylko zechcesz. Już udowodniłeś, że potrafisz dotrzeć do ludzi, którzy podejmują decyzje.

- Masz rację - potwierdził Hawthorne, ścisząc głos. Przepraszam, nie miałem prawa wściekać się na ciebie.

- Owszem, nie miałeś. Straciłeś dwóch przyjaciół i my, w pewnym sensie, również. Myślałam, że jesteście po tej samej stronie.

Kilka godzin temu sam się mniej więcej tak wyraziłeś.

- Innymi słowy, major chciałaby dać ci do zrozumienia, że jeżeli wyskoczysz nad Virgin Gordą, my pójdziemy w twoje ślady - wyjaśnił Poole. - Bardzo wyraźnie pamiętam otrzymane rozkazy. Odkomenderowano nas do twojej dyspozycji i chcemy ci pomóc - dodał. Skrzywił się, próbując oprzeć się wygodnie o ukryty mur.

- W twoim stanie nie będziesz zbyt przydatny, poruczniku.

- Wystarczy jeden dzień, parę gorących kąpielii i może trochę kortyzonu - odparł Jackson. - Nie zapominaj, że mam pod tym względem doświadczenie. Wiem, kiedy jestem draśnięty, a kiedy ranny.

- Dobra - rzekł Tye. Zmęczenie zaczęło coraz wyraźniej brać górę. - Załóżmy, że nie odeślę was z powrotem do bazy. Czy w takim razie przyjmiecie do wiadomości, że tylko ja prowadzę ten bal? Będziecie robili wszystko, co każę.

- Oczywiście - zgodziła się major. - Ty tu dowodzisz.

- Jak dotąd ten fakt nie miał szczególnego znaczenia.

- Chciała przez to powiedzieć, komandorze...

- Może w końcu przestaniesz wyjaśniać mi, co chciałam powiedzieć? - przerwała mu Cathy, siadając po turecku na piasku, i spojrzała groźnie na Poole'a.

- Dobra, dobra - uspokajał ich Tyrell. - Jesteście na pokładzie. Bóg jeden wie dlaczego.

- A skoro już mówimy o ludziach na pokładzie - odezwała się Neilsen, spoglądając na Hawthorne'a - niezbyt się lubicie z komandorem Stevensenem, prawda?

- To nie ma znaczenia. Nie odpowiadam przed nim.

- Jest twoim przełożonym.

- Diabła tam! Zostałem wynajęty przez MI-6 z Londynu.

- Wynajęty? - zawołał Poole.

- Tak jest. Zgodzili się na moją cenę, poruczniku. - Tyrell odchylił głowę do tyłu. Był zupełnie wyczerpany.

- Ale przecież mówiłeś o tej nieprawdopodobnej terrorystce, o popierającej ją armii fanatyków gotowych do popełnienia masowych zabójstw... I mimo to wynająłeś się dla p i e n i ę d z y?

- Można tak powiedzieć. Owszem.

- Dziwny z ciebie facet, komandorze Hawthorne. Nie jestem pewna, czy choć trochę cię rozumiem.

- Rozumiesz mnie, majorze. Bo to nie ma związku z tą operacją.

- Oczywiście, że nie... panie komandorze.

- To nie ma nic do rzeczy, Cath, ponieważ jeździsz mu po samych koniuszkach nerwów - oświadczył Poole, wsparty o spowity lianami mur.

- O czym, u diabła, mówicie? - zapytał Hawthorne. Oczy miał na wpół przymknięte, mrugał od czasu do czasu, ale każde mrugnięcie zbliżało go do snu.

- Też słuchałem tego telefonu do Patrick. Wiem, że twoją żonę zabito, według ciebie niesłusznie. Dlatego nie wróciłbyś do starych kumpli, nawet gdyby ci dawali połowę nieruchomości w Waszyngtonie.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy - odezwał się Tyrell cicho.

Głowa opadała mu na piersi. - Nawet jeżeli nie wiesz, o czym mówisz.

- Wtedy coś się stało - ciągnął dalej Poole. - Kiedy zabraliśmy cię z Saby, sprawiałeś wrażenie faceta, któremu wszystko wisi, ale to nieprawda. Gdy moja aparatura zaczęła dostarczać dane, zachowywałeś się, jakby cię oblali wrzątkiem. Zacząłeś widzieć coś, czego nie dostrzegałeś przedtem. Nawet przygwoździłeś Sala

Manciniego tak jak grzechotnik dopada szczura.

- O co ci chodzi, Jackson? - spytała Cathy.

- O coś, co wie i nie chce nam powiedzieć - odparł Poole.

- Skurwysyny - wyszeptał Tyrell. Głowa chwiała mu się w górę i w dół. Oczy miał zamknięte.

- Kiedy ostatni raz spałeś? - spytała Catherine, przysuwając się do niego.

- Czuję się świetnie...

- Jak cholera - oświadczyła major, podtrzymując go za ramię. - Zdaje się, że wychodzisz z akcji, komandorze

- Dominique? - mruknął nagle Hawthorne, wyginając się wolno w łuk, wciąż podtrzymywany przez Neilsen.

- Kto?

- Poczekaj, Cathy - odezwał się Poole, wyciągając oświetloną księżycem prawą rękę .

- Czy Dominique to twoja żona?

- Nie! - wychrypiął na wpół przytomny Tye. - Ingrid...

- Ją właśnie zabili?

- Kłamstwa! Powiedzieli, że była... na sowieckim żołdzie.

- A była? - spytała Catherine, trzymając w ramionach przewracającego się Hawthorne'a.

- Nie wiem - odparł ledwo słyszalnie. - Chciała, żeby wszystko się skończyło.

- Co: wszystko? - nalegał porucznik.

- Nie wiem... Wszystko.

- Idź spać, Tye - rzekła miękko Cathy.

- Nie! - zaprotestował Jackson. - Kim jest Dominique? Ale Hawthorne leżał już nieprzytomny na piasku. - Ten facet ma kłopoty.

- Zamknij się i rozpal ogień - rozkazała dziewczyna.

Osiemnaście minut później płomień ogniska rzucały cienie na plażę, a kulejący Poole znowu usiadł na piasku i spojrzał na Cathy, wpatrzoną w śpiącego Tyrella.

- Rzeczywiście ma kłopoty, prawda? -- spytała.

- Więcej niż my kiedykolwiek, licząc również Penascolę i Miami.

- To dobry facet, Jackson.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem, Cath. Obserwowałem cię, słuchałem tego twojego pieprzenia w bambus i w ogóle, a jak powiedział komandor, jestem dość spostrzegawczy. Uważam, że byłaby z was cholernie dobra para.

- Nie bądź śmieszny.

- Popatrz na niego. On jest prawdziwym facetem, a nie jakimś kutasem, który wciąż tylko zerka do lustra.

- Nie jest zbyt wystrzałowy - odparła pilotka, jedną ręką podtrzymując głowę Tyrella, a drugą usypując wezgłówek z piasku. - No, powiedzmy, że ujdzie w tłoku.

- Nie przegap go, Cathy. Jestem geniuszem, pamiętaj.

- Nie jest jeszcze gotowy, Jackson. Ani ja.

- Wyświadczyć mu przysługę.

- Jaką?

- Zachowuj się naturalnie.

Major popatrzyła na Poole'a, a potem na odprężoną twarz

Tyrella Nathaniela Hawthorne'a, którego głowa spoczywała na jej kolanach. Pochyliła się i pocałowała go w spierzchnięte wargi.

- Dominique?

- Nie, komandorze. Ktoś inny.

Buona sera, signore - odezwała się Bajaratt, podprowadzając stawiającego lekki opór barone-cadetto do mówiącego płynnie po włosku dziennikarza z „The Miami Herald”. - Ten rudowłosy młodzieniec zasugerował, żebyśmy z panem porozmawiali. Na wczorajszej konferencji prasowej zachowywał się pan niezwykle sympatycznie. Dziękujemy bardzo.

- Przykro mi, że informacja znalazła się tylko na kolumnie z wiadomościami lokalnymi, bo doprawdy niezwykły z niego dzieciak, hrabino - odparł uprzejmie dziennikarz.

- Oboje jesteście niezwykli, prawdę mówiąc. A przy okazji: nazywam się Del Rossi.

- Czy coś pana niepokoi?

- Mógłbym tak powiedzieć, ale nie jestem jeszcze gotów dać tego do druku.

- A konkretnie, co takiego?

- W co pani gra, łaskawa pani?

- Nie rozumiem...

- Ale on rozumie. Rozumie każde słowo, które mówimy po angielsku.

- Dlaczego tak pan uważa?

- Bo sam jestem dwujęzyczny. Sprawa zawsze polega na wyrazie oczu, prawda? Błysk zrozumienia, iskra niechęci albo rozbawienia, które nie mają nic wspólnego z tonem głosu czy wyrazem twarzy.

- A może to tylko częściowe zrozumienie, podbudowane poprzednio przetłumaczoną rozmową? Czy to niemożliwe, kolego lingwisto?

- Wszystko jest możliwe, hrabino, ale on mówi i rozumie po angielsku... Mam rację, koleś?

- Co... Che cósá?

- Co było do okazania, łaskawa pani. - Del Rossi uśmiechnął się do wpatrującej się w niego z wściekłością Bajaratt. - Och, przecież pani wcale nie ponosi za to winy, hrabino. Prawdę mówiąc, to było cholernie sprytne.

- Co pan chce dać mi do zrozumienia? - spytała Baj lodowatym tonem.

- To się nazywa zaprzeczenie przez niezrozumienie. Dawni

Sowieci, Chińczycy i Biały Dom są w tym mistrzami. Ktoś może powiedzieć wszystko, co mu się spodoba, a potem wycofać się twierdząc, że nie rozumiał, co do niego mówiono.

- Ale po co? - nalegała Bajaratt.

- Jeszcze do tego nie doszedłem i dlatego na razie niczego nie mam zamiaru publikować.

- Czyż nie jest pan jednym z dziennikarzy, którzy rozmawiali z samym barone w Ravello?

- Rzeczywiście, lecz szczerze mówiąc, nie było to najlepsze z moich źródeł informacji. Ciągłe powtarzał tutto quello che dice e vero i qualsiasi cosa dica. Ogólnie rzecz biorąc: „Wszystko, co mówi, jest prawdą”. Jaką prawdą, hrabino?

- Oczywiście, chodzi o rodzinne inwestycje.

- Być może, ale dlaczego w takim razie odniosłem wrażenie, że rozmowa z wielkim baronem przynosi tyle samo pożytku co z automatyczną sekretarką?

- Ma pan zbyt wybujałą wyobraźnię, signore. Jest już późno i pora iść. Buona notte.

- Ja również wychodzę - odparł reporter. - Do Miami jest dość daleko.

- Musimy odnaleźć naszych gospodarzy. - Baj ujęła Nicola pod ramię.

- Będę się trzymał dwadzieścia kroków z tyłu - dodał Del

Rossi, najwyraźniej doskonale bawiąc się sytuacją.

Bajaratt odwróciła się i nagle popatrzyła na dziennikarza ciepło.

Lód, widoczny do tej pory w jej wzroku, stopniał. - Dlaczego, signor giornalista? To bardzo niedemokratyczne z pana strony.

Sprawiłoby wrażenie, że odnosi się pan do nas, do naszej pozycji społecznej z niechęcią.

- Och, nie, hrabino. Nie odnoszę się ani z niechęcią, ani z sympatią. W moim zawodzie nie wydajemy sądów, tylko przekazujemy fakty.

- W takim razie proszę tak postąpić. A teraz zechce pan zająć miejsce u mojego drugiego boku, żebym mogła się pożegnać w otoczeniu dwóch przystojnych italiiani.

- Jest pani godna podziwu. - Del Rossi podszedł do niej, uprzejmie podając jej ramię.

- A pan jest dla mnie zbyt tajemniczy, signore - odparła

Baj, kiedy cała trójka szła już przez trawnik. I nagle, bez ostrzeżenia, hrabina Cabrini upadła, najwyraźniej zaczepiwszy obcasem o kępę trawy albo dyszę zraszacza. Krzyknęła głośno, gdy Nicola i Del Rossi natychmiast rzucili się na pomoc, klękając przy niej. - Moja stopa. Uwolnijcie ją, proszę, albo zdejmijcie mi but!

- Gotowe - powiedział dziennikarz, delikatnie unosząc jej stopę za kostkę.

- Och, dziękuję! - zawołała Bajaratt. Podnosząc się przytrzymała się nogi Del Rossiego. Nadbiegli pozostali goście i otoczyli ich kołem.

- Au! - jęknął reporter, kiedy razem z Nicolem pomagali hrabinie wstać. Na nogawce jego spodni pojawiła się strużka krwi.

- Dziękuję, dziękuję wszystkim. Już w porządku, doprawdy, wszystko w porządku. Jestem niepokieszona z powodu mojej niezręczności! - Powitały ją chóralne okrzyki pełne współczucia i zrozumienia, a po chwili hrabina i jej towarzysze podeszli do gospodarzy, którzy na patio żegnali odchodzących gości. - Mój

Boże! - wykrzyknęła Bajaratt, widząc wąski strumyczek krwi spływający po prawej nogawce Del Rossiego. - Kiedy się pana przytrzymałam, ta moja przeklęta bransoleta rozpruła pańskie spodnie. A co gorsza, skaleczyłam pana! Ogromnie mi przykro!

- Drobiazg, contessa. To tylko zadrapanie.

- Musi mi pan przysłać rachunek za spodnie! Uwielbiam tę bransoletę, lecz jej złote ozdoby są po prostu niebezpieczne. Nigdy już nie będę jej nosić!

- Spodnie? Drobiazg, są z wyprzedazy. Proszę nie zawracać sobie głowy rachunkiem... Ale niech pani pamięta: jest pani miła, ja też, co bynajmniej nie znaczy, że przestanę kopać.

- Co kopać, signorel Brudy?

- Nie kopię w brudach, hrabino, pozostawiam to innym. Ale trucizna kryjąca się w ziemi - to co innego.

- W takim razie proszę kopać - oznajmiła Baj, zerkając na złotą bransoletę, ściśle opinającą jej przegub. Czubek złotego kolca był zakrwawiony, a znajdujący się w nim mikroskopijny otwór ciemny... pusty. - Nic pan nie znajdzie.

THE MIAMI HERALD

Dziennikarz „Heralda” zginął w wypadku

WEST PALM BEACH, 12 sierpnia, wtorek. Angelo Del Rossi, laureat

Nagrody Pulitzera i wybitny reporter pracujący dla naszej gazety, zginął ubiegłej nocy na szosie 95, kiedy jego samochód zjechał z drogi i rozbił się o betonową obudowę transformatora. Wszystko wskazuje, że Del

Rossi zasnął za kierownicą. Jego pograżeni w żałobie koledzy wyrazili nie tylko głęboki żal, ale również pewne przypuszczenia co do przyczyny wypadku. „Był prawdziwym tygrysem, dziennikarskim psem gończym powiedział jeden z nich. - Kiedy pracował nad artykułem, nie spał przez kilka dni z rzędu”. Tragicznego wieczoru Del Rossi wracał z przyjęcia wydanego na cześć przybyłego do nas niedawno Dante

Paolo, barone-cadetto di Ravello. Młody spadkobierca tytułu był wstrząśnięty tą wiadomością i za pośrednictwem swej tłumaczki oświadczył, że od samego początku poczuł

niezwykłą sympatię do mówiącego po włosku Del Rossiego, który obiecał nauczyć go gry w golfa.

Pan Del Rossi pozostawił żonę i dwie córki.

IL PROGRESSO RAVELLO

/przekład/

Śródziemnomorski rejs barona

RAVELLO, 13 sierpnia. Carlo Vittorio, baron Ravello, kawaler licznych orderów, ze względu na zły stan zdrowia udaje się w długi rejs po

Morzu Śródziemnym na pokładzie swojego jachtu „Il Nicolo”. „Wyspy naszego wspaniałego morza przywrócą mi siły, dzięki czemu zdołam powrócić do swych obowiązków” - oświadczył na pożegnalnym przyjęciu, wydanym w porcie w Neapolu.

ROZDZIAŁ 13

Pomarańczowe słońce wczesnego poranka pulsowało nad błękitnozieloną wodą, w koronach palm i między zwisającymi girlandami tropikalnego listowia pogwizdywały szukające pożywienia ptaki.

Tyrell otworzył oczy, zaskoczony, niepewny, potem zaś zdziwiony, kiedy uświadomił sobie, że jego głowa spoczywa na ramieniu

Cathy, a jej uśpiona twarz znajduje się w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego twarzy. Powoli odsunął się i stanął na czworakach, mrugając pod wpływem rażącego słońca. Odwrócił się gwałtownie, słysząc potrzaskiwanie płomieni, i zobaczył kulejącego

Poole'a, który ściągał gałęzie i kawałki drewna i rzucał je do ognia.

Unoszący się czarny dym był jedyną plamą na czystym, bezchmurnym niebie.

- Po co to? - spytał Hawthorne i natychmiast powtórzył pytanie szeptem, widząc, że porucznik przykłada palec do warg. Po co to?

- Przyszło mi do głowy, że gdyby pilot samolotu pomylił koordynaty, to powinien zauważyć dym. Wolę się po prostu zabezpieczyć.

- Możesz chodzić?

- Mówiłem, że to tylko parę siniaków. Przez pół godziny moczyłem nogę w wodzie i starałem się ją rozruszać. Teraz można już wytrzymać.

- O której powinien przylecieć samolot?

- Mniej więcej o szóstej, w zależności od pogody - odparła

Catherine Neilsen, nie otwierając oczu. - I możecie przestać szeptać. - Uniosła się na łokciu, podwinęła rękaw wciąż zapiętego skafandra i popatrzyła na zegarek. - Mój Boże, już za kwadrans.

- I co z tego? - zapytał porucznik. - Masz umówioną wizytę w salonie kosmetycznym?

- Niezbyt się mylisz, Jackson. Pewna dziewczyna musi się udać między bluszcze i wykonać cyrkowy numer kobiety gumy...

A skoro już o tym mowa, to czy obaj panowie raczą włożyć znowu swoje skafandry? Dwaj mężczyźni w szortach, w tym jeden w mokrych i nieco przezroczyście... oraz samotna kobieta oficer na przysłowiowej bezludnej wyspie - to nie jest obraz, który chciałabym utrwalić w pamięci kolegów z Patrick.

- Patrick? - zapytał ostro Hawthorne. - Czy ktoś powiedział coś o bazie lotniczej?

- Już to przerabialiśmy, Tye, a jeżeli nie pamiętasz, nikt nie może mieć do ciebie pretensji. Trzy godziny temu byłeś najbardziej wyczerpanym człowiekiem, jakiego w życiu widziałam. W dalszym ciągu przydałby ci się tydzień snu.

- Masz rację, ale nie w sprawie snu. Pamiętam. Bez względu na rozkazy, porozumiem się ze Stevenssem i lecę na Gordę.

- Nie - zaprotestował Poole. - Nie ty lecisz na Gordę, ale my lecimy na Gordę. Możesz mieć tam parę rachunków do wyrównania, lecz my też mamy jeden - cholernie ważny dla Cath i dla mnie. Chodzi o Charliego, pamiętasz go?

- Owszem - odparł Tyrell, spoglądając na porucznika. Lecimy na Gordę.

- Samolot! - krzyknęła Cathy, zrywając się na równe nogi. Muszę się pośpieszyć!

- Daję ci słowo - odezwał się Jackson - że poczekają, aż zrobisz sobie trwałą.

- Wskakujcie w skafandry! - warknęła major, wspinając się po skarpie i znikając w nadbrzeżnych zaroślach.

Aszkelon - szepnął głos w Londynie.

- Pamiętajmy - odpowiedziała Baj. - Niewykluczone, że w ciągu kilku następnych dni nie będę mogła porozumieć się z tobą o wyznaczonej porze. Lecimy do Nowego Jorku i będziemy tam mieli urwanie głowy.

- Nieważne. Tutaj wszystko układa się świetnie. Jednego z naszych zatrudniono właśnie w grupie ochrony parku samochodowego Downing Street.

- To wspaniale!

- A co u ciebie, Baj?

- Tak samo. Kręgi się rozszerzają, ale my zaczynamy być bardziej wybiórczy. Zemsta należy do nas, przyjacielu.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

- Przekaż moje wiadomości do Paryża i Jerozolimy oraz uprzedź ich, aby na wszelki wypadek trzymali się wyznaczonych czasów i miejsc łączności.

- Rozmawiałem dziś rano z Jerozolimą. Ten zwariowany sukinsyn jest w siódmym niebie.

- Dlaczego?

- W restauracji w Tel Awiwie pokumał się z kilkoma izraelskimi starszymi oficerami sztabowymi. Była tęga popijawa i bardzo im się spodobał jego śpiew. Zaproszono go na kilka przyjęć.

- Powiedz mu, żeby był ostrożny. Jego dokumenty są równie fałszywe jak jego mundur.

- Nie ma lepszego konspiratora niż on, Baj. Poza tym rozpoznał dwóch oficerów. To pieski tego rzeźnika Sharona.

- Ciekawe - odparła po krótkim milczeniu Bajaratt. Sharon byłby niezwykle pożądanym dodatkiem.

- Tak właśnie myśli Jerozolima.

- Ale powiedz mu, żeby nie odbyło się to kosztem głównego celu.

- Zdaje sobie sprawę.

- Czy coś nowego w Paryżu?

- No cóż, wiesz już, że ona sypia z liczącym się członkiem Izby Deputowanych, bliskim przyjacielem prezydenta. Bardzo sprytna dziewczyna.

- Lepiej by było, gdyby sypiała z prezydentem.

- Może się tak stanie.

- Aszkelon - powiedziała Baj, odkładając słuchawkę.

- Pamiętajmy - odrzekł głos z Londynu.

Brytyjska Virgin Gorda wciąż jeszcze spała, kiedy wodnosamolot lotnictwa wojskowego Stanów Zjednoczonych, uzyskawszy zezwolenie urzędu gubernatorskiego, osiadł na wodzie w odległości trzech kilometrów na południe od jachtklubu. Hawthorne nie zażądał żadnej pomocy, ponieważ do standardowego wyposażenia łodzi latającej należało kilka pontonów, on zaś chciał, aby ich przybycie na wyspę było możliwie dyskretne. Kiedy odłożył słuchawkę zawieszoną na grodzi radiotelefonu, Catherine Neilsen zawołała z sąsiedniego fotela, przekrzykując ryk silników:

- Chwileczkę, nasz świetlany przywódcu, czy przypadkiem czegoś nie zapomniałeś?

- Co? Dowiozłem nas na Gordę. Czego jeszcze chcecie?

- Może ubranka? Nasze są na brytyjskim poduszku, w odległości kilkuset kilometrów stąd, i jak sądzę, będziemy się trochę rzucać w oczy w tych czarnych kostiumach ludzi pajaków.

Jeżeli myślisz, że będę łączyć w staniku i majtkach razem z dwoma nie ogolonymi gorylami w białych gatkach, to się cholernie mylisz, komandorze.

- Przypuszczam, że powinniśmy nosić takie ubranka, jakie podpowiada ci doświadczenie, co, Tye? - wtrącił się Poole, szczerząc zęby w uśmiechu. - Oczywiście, ty lubisz zatłuszczone kombinezony, ale my należymy do lepszej klasy.

Hawthorne wrócił do telefonu i połączył się z centralą jachtklubu.

- Proszę z panem Geoffreyem Cooke'em. - Cekał, słuchając przeciągłego buczenia, nikt jednak nie podnosił słuchawki. Wreszcie znowu zgłosił się recepcjonista.

- Przepraszam, ale nikt się nie odzywa.
- W takim razie z panem Ardisonne'em, Jacquesem Ardisonne'em.
- Bardzo proszę. - Ponownie rozległ się sygnał, na który nikt nie odpowiadał. I znów odezwał się recepcjonista: - Obawiam się, że ta sama sytuacja.
- Proszę posłuchać. Mówi Tyrell Hawthorne, mam pewien problem...
- Kapitan Hawthorne? Wydawało mi się, że to pan, ale z pańskiej strony jest jakiś hałas.
- Z kim mówię?
- Beckwith, proszę pana, nocny recepcjonista. Czy mój angielski jest wystarczająco dobry?
- Jakbyś się urodził w pałacu Buckingham - odparł Tye, z ulgą przypominając sobie rozmówcę. - Posłuchaj, Beck. Muszę się porozumieć z Rogerem, a pozostawiłem na łodzi numer jego domowego telefonu. Czy możesz mi go zdobyć?
- Nie muszę, kapitanie. Zastępuje barmana z dziennej zmiany, który trafił do pudła za bójkę. Połączę pana.
- Tye, chłopie, gdzie ty się podziewał przez całą noc? odezwał się Roger, barman z plaży. - Skaczesz jak jaszczurka z jednej wyspy na drugą, nic nikomu nie mówiąc!
- Gdzie jest Cooke i Ardisonne? - przerwał mu Hawthorne.
- Wszyscy próbowaliśmy połączyć się z tobą na St. Martin, ale zniknąłeś, mon.
- Gdzie się podziali?
- Nie ma ich na wyspie, Tye. Około dziesiątej trzydzieści dostali wiadomość z Porto Rico, bardzo zwariowaną wiadomość, mon. Do tego stopnia niezwykłą, że porozumieli się z Urzędem Gubernatora i zrobił się cyrk na kółkach! Policja zawiozła ich na Sebastian Point, a okręt patrolowy przewiózł na wodnopłatowiec, który miał ich dostarczyć do P.R. Tak kazali mi cię poinformować!
- To wszystko?
- Nie, mon. Najlepsze zachowałem na koniec... tak sędzę. Kazali ci powiedzieć, że mają kogoś, kto się nazywa Grimshaw...
- Przełom! - wrzasnął Hawthorne i jego głos odbił się echem po wnętrzu samolotu.
- Co się stało?! - zawołała Neilsen.
- Co jest, Tye? - ryknął Poole.
- Mamy jednego z nich! Coś jeszcze, Roge?

- Właściwie nic, poza tym, że ci dwaj biali cocoruroos wałą mi na łeb tyle zleceń, że mam ich już powyżej uszu.

- Będziesz wynagrodzony po pięćdziesięciokroć!

- Wystarczy połowa. Resztę sam zwinę.

- I ostatnia sprawa, Roge. Przylatuję z dwójką przyjaciół, ale potrzebne są nam ubrania...

Barman Roge spotkał ich na pustynnej wschodniej plaży, położonej ponad sto metrów od doku jachtklubu, i wyciągnął ciężki ponton na piasek.

- Na turystów jest jeszcze za wcześnie, a poławiacze langust was nie dostrzegą, chodźcie więc za mną. Znalazłem pustą willę, w której będziecie się mogli przebrać. Ubrania już tam są... Ej, chwileczkę. A co ja niby mam zrobić z pontonem? Przecież to sprzęt wartości dwóch tysięcy dolarów.

- Wypuść powietrze i sprzedaj go - odparł Hawthorne.

Tylko się postaraj zamalować wszystkie napisy i oznakowania.

Jeżeli nie wiesz, jak to zrobić, mogę cię nauczyć. Chodźmy do willi.

Ubrania były zupełnie niezłe, a w wypadku major Neilsen nawet efektowne.

- Hej, Cathy, wyglądasz olśniewająco! - Poole gwizdnął cicho, widząc dziewczynę wyłaniającą się z sypialni w powłóczystej tunice utrzymanej w żywych tropikalnych kolorach i pokrytej abstrakcyjnym wzorem pawich i papuzich piór. Skrojona była tak, że podkreślała górne i dolne krągłości kobiecej postaci.

Cathy obróciła się na pięcie jak mała dziewczynka.

- O, poruczniku, nigdy dotąd nie słyszałam, abyś okazywał taki entuzjazm... No, może raz, w klubie ze striptizem w Miami.

- Miami się nie liczy, i dobrze o tym wiesz. Ale oprócz mojego ślubu, z którego zresztą niezbyt wiele pamiętam, nie miałem szczęścia widzieć cię w sukience, zwłaszcza takiej. Co ty na to, Tye? Spełnia wymogi kwalifikacyjne?

- Wyglądasz uroczo, Catherine - powiedział po prostu Hawthorne.

- Dziękuję, Tyrell. Nie jestem przyzwyczajona do takich komplementów. Czy uwierzysz? Mam wrażenie, że się czerwienię.

- Uwierzę - odparł łagodnie Tye, przypominając sobie nagle twarz śpiącej przy nim Cathy - a może to była Dominique?

Nieważne, oba obrazy go wzruszały... a ostatniemu towarzyszyło dodatkowo bolesne uczucie utraty. Dlaczego znowu go porzuciła? Powinniśmy wkrótce mieć wiadomość od

Cooke'a i Ardisonne'a z Porto Rico - rzucił po chwili ostro, przerywając ten seans podziwu, i odwrócił się do okna. - Chcę mieć tego Grimshawa.

Chcę go osobiście złamać i wydusić z niego, w jaki sposób znaleźli Marty'ego i Mickeya.

- I Charliego - dodał Poole. - Nie zapomnij o Charliem...

- Kim, u diabła, są ludzie, którzy mogą robić to, co robią? zawołał Hawthorne, uderzając pięścią o najbliższy mebel.

- Mówiłeś, że są z Bliskiego Wschodu - przypomniała Cathy.

- Rzeczywiście, ale to zbyt szerokie pojęcie. Nie znacie doliny

Bekaa, a ja tak. Działa tam tuzin zwalczających się frakcji, rywalizujących ze sobą o władzę, z których każda twierdzi, że jest karzącym mieczem Allacha. Ta grupa jest inna. Może jej członkowie są fanatykami, lecz chodzi im o coś więcej niż tylko o Allacha, Jezusa, Mahometa czy Mojżesza. Mają zbyt wiele źródeł informacji, ich struktury są zanadto rozwinięte - dobry Boże, przecieki w Waszyngtonie i Paryżu, związki z mafią, forteca na wyspie, japońskie satelity, konta szwajcarskie, skrzynki w Miami i Palm

Beach, i Bóg wie, gdzie jeszcze! Te kontakty nie są wynikiem apeli do współwyznawców, wierzących w poszczególnych bogów czy proroków. O nie, oni mogą być fanatykami, ale są również najemnikami, kapitalistami terroryzmu prowadzącymi międzynarodowe interesy.

- Muszą mieć cholernie długą listę klientów - stwierdził

Poole. - Skąd ich biorą?

- Mają dwa rodzaje spisów, Jackson. Kupują i sprzedają.

- Co kupują, Tye?

- Najbliższym określeniem byłaby tu chyba „destabilizacja”.

Jako cel i środek działania.

- Sądzę, że następnym pytaniem jest: dlaczego? - wtrąciła się

Neilsen, marszcząc brwi. - Mogę zrozumieć fanatyków, ale dlaczego ludzie, którzy w żaden sposób nie są zainteresowani ich sprawą, na przykład mafia, współpracują z nimi, a co więcej płacą im?

- Ponieważ istnieje wspólnota interesów i nie ma to żadnego związku z przekonaniami religijnymi czy filozoficznymi. Tu chodzi o władzę. I o pieniądze. Tam, gdzie istnieje destabilizacja, nie istnieje władza i można zarobić miliony... Nie, u diabła, miliardy!

Kiedy panuje panika, można infiltrować rządy, wprowadzać swoich ludzi na stanowiska, na których mogą się okazać przydatni w przyszłości, brać pod kontrolę całe kraje

i eksploatować je do końca. A gdy tak się staje, ci ludzie znikają - albo zapewniają sobie azyl polityczny.

- Czy rzeczywiście może się tak dziać?

- Moja pani, ja to widziałem w praktyce. Od Grecji po

Ugandę, od Haiti po Argentynę, od Chile po Panamę i w większości dawnych krajów bloku wschodniego, w których rządzący byli w takim samym stopniu komunistami jak Rockefellerowie.

- O rany, niech mnie drzwi ścisną! - zawołał porucznik

Poole. - Nigdy dotąd nie myślałem podobnymi kategoriami. Wstyd mi za siebie, bo rozumiem teraz, o co ci chodzi.

- Bez zbędnej samokrytyki, Jackson. Taki był mój zawód.

W sprawach wywiadu wyobraźnia jest podstawowym czynnikiem.

- Co teraz zrobimy, Tye? - spytała Cathy.

- Poczekamy na wiadomość od Cooke'a i Ardisonne'a. Jeżeli moje przypuszczenia się potwierdzą, polecimy do Porto Rico pod eskortą wojskową.

Rozległo się stukanie do drzwi wejściowych, a potem rozległ się głos barmana Rogera: - To ja. Muszę z tobą porozmawiać, Tye.

- Na litość boską, Roge, drzwi nie są zamknięte.

- Może nie mam ochoty wchodzić - powiedział Roger, przekraczając próg i zamykając drzwi. W rękę trzymał gazetę.

Przeszedł przez pokój i podał ją Hawthorne'owi. - Masz. Wczesne wydanie „The San Juan Star”. Przywieziono je samolotem pół godziny temu i w recepcji gładzą teraz jak w kurniku. Ta małeńka notka, mon, na trzeciej stronie. Złożyłem już gazetę.

Zwłoki dwóch mężczyzn wyrzucone na skały Morro Castle

SAN JUAN, sobota. Dzisiaj wczesnym rankiem odnaleziono między skałami tej części wybrzeża ciała dwóch mężczyzn w średnim wieku.

Dzięki paszportom ustalono, że są to Geoffrey Alan Cooke, obywatel brytyjski, oraz Jacques René Ardisonne z Francji. Stwierdzono, że przyczyną śmierci było utonięcie, które nastąpiło przed wyrzuceniem zwłok na skały. Dalsze dochodzenie przeprowadzą władze w Zjednoczonym Królestwie i we Francji.

Tyrell Hawthorne cisnął gazetę na podłogę, odwrócił się gwałtownie, podbiegł do okna i wyrzucił w szybę pięścią, aż trysnęła krew.

Z mieszkania na dachu budynku na Manhattanie, wysoko nad

Piątą Aleją, widać było światła Central Parku, wewnątrz zaś oświetlały dyskretnie rozmieszczone kryształowe kandelabry i aromatyczne świece w szklanych pucharach ustawionych na pokrytych adamaszkiem stołach. Wśród zaproszonych gości znajdowali się promineneci tego miasta - politycy, wielcy handlarze nieruchomościami, bankierzy i znani felietoniści, a także parę popularnych gwiazd filmu i telewizji oraz wielu wybitnych pisarzy, których dzieła publikowano także we Włoszech. Gospodarzem wieczoru był ekstrawagancki przemysłowiec, którego dość wątpliwe manipulacje na rynku papierów wartościowych pozostały nie zauważone, chociaż wielu jego współpracowników trafiło do więzienia. Jego Agincourt majaczył już jednak na horyzoncie. Lada dzień wierzyciele mogli wystąpić z żądaniem spłaty ogromnych długów, a wtedy uprzejmości wyświadczone wspomnianym prominentom podano by do publicznej wiadomości. W związku z tym na przyjęciu zjawili się wszyscy.

Obiektem ich zainteresowania stał się młody człowiek, który mógłby w znacznym stopniu zmniejszyć kłopoty gospodarza, przekazując odpowiednie zalecenia swemu niezmiernie bogatemu ojcu, baronowi

Ravello.

Wieczór przebiegał gładko. Barone-cadetto i jego ciotka przyjmowali gości zupełnie tak, jakby byli ukochanym synem i siostrą cara Wszechrosji w starym, dobrym St Petersburgu. Baj z zaniepokojeniem zauważyła jednak, że jedna z młodych telewizyjnych aktoreczek mówi po włosku i kiedy tylko zakończono prezentację i zabrano się za koktajle, wdała się w długą rozmowę z „Dante

Paolo”. Źródłem niepokoju Bajaratt nie była zazdrość, ale widmo zagrożenia. Wyrafinowana, mówiąca wieloma językami młoda kobieta mogłaby bez trudu dostrzec poważne luki w „arystokratycznym” wychowaniu Nicola. Niebezpieczeństwo zniknęło jednak jak przekłuty balon, kiedy Nico pojawił się obok Baj w towarzystwie owej ciemnowłosej aktoreczki.

- Cara zia, moja nowa przyjaciółka mówi po włosku! zawołał.

- Zauważyłam - odparła Bajaratt również w tym języku, ale bez szczególnego entuzjazmu. - Kształciłaś się w Rzymie, moje dziecko, czy może w Szwajcarii?

- O rany, nie, hrabino. Po szkole średniej jedynymi nauczycielami, jakich miałam, byli entuzjaści nowych metod nauczania wykładający w klasie aktorskiej. Uczyłam się, dopóki nie zaczęłam grać w serialach telewizyjnych.

- Widziałaś ją, droga ciociu, i ja też! W serialu, który w naszym kraju nazywa się Vendetta delie Selle. Powszechnie oglądanym! Gra taką miłą dziewczynę, która po zabiciu przez bandytów jej rodziców opiekuje się młodszym bratem i siostrą.

- Niezbyt dobrze przetłumaczono tytuł, Dante. Naprawdę znaczy on Zemsta w siodle. Ale jakież to ma znaczenie? Ważne, że film jest oglądany.

- A twoja biegła znajomość naszego języka...?

- Mój ojciec ma włoski sklep w Brooklynie. Tam, gdzie mieszkają rodzice, niewiele osób powyżej czterdziestki mówi po angielsku.

- Jej ojciec sprowadza całe provolones i sery z Portofino, a także najlepsze prichute z południa. Och, jak chciałbym pojechać do tego Brooklynu!

- Obawiam się, że nie ma na to czasu, Dante. Lecę z powrotem na wybrzeże jutro rano
- odpowiedziała dziewczyna.

- Moje drogie dziecko - wtrąciła szybko po włosku Baj. W jej umyśle zaczął się rodzić nowy pomysł. Dotychczasowy chłód błyskawicznie zniknął. Uśmiechnęła się do aktorki, a w jej głosie pojawiło się nagle ciepło. - Czy rzeczywiście jest konieczny pani powrót na... na...

- Wybrzeże, tak to między sobą nazywamy - dokończyła za nią młoda kobieta. - Chodzi o Kalifornię. Za cztery doby mam być na planie, a przez parę dni muszę pobiegać po plaży i zrzucić wszystko, co mi przybyło po domowym jedzeniu. Duża siostrzyczka z Siodła... musi odpowiednio wyglądać.

- Gdyby została pani choć jeden dzień, przecież i tak miałaby pani wciąż dwa dni na bieganie po plaży, prawda?

- Oczywiście, ale dlaczego?

- Mój siostrzeniec jest pod niezwykłym pani urokiem...

- Chwileczkę, proszę pani! - zaprotestowała po angielsku najwyraźniej urażona aktorka.

- Ależ nie, proszę poczekać! - przerwała jej również po angielsku Bajaratt. - Źle mnie pani zrozumiała. Rispetto, rispetto totale. Zawsze będziecie wśród ludzi i w moim towarzystwie jako przyzwoitki. Po prostu pomyślałam, że po tych wszystkich konferencjach z udziałem o wiele starszych ludzi, dla Dante Paola zwiedzenie miasta w towarzystwie kogoś mniej więcej w jego wieku i mówiącego po włosku mogłoby być przyjemną formą odpoczynku. Musi się już czuć zmęczony swoją starą ciotką.

- Jeżeli pani jest stara, hrabino - odparła aktoreczka z wyraźną ulgą, wracając do włoskiego - w takim razie ja wciąż chodzę do pierwszej klasy.

- Zostanie więc pani?

- No cóż... Czemu nie? - oświadczyła dziewczyna, spoglądając z uśmiechem na przystojnego Nicola.

- Ponieważ powinniśmy zacząć zwiedzanie wcześniej rano zaproponowała Bajaratt - może wynajęlibyśmy dla pani pokój w naszym hotelu?

- Nie zna pani mojego ojca. Kiedy jestem w Nowym Jorku, śpię w domu. Wujek Ruggio ma taksówkę i zawsze czeka na mnie.

- Możemy przyjechać do ciebie do domu, do tego Brooklynu - nalegał z podnieceniem Nicolo. - Mamy limuzynę!

- W takim razie będę mogła pokazać państwu sklep papy!
Sery, salami, prosciutto.

- Proszę, cara zia.

- Wujek Ruggio może jechać za nami, to uspokoi papę.

- Ojciec bardzo panią chroni, prawda? - spytała Bajaratt.

- Nawet sobie pani nie wyobraża! Od kiedy jestem w Los Angeles, stale ze mną mieszka jedna niezamężna krewna po drugiej.

Jedna wyjeżdża, a dwadzieścia minut później pojawia się następna!

- Troskliwy włoski ojciec, który dba o swoją rodzinę w dobry tradycyjny sposób!

- Angelo Capelli, ojciec Angel Capell - tak agent skrócił moje nazwisko. Uważał, że Angela Capelli bardziej pasowałaby do małej restauracji w New Jersey. Mam najsurowszego ojca w Brooklynie. Ale jeżeli mu powiem, że przyprawiam do domu prawdziwego barona, żeby przedstawić go mamie i jemu...

- Zia Cabrini - powiedział niemal władczy tonem Nicolo. - Spotkaliśmy się już ze wszystkimi, czy nie moglibyśmy więc sobie pójść? Niemal już czuję zapach sera, smak prichutel

- Zobaczę, co można zrobić, mój drogi, ale chciałabym zamienić z tobą kilka słów na osobności... To nic ważnego, młoda damo, doprawdy słówko na temat człowieka, z którym będziemy musieli rozmawiać przed wyjściem. Interesy, rozumie pani?

- Och, oczywiście. Jest tu krytyk z „Timesa”, który napisał wspaniałą recenzję z mojej rólki, jaką grałam w Village. Dzięki niej dostałam się do seriali. Wysłałam mu list, ale nigdy nie podziękowałam osobiście. Spotkamy się za kilka minut. - Młoda aktorka, trzymając w dłoni kieliszek do szampana wypełniony piwem imbirowym, ruszyła w stronę tęgiego siwobrodego mężczyzny o oczach lamparta i ustach orangutana.

- O co chodzi, signora? Czy zrobiłem coś niewłaściwego?

- Ależ nie, kochanie, miło spędzasz czas w towarzystwie kogoś w twoim wieku, i bardzo dobrze. Ale pamiętaj: nie znasz angielskiego! Nawet mrugnięciem oka nie zdradź, że rozumiesz ten język!

- Cabi, mówimy ze sobą tylko po włosku... Nie gniewasz się na mnie, że uważam ją za pociągającą, prawda?

- Nicolo, nie bądź głupi. Drobnomieszczańska moralność jest dla mnie bez znaczenia, ale coś mi mówi, że nie powinieneś jej traktować jak kobiety z doków w Portici, która pragnie twego ciała.

- Nigdy! Może jest sławna, lecz jest też prawdziwą włoską dziewczyną z rodziny o surowych zasadach, którą szanuję jak własne siostry. Nie należy do świata, do którego mnie wprowadziłaś.

- Czyżbyś był nim rozczarowany, Nico?

- Jakżebym mógł? Nigdy tak nie żyłem... Nigdy nie marzyłem, że mógłbym tak żyć.

- Dobrze. Idź do swojej bellissima ragazza, wkrótce się do was przyłączę. - Baj odwróciła się i z wdziękiem ruszyła w kierunku gospodarza, pogrążonego w zażartej dyskusji z dwoma bankierami.

Nagle ktoś delikatnie, ale stanowczo dotknął jej łokcia. Odwróciła gwałtownie głowę i zobaczyła przystojną twarz leciwego siwowłosego mężczyzny, który wyglądał jakby zszedł z angielskiej reklamy

Rolls-Royce'a.

- Czy my się znamy? - spytała.

- Teraz już tak, hrabino - odpowiedział mężczyzna, unosząc jej dłoń do ust. - Przybyłem późno, ale widzę, że doskonale się pani powodzi.

- Rzeczywiście, czarujący wieczór.

- Och, ci ludzie są stworzeni do tego rodzaju imprez. Urokliwość pieni się tu jak całe beczki kremu do golenia. Połączenie władzy i bogactwa przekształca gąsienice w motyle... W pazie królowej.

- Czy jest pan literatem... Może powieściopisarzem? Poznałam dzisiaj kilku.

- Dobry Boże, nie! Z trudem udaje mi się bez pomocy sekretarki przebrnąć przez list. Kąśliwe uwagi są zaledwie częścią mojego zawodu.

- A jakież ma pan zawód, signore?

- Można by rzec, że to pewna arystokratyczna renoma wyrobiona wśród międzynarodowego korpusu dyplomatycznego, wykorzystywana przede wszystkim przez Departament Stanu.

- Niezwykle ciekawe.

- Oczywiście - przytaknął nieznajomy z uśmiechem. Ponieważ jednak nie mam ani skłonności do alkoholu, ani ambicji politycznych, mam natomiast dość piękną posiadłość, którą z prawdziwą radością pokazuję innym, Departament Stanu uznał moje włości za odpowiedni, neutralny teren dla składających wizyty dygnitarzy. Nie można przecież pojeździć sobie konno w towarzystwie mężczyzny lub kobiety, pograć w tenisa albo popływać w basenie z kaskadami, zjeść wyszukany posiłek, a potem zachowywać się w czasie negocjacji jak skończony gbur... Oczywiście, są tam jeszcze inne atrakcje, zarówno dla pań, jak i panów.

- Dlaczego mi pan o tym wszystkim opowiada, signore? zapytała Bajaratt, przyglądając się samozwańczemu arystokracie.

- Ponieważ wszystko, co mam, wszystko, czego się nauczyłem, zawdzięczam Hawanie, moja droga - wyjaśnił mężczyzna, wpatrując się w oczy Baj. - Czy coś to pani mówi, hrabino?

- A powinno? - odparła Amaya absolutnie beznamiętnym tonem, czując jednak, że zapiera jej dech w piersi.

- W takim razie będę się streszczał, ponieważ lada chwila może nam ktoś przeszkodzić. Ma pani kilka numerów, ale nie zna kodów telefonicznych, które obecnie są niezbędne. W hotelu pozostawiłem dla pani zapieczętowaną kopertę. Jeżeli w wosku pieczęci będą pęknięcia, proszę natychmiast zadzwonić do mnie, do hotelu „Plaza”, i wszystko zostanie zmienione. Nazywam się van Nostrand, apartament 9B.

- A jeżeli pieczęć będzie nietknięta?

- W takim razie od jutra może pani korzystać z tych trzech numerów. Będę pod jednym z nich w dzień i w nocy. Ma pani obecnie przyjaciela, którego potrzebuje.

- „Przyjaciela, którego potrzebuję”? Mówi pan zagadkami.

- Przestań, Baj - szepnął, uśmiechając się ponownie człowiek z reklamy Rolls-Royce'a. - Padrone nie żyje!

Bajaratt westchnęła głośno. - Co pan mówi?

- Odszedł... Na litość boską, proszę przybrać przyjemny wyraz twarzy.

- A więc choroba go zwyciężyła. Przegrał.

- Wcale nie choroba. Wysadził całą posiadłość razem z sobą.

Nie miał wyboru.

- Ale dlaczego?

- Odnaleźli go. Zawsze istniała taka możliwość. Wśród jego ostatnich poleceń był również rozkaz, abym się z panią zaprzyjaźnił i jeżeli coś się z nim stanie - w naturalny lub nienaturalny sposób - zaproponował wszelką pomoc. Jestem pani pokornym sługą, contessa... W pewnych granicach.

- Ale co się stało? Nic mi pan nie powiedział!

- Nie teraz. Później.

- Mój prawdziwy ojciec...

- Już go nie ma. Odszedł. Teraz ja jestem do pani dyspozycji, a za moim pośrednictwem - niebagatelne zasoby, którymi dysponuję. - Van Nostrand odchylił głowę i roześmiał się, zupełnie jakby rozweselony jakąś uwagą hrabiny.

- Kim pan jest?

- Już powiedziałem: przyjacielem, którego pani potrzebuje.

- Czy jest pan kontaktem padrone tu, w Ameryce?

- Jego i innych, ale przede wszystkim jego. W każdym innym sensie byłem wyłącznie jego... Hawana, wspomniałem przecież

Hawanę.

- Co mówił o mnie?

- Uwielbiał i podziwiał panią. Była pani dla niego wielką pociechą i dlatego żądał, abym pomógł pani w każdy możliwy sposób.

- W jaki?

- Mam - wykorzystując moje środki - ułatwić pani przenoszenie się z miejsca na miejsce, nawiązywanie kontaktów z różnymi ludźmi, dyskretnie albo z rozgłosem, według pani życzenia. Wypełnię każde z pani poleceń, jeżeli nie będzie kolidowało z moimi... naszymi interesami.

- Naszymi?

- Jestem przywódcą Skorpionów.

- Scorpiones! - Baj mówiła niemal szeptem, stłumionym i zmieszonym z gwarem gości, całkowicie panując nad swoimi reakcjami. - Przewodniczący Rady Najwyższej mówił o panu.

Zapowiedział, że będę obserwowana, poddawana próbom i jeżeli zostanę zaakceptowana, ktoś się ze mną porozumie i stanę się jedną z was.

- Nie posunąłbym się aż tak daleko, contessa, ale otrzyma pani wyjątkową pomoc...

- Po prostu nigdy nie kojarzyłam Skorpionów z padrone - rzekła Bajaratt.

- Prawdziwe zasługi pozostają w cieniu, prawda...? Padrone nas stworzył, oczywiście przy mojej skromnej pomocy. A jeżeli chodzi o poddawanie pani próbom, to wyczyn z Palm Beach wystarczył, żeby wszelkie dalsze sprawdziany okazały się zbędne.

Był po prostu horrendalny, horrendalnie cudowny!

- Czy może mi pan powiedzieć, kim są Skorpiony?

- Tylko ogólnie, bez żadnych szczegółów. Jest nas dwudziestu pięciu, to ostateczna liczba. - Van Nostrand znowu roześmiał się serdecznie z kolejnej wymyślonej uwagi hrabiny. - Reprezentujemy rozmaite zawody i zajęcia, bardzo starannie dobrane, tak aby przynosiły maksymalną korzyść... Podejmując stosowne decyzje, uwzględniałem interes naszych wielu klientów. Padrone zawsze uważał, że dzień, w którym nie było obrotu w wysokości przynajmniej miliona dolarów, jest dniem straconym.

- Nigdy nie znałam tej strony mojego... mojego jedyne go ojca.

Czy Skorpionom można ufać?

- Mogę tylko zapewnić, że strach jest gwarancją zaufania.

Albo wykonują rozkazy, albo alternatywą staje się śmierć.

- Czy wie pan, po co tu jestem, signore van Nostrand?

- Aby się tego dowiedzieć, nie potrzebowałem wyjaśnień naszego wspólnego przyjaciela. Mam bardzo bliskie powiązania z odpowiednimi urzędnikami państwowymi.

- I? - spytała Baj, wpatrując się w niego uważnie.

- Zupełne szaleństwo! - szepnął. - Ale rozumiem, dlaczego padrone uznał pomysł za pełen wdzięku.

- A pan?

- W życiu, jak i w śmierci, jestem dłużny tylko jemu. Bez padrone byłem i jestem niczym. Wspomniałem o tym, prawda?

- Tak. Był rzeczywiście taki, jak mówiono o nim w Hawanie, prawda?

- Był nieposkromionym złotowłosym Marsem Karaibów, tak wówczas młodym, tak wspinał się. Gdyby Fidel wykorzystał jego geniusz, zamiast skazywać go na wygnanie, Kuba byłaby dzisiaj niewiarygodnie bogatym rajem.

- W jaki sposób odnaleziono wyspę, padrone?

- Odszukał ją niejaki Hawthorne, były oficer wywiadu marynarki wojennej..

Twarz Bajaratt pobladła straszliwie.

- Umrze - powiedziała cicho.

Baj mogła zaakceptować wizytę w Brooklynie tylko dlatego, że odpowiadała przyjętej przez nią strategii. Angelo Capelli i jego żona Rosa okazali się niezwykle przystojną parą i kiedy patrzyło się na nich, uroda młodej aktorki Angel Capell przestawała dziwić.

Skromny barone-cadetto oczarował ich natychmiast, on sam natomiast znalazł się pod urokiem „Salumeria Capelli”, delikatesów utrzymanych w tradycyjnym starym stylu, z małymi stolikami dla tych, którzy mieliby ochotę na miejscu spróbować casa Capelli.

Wszędzie wisiały fotografie Angel - najczęściej były to zdjęcia z seriali telewizyjnych. Młodszy brat aktorki, szesnastolatek nieco niższy od Nicola, ale niemal tak samo przystojny, bardzo szybko zaprzyjaźnił się z barone-cadetto. Pokrojono provolone, prosciutto i salami, pojawił się makaron z sosem pomidorowym według prywatnej receptury Rosy, a także kilka butelek chianti classico.

Zestawiono stoły i wszyscy zasiedli do prawdziwego antipasto misto.

- Widzisz, cara zia, mówiłem ci! - zawołał Dante Paolo po włosku. - Czy to nie lepsze niż rozmowy z tymi nadętymi jegomościami?

- Nasz gospodarz był niepokieszony, bratanku.

- Dlaczego? Czyj tyłek miałbym teraz pocałować? Chyba nie pozostał już ani jeden!

Salwy śmiechu przerwała żartobliwa nagana Bajaratt:

- Ależ, Dante... Podejrzewam jednak, że masz rację.

- Nie całuj niczyjego tyłka! - ryknął Angelo Capelli.

- Tato, proszę, nie wyrażaj się...

- Nie przesadzaj, córko. On jest następcą barona Ravello i pierwszy tak powiedział.

- Twój ojciec ma rację, Angelino... Angel... Tak powiedziałem.

- Jaki miły młody człowiek - odezwała się Rosa. - Taki naturalny i rzeczowy.

- A czemuż miałbym być inny, signora Capelli? - zawołał wylewnie Nicolo. - Nie żądałem od losu, aby się urodzić z tytułem.

Po prostu tak się zdarzyło.. O moja mamó, tak się zdarzyło!

Znowu rozległa się salwa śmiechu i bratanie się z arystokracją osiągnęło apogeum. W tej samej chwili rozległo się stukanie do zamkniętych drzwi delikatesów. Baj oznajmiła po angielsku.

- Proszę mi wybaczyć, famiglia Capelli, ale mój siostrzeniec tak bardzo chciał upamiętnić ten wieczór, że poprosił mnie o zamówienie fotografa, by wykonał kilka zdjęć. Jeżeli państwo sobie tego nie życzą; natychmiast go odeślę.

- Nie życzymy? - zawołał ojciec. - Przecież to dla nas nieoczekiwany zaszczyt. Synu, wpuść tego człowieka, szybko!

Po zamówieniu w recepcji limuzyny na następny rano Bajaratt przeszła przez hol, kierując się do automatów telefonicznych.

Wyjęła z torebki kawałek papieru, wybrała numer hotelu „Plaza” i poprosiła o połączenie z apartamentem 9B.

- Słucham? - odezwał się męski głos.

- Panie van Nostrand, to ja.

- Nie dzwoni pani ze swojego pokoju, prawda?

- Sądzę, że to zbędne pytanie, ale oczywiście, że nie. Jestem w holu.

- Proszę mi podać numer, zadzwonię z dołu.

Baj spełniła jego polecenie i siedem minut później automat telefoniczny zadzwonił.

- Czy to było konieczne? - zapytała, podnosząc słuchawkę, zanim skończył się pierwszy sygnał.

- Sądzę, że to zbędne pytanie - odparł van Nostrand ze śmiechem - ale oczywiście, że tak. Powszechnie wiadomo, że jestem zaufanym człowiekiem Departamentu Stanu, toteż wiele osób niezwykle interesuje się moimi rozmowami. Telefonistkę hotelową łatwo można przekupić. Koszty są minimalne, a zyski często wręcz imponujące.

- Szpiegostwo?

- Obecnie rzadko ma się z nim tu do czynienia, częściej w samym Waszyngtonie. Tu natomiast uprawia się tak zwane polowanie na przecieki. Ale dosyć już o moich może przesadnych środkach ostrożności. Czy koperta była nie naruszona?

- Owszem. Obejrzałam ją przez szkło powiększające pod najostrzejszym światłem.

- Doskonale. Nie muszę powtarzać, że o ile tylko to możliwe, należy telefonować z automatów. Nie jest to absolutnie konieczne, ale pożądane, gdy prowadzi się więcej niż jedną rozmowę. Nie lubimy powtarzających się wzorów.

- Nie musi mi pan tego powtarzać - przerwała mu Bajaratt. - Ponieważ jednak, jak to pan określił, ma pan ściśle więzi z przedstawicielami rządu, czy mogłabym prosić o zdobycie informacji, gdzie znajduje się obecnie były pracownik wywiadu marynarki wojennej Hawthorne?

- Wolałbym, żeby pozostawiła go pani mnie. Znając pani zamiary, sądzą, że polowanie na niego może zagrozić pani akcji... i współpracownikom.

- Jest dla ciebie za sprytny, staruszk.

- Brzmi to tak, jakby go pani znała...

- Znam jego reputację. Był najlepszy w Amsterdamie... On i jego żona.

- Bardzo ciekawe. Przypadkiem wiem, że tej informacji brak w jego aktach.

- Ja również mam swoje źródła, signor van Nostrand.

- Nawet padrone o tym nie wiedział i nie miałem okazji mu powiedzieć. Niezwykle interesujące... Chcę jednak zwrócić uwagę, moja droga Baj, że chociaż jestem taki stary, dysponuję tysiąckroć większymi możliwościami, jeśli chodzi o „czarne” akcje.

- Nie rozumiem!

- O tak, wiem! - przerwał jej z nagłą wściekłością zaufany

Departamentu Stanu. - Może go pani nazywać swoim jedynym prawdziwym ojcem, ale dla mnie był całym życiem!

- Słucham?

- Słyszała mnie pani dobrze! - odparł chłodno van Nostrand. - Przez trzydzieści lat dzieliliśmy wszystko, wszystko.

Hawana, Rio, Buenos Aires- dwa życia w jednym, choć oczywiście to on był panem i władcą. Dopóki dziesięć lat temu nie postawiono mu diagnozy... Wtedy odesłał mnie, abym mu służył w innych przedsięwzięciach.

- Nie miałam pojęcia...

- W takim razie proszę mi pozwolić zadać jedno pytanie, młoda damo. W czasie tych dwóch lat, które spędziła pani na wyspie, czy widziała tam pani jakąś inną kobietę oprócz owej czarnej Amazonki, Hectry?

- O mój Boże.

- Czy to panią szokuje?

- Nie w sensie moralnym. Po prostu takie przypuszczenie nigdy nie przyszło mi to do głowy.

- Nikomu nie przyszło. Mówiono o nas: Mars i Neptun. Jeden władał całymi Karaibami w jawny sposób, drugi pozostawał w cieniu i podpowiadał, uczył kurtuazji i subtelności, które zawdzięczał wykształceniu... A teraz, zrozum mnie, Baj! Ten Hawthorne musi być mój! Nikt inny nie może go zabić!

Limuzyna jeździła po Manhattanie ze wschodu na zachód, z południa na północ, od gmachu Narodów Zjednoczonych do studia telewizyjnego nad rzeką Hudson, od Battery Park do Muzeum

Historii Naturalnej. Każdy nowy widok zachwycał „Dante Paola” ku niezmiernej radości Angel Capell, której uroczą obecność natychmiast otwierała wszystkie drzwi i zapewniała przewodników.

I w jakiś tajemniczy sposób wszędzie pojawiali się fotoreporterzy. Nie dziwiło to przyzwyczajonej do zainteresowania jej osobą Angel, która wciąż powtarzała swemu

towarzyszowi: Anche i paparazzi devono vivere - oni również muszą z czegoś żyć. Ani jednak młoda gwiazda telewizji, ani Nicolo nie zauważyli, że nie zrobiono ani jednej fotografii hrabinie. Był to z góry uzgodniony warunek postawiony przez nią w zamian za udostępnienie rozkładu jazdy limuzyny.

Na lunchu w „Four Seasons” na pięćdziesiątej drugiej ulicy przywitali ich niezwykle uprzejmi właściciele, którzy wręczyli młodej parze specjalność restauracji - słynny „aksamitny” tort czekoladowy, z białym napisem witającym przystojnego barone-cadetto i jego piękną towarzyszkę, będącą amerykańskim skarbem narodowym.

Kiedy młodzi ludzie zajmowali się drugą porcją tortu i kawą, do rozmowy wtrąciła się hrabina:

- Może powinniśmy już wrócić do limuzyny - zaproponowała. - Obiecałam Dantemu, że obejrzymy jeszcze cztery miejsca.

- W takim razie poproszę kelnera, żeby włożył tort do pudełka.

Damy go szoferowi.

- Jesteś bardzo troskliwa, Angelino.

Na klatce schodowej Baj zwolniła nieco kroku, ponieważ koło szatni znajdowali się trzej fotoreporterzy. Wykonali swoje zadanie, robiąc zdjęcia uśmiechającej się do siebie parze.

Doskonale.

THE NEW YORK TIMES

/Dział gospodarczy/

BROOKLYN, 28 sierpnia. Dante Paolo, barone-cadetto di Ravello, który występuje w imieniu swojego niezwykle bogatego ojca, zaprzyjaźnił się z Angel Capell, jedną ulubionych gwiazd telewizyjnych, szczególnie znaną z serialu Zemsta w siodle. Na zamieszczonych obok fotografiach widzimy pannę Capell, której prawdziwe nazwisko brzmi

Angelina Capelli i która płynnie mówi po włosku, w towarzystwie przyszłego barona i jej rodziny w Brooklynie. Otrzymaliśmy wiadomość, że liczne przedsiębiorstwa w trzech sąsiadujących ze sobą stanach gwałtownie poszukują pracowników wyższego szczebla kierowniczego, którzy władają językiem włoskim.

THE NEW YORK DAILY NEWS

Włoskie książętko i amerykańska ulubienica parą?

Inne fotografie wewnątrz. Czyżby błyskawiczne zaloty?

THE NATIONAL ENQUIRER

Czy Anioł Ameryki jest w ciąży?

Kto wie? Ale są czymś więcej niż „przyjaciółmi”!

To obrzydliwe! - wrzasnął Nicolo. Z gazetą w ręku chodził wściekle po pokoju hotelowym. - Jestem taki zawstydzony! Co ja jej teraz powiem?

- Chwilowo nic, Nico. Właśnie jest w samolocie do Kalifornii.

Zostawiła ci swój numer telefonu, będziesz więc mógł do niej zadzwonić.

- Pomyśli, że jestem potworem!

- Nie sądzę. Podejrzewam, że jest w tych sprawach bardziej doświadczona i nie bierze takich informacji poważnie.

- Ale skąd się wzięli ci fotoreporterzy? Skąd wiedzieli, gdzie będziemy?

- Sama ci odpowiedziała, mój przystojny młodzieńcze. Paparazzi też muszą zarabiać na życie, doskonale to rozumie. Być może jedynie z wrodzonej skromności nie uprzedziła cię, jak bardzo jest znana... Oczywiście, powinnam była okazać więcej rozsądku.

Baj wyszła z windy do holu hotelowego i podeszła do automatów telefonicznych. Z pamięci wybrała właściwy numer i połączyła się z van Nostrandem.

- No cóż, młody człowiek i jego przyjaciółka rzeczywiście znaleźli się we wszystkich gazetach - oznajmił. - Dobry Boże, cóż za popularność - niemal taka jak Grace i Rainiera! Oczywiście, amerykańska publiczność to uwielbia, przecież tak wyglądają jej marzenia.

- Wobec tego osiągnęłam swój cel. Czy informacja w Waszyngtonie jest wystarczająca?

- Wystarczająca? Ta para jest w każdej gazecie - od „Washington Post” i „Timesa” po byle szmatę w supermarkecie! Aha, powinienem jeszcze dodać, że ponieważ w kronikach towarzyskich wspomniano, iż przebywałem właśnie w Nowym Jorku, otrzymałem liczne telefony od elity z Beltway z pytaniami, czy znam młodego barona, a właściwie, czy znam jego ojca.

- I co pan odpowiedział?

- Bez komentarzy. Co oczywiście wystarcza za cały komentarz, jako że bliskich przyjaźni w tym mieście się nie komentuje, chyba że są ku temu powody. Jak na razie notowania w sferach wpływów nie są zbyt wysokie, ale to się poprawi. Prawdę mówiąc, nie w tym rzecz.

- W takim razie pora przenieść się do Waszyngtonu. Dyskretnie.

- Jak pani sobie życzy.

- Czy może nam pan to ułatwić?

- W jakim sensie? Oczywiście, mogę po was wysłać samolot.

- Myślałam o pańskiej wielkiej posiadłości; tej, którą zawdzięcza pan Hawanie.

- Wykluczone - odparł ostro van Nostrand. - Mam własny plan zajęć. Spodziewam się w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin gościć byłego komandora Tyrella Hawthorne'a. Dwanaście godzin później pani i chłopiec możecie robić w tym cholernym miejscu wszystko, co się wam podoba. Mnie już tam nie będzie.

ROZDZIAŁ 14

Tyrell Hawthorne, ubrany w lekką kurtkę safari z wieloma kieszeniami i spodnie khaki, które kupił na lotnisku, popatrzył na swoją bielejącą w świetle księżyca, zabandażowaną rękę. Dzień wcześniej opatrzyła go major Catherine Neilsen na wyspie Virgin

Gorda. Obecnie znajdowali się na otwartym, oświetlonym świecami podwórku hotelu „San Juan” na Isla Verde w Porto Rico. Czekali oboje, aż porucznik A. J. Poole wróci z odprawy w delegaturze wywiadu marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, w której

Tyrell odmówił uczestnictwa. Ujął to w ten sposób: „Jeżeli nie będę w niej uczestniczył, ich głupoty nie będą mnie dotyczyły. Lepiej niech Jackson będzie łącznikiem. Zawsze mogę go zastrzelić i powiedzieć, że nic do mnie nie dotarło”. Na stoliku pojawił się trzeci kieliszek chablis. Cathy w dalszym ciągu zajmowała się wielką szklanką mrożonej herbaty.

- Dlaczego uważałam, że wolisz mocniejsze trunki? - zapytała, gestem głowy wskazując wino.

- Ponieważ rzeczywiście wolałem, dopóki się nie zorientowałem, że mi nie służą. Czy wystarczy?

- Nie próbowałam być wścibska...

- Gdzie on, u diabła, się podział? Ta cholerna odprawa nie powinna trwać dłużej niż dziesięć minut, jeżeli powiedział im to, co chciałem!

- Potrzebujesz ich, Tye. Nie możesz działać sam, wiesz o tym.

- Zdobyłem od naczelnego mechanika portu lotniczego nazwisko pilota Cooke'a i Ardisonne'a. I w tej chwili jest to wszystko, czego potrzebuję. Alfred Simon, skurwysyn!

- Daj spokój, sam mówiłeś, że tylko go wynajęto do tej roboty. Nazwałeś go „zewnątrznym iksem”, chociaż nie mam zielonego pojęcia, co to może znaczyć.

- Proste. Ktoś, kogo się wynajmuje, aby wykonał określone zadanie, ale kto nie wchodzi w skład grupy... W gruncie rzeczy nie musi nic wiedzieć o zleceniodawcy.

- W takim razie co nam da jego nazwisko?

- Jeżeli nie opuściły mnie skromne umiejętności, jakie miałam kiedyś, istnieje szansa, że zdołam przeniknąć do tej grupy.

- Osobiście?

- Nie jestem idiotą, Cathy, a pomysł zostania martwym bohaterem nigdy mnie specjalnie nie pociągał. Dlatego gdy nadejdzie pora, postaram się o maksymalne wsparcie,

jakie uda mi się zorganizować. Ale zanim to nastąpi, szybkość moich działań zgodnych i niezgodnych z obowiązującymi regułami - będzie większa, jeżeli pozostanę sam.

- Co to znaczy?

- Nikt nie zdoła mi powiedzieć, że powinienem, albo nie powinienem, czegoś robić lub nie, ponieważ będzie to miało wpływ na coś, o czym nie mogę wiedzieć.

- Brzmi to tak, jakbyś wyłączał ze sprawy mnie i Jacksona.

- O nie, majorze, czuj się zmobilizowana do chwili, kiedy się zaczniesz robić pochyło. Podobnie twój świrięty geniusz, chyba że się na mnie wypnie. Bazę operacyjną muszę mieć obsadzoną przez ludzi, którym ufam.

- Dziękuję ci, a skoro już przy tym jesteśmy, dziękuję też za ubranie. Mają tu sympatyczne sklepy.

- Należy przyznać, że w tym jednym Henry Stevens jest dobry. Przesłała pieniądze, jakby dysponował kodami do skarbców w Ford Knox. Pewnie zresztą je ma...

- Zachowuję wszystkie kwity...

- Spal je. Są wyjątkowo niepożądanyimi śladami. Czy naprawdę nie macie o niczym pojęcia, majorze Neilsen? Byłby z ciebie marny oficer operacyjny. Nigdy nie należy pozostawiać nadwyżek funduszy dyspozycyjnych. To po prostu nieetyczne.

- Postaram się zapamiętać, komandorze.

- Poole powiedziała, że wyglądasz bajecznie.

- O, bardzo dziękuję, sir. Te ubranka wybrał właśnie on.

- Doskonale wiesz, że ten dzieciak może się stać prawdziwą zmorą. Powinniśmy go zamknąć w jednej celi z moim młodszym bratem. Dopiero by sobie te dwa szczeniaki z Mensy rodem gotowały nawzajem mózgi!

- Skoro już o wilku mowa, oto mamy wielkiego porucznika

Poole'a. Rozgląda się za nami.

Andrew Jackson Poole V odsunął krzesło i usiadł, wyprostowany.

- Następnym razem sam sobie idź na odprawę z tymi młotami! - szepnął ostro. - Te dupki nie potrafią sklecić prostego zdania oznajmującego.

- To się nazywa zaciemnianiem obrazu, poruczniku oznajmił z uśmiechem Hawthorne.

- Wcale nie mówią tego, co słyszysz, a ty wyciągasz wnioski, których później mogą się całkowicie wyprzeć. W ten sposób, jeżeli coś się rypnie, będzie to twoja wina, nie ich... Czy przekazałeś im moją informację?

- Och, nie mieli z tym najmniejszego problemu. Ruszą za twoim pilotem iks czy kim on tam jest, ale pojawił się nowy szczegół, który może sprawić, że ten typ okaże się niepotrzebny.

- A to dlaczego?

- Jakaś wielka szucha z Waszyngtonu ma dla ciebie informację i jestem pewien jak tego, że aligator żre mięso, iż chodzi tu o coś związanego z obecną sytuacją.

- Niech mu będzie.

- Ale ten szczegół zawiera jeszcze jeden szczegółik, Tye. Facet ominął twojego starego kumpla Stevensa i spadł tu dzięki sekretarzowi obrony, który cię namierzył. Stevensa pozostawiono całkowicie na uboczu.

- Co?

- Będzie mówił tylko z tobą.

- Dlaczego? Kim on jest?

Poole sięgnął do wewnętrznej kieszeni kupionego niedawno, bardzo drogiego granatowego blezera i wyjął urzędową kopertę z szeroką czerwoną taśmą zabezpieczającą pośrodku.

- Jeżeli będziesz miał ochotę, możesz nam coś powiedzieć oznajmił, wręczając ją Hawthorne'owi. - Jest przeznaczona dla ciebie. Aha, powinienem wyjaśnić, że szef wywiadu w bazie taki misio o szeroko otwartych oczkach, który wziął mnie do swojego gabinetu i oświadczył, że otrzymał polecenie trzymania gęby na kłódkę - był przerażony jak cholera. Stwierdził, że spodziewał się tylko ciebie, a kiedy mu wyjaśniłem, że jesteś nieosiągalny, uznał, że nie może mi przekazać tej koperty. Wtedy wzruszyłem ramionami i powiedziałem: „Nie ma sprawy, w takim razie jej nie dostanie.” No to on postanowił, że wyśle mnie pod eskortą do miejsca, w którym się znajdujemy, i że towarzyszący mi człowiek musi zarejestrować, jak osobiście przekazuję ci tę przesyłkę - zapewne za pomocą wysokiej jakości aparatu fotograficznego.

- Pieprzone zabawy przedszkolaków - mruknął Tyrell.

- To ten chorąży, zerkający znad doniczki, tam z lewej - rzekła Cathy. Tye i Jackson odwrócili się. Głowa za rządkiem orchidei zniknęła i w kierunku wyjścia pomknęła biała koszula z naramiennikami. - Masz piłkę na swoim korcie, komandorze.

- Zobaczmy, co to takiego - oznajmił Tye, zrywając taśmę i otwierając kopertę. Wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru i po przeczytaniu jej treści zamknął oczy. - Co jeszcze pozostało? wyszeptał ledwo słyszalnie. Upuścił kartkę na stół i siedział, patrząc nie widzącymi oczyma przed siebie.

- Czy mogę? - zapytała Catherine i podniosła papier. Nie odwróciła go jednak i nie zaczęła czytać, dopóki nie przekonała się, że Hawthorne nie wyraża sprzeciwu.

Stała się rzecz straszna, którą należy naprawić. Oczywiście, mam na myśli Amsterdam. Nie może pan wiedzieć, że istniał związek między pańską żoną a doliną Bekaa. Poświęcono ją w imię strategii, która być może jest obecnie wprowadzana w życie. To, co mam panu do powiedzenia, może być przekazane wyłącznie w cztery oczy. Wynika to stąd, że może pan wiedzieć więcej, niż pan przypuszcza, a chociaż należy liczyć się z ewentualnością zaistnienia kryzysu, tylko pan jest w stanie postanowić, czy będzie działać na podstawie tej informacji.

Ma pan prawo do takiej decyzji.

Zgodnie z założeniami, otrzyma pan ten dokument w czasie mojej nieobecności, ale powrócę jutro o trzeciej po południu. Proszę porozumieć się ze mną telefonicznie pod podanym niżej numerem, a wtedy zostaną poczynione kroki w celu przewiezienia pana do mojego domu na wsi.

Szczerze panu oddany

N.v.N.

W dolnym lewym rogu znajdował się numer telefonu. Poza tym nie było nic, co pozwalałoby zidentyfikować autora napisanego odręcznie listu. Pod inicjałami widniało postscriptum.

Nienawidzę melodramatycznych akcentów, ale proszę zniszczyć to pismo po przepisaniu numeru mojego prywatnego telefonu.

- Co takiego wie? - zapytał Hawthorne cichym, przestraszonym głosem. Pytanie to kierował w równym stopniu do dwójki towarzyszy, jak i do siebie samego. - Kim on jest?

- Jeżeli szycha z bazy się orientuje, to nie mówi. Co by znaczyło, że nie wie, boby się wygadał.

- Skąd masz tę pewność? - spytała Cathy.

- Powiedziałem mu, że mój dowódca nie zawraca sobie głowy nieproszonymi informacjami, których nie zatwierdzili magicy z marynarki w Waszyngtonie, a wtedy on wypaplał o sekretarzu obrony i otaczającej całą sprawę tajemnicy.

- Rzeczywiście, jesteś cwany facet, Jackson - przyznał szczerze

Tyrell.

- Jestem również w wystarczającym stopniu wojskowym, żeby mnie trochę brała cholera, kiedy widzę, jak wyraźnie określony łańcuch dowodzenia jest omijany przez cywilne tajne łamane przez poufne pieprzenie w bambus. W takich sytuacjach czuję szczura, który

posługuje się zabezpieczonymi kanałami, aby podłożyć świnie innemu wojskowemu. Mogę ci podać wszystkie traktujące o tym rozdziały i wersy, od czasów Pearl Harbor poczynając.

- W tym wypadku musi być bardzo dobry powód, poruczniku.

W Amsterdamie zamordowano moją żonę.

- Wiem o tym, ale dlaczego w takim razie ten cwaniak przez pięć lat trzymał gębę na kłódkę, jeżeli miał ci coś do powiedzenia?

I dlaczego teraz?

- Wyjaśnił to przecież, sam zresztą na to wpadłeś. Uważa, że istnieje związek z obecną sytuacją. Stwierdził, iż moją żonę poświęcono.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, ale widzieliśmy już, co te skurwysyny potrafią, wiemy, co z r o b i l i, wiemy o ich kontaktach w Waszyngtonie, Paryżu i Londynie... A powiedziałaś nam wyraźnie, że to tylko wierzchołek góry lodowej, prawda?

- Tak, prawda.

- Czyli że znany nam świat może być w cholernie niebezpiecznej sytuacji?

- To właśnie staram się wam uświadomić.

- W takim razie rzeczywiście nie możesz stawać okoniem tej wielkiej osobie, razem z jej bezpośrednimi kontaktami z prezydentem Stanów Zjednoczonych i wszystkimi narodowymi agencjami bezpieczeństwa, które ten facet ma podłączone do swojego biurka.

- Nie jestem pewien...

- No to pomyśl! Daje ci nawet wybór - działać czy też nie na podstawie informacji, którą -jak uważa - znasz. Biorąc wszystko pod uwagę, jak nazwałbyś taki sposób rozumowania? Z jednej strony niezbyt ceniony był komandor podporucznik marynarki wojennej, a z drugiej życie najpotężniejszego światowego przywódcy?

Pomyśl, Tye!

- Nie mogę - wymamrotał Hawthorne. Ręce mu dygotały, oczy biegały niespokojnie. - Po prostu nie mogę... Była moją żoną.

- Daj spokój, komandorze. Nie ma powodu płakać!

- Jackson, przestań!

- Ani myślę, Cathy. Ta cała sprawa śmierdzi!

- Muszę wiedzieć... - Głos Tyrella załamał się i bolesne wspomnienia zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Znowu był całkowicie opanowany. - Zorientujemy się jutro, prawda? - powiedział, prostując się w krześle jak porucznik Poole. - Zanim to jednak nastąpi, mam zamiar poszukać pilota. Jest w starym

San Juan.

- Musiało to być dla ciebie bardzo trudne. - Neilsen położyła dłoń na rękę Tyrella. - Jesteś twardy facet.

- Mylisz się - odparł, spoglądając na nią zmęczonymi oczyma. - Dopóki nie porozmawiam z człowiekiem, który napisał tę „informację”, będę największym tchórzem, jakiego kiedykolwiek widziałas.

- No to ruszajmy po pilota - zaproponował spokojnie Poole.

- Jackson, proszę...

- Wiem, co robię, Cath. Nie warto siedzieć i czekać, żeby bimber sam się zrobił. Dalej, komandorze, ruszamy do

San Juan.

- Nie. Zostaniesz z Cathy. Idę sam.

- Nie ma mowy, s i r! - Porucznik wstał i wyprostował się na baczność.

- Coś ty powiedział? - Tyrell zamrugał oczyma i popatrzył w górę na młodego kolegę. Był wyraźnie spięty i zły. -• Oświadczyłem, że idę sam. Słyszałeś?

- Tak jest, sir - odparł wojskowo bezosobowym tonem

Poole. - Jednakże korzystam z pozostawionej młodszemu oficerowi możliwości działania, jeżeli według jego oceny przełożony potrzebuje pomocy, a udzielenie jej w żaden sposób nie zakłóci spełniania przezeń obowiązków służbowych. Zbiór regulaminów

Sił Powietrznych stwierdza to jednoznacznie w artykule siódmym paragraf...

- Zamknij się!

- Nie sprzeczasz się z nim - poprosiła łagodnie Catherine, ściskając dłoń Hawthorne'a. - Aby ci udowodnić, że nie masz racji, będzie cytował wszystkie istniejące regulaminy. Robił to ze mną mnóstwo razy.

Tyrell wstał od stołu.

- Dobra, wygrałeś, poruczniku. Ruszamy. Do starego San Juan.

- Czy mogę zaproponować, sir, abyśmy najpierw wstąpili do męskiej toalety?

- Nie potrzebuję. Zaczekam na zewnątrz.

- Pozwalam sobie zasugerować, sir, aby zechciał się pan do mnie przyłączyć.

- Po co?

- Moja odpowiedź wyjaśni panu, dlaczego spotkanie z pańskimi przyjaciółmi z wywiadu marynarki trwało tak długo. Stacjonując na Florydzie, dość dobrze poznałem San Juan. Zajęło mi nieco czasu odnalezienie potrzebnych sklepów, a zwłaszcza takiego, który chciałby współpracować. Mój anioł stróż - chorąży, był zbyt przerażony, żeby się sprzeciwić.

- O czym, do cholery, mówisz?

- Ponieważ musieliśmy zostawić nasze przerośnięte pistolety na

Gordzie, pozwoliłem sobie nabyć dla nas trochę broni. Doszedłem do wniosku, że myśli pan wciąż o spotkaniu z pilotem, a ja w końcu dość dobrze znam stare San Juan. Walther PK, osiem nabojów w magazynku, trzy magazynki na osobę. Dzięki swojej sześćcioipółcentymetrowej lufie bez trudu mieści się w kieszeni marynarki.

- To on zna się również na broni? - zapytał Hawthorne, spoglądając na Catherine.

- Nie przypuszczam, aby choć raz wystrzelił naprawdę odrzekła. - Ma jednak odpowiednik stopnia magistra z analizy broni.

- A jak sobie radzisz z chirurgią mózgu? - atakował

Poole'a Tye.

- Na razie dotarłem tylko do lobotomii, ale człowiek może- się zbytnio upaprać przy zabiegu... Słuchaj, nie sądzę, żeby było rozsądnie wręczać ci spluwę i trzy magazynki na oczach wszystkich.

Szczerze mówiąc, jestem zbyt wysoki i przystojny, by ludzie nie zwrócili na mnie uwagi.

- Można was uznać za wzór skromności, poruczniku.

- Do licha, ty też nieźle wyglądasz, mimo że jesteś taki dość dojrzały.

- Pozostań w apartamencie, Cathy - powiedział Tyrell.

- Kontaktuj się ze mną co pół godziny, nalegam na to.

- Jeżeli będziemy mogli, majorze.

Aszkelon! - zawołał głos w słuchawce automatu telefonicznego w waszyngtońskim hotelu „Hay-Adams”.

- Jestem tu, Jerozolimo - odparła Bajaratt. - Co się stało?

- Mossad zamknął naszego głównego człowieka!

- W jaki sposób?

- Było przyjęcie w kibucu Irszun, koło TelAwiwu. Parę osób mniej pijanych niż reszta nakryło go, jak gwałcił jakąś sabrę.

- Idiota!

- Zamknęli go w areszcie w kibucu i czekają na przełożonych z Tel Awiwu.

- Czy możesz się do niego dostać?

- Mam tu Żyda, którego moglibyśmy przekupić. Jesteśmy go pewni.

- W takim razie zrób z nim, co należy. Zabij. Nie możemy dopuścić, żeby zaczęli go przesłuchiwać przy użyciu narkotyków.

- Zrobione. Pamiętajmy Aszkelon.

- Pamiętajmy - odpowiedziała Bajaratt, odkładając słuchawkę.

Nils van Nostrand wszedł do gabinetu w domu znajdującym się w jego ogromnej posiadłości w Fairfax, w stanie Wirginia. Wielki pokój był ogołocony, wszystko bowiem, już zapakowane, czekało na przetransportowanie do magazynów w Lizbonie, w Portugalii.

Stamtąd meble i inne sprzęty miały być po kryjomu przewiezione do willi położonej na brzegu Jeziora Genewskiego w Szwajcarii.

Dom w Fairfax, pozostała część jego wyposażenia, ziemia, stajnie, konie i rozmaite zwierzęta - domowe i dziko żyjące - zostały w tajemnicy sprzedane saudyjskiemu szejkowi, który miał wejść w posiadanie całości za trzydzieści dni. Van Nostrandowi ten czas wystarczał - na dobrą sprawę potrzebował go nawet mniej.

Podszedł do biurka, podniósł słuchawkę czerwonego „bezpiecznego” telefonu i wybrał numer.

- Scorpio Trzy - odezwał się głos w słuchawce.

- Tu S-Jeden. Będę mówił krótko. Nadszedł mój czas. Wycofuję się.

- Mój Boże, to straszne! Był pan dla nas wszystkich opoką.

- Takie rzeczy się zdarzają. Wiem, kiedy trzeba odejść. Dziś w nocy, zanim zniknę, zaprogramuję ten telefon na połączenie z panem i prześlę wiadomość naszym Dobroczyńcom. Pewnego dnia wezwą pana, ponieważ jest pan obecnie przed nimi odpowiedzialny. Jeżeli zadzwoni kobieta, która przedstawi się jako

Baj, dajcie jej wszystko, czego będzie potrzebowała. To rozkaz padrone.

- Rozumiem. Czy odezwie się pan kiedyś?

- Mówiąc szczerze, wątpię. Mam do wykonania ostatnie zadanie, a potem całkowicie odsuwam się od spraw. Scorpio

Dwa jest zdolny i ma ogromne doświadczenie, ale brak mu pańskiego zaplecza i wyrafinowania. Nie nadawałby się na to stanowisko.

- Sądzę, że przede wszystkim chodzi o moje biuro prawne w Waszyngtonie.

- Tak czy owak, jutro rano zostanie pan Scorpionem Jeden.

- Jest to zaszczyt, który wezmę ze sobą do grobu.

- Mam nadzieję, że niezbyt szybko.

Bajaratt wyszła z taksówki, dając Nicowi znak, żeby się pospieszył.

Młody człowiek podszedł do niej, kiedy płaciła kierowcy, podając mu pieniądze przez okno.

- Dziękuję pani, to bardzo miłe z pani strony. Hej, czy to nie jest ten młody człowiek, o którym wszędzie piszą? Z Włoch?

- Obawiam się że tak, signore.

- Niech ja tylko powiem o tym żonie. Jest Włoszką. Przyniosła ze „Shoppers World” gazetę ze zdjęciem tej aktorki, Angel Capell, i jego królewskiej wysokości.

- Są tylko dobrymi przyjaciółmi...

- Nie widzę w tym nic złego, proszę pani. Jest wspaniałą dziewczyną, wszyscy ją uwielbiają, a te ilustrowane pisma to śmiecie!

- Angel rzeczywiście jest czarująca. Dziękuję, signore.

- To dla mnie przyjemność.

- Chodźmy, Dante - Bajaratt wzięła Nicola pod ramię i weszła razem z nim do modnej kawiarni w Georgetown.

Przybyły na lunch tłum gości składał się z ubranych w jedwabie dam w podeszłym wieku, młodszych kobiet w bluzach od Armaniego i spodniach Calvina Kleina, jak również ze zwykłej kolekcji bogatych, wybijających się „młodo Turków” - nowo mianowanych urzędników, na których obliczach malowało się samozadowolenie i w końcu z kilku zapracowanych kongresmanów, niecierpliwie zerkających na zegarki.

- Pamiętaj, Nico - oznajmiła Baj w chwili, gdy maitre d'hotel witał ich unizonymi gestami i jeszcze bardziej służalczymi słowami. - Jest senatorem, którego spotkałeś w Palm Beach, prawnikiem ze stanu Michigan. Nazywa się Nesbitt.

Po ponownych prezentacjach i zamówieniu mrożonej kawy senator z Michigan powiedział:

- Nigdy jeszcze tu nie byłem, ale jeden z moich pracowników zna ten lokal doskonale. Najwidoczniej jest bardzo popularny.

- To był wyłącznie taki kaprys, signore. Wspomniała o nim nasza gospodyni na spotkaniu w Palm Beach i dlatego zaproponowałam, żebyśmy się tutaj spotkali.

- No tak, to do niej podobne. - Senator rozejrzał się wokoło rozbawionym wzrokiem. - Czy otrzymaliście państwo materiały, które przesałem wam ubiegłego wieczoru do hotelu?

- O tak, oczywiście, i przestudiowałam je razem z baronecadetto... Vero, Dante? Le care di ieri sera, ti ricordi?

- Certo, zia, altro che.

- On i jego ojciec, pan baron, są niezwykle zainteresowani, ale pojawiły się pewne pytania.

- To zrozumiałe. Studium jest dość szczegółowym przeglądem możliwości inwestycyjnych, a nie ich pogłębioną analizą. Jeżeli jednak jesteście państwo zainteresowani, moi pracownicy przygotowują dodatkowe dane.

- Naturalnie, będą one niezbędne przed poważnymi negocjacjami, ale czy najpierw moglibyśmy porozmawiać o - jak to pan nazwał - „przełądzie”?

- O czym tylko sobie pani życzy. A jakie kwestie konkretnie państwa interesują?

- Incentivi, signore... Jak powiadacie - „bodźce”. Możemy mówić o setkach milionów dolarów. Rozsądne ryzyko to jedna rzecz - i baron nigdy nie cofał się przed jego podejmowaniem ale aby zapewnić sprawiedliwy udział, potrzebny też będzie pewien system kontroli, nieprawdaż?

- Ponownie pytam, w jakich konkretnych kwestiach, hrabino? Kontrola to dość ostre sformułowanie w naszej ekonomii.

- Obszary bezrobocia, jak sądzę, są jeszcze bardziej ostrym. Ale być może „kontrola” jest zbyt wąskim pojęciem.

Powiedzmy zatem „dokumenty wzajemnego zrozumienia”?

- Na przykład jakie?

- Szczerze mówiąc, byłoby niezmiernie kłopotliwe, gdyby przy pierwszych oznakach finansowej poprawy jakaś organizacja związkowa zaczęła stawiać wygórowane żądania...

- Problem jest łatwy do rozwiązania - przerwał jej Nesbitt. Moi pracownicy zarówno tutaj, jak i w Lansing wykonali pod tym względem pewne, można by rzec, misjonarskie działania, a ja sam również przeprowadziłem wiele rozmów telefonicznych. Związki stały się o wiele bardziej elastyczne w traktowaniu problemów ekonomicznych. Znaczna liczba ich członków pozostawała bez pracy przez dwa-trzy lata. Nie zamierzają wyciskać na siłę jajek ze złotoonośnej kury. Zapytajcie Japończyków, którzy mają fabryki w Pensylwanii, obu Karolinach i Bóg raczy wiedzieć, gdzie jeszcze.

- Bardzo nas pan uspokoił, signore.

- I otrzymacie stosowne zapewnienie na piśmie, z odniesieniem wszystkiego do wydajności pracy i amortyzacji inwestycji. Co jeszcze?

- Czyż kiedy przemysłowcy mają do czynienia z rządem, nie powstaje zawsze ten sam problem - tak w waszym, jak i naszym kraju?

- Chodzi o podatki? - zapytał senator i na jego czole pojawiły się zmarszczki niezadowolenia. - Są nakładane sprawiedliwie, hrabino...

- Nie, nie, signore. Żle mnie pan zrozumiał. Jak powiadacie wy, Amerykanie, śmierć i podatki są nieuniknione... Chodzi mi o to, co wielu włoskim przedsiębiorcom wydaje się

wyjątkowym, wręcz nadmiernym ingerowaniem rządu w sferę gospodarki. Pomijam tu oczywiście sprawy bezpieczeństwa i uczciwości, ale docierały do nas przerażające wieści o przynoszących milionowe straty opóźnieniach wynikających z takich czy innych biurokratycznych procedur. Przepisy lokalne, stanowe i federalne - to słowa, które wciąż słyszeliśmy.

- Pomijając kwestie bezpieczeństwa i problemy uczciwości w takim zakresie, w jakim wymaga tego rynek - odparł z uśmiechem senator. - Władze mojego stanu, zgodnie ze swoimi konstytucyjnymi prerogatywami, zadbają, aby nie było żadnych nie usprawiedliwionych ingerencji. Nie stać nas na inne postępowanie i w poczuciu odpowiedzialności przed moimi wyborcami dam to na piśmie...

- Wspaniale, cudownie... I ostatnia sprawa, signore senatore.

To moja osobista prośba i może pan odmówić bez wahania.

- O co chodzi, pani hrabino?

- Podobnie jak wszyscy wielcy światowi ludzie, mój brat baron nie bez podstaw szczeni się swoimi osiągnięciami oraz rodziną, szczególnie zaś synem, który poświęcił zwykłą, pełną wynikających z jego pozycji przyjemności młodość, aby pomóc ojcu.

- Jest wspaniałym młodym człowiekiem. Czytałem w prasie o jego przyjaźni z tą uroczą aktorką telewizyjną, Angel Capell...

- Ach, Angelina - odezwał się łagodnym głosem Nicolo, akcentując każdą sylabę jej imienia. - Una bellissima ragazza!

- Basta, mio Dante.

- Szczególnie ujmujące były zdjęcia z jej rodziną w delikatesach na Brooklynie. Najwyżej opłacany specjalista od reklamy nie wymyśliłby takiej sytuacji.

- Czysty przypadek... Ale wróćmy do mojej prośby.

- Oczywiście. Duma barona z jego rodziny, a zwłaszcza z tak udanego syna. Co mógłbym zrobić?

- Czy można byłoby zorganizować krótkie prywatne spotkanie

.barone-cadetto i pana prezydenta? Tylko na minutę lub dwie, byśmy mogli się wspólnie sfotografować. Takie zdjęcie sprawiłoby wiele radości baronowi, a ja nie omieszkam powiedzieć bratu, komu to zawdzięczamy.

- Sądzę, że dałoby się to załatwić, chociaż mówiąc absolutnie szczerze, istnieją poważne opory wobec zagranicznych inwestorów...

- Och, doskonale to rozumiem, signore, ja również czytam gazety! Dlatego proszę o krótkie prywatne spotkanie - tylko

Paolo i ja, i tylko dla barona Ravello, bez żadnych publikacji prasowych... Oczywiście, jeżeli pragnę zbyt wiele, natychmiast cofam swoją prośbę i przepraszam, że w ogóle z nią wystąpiłam.

- Chwileczkę, pani hrabino - powiedział Nesbitt z namysłem. - Zorganizowanie spotkania zajmie mi parę dni, ale powinno się udać. Młody senator z naszego stanu jest z partii prezydenckiej, a ja poparłem projekt jego ustawy, ponieważ uznałem go za słuszny, choć może mnie to kosztować wiele głosów...

- Nie rozumiem.

- Jest bliskim przyjacielem prezydenta i docenia moje poparcie... Doskonale zdaje sobie również sprawę, czym dla stanu może być wpompowanie do gospodarki pieniędzy barona... I co mogę mu zrobić, jeżeli choć trochę będzie przeszkadzał... Tak, pani hrabino, mogę załatwić to spotkanie.

- Mówi pan zupełnie jak Włoch.

- Machiavelli miał pewne dobre pomysły, droga pani hrabino.

Hawthorne i Poole szli ostrożnie po kocich łbach ulicy w biednej dzielnicy starego San Juan. Nie było tu typowych pułapek na turystów, lecz jedynie miejsca nastawione na obsługę marynarzy, żołnierzy i miłośników cielesnych rozrywek. Świeciły się tylko niektóre lampy uliczne, mniej więcej co czwarta, i w rezultacie na fasadach obdrapanych budynków więcej było mroku niż światła.

Obydwaj mężczyźni zbliżali się właśnie pod adres, gdzie miał się znajdować pilot, który przewoził Cooke'a i Ardisonne'a z Gordy na Porto Rico, kiedy z zaskoczeniem usłyszeli donośne głosy dobiegające od strony starego dwupiętrowego budynku.

- Ta speluna z powodzeniem może zakasować wszystkie na Bourbon Street, komandorze. Co się tam dzieje?

- Najwyraźniej przyjęcie, poruczniku, więc musimy wejść na chama, bo nie otrzymaliśmy zaproszeń.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, sir, abym ja to zrobił?

- Co?

- Wszedł na chama. Moja zdrowa noga może być mocnym atutem w tej sytuacji.

- Może lepiej najpierw zapukajmy i przekonajmy się, co z tego wyniknie - zaproponował Tyrell. I rzeczywiście, przekonali się bardzo szybko. W samym środku drzwi uchyliła się klapka i w otworze pojawiły się mocno wymalowane oczy. Powiedziano nam, żebyśmy tu przyszli - oznajmił uprzejmie

Hawthorne.

- Jak sze nażywacze?

- Smith i Jones, tak mieliśmy powiedzieć.

- Spierdalać mi stąd, gringos! - Klapka zamknęła się z trzaskiem.

- Wierzę, że nogę masz w porządku, Poole.

- A ty masz broń w pogotowiu, Tye?

- Wykonać, poruczniku!

- No to jazda, komandorze! - Poole kopnął drzwi lewą nogą, rozwalając je w drzazgi, i obaj wpadli do środka z bronią gotową do strzału. - Nie ruszać się ani o włos, bo pociągnę za spust! wrzasnął porucznik. - O, kurwa!

Groźba była zupełnie zbędna. Ktoś ogarnięty paniką przewrócił się na magnetofon, zrywając przewody do głośnika. Zapadła nagle ciszę przerwał tupot kilku mężczyzn, którzy - podciągając spodnie - zaczęli zbiegać po schodach i wyskakiwać na ulicę. Podobnej wstydlivosti nie można było natomiast zaobserwować w słabo oświetlonym, pełnym papierosowego dymu saloniku na dole, gdzie większość młodych i niezbyt młodych dam paradowała z nagimi biustami, a ich dolne okrycia stanowiły wyzwanie dla najcieńszych bikini. Był również pewien akcent mocniejszy od ich zawodowego ekshibicjonizmu. Demonstrował go jasnowłosy mężczyzna w średnim wieku, który zdawał się zupełnie nieświadomy panującego wokół chaosu i na umieszczonej w kącie pokoju sofie pracował zajadle biodrami, leżąc na ciemnowłosej kobiecie. Jego partnerka wrzeszczała wniebogłosy, starając się mu wytłumaczyć, że pora skończyć te wyczyny.

- Co...? Co? Zamknij się i dalej...!

-- Może byś raczej wyłączył swoją maszynę i posłuchał, dobra, Simon? - odezwał się Hawthorne, podchodząc do aksamitnej sofy.

- Cześć, dziadku! - ryknął facet, odwracając głowę. Na widok broni w jego zimnych oczach pojawiło się zdziwienie, ale nie lęk.

- Hej, panienki! - wrzasnął Poole, zwracając się nie tylko do kobiet, które znajdowały się w saloniku, ale również do zbiegających po schodach. - Coś mi się wydaje, że powinniście stąd spadać.

Mamy do omówienia pewne prywatne sprawy, które was zupełnie nie dotyczą... Oczywiście, pani także, jeżeli zdoła się pani wydobyć spod tego skurwysyna.

- Gracias señor! Muchas gracias!

- Powiedz przyjaciółkom, żeby znalazły sobie inną pracę! zawołał młody oficer lotnictwa za wybiegającymi na ulicę prostytutkami. - Od czegoś takiego można wyzionąć ducha!

Pokój był już pusty, jeżeli nie liczyć na wpół pijanego pilota, który siedział, owinięty w pasie lśniąca ciemnoczerwoną narzutą.

- Kim, do cholery, jesteście? - zapytał. - Czego chcecie?

- Po pierwsze, chciałbym wiedzieć, skąd się wziąłeś? odparł Tyrell. - Nie jesteś normalny, Simon.

- To nie twój pieprzony interes, dziecińko.

- Lufa w twoim uchu świadczy, że mój, dziecińko.

- Myślisz, że się spietram? Pociągnij spust, dziecińko, zrób mi tę przyjemność.

- Z całą pewnością świr. „Cześć, dziadku...” Byłeś w wojsku?

- Kiedyś, sto lat temu.

- Ja też. Kto cię uziemił?

- A co cię to wzrusza?

- Bo szukam pewnych bardzo brzydkich ludzików. Powiedz mi albo jesteś trup, dziecińko.

- Dobra, dobra, co mnie to, kurwa, obchodzi? Byłem pilotem w Vientiane, latałem w Royal Lao Air...

- Agenda CIA - wtrącił Hawthorne.

- Trafiłeś, stary. Zaczęły się pertraktacje pokojowe i Senat zaczął zadawać pytania, w związku z czym szpiegunie musiały komuś podrzucić cały ten pieprzony bajzel. Sprzedali mi wszystkie sześć samolotów za sto tysięcy, które mi wypłacili jako zaliczkę, a potem skreślili. Mnie, nieletniemu pistoletowi, który wstąpił do lotnictwa, podpisując się nazwiskiem matki, bo starego już dawno pochowałem... Na rany Chrystusa, miałem dopiero osiemnaście lat!

Wskutek awarii i rozbierania na części straciłem wszystkie samoloty oprócz jednego, ale wciąż są zarejestrowane na mnie w wyjątkowo podejrzanych okolicznościach.

- No, pozostał ci jeden samolot, sprzęt wart przynajmniej dwa miliony. Co z nim zrobisz? Sprzedałeś, żeby uruchomić to maleńkie przedsiębiorstwo i dorobić do lotniczej emerytury?

- Do diabła, ukradłem wystarczająco dużo, żeby je kupić dawno temu - odparł Alfred Simon, uśmiechając się krzywo.

- Co się stało z odrzutowcem? To był poważny kapitał.

- Był i jest. Przeleciałem nim bocznymi trasami, smarując gdzie potrzeba. Jest tutaj, ale z niego nie korzystam. W pełni sprawny i dobrze schowany. Poczekam, aż będę gotów kopnąć wreszcie w kalendarz, i wtedy znurkuje prosto w pieprzony Pentagon i wysadzę w powietrze skurwysynów, którzy od trzydziestu czterech lat trzymają mnie na sznurku! Te

łajzy twierdzą, że ukradłem rządowi Stanów Zjednoczonych samoloty o wartości dziesięciu milionów, a to oznacza czterdzieści lat w Leavenworth...! Do diabła, nie została mi nawet jedna czwarta tych lat!

- Ale sznurek jest wystarczająco mocny, skoro zabrałeś tych dwóch ludzi z Sebastian Point na Gordzie.

- Do diabła, tak, lecz to nie ja wypchnąłem ich z samolotu w czasie podejścia do lądowania! Nie mam z tym nic wspólnego!

- Kto to zrobił!? - ryknął Poole, odtrącając na bok pistolet

Hawthorne'a i przyciskając lufę swojej broni do czoła pilota. Jesteś w tej samej bandzie skurwysynów, która zabiła Charliego, człowieku, i jeżeli mi nie powiesz, już cię nie ma.

- Hej, daj spokój! - zawołał Simon, wijąc się pod ciemnoczerwoną narzutą. - Ten magik pokazał mi swoją legitymację i zapewnił, że jeśli wymienię jego nazwisko, nigdy już nie będą mnie ciągać!

- Kto to był?

- Hawthorne. Ktoś, kto nazywa się Tyrone Hawthorne. Albo jakoś podobnie.

ROZDZIAŁ 15

Wypiełgnowane trawniki posiadłości lśniły jeszcze poranną rosą, kiedy Nils van Nostrand zasiadł przy biurku w gabinecie i patrząc przez okno, zagłębił się w myślach. Czasu miał niewiele, a przygotowania zapewne zajmą mu cały dzień. Jego zniknięcie musi być całkowite, wprowadzenie zaś w życie nowego wcielenia - połączone ze zniszczeniem wszystkich więzów z przeszłością. Ta „ostateczna śmierć” nie może być w żaden sposób kwestionowana. Ale życie, które jednocześnie rozpocznie, powinno się toczyć w godnych, cywilizowanych warunkach. Potrafi pogodzić się z anonimowością, a nawet się nią cieszyć, nie może jednak i nie chce zaakceptować egzystencji bez wdzięku i wygody.

Wiele lat temu, zbyt wiele, żeby je policzyć, on i towarzysz jego życia, U vizioso elegante - Mars i Neptun! - zakupili znajdującą się na uboczu, ogrodzoną murem posiadłość na brzegu Jeziora

Genewskiego, traktując ją jako swe schronienie na stare lata. Tytuł własności opiewał na argentyńskiego pułkownika, nieżonatego i o biseksualnej orientacji, który z wielką przyjemnością wyświadczył tę przysługę młodemu, wszechwładnemu padrone i jego zaufanemu.

Od tej pory roczny dochód mało znanej, mającej kilku zaledwie klientów agencji wynajmu nieruchomości w Lozannie w pełni wystarczał na utrzymanie całej firmy. Musiała jednak spełnić kilka bezdyskusyjnych warunków, których złamanie spowodowałoby natychmiastowe rozwiązanie kontraktu. Brzmiały one następująco: po pierwsze - nigdy nie podejmować prób ustalenia właściciela nieruchomości; po drugie - wynajem nie może być na okres krótszy niż dwa lata i dłuższy niż pięć lat; po trzecie - wszystkie wpłaty muszą być dokonywane na cyfrowe konto w Bernie, po potrąceniu z nich dodatkowych dwudziestu procent ponad ustalone honorarium firmy za wyświadczone usługi i zachowanie tajemnicy. Skończył się właśnie czwarty rok wynajmu obecnym lokatorom, Za nie wykorzystane sześć miesięcy zwrócono im półroczną opłatę, przekazując ją wraz z sześćdziesięciodniowym wypowiedzeniem umowy. Van Nostrand miał zamiar wspaniale spędzić te dwa miesiące - stanowiący jego przepustkę do zapomnienia. Odysea rozpocznie się od śmierci zabójcy padrone byłego komandora porucznika Tyrella Hawthorne'a. Dziś w nocy.

A dzień stanowił wstęp do jego podróży. Ludzie, którym przez wiele lat pomagał w Waszyngtonie, musieli teraz spełnić jego może dziwne, lecz uprzejme prośby. I co najważniejsze - żaden z nich nie mógł wiedzieć, że inni również udzielają mu pomocy.

Ponieważ jednak stolica zawsze była źródłem dezinformacji, plotek, działań pozornych i samozachowawczych, należało zadbać, aby wszystkie jego prośby miały jeden element wspólny. Dzięki temu, jak w wypadku zerwanej sieci pajęczej, pod ciężarem prawdy pękać będzie jedna nić po drugiej, ale pozostanie środek, w którym wszystkie się zbiegają. Van Nostrand niemal słyszał wypowiedane słowa: „Ty też? Mój Boże, po wszystkim, co zrobił na swój koszt dla kraju, mogliśmy uczynić dla niego chociaż tyle! Zgadzasz się ze mną?”

Oczywiście, wszyscy przytakną, kierując się instynktem samozachowawczym, stanowiącym najważniejsze prawo obowiązujące w Waszyngtonie. A kiedy zaczną krążyć pogłoski o jego śmierci, pytania szybko ustaną.

Motyw? Niejasny, niepełny, ale wzruszający, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że uchodził za altruistycznego patriotę, który wydawał się mieć wszystko - ogromne bogactwo, wpływy, cieszył się szacunkiem i odznaczał niezwykłą skromnością. Może dziecko?

Dziecko wywołuje zawsze ten sam odzew. Jakie dziecko...? Oczywiście, dziewczynka. Wystarczy spojrzeć, jak wszyscy rozplývają się nad tą aktoreczką, Angel Jakąstam. Okoliczności? Znowu oczywiste.

Krew z jego krwi, utracona na lata w rezultacie tragicznego splotu wydarzeń. Jakich wydarzeń? Małżeństwo? Śmierć...? Tak, śmierć w tym jest akcent ostateczności... Van Nostrand był już gotowy.

Słowa się znajdują, jak zawsze. Mars często mówił Neptunowi:

„Twoje myśli przypominają węża. Potrafisz nimi omotać. To mi się podoba, potrzebuję tego.”

Arystokrata podniósł słuchawkę czerwonego telefonu i wybrał bezpośredni, zastrzeżony numer prywatny sekretarza stanu.

- Słucham? - odezwał się głos w Waszyngtonie.

- Bruce, tu Nils. Bardzo przepraszam, że cię niepokoję, zwłaszcza przez ten telefon, ale nie wiem, do kogo innego mógłbym się zwrócić.

- Ależ kiedy tylko sobie życzysz, przyjacielu. Z całą pewnością twoje wielkie zasługi dają ci prawo do tak drobnych względów.

O co chodzi?

- Czy masz minutę albo dwie?

- Oczywiście. Przyznam ci się, że właśnie skończyłem irytującą rozmowę z filipińskim ambasadorem i z ulgą zdjąłem buty. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Sprawa jest bardzo osobista, Bruce, i oczywiście ściśle poufna.

- Linia jest zabezpieczona, przecież wiesz o tym - przerwał mu łagodnie sekretarz stanu.

- Tak, wiem, Dlatego z niej korzystam.

- Więc mów, przyjacielu.

- Mój Boże, bardzo potrzebuję teraz przyjaciela.

- Jestem.

- Nigdy nie mówiłem o tym publicznie i bardzo rzadko prywatnie, ale przed wieloma laty, kiedy mieszkałem w Europie, moje małżeństwo uległo rozpadowi. Oboje ponosiliśmy za to winę.

Ona była niezrównoważoną Niemką, a ja obojętnym mężem, który nie lubił konfrontacji. Ona zajęła się fascynującymi ją sprawami, ja zaś wkrótce szaleńczo się zakochałem, i to z wzajemnością, ale w zamężnej kobiecie. Okoliczności nie pozwoliły nam być razem jej mężem, polityk z fundamentalistycznie katolickiej partii, nie zgodził się na rozwód - ale mamy dziecko, dziewczynkę. Oczywiście, ten człowiek, choć zna prawdę, uznał dziecko za swoje, a żonie zabronił widywać się ze mną. Nie pozwolił nawet, abym zobaczył mą córkę.

- Niegodziwiec! Nie mogła się zbuntować, zmusić go do rozwodu?

- Zagroził, że gdyby to zrobiła, każe ją zabić razem z dzieckiem, zanim zostanie politycznie zrujnowany. Oczywiście, w sfigowanym wypadku.

- Sukinsyn!

- O tak, był i jest taki.

- Jest? Czy chcesz, żebym załatwił nadzwyczajne rządowe środki transportowe, aby...

- sekretarz przerwał na chwilę sprowadzić tu matkę z córką, zapewniwszy im immunitet dyplomatyczny? Powiedz tylko słowo, Nils, a skoordynuję sprawę z CIA i wszystko będzie załatwione.

- Obawiam się, że już za późno, Bruce. Moja córka ma dwadzieścia cztery lata i... umiera.

- O, mój Boże...!

- Chciałbym, błagam cię, abyś przerzucił mnie dyplomatycznymi kanałami do Brukseli. Bez formalności paszportowych i skomputeryzowanej rejestracji wjazdu. Ten człowiek ma oczy i uszy wszędzie, stanowią jego obsesję. Muszę się dostać do Europy tak, aby nikt o tym nie wiedział. Muszę zobaczyć moje dziecko, zanim utracę je na zawsze, a potem pragnę spędzić z ukochaną ostatnie lata naszego życia i odzyskać utracony czas.

- O Chryste, Nils, co ty przechodzisz, co ty przeżywasz!

- Czy możesz spełnić moją prośbę, Bruce?

- Oczywiście. Port lotniczy daleko od Waszyngtonu - mniej szans, żeby cię rozpoznano. Eskorta wojskowa tu i w Brukseli.

Pierwszy wchodzisz do samolotu i ostatni wychodzisz, masz osłonięty fotel przed ścianką działową. Kiedy chcesz wyjechać?

- Dziś wieczorem, jeśli to możliwe. Rzecz jasna, nalegam, żebym mógł za wszystko zapłacić.

- Po tym wszystkim, co dla nas zrobiłeś? Nawet nie myśl o pieniądzach. Zadzwoń do ciebie w ciągu godziny.

Jak łatwo przychodzą słowa, pomyślał van Nostrand, odkładając słuchawkę. Mars zawsze mówił, że kwintesencja zła sprawdza się do ubrania Szatana w białe szaty dobroci i łaski. Oczywiście, tego nauczył go on, Neptun.

Następnym rozmówcą był dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, którego organizacji van Nostrand często udostępniał jeden ze swych domków gościnnych. Znajdowali tam bezpieczne schronienie po akcji uciekinierzy i zmęczeni agenci operacyjni.

- ...Jezu, Nils, straszna sprawa! Daj mi nazwisko tego skurwysyna! Mam w całej Europie specjalistów od mokrej roboty, którzy go usuną. I nie mówię tego na wiatr. Unikam ostatecznych rozwiązań, ale to ścierwo nie powinno żyć nawet jednego dnia! Mój

Boże, twoja rodzona córka!

- Nie, przyjacielu, nie wierzę w przemoc.

- Ja również, ale przecież wobec ciebie i matki twego dziecka zastosowano najokrutniejszą formę przemocy. Lata życia pod groźbą śmierci? Dziecka i jego matki?!

- Istnieje inny sposób i proszę jedynie, abyś mnie wysłuchał.

- Co takiego?

- Mogę ich wydostać i umieścić w bezpiecznych warunkach, ale takie przedsięwzięcie będzie wymagało ogromnych pieniędzy, którymi oczywiście dysponuję. Gdybym jednak zastosował normalne procedury przelewu, zarejestrują je europejskie banki i ten człowiek dowie się, że tam jestem.

- Rzeczywiście masz zamiar jechać?

- Ile mi jeszcze pozostało lat, które chciałbym spędzić z moją utraconą największą miłością?

- Chyba niezbyt cię rozumiem.

- Dowie się i ją zabije. Przysiągł, że tak zrobi.

- Co za skurwysyn. Daj mi jego nazwisko!

- Nie pozwalają mi na to moje przekonania religijne.

- Co więc, do cholery, zrobisz? Co ci pozostało?

- Pełna tajemnica. Wszystkie pieniądze mam tutaj i naturalnie zamierzam co do centa zapłacić podatki, które jestem winien mojemu krajowi. Chciałbym jednak resztę zasobów przelać w poufny, ale całkowicie legalny, sposób do wybranego przez mnie banku w Szwajcarii. Przyznam ci się szczerze, że sprzedałem swoją posiadłość za dwadzieścia milionów dolarów. Dokumenty są już podpisane, lecz zostanie to zachowane w tajemnicy i nie dostanie się do publicznej wiadomości przez miesiąc od mojego wyjazdu.

- Tylko tyle? Mógłbyś dostać dwa razy więcej. W końcu jestem biznesmenem, pamiętasz?

- Rzecz w tym, że nie mam czasu na pertraktacje. Moje dziecko umiera, a kobieta, którą kocham, jest pogrążona w rozpacz i przerażeniu. Czy możesz mi pomóc?

- Przyślij mi upoważnienie, abym mógł je załączyć do akt tajnych akt - i daj mi znać, kiedy znajdziesz się już w Europie.

Będę miał wszystko przygotowane.

- Nie zapomnij o podatkach...

- Po wszystkim, co dla nas zrobiłeś? Porozmawiamy o tym później. Trzymaj się i odszukaj swoje szczęście, Nils. Bóg mi świadkiem, że na nie zasługujesz.

Jakże łatwo przychodzą słowa... Van Nostrand ponownie przekartkował osobisty notes z telefonami, zawsze zamknięty w stalowej szufladzie biurka i wyjmowany jedynie wówczas, gdy był mu niezbędny. Znikając zabierze go ze sobą. Odszukał nazwisko i prywatny numer następnego rozmówcy, dowódcy Tajnych Operacji

Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych. Człowiek ten był pseudopsychotycznym osobnikiem, w równym stopniu chlubiącym się umiejętnościami stawiania swoich przełożonych w kłopotliwych sytuacjach, jak i osiągnięciem własnych celów. Czynił to z tak niepokojącą konsekwencją, że nawet rywalizująca z jego służbami

Centralna Agencja Wywiadowcza traktowała go z niechętnym szacunkiem. Jego ludzie zdołali przeniknąć nie tylko do KGB, MI-6 i Deuxieme, ale również do całkowicie „szczelnego” Mossadu.

Swoich wyczynów dokonywał przy pomocy starannie dobranych osób mówiących wieloma językami i wyposażonych w niezwykle dobrze podrobione dokumenty, które wytrzymały nawet próbę kontroli elektronicznej... oraz sporej porcji wiadomości od często podróżującego, świetnie poinformowanego van Nostranda. Przyjaźnili się i generał porucznik spędził wiele przyjemnych weekendów w posiadłości Fairfax, w towarzystwie hojnie

wyposażonych przez naturę i chętnych młodych kobiet, gdy tymczasem jego żona była przekonana, że mąż przebywa w Bangkoku lub Kuala Lumpur.

- Nigdy nie słyszałem paskudniejszej historii, Nils! Co ten dupek sobie myśli, że kim niby jest? Osobiście polecę i go sprzątnę!

Chryste wszechmogący, córka ci umiera, a matce od dwudziestu paru lat grożą śmiercią! Ten typ jest już historią, stary!

- Nie tędy droga, generale, wierz mi. Kiedy nasze ukochane dziecko odejdzie, pozostanie nam tylko zniknąć. Jeżeli go zabijesz, stanie się dla swoich popleczników, a właściwie fanatyków, męczennikiem. Natychmiast zaczną podejrzewać jego żonę, ponieważ krążą plotki, że go nienawidzi i boi się go. Może więc zdarzyć się jej „wypadek”, który szykował dla niej przez wszystkie te lata.

- Czy przyszło ci do głowy, że jeśli pomyśli, iż uciekła z tobą, a na pewno tak pomyśli, będzie polował na was oboje?

- Poważnie w to wątpię, przyjacielu. Wraz ze śmiercią naszej córki zniknie dla niego polityczne zagrożenie. Żona może po cichu opuścić ważnego polityka i nie będzie to żadną sensacją. Gdyby natomiast wyszło na jaw, że dwudziestoparoletnie dziecko tegoż polityka nie jest jego, byłaby to kompromitacja. Natychmiast wszyscy zaczęliby się zastanawiać, ile razy przyprawiono mu rogi.

Dla osoby publicznej podobny skandal oznaczałby katastrofę.

- Dobra, w takim razie likwidacja odpada. Co więc mogę zrobić?

- Muszę mieć dziś, późnym popołudniem, dosyć wyjątkowy paszport. Fałszywy i z nieamerykańskiego źródła.

- Naprawdę? - zapytał generał z zainteresowaniem w głosie. - Po co?

- Częściowo z powodów, o których sam wspomniałeś. Może nas wytropić za pomocą skomputeryzowanego systemu śledzenia ruchu pasażerskiego, chociaż nie sądzę, żeby był w stanie. Paszport jest mi właściwie potrzebny do nabycia nieruchomości. Ponieważ nie jestem osobą anonimową, moje nazwisko mogłoby pojawić się w prasie, a taka wiadomość równałaby się zaproszeniu.

- Kapuję! O czym myślisz?

- No cóż, kilka lat prowadziłem interesy w Argentynie i mówię płynnie po hiszpańsku. Sądzę, że powinna to być Argentyna.

- Nie ma problemu. Podobnie jak z dwudziestoma ośmioma innymi krajami. Mamy duplikaty wszystkich ich klisz, no i najlepszych grafików. Czy przygotowałeś już sobie nazwisko, datę urodzenia?

- Tak. Znam człowieka, który zniknął, jak wiele innych osób w tamtych latach.
Pułkownik Alejandro Schriber-Cortez.

- Przeliteruj, Nils.

Van Nostrand spełnił jego polecenie, podając również z pamięci datę i miejsce urodzenia.

- Co jeszcze potrzebujesz?

- Kolor oczu i włosów, a także fotografię paszportową, wykonaną w ciągu ostatnich pięciu lat.

- Dostarczą ci wszystko do rąk własnych przed południem...

Rozumiesz, generale, mógłbym poprosić Bruce'a z Sekretariatu Stanu, ale nie jest to pole jego działania...

- Ten dupek nie potrafiłby zorganizować czegoś takiego, tak samo jak nie dałby sobie rady z najlepszą dziwką w mieście. A ten cywil w Agencji spieprzyłby wszystko jakąś retuszowaną fotografią... Czy chcesz tu przyjść, żeby moi chłopcy przygotowali ci nowe zdjęcie? Kolor włosów, kolorowe szkła kontaktowe?

- Wybacz, przyjacielu, ale omawialiśmy te procedury wiele razy. Nawet dałeś mi nazwiska kilku swoich specjalistów, pamiętasz?

- Czy pamiętam? - Generał roześmiał się rubasznie. -•

U ciebie? Tych wizyt nie ma w moich bankach pamięci.

- Jeden z nich ma tu przyjść w ciągu godziny. Niejaki Crowe.

- Ptak? Ma jakieś magiczne okulary... Powiedz mu, żeby przyniósł swoją robotę prosto do mnie, a już ja zadbam o wszystko.

Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić, mój stary.

Ostatni telefon był do sekretarza obrony, niezwykle inteligentnego, kulturalnego człowieka, który zajmował się zupełnie niewłaściwą pracą, co zaczął sobie uświadamiać już po pięciu miesiącach jej wykonywania. Ten błyskotliwy pracownik kierowniczego szczebla w sektorze prywatnym, który osiągnął pozycję naczelnego dyrektora w trzeciej pod względem wielkości spółce w Ameryce, na swym nowym stanowisku nie stanowił odpowiedniego przeciwnika dla rywalizujących ze sobą, żarłocznych generałów i admirałów z Pentagonu. W świecie, gdzie pojęcia zysku i straty były nie tylko bez znaczenia, ale w ogóle nie istniały, a wszyscy twierdzili, że jedynie ogromne zamówienia uchronią kraj przed katastrofą militarną, przekroczył granice swej niekompetencji. W znanym mu drapieżnym otoczeniu korporacyjnych władz był mistrzem chłodnego rozumowania, który pozostawia walkę na noże swoim wysoko wynagradzanym podwładnym, ale w brutalnej rywalizacji służb .o

zamówienia wojskowe czuł się zdezorientowany, ponieważ nie miało to nic wspólnego z dochodami. Pentagon cieszył się z jego nominacji.

- Chcą dosłownie wszystkiego! - powiedział w zaufaniu swojemu przyjacielowi van Nostrandowi, który bynajmniej nie pobierał gaży przysługującej pracownikowi państwowemu, mającemu podobne pochodzenie, majątek, powiązania rodzinne i inteligencję. I najczęściej, kiedy podnoszę sprawę zwiększenia cięć budżetowych, karmią mnie setkami scenariuszy, których połowy nie rozumiem, ale z których wynika, że jeśli nie dostaną tego, czego chcą, nastąpi katastrofa militarna.

- Musi pan być wobec nich o wiele twardszy, panie sekretarzu.

Przecież z pewnością miał już pan do czynienia z ograniczonym budżetem...

- Oczywiście - odparł sekretarz, który tego wieczoru był gościem van Nostranda przy kieliszku brandy. - Ale kiedy wówczas wydawałem polecenia, moi podwładni wiedzieli, że muszą je wykonać, bo inaczej mogą stracić pracę... A tych sukinsynów nie można wylać! Poza tym konfrontacja nie jest w moim stylu.

- Do takich zadań ma pan cywilnych pomocników.

- I właśnie to jest szczególnie głupie! Ludzie tacy jak ja przychodzą i odchodzą, ale pracownicy biurowi, ci rządowi G-7 albo 8, czy jacy tam są, pozostają na miejscu. A skąd biorą swoje drobne korzyści, loty wojskowymi samolotami do karaibskich kurortów przypisanych saperom albo służbie badań wybrzeża? Proszę nie odpowiadać, tyle już wiem.

- A więc?

- Sytuacja jest nie do zniesienia, przynajmniej dla kogoś takiego jak ja, a nawet, jak sądzę, pan. Wytrzymam jeszcze trzy-cztery miesiące, a potem wymyślę jakiś osobisty powód złożenia rezygnacji.

- Zdrowie?! Jeden z najsztywniejszych obrońców w historii futbolowej drużyny z Yale, główny pełnomocnik w powołanym przez prezydenta programie kultury fizycznej? Nikt panu nie uwierzy, przecież bez przerwy rządowe reklamówki telewizyjne pokazują pana uprawiającego jogging.

- Sześćdziesięciosześcioletni sportowiec - roześmiał się sekretarz. - Moja żona nienawidzi Waszyngtonu. Będzie uszczęśliwiona, jeśli uczynię ją jedynym obiektem mojej troski, zresztą chętnie posunę się również do przekupienia jej lekarza.

Na szczęście dla van Nostranda sekretarz obrony na razie nie ogłosił decyzji o swej rezygnacji. Dzięki temu w oczywisty sposób został wprowadzony w sprawę Krwawej Dziewczynki. Kiedy więc arystokrata zadzwonił do niego z sugestią, że może istnieć związek między obecnym spiskiem a byłym oficerem wywiadu marynarki

Hawthorne'em, i poprosił go o wkroczenie do akcji, sekretarz nie odmówił. Przekazane mu przez van Nostranda dane były tyleż proste, co niepokojące, wymagały też ominięcia zwykłych kanałów, konkretnie zaś komandora Henry'ego Stevensa, który na pewno robiłby trudności. Należało odnaleźć Hawthorne'a i wysłać mu list, który wzbudziłby jego zainteresowanie... Świat terrorystki Bajaratt był międzynarodowym piekłem, z którego istnienia ktoś taki jak van

Nostrand musiał zdawać sobie sprawę. Jeżeli więc przez swoich pośredników i informatorów uzyskał jakieś wiadomości, usłyszał coś, na litość boską trzeba udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy!

- Halo, Howardzie?

- Mój Boże, Nils. Strasznie mnie kusiło, żeby do ciebie zadzwonić, ale przecież wyraźnie prosiłeś, żebym się z tobą nie kontaktował. Chyba jednak nie wytrzymałbym dłużej.

- Ogromnie cię przepraszam, przyjacielu, lecz zaistniały nieoczekiwane okoliczności. Przede wszystkim nasz kryzys geopolityczny. Druga zaś sprawa jest tak boleśnie osobista, że z trudem mogę o niej mówić... Czy Hawthorne otrzymał mój list?

- Ubiegłej nocy wywołali film i wysłali negatywy - nie zgodziliśmy się na przyjęcie faksu. Mamy potwierdzenie. O dwudziestej pierwszej dwanaście wręczono twoją kopertę Tyrellowi

N. Hawthorne'owi w ogródkowej kawiarni hotelu „San Juan”.

Dokonałiśmy spektrograficznej analizy porównawczej fotografii to jest z pewnością on.

- Dobrze. W takim razie były komandor powinien się odezwać i przyjechać, żeby się ze mną spotkać. Modlę się, aby nasze spotkanie zaowocowało przydatnymi dla ciebie informacjami.

- Nie zdradzisz mi, co to takiego?

- Nie, Howardzie, ponieważ pewne szczegóły mogą być nieściste i narazić na szwank dobre imię człowieka. Powiem ci tylko tyle, że niewykluczone, iż ów Hawthorne jest członkiem międzynarodowego rynku Alfa. Oczywiście, ta wiadomość może się okazać całkowicie nieprawdziwa.

- Rynek Alfa? Co to takiego?

- Zabójstwa, przyjacielu. Zabijają dla tych, którzy płacą najwięcej, ale najczęściej, ponieważ są weteranami głębokiej konspiracji, „czarnych” operacji, udaje im się wymknąć ze wszystkich pułapek. Nie ma jednak żadnych konkretnych dowodów obciążających Hawthorne'a.

- Jezu Chryste! Czy to znaczy, że może współpracować z tą Bajaratt, zamiast na nią polować?

- Teoria taka wynika z logicznych przesłanek i może się okazać straszliwie mylna albo tragicznie prawdziwa. Przekonamy się o tym jeszcze dzisiaj. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinien być tutaj między szóstą a siódmą wieczorem. Wtedy poznamy całą prawdę.

- W jaki sposób?

- Przedstawię mu wszystko, co wiem, i będzie musiał udzielić mi odpowiedzi na parę ważnych pytań.

- Nie mogę tego zaakceptować! Wydam rozkaz otoczenia całej twojej posiadłości!

- Absolutnie się nie zgadzam. Bo jeśli jest taki, jak go opisują, wyśle zwiadowców, żeby sprawdzili teren. Jeżeli spostrzegą twoich ludzi, nigdy się nie zjawi.

- Może cię zabić!

- Mało prawdopodobne. Moja ochrona jest wszędzie i pracuje wyjątkowo sprawnie.

- To nie wystarczy.

- Ależ tak, drogi przyjacielu. Skoro jednak chcesz mieć spokojne sumienie, wyślij o siódmej pojedynczy samochód na mój podjazd. Jeżeli Hawthorne odjedzie moją limuzyną, będzie to znaczyło, że informacje były fałszywe, i natychmiast o nich zapomnij.

Jeśli zaś okażą się prawdziwe, moi ludzie będą kontrolowali sytuację i natychmiast nawiążą z tobą kontakt, bo ja sam mogę nie mieć możliwości zadzwonić do ciebie. Mój plan dnia jest niezwykle napięty. Będzie to ostatni patriotyczny czyn starego człowieka, który ukochał ten kraj ponad wszystko... Wyjeżdżam, Howardzie.

- Nie rozumiem...

- Przed chwilą wspomniałem ci, że stoję w obliczu dwóch kryzysowych sytuacji. Dwie katastrofy wydarzyły się jednocześnie i choć jestem głęboko wierzącym człowiekiem, zadaję sobie pytanie, gdzie jest Bóg...

- Co się stało, Nils?!

- Wszystko zaczęło się wiele lat temu, kiedy byłem w Europie.

Moje małżeństwo się rozpadło... - Van Nostrand jeszcze raz powtórzył historyjkę o smutku, miłości, nieślubnym dziecku i towarzyszącym temu koszmarze, wywołując ten sam efekt co poprzednio. Muszę wyjechać, Howardzie, i być może nigdy już nie powrócę.

- Nils, tak mi przykro! Mój Boże, co za straszny dramat!

- Odnajdziemy nasze nowe życie, moja ukochana i ja. Jestem pod wieloma względami szczęśliwym człowiekiem i nikogo o nic nie proszę. Moje sprawy są w absolutnym porządku, środki transportu - załatwione.

- Jakaż strata dla nas wszystkich.

- Ale jaki zysk dla mnie, przyjacielu, największa nagroda po latach moich skromnych poczyniń.. Do widzenia, drogi Howardzie.

Van Nostrand odłożył słuchawkę i natychmiast wyrzucił z myśli zasmuconego, pogrążonego w żalu nad samym sobą nudnego sekretarza obrony, zachowując w pamięci jedynie informację, że

Howard Davenport jest jedyną osobą, której wspomniął nazwisko

Hawthorne'a. Pomyśli o tym później. Teraz musi skoncentrować się na swoim głównym zadaniu - śmierci Tyrella Hawthorne'a.

Będzie brutalna i szybka, ale w chirurgiczny sposób precyzyjna, by sprawiła najwięcej bólu. Pierwsze pociski trafią w najwrażliwsze części ciała. Potem nastąpią uderzenia lufą w twarz, aż wreszcie długie ostrze noża zostanie wbite w lewe oko, l'occhio sinistro.

Będzie się wszystkiemu przyglądał, mszcząc śmierć swojego kochanka, padrone. I w końcu usłyszy z oddali rozlegające się w korytarzach władzy ciche pochwały swojej osoby: „Prawdziwy patriota... Nie było lepszego Amerykanina! Ale ileż musiał przeżyć, mając przy tym tyle innych problemów. Nigdy by do tego nie dopuścił; gdyby ten Hawthorne nie stwarzał szczególnego zagrożenia. Należy wyciszyć całą sprawę! Nie możemy dopuścić, aby zaczęto zadawać pytania!”

Mars niewątpliwie zawołałby: - Ecco! Perche? Kupujemy zabójstwa w rodzinach! Dlaczego postępujesz w taki sposób?

- La mente di un serpente - z pewnością odpowiedziałby mu

Neptun. - Spryt węża, padrone. Uderzę, a potem zniknę w trawie tak, żeby nikt mnie już nigdy nie zobaczył. A jednocześnie ludzie muszą wiedzieć, że wąż tu był, choćby wcielił się w postać świętego.

Poza tym twoje rodziny zbyt dużo mówią, zbyt długo pertraktują.

Najprościej jest poprosić o zapłacenie długów ludzi na wysokich stanowiskach i poza wszelkimi podejrzeniami. Dzięki temu, kiedy

„umrę”, pogrążeni w żałobie, będą opłakiwali śmierć świętego.

Finito! Basta!

Po śmierci Tyrella Hawthorne'a.

Nazywał się Hawthorne? - zapytał ze zdziwieniem Tyrell, zwracając się do na wpół pijanego pilota i właściciela domu publicznego w starym San Juan. - O czym, u diabła, bredzisz?

- Powtarzam, co mi powiedział ten facet - odparł Alfred

Simon. Powoli trzeźwiał, widząc dwa pistolety wycelowane w jego głowę. - Zresztą w kabinie obejrzałem jego legitymację. Była wystawiona na nazwisko Hawthorne.

- Kto jest twoim kontaktem?

- Jakim kontaktem...?

- Kto cię wynajmuje?

- Skąd, u licha, mam wiedzieć?

- Kto przekazuje ci wiadomości, polecenia?!

- Jedna z moich dziewczyn. Ktoś przychodzi sprawdzić towar i pozostawia u dziwki informację oraz parę dodatkowych dolców.

Otrzymuję wiadomość mniej więcej godzinę później. To już norma i nawet nie naciskam na dodatkowy szmal, a ponieważ traktuję moje dziewczynki porządnie, mówią mi o tym, co dostały.

- Nie rozumiem.

- Kiedy mamy dobrą noc, która z tych putas jest w stanie zapamiętać, kto był ostatni, przedostatni, czy nawet trzeci od końca?

- Ten facet rzeczywiście powinien mieć stempelek: „Tylko dla dorosłych”, komandorze - stwierdził Poole.

- Komandorze? - Pilot wyprostował się. - Taka z ciebie gruba ryba?

- Jak dla ciebie, wystarczająco duża, dziecinko... Która z dziewczyn przekazała ci instrukcje w sprawie Gordy?

- Ta, którą właśnie przelatywałem... Cholerna sprężyna z tego dzieciaka, ma tylko siedemnaście lat...

- Ty sukinsynu! - ryknął porucznik. Wyrzwał alfonsa w zęby, przewracając go z powrotem na poduszki, z rozkrwawionymi wargami. - Kiedy moja siostra była w tym wieku, rozerwałem na strzępy skurwysyna, który próbował wyciąć taki sam numer!

- Uspokój się, Jackson! Potrzebna nam informacja, a nie reedukacja!

- Cholernie mnie wkurzają takie męty jak on!

- Rozumiem, ale w tej chwili szukamy czegoś innego... Zapytałeś mnie, Simon, czy jestem komandorem, i odpowiedź brzmi: tak, jestem. Jestem również w wywiadzie w Waszyngtonie, i to wysoko. Czy taka odpowiedź ci wystarcza?

- Czy możesz zdjąć mi z karku tych cwaniaków?

- A co mi dasz w zamian, żeby warto było spróbować?

- Dobra, dobra. Moje tajne misje wykonuję najczęściej w nocy.

Startuję między siódmą a ósmą, zawsze z tego samego pasa. I za każdym razem ten sam kontroler ruchu dawał mi zezwolenie.

Nigdy się nie zmieniał, zawsze był ten sam.

- Jak się nazywa?

- Nie podają nazwisk, ale jest bystry, ma wysoki głos i sporo kaszle. Był przypisany do mojej aparatury. Przez długi czas sądziłem, że to zbieg okoliczności, ale teraz myślę, że była w tym drańska konsekwencja.

- Chcę rozmawiać z dziewczyną, która przekazała ci instrukcje w sprawie Gordy.

- Człowieku, chyba żartujesz? Przecież popędziliście im wszystkim kota! Nie wróć, dopóki nie zostaną naprawione drzwi wejściowe i wszystko nie zacznie wyglądać normalnie.

- Gdzie mieszka?

- Gdzie mieszka? Gdzie one wszystkie mieszkają? Tutaj!

I mają dziewczyny, które sprzątają ich pokoje, piorą im i gotują cholernie dobre jedzenie. Ustalmy jedno, gruba rybo. Sam kiedyś byłem oficerem i dobrze wiem, jak utrzymać moich mechaników w najlepszej formie.

- Chcesz powiedzieć, że dopóki nie wymienisz drzwi...

- Będą się trzymały z daleka. A ty na ich miejscu - nie?

- Hej, Jackson...

- Nie musisz mówić - odparł porucznik. - Masz gdzieś narzędzia, burdeltato?

- Na dole, w piwnicy.

- Pójdę popatrzeć - Poole zniknął w drzwiach piwnicy.

- Jak długo pełnią służbę kontrolerzy w czasie zmiany od siódmej do ósmej?

- Przychodzą o szóstej i schodzą o pierwszej, co znaczy, że masz godzinę i dwadzieścia minut na dotarcie do nich. Czyli mniej więcej godzinę, żeby sobie z nimi pogadać, ponieważ przynajmniej piętnaście do dwudziestu pięciu minut zajmie wam droga na lotnisko - pod warunkiem, że wasz samochód jest wystarczająco szybki.

- Nie mamy samochodu.

- Mój jest do wynajęcia. Tysiąc dolców za godzinę.

- Daj mi kluczyki - zażądał Hawthorne - albo będziesz miał bezpośrednie połączenie między uszami.

- Uprzejmie proszę - odparł pilot. Wyciągnął rękę do stolika i podniósł kluczyk z kółkami. - Jest na tylnym podwórzu, biały kabriolet caddy.

- Poruczniku! - wrzasnął Hawthorne, zrywając przewód jedyne telefonu. Cofnął się do drzwi piwnicy z pistoletem w ręku. - Zabieramy się stąd!

- Do diabła, człowieku. Znalazłem dwoje starych drzwi, które mógłbym...

- Zostaw je i wyłaź na górę. Jedziemy na lotnisko i mamy na to mniej czasu, niż potrzeba.

- Jestem z tobą, komandorze! - Poole wbiegł po schodach. A co z nim? - zapytał, patrząc na Simona.

- Och, poczekam tu sobie na was - odrzekł pilot. - Dokąd, u licha, miałbym iść?

Kontrolera nie było w wieży, ale inni zidentyfikowali go na podstawie wysokiego głosu. Nazywał się Cornwall i koledzy nieumiejętnie kryli jego nieobecność w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut. Ponieważ jednak przedłużająca się absencja zaczęła stwarzać zagrożenie, wezwano wypoczywającego kontrolera, żeby go zastąpił.

Cornwalla znalazł w końcu kucharz - w kuchence. Leżał tam z krwawiącą dziurą w środku czoła. Wezwano policję lotniskową i rozpoczęło się przesłuchanie, trwające niemal trzy godziny. Tyrell zachowywał się jak zawodowiec, łącząc w odpowiedziach nieświadomość, niewinność i troskę o nieznanego przyjaciela.

Gdy w końcu ich zwolniono, Hawthorne i Poole popędzili z powrotem do burdelu w starym San Juan.

- Teraz naprawię drzwi - oświadczył zmieszany, wściekły porucznik, kierując się w stronę zejścia do piwnicy. Tymczasem wyczerpany Tyrell rzucił się na miękki fotel. Właściciel przedsiębiorstwa rozrywkowego chrapał na sofie. W chwilę później Hawthorne też spał.

Słońce wdzierало się już do pokoju, kiedy Tyrell i pilot usiedli, przecierając oczy i próbując przystosować się do rzeczywistości.

Z drugiej strony pokoju, na zielonym tapczanie leżał Poole, a delikatne, melodyjne chrapanie w jakiś sposób oddawało jego w gruncie rzeczy łagodną naturę. Na miejscu roztrzaskanych drzwi znajdowało się ich zupełnie przyzwoite zastępstwo. Całe i nietknięte, nawet z klapką w górnej części.

- Kim on jest, do diabła? - zapytał potwornie skacowany

Alfred Simon.

- Mój wojskowy charge d'affaires - odparł Hawthorne, podnosząc się niepewnie. - Nie próbuj żadnych sztuczek, bo jedną nogą przerobi cię na befszytk.

- Biorąc pod uwagę moje obecne samopoczucie, mogłaby to zrobić nawet Myszka Minnie.

- Domyślam się, że dzisiaj nie lecisz.

- O nie, mam w zbyt wielkim poważaniu swoje odruchy, żeby nawet zbliżyć się do samolotu.

- Bardzo się z tego cieszę. Do diabła, nie masz zresztą zbyt wiele poważania dla czegokolwiek innego.

- Nie potrzebuję żadnych kazań, marynarzu. Muszę tylko wiedzieć, czy możesz mi pomóc.

- A niby dlaczego miałbym? Facet już nie żył.

- Co?

- To, co słyszałeś. Kontroler był już zimnym trupem z dziurą w czole.

- Jezu Chryste!

- Może dałeś komuś znać, że się do niego wybieramy?

- W jaki sposób? Wyrwałeś telefon!

- Jestem pewien, że masz inne...

- Jeden w moim pokoju na trzecim piętrze. Ale jeżeli przypuszczasz, że ubiegłej nocy mogłem wleźć po tych wszystkich schodach, w takim razie obrałem sobie zły zawód. Powinienem być zostać aktorem. A poza tym, po co? Potrzebuję twojej pomocy.

- Jest w tym, co mówisz, pewna logika... A zatem musiano nas śledzić, kiedy tu szliśmy. Ktokolwiek się tym zajmował, wiedział, że cię znaleźliśmy, ale domyślił się również, że zależy nam na kimś jeszcze.

- Chyba dobrze wiesz, co mówisz, no nie? - Simon nie spuszczał swoich zimnych oczu z Hawthorne'a. - Z tego by wynikało, że ponieważ ja jestem częścią łańcucha, mogę być następny - z dziurką w moim czole!

- Nie przeczę, że podobna myśl przyszła mnie też do głowy...

- Na rany Chrystusa, zrób coś!

- A co proponujesz? Przypadkiem dziś o trzeciej po południu jestem już zajęty czymś innym. Wyjeżdżam.

- I zostawiasz mnie w tym pieprzonym bagnie?

- Sformułujmy to inaczej - oznajmił Tyrell, spoglądając na zegarek. - Jest szósta piętnaście, mamy więc mniej więcej dziewięć godzin, żeby coś wymyślić.

- Mógłbyś mi załatwić ochronę w dziewięć pieprzonych minut!

- Sprawa nie jest taka prosta. Wydawać pieniądze podatników na osłanianie drańskiego amerykańskiego pilota, który przy okazji jest również właścicielem burdelu? Pomyśl o przesłuchaniach w Kongresie.

- Pomyśl o moim życiu!

- Ubiegłej nocy życzyłeś sobie, abym pociągnął za spust...

- Byłem pijany, na litość boską! Czy jesteś taki pieprzony czyścioszek, że nigdy się nie schlałeś i nie doszedłeś do wniosku, że wszystko wyjątkowo ci się nie podoba?

- Dajmy temu spokój. Wciąż mamy dziewięć godzin, lepiej więc zacznij myśleć. A im sprawniej będzie ci to szło, tym bardziej będę skłonny zapewnić ci ochronę... W jaki sposób zwerbowali cię po raz pierwszy?

- Do cholery, minęło już tyle lat, że właściwie nie pamiętam...

- Przypomnij sobie!

- Wielki facet, podobny do ciebie, ale ze szpakowatymi włosami. Z klasą, przystojny... Wiesz, jak z reklam eleganckich męskich ubrań. Przyszedł do mnie i powiedział, że wszystkie paskudztwa zostaną wymazane z moich akt, jeżeli zrobię, co będzie chciał.

- I zrobiłeś?

- Jasne, czemu nie? Zacząłem szmuglować kubańskie cygara, Dasz wiarę, kubańskie cygara. A potem przyszły opakowane, wodoszczelne kartony zrzucone na spadochronach na łąwiska położone w odległości sześćdziesięciu kilometrów od Keys na Florydzie.

- Narkotyki - stwierdził Hawthorne.

- Jasne jak diabli, że nie cygara.

- Robisz to w dalszym ciągu?

- Coś ci powiem, komandorze. Mam parkę dzieciaków w Milwaukee, których wprawdzie nigdy nie widziałem, ale które są moje.

Nie bawię się w narkotyki, więc kiedy dodałem dwa do dwóch i wyszło mi cztery, oświadczyłem im, że wypadam z gry. I wtedy właśnie ten wielki, elegancki przystojniak wyjaśnił mi, że rząd może mi zrobić niezłe koło pióra. Albo będę wykonywać ich polecenia, albo powędruję do Leavenworth. I nie będzie już wysyłania pieniędzy do Milwaukee. Dla moich dzieciaków, których nigdy nie widziałem.

- Jest pan niezwykle skomplikowanym człowiekiem, panie pilocie.

- Gadaj zdrów. Muszę się napić.

- Masz swój bar w odległości kroku. Weź sobie jednego.

A potem kontynuuj myślenie.

- No cóż - rzekł nieco nadwerężony burdeltata, wędrując wężykiem w kierunku baru. -
Zawsze - raz, dwa albo i trzy razy w roku - zjawia się taki porządny facet w marynarce i
krawacie, który zamawia najlepszą specjalistkę od ciągnięcia druta...

- Druta?

- Seks oralny, kapujesz?

- I co?

- Robi sobie dobrze, ale nigdy nie dotyka dziewczyny, rozumiesz, o co chodzi?

- Takie zagadnienia nie wchodzą w zakres mojej wiedzy.

- Nigdy nie zdejmuje ubrania.

- A więc?

- Trudno to uznać za zupełnie naturalne. Oczywiście, zainteresowałem się tym i
kazałem jednej z moich dziewczyn dać mu rakieta...

- Rakieta?

- Dosypać mu do drinka trochę prochów, które wysłały go na

- Dziękuję za wyjaśnienie.

- I zgadnij, co znaleźliśmy? W portfelu miał tuzin legitymacji, wizytówki, karty
klubowe i całą kupę szmalu. Jest prawnikiem, wysokiej klasy doradcą jednej z tych
wielomiliardowych firm w Waszyngtonie.

- I jaki wyciągnąłeś wniosek?

- Nie wiem, ale to nie jest normalne, kapujesz?

- Chyba nie do końca.

- Taki dziany facet jak on mógłby dostać wszystko, co chce, w lokalach w
śródmieściu. Po co więc przyjeżdża tutaj, na przedmieście? Do takiej speluny jak ta?

- Bo to przedmieście. Zachowuje anonimowość, łatwo go zrozumieć.

- Może tak, a może nie. Dziewczyny mówiły mi, że zawsze zadaje pytania. Na
przykład, kim są moi goście, który z nich wygląda na Araba albo na Afrykanina o jaśniejszej
skórze... I co taki szczegół ma wspólnego ze starym dobrym seksem?

- Sądzisz, że jest łącznikiem?

- Nie łapię, co to znaczy.

- Ktoś, kto przekazuje informacje, ale nie musi wiedzieć, od kogo do kogo.

- Kapuję.

- Czy potrafiłbyś go rozpoznać? Może okazałoby się, że jego legitymacje są lipne?

- Jasne. Takich picusiów łatwo się zauważa. - Pilot nalał sobie pół szklanki kanadyjskiej whisky i wypił kilkoma łykami. Similis similibus curantor - oznajmił, zamknąwszy oczy i bekając potężnie.

- Słucham?

- To stara średniowieczna modlitwa. W dowolnym przekładzie znaczy „klin klinem”.

- Dobra, , a więc mamy dwóch „picusiów”. Faceta, który cię zwerbował, i prawnika z Waszyngtonu, który nie rozbiera się w burdelu. Jak się nazywają?

- Werbownik przedstawił się jako pan Neptun, ale nie widziałem go ani nie rozmawiałem z nim od wielu lat. Orzeł Temidy nazywa się Ingersol, David Ingersol, lecz -jak już powiedziałem może być tylko gościem o dziwnych gustach.

- Sprawdzimy go... Jakie ostatnie zlecenie wykonywałeś przed Gordą?

- Poza prowadzeniem tego lokalu zarabiam na chleb całkowicie legalną obsługą turystyczną...

- Chodzi mi o sprawy związane z twoim werbownikiem przerwał mu Tyrell.

- Loty wodnopłatowcem, zazwyczaj raz, czasami dwa razy w tygodniu na maleńką wysepkę, którą z trudem można znaleźć na mapie.

- Z zatoczką, małym nabrzeżem i domem na zboczu wzgórza?

- Tak! Skąd wiesz?

- Już tego nie ma.

- Wyspy?

- Domu. Co tam przewoziłeś? Albo kogo?

- Najczęściej zaopatrzenie. Bardzo dużo owoców, warzyw i świeżego mięsa. Ten, kto tam mieszkał, nie lubił mrożonek.

I gości - na jeden dzień. Odbierałem ich późnym popołudniem.

Nigdy nie zostawali na noc. Oprócz jednego wyjątku.

- Kto to był?

- Nie używano nazwisk. To była kobieta, w dodatku cholernie przystojna.

- Kobieta?

- Jeszcze jaka, stary. Francuzka, Hiszpanka, może Włoszka, nie wiem konkretnie, ale z nogami do samej szyi, może koło trzydziestki.

- Bajaratt! - szepnął do siebie Hawthorne.

- Co powiedziałeś?

- Nic takiego. Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? I gdzie?

- Parę dni temu. Zabrałem ją z St. Barts i zawiozłem na wyspę. Tyrell otworzył usta. Czuł, że się dusi. Chyba zwariowałem...!

Dominique?

ROZDZIAŁ 16

Hawthorne schwycił pilota za brudną koszulę i potrząsnął nim tak, że szklanka wypadła mu z ręki i rozbiła się o podłogę. Kłamiesz! Kim, u diabła, jesteś? Najpierw nazywałeś moim nazwiskiem zabójcę, który leciał twoim pieprzonym samolotem z Gordy, a teraz twierdzisz, że moja przyjaciółka, bardzo bliska przyjaciółka, jest psychopatyczną dziwką, którą ściga pół świata! Jesteś cholernym kłamcą! Kto cię do tego namówił?

- Co się tu dzieje? - Obudzony hałasem, zaskoczony Jackson

Poole opuścił nogi z tapczanu.

- Zejdź ze mnie, szajbusie! - Pilot przytrzymał się baru, żeby się nie przewrócić. - Masz buty, ja nie, a na podłodze jest pełno szkła.

- A za dziesięć sekund wytrę ci o nie gębę! Kto cię do tego namówił?

- O czym, do kurwy nędzy, mówisz?

- Znowu powtarza się Amsterdam! Co wiesz o Amsterdamie?

- Rany boskie, nigdy tam nawet nie byłem...! Puść mnie!

- Kobieta z St. Barts! Miała jasne czy ciemne włosy?

- Ciemne. Powiedziałem ci, Włoszka albo Hiszpanka...

- Wzrost?

- Na obcasach mniej więcej mój, a ja mam metr siedemdziesiąt pięć...

- Twarz... Cera?

- Smagła, jakby opalona...

- W co była ubrana?

- Nie wiem..

- Myśl!

- Białe, coś białego. Suknia albo spodnie z marynarką, coś wyjściowego.

- Kłamiesz, sukinsynu! - wrzasnął Tyrell, ponownie rzucając mężczyznę o bar.

- Dlaczego, do cholery, miałbym to robić?

- On nie kłamie, Tye - rzekł Poole. - Nie ma dość siły ani charakteru. Jest wykończony....

- O mój Boże! - Hawthorne opuścił ręce i odwrócił się od obu mężczyzn, szepcząc na wpół błagalnym głosem: - O mój Boże, mój Boże! - Podeszedł wolno do grubego okna wychodzącego na brudną, wybrukowaną kocimi łbami uliczkę. Stał, patrząc szklistymi, nie

widzącymi oczyma, a z jego ust wydobywało się gardłowe łkanie. - ...Saba, Paryż... Barts. Wszystko kłamstwa. Amsterdam, Amsterdam!

- Amsterdam? - zapytał niewinnym tonem Simon, odchodząc od baru, i ruszył ostrożnie przed siebie, starannie unikając potłuczonego szkła.

- Zamknij się - wtrącił się cicho Jackson, patrząc na stojącego przy oknie, dygocącego Tyrella Hawthorne'a. - Ten człowiek cierpi, powietrzny szczurze.

- A co to ma wspólnego ze mną? Co ja zrobiłem?

- Chyba powiedziałeś mu coś, czego nie chciał słyszeć.

- Powiedziałem mu tylko prawdę.

Nagle rozwścieczony Hawthorne odwrócił się gwałtownie. Pełne przerażenia oczy patrzyły bystro i płonęły wewnętrznym ogniem.

- Telefon! - ryknął. - Gdzie masz drugi telefon?

- Trzy piętra wyżej, ale drzwi są zamknięte. Klucz jest gdzieś... - Pilot nie zdążył skończyć, bo Tyrell już pędził na górę, przeskakując po trzy stopnie naraz. Łomot jego kroków odbijał się echem po starym domu publicznym.

-- Twój komandor to wariat - oznajmił właściciel burdelu. O co mu chodziło, kiedy powiedział, że nazwałem zabójcę jego nazwiskiem? Ten zbzikowany magik w samolocie mówił wyraźnie:

„Nazywam się Hawthorne”. Powtórzył to ze trzy czy cztery razy.

- Kłamał. T o j e s t Hawthorne.

- Święty...

- W tej cholernej sprawie nie ma nic świętego - odparł cicho

Poole.

Na trzecim piętrze Hawthorne uderzał ramieniem w drzwi prowadzące do mieszkania pilota. Po piątej próbie zamek puścił.

Tyrell wbiegł do środka i przez chwilę czuł się całkowicie zaskoczony porządkiem panującym w obszernych połączonych pokojach. Spodziewał się raczej zastać zapuszczoną, brudną norę. A tymczasem apartament wyglądał jak projekt do artykułu w „Country and

Home”. Meble stanowiły typowo męskie połączenie drogiej skóry i ciemnego drewna, boazerie wykonano z jasnego dębu, a na ścianach wisiały dobre reprodukcje impresjonistów - rozproszone światło, jaskrawe kolory, delikatne postacie i piękne ogrody. Ten abnegat mieszkał w takich pokojach!

Gdzie jest telefon? Pobiegł do sypialni. Wszędzie - na sekretarzyku, biurku, stoliku nocnym, stały oprawione w ramki fotografie dwójki dzieci, tych samych dzieci w różnym wieku.

I wreszcie telefon - na stole po prawej stronie łóżka. Doskoczył do niego, wyciągając jednocześnie z kieszeni kartkę papieru z paryskim numerem telefonu. Znowu zatrzymał się na chwilę na widok kolejnej fotografii. Tym razem było to zdjęcie dwojga młodych ludzi - chłopaka i dziewczyny - przystojnych i uderzająco do siebie podobnych. Dobry Boże, to bliźniaki, pomyślał Hawthorne.

Oboje byli w strojach z college'u - dziewczyna w plisowanej spódnicy w kratę i bluzce, chłopak w ciemnym blezerze, z krawatem w prążki. Stali, uśmiechając się, obok tablicy z napisem:

A potem dostrzegł napis na dole fotografii. Litery były małe, lecz wyraźne, data sprzed kilku lat:

Wciąż są nierozłączne, Al, i mimo że ciągle się kłucą, bardzo o siebie dbają. Byłbyś z nich dumny, tak jak one są dumne z ojca, który poległ, służąc ojczyźnie. Herb i ja zasyłamy ci najlepsze życzenia i dziękujemy za pomoc.

Bardzo, bardzo skomplikowany człowiek z tego pilota.

Nie ma czasu!

Hawthorne podniósł słuchawkę, poczekał, aż odezwie się sygnał, a potem wybrał kolejne numery połączenia z Paryżem, odczytując je uważnie z kawałka papieru.

- La maison de Couvier - oznajmił oddalony o trzy tysiące mil kobiecy głos.

- Pauline?

- Ach, monsieur, to pan, n'est-ce pas? Saba?

- O to między innymi chciałbym ją zapytać. Dlaczego jej tam nie było?

- Och, pytałam panią, monsieur, i powiedziała mi, że nigdy nie wspominała panu o tej Sabie. Musiał pan wyciągnąć fałszywy wniosek. Jej wuj ponad rok temu przeniósł się na sąsiednią wyspę.

Jego poprzedni sąsiedzi byli zbyt ciekawscy i natrętni, a ona nie widziała powodu, żeby - jak to określić? - tracić czas na wyjaśnienia, ponieważ leciała bezpośrednio do Paryża i wiedziała, gdzie pana zastanie po powrocie.

- To bardzo przekonujące wyjaśnienie, Pauline.

- Monsieur, pan chyba nie jest zazdrosny. Nie, to niemożliwe, nie ma powodu! Ona pana kocha, tylko ja o tym wiem.

- Chcę z nią rozmawiać. Zaraz!

- Nie ma jej tu, przecież pan wie.

- W jakim mieszka hotelu?

- Nie w hotelu. Państwo są na pokładzie jachtu na Morzu Śródziemnym.

- Na jachtach są telefony. Jaki jest jego numer?

- Nie wiem, proszę mi wierzyć. Maintenant pani dzwoni do mnie mniej więcej co godzina, ponieważ przygotowujemy na przyszły tydzień obiad dla Szwajcarów z Zurychu. Oni jedzą zupełnie inaczej... tak po niemiecku, rozumie pan?

- Muszę się z nią porozumieć!

- W takim razie, monsieur, proszę zostawić mi swój numer, a ja przekażę, aby się z panem skontaktowała. Albo niech pan zatelefonuje do mnie za jakiś czas, na pewno będę już miała dla pana jej numer. Nie widzę problemu.

- Zrobię tak.

Jacht na Morzu Śródziemnym, ale nie pozostawili w Paryżu jego numeru telefonu na wypadek jakiejś nieprzewidzianej sytuacji?

Kim była kobieta, która wsiadła do samolotu Simona w St.Barts?

Do czego ci, którzy wiedzą o Amsterdamie, mogą się posunąć, aby doprowadzić go do szaleństwa? Ktoś w tej zwariowanej mozaice ubrany jak Dominique... A może okłamuje sam siebie? Czy okłamywał się również w Amsterdamie? Jeżeli tak, czas skończyć z kłamstwami.

Tyrell odłożył słuchawkę, ale wciąż trzymał na niej dłoń, zdecydowany, choć bez entuzjazmu, zadzwonić do Henry'ego

Stevensa w Waszyngtonie. Fakt, że N.v.N., kimkolwiek był, zdołał obejść dyrektora wydziału marynarki wojennej tylko po to, aby dotrzeć do wdowca z NATO, był już sam w sobie dość wymowny, ale Hawthorne do trzeciej po południu nie mógł ocenić jego znaczenia. W końcu postanowił, że poczeka, aż Stevens sam do niego zadzwoni, do hotelu na Isla Verde. Komandor na pewno tak postąpi, albo już postąpił... O Jezu, Cathy! Zupełnie o niej zapomniał i co gorsza - Poole również. Tyrell natychmiast wybrał jej numer.

- Gdzieście się obaj podziali? - zawołała Neilsen. - Strasznie się o was obu martwiłam. Chciałam już dzwonić do konsulatu, do bazy marynarki wojennej, a nawet do twojego przyjaciela Stevensa w Waszyngtonie.

- Ale nie zrobiłaś tego, mam nadzieję?

- Nie musiałam. Od czwartej rano dzwonił tu już trzy razy.

- Rozmawiałaś z nim?

- Przecież mamy ten sam apartament, nie pamiętasz? Jestem z nim już niemal po imieniu.

- Nie wspomniałaś mu chyba o liście, który dostałem wieczorem?

- Daj spokój, Tye - zachnęła się Cathy. - Potrafiłam dotrzymać sekretów nawet naszych bysiów, a oni przecież tylko śpią, z kim popadło. Oczywiście, że nie.

- Co on powiedział, a co ty?

- Chciał oczywiście wiedzieć, gdzie jesteś, i oczywiście odparłam, że nie wiem. Potem zapytał, kiedy wrócisz i udzieliłam mu takiej samej odpowiedzi. Wtedy eksplodował i spytał, czy wiem cokolwiek. Wyjaśniłam, że dowiedziałam się czegoś o funduszach operacyjnych... Ale nie uważał tego za zabawne.

- Nic już nie jest śmieszne.

- Co się stało? - zapytała łagodnie.

- Znaleźliśmy pilota, a on zaprowadził nas do kogoś innego.

- Czyli postęp.

- Niezbyt duży. Ten gość zginął, zanim do niego dotarliśmy.

- O Boże! Ale wam nic się nie stało? Kiedy wracacie?

- Jak tylko się nam uda.

Hawthorne przycisnął widelki, przerywając połączenie. Odczekał kilka sekund, próbując opanować myśli, ale jedna - przerażająca dominowała nad wszystkimi innymi. Wysoka kobieta ubrana na biało, o urodziwej, opalonej twarzy, którą zabrano z St. Barts i zawieziono do fortecy na wyspie padrone... W świetle, który opuścił i do którego znowu został wrzucony, przypadek po prostu nie istniał. Zamiana jednej osoby na drugą z precyzją ułamka sekundy była absolutnie nieprawdopodobna...! Chryste, przecież zaczyna się rozsypywać! Przestań! Weź się w garść, opanuj strach!

Być może ów list od nieznanego N.v.N. jest kolejną manipulacją.

Skup się... Dominique...? Skup się - nakazał sobie.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Waszyngtonu. Chwilę później odezwał się Henry Stevens:

- Pani major z lotnictwa wojskowego oświadczyła, że nic nie wie o tobie - ani gdzie jesteś, ani kiedy wrócisz. Co się, u diabła, dzieje?

- Otrzymasz pełen raport później, Henry, a teraz chcę ci przekazać nazwiska czterech osób, o których potrzebuję tyle informacji, ile tylko zdołasz wykopać.

- Ile mam czasu?

- Spróbuj w godzinę.

- Chyba ci odbiło!

- Mogą być w bliskim kontakcie z Bajaratt...

- Dobra. O kim chcesz wiedzieć?

- Na początek o kimś, kto się nazywa Neptunem, panem

Neptunem. Podstawowy rysopis: wysoki, o dystyngowanym wyglądzie, szpakowaty, powiedzmy około sześćdziesiątki.

- Podałeś rysopis połowy mieszkańców Georgetown. Kto następny?

- Prawnik z Waszyngtonu o nazwisku Ingersol...

- Jak w Ingersol i White? - przerwał mu Stevens.

- Być może. Znasz go?

- Podobnie jak większość ludzi. David Ingersol, syn niezwykle szanowanego byłego sędziego Sądu Najwyższego. Należy do klubów golfowych „Burning Tree” i „Chevy Chase”, ma przyjaciół przyszyłych prominentów i sam jest wysoko notowany w hierarchii władzy. Chryste, chyba nie sugerujesz, że Ingersol należy do...

- Niczego nie sugeruję, Henry - wtrącił Hawthorne.

- Diabła tam! I wiesz, co ci powiem, Tye: gonisz w piętę.

Przypadkiem wiem, że ten Ingersol wyświadczył Agencji parę ładnych uprzejmości w czasie swoich wypraw w interesach do Europy.

- I to dowodzi, że gonisz w piętę?

- Ma świetną opinię w całym Langley. Agencja nie jest moją ukochaną organizacją, bo jak dobrze wiesz, zbyt wielu osobom nadepnęła na odciski, ale stosowane przez nią metody przeświadczenia człowieka biją wszystkie inne na głowę. Nie uwierzę, że mogliby posłużyć się kimś takim jak Ingersol, nie sprawdzivszy mu najpierw głowy pod mikroskopem.

- W takim razie pominęli dolne części ciała.

- Co?

- Słuchaj, moje źródło mówi, że być może jest tylko dewiantem, ale widziano go w miejscu należącym do kogoś, kto wchodzi w sprawę. Marginalnie, niemniej jednak...

- Dobra, właśnie poznałem bliżej dyrektora CIA. Pójdę prosto do niego. Kto jeszcze?

- Kontroler ruchu powietrznego z San Juan. Nazywał się Cornwall. Nie żyje.

- Nie żyje?

- Wpakowano mu kulę w łeb, zanim dotarliśmy do niego o pierwszej w nocy. Na krótko przed naszym przybyciem...

- Jak go wykopałeś?

- Dzięki czwartemu nazwisku, i przy nim będziesz musiał zejść do podziemia.

- Jest tak blisko?

- Nie, jest zewnętrznym iksem. To źródło, o którym wspomniałem. Ma do czynienia tylko z przerzutami, ale ktoś w twoim mieście trzyma go na smyczy. Człowiek, który trzyma tę smycz, może zapoczątkować przełom w sprawie.

- Chcesz mi wmówić, że Bajaratt ma pomocników na najwyższych szczeblach administracji? Nie jakieś odizolowane przypadki przekupstwa, ale uczciwi wspólnicy w waszyngtońskich kręgach władzy?

- Uwierz mi.

- Jak się nazywa ten iks?

- Simon, Alfred Simon. Był niepełnoletnim pilotem zaopatrzeniowym w Vientiane, latał w Royal Lao.

- CIA - odparł Stevens. - Te dobre, złe dawne czasy. Torby wypełnione łapówkami zrzucane plemionom zamieszkującym wzgórza Laosu i Kambodży. Górale oberwali najbardziej. Płacono im najlepiej i piloci najwięcej od nich kradli... W jaki sposób ktoś w Waszyngtonie mógł wziąć kogoś takiego na smycz? Chyba że znaleźli na niego jakiegoś innego haka.

- Wpakowali mu swoje samoloty. Dali szczeniakowi, pewnie w sztok pijanemu, do podpisu bardzo wątpliwe dokumenty cesji.

W ten sposób napiętnowali go jako najemnika i złodzieja, zainteresowanego jedynie grubą forszą i bez powiązania z czystym jak łąza amerykańskim personelem. Potem wyciągnęli mu dywanik spod nóg i zmontowali przeciwko niemu sprawę o przekupstwo, odwracając całą sytuację. Wyszło na to, że wpakował brudną łapę do waszyngtońskiego słoika z cukierkami, podczas gdy nasi dzielni chłopcy oddawali życie.

- Cholernie obrzydliwy scenariusz.

- Owszem, i już klasyczny. Zresztą chłopak wcale nie musiał być pijany, może po prostu był chciwy. A jak się jest młodym, myśli się, że dostaje za fryko towar wartości paru milionów, ale nie uświadamia się sobie, że do końca życia trzeba będzie siedzieć na haku, podczas gdy szpiegowscy śmieciarze właśnie z haka zeskoczyli...

- Wiem już, u kogo dowiedzieć się, co mają na niejakiego Alfreda Simona, pilota Royal Lao, Vientiane.

- Czy możesz dopilnować, żeby nikt się nie zorientował, że szukasz?

- Na sto procent - zapewnił szef wywiadu marynarki. Naszym źródłem była polowa agentka działająca za granicą.

Awansowała do wysokiego stanowiska analityka, ale również wpakowała rękę do słoika Agencji i została złapana na gorącym uczynku. Oczywiście, nigdy nic nie powiedziano na ten temat, lecz można uznać, że jest jednym z naszych informatorów.

- Skontaktuj się ze mną w hotelu - polecił Hawthorne. Jeżeli się spóźnię albo tam nie dotrę, przekaz major Neilsen wszystko, czego się dowiedziałeś. Ma teraz klauzulę dostępności cztery-zero, chyba że zmieniliście, idioci, klasyfikację.

- Czy ma jakieś inne klauzule?

- Zejdź ze mnie, komandorze. Bez niej bylibyśmy już martwi.

-• Przepraszam, próbowałem wprowadzić trochę luzu w naszą bardzo trudną sytuację.

- Jesteś dobrym kontaktem, Henry. Idź do roboty, zadzwoń do mnie i wędruj do domu, do żony. - Hawthorne odłożył z trzaskiem słuchawkę, uświadamiając sobie, że na linii włosów wystąpiły mu kropelki potu. Co teraz? Musi działać dalej! Musi być w ciągłym ruchu, nie może myśleć o sprawach, które... o których nie odważy się myśleć. A jednak powinien! Może kłamać innym, ale nie samemu sobie, już nie. Saba, wuj samotnik, zaufana w Paryżu, dobroczynność... zapewnienia miłości. Wszystko kłamstwa.

Dominique! Dominique Montaigne to Bajaratt!

Doścignie ją i upoluje. Albo zginie. Teraz już nic na świecie nie zdoła go powstrzymać. Zdrada!

W Wydziale Zabójstw Centralnej Komendy Policji w San Juan żona zamordowanego kontrolera ruchu lotniczego Rosę Cornwall dała portorykańskiej policji wspaniałe przedstawienie. Była tak spokojna i dzielna, mimo najwyraźniej ciężko przeżywanego bólu utraty... Nie, nie może w niczym pomóc. Jej kochający mąż nie miał żadnych wrogów, ponieważ był najlepszym, -najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem, proszę zapytać proboszcza.

Długi? Nie. Żyło im się dobrze, ale zawsze w granicach budżetu.

Nałogi takie jak hazard albo kasyna? Bardzo rzadko i wyłącznie w automatach do gry, zazwyczaj w tych, gdzie stawka wynosi dwadzieścia pięć centów; wyznaczali sobie wtedy limit do dwudziestu dolarów na każdego. Narkotyki? Nigdy! Rzadko kiedy brał nawet aspirynę i ograniczył papierosy do jednego po każdym posiłku. Dlaczego pięć lat temu przeprowadzili się z Chicago do Porto Rico? Bo żyje się tu o wiele wygodniej - klimat, plaże, lasy - mąż uwielbiał godzinami wędrować po deszczowym lesie... No i bez tego straszliwego napięcia, jakie panowało w porcie lotniczym O'Hare w Chicago.

- Czy mogę już iść do domu? Chciałabym trochę pobyć sama, zanim poproszę naszego księdza. Jest cudownym człowiekiem i pomoże mi wszystko załatwić.

Wdowę Cornwall odprowadzono do jej apartamentów na Isla

Verde, ale z domu bynajmniej nie zadzwoniła do swojego księdza.

Połączyła się natomiast z Mayaguez.

- Posłuchaj, sukinsynu. Kryłam was, a teraz chcę dostać swoje - oświadczyła.

W apartamencie w San Juan, w którym Catherine Neilsen siedziała przy biurku, czytając w gazecie informację o zabójstwie na lotnisku, zadzwonił telefon. Szybko wyciągnęła rękę i podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Tu Stevens, majorze.

- Telefon numer pięć, jeżeli umiem liczyć.

- Umie pani. Zakładam, że jest na miejscu. Rozmawiałem z nim półtorej godziny temu.

- Tak, mówił mi. Jest pod prysznicem, każdy z nich jest pod swoim prysznicem i muszę stwierdzić, że dobrze by było, gdyby posiedzieli tam jak najdłużej. Śmierdzi tu jakimś podłym dezodorantem kwiatowym.

- Co?

- Śmierdzi burdelem. Tym miejscem, gdzie byli, czyli - jak sędzę - wszystko do siebie pasuje.

- Co?

- Chyba się pan powtarza, sir.

- Niech go pani stamtąd wyciągnie! Przecież to on żądał absolutnego pierwszeństwa dla tych danych.

- Mam nadzieję, że go nie zgorszę. Proszę poczekać.

Catherine weszła do sypialni Hawthorne'a i zbliżyła się do łazienki. Nasłuchiwała przez chwilę z wahaniem, a potem otworzyła drzwi. Zobaczyła nagiego Tyrella, który właśnie wycierał się wielkim ręcznikiem.

- Przepraszam, że przeszkadzam, komandorze, ale Waszyngton na linii.

- Czy słyszałaś kiedyś o pukaniu?

- Bez sensu, kiedy prysznic szumi.

- O... zapomniałem.

Owinięty ręcznikiem Hawthorne przeszedł obok dziewczyny i skierował się do telefonu w sypialni.

- Co znalazłeś, Henry - spytał?

- O Neptunie prawie nic...

- Co znaczy „prawie”?

- Komputery na południową półkulę zarejestrowały tylko jeden zapis. Wszystko wskazuje na to, że przed wieloma laty jakiś

Neptun brał udział w zamachu stanu generałów w Argentynie. Było to jednak tylko przezwisko bliżej nieokreślonego cudzoziemca, który blisko współpracował z wielkimi facetami. Brak jakichkolwiek informacji, oprócz dotyczących pana Marsa. Z tą samą klasyfikacją.

- A Ingersol?

- Czyściutki, Tye, ale słusznie wskazałeś Porto Rico. Lata tam cztery-pięć razy do roku, żeby obsłużyć klientów. Wszystko sprawdzone, wszystko całkowicie legalne.

- Poza tym, że jest klientem - mruknął Hawthorne.

- O co ci chodzi?

- Mniejsza o to. Dewiant. Co z kontrolerem Cornwallem?

- Nieco bardziej interesujące. Był kierownikiem swojej sekcji w porcie lotniczym O'Hare. Bystry facet, który zarabiał przyzwoite pieniądze, ale w najmniejszym stopniu nie groziło mu członkostwo w klubie dla najbogatszych. Kiedy jednak trochę powęszyliśmy, okazało się, że jego żona miała udział w starej restauracji w Chicago.

Trudno ją uznać za „Delmonico”, lecz była jedną z najpopularniejszych w tej dzielnicy, a ona - czytaj „oni” - przenosząc się do

Porto Rico, sprzedała ten swój udział za mniej, niż był wart. Choć przynosił przyzwoity roczny dochód.

- Co z kolei nasuwa pytanie - przerwał mu Tyrell - skąd wzięli pieniądze, aby kupić sobie taką synekurę?

- Jest jeszcze jedno pytanie, które może być odpowiedzią na twoje - odparł Stevens. - W jaki sposób kontroler ruchu lotniczego w San Juan, zarabiający znacznie mniej niż wcześniej na

O'Hare, mógł sobie zafundować apartament wartości sześciuset tysięcy dolarów w domu nad plażą w Isla Verde? Udział jego żony w restauracji pokryłby zaledwie jedną trzecią tej sumy.

- Isla Verde...?

- Działki nad plażą są najlepszą częścią miasta.

- Wiem, tu właśnie się zatrzymaliśmy. Czy masz coś jeszcze o naszym przedsiębiorczym Cornwallu?

- Nic konkretnego, same opinie.

- Dawaj, proszę.

- Kontrolerów poddaje się różnym testom, żeby sprawdzić, czy nadają się do tej pracy.

Cornwall przeszedł je w czołówce...

Zimny jak lód, szybki i metodyczny... Ale okazało się, że woli nocne zmiany, a właściwie nalegał, żeby mu je wyznaczano, co jest dość niezwykłym zjawiskiem.

- Podobnie postępował i tutaj. Dzięki temu mój informator mógł go zidentyfikować. Jakie wnioski wyciągnięto w Chicago?

- Że jego małżeństwo przeżywa kryzys, być może ostateczny.

- Najwyraźniej była to nieprawda, bo przyjechali tu oboje i kupili sobie mieszkanie za sześćset tysięcy.

- Powiedziałem - to opinie, a nie fakty.

- Być może opierały się na informacjach, że ugania się za kobietami.

- Testy nie sięgają tak daleko. Kontrolerzy są potrzebni.

Niewykluczone, że po prostu nie lubił nocować w domu.

- Sprawdzę - obiecał Hawthorne. - A co wiesz o naszym pilocie, Alfredzie Simonie?

- Albo ci kłamie, albo jest najbardziej porąbanym palantem, o jakim słyszałem.

- Co?

- Jest biały jak anioł i czeka na niego parę medali, jeżeli kiedykolwiek uzna za stosowne się ujawnić. Nie ma najmniejszej wzmianki o przejęciu przez niego jakiegokolwiek samolotu Lao, ani nielegalnie, ani legalnie. Był bardzo młodym podporucznikiem lotnictwa, który zgłosił się na ochotnika do wypełniania niebezpiecznych operacji przeprowadzanych z Vientiane. Jeżeli cokolwiek ukradł, nikt tego nigdy nie zgłosił. Gdyby przyszedł jutro do Pentagonu, urządziliby mu fetę, wręczyli parę kolekcji odznaczeń lotniczych i dali jakieś sto osiemdziesiąt tysięcy z kawałkiem za niebezpieczne akcje i zaległe uposażenie, którego nigdy nie odebrał.

- Jezu Chryste. Powiem ci wprost, Henry: on nie ma o tym pojęcia!

- Skąd wiesz?

- Ponieważ doskonale zdaję sobie sprawę, gdzie wysłała pieniądze.

- Nie nadążam za tobą.

- No i dobrze. Cały dowcip polega na tym, że wymienił kłamstwo, które dusiło go od lat, na prawdę, która może go zabić już dzisiaj.

- Wciąż nie chwytam...

- Zmuszono go szantażem do pracy dla niewłaściwych ludzi.

Dla Bajaratt i spółki.

- Co z tym zrobisz? - zapytał Stevens.

- Nie ja, ale ty. Wysłałam podporucznika Alfreda Simona do tutejszej bazy marynarki wojennej, a ty musisz przetrzymać go samolotem do Waszyngtonu i dobrze schować do chwili, kiedy będzie mógł bezpiecznie się ujawnić i zostać cichym bohaterem z paroma dodatkowymi dolarami.

- Skąd taki pośpiech?

- Bo jeżeli nie zrobimy tego jak najszybciej, może być za późno, a jest nam potrzebny.

- Żeby zidentyfikować Neptuna?

- Między innymi. Z pewnością są sprawy, o których jeszcze nie wiemy.

- Jeden Simon, pierwsza klasa wojskowa do Waszyngtonu powiedział szef wywiadu marynarki. - Co dalej?

- Żona kontrolera Cornwalla. Jak ma na imię?

- Rose.

- Coś mi się wydaje, że płatki tej róży nieco przywędły. Hawthorne odłożył słuchawkę i popatrzył na Cathy, która stała oparta o framugę drzwi. - Chciałbym, żebyś pojechała z Jacksonem do San Juan i żebyście zawieźli Simona do bazy marynarki.

Błyskawicznie.

- Mam nadzieję, że się nie pomyli i nie spróbuje mnie zatrudnić.

- Nie jesteś w jego typie. - Tyrell wziął książkę telefoniczną z półki nocnego stolika i przekartkował do litery C.

- Nie wiem, czy potraktować to jako komplement, czy obrazę.

- Dziwki nie noszą broni, bo jej wypukłość psuje ich kształty.

Upewnij się więc, że twoją dobrze widać.

- Nie mam broni.

- Weź mój pistolet z sekretarzyka... Jest Cornwall - jedyny na Verde.

- Wiesz co? - powiedziała major, biorąc walthera z blatu sekretarzyka. - Jest taki mały, że zmieści się w mojej torebce.

- Ty masz torebkę? - Hawthorne zanotował adres Cornwallów w hotelowym notatniku i spojrzał na nią.

- No cóż, sądzę, że w normalnych okolicznościach powinnam chodzić z plecakiem, ale od dwudziestu czterech godzin noszę tę śliczną torebkę wyszywaną perełkami. Pasuje do sukienki... Jackson zaaprobował.

- Nie cierpię tego sukinsyna... Czy w końcu pójdziecie?

- Właśnie wyszedł spod prysznic. Ciągłe śpiewa piosenki country, i to tak głośno, że pewnie nie ma głowy pod wodą.

- W takim razie ubierz tego dzieciaka i wynoście się. Naprawdę nie mam ochoty mieć na karku kolejnego trupa, tym razem o nazwisku Simon.

- Tak jest, komandorze!

Tyrell zajechał białym cadillakiem Simona na parking koło domu, w którym mieszkali Cornwallowie. Zgodnie z przypuszczeniami Stevensa mieścił się on nie tylko w bardzo drogiej dzielnicy

Isla Verde, tuż obok plaży, ale także każde mieszkanie miało własny obszerny balkon wychodzący na ocean. Po obu stronach budynku znajdowały się wielkie tarasowate baseny.

Hawthorne wysiadł z samochodu, poszedł ścieżką prowadzącą do wejścia i skinął ręką pełniącemu służbę mężczyźnie. Podobnie jak we wszystkich domach w tej dzielnicy, za biurkiem w niewielkim pomieszczeniu odgrodzonym grubą szklaną płytą siedział umundurowany portier. Nacisnął znajdujący się przed nim guzik i zapytał: - Español czy Ingles, señor!

- Angielski - odparł Tyrell. - Muszę widzieć się z panią

Rosę Cornwall. W bardzo pilnej sprawie.

- Czy jest pan z policji, señor!

- Policji? - Hawthorne zamarł na chwilę, ale błyskawicznie odzyskał refleks i odparł obojętnie, lecz stanowczo. - Oczywiście, że tak. Jestem z konsulatu Stanów Zjednoczonych. Policja mnie wezwała.

- Proszę wejść, señor.

Głośny brzęczyk oznajmił, że drzwi się otworzyły. Tyrell wszedł do środka i natychmiast zwrócił się do siedzącego za kontuarem pracownika ochrony.

- Proszę numer mieszkania Cornwallów.

- Dziewięć zero jeden, señor. Wszyscy są na górze.

Wszyscy? Co, u diabła...? Przeszedł szybkim krokiem do wind i raz za razem przyciskał guzik tak długo, aż drzwi się otworzyły.

Piętra przesuwały się powoli, bez końca, wreszcie winda zatrzymała się na dziewiątym piętrze. Ruszył korytarzem i nagle zatrzymał się gwałtownie, widząc grupę ludzi i

błyski flesza widoczne zza drzwi znajdujących się po prawej stronie w odległości sześciu metrów.

Zbliżył się do nich i zauważył, że większość zgromadzonych osób obojga płci jest w mundurach policyjnych. Nagle z mieszkania wyszedł niski, krępy mężczyzna w szarym garniturze z niebieskim krawatem i przerzucając kartki notesu, rozsunął stojących w przejściu. W pewnym momencie zerknął na Tyrella, opuścił wzrok, a potem szybko popatrzył znowu. Jego ciemne oczy spoglądały uważnie, z pewnym zaskoczeniem. Był to detektyw z policji, którego zaledwie osiem godzin temu Hawthorne spotkał na lotnisku.

- Ach, senior, widzę, że żaden z nas nie mógł się wypać między tymi tragediami. Jej męża zabito ubiegłej nocy, ją zaś dziś rano...

A pan, osoba całkowicie obca obojgu, pojawia się niespodziewanie w obu miejscach.

- Niech pan da spokój, poruczniku, nie mam czasu na takie głupoty. Co się stało?

- Sprawia pan wrażenie niezwykle zainteresowanego tym małżeństwem. Być może, aby zamaskować swój związek z tą sprawą.

- No tak, jasne, załatwiłem każde z nich, a potem uprzejmie zjawiłem się na miejscach zbrodni. Chłopie, jestem niebywale sprytny, nieprawdaż? No, mów pan, co się stało?

- Ależ bardzo proszę, senior - odparł detektyw, wprowadzając go do salonu. Panował w nim potworny bałagan - meble były poprzewracane, szkło i porcelana potłuczone. Nie widać było jednak ani śladów krwi, ani ciała. - Oto scena pańskiej „likwidacji”.

Dokładnie tak, jak spodziewał się pan zobaczyć, mam rację senior!

- Gdzie jest ciało?

- Nie wie pan?

- A niby skąd mam wiedzieć?

- Zapewne tylko pan może odpowiedzieć na to pytanie.

Ubiegłej nocy przebywał pan w kuchni, w której znaleźliśmy ciało kontrolera lotniczego, jej męża.

- Dlatego, że ktoś wrzeszczał, iż tam jest!

- A teraz widzę pana tutaj. Dlaczego?

- Sprawa jest poufna.... Nie możemy dopuścić, żeby wszystko znalazło się w waszych gazetach.

- Nie możecie? A kim pan jest, jeśli wolno spytać?

- Wyjaśnij mi pan, co się stało, a wtedy może odpowiem.

- A więc americano wydaje mi rozkazy?

- Uprzejmie pana proszę. Muszę wiedzieć.

- W takim razie zagramy w pańską chytrą grę, senior. Detektyw poprowadził Tyrella między klęczącymi i pochylonymi technikami z daktyloskopii w stronę balkonu. Rozsuwane drzwi były otwarte, sięgająca od sufitu po podłogę osłona rozcięta jakby ciężkim ostrym nożem i odchyłona na zewnątrz. - Tędy właśnie wypchnięto tę kobietę. Spadła z wysokości dziewięciu pięt. Nic pan o tym nie wie, senior?

- O czym pan mówi?

- Załóżcie mu kajdanki - polecił detektyw policjantom stojącym za plecami Hawthorne'a.

- Co?

- Jest pan moim głównym podejrzanym, senior, a muszę dbać o swoją opinię.

Trzy godziny i dwadzieścia dwie minuty później, po zażartej sprzeczce z upartym, zarozumiałym detektywem, Tyrellowi pozwolono na wykonanie bardzo prywatnego telefonu. Zadzwoił do

Waszyngtonu i trzydzieści osiem minut później niższy stopniem funkcjonariusz komendy policji zwolnił go z aresztu, przekazując jednocześnie zdawkowe przeprosiny swoich przełożonych. Hawthorne nie miał pojęcia, gdzie się znajduje cadillac Simona, wrócił więc do hotelu taksówką.

- Gdzieś ty się podziewał przez ostatnie pięć godzin?! - wykrzyknęła Catherine.

- Wynająłem na dole samochód i zamierzałem właśnie wyruszyć do miasta, żeby przyłożyć paru zakutym łbom - dodał Poole.

- Byłem w pudle - odparł spokojnie Tyrell, kładąc się na tapczanie. - Czy wywieźliście Simona?

- Z pewnymi kłopotami - odparła Neilsen. - Zaczniemy od tego, że co nieco podcięty pan Simon rzeczywiście uznał, iż stanowiłabym niezłe uzupełnienie jego stajni. I był to większy komplement niż jakikolwiek, który usłyszałam od ciebie.

- Mea culpa.

- Zawieźliśmy go do bazy i wlailiśmy w niego wiadro kawy ciągnęła Cathy. - Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby mu choć trochę pomogło. Kiedy wieźliśmy go wózkiem inwalidzkim do samochodu, dwa razy mi się oświadczył.

- Ma prawo. Jest prawdziwym bohaterem.

- Ma prawo do mnie?

- Tego nie powiedziałem. Chodziło mi o to, że miał prawo się oświadczać.

- Co teraz robimy? - spytał Poole.

- Która godzina?

- Za dwanaście trzecia - odparła Catherine, przyglądając się uważnie Tyrellowi.

- W takim razie jeszcze dwanaście minut i się dowiemy oznajmił Hawthorne. Usiadł na tapczanie i uświadomił sobie, że się poci, chociaż w pokoju jest chłodno.

W miarę upływu każdej minuty jego niepokój narastał, a nie poddające się kontroli obrazy Dominique/Bajaratt powodowały, że niepokój ten coraz silniej zabarwiała wściekłość. Wiedział, że coś takiego się zdarzy, ale nie robił nic. Zamiast działać, chodził jedynie bez celu i odczuwał niemal wdzięczność za godziny spędzone w komendzie policji, gdzie kłótnie i bezsensowne wrzaski zajmowały mu czas.

- Jest już trzecia, Tye - oświadczyła Cathy. - Czy chcesz, żebyśmy wyszli?

Hawthorne zaprzestał swojej błędnej wędrówki. Popatrzył na oboje oficerów lotnictwa. - Nie - odpowiedział. - Chcę, żebyście tu byli, ponieważ wam ufam.

- Obchodzisz nas, komandorze - odrzekła major. - To równie ważne.

- Dziękuję. - Tyrell podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Wybrał numer.

- Słucham? - Głos z Fairfax w Wirginii był chłodny, a pierwsze wypowiedziane słowo-zabrzmiało tak, jakby rozmówca nie bardzo miał ochotę na konwersację.

- Tu Hawthorne.

- Proszę poczekać. - Rozległa się seria krótkich pisków i N.v.N. odezwał się znowu, tym razem zdecydowanie bardziej uprzejmym tonem. - Teraz możemy rozmawiać swobodnie, komandorze, chociaż w naszej pogawędce nie będzie nic kompromitującego.

- Czy jesteśmy nagrywani? Chodzi mi o te dźwięki.

- Wręcz przeciwnie, włączyłem mikser. Magnetofon zarejestrowałby tylko bełkot. Dla dobra nas obu.

- W takim razie może mi pan przekazać to, co pan chciał. o Amsterdamie.

- Nie w pełni. Aby obraz był kompletny, potrzebne mi są pańskie oczy.

- Co to ma znaczyć?

- Fotografie. Z Amsterdamu. Jest na nich zarejestrowana pańska żona Ingrid Johansen-Hawthorne w towarzystwie trzech mężczyzn w czterech odrębnych miejscach: w Zuiderkerk Zoo, domu Rembrandta, na stateczku wycieczkowym po kanałach i w brukselskiej kawiarni. Każde z tych zdjęć wskazuje, że wykonano je w czasie tajnej i wyjątkowo intensywnej konferencji. Jestem przekonany, że jeden z rozmówców pańskiej żony - jeżeli nie wszyscy trzej - jest odpowiedzialny za jej śmierć albo dlatego, że ją wydał, albo dlatego, że sam był mordercą.

- Kim oni są?

- Tego nie ujawnię nawet przy mikserze, komandorze. Powiedziałem „jeden z nich, jeżeli nie wszyscy trzej”, ale prawdę mówiąc, zidentyfikowałem tylko jednego... Jestem jednak pewien, że panu uda się rozpoznać obu pozostałych. Mnie się nie udało. Akta są zamknięte, poza moim zasięgiem.

- Dlaczego jest pan pewien, że zdołam to ustalić?

- Ponieważ się dowiedziałem, że byli wśród pańskich konspiracyjnych kontaktów w Amsterdamie.

- Ponad trzydziestu, może czterdziestu ludzi... Wspomniał pan również o sprawie powiązanej z doliną Bekaa.

- W tym sensie, że Bekaa ma swoje liczne wtyczki w Amsterdamie, jak również w Waszyngtonie.

- Waszyngtonie?

- Z całą pewnością.

- A co pan powie na temat „strategii”, która może być ponownie zastosowana? Jeżeli dwa plus dwa równa się cztery, robi pan aluzję do obecnej sytuacji.

- Niewątpliwie. Czy przypomina pan sobie, że pięć lat temu, mniej więcej trzy tygodnie przed zabójstwem pańskiej żony, prezydent Stanów Zjednoczonych miał uczestniczyć w konferencji NATO w Hadze?

- Oczywiście. Odwołano ją i miesiąc później przeniesiono do Toronto.

- Pamięta pan, dlaczego?

- Jasne. Otrzymaliśmy wiadomość, że z Bekaa wysłano tuzin grup szturmowych, aby dokonały zabójstwa prezydenta... i innych.

- Dokładnie tak. W tym również premiera Wielkiej Brytanii i prezydenta Francji.

- Ale gdzie tu są jakieś powiązania?

- Wszystko panu wyjaśnię, gdy się spotkamy... Kiedy zidentyfikuje pan tych dwóch ludzi, co się z pewnością panu uda. Mój samochód będzie w strefie ogólnej w porcie lotniczym San Juan o czwartej trzydzieści. Recepcja skieruje pana... A przy okazji, nazywam się van Nostrand, Nils van Nostrand. Jeśli będzie pan miał jakieś wątpliwości na mój temat, proszę się porozumieć za pośrednictwem łączności marynarki wojennej z sekretarzem stanu, dyrektorem CIA i sekretarzem obrony. Niech pan jednak, na litość boską, nie wspomni ani słowem o tym, co powiedziałem. Jestem pewien, że zechcą za mnie poręczyć.

- Ci ludzie rzeczywiście są z najwyższych szczebli...

- A także od wielu lat moimi bliskimi przyjaciółmi i współpracownikami - przerwał mu van Nostrand. - Wystarczy, że pan poinformuje, iż w pańskiej obecnej sytuacji zawodowej chciałbym się z panem spotkać, a niewątpliwie tylko pana do tego zachęca.

- Co właściwie eliminuje konieczność wykonywania takich telefonów - zauważył Hawthorne. - Podróżuję w towarzystwie dwóch współpracowników, panie van Nostrand.

- Tak, wiem. Major Neilsen i porucznika Poole'a odkomenderowała do pańskiej dyspozycji baza lotnicza Patrick. Z przyjemnością się zgadzam, aby panu towarzyszyli, aczkolwiek obawiam się, że nie mogę zaakceptować ich obecności w czasie naszego spotkania. Kilka kilometrów dalej jest doskonały motel. Zarezerwuję dla nich miejsca, oczywiście na mój koszt. Samochód zawiezie ich tam zaraz po waszym wylądowaniu.

- Chryste! - eksplodował nagle Hawthorne. - Jeżeli dysponował pan tą informacją, to dlaczego, do diabła, czekał pan tak długo, żeby mi ją przekazać?

- Doprawdy, nie było to aż tak długo, komandorze, i z oczywistych powodów czas jest najzupełniej właściwy.

- Niech to jasna cholera! Kim jest ten człowiek, którego zidentyfikował pan na zdjęciu? Jako zawodowiec, panie van

Nostrand, mam w pamięci więcej nazwisk podwójnych i potrójnych agentów, niż potrafiłby pan zliczyć. I z każdym z nim byłem na sympatycznych obiadach!

- Nalega pan?

- Tak!

- No cóż. To człowiek, którego podejrzewa pan od pięciu lat.

Komandor Henry Stevens, obecnie szef wywiadu marynarki wojennej. - Van Nostrand przerwał na chwilę, a potem dodał. - Nie miał wyboru. Albo pan zabiłby jego, albo Sowieci pańską żonę.

Stevens i ona od kilku lat byli kochankami. Nie mógł pozwolić jej odejść.

ROZDZIAŁ 17

Na ścieżce waszyngtońskiego(c) Rock Creek Park postać ludzka wyłaniała się i znikwała w cieniu listowia, z którym nie mogły sobie poradzić rzadko rozmieszczone lampy. Mężczyzna słyszał szmer wody dobiegający z położonego niżej wąwozu i wiedział, że jest już niedaleko miejsca spotkania - ławki ustawionej przy ścieżce między dwiema lampami. W mroku, niemal w zupełnej ciemności, ponieważ żaden ze spotykających się nie mógł być widziany w towarzystwie drugiego. Stanowiło to niezłomną zasadę. Obaj byli

Skorpionami.

Widząc, że kolega siedzi już na ławce z żarzącym się cygarem w ręku, David Ingersol podszedł bliżej, rozglądając się na boki, aby upewnić się, że są sami. Byli. Przyłączył się do siedzącego.

- Halo, Davidzie - powiedział Skorpion Dwa, krępy, łysiejący mężczyzna z resztkami rudych włosów, o nalanej twarzy i krótkim, grubym nosie.

- Dobry wieczór, Pat. Parną mamy noc, prawda?

- Mówią, że nie będzie padało, ale te dupki zazwyczaj się mylą. Nawet wziąłem ze sobą jeden z tych idiotyzmów, które składają się do tego stopnia, że można je włożyć do kieszeni.

Zresztą to jedyny z nich pożytek.

- Zapomniałem swojego parasola. Mam mnóstwo na głowie.

- Widać. Ostatni raz spotkaliśmy się ponad trzy lata temu.

- Obecnie sytuacja jest o wiele gorsza.

- Doprawdy?

- Musisz zdawać sobie sprawę, że wszystko zakrawa na szaleństwo - oznajmił Skorpion Trzy.

- Nie bawię się w oceny. Jestem dość zamożnym człowiekiem, który wykonuje rozkazy, nie zaś je kwestionuje.

- Aż do samozniszczenia?

- Daj spokój, Davey, opuściliśmy nowicjat dawno temu, kiedy sprzedaliśmy nasze dusze Dobroczyńcom.

- Tego rodzaju abstrakcja filozoficzna mnie nie interesuje.

Zależy mi na ochronie naszych zdobyczy; tego, co osiągnęliśmy.

Ten chory przewrotny starzec nie żyje, a razem z nim odeszła starcza demencja, która stworzyła to szaleństwo... Zadaj sobie pytanie, O'Ryan, jaki ewentualny zysk może nam przynieść przygotowywane zabójstwo... wielokrotne zabójstwo?

- Żadnego, oprócz jednej dość istotnej korzyści polegającej, powiedzmy, na subtelnej różnicy, czy będziemy żyć, czy nas zabiją.

- Dobry Boże, kto?

- Szaleńcy, dla których ta operacja stała się obsesją. Ta kobieta nie działa sama, ma swoich zwolenników, podobnie jak

Abu Nidal i jemu podobni. Może tworzą niewielki krąg osób, ale są w równym stopniu sfanatyzowani jak pomysłowi. Nie, Davidzie, zrobimy wszystko, co nam każe Skorpion Jeden, i jeżeli nawet zdarzy się coś, co spowoduje wykolejenie tej szalonej lokomotywy, będzie mógł zameldować, że spełniliśmy nasze zobowiązania. Nikt nie będzie miał podstaw do obwiniania nas o to, że sprawy przyjęły niepożądany obrót.

- Zameldować...?

- Jezu, mecenasie, nie zmuszaj mnie, abym stracił szacunek dla twoich talentów prawniczych, uznając, że nie domyśliłeś się, jakie miejsce w tym planie wyznaczono Skorpionom. Może prawo nie wymaga dokonywania tak pokrętnych analiz, w co nie uwierzę, ale ja przez dwadzieścia sześć lat byłem pracownikiem wywiadu i potrafię rozpoznać piramidę, jeżeli dostrzegę przed samym nosem charakterystyczny czworościenny ostrosłup. Może jesteśmy na trzech czwartych jej wysokości, Skorpion Jeden - na siedmiu ósmych, ale istnieje jeszcze wyższy poziom.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z hierarchii, O'Ryan. Wiem jednak również coś, czego sobie nie uświadamiasz.

- Trudno mi w to uwierzyć, ponieważ oprócz Skorpiona Jeden byłem głównym pośrednikiem między padrone a naszą tutejszą małą, lecz liczącą się grupką. Prawdę mówiąc, jako numer dwa byłem ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiał przed swoim wyłączeniem się. Powiedział to wyraźnie.

- Podejrzewam jednak, że wykonał jeszcze jeden telefon.

- Czyżby?

- Praktycznie biorąc, od jutra rano t o j a będę Skorpionem

Jeden. Obawiam się, że uznano mnie za bardziej odpowiedniego do tej roli niż ty. Zadzwoń pod jego zastrzeżony numer, a się przekonasz. Uzyskasz dowód.

Analitik z Centralnej Agencji Wywiadowczej spoglądał na pogrążone w cieniu ostre rysy twarzy Davida Ingersola. Wreszcie odezwał się cicho:

- Nie będę próbował ukryć mojego rozczarowania, ponieważ jestem człowiekiem o wiele bardziej wartościowym od ciebie, a zarazem osobą znacznie mniej znaną. Z drugiej jednak strony masz swoją firmę i wpływ na określonych ludzi, co - jak sądzę - na tym szczeblu jest nieuniknione. Niemniej z zawodowego punktu widzenia muszę cię ostrzec, Davey. Bądź ostrożny, bardzo, ale to bardzo ostrożny. Jesteś za bardzo na widoku.

- Nie rozumiesz, O'Ryan? Na tym właśnie polega mój kamuflaż. Jestem powszechnie szanowaną osobistością.

- W takim razie nigdy już nie wracaj do Porto Rico.

- Co? - Ingersol robił wrażenie, jakby nagle uderzyła go ciężarówka. - O czym ty...?

- Doskonale wiesz, o czym. Powiedzmy, że spodziewałem się wiadomości, którą mi przekazałeś.. Gruby irlandzki błazen, który je zbyt dużo, jest cholerykiem i czasami nosi nawet białe skarpetki... został pominięty na rzecz pieprzonego czcigodnego adwokata, dysponującego wszelkimi niezbędnymi powiązaniem, mającego nienaganne pochodzenie, dyplom z Ivy League, tatusia sędziego

Sądu Najwyższego, wspinała rodzinę należącą do wszystkich właściwych klubów... I ty myślisz, że to wystarczy, aby zostać

Skorpionem Jeden? Naprawdę sądzisz, że się z tym pogodzę...?

Padrone wiedział, że jestem tu jego główną wtyczką, i nikt mi nie wmówi, że to właśnie on wydał takie polecenie. Nie masz nawet ułamka moich możliwości dostępu do międzynarodowych danych wywiadowczych.

- Dlaczego Porto Rico? - zapytał przerażonym szeptem

Ingersol. Nawet nie słyszał przemowy Skorpiona Dwa.

- Mam zeznania - tylko ja, nikt inny - złożone przez dziwki z domu przy Calle del Ocho w starym San Juan.

- Chodziłem tam, ponieważ zlecił mi to Skorpion Jeden!

Sprawdzałem pilota!

- Ujmując rzecz brutalnie, S-Trzy, posunąłeś się za daleko.

Pewnego wieczoru nawet zemdlałeś...

- Na krótko, zaledwie na minutę, i nic się nie stało! Pieniądze, portfel, wszystko było nienaruszone! Po prostu byłem wyczerpany!

- Ale to bez znaczenia, prawda? Dzięki moim własnym źródłom w starym San Juan, które nie mają nic wspólnego z naszą małą grupką, dysponuję nawet fotografiami...

Ingersol potrząsał głową i oddychał głęboko. Jego napięcie powoli malało, gdy uświadomił sobie, że musi się pogodzić z losem prawnika - własną klęską.

- Czego chcesz, Patricku?

- Kontroli. Nadaję się do niej o wiele lepiej niż ty. Wszystkiego, co wiesz, dowiedziałeś się ode mnie. Jestem w kręgu sprawy

„Krwawa Dziewczynka”, a ty nie.

- Nie mogę niczego zmienić, moje nazwisko przekazano dalej.

- Na litość boską, zatrzymaj sobie tytuł, nie mam zamiaru ci go odbierać. Gdybym to zrobił, musiałbyś zniknąć, co pociągnęłoby za sobą zbyt wiele pytań. Nie, jesteś Skorpionem. Jeden i zostaniesz nim, dopóki twój czas nie minie, ale ja będę pociągał za sznurki. Przekonasz się, że to nic trudnego - będę cię informował o wszystkim.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny - odparł sarkastycznie adwokat.

- Nie, po prostu taka jest konieczność. Nie jestem wspaniałomyślny, ale potrafię być ustepliwy, czyż to nie piękne słowo? Na przykład zgadzam się z tobą, że to szaleństwo należy przerwać, bo może doprowadzić jedynie do chaosu, który zaszkodzi wszystkim.

Zaczną węszyć i tropić. Nie stać nas na takie ryzyko.

- Ale przecież sam powiedziałeś, że nie powinniśmy przeszkadzać. Jeżeli zdarzy się coś, co spowoduje katastrofę tego przedsięwzięcia, Skorpiony staną się pierwszymi podejrzanymi.

A wcale mi się nie uśmiecha podejrzenie gardła nożem z doliny

Bekaa.

- Nic nie może wskazywać na nas. Cała zasługa musi przypaść naszym niewiarygodnie skutecznym służbom wywiadowczym.

- Znajdą cię i dopadną.

- Nie przypuszczam, Davey, żebyś płakał z tego powodu, ale muszę cię zapewnić, że się mylisz. Z dokumentów będzie wynikało, że wysłałem oddziały w niewłaściwym kierunku i bardzo się z tego powodu później sumitowałem. Czy wiesz, gdzie jest teraz ta kobieta?

- Nikt nie wie. Razem z tym młodym Łotyszem zeszła do podziemia i może być wszędzie.

- Pomogłem im przejść przez kontrolę paszportową w Lauderdale, skąd pojechali do West Palm Beach. Według S-Dwadzieścia

Dwa zameldowali się w podrzędnym motelu, a potem zniknęli.

- Mogą być wszędzie - powtórzył Ingersol. - Nie wiemy, jak wyglądają, ani kim są. Żadnych rysopisów, żadnych fotografii...

- MI-6 i Deuxieme przysłały nam jej hipotetyczne zdjęcia, szczerze mówiąc bezużyteczne. Równie dobrze mogą przedstawiać jedną osobę, jak i trzy różne kobiety, a biorąc pod uwagę talent, z jakim ta dama zmienia swój wygląd, w niczym nam nie pomogą.

- Jak już powiedziałaś, zniknęli. Nie wiadomo nawet, czy podróżują razem, czy osobno, ani też jaką rolę odgrywa ten młody człowiek.

- Stanowi połączenie goryla - tępego ochroniarza, który robi, co mu każą - i niezbędnego towarzysza podróży.

- Nie rozumiem.

- Z tego, co mogą sobie przypomnieć celnicy z Marsylii, wynika, że jest to duży, niezgrabny dzieciak, który chyba nawet nie umie czytać ani pisać, ale zapewne na rozkaz potrafi przełamać człowieka na pół.

- Co znaczy, że jest „niezbędnym towarzyszem podróży”?

- Na podstawie informacji dostarczonych przez izraelski

Mossad, Paryż i Londyn świrolodzy opracowali jej profil psychopatologiczny. Kupa zawodowego bełkotu, ale jest w tym również sporo sensownych rzeczy... Podobnie jak większość fanatyków, ta cała Bajaratt robi wszystko w przesadny sposób i te krańcowości zapewne tłumaczą to, co specjaliści od czubków nazywają „emocjonalnym nieumiarkowaniem” jej działań. Profil sugeruje również, że jej aktywność seksualna może ograniczyć z nimfomanią, ale baba jest zbyt ostrożna, aby wskakiwać do łóżek nieznanym, chyba że w ściśle określonym celu.

W rezultacie potrzebuje głupiego ogiera, którego może kontrolować.

- Zniknęli. Praktycznie mogą być każdym, wszędzie i z minuty na minutę coraz bardziej się zbliżać. Co możemy zrobić?

Równie dobrze mogą być zwykłymi turystami zwiedzającymi Biały

Dom, jak i osobami, które protestują z torbą granatów albo bezpośrednio przed budynkiem, albo przy jednym z bocznych podjazdów.

- Zwiedzanie Białego Domu zawieszono - oczywiście z powodu remontu, a samochodowe jazdy prezydenta po Waszyngtonie całkowicie odwołano. I jedno, i drugie pociągnięcie między nami mówiąc - jest zupełnie zbędne, ponieważ takie działania nie są w stylu Bajaratt. Jej taktyka polega na tym, aby przechytryć i uderzyć, a nie uderzyć i dać się zabić.

Ten sposób postępowania sięga aż do okresu jej dzieciństwa.

- Dzieciństwa?

- I tu wychodzi twój brak dostępu do źródeł, którymi ja dysponuję, Davey. Dlatego też będę Skorpionem Jeden - chociaż bez oficjalnego tytułu.

- Ale co możemy zrobić? - powtórzył Ingersol.

- Czekać. Zanim zaatakuje, będzie musiała porozumieć się z tobą, Skorpionem Jeden, choćby po to, aby ułatwić sobie ucieczkę - zakładając oczywiście, że dożyje.

- A jeżeli sama poczyni takie przygotowania?

- Nikt prowadzący „czarne” operacje nie ogranicza się tylko do jednego planu ewakuacji z punktu zero. Kolejna rzecz, o której nie wiesz, S-Trzy. Prowadziłem zakonspirowanych pracowników operacyjnych, którzy - wychodząc z założenia, że mogą do nich nie dotrzeć - wchodzili w nieoficjalne układy z trzema innymi wydziałami. Tak wygląda standard. Lojalność jest głównie warta, najważniejsze to przeżyć.

- Sądysz więc, że do mnie zadzwoni?

- Owszem, jeśli ma choć trochę oleju w głowie, a z tego, co wiem, ma go cholernie dużo. Możesz być pewny.

Amaya Bajaratt szła spokojnie przez hotelowy hol, doskonale wczuwając się w rolę czterdziestoletniej contessy, gdy nagle stanęła jak sparalizowana. Blondyn w recepcji był tajnym agentem Mossadu. Włosy najwyraźniej niedawno rozjaśnił - kiedy go poznała i spała z nim w Hajfie, miał ciemnobrązowe. Opanowała się i szybkim krokiem ruszyła w stronę wind, od razu podejmując narzucającą się decyzję: ona i Nicolo muszą natychmiast się wyprowadzić. Ale dokąd? I jak wytłumaczyć takie posunięcie? Tyle osób telefonowało do niej do hotelu - ważne osobistości z Senatu i Izby Reprezentantów, politycy zwabieni nazwiskiem Ravello, wśród których istotną figurą był senator

Nesbitt z Michigan, człowiek mający jej umożliwić spełnienie ostatecznego zadania - spotkanie z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Było to powtórzenie sytuacji z Wolfschantze, ale jej działania będą o wiele skuteczniejsze niż podjęte przez grupę generałów niechętnych Adolfowi Hitlerowi... Dosyć! Musi przede wszystkim wydostać się z hotelu! Wbiegła do głównej windy i przycisnęła guzik piętra, na którym znajdował się jej apartament.

- Czyż ona nie jest piękna, Cabi?! - zawołał Nicolo na jej widok. Siedział przed telewizorem w saloniku i obserwował wyświetlaną o wpół do siódmej powtórkę westernowego serialu z Angel Capell. - Czy uwierzysz? Rozmawiałem z nią przed godziną! Popatrz tylko!

- Basta, Nico! Pamiętaj, że jest zainteresowana barone-cadetto di Ravello, a nie biednym śmieciem z doków Portici!

- Dlaczego mnie pani obraża, signora? - zapytał chłopak, spoglądając z gniewem prosto w jej oczy. - Powiedziała pani, że nie ma w tym nic złego, że czuję coś do Angeliny.

- Już nie. Wyjeżdżamy!

- Dlaczego?

- Bo tak mówię, głupcze! - odparła Baj, kierując się do biurka i telefonu. - Zapakuj nasze rzeczy. Już! - Wybrała numer, który miała na trwale zapisany w swojej niezwykłej pamięci.

Ponieważ była to jedyna rozmowa i nie tworzyła żadnego określonego wzoru, Amaya postanowiła skorzystać z hotelowego telefonu.

- Słucham? - rozległ się głos w Fairfax.

- To ja. Muszę się ukryć. Nie w tym hotelu i nie w Waszyngtonie.

- Niemożliwe. Moja posiadłość, zwłaszcza dziś w nocy, nie wchodzi w rachubę.

- Rozkazuję panu w imieniu padrone i wszystkich jego podwładnych, poczynając od Doliny po Palermo i Rzym! Jeżeli mi pan odmówi, będą pana ścigać tak długo, aż zabiją!

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Wreszcie usłyszała:

- Wyślę po was samochód, ale dziś wieczorem się nie spotkamy.

- Spotkanie nie ma znaczenia. Potrzebuję numer telefonu.

Spodziewam się telefonów.

- Umieszczę panią w najbardziej odległym domku gościnnym, gdzie każdy telefon jest na osobnej linii. Kiedy już tu panią przywiozą, zadzwoni pani do hotelu i poda im numer. Jest przełączony na stan Utah, a stamtąd retransmitowany przez satelitę z powrotem tutaj. Nie ma się więc czym przejmować.

- Grazie.

- Per cento anni, signora. Ale muszę panią ostrzec, że od jutra jest pani zdana na samą siebie.

- Perche?

- Wyjeżdżam i pani nic nie wie na ten temat. Jest pani po prostu przyjaciółką z Europy, która lada chwila spodziewa się ode mnie wiadomości. Poza tym może pani skorzystać z tego numeru, aby porozumieć się z moim następcą.

- Rozumiem. Kiedy pana znowu usłyszę?

- Nigdy.

Odrzutowiec Gulfstream przeleciał nad linią brzegową Stanów Zjednoczonych na wschód od zatoki Chesapeake, nad przylądkiem Charles w stanie Maryland.

- Jeszcze piętnaście minut - powiedział pilot.

- Dodaj jeszcze kilka - wtrącił się drugi pilot, przyglądając się skomputeryzowanej mapie wyświetlonej na ekranie tablicy przyrządów. - Zbliża się front burzowy i musimy ominąć go od północy.

- Naprawdę możecie wylądować tą rakieta w czyjejś posiadłości? - zapytał Poole. - Przecież potrzebujecie pasa długości ponad trzech tysięcy.

Drugi pilot popatrzył na ubranego po cywilnemu Poole'a.

- Lata pan? - zapytał.

- No cóż, przesiedziałem kilka godzin za sterami, na pewno nie tyle co wy, koledzy, ale wystarczająco długo, żeby wiedzieć, iż nie możecie posadzić tej sztuki na grządce kapusty.

- To nie żadna grządka, proszę pana, ale wyasfaltowany pas długości czterech tysięcy, z własną wieżą kontrolną, która zresztą bardziej przypomina przeszkloną werandę na poziomie ziemi.

Wykonaliśmy dziś rano kilka próbnych podejść i słowo daję, pan

van Nostrand postarał się pierwsza klasa.

- Najwidoczniej - odparł z tylnego siedzenia wyraźnie poruszony Hawthorne.

- Dobrze się czujesz, Tye? - spytała major.

- Doskonale. Po prostu chcę już być na miejscu.

Dwadzieścia jeden minut później odrzutowiec zatoczył krąg nad rozległymi, pogrążonymi w mroku ziemiami Wirginii. Pola pod nimi przecinał obramowany żółtymi lampami pas. Pilot posadził maszynę i zakołował do oczekującej limuzyny. Obok niej stał wózek golfowy.

Gdy trzech pasażerowie wysiedli z samolotu, przywitało ich dwóch mężczyzn -jeden w czarnym garniturze i czapce z daszkiem, drugi z gołą głową, w sportowej kurtce i jasnobrązowych spodniach.

Obaj stali w ciemności, przed światłami pasa.

- Komandor Hawthorne? - zwrócił się do Tyrella człowiek z prawej strony, ten z gołą głową. - Czy mogę zawieźć pana do głównego budynku wózkiem golfowym? To zaledwie kilkaset metrów.

- Oczywiście. Dziękuję.

- A państwo - odezwał się kierowca - mają przygotowane pokoje w „Shenandoah Lodge”, dziesięć minut jazdy stąd. Oczywiście, z pozdrowieniami od pana van Nostranda. Czy zechcą państwo łaskawie wsiąść do limuzyny?

- Oczywiście - odparła Cathy.
- Ładna taczka - stwierdził Poole.
- Spotkamy się później - dodał Hawthorne.

Kierowca wózka golfowego zatrzymał się i spojrzał na niego. Pan został umieszczony w głównym budynku. Wszystko jest już przygotowane.

- To miło ze strony pana van Nostranda, ale mam inne plany po naszym spotkaniu.
- Będzie niezmiernie rozczarowany i jestem pewien, że przekona pana do zmiany planów, komandorze - dodał szofer, otwierając drzwi przed Neilsen i Poole'em. - Kucharka przyrządziła wspaniały obiad. Wiem coś o tym, bo jest moją żoną...

- Ogromnie ją przepraszam...

- Dobry Boże, jak mi przykro! - zawołał nagle Poole, odwracając się od wielkiego cadillaca i spoglądając na samolot.

- Co się stało? - spytała Cathy, wychylając się z limuzyny.

- Ty i komandor pożegnaliście się z naszymi pilotami, ale ja tego nie zhubiłem, a przecież byli bardzo mili, pokazując mi te wszystkie instrumenty.

- Co...?

- Zahaz whacam!

Porucznik pobiegł do samolotu i krótko rozmawiał z pilotami widocznymi w oświetlonej kabinie. Podał im rękę i szybkim krokiem wrócił do samochodu. Hawthorne w tym czasie wsiadł na wózek golfowy i teraz przyglądał się ze zdziwieniem młodemu oficerowi.

Poole nie tylko pożegnał się z lotnikami, ale zrobił to nader wylewnie.

- No, teraz się czuję o wiele lepiej - oznajmił. - Mama zawsze mi mówiła, żebym zachowywał się uprzejmie i okazywał prawdziwą wdzięczność nieznajomym, którzy traktowali mnie grzecznie. Huszary, szefie, nie mogę się doczekać gojącego physznica. Nie bhałem physznica od tyłu dni! Mama by mi dała w skórę, gdyby zobaczyła mnie takiego bhadnego... Do widzenia, komandorze!

Wreszcie wsiadł do limuzyny. Tyrell ze zmarszczonymi brwiami jechał wózkiem golfowym między żółtymi światłami, a potem przez ogromny trawnik w stronę domu.

Wielki cadillac opuścił pas startowy i ruszył krętą drogą, która nagle się wyprostowała. Reflektory oświetliły ogromną żelazną bramę i wartownię po jej lewej stronie. Od bramy jechała druga limuzyna. Właśnie ją wypuszczono i teraz przejeżdżała tuż obok nich, zbyt szybko jednak, aby można było dojrzeć jej pasażerów.

Nagle Poole przesiadł się z tylnego siedzenia na boczne i Catherine ze zdziwieniem zobaczyła, że Jackson trzyma w ręce walthera.

- Hany boskie, panie kiehowco, musimy się zatrzymać! Nie uwierzy pan, ale czegoś zapomniałem!

- Co takiego, proszę pana? - zapytał zaskoczony szofer.

- Komandora Hawthorne'a, tapirze! - Porucznik przyłożył lufę do prawej skroni przerażonego kierowcy. - Zawracaj tę landarę i wyłącz światła!

- Jackson! - wrzasnęła Neilsen. - Co ty wyprawiasz?

- Cały ten pieprzony interes śmierdzi, Cathy. Twierdziłem tak wcześniej i twierdzę nadal. Zawracaj, sukinsynu, albo będziesz miał mózg na szybie! - Limuzyna wykonała szybki, niepewny skręt o sto osiemdziesiąt stopni, wyskakując na porośniętą trawą pobocze, gdy szofer pochylił się gwałtownie w prawo, chcąc sięgnąć do czerwonego guzika alarmowego. Jego dłoń jednak nigdy do niego nie dotarła. Lufa pistoletu Poole'a z paskudnym trzaskiem spadła na kark mężczyzny, który natychmiast opadł bezwładnie. Porucznik wyszarpnął go błyskawicznie z fotela, rzucił się ponad otwartą szybą dzielącą go od siedzenia szofera, schwycił kierownicę i zawrócił samochód w ciemność, a po chwili przycisnął stopą hamulec.

Zatrzymali się raptownie pod rozłożystymi gałęziami sosny, niecałe dwa metry od jej pnia. Poole odchylił głowę do tyłu i westchnął głęboko.

- Mam wrażenie, że nadeszła pora na wyjaśnienia - odezwała się z tylnego siedzenia wstrząśnięta Neilsen. - Jackson, czyżbyś sugerował, że człowiek, który powiedział Tye'owi, żeby sprawdził go u sekretarza stanu, sekretarza obrony i dyrektora CIA, jest nie tylko kłamcą, ale kimś jeszcze?

- Jeżeli się mylę, złożę przeprosiny, podam się do dymisji, przyłączę do siostrzyczki w Kalifornii i zostanę bogaty jak ona.

- To nie jest wyjaśnienie, poruczniku! Słucham!

- Wróciłem do tych dwóch pilotów...

- Tak, rzeczywiście, kłamiąc, że się z nimi nie pożegnałeś.

A potem oświadczyłeś, że od wielu dni nie brałeś gorącego prysznica, chociaż pięć godzin temu, w San Juan, tkwiłeś pod nim czterdzieści pięć minut.

- Mam nadzieję, że Tye zrozumiał, - Co miał zrozumieć?

- Że wszystko tu śmierdzi. Ci dwaj piloci nie są pracownikami

van Nostranda - wyjaśnił. - Jego stały personel latający ma urlop. Pamiętasz, jak powiedzieli, że dzisiaj rano wykonali kilka próbnych lądowań?

- I co z tego? Jest lato, a w lecie ludzie biorą urlopy.

- A co robimy, kiedy chcemy jakiś element przeprowadzanej operacji utrzymać w tajemnicy?

- Oczywiście wymieniamy personel na zmianach. Zazwyczaj na pochodzący z innych baz. I znowu: co z tego?

- Nadal nie kontaktujesz?

- Nie.

- W takim razie poukładaj sobie wszystko w głowie, Cathy.

Ci dwaj powietrzni taksówkarze opracowywali właśnie cywilny plan lotu na Douglass International w Charlotte, stan Północna

Karolina. Rejs transatlantycki, rządowa eskorta oczekująca samolotu w zabezpieczonej strefie, pojedynczy pasażer - mężczyzna ze statusem dyplomatycznym zapewnionym przez Departament Stanu.

Słuchaj, ci faceci nigdy dotąd nie działali na takim szczeblu. Są nieco nerwowi i moim zdaniem wynika to z faktu, że nie mają zbyt czystych rąk.

- A o czym mi jeszcze nie powiedziałaś, Jackson?

- Dowiedzieli się, że ich pasażerem będzie sam van Nostrand i według planu mają wystartować za godzinę.

- Za godzinę?

- Niezbyt dużo czasu na wykwintny obiad i cholernie ważne spotkanie, nie sądzisz? Wydaje mi się, że ci dwaj piloci są powietrznymi wagabundami - albo nieuczciwi, albo przewoźnicy narkotyków, których przenoszą w podziemnej siatce od jednej roboty do drugiej.

- Sprawiali takie miłe wrażenie...

- Jesteś dziewczyną z prowincji, Cath, a ja z Nowego Orleanu.

Kiedy strzyże się owieczkę, trzeba jej słodko śpiewać. Oczywiście, nigdy czegoś takiego nie robiłem...

- Co teraz?

- Nie chcę uchodzić za panikarza, ale czy masz jeszcze broń

Tye'a?

- Nie. Umocował sobie do łydki.

- Sprawdzę kierowcę... O kurczę, on ma dwie spluwy! Dużą i taką maleńką... Dobra. Weź tę większą i zostań w wozie, a ja włożę to maleństwo do kieszeni marynarki. Gdyby ktoś podjechał do samochodu, nie zadawaj pytań, tylko strzelaj. A jak ten sukinsyn zacznie się ruszać, daj mu po łbie.

- Pieprzycie, poruczniku. Idę z tobą.
- Nie sądzę, aby to było wskazane, majorze.
- Rozkazuję ci, Poole.
- W Regulaminie Wojsk Powietrznych jest artykuł, który głosi...
- Daj spokój! Idę z tobą! Co z kierowcą?
- Pomóż mi. - Jackson wyciągnął szofera z limuzyny i zaczął go wlec obok sosny. -

Zdejmuj mu ubranie, najpierw buty - polecił. Cathy błyskawicznie znalazła się przy nim i zaczęła ściągać z nóg kierowcy mokasyny. - Teraz spodnie rozkazał Poole, dotarłszy do żywopłotu. Zatrzymał się. - A teraz marynarka i koszula... Na razie zostaw mu gacie, zajmę się nimi później.

Minutę później goły jak święty turecki szofer był już związany i zakneblowany uzyskanymi z jego podartej bielizny paskami materiału. Żaden z nich jednak nie był wystarczająco duży, aby mógł posłużyć za listek figowy. Porucznik jeszcze raz uderzył go kantem dłoni w kark. Ciało kierowcy drgnęło gwałtownie, a potem zamarło.

- Nie zabiłeś go chyba? - zapytała skrzywiona Neilsen.

- Jeżeli zostaną tu jeszcze pięć sekund, nie ręczę za siebie. Ten skurwiel miał nas zabić, Cathy, zamierzam ci to udowodnić.

- O czym ty mówisz?

- Wracajmy do bryki. Powinien być w niej telefon. Jestem tego pewien.

Poole zapuścił silnik i uruchomił telefon komórkowy. Potem wyjął go z uchwytu i przez informację połączył się „Shenandoah Lodge”.

- Pilny telefon z bazy lotniczej Patrick - oznajmił oficjalnym, beznamiętnym tonem. - Proszę mnie połączyć albo z major

Catherine Neilsen albo z porucznikiem A. J. Poole'em. Powtarzam, sprawa bardzo pilna.

- Tak jest, sir - odparł spłoszony telefonista. - Natychmiast sprawdzę nasz komputer w recepcji. - Zapadła cisza. Trzydzieści jeden sekund później głos pracownika motelu zabrzmiał w słuchawce z wyraźną ulgą. - W „Shenandoah” nie ma zarejestrowanego nikogo o takich nazwiskach.

- Chcesz jakiś dodatkowy dowód, majorze? - Porucznik wyłączył telefon. - Ten skurwysyn miał nas zabić, nawet nie dowożąc na miejsce. A może po jakichś dziesięciu latach nasze ciała znaleziono by w jednym z mokradeł stanu Wirginia.

- Musimy się dostać do Tyrella!

- Masz absolutną rację.

Hawthorne'a wprowadzono do ogromnej biblioteki Nilsa van

Nostranda, zastawionej pełnymi książek regałami. Podziękował za drinka, zaproponowanego mu przez kierowcę wózka golfowego, który stał przed eleganckim, przeszklonym barkiem.

- Dziękuję, piję tylko białe wino - odparł. - Im tańsze, tym lepsze. I w małych ilościach.

- Mamy doskonałe pouilly-fume.

- Żołądek by mi się zbuntował. Nie jest przyzwyczajony do takiego bukietu.

- Jak pan sobie życzy, komandorze, ale obawiam się, że muszę pana prosić o oddanie broni przymocowanej do pańskiej prawej łydki.

- Mojej prawej...?

- Bardzo proszę - powtórzył z naciskiem kierowca wózka golfowego, wyjmując miniaturową słuchawkę z ucha.- Idąc od głównego wejścia przez korytarz do tego pokoju, przechodził pan obok czterech aparatów rentgenowskich. Każdy z nich zarejestrował broń. Proszę ją oddać.

- To takie stare przyzwyczajenie - odparł niezręcznie Hawthorne, siadając na najbliższym krześle i podwijając nogawkę spodni. - Pewnie postąpiłbym tak samo, nawet gdybym szedł na spotkanie z papieżem. - Rozerwał taśmy velcro, wyjął pistolet i kopnął go w stronę ochroniarza. - Zadowolony?

- Dziękuję panu. Pan van Nostrand będzie za chwilę.

- Jest pan więc pracownikiem ochrony?

- Mój pracodawca to ostrożny człowiek.

- Musi mieć wielu wrogów.

- Wręcz przeciwnie, nie potrafiłbym wymienić ani jednego.

Jest jednak wyjątkowo bogaty, a ja, jako kierownik jego służby ochrony, czuwam nad przestrzeganiem określonych procedur, kiedy odwiedzają go ludzie, których nie zna. Zapewne pan, były pracownik wywiadu, podziela moje stanowisko.

- Oczywiście, nie mogę mieć nic przeciwko temu. Gdzie pan był? G-2 wojsk lądowych?

- Nie, Secret Service, ochrona Białego Domu. Prezydent niechętnie wyraził zgodę na moje odejście, ale doskonale zrozumiał sytuację finansową żonatego człowieka, z czwórką dzieci, które należy wysłać do college'u.

- Znakomicie wykonuje pan swoje obowiązki.

- Wiem. Kiedy przyjdzie pan van Nostrand, będę tuż za drzwiami.

- Wyjaśnijmy coś sobie, panie Secret Service. Sprowadził mnie tutaj pański szef. Nie wpraszałem się.

- Jaki gość zjawia się z waltherem przymocowanym do nogi? o ile się nie mylę, tak postępują raczej niebezpieczni ludzie.

- Powiedziałem już, że to przyzwyczajenie.

- Ale nie tutaj, komandorze. - Ochroniarz pochylił się i podniósł pistolet.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich imponująca postać

Nilsa van Nostranda.

- Dobry wieczór, panie Hawthorne - oznajmił, podchodząc do Tyrella, który na jego widok podniósł się z krzesła, i wyciągając na powitanie dłoń. - Proszę mi wybaczyć, że nie przywitałem pana tuż po przybyciu, ale rozmawiałem przez telefon z człowiekiem, do którego chciałem pana skierować - z sekretarzem stanu... Mam wrażenie, że poznaję pańską kurtkę. Safarics z Johannesburga.

Doskonałe.

- Przykro mi. Tropikalny sklep Tony'ego, port lotniczy

San Juan.

- Świetna imitacja. Swego czasu zajmowałem się włókiennictwem. Kurtka safari to właściwie przede wszystkim kieszenie.

Wszyscy mężczyźni lubią mnóstwo kieszeni. W każdym razie przepraszam, że nie powitałem pana na lotnisku.

- Czas nie poszedł na marne - odparł Hawthorne, przyglądając się gospodarzowi. Jego wygląd niemal go zahipnotyzował.

Wielki facet... szpakowaty i bardzo elegancki... Wygląda jak z reklamy ekskluzywnych ubrań męskich, pomyślał. - Ma pan wspaniałą ochronę - dodał.

- Och, chodzi panu o Briana? - Van Nostrand roześmiał się cicho i popatrzył z sympatią na szefa ochrony. - Niekiedy moi przyjaciele zbyt poważnie traktują swoje obowiązki. Mam nadzieję, że nie było żadnych kłopotów.

- Najmniejszych, proszę pana. - Mężczyzna o imieniu Brian dyskretnie wsunął pistolet do kieszeni. - Proponowałem komandorowi coś do picia, pańskiego pouilly-fume, ale odmówił.

- Doprawdy? Mam wspaniałą rocznik, ale być może pan

Hawthorne woli burbona.

- Odrobił pan swoje lekcje - stwierdził Tyrell - ale obawiam się, że to już historia.

- Owszem, słyszałem. Czy zechcesz nas zostawić samych, Brianie? Nasz gość z Amsterdamu i ja mamy do omówienia poufną sprawę.

- Oczywiście, proszę pana. - Były agent Secret Service wyszedł.

- Jesteśmy więc sami, komandorze.

- Jesteśmy sami, pan zaś wygłosił niezwykle oświadczenie dotyczące mojej żony i komandora Henry'ego Stevensa. Chcę wiedzieć, co ma pan na poparcie tego twierdzenia.

- Dojdziemy do tego w swoim czasie. Proszę usiąść, porozmawiamy kilka minut.

- Nie mam ochoty na pogawędki! Na czym opiera pan swoją informację o mojej żonie? Jeżeli mi pan odpowie na to pytanie, porozmawiamy też o innych sprawach, ale będzie to cholernie krótka rozmowa.

- Tak, doniesiono mi, że nie chce pan zostać na obiedzie ani nawet skorzystać z mojej gościny i przenocować.

- Nie przyszedłem tu na obiad ani z wizytą. Chcę usłyszeć, co ma pan do powiedzenia o zabójstwie mojej żony w Amsterdamie i o komandorze Henrym Stevensie. Być może wie on coś, czego ja nie wiem, ale pan nadał całej sprawie zupełnie inny wymiar. Proszę to wyjaśnić!

- Nie muszę. Jest pan tutaj. I podobnie jak pan ma ochotę poznać wspomniane okoliczności, ja w równym stopniu chciałbym się dowiedzieć, co się stało na pewnej niewielkiej wysepce na

Karaibach.

Zapadła cisza. Stali blisko siebie, mierzając się wzrokiem. Wreszcie odezwał się Hawthorne:

- Jest pan Neptunem, prawda?

- Owszem, jestem, komandorze. Ale ta informacja nigdy nie wyjdzie poza ściany tego pokoju.

- Jest pan tego pewien?

- Całkowicie. Za chwilę pan umrze, panie Hawthorne. Brian!

Teraz!

ROZDZIAŁ 18

Odgłos strzałów rozerwał ciszę ogromnej posiadłości, gdy Poole i Catherine Neilsen raz za razem, w popłochu pociągali za spusty broni. Wielkie szyby w oknach biblioteki rozbryzgiwały się, a ich odłamki padały do środka i na zewnątrz. Młody porucznik uderzył barkiem, przebijając się przez pozostałe resztki szkła, potoczył się po podłodze, po czym zerwał na równe nogi i skierował lufę pistoletu na leżące ciało.

- Nic ci nie jest? - zawołał do oszołomionego Hawthorne'a, który wyczołgiwał się zza przewróconego fotela.

- Skąd się, u diabła, tu wzięliście? - spytał Tyrell, z trudem łapiąc oddech, i niepewnie klęknął. - Byłem już skończony, już mnie mieli!

- Domyśliłem się czegoś takiego...

- To przesadne pożegnanie z pilotami? - przerwał mu

Hawthorne, oddychając spazmatycznie. Na czoło wystąpiły mu krople potu. - I gorący prysznic, którego nie brałeś od wielu dni?

- Poinformuję cię o wszystkim później. Nasz kierowca siedzi chwilowo w krzakach i nie wybiera się donikąd. Cathy i ja obeszliliśmy dom, zobaczyliśmy cię w środku, a kiedy ten uprzejmy goryl wpadł z pistoletem w garści, uznaliśmy, że nie ma czasu na zastanawianie się.

- Dziękuję, że się nie zastanawialiście. Powiedział mi, że jestem już martwy.

- Musimy się stąd wydostać!

- Czy ktoś mógłby mi pomóc przejść przez to cholerne okno tak, żebym nie pocięła się przy tym na plasterki? - poskarżyła się

Catherine. - A przy okazji chciałabym donieść, że od bramy biegną ludzie.

- Nabierzemy ich - oznajmił Hawthorne. Pomógł Poole'owi przenieść dziewczynę przez okno, po czym podbiegł do drzwi biblioteki i zamknął je na klucz. Gdy się rozległo stukanie, odpowiedział najlepiej jak potrafił, naśladowując dosyć niski głos van

Nostranda: - Wszystko w porządku. To Brian demonstrował mi nowy pistolet. Wracajcie na posterunki.

- Tak jest - rozległa się pojedyncza odpowiedź. Ochroniarze zareagowali automatycznie na znajome imię wypowiedziane przez niekwestionowaną władzę. Kroki oddaliły się.

- Mamy spokój - oświadczył Tyrell.

- A ty masz nie po kolei w głowie! - odparła ostrym szeptem

Cathy. - Przecież tu leżą dwa trupy!

- Nie twierdziłem, że na zawsze. Chwilowo.

- Start odrzutowca zaplanowano za trzydzieści pięć minut powiedział Poole. - Powinniśmy się w nim znaleźć.

- Trzydzieści pięć minut?! - zawołał Hawthorne.

- To tylko szczegół. Pasażerem samolotu miał być van Nostrand, cel lotu - międzynarodowy port lotniczy w Charlotte, w Północnej Karolinie. Udogodnienia, prerogatywy dyplomatyczne.

Nie było zbyt wiele czasu na przyjemny obiad albo sympatyczny nocleg, chyba że wykopany w lesie dół uznasz za miłe miejsce odpoczynku.

- Mój Boże, wszystko zaplanowano co do minuty!

- A więc ulećmy w uroczy, bezpieczny błękit.

- Jeszcze nie, Jackson - zaprotestował Tye. - Tu znajdują się jakieś odpowiedzi na nurtujące nas pytania. Van Nostrand był panem Neptunem Alfreda Simona, co pozwala umieścić go na liście pasażerów przewożonych na wyspę padrone... A zarazem czyni centralną postacią w sprawie Bajaratt.

- Jesteś pewien, że dobrze wszystko zrozumiałeś?

- Z całą pewnością, poruczniku. Przyznał, że jest Neptunem, stwierdzając przy tym wyraźnie, że informacja ta nie przetrwa dłużej niż moje życie.

- O rany!

- Kiedy zbliżaliśmy się do bramy, minęliśmy samochód odezwała się Neilsen. - Czy może on mieć jakiś związek z wydarzeniami dzisiejszej nocy?

- Przekonajmy się - rzekł Tyrell.

- Wszędzie wokół są tu letnie domki, pewnie dla gości.

Naliczyłem ich przynajmniej cztery albo pięć - poinformował

Poole, razem z Hawthorne'em pomagając Cathy wyjść przez okno. - Zauważyłem je z limuzyny.

- Nigdzie nie ma świateł - stwierdził Tye, obchodząc wschodni węgiel domu. Przed nimi znajdował się pogrążony w ciemności trawnik, a dalej zarośla.

- Były tam wcześniej, widziałem je zaledwie kilka minut temu.

- Ma rację - potwierdziła major. - Tam, w tym kierunku.

Wskazała na południowy zachód, gdzie również panował mrok.

- Może powinniśmy pójść na pas startowy i uspokoić pilotów, że wszystko w porządku? Ci faceci byli już i tak nerwowi, a potem wywiązała się przecież strzelanina.

- Dobry pomysł - zgodził się Tyrell. - Powiedz im, że van

Nostrand demonstrował kolekcję broni i że ma w domu prywatną strzelnicę.

- Nikt tego nie kupi! - zaprotestowała Cathy.

- Kupią wszystko, co będzie jakimś wytłumaczeniem. Spodziewają się wystartować stąd za pół godziny z czekiem na dużą sumę i tylko to ich obchodzi... Na pewno poczną się pewniej, gdy cię zobaczą. Idź z Jacksonem, dobrze?

- A ty co masz zamiar zrobić?

- Pójdę na zwiady. Jeżeli widzieliście niedawno światła, to dlaczego nie ma ich teraz? Możemy założyć, że w domu jest tylko kucharka. Ponieważ van Nostrand planował stąd odlecieć, z pewnością nie przyjmował tu innych gości.

- Weź swój pistolet - oznajmił porucznik, wyciągając broń zza paska. - Wyjąłem go z kieszeni tego sukinsyna. Zabrałem mu też magnum, które trzymał w ręce. Również możesz je sobie wziąć.

Czuję się jak zbrojownia, bo przy kierowcy limuzyny znalazłem jeszcze dwie sztuki.

- Jeden dałeś mnie, Jackson - przypomniała Neilsen.

- Nie będziesz miała z niego wielkiego pożytku, Cathy. Według moich obliczeń pozostał ci tylko jeden nabój.

- Którego, mam nadzieję, nie będę musiała wystrzelić...

- Idźcie oboje na pas startowy. Dopilnujcie, aby piloci uznali, że wszystko przebiega zgodnie z planem, a jednocześnie zasugerujcie możliwość niewielkiego opóźnienia. Powiedzcie, że van Nostrand dzwoni do Pana Boga oraz paru wysokich członków administracji, co może trochę potrwać. Dalej, pospieszcie się!

- Mam pewien pomysł, Tye - oświadczył Poole.

- Jaki?

- Cathy i ja potrafimy prowadzić tę maszynę...

- Zapomnijcie o tym - przerwał mu Hawthorne. - Chcę, żeby ci piloci zniknęli. Nie mam ochoty, aby ich przesłuchiowano po odnalezieniu ciał. Moja śmierć została postanowiona w bardzo wąskim kręgu. Jedynymi ludźmi, którzy mogą nas zidentyfikować, są dwaj kierowcy. Z tego, co wiem, jeden jest nagi i nieprzytomny, a drugi martwy. To daje nam możliwość manewru.

- Dobrze pomyślane, komandorze.

- Kiedyś mi za to płacono, majorze. Idźcie już.

Dwójka oficerów lotnictwa ruszyła szybkim krokiem przez trawnik w stronę pasa startowego, Tyrell natomiast zaczął uważnie lustrować teren położony na południowy

wschód. Rosły tam sosny posadzone symetrycznie - tak, żeby zapewnić pewien stopień prywatności każdemu, ledwo widocznemu w niepewnym świetle księżyca, domkowi gościnnemu. Dwa z nich, oddalone od siebie o kilkaset metrów, słabo majaczyły za wąską gruntową drogą.

Niecałe dziesięć minut temu w jednym z nich paliło się światło.

W którym? Domysły nic nie dadzą, ale jeżeli podejdziesz bliżej, może zdoła się czegoś dowiedzieć. Żeby się jednak zbliżyć do budynku, musi poruszać się bardzo ostrożnie, stale zwracając uwagę na przesuwające się chmury, które od czasu do czasu przesłaniały światło księżyca, i w zależności od sytuacji podejmując decyzję, kiedy się czołgać, a kiedy biec, korzystając z chwilowej ciemności.

Ponownie w jego pamięci pojawiły się obrazy z dawnego życia, sytuacje, kiedy pozornie zwyczajny, nudny biurokrata, urzędnik protokołu w ambasadzie, stawał się innym człowiekiem, odwiedzając nocą punkty kontaktowe, spotykając się z mężczyznami i kobietami w polu, katedrach, zaułkach i poza granicznymi punktami kontrolnymi zinfiltrowanymi przez niepokornych opozycjonistów. Kiedy jedno nieostrożne słowo, chwila nieuwagi groziły, że któraś ze stron wpakuje mu kulę w łeb. Wróg albo swoi. Szaleństwo.

Hawthorne spojrział w niebo. Duży kłębiasty obłok płynął na południe i zbliżał się do księżyca. Kiedy go przesłonił, Tyrell przebiegł przez drogę i natychmiast zanurkował w trawę. Biegł na czworakach w stronę najbliższego domku po prawej i zatrzymał się, gdy tylko chmura przesunęła się dalej. Leżąc nieruchomo na trawniku, namacał na biodrze zatknięty za pasek pistolet.

Głosy! Niesione powiewami wietrzyku dwa głosy. Były podobne, ale nie te same, różniły się wysokością. Jeden brzmiał tylko trochę niżej, może ostrzej, ale obie osoby były wyraźnie podniecone i mówiły szybko... nie po angielsku. Co to za język? Hawthorne powoli uniósł głowę... Cisza. A potem dwa stłumione głosy rozległy się znowu, lecz nie dobiegały od najbliższego domku, tylko od strony identycznego budynku znajdującego się kilkaset metrów dalej na lewo.

Światło! Małeńkie i słabe, właściwie zaledwie punkt świetlny.

Być może z ołówkowej latarki, ale na pewno nie zapałka, gdyż światło było równe, nie migotało. Ktoś chodził w środku, bo promień latarki poruszał się tam i z powrotem. Ktoś szukał czegoś w pośpiechu. Te osoby w jakiś sposób były wmieszane w sprawę!

I nagle, jakby na potwierdzenie jego przypuszczenia, pojawiły się reflektory samochodu jadącego po wąskiej gruntowej drodze, oddzielającej teren, na którym stał

budynek główny, od domków gościnnych w południowej części posiadłości. Zbliżała się limuzyna, niewątpliwie ta sama, której przejazd przez bramę zaobserwowali

Neilsen i Poole. Samochód wracał, aby zabrać swoich zaniepokojonych pasażerów - dwoje ludzi, którzy słyszeli strzały, ale nie szukali wyjaśnień, tylko starali się najszybciej, jak to możliwe, opuścić posiadłość van Nostranda!

Cadillac objechał krąg na końcu drogi. Ten wkomponowany w krajobraz zaułek pozwalał bez zbędnego manewrowania zawrócić samochód o sto osiemdziesiąt stopni. Pojazd zatrzymał się nagle z piskiem opon i w tej samej chwili z domku gościnnego wybiegły dwie postacie. Większa niosła dwie walizki. Tye nie mógł pozwolić im uciec, musiał je zatrzymać.

Wystrzelił w powietrze.

- Nie ruszać się! - krzyknął, podnosząc się z ziemi i zaczynając biec. - Nie wsiadać do samochodu!

Z ciemności trysnął oślepiający strumień światła, skierowany prosto na Hawthorne'a. Odblask reflektora oświetlił dwoje ludzi wsiadających do limuzyny, ale moment ten był zbyt krótki, aby można było przyjrzeć się im dokładniej... Reflektory w nocy i biegnące postacie stanowiły części jego przeszłości. Zatrzymał się, rzucił w prawo, a potem gwałtownie obrócił i zanurkował w lewo. Toczył się szybko, starając wydostać się z kręgu światła, i wreszcie zatrzymał się za kępą krzewów. W tym samym momencie seria z broni maszynowej poszarpała fragment trawnika, na którym zdaniem przeciwników powinien się schronić. Samochód ruszył gwałtownie do przodu. Jego koła przez chwilę buksowały gniewnie na gruntowej drodze, podnosząc kłęby kurzu. Wściekły Tye zamknął oczy i wyrzucił kolbę pistoletu w ziemię.

Usłyszał głos Catherine: - Hawthorne, gdzie jesteś? - Dziewczyna nawoływała zapamiętałe, przebiegając drogę poniżej miejsca, w którym się znajdował.

- Jezu Chryste - wtórował jej biegnący tuż za nią Poole. To była prawdziwa kanonada. Tye, powiedz coś! O Boże, mogli go zastrzelić.

- Nie, nie...!

- Nie jestem pewien - odezwał się głośno Hawthorne i powoli, pokonując ból, podniósł się z ziemi. Prostując się zastygł nagle, zgięty w pół, z dłońmi opartymi na kolanach.

- Gdzie jesteś...?

- Tutaj - odparł Tyrell. Pędzące po niebie chmury odsłoniły na chwilę księżyc i w jego świetle ujrzeli znajomą sylwetkę idącą niepewnym krokiem wśród krzaków.

- Jest! - zawołała Neilsen, pędząc w jego kierunku.

- Ranili cię? - zapytał porucznik, kiedy oboje bez tchu podbiegli do Hawthorne'a. - Jesteś ranny? - dociekał Poole, ściskając Tye'a za ramię.

- Nie pociskiem - odparł komandor, z grymasem odchylając głowę do tyłu.

- W takim razie czym? - zainteresowała się Cathy. - Strzelali z pistoletów maszynowych!

- Z jednego - poprawił ją Jackson. - I sądząc po niższym odgłosie strzałów, był to MAC, a nie uzi.

- Czy z pistoletu MAC-10 może strzelać człowiek prowadzący duży samochód po wąskiej gruntowej drodze? - zapytał Tyrell.

- Chyba z dużym trudem. Raczej nie.

- W takim razie niech mnie licho, ale się mylisz, poruczniku.

- A co to za różnica? - zaprotestowała Catherine.

- Właściwie żadna - przyznał Hawthorne. - Chciałem jedynie zwrócić uwagę na prawdopodobieństwo omyłności naszego papieża z Pontchartrain... Nie, nie jestem ranny, tylko potłuczony w wyniku stosowania dawno nie trenowanych uników. Jak się mają piloci van Nostranda?

- Są nieprzytomni z przerażenia - odparła Cathy - i jestem pewna, że ma to jakiś związek z koncepcją Jacksona, iż nie są kandydatami do medali za dobre sprawowanie. Chcą stąd zwiewać!

- Zostawiliście ich, zanim się to zaczęło? Chodzi mi o strzelaninę.

- Trzy minuty temu, nie więcej - odrzekła Neilsen.

- W takim razie nic ich już nie powstrzyma. Może i lepiej.

- Och, jest coś, co ich powstrzyma, komandorze.

- Co ty mówisz? Po prostu wystartują!

- Czy słyszałeś jakiś startujący samolot? - Porucznik wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zagrałem z nimi w taką dziecięcą zabawę. Nazywa się „gapa”.

- Poole, postawię cię kiedyś przed plutonem egzekucyjnym...

- O rany, zabawa jest prosta i zawsze skuteczna. Im coś jest prostsze, tym bardziej niezawodne. Kiedy staliśmy na zewnątrz, dyskutując z tymi trochę spłoszonymi wagabundami, cofnąłem się, popatrzyłem za ogon samolotu i zawołałem: Do licha, a co to takiego? - Oczywiście, natychmiast się obejrzeni, najprawdopodobniej spodziewając się jakiejś brygady pościgowej na motocyklach, a wtedy sięgnąłem do wnętrza samolotu i zabrałem z półeczki klucz do drzwi. Jasne, że niczego nie spostrzegli, ja zaś wytłumaczyłem im, że widocznie widziałem jakąś zbłąkaną sarnę. Odetchnęli głęboko, obniżając sobie

ciśnienie krwi, a ja zatrzasnąłem jedyne drzwi, które blokują się automatycznie... Nigdzie nie polecą, Tye, przynajmniej na razie.

Wystartują wówczas razem z nami.

- Miałem co do was rację, poruczniku - zauważył Hawthorne, patrząc Poole'owi prosto w oczy. - Wasz instynkt jest niezawodny, a wasze najrozmaitsze umiejętności idą z nim w parze... Jak by takie sformułowanie wyglądało w twojej opinii służbowej?

- Niech to licho, komandorze. Dziękuję, panie komandorze!

- Nie tak szybko. Te same umiejętności mogą nas wpakować w paskudną sytuację.

- W jaki sposób? - spytała Cathy.

- Wszystko zależy od tego, jak ochrona przy bramie wjazdowej zareagowała na strzały z broni maszynowej, i co się stanie, kiedy kucharka nie będzie się mogła porozumieć z van Nostrandem i ze swoim mężem. Domyśla się, że wciąż tu jesteśmy, ponieważ samolot n i e wystartował.

- Jeżeli dobrze pamiętam - stwierdziła Neilsen - jej mąż był naszym kierowcą.

- A w limuzynie jest telefon - dodał Tyrell.

- Jasny gwint, on ma rację! - zawołał Poole. - Załóżmy, że brama wjazdowa spróbuje połączyć się z limuzyną, po czym wezwie policję. A może już to zrobili i gliny zjawią się tu lada chwila i zaczną na nas polować?

- Przecucie mówi mi, że nie - zaopiniował Hawthorne. Ale nie mam już tej pewności siebie co niegdyś. Zbyt długo też trwała przerwa w mojej działalności.

- Wszystko sprowadza się do bramy - przypomniał porucznik.

- Właśnie - przytaknął Tye. - Jeżeli słusznie rozumiem, powinien tam być samochód albo wózki golfowe, albo przynajmniej ludzie z latarkami biegnący w tym kierunku, lecz nic takiego nie widać. Dlaczego, ?

- Może powinniśmy się zorientować? - zaproponował Jackson. - Może dobrze by było, gdybym się tam przespacerował i spróbował się rozeznać, co jest grane?

- I pozwolił się zastrzelić, idioto?

- Daj spokój, Cathy, przecież nie pójde przy akompaniamencie werbli i trąb.

- Ona ma rację - stwierdził Tyrell. - Zapewne w paru sprawach jestem już antykiem, ale nie w tej. Ja pójde i spotkamy się przy samolocie.

- A co się tu stało? - spytała Neilsen. - Co zobaczyłeś?

- Dwóch facetów, jeden dosyć wysoki, z walizkami w rękach, drugi niższy, szczuplejszy i w kapeluszu. Wskoczyli do samochodu, gdy oświetlił mnie reflektor.

- Kto w takiej chwili myśli o kapeluszu? - zdziwił się Poole.

- Łysi, Jackson - wyjaśnił Hawthorne. - Znak szczególny.

Standardowy sposób postępowania... Zaprowadź Cathy z powrotem do samolotu i spróbuj zapanować nad pilotami... •”,,,

- Nie musi mnie prowadzić. Jestem zupełnie zdolna...

- Oj, zamknij się, Cath - przerwał jej Poole. - Chodzi mu tylko o to, że jeśli ci dwaj palanci postanowią się zbuntować, lepiej, żebym ja ich powstrzymał, niż żebyś ty ich zastrzeliła. Dobra.

- W porządku.

- I słuchajcie mnie uważnie - ciągnął dalej Tyrell, nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Jeżeli wpadnę w kłopoty, strzelę trzykrotnie, raz za razem. Będzie to sygnał, że macie stąd odlatywać.

- I zostawić cię? - zapytała ze zdziwieniem Neilsen.

- Tak jest, majorze. Chyba już ci kiedyś mówiłem, że nie jestem bohaterem... I nie lubię bohaterów, ponieważ zbyt wielu ich ginie, a ta perspektywa wcale mi się nie uśmiecha. Jeżeli wpadnę w tarapaty, szybciej zdołam się stąd wydostać w pojedynkę, bez żadnego bagażu.

- Bardzo ci dziękuję!

- Do tego mnie szkolono i za to mi płacono.

- Hej, może jednak poszedłbym z tobą? - zapytał Jackson.

- Przed chwilą sam odpowiedziałeś sobie na to pytanie, poruczniku. A co będzie, jeśli piloci zechcą się zbuntować?

- Chodź, Cath!

Jasnoszary buick Departamentu Obrony był zaparkowany obok drogi. Gałęzie otaczających go drzew osłaniały maskę i przednią szybę. Stał ukosem do długiego na pół kilometra, obsadzonego drzewami podjazdu do posiadłości van Nostranda, a siedzący w jego wnętrzu czterej mężczyźni byli znudzeni i poirytowani faktem, że wyznaczono im zadanie poza godzinami służbowymi, nie dając jednocześnie ani upoważnienia do podejmowania jakichkolwiek działań, ani nie tłumacząc, po co tu w ogóle się znaleźli.

Mieli po prostu obserwować i pod żadnym pozorem nie dopuścić, aby ktokolwiek ich zauważył.

- Jedzie! - odezwał się kierowca i natychmiast sięgnął po leżące na tablicy rozdzielczej papierosy, widząc, jak z bramy posiadłości van Nostranda wyłania się limuzyna i skręca w prawo. - Jeżeli obiekt opuści to miejsce po dwudziestej pierwszej, możemy iść do domu.

- W takim razie ruszajmy do domu - odparł siedzący z tyłu pracownik służby bezpieczeństwa z Departamentu Obrony. - Wszystko to jakieś pieprzenie w bambus.

- Pewnie ktoś na górze chciał wiedzieć, kto kogo pieprzy dodał drugi głos z tylnego siedzenia.

- Czyste gówno - oznajmił mężczyzna siedzący koło szofera i sięgnął po mikrofon radia. - Przekażę meldunek i spadamy stąd. Boże, zbaw tę bandę w sztucznych portkach.

Bajaratt siedziała w limuzynie oszołomiona, niezdolna zebrać myśli. Człowiek oświetlony reflektorem był Hawthorne'em! To nieprawdopodobne, niemożliwe, ale przecież sama go widziała!

Zbieg okoliczności? Śmieszne. Musi być schemat, który dopuszcza niedopuszczalne... Co to było? Padrone? Czy rzeczywiście? Mój

Boże, tak... Padrone, Mars i Neptun! Pożądanie zapisanego w pamięci ciała połączone z równą namiętnością do władzy i panowania. Pierwszy odebrany drugiemu, a ten z kolei zabity przez trzeciego. Przeklęty głupiec! Van Nostrand nie chciał zrezygnować.

Musiał wezwać Hawthorne'a, żeby go zabić. „Jest mój” - powiedział - i po dzisiejszej nocy Baj miała już nigdy o nim nie usłyszeć.

Była to gra w szachy wymyślona w piekle - króle i pionki w wiecznym konflikcie, niezdolne wyeliminować jeden drugiego, żeby nie dopuścić przy okazji do przełomu, który mógłby zniszczyć obie strony... Ale nie może na to pozwolić. Jest już tak blisko.

Jeszcze kilka dni i pomści Aszkelon i całe jej przekłete życie nabierze jakiegoś znaczenia! Muerte a toda autoridad! Nic nie mogło jej powstrzymać, to nie do pomyślenia!

Paryż. Musi się dowiedzieć.

- Co się stało? - zapytał szeptem Nicolo. Strzelanina i nagła ucieczka sprawiły, że wciąż oddychał ciężko, nierówno. - Chyba powinnaś mi powiedzieć.

- Nic, co by nas dotyczyło - odrzekła Baj, biorąc do ręki słuchawkę samochodowego telefonu.

Wybrała kod połączenia transatlantyckiego, potem do Paryża i wreszcie numer na rue du Corniche.

- Pauline? - zapytała stanowczym tonem. - Nie będę rozmawiała z nikim innym.

- To ja - potwierdziła kobieta w Paryżu. - A pani jest...

- Jedyną córką padrone.

- Wystarczy. Co mogę dla pani zrobić?

- Czy Saba dzwoniła znowu?

- Certainement, madame. Był bardzo podekscytowany. Pytał, dlaczego nie była pani na wyspie Saba, ale chyba udało mi się go udobruchać. Sprawiał wrażenie zadowolonego z wyjaśnienia.

- Co mu powiedziałaś?

- Że pani wuj przeprowadził się na inną wyspę i że pani wie, w jaki sposób się z nim porozumieć po powrocie na Karaiby.

- Dobrze. Olympic Charters, wyspa Charlotte Amalie, prawda?

- Nic nie wiem na ten temat, madame.

- W takim razie proszę zapamiętać, że o tym mówiłam.

Zostawię mu wiadomość.

- Oczywiście, madame. Adieu.

Bajaratt nacisnęła guzik „Koniec” i rozłączyła się, a potem wybrała osiemset dziewięć - numer Olympic Charters na St.

Thomas. Usłyszała dokładnie to, czego się spodziewała o tej porze.

„Tu Olympic Charters na Charlotte Amalie. Biuro jest zamknięte do godziny szóstej rano. Jeżeli sprawa jest bardzo pilna, proszę przycisnąć jedynekę. Rozmowa zostanie przełączona na posterunek

Coast Guard. W innym wypadku proszę pozostawić informację”.

- Kochanie, tu Dominique! Dzwonię z szalenię nudnego rejsu koło Portofino. Jak mówicie wy, Amerykanie, dno! Mam jednak dla ciebie dobrą wiadomość. Przyjeżdżam za trzy tygodnie. Przekonałam męża, że muszę wrócić do wuja - mieszka teraz na Dog

Island. Przepraszam, że ci o tym nie wspomniałam, ale przecież mówiłam, że jestem w ciągłym ruchu, prawda? Dobry Boże, Pauline strasznie mnie zwymyślała, że nie powiedziałam ci o tym wyraźnie.

Ale to bez znaczenia, wkrótce będziemy razem. Kocham cię!

Baj odłożyła słuchawkę, wyraźnie poirytowana spojrzeniem

Nicola.

- Dlaczego robisz takie rzeczy, Cabi? - zapytał młody człowiek. - Czy lecimy z powrotem na Karaiby? Dokąd jedziemy...?

Ta strzelanina dzisiejszej nocy, nasz nagły wyjazd? Co się dzieje, signora? Musisz mi to wyjaśnić!

- Nie mogę ci wyjaśnić czegoś, czego nie wiem, Nico. Słyszałeś, jak kierowca mówił, że to napad. Właściciel tej posiadłości jest niewyobrażalnie bogaty, a w Ameryce panują teraz złe czasy.

Wszędzie zbrodnia. Dlatego są tu wartownie, strażnicy i wysokie ogrodzenia. Wciąż muszą się mieć na baczności przed takimi okropnościami. Nie ma to z nami nic wspólnego, uwierz mi.

- A jednak trudno mi uwierzyć. Jeżeli są strażnicy i taka ochrona, to dlaczego uciekamy?

- Policja, Nicolo! Wezwano policję, a my z pewnością nie chcielibyśmy być przez nią przesłuchiwani. Jesteśmy gośćmi w tym kraju. Sytuacja mogłaby się stać kłopotliwa, krępująca... Co pomyślałaby sobie Angelina?

- Och! - Uparte spojrzenie chłopaka złagodniało. - Dlaczego tu przyjechaliśmy?

- Ponieważ przyjaciel przekazał mi wiadomość, że możemy tu mieszkać, mieć służbę... a nasz gospodarz zapewni mi sekretarza, mam bowiem mnóstwo listów do napisania.

- Wszystko potrafisz wytłumaczyć i znasz tylu ludzi. - Młody

Włoch spoglądał na pojawiającą się i znikającą w cieniu twarz kobiety, która uratowała mu życie w dokach Portici.

- Przypomnij sobie swoje liry w Neapolu. Muszę uporządkować pewne sprawy.

- Być może zdołasz uczynić to w miejscu, gdzie zatrzymamy się na noc.

- O, teraz myślisz o właściwych sprawach. - Baj przycisnęła guzik wewnętrznego połączenia telefonicznego z kierowcą. - Czy w okolicy są jakieś przyzwoite miejsca, w których można by przenocować? Co poleciłbyś, przyjacielu?

- Tak jest, proszę pani. Już pozwoliłem sobie tam zadzwonić.

Czekają na państwa. Jesteście oczywiście gośćmi pana van Nostranda. Moteli nazywa się „Shenandoah Lodge”. Na pewno uzna go pani za zupełnie zadowolający.

- Dziękuję.

Tyrell szedł ostrożnie wzdłuż krawędzi trawnika, kryjąc się w cieniu sosen. Murowana wartownia z zaporami przegradzającymi dwupasmową drogę znajdowała się w odległości niecałych trzydziestu metrów, ostatni jednak fragment, liczący jakieś dziesięć-dwanaście metrów, pozbawiony był osłony drzew. Była to otwarta przestrzeń, wypielęgnowany trawnik między drogą a trzymetrowej wysokości płotem z groźnie najeżonymi metalowymi ostrzami na każdym palu. Nie trzeba było wiedzy eksperta, aby się zorientować, że przepływa między nimi silny prąd elektryczny, ani wieloletniego doświadczenia, by stwierdzić, że dwie grube bariery przegradzające szeroki wjazd nie są wykonane z drewnianych listew, lecz raczej z płyt laminowanej stali. Tylko czołg mógłby je przełamać. Gdyby próbował tego samochód, rozleciałby się na kawałki, jak przy uderzeniu o stalową ścianę. Zapory były opuszczone.

Hawthorne przyglądał się uważnie wartowni. Budynek miał kształt prostokąta. Po obu jego stronach znajdowały się okna z grubych płyt szklanych, a na dachu widniała dekoracyjna wieżyczka, jak w średniowiecznym zamku. Nieżyjący już van

Nostrand vel Neptun należał do ludzi ostrożnych. Wejście do jego niezwyklej posiadłości było kuloodporne i nie do sforsowania.

A już niech Bóg ma w swojej opiece każdego nieroztropnego intruza, który próbowałby przejść przez ogrodzenie. Upiekłby się na węgiel!

W żadnym z okien nie było nikogo widać, więc Tye przebiegł przez otwartą przestrzeń i kiedy dotarł do wartowni, przywarł całym ciałem do jej ściany. Powoli, bardzo powoli wysunął głowę za lewą krawędź pancernego okna. Widok, który zobaczył, oszołomił go zupełnie. Nie, to absurd! Umundurowany strażnik siedział w krześle, a jego tors i zakrwawiona głowa opierały się na plastikowym blacie biurka. Strzelono mu w głowę - i to nie raz, lecz kilkakrotnie.

Hawthorne obszedł budynek i dotarł do drzwi - były otwarte.

Wbiegł do środka i spróbował ogarnąć spojrzeniem wszystko, co znajdowało się wewnątrz. Była to zadziwiająca kolekcja techniki na najwyższym poziomie - trzy rzędy monitorów telewizyjnych przekazujących obraz i dźwięk z każdego rejonu posiadłości. Słychać było nawet ćwierkanie i skrzeczenie ptaków, przemieszane z szelestem liści i wysokich traw przy zewnętrznym ogrodzeniu ogromnego terenu.

Dlaczego strażnika zabito? Dlaczego? W jakim celu? I gdzie są jego pomocnicy? Człowiek taki jak Neptun, a tym bardziej jego paranoidalny szef ochrony, nigdy nie wyznaczyłby do pilnowania bramy pojedynczego wartownika. Byłaby to głupota, a ani van

Nostrand, ani beznamiennie skuteczny Brian nie byli głupcami psychopatami, owszem, lecz nie durniami. Tye przyjrzał się sprzętowi, żałując, że nie ma z nim Poole'a. Najrozmaitsze oznakowania na różnych fragmentach sprzętu wydawały się wskazywać, że kontynuowane są zapisy na taśmach zarówno audio, jak i wideo.

Być może naciśnięcie odpowiednich guzików przyniosłoby odpowiedź, ale użycie niewłaściwych mogło spowodować wykasowanie wszystkiego. :

Najbardziej zadziwiający był fakt, że całe to miejsce było puste.

Co spowodowało tak ogólną ucieczkę? Strzelanina? Bez sensu patroli miały broń, dowodem był martwy wartownik w fotelu.

W jego kaburze w dalszym ciągu tkwił rewolwer kalibru 0.38.

A van Nostrand z całą pewnością wynajmował i opłacał ludzi absolutnie lojalnych. Dlaczego więc jego lojalne, świetnie opłacane oddziały nie ruszyły, aby bronić swojego

dobroczyńcy? Na podstawie pobieżnej obserwacji Tye doszedł do wniosku, że trudno im będzie znaleźć lepszą pracę.

W wartowni zadzwonił telefon. Dla Hawthorne'a był to nie tylko wstrząs - nagły dźwięk zupełnie go sparaliżował... „Panujcie nad sobą całkowicie, poruczniku. Bądźcie zimni jak lód i doskonale obojętni. Jeżeli zdarzy się coś nieoczekiwanego, mówcie sobie, do jasnej cholery, że wszystko, co się dzieje, jest całkiem naturalne”.

Słowa instruktora z czasów szkolenia tajnych służb wywiadu marynarki; słowa, które on sam powtarzał tak wielu innym... w Amsterdamie.

Tyrell podniósł słuchawkę i zanim się odezwał, kaszlnął kilka razy. - Taa? - zapytał niewyraźnym głosem. Jego ton graniczył niemal z wrogością.

- Co się tam dzieje?! - zawołała kobieta z drugiej strony słuchawki. - Nie mogę się z nikim porozumieć - ani z panem van

Nostrandem, ani z Brianem czy nawet z moim mężem! A gdzieś ty był przez ostatnie pięć minut? Dzwoniłam i dzwoniłam, ale nikt nie odbierał!

- Rozglądałem się - burknął Hawthorne.

- Słyszałam strzały, dużo strzałów!

- Może polowali na sarnę - powiedział Tyrell, przypominając sobie wybieg, jakim posłużył się Poole w rozmowie z pilotami.

- Z pistoletem maszynowym? Po nocy?

- Inni ludzie, inne zwyczaje.

- Wariaci, sami wariaci!

- Ano tak...

- No cóż, jeżeli uda ci się porozumieć z panem van Nostrandem albo kimś innym, przekaż im, że będę siedziała tutaj, w kuchni, za dokładnie zamkniętymi grubymi drzwiami. Jak będą chcieli obiad, niech do mnie zadzwonią! - Po tym oświadczeniu kucharka cisnęła słuchawkę.

Potwierdzona rozmową z kucharką sytuacja stawała się jeszcze bardziej zadziwiająca. Wszyscy uciekli, być może zabijając człowieka, który nie chciał się do nich przyłączyć i mógł ich obciążyć.

Wyglądało, jakby przez posiadłość przesunęło się widmo Zagłady, szepcząc każdemu do ucha: „Nadszedł już czas. Dziś w nocy. Ratuń się, kto może!” Jak inaczej bowiem wszystko wytłumaczyć...?

Jedynym prawdziwym wyjaśnieniem, jedyną więź z Bajaratt znajdowały się w martwych komórkach mózgu van Nostranda.

Hawthorne wyjął skrwawiony rewolwer z kabury nieżyjącego strażnika; Trzymając broń w dwóch palcach, zaniósł ją do maleńkiej otwartej łazienki, wytarł starannie papierem i wsunął za pasek spodni. Wrócił do znajdującej się w wartowni aparatury i znowu zaczął się jej przyglądać. Szczególnie zainteresowała go umieszczona najbliżej wjazdu tablica, która - jak sądził - służyła do obsługiwanego zapór drogowych. Rozmieszczone na niej sześć dużych kolorowych przycisków tworzyło dwa usytuowane obok siebie identyczne trójkąty. Przyciski na dole po lewej były zielone, z prawej - brązowe, a umieszczone na górze, większe od pozostałych - jaskrawoczerwone. Pod każdym z nich widniała żółta tabliczka z czarnymi napisami: OTWARTE, ZAMKNIĘTE, a pod górnym, czerwonym guzikiem większe litery głosiły: ALARM.

Tyrell wybrał trójkąt z lewej strony i przycisnął zielony guzik

OTWARTE - najbliższa zaporę uniosła się wolno. Nacisnął brązowy - opadła do poziomu. Najwyraźniej lewy trójkąt obsługiwał barierę zamykającą wjazd, prawy zaś regulował wjazd z posiadłości. Aby się upewnić, powtórzył operację z drugim trójkątem - dalsza zaporę uniosła się i opadła. Tyle, jeżeli chodzi o technikę. Czerwonego przycisku wolał nie ruszać.

Podjął decyzję. W końcu ryzyko było minimalne, przynajmniej na razie. Spotka się z Neilsen i Poole'em na pasie startowym i przekaże im, co postanowił. Mogą polecieć z pilotami i przeszedź powiązanie z Charlotte w Północnej Karolinie, a konkretnie zorientować się, kto się pojawi, aby przeprowadzić van Nostranda do wyjścia odlotów międzynarodowych. Mogą też zostać z nim i przewrócić do góry nogami gabinet Neptuna. Wybór należy do nich i każde rozwiązanie ma sens. Immunitet i eskorta w porcie lotniczym mogły pochodzić od bardzo wielu osób. Ich źródło mogło być biurokratycznie ukryte albo zamaskowane, ale można przeszedź powiązania konkretnej osoby towarzyszącej. Z drugiej jednak strony Tyrellowi bardzo przydałyby się dwie dodatkowe pary oczu, .aby przeszukać gabinet i pokoje mieszkalne van

Nostranda. Człowiek opuszczający dom w takim napięciu, w jakim znajdował się pan na tych włościach, z łatwością mógł coś przeoczyć, okazać się nieuważny, nieostrożny.

Hawthorne ujął pod pachy zabitego strażnika i zaciągnął zwłoki do małej łazienki. Zatrzymał się, aby umyć ręce w niewielkiej umywalce, kiedy usłyszał nagły ryk silnika samochodu - głośny, nawet wściekły, a potem gwałtowny zgrzyt hamulców... Czyżby się pomylił? Czy rzeczywiście policja odpowiedziała na alarm? Prawie bez namysłu wybiegł z łazienki, podniósł z podłogi czapkę strażnika i stanął przed grubym oknem. Natychmiast poczuł ulgę. Błękitny chevrolet był cywilny i wyjeżdżał z posiadłości, a nie wjeżdżał do niej.

- Tak? - zapytał, przesuwając przełącznik koło wbudowanego mikrofonu.

- Co to, do licha, ma znaczyć, głupolu? - rozległ się zirytowany głos. - Wypuść mnie stąd! A kiedy ten sukinsyn mój mąż wróci tą limuzyną, powiedz mu, że pojechałam do siostry. Może się tam ze mną skontaktować... Hej, poczekaj chwilę! Kim jesteś?

- Jestem nowy, proszę pani - odparł Tyrell, przyciskając zielony guzik w drugim trójkącie. - Życzę przyjemnej nocy.

- Idioci, wszyscy zwariowaliście! Jakież samoloty, strzelanina, co jeszcze? - Chevrolet wystartował w ciemność, gdy Hawthorne podniósł dalszą zaporę: Rozejrzał się, zastanawiając się, czy jest coś jeszcze, co powinien zrobić, co powinien wziąć... Tak, chyba tak.

Na biurku, mokrym od krwi, znajdował się wielki kołonoatnik.

Otworzył go i przekartkował. Były w nim nazwiska, daty i godziny przyjazdu gości van Nostranda od pierwszego dnia tego miesiąca, czyli od osiemnastu dni. W pośpiechu czy zdenerwowaniu Neptun popełnił swój pierwszy błąd. Tyrell zamknął notes i włożył go pod pachę... Nagle przyszła mu do głowy oczywista myśl. Cisnął notatnik na biurko i szybko przerzucił strony do zapisu z dzisiejszej nocy. Przypomniał sobie limuzynę, którą wyjechała stąd dwójka uciekinierów z najdalszego domku gościnnego. Znalazł tylko jedno nazwisko, ale wystarczyło, aby poczuł, że mózg niemal mu eksploduje! Zawierało część nazwiska goszczącej tu kobiety, która nie miała pojęcia, że jest ono znane polującym na nią ludziom. Jej szaleńczy egocentryzm spowodował, że pozostawiła wyraźny ślad, z którego mogły później skorzystać oficjalne komisje śledcze i przyszli badacze historii. Nie potrafiła sobie odmówić takiej ostentacyjnej demonstracji.

Madame Lebajerone, Paris.

Lebajerone.

Baj.

Dominique.

Bajaratt!

ROBERT LUDLUM

ILUZJA SKORPIONA

tom 2

ROZDZIAŁ 19

Tyrell pozostawił drzwi wartowni szeroko otwarte i pobiegł w stronę ogromnego trawnika, aby skrócić sobie drogę do pasa startowego. Gdy znalazł się na trawie, zwolnił. Był trochę zdezorientowany, choć początkowo nie bardzo wiedział, dlaczego. Podświadomie spodziewał się, że kiedy zbliży się do lądowiska, zobaczy poświatę pomarańczowych lamp lotniskowych. Ale niczego nie było widać - wokół panował mrok. Zaczął znowu biec, jeszcze szybciej niż poprzednio, przemykając wąską luką w wysokim żywopłocie ogradzającym lotnisko.

Przypuszczał, że Neilsen i Poole będą go oczekiwali razem z dwoma pilotami w jakimś widocznym miejscu przy pasie. Nie było jednak nikogo, coś musiało się stać. Wsunął zabrany z wartowni notes pod krzak, przysypał go ziemią i rozejrzał się po lądowisku.

Cisza. Nic. Jedyne żółtawobiałe zarysy odrzutowca Gulfstream.

Ale nagle dostrzegł coś... ruch! Gdzie? Zarejestrował go zaledwie kątem oka - z prawej, drugiej strony pasa. Zaczął bacznie obserwować ten rejon. Pomagało mu światło księżyca, odbijając się jak w lustrze od widocznego teraz wyraźnie obiektu. Była to wieża kontrolna, choć może określenie niezbyt pasowało do tego parterowego, w większości przeszklonego budynku z talerzową anteną ustawioną i umocowaną odciągami na dachu. Ktoś poruszył się za jednym z wielkich okien oblanym księżycową poświatą.

Niebo znowu pociemniało i Hawthorne błyskawicznie przypadł do ziemi, przeczołgał się szybko do żywopłotu, po czym wstał i zaczął biec od jednej przerwy w zaroślach do drugiej, okrążając koniec pasa. W ciągu niecałej minuty znalazł się w odległości stu metrów od parterowej wieży. Dyszał ciężko, pot spływał mu po twarzy i karku tak silnie, że koszula lepiała się do ciała. Czyżby dwaj piloci obezwładnili Cathy i uzbrojonego młodego porucznika lotnictwa? Trudno było uwierzyć, aby przy umiejętnościach Poole'a obyło się bez strzelaniny, a przecież niczego takiego nie słyszał.

Znowu ruch! Niewyraźna postać - albo jej cień - przysunęła się na chwilę do wielkiego okna, a potem równie szybko cofnęła...

Widzieli go, wybiegającego z przejścia w żywopłocie, i teraz czekali na ponowne pojawienie się. Nagle przez umysł Hawthorne'a przemknęły niedawne, zaledwie sprzed trzech dni, a właściwie trzech nocy, wspomnienia z bezimiennej wysepki na północ od cieśniny Anegada... Ogień. Jedno z najsilniej oddziałujących na człowieka lub zwierzę zjawisk. Potwierdziły to rozwścieczone, warczące psy obronne w morskiej fortecy padrone.

Ukryty za żywopłotem Tyrell zaczął obmacywać ziemię w poszukiwaniu suchych liści i patyków. Potem sięgnął do góry i w gęstych, splątanych krzakach wyszukiwał uschłych, łamliwych gałęzi.

Im wyżej sięgał, tym więcej ich znajdował. W ciągu mniej więcej czterech męczących minut ułożył stos wysokości trzydziestu i szerokości sześćdziesięciu centymetrów. Był to „zapalnik”, od którego miało się zająć wilgotne poszycie. Sięgnął do kieszeni spodni po tkwiące tam zawsze zapalniczki - to znaczy od czasów, kiedy był nałogowym palaczem. Wyrwał jedną zapalniczkę, osłonił ją dłońmi i zapalił, po czym rzucił na stos. Natychmiast odbiegł na czworakach dalej w prawo, za następny fragment żywopłotu. W tej chwili znajdował się równolegle do przeszklonego budynku, a prowadzące do środka metalowe drzwi były w odległości niecałych dwudziestu pięciu metrów od niego.

Płomień wśród krzewów rozprzestrzenił się nadszpiewanie szybko i Hawthorne podziękował wszystkim możliwym bogom za palące słońce Wirginii. Ożywczy nocny wietrzyk od wzgórz jeszcze nie nadciągnął. Wierzchołki żywopłotu były suche, a wilgotniejsze listowie poniżej powodowało, że płomienie strzelały w górę. W ciągu zaledwie kilku minut ogień przekształcił się w groźny szereg gwałtownie wybuchających stosów i mknął w obu kierunkach jak jaskrawy podwójny lont. Nagle dwie... nie - trzy postacie pojawiły się w wielkim oknie z tyłu budynku. Były wyraźnie wzburzone: głowy kiwały z ożywieniem, ręce gestykulowały, a ukryte w cieniu ciała miały się to w jedną, to w drugą stronę - niezdecydowane, ogarnięte paniką. Wreszcie metalowe drzwi otworzyły się i w obramowaniu framugi pojawiły się trzy sylwetki - jedna z przodu i dwie z tyłu. Tyrell nie mógł dostrzec ich twarzy, ale wiedział, że żadna z nich nie należy do Neilsen ani Poole'a. Wyciągnął zza paska rewolwer i czekał, zadając sobie w myśli trzy pytania: Gdzie są Cathy i Jackson? Kim są ci ludzie? Jaki mieli związek ze zniknięciem dwojga oficerów lotnictwa?

- O mój Boże, zbiorniki z paliwem! - krzyknął mężczyzna z przodu.

- Gdzie one są? - Hawthorne rozpoznał po głosie tego człowieka: to był drugi pilot odrzutowca, - Tam! - Tye zobaczył, że pierwsza postać wskazuje jakiś punkt na pasie startowym. - Paliwa jest tyle, że może wysadzić całe to pieprzone miejsce na księżyc! W zbiornikach mieści się pięćset tysięcy litrów! Wysokiej jakości, najwyższej!

- Przecież cysterny umieszczono pod ziemią! - zaprotestował pilot.

- Owszem, koleś, i zamknięto stalowymi wkręcanyimi pokrywami, ale są wypełnione tylko w połowie. Pary paliwa zebrały się w górnej części i mogą pieprznąć jak bomba! Spadajmy stąd!

- Nie możemy ich tak zostawić! - zawołał drugi pilot. - To byłoby morderstwo, a nie chcemy mieć z tym nic wspólnego!

- Róbcie, co chcecie, dupki, ale ja się zmywam! - Mężczyzna z przodu pomknął trawnikiem, a jego sylwetka ostro rysowała się na tle płonącego żywopłotu. Obaj piloci zniknęli w budynku i w tej samej chwili Hawthorne rzucił się do przodu. Biegł skulony nisko, niemal na czworakach, aż wreszcie dotarł do węgła przeszklonego budynku. Wyrzał ostrożnie za róg. Płomienie ogarniały coraz to dalsze odcinki żywopłotu, strzelając wysoko w niebo. Nagle przez otwarte drzwi wypchnięto Neilsen i Poole'a. Ręce mieli związane na plecach, usta zaklejone szarą taśmą pakunkową. Cathy upadła, popchnięta gwałtownie przez Jacksona, który rzucił się na nią, przykrywając swoim ciałem, jakby w obawie przed strzałami.

Potem pojawili się piloci. Byli najwyraźniej przerażeni, niezdecydowani, co robić dalej.

- Prędeż, ruszajcie się! - Rozkazał drugi pilot. - Wstawajcie i idziemy!

- Nigdzie nie idziecie! - Tye stał, wodząc lufą rewolweru od jednego pilota do drugiego. - Pomóżcie im się podnieść, wredne sukinsyny! Rozwiążcie im ręce i zdejmijcie taśmy.

- Człowieku, to nie nasza wina - zaprotestował drugi pilot i razem z kolegą szybko zaczęli podnosić Neilsen i Poole'a, rozwiązywać ich i zdejmować grubą taśmę. - Zmusił nas ten wszarz z wieży kontrolnej, grożąc zastrzeleniem.

- To on nam kazał ich związać i zakneblować - dodał pierwszy pilot. - Prowadził z nami dzisiaj rano próbne lądowania i uznał, że skoro pracujemy dla van Nostranda, musimy być wobec niego w porządku...

- Bardziej niż w porządku - przerwał mu drugi, patrząc na płonący żywopłot. - Stwierdził, że zostaliśmy sprawdzeni przez

„ochronę pana Vana”, ale nie znał tych dwojga i nie chciał ryzykować... Wynośmy się stąd, do diabła. Słyszeliście, co powiedział o zbiornikach z paliwem?!

- Gdzie one są? - zapytał Hawthorne.

- Jakieś sto dwadzieścia metrów na zachód od tej szklanej szopy - odparł Poole. - Kiedy czekaliśmy z Cathy na ciebie, zauważyłem pompy.

- Nie obchodzi mnie, gdzie je widziałeś! - wrzasnął drugi pilot. - Ten sukinsyn ostrzegał, że mogą nas wysadzić na księżyc!

- Owszem, jest to możliwe - zgodził się porucznik - ale raczej mało prawdopodobne. Pompy mają zawory odcinające, a zakręcane kłapy trzeba by nagrzewać palnikiem, żeby pary osiągnęły temperaturę zapłonu.

- Naprawdę?

- Jasne, Tye. Jedna szansa na kilkaset. W końcu napisy

„Palenie wzbronione” na stacjach benzynowych mają chyba jakiś sens.

Hawthorne odwrócił się do przerażonych pilotów.

- Wygląda na to, że macie szczęście, kolesie - powiedział. A teraz dajcie mi wasze portfele i legitymacje. Paszporty też”

- Co jest, do cholery? Zamierzacie nas obrobić?

- Nic wam nie będzie, jeżeli zrobicie, co każę. No, dawajcie je!

Zaraz wam zwrócę.

- Kim pan jest, może kimś w rodzaju federalnego agenta? Pilot niechętnie sięgnął do kieszeni i wręczył Tyrellowi swój portfel i paszport. - Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, iż zostaliśmy zatrudnieni w całkowicie legalny sposób i nie przewozimy ani broni, ani zakazanych substancji. Jeżeli pan chce, może nas przeszukać. I samolot też. Nic pan nie znajdzie.

- Mam wrażenie, jakbyście już odbywali podobne rozmowy...

Twoje dokumenty też, dorożkarzu! Bo tak się chyba nazywa takich jak ty, prawda?

- Jestem licencjonowanym pilotem, wynajmującym swoje umiejętności, proszę pana - odparł drugi pilot, podając Hawthorne'owi żądane przedmioty.

- Wynotuj nazwiska i wszystkie potrzebne informacje, majorze - polecił Tyrell, podając portfele i paszporty Neilsen - Wejdz do środka i zapal światło.

- Tak jest, komandorze - Cathy weszła szybkim krokiem do przeszklonego budynku.

- Major... komandor?! - zawołał pilot. - Co, u diabła, jest tu grane? Strzelanina, płonące lotnisko w eleganckiej posiadłości i do tego wojskowi? W coś ty, do kurwy nędzy, nas wpakował, Ben?

- A ja jestem porucznikiem - dodał Poole.

- Niech mnie cholera, synu, ale jeżeli się stąd wydostaniemy, wycofamy nasze nazwiska z ich listy!

- Cóż to za lista? - zapytał Hawthorne.

Lotnicy- popatrzeli po sobie.

- No, powiedz im - zgodził się pierwszy pilot. - Przecież ni cholery na nas nie mają.

- Sky Transport International - odparł drugi. - Swego rodzaju ekskluzywna transportowa agencja zatrudnienia.

- Jasna sprawa. Gdzie się mieści?

- W Naslville.

- Jeszcze lepiej. Ci wszyscy prowincjonalni milionerzy...

- Nigdy nie mieliśmy w świadomy sposób do czynienia z przestępcą ani też z osobnikiem czy osobnikami, którzy przewoziliby zakazane substancje...

- Powtarza się pan, panie pilot. A pomijając praktykę prawniczą, gdzie się pan szkolił? W wojsku?

- Skądże! - odparł ze złością drugi pilot. - Najlepsze cywilne szkoły pilotażu, dyplom z najwyższą oceną FAA i wylatane łącznie pięć tysięcy godzin.

- Czy ma pan coś przeciwko wojsku? - zapytał Poole.

- Nieelastyczność drogi służbowej całkowicie wyklucza inicjatywę. Jesteśmy lepszymi pilotami.

-- Hej, poczekaj pan...

- Spokój, poruczniku - Catherine Neilsen wyszła z budynku. - Nasi latający chłopcy to Benjamin i Ezekiel Jonesowie. Są braćmi. W ciągu ostatnich dwudziestu miesięcy wyjątkowo dużo podróżowali. Do bardzo ciekawych miejsc, takich jak Caracas, Kartagena, Port-au-Prince i Estero na Florydzie.

- Taki wykrzywiony prostokąt - stwierdził Tyrell. - Ostatni odcinek nad Everglades

- Strefy zrzutów od punktów alfa do omega - skomentował Poole z obrzydzeniem w głosie. - Precyzyjne dostawy według zamówienia. Sukinsyny.

- Czy moglibyśmy wynieść się stąd do diabła? - Pot spływał kroplami po twarzy drugiego pilota, spoglądającego na płonące żywopłoty.

- Jasne, zaraz się stąd wyniesiecie - odparł Hawthorne. Uczynicie to dokładnie w taki sposób, jak wam każę, i zrobicie wszystko, co powiem. Porucznik poinformował mnie, że macie zarejestrowany plan lotu do Charlotte w Północnej Karolinie...

- Czas startu już minął, a nie mamy potwierdzenia nowego! zaprotestował Benjamin Jones. - Nigdy w życiu nie dostaniemy zezwolenia na ten przelot - na górze jest ruch!

- Lepiej by było, chłopcy, gdybyście wrócili do swojej świetnej szkółki - roześmiał się Jackson. - Zanim wykręcicie rundkę na paru tysiącach metrów dam wam nową trasę przelotu, albo potwierdzę starą.

- Możesz to zrobić, Poole?

- Jasne, że tak - wtrąciła Cathy. - Ja też. Ta aparatura może się połączyć z wieżami kontrolnymi od Dulles do Atlanty. Jak poinformował nas Ben, kiedy tu lecieliśmy, van Nostrand podróżuje pierwszą klasą.

- Spodziewacie się, że wpadniemy prosto w objęcia tłumu agentów federalnych czekających na pasażera, którego nie mamy? zawołał Sonny-Ezekiel Jones. - Chyba wam się zupełnie popieprzyło w głowach!

- Nie dałbym złamanego centa za twoją głowę, jeżeli tego nie zrobisz - oznajmił spokojnie Tyrell, wyjmując z kieszeni małe notesiki i ołówki, które zawdzięczał hotelowi w San Juan. - Tu jest numer, pod który zadzwonisz po przylocie do Charlotte. Skorzystaj z karty kredytowej, ponieważ ten telefon jest na Wyspach Dziewiczych i odezwie się automatyczna sekretarka.

- Zwariował pan?! - wrzasnął Benjamin Jones.

- Naprawdę sędzę, że powinniście spróbować. Bo jeśli odmówicie, obiecuję, że do końca życia nie będziecie mogli w tym kraju legalnie sobie polatać. Natomiast jeżeli wykonacie moje polecenia, wróćcie do domu wolni - z jednym zastrzeżeniem, o którym za chwilę.

- Jakim zastrzeżeniem? Co mamy zrobić?

- Zaczniemy od tego, że nie spotka was tłum agentów, ale dyplomatyczna eskorta van Nostranda - prawdopodobnie jedna osoba albo dwie. Muszę znać ich nazwiska. Nie zechcecie z nimi nawet rozmawiać, dopóki nie podpiszą pewnego oświadczenia.

- Jakiego oświadczenia?

- Zawierającego datę, czas i podpisy odpowiadające ich dokumentom tożsamości, a także nazwisko konkretnego osobnika, który odprawił waszego pasażera i zapewnił mu eskortę. Pewnie nie będą tym zachwyceni, ale się zgodzą. W końcu wchodzi to w zakres ich służby.

- No dobrze, zdobędziemy informację i co dalej? - zapytał nieco inteligentniejszy Ben Jones. - Nie mamy przecież van

Nostranda, żeby im go przekazać! A tak a propos - gdzie on właściwie jest?

- Trochę niedysponowany.

- Co więc, do cholery, mamy im powiedzieć?

- Że na rozkaz van Nostranda wykonaliście próbny lot.

Zabrzmiało to chyba przekonująco. Potem zadzwonił pod ten numer - Hawthorne wsunął kawałek papieru do kieszonki koszuli drugiego pilota.

- Hej, poczekaj pan, do diabła! - zawołał Sonny-Ezekiel. A co z naszym szmałem?

- Ile są wam winni?

- Dziesięć tysięcy. Po pięć na głowę.

- Za dzień pracy? Cholernie zawyżona stawka, Zeke. Założyłbym się, że należy się wam około dwóch na głowę.

- Możemy się zgodzić na cztery, czyli razem osiem. I proszę mi mówić Sonny!

- Wiesz, co ci powiem, Sonny? Niech będzie po cztery, jeżeli przekażesz informację z Charlotte. Jeżeli nie, dostaniesz zero przecinek zero.

- Gadka, komandorze - wtrącił się Benjamin Jones. - Brzmi ładnie, ale w jaki sposób otrzymamy szmal?

- Najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Dajcie mi dwanaście godzin od waszego telefonu w sprawie Charlotte. A potem wystarczy, że przekażecie automatycznej sekretarce na St. Thomas czas i miejsce - posłaniec dostarczy wam pieniądze.

- Słowa...

- Czy wyglądam na cholernego durnia, który podaje telefon łatwy do zidentyfikowania?

- Załóżmy, że nikt nie odpowie? - dociekał młodszy z braci.

- Na pewno ktoś się odezwie. Słuchajcie, tracimy czas, a wy i tak nie macie wyboru! Zakładam, że wzięliście ze sobą klucz do stacyjki czy co tam jest wam potrzebne.

- Jasne - odparł Sonny. - Z tą tylko różnicą, że klucz jest do drzwi kabiny pilota, a w samolocie mamy włączniki, ziemniaku.

- W takim razie ruszajcie się.

- Niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby nas zrobić w jajo ostrzegł Benjamin. - Nie wiemy, co się tu stało, ale jeżeli sądzisz, że kupiliśmy te pierdoły o strzelnicy, to lepiej pogłójkuj po raz drugi. A fakt, że nasz pracodawca nie zjawił się w samolocie, daje nam dużo do myślenia. Czytaliśmy o tym van Nostrandzie, znana z niego figura, jeżeli dobrze mnie rozumiecie. Za odpowiednią cenę moglibyśmy zacząć gadać.

- Czy grozicie oficerowi marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych? A konkretnie - wywiadu marynarki?

- Czy usiłuje nas pan przekupić, komandorze? Pieniędzmi amerykańskich podatników?

- Jesteś dość cwany, Jones, ale ja od dawna wiem, że młodszym braciom często się to zdarza... Zazwyczaj na ich zgubę... Wynoście się stąd. Sprawdzę St. Thomas za kilka godzin.

- Zróbcie rundę na tysiącu metrów i połączcie się ze mną przez radio - polecił Poole. - Trzymajcie grata dokładnie w tej strefie.

Bracia popatrzyli na siebie. Sonny-Ezekiel wzruszył ramionami i znowu spojrzął na Hawthorne'a.

- Zadzwoń pan do tej swojej sekretarki, komandorze. A potem załatw nam honorarium, ale nie czekiem, tylko żywą gotówką powiedział.

- Ben - oświadczył Tyrell, ostro spoglądając na młodszego

Jonesa. - Dostarcz mi informację z Charlotte, bo w przeciwnym razie ja zajmę się dokładnie waszym samolotem i dowiem się o nim wszystkiego. I wreszcie moja dobra rada: skończcie z handlem narkotykami.

- Sukinsyn! - mruknął drugi pilot. Obaj bracia odwrócili się i pobiegli w stronę niższego żywopłotu, który zaczynał się już wypalać i bardziej dymił niż płonął.

- Ogień przygasa - stwierdziła Cathy.

- Wyszuszone wierzchołki szybko się palą - zauważył Jackson. - Dają więcej światła aniżeli ciepła, toteż zielone części nie zdążą się nawet zająć.

- Mimo wszystko ogień może się przerzucić - oznajmił Hawthorne.

- Nie może - poprawił go Poole, kierując się w stronę drzwi do wieży kontrolnej. - Krzaki i pompy dzieli przynajmniej trzydzieści metrów.

- Dlatego zbiorniki nie wylecą w powietrze - stwierdziła] Neilsen.

- Nie czułem potrzeby wdawania się w szczegóły, Cath... mam zadanie do wykonania. Znam wieżę w Andrews, a oni z kolei połączą się z National, żeby załatwić im zezwolenie, zanim komputer zdąży beknąć. Gulfstream już właściwie leci do Charlotte.

- Spotkajmy się w domu, w bibliotece - zawołał Tyrell za znikającym w drzwiach Poole'em. - Ruszamy - zwrócił się do dziewczyny. - Chcę tam wszystko wypatroszyć. Musimy znaleźć sposób, żeby skontaktować się z tamtą limuzyną. Jest w niej

Bajaratt.

- Mój Boże! Skąd wiesz?

- Podam ci kilka faktów. Z drugiej strony lotniska schowałem dziennik, który wzięłem z wartowni. Widziana przez was limuzyna była ostatnim samochodem, który tu wjechał. Nazwisko znajdującej się w niej osoby jest bardzo znaczące. Chodź, pokażę ci. - Obiegli dymiący, tłący się żywopłot i wreszcie znaleźli się w miejscu, w którym Hawthorne ukrył gruby zeszyt. Teraz ukląkł, dysząc ciężko, żeby go wydobyć.

Dziennika nie było!

Tyre rył w ziemi jak umierający z głodu człowiek szukający jadalnych korzonków, za wszelką cenę próbując opanować ogarniającą go panikę.

- Zniknął! - wyszeptał. Zamrugał gwałtownie, czując strumyki potu spływające mu po twarzy.

- Zniknął?! - Neilsen ze zdziwieniem zmarszczyła brwi. A może gdzieś go upuściłeś w zdenerwowaniu?

- Położyłem go dokładnie w tym miejscu! - Tyrell zerwał się jak atakująca kobra i wyszarpnął rewolwer zza paska. - I niczego nie upuszczam w zdenerwowaniu, majorze!

- Przepraszam.

- Ja też... Być może zdarzyło mi się kilka razy coś takiego, ale na pewno nie teraz. Przede wszystkim był zbyt duży i ważny...

Chryste, tutaj jest jeszcze ktoś, kogo nie widzimy, ale kto na pewno nas obserwuje!

- Kucharka? Strażnicy z wartowni?

- Niczego nie rozumiesz, Cathy. Wszyscy uciekli, zniknęli, nawet kucharka... Sam ją wypuściłem. Powiedziała mi, że z nikim nie można się było porozumieć telefonicznie.

- Wszyscy?

- Oprócz strażnika, którego zabito, zastrzelono przy jego własnym biurku.

- Skoro jednak dziennika tu nie ma...

- Otóż to! Ktoś musiał zostać. Ktoś, kto doskonale wie, że van Nostrand nie żyje, i ma ochotę zabrać sobie to i owo z posiadłości pełnej drogocennych drobiazgów.

- W takim razie po co mu dziennik z wartowni? Nie jest ze srebra czy kryształu ani też dziełem sztuki.

Tyrell zerknął z ukosa na oświetloną księżycem twarz Catherine.

- Dzięki, majorze. Powiedziałaś coś, na co powinienem był sam wpaść. Nasz nieuchwytny nieznajomy jest prawdopodobnie ważniejszą osobą, niż przypuszczałem. Dziennik przedstawia wartość tylko dla osoby, która wie, jakie ten dokument ma znaczenie. Rzeczywiście, zbyt długo nie byłem w obiegu.

- Co chcesz teraz zrobić?

- To samo, ale bardzo ostrożnie. Masz broń, prawda?

- Jackson dał mi pistolet, który zabrał kierowcy. Chyba jest większy.

- Znakomicie. Trzymaj go tak, aby był widoczny, i idź za mną. Rób to co ja. Odwracaj się co kilka kroków, ale - o ile to będzie możliwe - w przeciwnym kierunku. Jeżeli odwrócę się w lewo, ty odwróć się w prawo. W ten sposób sprawdzimy wszystkie kierunki. Dasz radę?

- A czy dałam radę sterować okrętem podwodnym, który pierwszy raz widziałam na oczy?

- Nie ma porównania, majorze. Teraz nie kierujesz maszyną, ale sama nią jesteś. Co oznacza, że musisz strzelać do cienia, który może się ukrywać za świerkiem, i nie będzie żadnego usprawiedliwienia, jeżeli w razie potrzeby tego nie zrobisz. Chwila niezdecydowania może kosztować życie.

- Umieję czytać, pisać i rozumiem po angielsku, Tye. Jeżeli miałeś zamiar mnie przestraszyć, to ci się udało.

- Doskonale. Odwaga mnie przeraża - można przez nią zginąć.

Dwie postacie przeszły ostrożnie przez szeroki trawnik, kierując się w stronę wielkiego domu. Catherine i Tyrell dotarli do roztrzaskanego okna biblioteki. Padające do środka światło wydobywało z mroku sterczące z ramy ostre kawałki szkła. Hawthorne przeciągnął lufą rewolweru wzdłuż dolnej ramy, aby zmniejszyć ryzyko pokaleczenia się w czasie forsowania okna.

- Dobra, wejdę pierwszy, a potem wciągnę cię - powiedział do stojącej za nim zdenerwowanej dziewczyny. Cathy patrzyła w ciemność, wodząc lufą pistoletu w prawo i lewo.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle mam ochotę się odwracać odparła. - Bardzo nie lubię pistoletów, ale w tej chwili wydaje mi się, że zaprzyjaźnię się z tym paskudztwem.

- Pochwalam zdrową ocenę sytuacji, majorze. - Tyrell wybił się z całej siły i trzymając rewolwer w lewej ręce, wskoczył do środka. - W porządku - oznajmił, stając w oknie. - Wetknij broń gdzieś, gdzie będziesz miała ją pod ręką, i złap mnie za rękę.

- O cholera, drapie jak diabli! - zawołała Neilsen, wsuwając pistolet za dekolt ściągniętej paskiem sukni i chwytając wyciągniętą lewą rękę Hawthorne'a. - I co teraz?

- Zaprzyj się stopą o ścianę budynku i przebieraj nogami, kiedy będę cię ciągnął do góry. To tylko parę kroków, na pewno ci się uda... Ale nie stawaj na ramie, jeżeli możesz. Nie masz butów.

- Miałam szpilki, pamiętasz? Nie bardzo się nadają do wyścigów o życie. - Dziewczyna spełniła polecenie, wysoko podciągnęła sukienkę i zaczęła się wspinać na wysokość półtora metra dzielącą ją od okna. - I w ten sposób przyzwoitość szlag trafił mruknęła pod nosem. - A jeżeli moje majtki cię podniecają, to już twój problem.

Ciała van Nostranda i szefa jego ochrony leżały w tych samych miejscach. Nic nie świadczyło o jakichś zmianach ani o czyjejkolwiek obecności w bibliotece od chwili

strzelaniny. Aby się jednak upewnić, Hawthorne podszedł szybko do grubych drzwi. Wciąż były zamknięte.

- Oślonię nas z okna - powiedział. - Sprawdź konsolę telefoniczną. Powinien tam być bank pamięci, w którym zapisano informacje na temat każdego numeru. Zobacz, czy jest szybkie połączenie z limuzynami.

Tyrell stał przy rozbitym oknie, przywarty plecami do ściany, gdy tymczasem Cathy podeszła do biurka.

- Na biurku jest duży kawał plastyku, który musiał przykrywać spis leżący koło telefonu - oznajmiła. - Samą kartkę wyrwano.

Na krawędziach pozostały strzępy grubego papieru, jakby ktoś, kto ją usuwał, miał z tym duże kłopoty.

- Zajrzyj do szuflad, kosza na śmieci, wszędzie, gdzie mogła być wyrzucona.

Cathy szybko otwierała i zatrząskiwała z powrotem szuflady biurka.

- Są puste - oświadczyła, a potem podniosła mosiężny kosz na śmieci i postawiła go na fotelu. - Tu też niewiele... O, poczekaj chwilę.

- Co?

- Mam kwit z towarzystwa przewozowego Sea Lane Containers. Znam tę firmę. Korzystają z niej ważne figury, kiedy na kilka lat udają się na placówki za granicą.

- Co na nim jest?

- „N. van Nostrand, trzydziestodniowe składowanie, Lizbona, Portugalia”. A poniżej, w pozycji Zawartość: „Dwadzieścia siedem kartonów, przedmioty osobiste, plomby powtórnego użytku na potrzeby kontroli celnej”. Podpisany przez G. Alvarado, sekretarkę N.v.N.

- To wszystko?

- Jeszcze jedno, w punkcie Instrukcje: „Nadawca odbierze w magazynie S.L.C. w Lizbonie”. I to wszystko... Dlaczego ktoś miałby wyrzucać kwit na dwadzieścia siedem kartonów przedmiotów osobistego użytku, z których wiele na pewno jest niezwykle wartościowych?

- Pierwsze wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, jest takie, że gdybyś była van Nostrandem, nie potrzebowałabyś kwitu, aby odebrać swoją przesyłkę. Co jeszcze jest w koszu?

- Właściwie nic... Trzy papierki od cukierków, parę zgniecionych i nie zapisanych kartek do notowania oraz wydruk notowań giełdowych z dzisiejszą datą.

- Bezużyteczne - oświadczył Tyrell, wpatrując się w ciemność za oknem. - A może jednak nie - dodał. - Dlaczego van

Nostrand mógłby wyrzucić ten kwit? Albo, mówiąc inaczej, dlaczego w ogóle zadałby sobie trud, aby go wyrzucać?

- Czy zacząłeś brać lekcje u Poole'a? Nie nadażam.

- Miał sekretarkę. Czemu po prostu nie dał jej kwitu? Najwyraźniej wszystko załatwiała. Dlaczego więc nie kazał jej zatrzymać tego świstka?

- Żeby móc odebrać przesyłkę w Lizbonie... Dobra, dobra, zapomnij o tym. Wyrzucił go.

- Dlaczego?

- Niech mnie cholera, jeżeli wiem, komandorze. Jestem pilotem, a nie psychologiem.

- Ja też nie, ale bez trudu rozpoznam kaktus, kiedy będą mi go wpychali do gardła.

- Ładne porównanie, wciąż jednak nie wiem, o co ci chodzi.

- Nie jestem sprytny, tylko po prostu doświadczony. Van

Nostrand z powodów, których nie rozumiem, chciał, żeby ten kwit został znaleziony.

- Po swojej śmierci?

- Oczywiście, że nie. Przecież nie wiedział, że umrze. Wybierał się do Charlotte w Północnej Karolinie, a mimo to zależało mu, żeby kwit znaleziono.

- Kto?

- Ktoś, kto mógłby go powiązać z czymś, co nie doszło do skutku. Możesz to nazwać spaczoną wyobraźnią, ale wydaje mi się, że opieram się na mocnych przesłankach... Szukaj dalej. Wszędzie.

Wyciągnij książki, które pozostały na półkach, sprawdź szafki, barek, wszystko.

- I czego mam szukać?

- Wszystkiego, co schowano... - Przerwał gwałtownie, a potem powiedział: - Poczekaj! Zgaś światło!

Neilsen wyłączyła wszystkie lampy. Pokój pogrążył się w ciemności.

- Co się stało, Tye?

- Ktoś z latarką ołówkową. Widzę małą plamkę światła na trawie... Nasz tajemniczy nieznajomy.

- Co robi?

- Idzie prosto w stronę okna...

- Mimo że w środku jest ciemno?

- Dobre pytanie. Kiedy zgasiłaś światło, nie zatrzymał się ani nawet nie zawahał. Idzie przed siebie jak robot.

- Znalazłam latarkę! - szepnęła zza biurka Neilsen. Wydawało mi się, że widziałam ją w dolnej szufladzie. Miałam rację.

- Podczołgaj się i poturlaj ją do mnie.

Cathy spełniła jego polecenie. Tyrell przyciągnął do siebie latarkę i czekał, gdy tymczasem przypominająca zombie postać wciąż szła w stronę domu. W ciągu kilku sekund dotarła do okna.

Nagle ciszę rozdarł histeryczny wrzask:

- Wynoście się stąd! Nie macie prawa być w jego prywatnym mieszkaniu! Powiem panu Vanowi. Każe was zabić!

Hawthorne włączył latarkę i wycelował rewolwer w głowę nieznajomego. Ze zdziwieniem stwierdził, że stoi przed nim stara kobieta o pobrużdżonej twarzy, starannie uczesanych śnieżnobiałych włosach, ubrana w kosztowną ciemną, wzorzystą suknię. Pod lewym ramieniem ścisnęła zakrwawiony dziennik z wartowni. Nie miała broni, jedynie w prawej dłoni trzymała tanią latarkę. Wyglądała żałośnie, a w jej oczach płonęła nieokreślona wściekłość.

- Dlaczego pan van Nostrand chciałby nas zabić? - zapytał

Tyrell spokojnym, łagodnym głosem. - Jesteśmy tu na jego prośbę. Przecież przyjechaliśmy jego samolotem. Widzi pani to okno? Miał powód, żeby prosić nas o pomoc.

- A więc jesteście z jego armii? - Stara kobieta mówiła już ciszej, bardziej opanowanym, ale wciąż ostrym głosem, z lekko cudzoziemskim akcentem.

- Jego armii? - Ty przesunął promień światła nad głowę staruszki, nie chcąc dalej świecić jej w oczy.

- Jego i Marsa, oczywiście. - Kobieta przerwała, jakby próbując nabrać w płuca brakującego powietrza.

- Jasne... Neptun i Mars, prawda?

- Z całą pewnością. Powiedział, że wezwie was któregoś dnia.

Oboje wiedzieliśmy, że to nastąpi, rozumiesz?

- Co nastąpi?

- Naturalnie, powstanie. - Kobieta ponownie odetchnęła głęboko. Jej oczy patrzyły dziwnie. - Musimy chronić siebie, podobnie jak naszych bliskich... Każdego, kto jest z nami!

- Oczywiście przed buntownikami. - Hawthorne wpatrywał się w jej spiętą twarz. Chociaż najwyraźniej była niezrównoważona psychicznie, jej wygląd i sposób bycia nawet w chwili gniewu i lęku zdradzały arystokratyczne pochodzenie... Ameryka Południowa?

I ta wymowa, hiszpańska albo portugalska. Portugalska... Rio de Janeiro? Mars i Neptun. Rio!

- Przed ludzkimi śmieciami! - Jej krzyk przypominał histeryczny wrzask w stopniu, na jaki pozwalała jej arystokratyczna krew. Nils całe życie poświęcił, aby poprawić ich los, ale oni chcieli wciąż więcej, więcej i więcej! A nie zasługiwali na nic! Są leniwi, ulegają tylko swoim zachciankom. Potrafią jedynie robić dzieci, nie pracują!

- Nils...?

- Dla ciebie pan Van! - Kobieta zakaszła chrypliwie.

- Ale naturalnie nie dla pani...

- Mój drogi młody człowieku, przebywałam z chłopcami od lat, od samego początku. W tych dawnych latach byłam ich gospodynią... Te wspaniałe przyjęcia i bankiety, nawet nasze własne carnavales. Cudowne!

- Z pewnością były niezwykle - przytaknął Tyrell, kiwając głową. - Ale wciąż musimy chronić naszych bliskich, wszystkich, którzy są z nami. Pani zabrała dziennik z wartowni, prawda?

Schowałem go w ziemi, pod krzakami.

- To pan go schował? W takim razie jest pan głupcem! Nie wolno pozostawić niczego ważnego, czy nie zdaje pan sobie z tego sprawy? Mam zamiar powiedzieć Nilsowi o pańskim zaniedbaniu.

- Pozostawić...?

- Rano wyjeżdżamy! - szepnęła była gospodyni Marsa i Neptuna i znowu zaniósła się kaszlem. - Nie mówił panu o tym?

- Tak, mówił. Właśnie przygotowaliśmy się do wyjazdu.

- Wszystko już gotowe, ośle! Brian właśnie poleciał naszym samolotem, aby wszystkiego ostatecznie dopilnować. Portugalia!

Czyż to nie wspaniałe? Nasze rzeczy już wysłano... Gdzie jest Nils...

Pan Van? Muszę mu donieść, że skończyłam.

- Jest na górze, sprawdza swoje... osobiste rzeczy.

- Śmieszne. Brian i ja wyczyściliśmy wszystko dzisiaj rano i niczego nie pominęliśmy. Są tam tylko te jego ubrania, piżama i przybory toaletowe, które można zostawić dla tych Arabów!

- Arabów? Proszę o tym zapomnieć! Co pani właściwie skończyła, panno Alvarado? Bo tak się pani nazywa, prawda?

- Oczywiście. Gretchen Alvarado. Pierwszy mąż mojej matki był wielkim bohaterem wojennym, członkiem Naczelnego Dowództwa.

- Jest pani rzeczywiście niezwykła - stwierdził spokojnie Tyrell.

- Madre de Dios - ciągnęła z rozmarzeniem kobieta. - Te pierwsze lata z Marsem i Neptunem były naprawdę wspaniałe, ale oczywiście nie rozmawialiśmy o nich.

- Co pani skończyła dla pana Vana?

- Modlić się, oczywiście. Poprosił mnie, abym poszła do kaplicy na wzgórzu i pomodliła się do naszego Zbawcy o szczęśliwą podróż. Zapewne doskonale zdaje pan sobie sprawę, że pan van

Nostrand jest równie pobożny jak ksiądz... Prawdę mówiąc, młody człowieku, skróciłam nieco moje modlitwy, ponieważ musiała nastąpić jakaś awaria wentylacji. Oczy zaczęły mi łzawić i z trudem oddychałam. Proszę mu nic nie mówić, ale ciągle czuję straszliwy ból w piersiach. Proszę mu nic nie mówić. Będzie się o mnie martwił.

- Wyszła pani z kaplicy...?

- Kiedy byłam już na drodze, zobaczyłam pana. Pomyślałam najpierw, że to Brian, i dlatego pobiegłam za panem i zauważyłam, jak zasypuje pan ziemią dziennik z wartowni.

- I co się wtedy stało?

- Nie jestem pewna. Oczywiście byłam zdenerwowana i chciałam na pana krzyknąć, ale nagle poczułam, że nie mogę złapać tchu... proszę nie mówić Nilsowi... i zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Kiedy zaczęłam znowu widzieć, lepiej widzieć, leżałam na ziemi i wszystko • naokoło płonęło! Czy wyglądam odpowiednio?

Nils zawsze chciał, żebym prezentowała się godnie.

- Doskonale, panno Alvarado, ale muszę zadać pani jedno pytanie... Szybko. Pan Van prosił mnie, abym porozumiał się z jedną z limuzyn. Sprawa jest bardzo pilna. Jak mam to zrobić?

- Och, zupełnie prosto... Kiedy zobaczyłam tutaj światło, musiałam sprawdzić, kto... - Stara sekretarka przerwała nagle. Jej ciałem wstrząsnęły konwulsje. Były tak silne, że gruby dziennik wypadł spod jej pachy. Uniosła dłonie do piersi. Twarz sprawiała wrażenie nabrzmiałej, oczy wychodziły z orbit.

- Spokojnie! - zawołał Tyrell. Nie mógł dotrzeć jej przez okno. - Proszę się oprzeć o ścianę... Musi mi pani odpowiedzieć, w jaki sposób porozumieć się z limuzynami? Stwierdziła pani, że to proste. Co trzeba zrobić?

- Było... proste - Mówiła z trudem, łapiąc spazmatycznie powietrze. - Już nie. Nils... kazał... skasować wszystko... w systemie telefonicznym.

- Jakie są numery?

- Nie... wiem. - Nagle stara kobieta wydała zduszony okrzyk.

Trzymała się za gardło, w świetle latarki Tye'a jej nabrzmiała twarz nabierała niebieskiego odcienia.

Hawthorne wyskoczył przez okno. Wylądował w półprzysiadzie, latarka wypadła mu z ręki. Podniósł się i kiedy Catherine Neilsen stanęła w oknie, biegł już do Alvarado.

- Idź do barku - zawołał. - Włącz lampę i przynieś wody!

Tyrell zaczął właśnie masować gardło starej kobiety, kiedy w bibliotece nagle zapaliły się lampy i oświetliły trawnik przed oknami. Tye zmarł. Twarz, którą widział przed sobą, sprawiała koszmarnie wrażenie. Była groteskowo powykrzywiana, niemal granatowoszara, oczy przekrwione, o zwężonych źrenicach, a idealna fryzura okazała się peruką, częściowo zsuniętą z całkowicie łysej głowy. Gretchen Alvarado nie żyła.

- Masz! - Cathy stała w oknie, podając mu -kryształowy dzbanek wypełniony wodą. Wówczas zobaczyła w dole twarz zmarłej. - O Boże! - jęknęła i odwróciła się, jakby zebrało jej się na wymioty. Natychmiast się jednak opanowała. - Co jej się stało? - zapytała tonem bardziej przypominającym prośbę niż pytanie.

- Zrozumiesz, kiedy poczujesz zapach z jej ust... A może i nie zrozumiesz. Niektórzy, bardziej macho, chemicy nazywają to dławikiem. Pooddychasz nim przez chwilę i zaczniesz cię pęcznieć w płucach jak śmiercionośny grzyb, całkowicie unieruchamiając system oddechowy. Jeżeli nie splucze się go natychmiast - dosłownie splucze - ofiara umrze w ciągu najwyżej godziny.

- A jeżeli tego splukiwania nie przeprowadzi doświadczony lekarz - oznajmił Poole, wyłaniając się z cienia - utopi się.

Czytałem o tym świństwie. W czasie Pustynnej Burzy wszystko, co się z nim wiązało, traktowano jako priorytet. Kim ona jest?

- Zaufana Marsa i Neptuna, a niegdyś także ich uwielbiana gospodyni - poinformował Tye. - Została przeniesiona w stan spoczynku, kiedy modliła się za nich w kaplicy. Zasobnik z gazem w przewodach wentylacyjnych, jak sądzę.

- Mili faceci.

- Pierwsza klasa, Jackson. Chodź, pomóż mi. Połóżmy ją w bibliotece przy jej ukochanym pracodawcy i wynośmy się stąd.

- Mamy się wynieść? - spytała oszołomiona Catherine. Myślałam, że chcesz przewrócić tu wszystko do góry nogami.

- Strata czasu, Cathy. - Hawthorne podniósł zakrwawiony dziennik i wsunął go niezgrabnie za pasek. - Może ta dama nie miała wszystkich klepek w porządku, ale była cholernie dokładnym robotem van Nostranda. Skoro oświadczyła, że całe miejsce oczyszczono, to na pewno tak jest... Zabierz ten kwit przewozowy, chcę go wziąć ze sobą.

Szofer w dalszym ciągu był nagi, związany i nieprzytomny.

Wygodniej było zostawić go w takim stanie, więc za kierownicą zasiadł Poole, oznajmiając, że czyni tak ze względu na wyjątkowe fizyczne wyczerpanie starzejącego się byłego oficera marynarki. Te biegi i skakanie tam i z powhotem przez okna... słowo daję!

- Twoja egzekucja wcale nie jest taka niemożliwa - odrzekł rozparty na tylnym siedzeniu Tyrell, rozprostowując obolałe nogi. Majorze, sprawdź telefon - polecił siedzącej przy poruczniku

Neilsen. - Zobacz, czy są tam jakieś instrukcje albo numery, dzięki którym moglibyśmy nawiązać łączność z drugą limuzyną.

Sprawdź również schowek.

- Nie ma nic - odparła Cathy, podczas gdy Poole po podniesieniu zapór przejeżdżał przez bramę wjazdową. - Może porozumiem się z telefonistką i poproszę ją o połączenie.

- Będziesz musiała podać jej numer telefonu albo numer rejestracyjny limuzyny - odparł Jackson. - W przeciwnym razie nic ci nie powiedzą.

- Jesteś pewien?

- Bardziej niż pewien. To zarządzenie FCC.

- Cholera!

- A co ze Stevensenem?

- Spróbuję wszystkiego! - zawołał Hawthorne, sięgając po telefon umocowany do słupka drzwi. Szybko wybrał numer i oświadczył telefoniście z marynarki, że jest w sąsiedztwie, w samochodzie, i że rozmowa jest wyjątkowo pilna. - Sytuacja alarmowa, marynarzu!

Co ty tu robisz! - wrzasnął szef wywiadu marynarki. - Przecież jesteś, do cholery, w Porto Rico!

- Nie ma czasu, Henry! Jest limuzyna należąca do Nilsa van

Nostranda, numery rejestracyjne z Wirginii, ale nie znam numeru...

- Tego van Nostranda? - przerwał mu zdziwiony Stevens.

- Otóż to. Muszę mieć numer telefonu w tej limuzynie.

- Czy masz pojęcie, ile limuzyn jest w stanie Wirginia, a zwłaszcza tak blisko Waszyngtonu?

- A w ilu z nich jedzie Bajaratt?!

- Co?!

- Załatw to, komandorze! - ryknął do słuchawki Tye, próbując jednocześnie odczytać dygocące cyferki na telefonie. Oddzwonił do mnie. Zapisz numer. - Hawthorne powtórzył go głośno, a potem odwiesił słuchawkę, w zdenerwowaniu dwukrotnie nie trafiając w umocowanie.

- Dokąd teraz, komandorze? - zapytał Poole.

- Pokręć się trochę. Nie chcę się nigdzie zatrzymywać, dopóki się nie odezwie.

- Jeżeli ta wiadomość może ci przynieść choć odrobinę ulgi ciągnął dalej porucznik •-
uprzejmie informuję, że odrzutowiec
Gulfstream leci prosto do Charlotte. Wyląduje tam mniej więcej za pół godziny.

- Nie mogę się doczekać wiadomości, kto dał temu sukinsynowi dyplomatyczny immunitet. Stawiam piętę do dwudziestu, że jego nazwisko jest w dzienniku z wartowni.

- Dobrze się czujesz, Tye? - Neilsen odwróciła się i popatrzyła na Hawthorne'a, który wyprostował nogi i masował je energicznie.

- O co ci chodzi? Czuję się świetnie. Chciałbym tylko zauważyć, że jestem kapitanem czarterów wycieczkowych, a nie komandosem.

- Mógłbym się zatrzymać i zorganizować trochę lodu - oświadczył Poole.
Telefon zadzwonił i Tye natychmiast chwycił słuchawkę.

- Tak?!

- Tu centrala łączności komórkowej, proszę pana. Czy to numer...

- Nieważne. To burknięcie poznałbym wszędzie - rozległ się głos Henry'ego Stevensa.

- Połączyliśmy się z niewłaściwą limuzyną.

- Bardzo pana przepraszam za sprawiony kłopot...
Tyrell przerwał połączenie.

- Przynajmniej działa szybko - stwierdził.

Krążyli po okolicy i wreszcie, dokładnie po osiemnastu minutach, telefon w limuzynie zadzwonił ponownie.

- W coś ty się wpakował? - zapytał chłodny głos komandora
Henry'ego Stevensa.

- Masz coś dla mnie?

- Coś, czego żaden z nas nie chciałby usłyszeć. Ustaliliśmy numer telefonu komórkowego limuzyny van Nostranda - tej drugiej limuzyny - i poleciliśmy centrali sprawdzić przyczynę zakłóceń w łączności. Na podsłuchu usłyszeliśmy jedynie to, co zwykle - automat informujący, że „kierowca opuścił samochód”.

- No i co? Próbujcie dalej.

- Nie ma takiej potrzeby. Nasz komputer wyłapał meldunek policji stanowej dotyczący samochodu z identycznymi numerami rejestracyjnymi...

- Zostali zatrzymani? Nie zwalnijcie ich...

- Nie zostali zatrzymani - przerwał mu Stevens. Ton jego głosu zmienił się z chłodnego na lodowaty. - Czy w ogóle masz pojęcie, kim jest van Nostrand?

- Wystarczająco dużo, aby się zorientować, że chcąc do mnie dotrzeć, działał za twoimi plecami, Henry. - Zdziwiony Stevens zaczął coś mówić, ale Tyrell nie pozwolił mu dokończyć. - Nie należysz do klubu, komandorze, i lepiej zacznij dziękować za to swoim gwiazdom. W przeciwnym razie poderżnąłbym ci gardło z zimną krwią.

- O czym, u diabła, bredzisz?

- Wezwano mnie na moją własną egzekucję. Na szczęście przeżyłem.

- Nie wierzę!

- Lepiej uwierz. Nie kłamałbym w sytuacji, gdy chodzi o moje życie. Musimy znaleźć tę drugą limuzynę i Bajaratt. Gdzie teraz jest?

- Na dnie wąwozu przy bocznej drodze w Fairfax - odparł cicho oszołomiony szef wywiadu marynarki. - Kierowca nie żyje.

- A co z pozostałymi? Były jeszcze dwie osoby i jedną z nich jest Krwawa Dziewczynka!

- Chcesz powiedzieć...

- Ja w i e m! Gdzie oni są?

- Nie było nikogo, oprócz kierowcy... z przestreloną głową.

Pytam cię jeszcze raz, Tye, czy wiesz, kim jest van Nostrand?

Policja jest właśnie w drodze do jego posiadłości!

- Znajdzie go w bibliotece. Zimnego. Do widzenia, Henry. Hawthorne odwiesił telefon i odchylił się na oparcie siedzenia.

Bolały go nogi i ręce, w skroniach łupało z napięcia i niepokoju.

- Możemy zapomnieć o limuzynie - oznajmił, przecierając dłonią ciężące powieki. - Skasowana. Kierowca nie żyje.

- Bajaratt? - Neilsen odwróciła gwałtownie głowę. - Gdzie ona jest?

- Kto to wie? Przypuszczalnie gdzieś w promieniu stu kilometrów, ale nie będziemy jej szukać dziś w nocy. Może znajdziemy coś w dzienniku z wartowni, może będzie jakaś informacja z portu lotniczego w Charlotte... A może dowiemy się czegoś więcej, łącząc jedno z drugim. Poszukajmy jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy się przespać i coś zjeść. Jak powiedział mi kiedyś mój stary trener, sen i pełny żołądek też są bronią.

- Jakiś czas temu minęliśmy sympatycznie wyglądający motel - oznajmił Poole. - Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, gdzie moglibyśmy znaleźć coś innego. To jedyny motel, jaki widziałem, a przecież objeździliśmy całą okolicę. Na dobrą sprawę Cathy i ja mieliśmy tu mieć zarezerwowane pokoje, jako goście pana van

Nostranda. Oczywiście, rezerwacji nie ma - nie było takiej potrzeby.

- Mówisz o „Shenandoah Lodge”, prawda? - spytała Neilsen.

- Tak - odparł Jackson.

- Zawracaj - polecił Tye.

ROZDZIAŁ 20

Nicolo Montavi z Portici chodził szybkim krokiem tam i z powrotem, dygocąc ze strachu i zmęczenia. Pot spływał mu strumykami po twarzy, a jego rozbiegany wzrok zdradzał ogarniającą go panikę. Niecałą godzinę temu nie tylko popełnił straszliwą zbrodnię, ale śmiertelny grzech przeciw prawom boskim! Brał udział w odebraniu ludzkiego życia - dzięki Bogu, nie zrobił tego sam, lecz nie powstrzymał Cabrini, kiedy zobaczył, jak wyjmując pistolet z torebki. Był wciąż oszołomiony, przestraszony strzelaniną, która towarzyszyła ich ucieczce z wielkiej posiadłości.

Signora kazała kierowcy zatrzymać samochód, a potem po prostu wyjęła pistolet i strzeliła mu w tył głowy tak beznamiętnie, jakby... jakby zabijała muchę. Kilka minut później poleciła zepchnąć samochód z drogi, prosto do wąwozu. Nie mógł się jej sprzeciwić, ponieważ trzymała w ręku broń i dobrze wiedział, czytał w jej wzroku, że gdyby odmówił, zabiłaby go bez wahania.

Madonna delia tristezza!

Amaya Bajaratt siedziała na sofie w miniapartamencie „Shenandoah Lodge” i przyglądała się rozhisteryzowanemu chłopakowi.

- Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia, mój drogi? Jeżeli tak, bądź uprzejmy mówić ciszej.

- Jesteś szaloną, całkowicie zwariowaną kobietą! Zastrześliś tego człowieka zupełnie bez powodu... Skazałaś nas oboje na wieczne potępienie!

- Cieszę się, że uważasz się za uczestnika tej podróży.

- Zastrześliś go tak samo jak tę czarną służącą na wyspie, a on był przecież tylko kierowcą! - gorączkował się młody

Włoch. - Kłamstwa, ubrania, juego, w którą graliśmy z tak ważnymi ludźmi... Ach, bueno, que cosa?. Takie gry z bogatymi, którzy płacą pieniądze... W końcu niewiele się różnią od tych z doków w Portici.

I zabicie dwojga ludzi! Mój Boże, był prostym kierowcą!

- Wcale nie. Kiedy poleciłam ci przeszukać mu kieszenie, co znalazłeś?

- Pistolet - odparł niechętnie Nicolo.

- Czy zwykli kierowcy noszą broń?

- We Włoszech owszem, żeby chronić swoich pracodawców.

- Być może, ale nie tu, w Stanach Zjednoczonych. Tutaj obowiązują inne prawa niż u nas.

- Nic nie wiem o takich prawach.

- Ale ja wiem i mówię ci, że ten człowiek był przestępcą, agente segreto, który miał zadanie zniszczyć naszą wielką sprawę.

- Masz taką wielką sprawę?

- Największą z możliwych, Nicolo. Dziś na świecie nie istnieje większa. Sam Kościół dał nam swoje ciche błogosławieństwo za to, że poświęcamy jej nasze życia.

- Yaticano? Ale przecież ty nie należysz do mojego Kościoła!

W ogóle nie wierzysz!

- W tej sprawie wierzę, daję ci uroczyste słowo honoru, i to wszystko, co mogę ci powiedzieć. Jak więc widzisz, niepotrzebnie się obawiasz. Czy teraz rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem, signora.

- Nie musisz - oznajmiła zdecydowanym tonem Bajaratt. Pomyśl o tym, ile pieniędzy masz w Neapolu, i o wielkiej rodzinie w Ravello, która uznała cię za swojego. A zastanawiając się nad tym, idź do sypialni i rozpakuj nasze rzeczy.

- Jest pani bardzo trudną kobietą - oznajmił Nicolo, nie mrugnawszy nawet okiem.

- Zawsze tak było. A teraz szybko, muszę przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych.

Młody Włoch przeszedł do sypialni, a Baj sięgnęła po słuchawkę telefonu stojącego na bocznym stoliku. Wybrała numer ich poprzedniego hotelu i poprosiła o połączenie z recepcją. Przedstawiła się, przekazała polecenia dotyczące pozostawionego bagażu i zapytała, czy są dla niej jakieś wiadomości. Zapewniła sobie sprawność i życzliwość pracowników recepcji, wręczając im okazały napiwek.

- Bardzo dziękujemy za pani hojność - oznajmił głos z hotelu w Waszyngtonie. - Może pani być pewna, że dogłędamy jej spraw z największą troską. Przykro nam, że musiała nas pani tak nagle opuścić, ale mamy nadzieję, że po powrocie do stolicy znowu pani u nas zamieszka.

- Bardzo proszę o informacje.

Czekało na nią pięć wiadomości. Najważniejsza pochodziła od senatora Nesbitta z Michigan, pozostałe były w różnym stopniu pomocne, ale niezbyt istotne, a ostatnia - dość tajemnicza. Jej nadawcą był rudowłosy młody konsultant polityczny, korespondent

„The New York Times”, z którym spotkali się w Palm Beach i który naprowadził ją na niebezpiecznie dociekliwego reportera z „The Miami Herald” - tak groźnego, że Bajaratt musiała natychmiast go usunąć.

Najpierw jednak zadzwoniła do senatora Nesbitta.

- Mam dla pani obiecującą, chociaż na razie nie potwierdzoną informację, hrabino. Mój kolega z Senatu wstępnie uzgodnił, że spotkanie z prezydentem odbędzie się za trzy dni. Oczywiście, zależy to jeszcze od naszych uzgodnień...

- Naturalmente! - zawołała Baj. - Barone będzie uszczęśliwiony, a pańska uprzejmość, senatorze, z pewnością nie zostanie zapomniana, proszę mi wierzyć.

- Jest pani bardzo łaskawa... Pani wizyta odbędzie się poza protokołem, to znaczy nie umiesci się jej w rozkładzie dnia prezydenta. Uczestniczyć w niej będzie tylko jeden fotograf, zatwierdzony przez szefa personelu Białego Domu. Podpisze pani tylko oświadczenie, że zdjęcia są przeznaczone do prywatnego użytku i nie zostaną wykorzystane w prasie ani tutaj, ani za granicą. W razie naruszenia tego warunku groziłyby pani ogromne kłopoty osobiste.

- Ależ oczywiście, że wyłącznie do prywatnego użytku zapewniła Bajaratt. - Daję słowo wielkiej włoskiej rodziny.

- W zupełności wystarczy - oznajmił Nesbitt swobodnym tonem i roześmiał się cicho.
- Ale mogę zapewnić, że jeśli finansowe inwestycje barona okażą się politycznie korzystne, szczególnie w rejonach ogarniętych recesją, szef personelu opublikuje zdjęcie prezydenta i syna barona we wszystkich możliwych miejscach. Aby zneutralizować tę łatwą do przewidzenia ewentualność, mój kolega z Michigan i ja zapewnimy sobie fotografie w towarzystwie pani bratanka, ale b e z prezydenta.

- Bardzo ciekawe - zauważyła Baj ze śmiechem.

- Nie zna pani szefa personelu - odparł Nesbitt. - Gdy to zdjęcie z Gabinetu Ovalnego uzyska rozgłos, nikt już nie zdoła się podłączyć do sprawy... Jak będę mógł się z panią kontaktować?

W hotelu powiedziano mi, że odbierają przeznaczone dla pani wiadomości...

- Rozumie pan, tyle obecnie podróżujemy - przerwała mu szybko Baj, przeczuwając komplikacje. - Mam nadzieję, że wkrótce przyjedziemy do pańskiego stanu Michigan, ale wszystko dzieje się tak szybko. Dante Paolo dysponuje energią sześciu młodych byków...

- W gruncie rzeczy to nie mój interes, hrabino, jednakże sądzę, że wasza działalność stałaby się o wiele łatwiejsza i skuteczniejsza, gdybyście państwo dysponowali biurem i personelem, a przynajmniej sekretarzem, który informowałby, w jaki sposób można się z państwem porozumieć. Jestem pewien, że baron ma tu wielu przyjaciół, do których

moglibyście się państwo zwrócić w tej sprawie. Ja sam chętnie służę pomocą, na przykład udostępniając moje własne biuro.

- Byłoby to spełnienie naszych pragnień, lecz niestety jest zupełnie niemożliwe. Mój brat, człowiek pod każdym względem absolutnie bez zarzutu, przestrzega zasad zachowania tajemnicy w równym stopniu jak zasad etyki. Niewątpliwie dlatego, iż zdaje sobie sprawę, ilu nieuczciwych ludzi działa w światowych finansach.

Cały personel i sekretariat musi się znajdować w Ravello, nigdzie indziej. Dzwonimy tam codziennie, niekiedy nawet dwa albo trzy razy w ciągu dnia. Ci ludzie pracują dla niego od lat.

- Ostrożny z niego człowiek - stwierdził z aprobatą senator. - I bardzo słusznie. Fiasko BCCI, podobnie jak afery

Watergate i Iran-contras, doskonale nas tego nauczyły. Mam jedynie nadzieję, że telefony państwa są zabezpieczone.

- Podróżujemy z wyjściową aparaturą kodującą ustawioną na częstotliwość odbiorcy. Czy może być lepsze zabezpieczenie?

- Ho, ho. Rzeczywiście wyrafinowany sprzęt. Departament

Obrony informował nas, że tę technikę uwielbiają terroryści. Robi cholerne wrażenie.

- Tacy ludzie są nam absolutnie obcy, senatorze, ale te urządzenia faktycznie są niezawodne... Oczywiście, będę co godzina porozumiewać się z recepcją.

- Bardzo o to proszę, hrabino. W Waszyngtonie te trzy dni mogą się zmienić w jeden lub dwa.

- Doskonale rozumiem.

- Czy otrzymała pani dodatkowe materiały, które wysłało moje biuro?

- Właśnie w tej chwili Dante Paolo rozmawia z ojcem z drugiego aparatu i z entuzjazmem mówi o pańskich propozycjach.

- Wie pani, hrabino, ten młody człowiek znakomicie się prezentuje. Jest tak błyskotliwy i obdarzony intuicją. Baron musi być z niego ogromnie dumny. A pani, hrabino - urocza, mądra siostra barona - jest osobą, której można zaufać, a zarazem pełną czaru, taktowną kobietą z rozwiniętym zmysłem dyplomatycznym.

Czy myślała pani kiedyś o polityce?

- Myślę o niej bez przerwy - odparła Baj, a w jej głosie dźwięczał śmiech. - I jakżebym pragnęła, aby przestała w ogóle istnieć. Tak bardzo mnie męczy.

- Ależ proszę pani, niektórzy z nas muszą z czegoś żyć.

Pozostawię dla pani szczegółową wiadomość na temat wizyty państwa w Białym Domu... I oczywiście wie pani, jak się ze mną skontaktować, jeżeli nadejdą jakieś wieści z Ravello.

- Nie „jeżeli”, ale „kiedy”, signor Nesbitt. A rivederci.

Bajaratt odłożyła słuchawkę i spojrzała na kartkę z papeterii

„Shenandoah”, gdzie zapisała podane jej przez hotel w Waszyngtonie numery telefonów i nazwiska. Trzy z nich mogą poczekać, uznała, podobnie jak ten ostatni, ale w końcu ciekawość zwyciężyła - ponownie ujęła słuchawkę i zadzwoniła do rudowłosego konsultanta politycznego z Palm Beach.

- Tu Reilly Plumbers - oznajmił wesoły głos z automatycznej sekretarki. - Jeżeli informacja dotyczy honorarium za moje usługi, proszę przycisnąć jedynkę. Jeżeli nie, proszę spadać z tej linii i pozwolić zadzwonić komuś bardziej pożytecznemu. Można również pozostawić nazwisko, a nawet numer telefonu, ale niczego nie obiecuję. - Rozległ się długi sygnał..

- Spotkaliśmy się w Palm Beach, panie Reilly - odezwała się

Baj - i odpowiadam na pański telefon...

- Bardzo się z tego cieszę, pani hrabino - przerwał jej polityczny konsultant, włączając się na linii. - Szalenie trudno jest panią uchwycić.

- W jaki sposób się to panu udało, panie Reilly?

- Przykro mi, ale nic za darmo - odparł ze śmiechem młody człowiek. - Ponieważ jednak nie przycisnęła pani jedynki, odpowiem gratis.

- To bardzo miło z pańskiej strony.

- Właściwie udało mi się bez trudu. Zapamiętałem kilku waszyngtońskich niedźwiedzi, którzy obwąchiwali wasze ognisko, i zadzwoniłem do ich sekretariatów. W dwóch na trzy, do których się zwróciłem, powiedziano mi, gdzie się państwo znajdują.

- Tak łatwo dzielą się informacjami?

- Oczywiście, zwłaszcza kiedy im nałgałem, że właśnie przyleciałem z Rzymu i mam poufną wiadomość od jego wysokości barona, który będzie bardzo wdzięczny każdemu, kto zechciał mi pomóc. Przypadkiem zdarzyło mi się też wspomnieć, że nie jest wykluczona brylantowa bransoleta z wygrawerowanym nazwiskiem

Ravello. Sama pani wie, jak hojni są ci bogaci Włosi.

- A pan jest draniem, panie Reilly.

- Staram się jak mogę, pani hrabino. To miasto jest pełne zawodowców.

- Dlaczego chciał się pan ze mną skontaktować?

- Obawiam się, że ta wiadomość będzie panią kosztować, pani hrabino.

- A jakąż to płatną usługę pragnie mi pan wyświadczyć?

- Przekazać informację.

- O jakim charakterze i wartości?

- To są dwie różne sprawy i mówiąc całkowicie szczerze, mogę odpowiedzieć na pierwszą część pytania, ale nie potrafię ustalić ceny. Tylko pani może ją podać.

- Proszę więc odpowiedzieć na pierwszą część.

- Doskonale. Ktoś sprawdza rynsztoki, szukając dwojga ludzi, którzy mogą - lub nie - okazać się panią i tym chłopakiem.

Akcentuję „nie”, ponieważ cała sprawa wydaje mi się zbyt naciągana. Ale ja mam bardzo bogatą wyobraźnię.

- Rozumiem. - Bajaratt zamarła. Jestem już tak blisko, pomyślała. - Jesteśmy tymi, za kogo się podajemy, panie Reilly oznajmiła, maksymalnie starając się zapanować nad swym głosem. - Bo kimże innym moglibyśmy być?

- Jak już powiedziałem, szczurami rynsztokowymi. Naciągaczami, może przedstawicielami mafii poszukującymi lepszych rynków na narkotyki albo po prostu sycylijskimi bandziorami, którzy wiedzą, kogo mogliby obrobić.

- Czyż doprawdy można nas wziąć za takich ludzi?

- Do licha, nie, przynajmniej biorąc pod uwagę rysopisy.

Poszukiwana kobieta jest o wiele młodsza od pani, a chłopak analfabetą i muskularnym osiłkiem.

- Oburzające!

- Tak, ja również tak sądzę, ale jak już wspomniałem, mam cholernie bujną wyobraźnię. Czy chciałaby się pani ze mną spotkać?

- Oczywiście, choćby dlatego, aby rozwiać pańskie szalone przypuszczenia.

- Gdzie?

- W mieście czy miasteczku, które nazywa się Fairfax, znajduje się gospoda, a raczej hotel „Shenandoah Lodge”.

- Znam go. Podobnie jak wszyscy niewierni mężowie w Waszyngtonie... Dziwię się, że udało się pani zdobyć tam miejsca.

Przyjadę za godzinę.

- Będę czekała na parkingu - powiedziała Baj. - Nie chcę denerwować Dante Paola, barone-cadetto di Ravello.

Aszkelon!

- Pamiętajmy. Jakie wiadomości?
- Właśnie zamierzamy rozpocząć fazę numer jeden. Przygotujcie się do odliczania.
- Niech Allach będzie błogosławiony.
- Błogosław raczej amerykańskiego senatora.
- Żartujesz?
- Nie teraz. Pracuje dla nas. Strategia okazała się skuteczna!
- Szczegóły?

- Nie musisz ich znać. W każdym razie, gdybym nie zdołała przeżyć, nazywa się Nesbitt. Po mojej śmierci może ci się przydać.

I sam Allach wie, w jak niebezpiecznej sytuacji się znajdzie.

Prowadzona przez Poole'a limuzyna wjechała przez bramę „Shenandoah Lodge”. Nazwisko van Nostranda sprawiło, że mimo późnej pory i nieporządnego wyglądu otrzymali dwa sąsiadujące ze sobą podwójne pokoje.

- Co teraz zrobimy, Tye? - zapytała Cathy, wchodząc do pokoju zajmowanego przez Tyrella i Poole'a.

- Zamówimy coś do jedzenia, odpoczniemy trochę i zaczniemy dzwonić... O mój Boże!

- Co się stało?

- Stevens! - zawołał Hawthorne, rzucając się do telefonu i wściekle wybierając numer.

- I policja... Mogą narobić zamieszania w Charlotte, aresztować pilotów i cały scenariusz diabli wezmą.

- Możesz ich powstrzymać? - zapytała Cathy.

- Wszystko zależy od tego, kiedy tam dotarli... Z komandorem Stevensem, status cztery-zero! Henry, to ja. Bez względu na wydarzenia u van Nostranda, musisz nacisnąć wszystkie guziki, żeby utrzymać sprawę w tajemnicy! - Tyrell zamilkł i prawie przez minutę słuchał w napięciu. - Będę musiał odszukać parę moich uwag o tobie, komandorze - odezwał się w końcu z wyraźną ulgą w głosie. - Za kilka godzin przekażę ci telefonicznie pewne nazwiska. Weź każde z nich pod mikroskop i sprawdź co do minuty. Wiesz, rejestry rozmów telefonicznych, zgromadzone paskudztwa i tak dalej. Wykorzystaj wszystkie wredne chwytaki... Myślisz prawidłowo, Henry. A przy okazji, ja również przemyślałem tamtą sprawę i chyba oceniam ją teraz inaczej. Może to, co powiem, zabrzmie głupio, ale jak dobrze znałeś Ingrid? Przez twarz Hawthorne'a przemknął smutny uśmiech. Zamknął na chwilę oczy. - Tak właśnie myślałem. Odezwę się koło północy.

Będziesz w biurze czy w domu...? Słusznie, nie powinienem pytać. - Odłożył słuchawkę i nie zdejmując z niej dłoni, podniósł głowę. - Stevens przewidział sytuację - oznajmił. - Zablokował wszelkie informacje na temat posiadłości van Nostranda.

- Ale przecież ten facet nie żyje! - zawołał Poole. - I co z trupami? Jak, u diabła, mógł to wszystko utajnić?

- Na szczęście pojechał tam tylko jeden wóz patrolowy i zanim dwaj policjanci zdążyli się odezwać, Stevens kilka minut wcześniej połączył się z komendą policji. Założył blokadę na wszelkie wiadomości związane ze śmiercią van Nostranda, wzmacniając ją czymś, co się nazywa „alternatywnym kodem zabezpieczenia bazy danych”, przekazany przez wywiad marynarki.

- Tak po prostu?

- Najwidoczniej, poruczniku, tak się teraz załatwia tego typu sprawy. Już się nie mówi: „Macie o tym nie gadać”. Całą rzecz załatwiają komputery. Nie możesz działać w szpiegowskim interesie, jeżeli nie jesteś chodzącym podręcznikiem techniki komputerowej.

Nic dziwnego, że przeszedłem do historii.

- Jak na razie idzie ci całkiem nieźle - stwierdziła Cathy. Lepiej niż komukolwiek innemu.

- To mi się podoba, naprawdę. Choćby tylko dlatego, że chciałbym w jakiś sposób oddać przysługę Cooke'owi i Ardisonne'owi, dwom następnym „byłym”... Niech diabli wezmą tę dziwkę i wszystko, z czym ma do czynienia! Muszę dorwać tych sukinsynów!

- Jesteś blisko, Tye, coraz bliżej.

Blisko, pomyślał Hawthorne, zdejmując lekką kurtkę poplamioną potem i ziemią. Blisko...? O tak, był blisko, tak blisko, że trzymał ją w ramionach, kochał się z nią, jakby w ten sposób roztrzaskane marzenia mogły się znowu połączyć w jedną całość, a ciemna noc przekształcić w cudowny poranek z wstającym nad horyzontem olśniewającym słońcem, zapowiadającym nowy, wspaniały dzień. Niech cię diabli, Dominique! Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa! Wszystko, co mi mówiłaś, było kłamstwem. Ale cię znaję, dziwko, i oślepię tak samo, jak ty oślepiłaś mnie. Zadam ból, który sam czuję. Niech cię diabli, Dominique. Mówiłem o miłości, bo ją czułem, a ty mówiłaś o niej i oszukiwałaś mnie.

Gorzej... U podstawy tego wszystkiego musiała być nienawiść, pogarda, jaką wykorzystujący czuje do wykorzystywanego.

- Ale gdzie ona jest? - odezwał się na głos. - Oto jest pytanie.

- Mam wrażenie, że nie uwzględniasz bardzo ważnego czynnika - wtrąciła się Neilsen.

- Ustaliłeś, że jest tutaj, tak blisko

Waszyngtonu, gdzie podjęto maksymalne środki bezpieczeństwa dla ochrony prezydenta. W jaki sposób zdoła się przedrzeć przez taką ochronę?

- Ponieważ prezydent nie może przestać pracować.

- Wydaje mi się, że powiedziałaś, iż odwołano wszystkie jego wyjazdy, nawet te miejscowe. Jest odizolowany, w kwarantannie, w swego rodzaju areszcie domowym.

- Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę. Niepokoi mnie jednak fakt, że ona również o tym wie, a mimo to nie przestaje działać.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Przecieki, zabójstwa - Charlie, Miami, nawet zamach na ciebie na Sabie i tu, u van Nostranda.

Kim są ludzie, którzy jej pomagają? I dlaczego, na litość boską?

- Bardzo bym chciał znać odpowiedzi na te dwa pytania.

Hawthorne usiadł na łóżku, a potem położył się na wznak, z rękami pod głowę.

- Muszę się cofnąć w przeszłość, do Amsterdamu i tych głupich gier, w które się bawiliśmy, do ofiar, o których nigdy nie napisano - zaczął. Tam nie liczono trupów, kolego... A z jakiegoś powodu naciska na B, B na C z innego, pozornie nie związanego z poprzednim, C na D dzięki poprzestawianym, zakamuflowanym słowom i wreszcie D dociera do E, który lub która przenika tam, gdzie ma dostęp, a o to właśnie chodziło A. Powiązania są tak poplątane, że nie sposób ich prześledzić.

- Ale tobie najwyraźniej się to udało - oznajmiła Neilsen z nutką podziwu w głosie. - Twoja służbowa teczka personalna najlepiej świadczy, że byłeś wybitny.

Poole siedział przy biurku, z palcami wbitymi w swą jasnokasztanową czuprynę.

- Zapisałem wszystko, co mówiłeś o A, B, C, D i E, a ponieważ dość dobrze znam matematykę, w tym także geometrię, trygometrię i rachunki, jak również przyswoiłem sobie pewne wiadomości z zakresu fizyki jądrowej, zaczynam się zastanawiać, czy nie chciałeś przez to powiedzieć, że ci ludzie w Amsterdamie działali w odmiennie wzorcowanych sferach? Takich jak nie stykające się ze sobą ćwiartki koła?

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.- Ale przecież sam to przed chwilą stwierdziłeś.

- W takim razie podtrzymuję. A co takiego stwierdziłem?

- Że żadna z tych liter nie wiedziała właściwie, co robi oprócz pierwszej i ostatniej.

- Dość duże uproszczenie, ale zasadniczo masz rację. Nazywają to systemem ślepych kontaktów, czyli takich ludzi, którzy może nawet mają pewną orientację, ale nie znają żadnych konkretów, które mogliby ujawnić, i zazwyczaj niczego nie podejrzewają.

- Co sprawia, że się tym zajmują?

- Chciwość, porucznik, pieniądze. Albo bezpośrednio, albo w połączeniu z informacjami, które mogą wykorzystać do wymuszania jeszcze większych pieniędzy.

- Czy sądzisz, że to właśnie oni stoją za Bajaratt? - zapytała

Cathy.

- Niezupełnie. Trzon grupy jest zbyt dobrze zorganizowany, zbyt potężny. Ale musi się posługiwać innymi do wykonywania najrozmaitszych drobnych i mniej drobnych zadań, które nie powinny być wykryte. A gdyby nawet tak się stało, osoby te nie będą miały możliwości doprowadzenia kogokolwiek do głównych graczy.

- Jak na przykład Alfred Simon w Porto Rico? - rzekł Poole.

- I kontroler ruchu powietrznego, który zawsze był na miejscu, lecz Simon nie znał jego nazwiska - dodała Neilsen.

- Obydwaj tkwią po uszy w sprawie Krwawej Dziewczynki i jej zaplecza - przytaknął Tyrell. - Każdy był pod kontrolą i spisany na straty. Jeżeli już posługujemy się przykładem Simona, to żaden z tych dwóch facetów nie mógłby przekazać niczego istotnego.

- Ale przecież Simon to zrobił - zaprotestowała Cathy. Podał ci nazwisko, a właściwie dwa nazwiska.

- Jednego pechowca, wysoce szanowanego adwokata z Waszyngtonu, który powinien raczej zaangażować jakiegoś dobrego psychiatrę, ale ten drugi... to był przypadek, majorze. Wcale przedtem nie żartowałem - moje „wybitne” służbowe osiągnięcia zawdzięczam bardzo wielu podobnym przypadkom. Tak samo zresztą jak ogromna część moich byłych kolegów, którzy mogliby się poszczycić większymi sukcesami. Nieraz przypadkowe słowo, zdanie, rzucona mimochodem uwaga dziwnym trafem zapada w pamięć i gdzieś, kiedyś zaczyna pasować do ogólnego obrazu.

Wtedy w głowie przeskakuje jakiś przełącznik - i jest to kolejny przypadek, ponieważ szansę przypomnienia sobie są w gruncie rzeczy bardzo nikłe.

- Myślisz o Neptunie, prawda? - upewnił się Andrew Jackson

Poole.

- Tak, zgadza się. Simon powiedział coś w tym rodzaju, że jego zleceniodawca, pan Neptun, wyglądał zupełnie tak, jakby zszedł z reklamy w „Gentleman's Quarterly” albo jakiegoś podobnego czasopisma. Jak Boga kocham, miał rację! Van Nostrand nawet w chwili, gdy wydawał rozkaz zabicia kogoś w swojej obecności, wyglądał, jakby właśnie wyłonił się z magazynu mód.

- Nie nazwałabym twojego przypomnienia przypadkiem sprostowała Neilsen. - Raczej wyzkoleniem.

- Nie twierdę, że jestem idiotą. Po prostu zwracałem uwagę na to, jakie są szanse. Krótkie, niejasne zdanie wypowiedziane przez niezbyt rozgarniętego właściciela burdelu, napranego do tego stopnia, że chwiało nim jak w sztormie, nie jest to bynajmniej tym, o czym się pisze w liście do domu. Jak już powiedziałem - zbieg okoliczności.

Hawthorne położył się na łóżku i zamknął oczy. Był śmiertelnie zmęczony, nogi wciąż go wściekle bolały, ręce rwały, w głowie huczało. Ledwo docierało do niego przyjazne przekomarzanie się

Cathy i Poole'a nad menu, ale jego myśli wciąż krążyły wokół problemu przypadku. Przypadki w jego życiu, tak wiele przypadków, poczynając od wstąpienia do marynarki... Był absolwentem college'u, w którym zmieniał kierunki studiów tak często, że nie bardzo mógł sobie przypomnieć, na którym właśnie jest, i wreszcie skończył na astronomii. „Dlaczego nie spróbujesz robienia na drutach? - zapytał go ojciec. - Tylko trzymaj się z dala od moich klas, synku. Twoja matka nigdy by nie zrozumiała, dlaczego cię oblałem.”

Okazało się, że astronomia na coś się przydała. Pływał na żaglówkach od chwili, kiedy mógł się wdrapać na łódkę, i w nawigacji astronomicznej osiągnął taki stopień doskonałości, że jedno szybkie spojrzenie, bez pomocy sekstansu, wystarczało mu do całkiem precyzyjnego ustalenia pozycji. Był w miarę utalentowanym lekkoatletą, a jego wzrost i budowa ciała kwalifikowały go do zajmowania czołowych miejsc w uniwersyteckiej lidze, lecz brak zaangażowania oraz bujne życie towarzyskie przekreśliły jego ewentualną karierę sportową. Nie miał ochoty ani nadmiernie przemęczać się na treningach, ani narażać się na urazy. Po ukończeniu University of Oregon /potomek zasłużonego profesora nie musiał płacić czesnego/ znalazł się na lodzie. Udało mu się osiągnąć przyzwoitą średnią 3, 2, ponieważ wybrane zajęcia go interesowały, ale z kolei niewiele z nich było przedmiotem zainteresowania ewentualnego pracodawcy, poszukującego raczej specjalistów od zarządzania, ekonomistów, inżynierów, programistów lub hardwarowców komputerowych. Wtedy zdarzył się przypadek numer jeden.

Dwa miesiące po tym, jak matka opравиła jego właściwie całkowicie bezużyteczny dyplom, wędrując po ulicach Eugene, Tyrell mijał biuro rekrutacyjne marynarki. Nigdy nie analizował, czy jego uwagę przyciągnęły wówczas atrakcyjne plakaty przedstawiające okręty na morzu, czy po prostu miał nieprzepartą ochotę robić cokolwiek, a być może było to połączenie jednego i drugiego, w każdym razie wszedł do środka i się zaciągnął.

Matka była oszołomiona.

- Przecież w najmniejszym stopniu nie jesteś typem wojskowego! - powiedziała.

Jego młodszy brat, celujący uczeń w liceum, a także przewodniczący towarzystwa naukowego, dodał:

- Tye, czy zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiał wykonywać rozkazy?

Równie zdziwiony ojciec zaproponował mu drinka i okazał się najbardziej stanowczy spośród całej trójki.

- Wystarczy lekko poskrobać niezdecydowanego włóczęgę, a zazwyczaj znajdzie się kogoś, kto chciałby wprowadzić w swoje życie nieco dyscypliny. Kotwica w górę, synu, i jak powiadali sędziowie z Salem, wykrywając kolejną czarownicę: „Niech Bóg ma w opiece twoją duszę”.

Całe szczęście, że marynarka we własnym, dobrze pojętym interesie wykazywała pewną dozę wyrozumiałości. Kiedy dowództwo zapoznało się z niebagatelnymi żeglarskimi osiągnięciami

Hawthorne'a, na które składały się dowodzenie dużymi jednostkami żaglowymi i zdobycie paru tuzinów błękitnych wstęg, Tye pojawił się w bazie szkoleniowej jako chorąży oddelegowany do służby na niszczycielach. Wtedy zdarzył się drugi przypadek.

Po dwóch latach Tyrell zaczął cierpieć na pancernikową klaustrofobię i rozglądał się za czymś, co dawałoby większe szansę rozwoju. Pojawiło się wprawdzie kilka możliwości pracy na łądzie, lecz wiązały się one ze służbą zaopatrzenia. Była to papierkowa robota, która niezbyt go interesowała, ale wśród wakatów znalazł jeden, który mógł się okazać zupełnie niezły: stanowisko oficera do spraw protokołu w Hadze.

Udało się. Dostał przeniesienie, jak również drugi pasek podporucznika marynarki, pozostając jednak w błogiej nieświadomości, że protokół był właściwie miejscem selekcji potencjalnych pracowników wywiadu wojskowego. Część szkolenia stanowiły różne gry i zabawy, przyjęcia w ambasadach, wycieczki dla prominentów cywilnych i wojskowych. A potem, po sześciu miesiącach, pewnego poranka wezwano go do biura charge d'affaires, skomplementowano ponad wszelką miarę za drobne sukcesy i poinformowano, że otrzymał awans na porucznika.

- A przy okazji, poruczniku - oświadczył pracownik ambasady- chcielibyśmy pana poprosić .o wyświadczenie pewnej drobnej przysługi. - Przypadek numer trzy. Powiedział „tak”.

Pracownik francuskiej ambasady, zajmujący stanowisko równorzędne z jego stanowiskiem, był podejrzany o przekazywanie

Sowietom wywiadowczych informacji ze źródeł francusko-amerykańskich. Czy pod pretekstem organizowanego właśnie przyjęcia porucznik Hawthorne nie zechciałby zaprosić

tego człowieka na ostrą koleżeńską popijawę, wysondować go i dowiedzieć się wszystkiego, co się da?

- Proszę to wziąć, może się przydać - oznajmił charge d'affaires, wręczając mu małą plastikową buteleczkę z kroplami do oczu. - Dwie krople w kieliszku Rozwiążą język niememu.

Przypadek numer cztery. Hawthorne nie miał okazji zastosowania tych niby-kropli do oczu. Nieszczęsny Pierre był u granic wytrzymałości i napompowany winem wykrztusił swoje straszliwe wyznanie. Oświadczył, że narobił dużych długów, a także miał romans z sowiecką wtyczką, która mogłaby poinformować o wiążących ich stosunkach i w ten sposób go zniszczyć.

Przypadek numer pięć. Być może pod wpływem kilku burbonów Tyrell zaproponował, że jeżeli Francuz poda mu nazwiska swoich kontaktów z KGB, on będzie mógł powiedzieć, że jego patriotycznie nastawiony kolega pracuje w rzeczywistości dla

NATO, ponieważ podejrzewał, że istnieją przecieki w jego własnej ambasadzie. W rezultacie Hawthorne'a bolały policzki od pełnych wdzięczności pocałunków Francuza. Później okazał się on cennym podwójnym agentem, a zasługę za jego werbunek przypisano pracownikowi protokołu. To z kolei stało się przyczyną przypadku numer sześć.

Wezwał go dowódca NATO, człowiek, którego Hawthorne szczerze szanował, ponieważ nie był to dureń na wysokim stanowisku, ale mówiący prosto z mostu szef w koszuli z zakasnymi rękawami.

- Chcę was wysłać, poruczniku, ponieważ nie tylko macie odpowiednie kwalifikacje, ale również, co ważniejsze, nie chwalicie się nimi. Mam już powyżej uszu tych wszystkich kręcących się wokół mnie egocentryków. Sprawy powinni prowadzić spokojni, obdarzeni zmysłem obserwacji ludzie. Zgadza się ze mną?

Zgodzić się na co? „Oczywiście, generale, co tylko pan sobie życzy”. Tyrell był tak pełen podziwu dla swojego rozmówcy, że pewne szczegóły, które podano mu w subtelnej wojskowej terminologii albo kunsztownie owinięte w bawełnę, zupełnie uszły jego uwagi. W rezultacie z entuzjazmem przyjął otwierające się przed nim nowe perspektywy. Przypadek numer sześć spowodował, że poleciał do Georgii na wyczerpujący dwunastotygodniowy kurs jako oficer oficjalnie oddelegowany do wywiadu marynarki wojennej.

Po powrocie do Hagi, formalnie na poprzednio zajmowane stanowisko, przypadki zaczęły się zdarzać jeden po drugim, a niektóre z nich okazywały się bardziej przypadkowe od innych. Był coraz lepszy w swojej właściwej pracy. Dzięki powszechnej w NATO hipokryzji i korupcji Amsterdam stał się centralnym punktem podziemnej siatki, w której

pieniądze zastąpiły wszelkiego rodzaju poświęcenia. Prowadził agentów w Holandii, odbywał podróże po całej Europie, tropiąc handlujących śmiercią niktzemników. I właśnie te mnożące się śmierci, bezsensowne zabójstwa spowodowały, że zdecydował się z tym wszystkim ostatecznie zerwać i zacząć żyć własnym życiem.

Nagle Tyrell uświadomił sobie, że w nogach jego łóżka stoi Cathy i mu się przygląda. Podniósł głowę.

- Gdzie jest porucznik? - zapytał.

- Dzwoni z mojego pokoju. Przypomnił sobie, że ma dziś wieczorem randkę, a właściwie miał ją cztery godziny temu.

- Bardzo bym chciał usłyszeć, jak się tłumaczy.

- Pewnie by ci się nie spodobało. Niewątpliwie opowiada jej, że oblatywał eksperymentalny, supertajny samolot i doznał obrażeń karku w rezultacie nurkowania z wysokości dwunastu i pół kilometra.

- Niezły numer z tego dzieciaka.

- Niewątpliwie... Co robisz? Odbywasz jedną z tych swoich drzemek z otwartymi oczyma?

- Raczej nie. Po prostu jedna z owych krótkich chwil, kiedy człowiek zadaje sobie pytanie, w jaki sposób znalazł się w określonej sytuacji, a może nawet, dlaczego stał się tym, kim jest.

- Znam odpowiedź na pierwsze pytanie. Polujesz na tę Bajaratt, ponieważ byłeś jednym z najlepszych oficerów wywiadu w marynarce wojennej.

- To nieprawda - oznajmił Hawthorne, unosząc się i opierając o poduszki. Neilsen usiadła na krześle stojącym nie opodal łóżka, - Stevens przyznał, choć niechętnie, że to jednak prawda.

- Próbował cię uspokoić, to wszystko.

- Nie sądzę. Obserwowałam cię w akcji, komandorze. Czemu zaprzeczasz?

- Ponieważ, majorze, istotnie byłem dość dobry przez parę lat, ale potem coś się stało i choć nie wiem, czy moi przełożeni uświadomili sobie ten fakt, czy nie, stałem się najgorszym pracownikiem operacyjnym. Widzisz, przestało mnie już obchodzić, kto wygra, a kto przegra w tych idiotycznych podchodach. Zacząłem się przejmować czymś zupełnie innym.

- Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie przypuszczam, żebyś miała ochotę tego wysłuchiwać.

Poza tym sprawa ma dość osobisty charakter. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

- Może się wymienimy, Tye. Ja również mam dość osobiste przeżycia, o których nigdy nikomu nie wspominałam, nawet

Jacksonowi ani moim rodzicom. Chciałabym jednak komuś wreszcie się z nich zwierzyć. Może w ten sposób pomożemy sobie nawzajem, tym bardziej że kiedy wszystko się skończy, prawdopodobnie nie zobaczymy się już więcej. Czy chcesz posłuchać?

- Tak - odparł Tyrell, badawczo obserwując jej zaniepokojony, może nawet lekko błagalny wyraz twarzy. - O co chodzi, Cathy?

- Poole i moi rodzice uważają, że urodziłam się, aby być w wojsku, asem pilotażu i tak dalej i temu podobne.

- Najmocniej cię przepraszam - przerwał jej z łagodnym uśmiechem. - Mam wrażenie, że Jackson sądzi, iż cię wyfasowano, a nie po prostu się urodziłaś.

- Myli się pod każdym względem - zaprotestowała major

Catherine Neilsen. - Do chwili, kiedy przyjęto mnie do Point i zapewniono bezpłatną naukę, chciałam przede wszystkim zajmować się antropologią. Być kimś w rodzaju Margaret Mead, podróżować po całym świecie, badać nieznaną nikomu kulturę, poznawać prymitywne ludy, które pod wieloma względami są o wiele lepsze od nas. Czasami te marzenia powracają... Mówię głupstwa, prawda?

- Wcale nie. Dlaczego się tym nie zajmiesz? Zawsze chciałem mieć swój jacht, zarabiać na życie, pływając pod własną flagą, tak jak to robiłem do tej pory. Na dziesięć lat zszedłem z kursu i co z tego?

- W moim wypadku okoliczności są zupełnie inne, Tye. Ty zacząłeś się przygotowywać do tego, co robisz obecnie, kiedy właściwie byłeś jeszcze dzieckiem. Ja musiałabym wrócić do szkoły na Bóg wie jak długo.

- Co, na parę lat? To przecież nie chirurgia mózgu. A poza tym możesz się uczyć przy pracy.

- Co?

- Możesz robić coś, czego dziewięćdziesiąt procent antropologów nie jest w stanie. Będąc pilotem, możesz ich dowozić wszędzie, gdzie zechcą.

- Zaczynamy gadać głupstwa - powiedziała cicho, z namysłem

Cathy. Potem wyprostowała się w krześle i odchrząknęła. Zdradziłam ci mój sekret, Tye. A jaki jest twój? Graj uczciwie.

- Zachowujemy się jak para dzieciaków, ale dobrze... Od czasu do czasu ta sprawa wraca do mnie i przypuszczam, że jest to moja psychiczna proteza, racjonalizacja... Pewnej nocy poszedłem na spotkanie z Sowietem. Facetem z KGB, który pod pewnymi względami

był do mnie podobny. Też służył przedtem w marynarce - na Morzu Czarnym. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że sytuacja wymyka się spod kontroli i trupy w kanałach stają się czystym wariactwem. I po co? Jego i moje zwierzchnictwo obchodziliśmy niewiele, postanowiliśmy więc jakoś powstrzymać to szaleństwo. Kiedy go znalazłem, jeszcze żył, ale twarz miał pokrojoną brzytwą jak hamburger. Wiedziałem, czego ode mnie oczekuje, więc... ulżyłem jego cierpieniom, jego straszliwemu bólowi. I wtedy właśnie zrozumiałem, co powinienem robić naprawdę. Nie chodzi o to, żeby po prostu ścigać skorumpowanych ludzi, których fortuny wzięły się z niczego, albo oszukane wtyczki, urzędników zmuszonych do działania przeciwko nam. Należy się zająć fanatykami, szaleńcami, którzy mogli zrobić coś takiego jednemu ze swoich ludzi. A wszystko w imię jakiejś niezachwianej, nieskalanej lojalności, która nic nie znaczy na chybotliwych szalach historii.

- Cholerna sprawa - odezwała się cicho Cathy. - Czy wtedy spotkałeś się ze Stevensem, komandorem Stevensem?

- Straszonym Henrym?

- Czy on był...? Czy jest?

- Czasami. Powiedzmy, że jest bardzo zaangażowany. Prawdę mówiąc, lepiej znam żonę Stevensa niż jego samego. Nie mają dzieci i dlatego pracowała w ambasadzie, w wydziale transportu.

Koordynowała sprawy organizacyjne związane ze wszystkimi podróżami, a ja prowadziłem ruchliwy tryb życia. Miła dama i przypuszczam, że powstrzymywała go przed przesadnymi działaniami w większym stopniu, niż kiedykolwiek chciałaby się do tego przyznać.

- Kilka minut temu zapytałeś go o swoją żonę...

Tyrell gwałtownie odwrócił głowę w lewo i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

- Przepraszam - wybąkała, spuszczając wzrok.

- Znałem odpowiedź, ale musiałem zadać mu to pytanie odparł spokojnie. - Van Nostrand powiedział paskudną rzecz.

Chciał mnie sprowokować, wyprowadzić z równowagi.

- A Stevens zaprzeczył - zakończyła Cathy. - Oczywiście mu uwierzyłeś.

- Bez najmniejszej wątpliwości - Hawthorne patrzył w sufit i uśmiechał się lekko do swoich myśli. - Henry Stevens jest nie tylko agresywny w działaniu, ale również niezwykle inteligentny, obdarzony analitycznym umysłem. Wycofano go jednak z działań operacyjnych i dano kopa w górę, ponieważ absolutnie nie potrafi kłamać. Zaczniemy od tego, że kiedy się go widzi albo chociażby słyszy jego głos, gdy kłamie, można pomyśleć, że za chwilę puszcza

mu nerwy. Właśnie na tej podstawie jestem całkowicie przekonany, że wie więcej o śmierci... o zamordowaniu mojej żony, niż mówi...

Słyszałaś moje pytanie, możesz się więc domyślić podtekstu. Jego odpowiedź była tak stanowcza i jednoznaczna, a reakcja natychmiastowa, że wiedziałem, iż musi mówić prawdę. Oświadczył, że spotkał się z Ingrid tylko raz, na małym ślubnym przyjęciu w ambasadzie... Był wtedy z żoną.

- A więc tyle, jeżeli chodzi o kłamstwo - stwierdziła Catherine.

- Nigdy nie miałem wątpliwości. Ty też byś ich nie miała, gdybyś poznała Ingrid.

- Bardzo bym chciała ją poznać...

- Polubiłaby cię - Tyrell powoli obrócił głowę i znowu na nią spojrzał. W jego wzroku nie było nawet cienia wrogości. Jesteś mniej więcej w jej wieku, równie niezależna i władcza jak ona. Z tym że bardziej wymagasz posłuchu... Ona nigdy tego nie żądała.

- Cholernie dziękuję za komplement, komandorze.

- Hej, daj spokój, jesteś oficerem, musisz tak postępować.

Ona była władającą czterema językami tłumaczką i ta dodatkowa umiejętność nie była jej potrzebna. Nie miałem zamiaru cię urazić.

- Rany boskie, kupiła to! - wrzasnął Poole, wypadając z pokoju Neilsen.

- Co kupiła? - spytał Hawthorne.

- Informację, że zgłosiłem się na ochotnika do zanurzenia w batysferze pozbawionej siły ciężenia, w wyniku czego doznałem nadczynności tlenowej płuc! Jasna cholera!

- Zjedzmy coś - zaproponowała Cathy.

Obsługa pokoi pojawiła się czterdzieści minut później. Czas ten Hawthorne spędził na studiowaniu zabranego z wartowni dziennika, Poole na lekturze gazet, a Catherine wzięła ciepłą kąpiel w nadziei, że „zmyje skutki kilkunastu ataków lęku”. Przez cały czas był włączony telewizor. Fonię wyciszyli, ale tylko do tego stopnia, aby mogli usłyszeć informację wiążącą się w jakiś sposób ze śmiercią van Nostranda. Na szczęście niczego takiego nie podano. Kiedy skończyli jeść, Tyrell zadzwonił do biura Henry'ego

Stevensa.

- Czy możesz zablokować podsłuchy szyfratorem?

- Wciąż uważasz, że mamy tu przecieki?

- Jestem tego pewien.

- No cóż, w takim razie, jeżeli będziesz dysponował nowymi dowodami, poinformuj mnie o tym, ponieważ przez ostatnie trzy dni jesteśmy na dwustronnym szyfratorze. Co oznacza, że przecieki są po twojej stronie.

- Absolutnie niemożliwe.

- Chryste, mam już powyżej uszu tego twojego „wiem wszystko”!

- Nie wszystko, Henry, ale przeważnie więcej niż ty.

- Tego też mam dosyć.

- W takim razie sprawa jest prosta. Wyrzuć mnie.

- Nie myśmy cię angażowali!

- Jeżeli odetniesz nam potrzebne fundusze, wyjdzie na to samo. Masz na to ochotę?

- Och, zamknij się... Co masz? Znalazłeś jakieś wyjście na

Krwawą Dziewczynkę?

- Nie bardziej niż ty - odparł Tyrell. - Jest tutaj, gdzieś w promieniu kilku kilometrów od celu ataku, ale nikt nie wie, gdzie.

- Nie będzie żadnego ataku. Prezydent jest równie bezpieczny, jakby siedział w skarbcu. Czas działa na naszą korzyść.

- Bardzo mi się podoba twoja pewność siebie, lecz nie da się go trzymać w zamknięciu zbyt długo. Niewidzialny prezydent przestaje być prezydentem.

- A mnie się bardzo nie podoba twoje podejście. Co jeszcze?

Obiecywałeś podać mi kilka nazwisk.

- Zapisz je i przeświatł każde najdokładniej jak możesz.

Hawthorne odczytał nazwiska, które wybrał z dziennika wartowni, pomijając wezwanych do posiadłości pracowników - hydraulika, weterynarza i kwartetu hiszpańskich tancerzy, wynajętych do utrzymania w argentyńskim stylu barbecue na świeżym powietrzu.

- Przecież to najwyżej postawieni przedstawiciele administracji! - eksplodował Stevens. - Ty chyba rzeczywiście zwariowałeś!

- Każdy z nich był tu w ciągu ostatnich osiemnastu dni.

A ponieważ Krwawa Dziewczynka jest najwyraźniej powiązana z van Nostrandem, istnieje prawdopodobieństwo, że jeden z nich, a może nie tylko jeden, pracuje dla tego skurwysyna - świadomie albo nie.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, czego ode mnie żądasz?! Sekretarz obrony, dyrektor CIA, ten szajbnięty komendant tajnej G-2, a nawet cholerny sekretarz stanu?! Zupełnie ci odbiło!

- Byli tutaj, Henry. Tak samo jak Bajaratt.

- Czy masz dowód? Na litość boską, przecież każdy z ludzi prezydenta będzie mógł mnie żywcem obdrzeć ze skóry!

- Trzymam dowód w ręku, komandorze. Jedyni ludzie z tej listy, którzy mieliby ochotę ci to zrobić, pracują dla Bajaratt.

Powtarzam - świadomie albo nie. A teraz złap się, do cholery, za robotę...! W ciągu mniej więcej dwudziestu minut mam zamiar dać ci trop, dzięki któremu zostaniesz admirałem, jeżeli wcześniej cię nie zabiją.

- Dziękuję za wielkoduszność. Co to, u diabła, takiego i dokąd nas ten trop zaprowadzi?

- Do osoby, która pomogła van Nostrandowi wyjechać z kraju.

- Van Nostrand nie żyje!

- Ale związani z nim ludzie jeszcze o tym nie wiedzą. Powtarzam: weź się do roboty, Henry. - Tyrell odwiesił słuchawkę i spojrzał na patrzących na niego z otwartymi ustami Neilsen i Poole'a. - Czy coś was niepokoi? - zapytał.

- Ostro pogrywasz, komandorze - stwierdził porucznik.

- Nie ma innego sposobu, Jackson.

- Założmy jednak, że się mylisz - powiedziała Cathy. Założmy, że nikt na tej liście nie ma nic wspólnego z Bajaratt...

- Nie przyjmuję tego do wiadomości. A jeżeli Stevens niczego się nie dokopie, dopilnuję, żeby ta lista została opublikowana razem z obszernym komentarzem i tak wieloma insynuacjami, kłamstwami i półprawdami, że nasze struktury władzy dostaną totalnego zawału, próbując się z tego wytłumaczyć. W Waszyngtonie nie będzie żadnej linki bezpieczeństwa, nawet dla prawdziwych świętych!

- To cynizm graniczący z absolutną nieodpowiedzialnością oświadczyła ostro Catherine.

- Z całą pewnością, majorze, ponieważ jeśli mamy odnaleźć

Krwawą Dziewczynkę, musimy wprawić w panikę trzon jej grupy wsparcia. Wiemy, że tam są i że przeniknęli do naszych bardzo ściśle wyselekcjonowanych kręgów zarówno tutaj, jak i w Londynie czy Paryżu. Tylko jeden błąd, jedna osoba, która będzie próbowała chronić własny tyłek - i specjaliści zaczną puszczać w ruch swoją cudowną szczepionkę prawdy.

- Brzmi bardzo prosto.

- Zasadniczo sprawa wcale nie jest skomplikowana. Zaczynamy od listy z wartowni, od ludzi, o których wiemy, że byli w ścisłych związkach z van Nostrandem, a potem lista ta, po mikroskopowym badaniu, zacznie się rozszerzać. Kim są ich przyjaciele,

współpracownicy, kto w ich biurach ma dostęp do poufnych materiałów? Kto z nich żyje wyraźnie ponad stan? Jakie mają słabostki, które mogłyby ich uczynić podatnymi na szantaż?

Wszystko zaczyna rozwijać się z maksymalną prędkością, a niepewność i lęk są naszą amunicją. - Zadzwoił telefon i Tyrell rzucił się do niego.

- Stevens? - zawołał. Przez sekundę słuchał, marszcząc brwi, a potem przykrył dłonią mikrofon i przywołał gestem Poole'a. Do ciebie.

Porucznik podniósł słuchawkę aparatu stojącego na biurku.

- Już po wszystkim, Mac...? Dziesięć minut temu? Dobra, dziękuję... Skąd, u diabła, mogę wiedzieć? Możesz sprzedać to pudło! Gdyby mieli choć krztę rozumu, poleciliby nim na Kubę.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Tyrella.

- Odrzutowiec van Nostranda wylądował i najwyraźniej powstało spore zamieszanie. Eskorta z Waszyngtonu miała ostrą scysję z Jonesami, którzy zostawili samolot w strefie lotnictwa lekkiego ogólnego przeznaczenia i powiedzieli, że właściciel ich zwolnił, a potem zmyli się stamtąd.

- Pora na St. Thomas - rzekł Tyrell, sięgając po słuchawkę i wybierając kod Karaibów. Z pełną napięcia twarzą odczekał chwilę, potem wybrał dwucyfrowy kod uruchamiający automatyczną sekretarkę i zaczął przesłuchiwać nagranie: „Kochanie, tu Dominique! Dzwonię z szalenie nudnego rejsu koło Portofino...”. Hawthorne pobladł, oczy rozszerzyły mu się gwałtownie, poczuł, jak sztywniej mu mięśnie twarzy. To było kłamstwo, jak wszystko, co wiązało się z Dominique, zakłamanie morderczyni, której całe życie było jednym wielkim kłamstwem! A Pauline w Paryżu była częścią tego oszustwa, fragmentem, który zbliży go o krok do

Bajaratt.

- Co to było? - zapytała Cathy, widząc malujące się na jego twarzy zdenerwowanie.

- Nic takiego - odparł cicho Tyrell. - Wiadomość od kogoś, kto popełnił pomyłkę. - Automatyczna sekretarka zaczęła podawać następną informację i jego twarz znów stężała.

Nagle za oknem hotelu rozległ się przeraźliwy wrzask. Trwał bez przerwy, nasilał się, przybierając histeryczne tony. Neilsen i Poole podbiegli do okna.

- Zobacz! - zawołał porucznik. - Na parkingu!

Na dole, na wielkiej czarnej płaszczyźnie parkingu oświetlonego ustawionymi wzdłuż ogrodzenia lampami, stali blondynka i mężczyzna w średnim wieku. Kobieta krzyczała przeraźliwie, czepiając się swego towarzysza, który gorączkowo próbował ją uciszyć i zabrać stamtąd. Poole otworzył okno i wtedy usłyszeli również błagania szpakowatego mężczyzny:

- Zamknij się! Musimy się stąd wynosić. Uspokój się, idiotko, ludzie nas usłyszą!
- Myron, on przecież nie żyje! Jezu, popatrz, jak ma rozwaloną głowę. Chryste!
- Zamknij się, przeklęta dziwko!

Kilku kelnerów w białych marynarkach wybiegło z drzwi na zapleczu. Jeden z nich trzymał w ręce latarkę, której promień miotał się w różnych kierunkach, aż wreszcie wydobyl z ciemności postać mężczyzny leżącego w otwartych drzwiach kabrioletu porsche. Jego ciało spoczywało częściowo na fotelu kierowcy, a częściowo na ziemi. Ciemna plama wokół głowy zabitego załśniła w świetle latarki. Z roztrzaskanej czaszki wciąż sączyła się krew.

- Tye, chodź tutaj! - zawołała Neilsen, ale krzyki na zewnątrz przytłumiły brzmącą w jej głosie nagłą nutę.

- Cii! - Hawthorne przykrył lewą dłonią ucho i z uwagą wsłuchiwał się w słowa przekazywane z St. Thomas.

- Na dole właśnie kogoś zabili! - nie ustępowała Cathy. Faceta w sportowym samochodzie. Wzywają policję.

- Cicho, majorze. Muszę to dokładnie zanotować - Tyrell pisał na hotelowej karcie dań.

Na korytarzu „Shenandoah Lodge” Amaya Bajaratt mijała właśnie szybkim krokiem drzwi Hawthorne'a, zsuwając jednocześnie z dłoni parę cienkich chirurgicznych rękawiczek.

ROZDZIAŁ 21

Dobry Boże, sekretarz stanu - mruknął do siebie Tyrell. Oszołomiony, wolno odłożył słuchawkę telefonu, a tymczasem na parkingu rozległ się ryk syren zajeżdżających wozów policyjnych. - Po prostu nie chcę w to uwierzyć - szepnął, wystarczająco jednak głośno, aby go usłyszano.

- W co uwierzyć? - spytała Cathy, odwracając się od okna, Na dole jest straszny bajzel.

- Tu na górze również.

- Kogoś zamordowano, Tye.

- Rozumiem, ale nie widzę żadnego związku z naszą sprawą.

Jeśli o nas chodzi, mamy do czynienia z czymś, co wywoła w tym kraju epidemie zawałów serca.

- Słucham?

- Wojskową eskortę na lotnisku w Charlotte przydzielono van Nostrandowi na bezpośrednie polecenie sekretarza stanu.

- O rany! - jęknął cicho Poole, wpatrując się w Hawthorne'a i zaciskając dłonie na framudze okna. - A ja myślałem, że mówiąc o takich właśnie ludziach, wstawiasz głodne kawałki.

- Musi być jakieś inne wytłumaczenie - przerwała im Neilsen - ponieważ masz rację, że nie można uwierzyć, aby istniał jakiś związek między nim a Bajaratt.

- Były jednak silne powiązania z van Nostrandem; wystarczająco silne, żeby pomóc mu wyjechać z kraju w nader dziwnych okolicznościach. Van Nostrand zaś, czyli pan Neptun, ukrywał

Krwawą Dziewczynkę w domku gościnnym położonym w odległości kilkuset metrów od biblioteki. Wracając do alfabetu: jeżeli A równa się B, a B odpowiada C, to znaczy, że istnieje określony związek między A i C.

- Ale powiedziałeś przecież, że do limuzyny wsiadło dwóch mężczyzn. Jeden w kapeluszu...

- Co jest najłatwiejszym sposobem ukrycia łysiny - przerwał mu Hawthorne. - Myślę, że się jednak pomyliłem, Jackson. To nie byli dwaj mężczyźni. Jedną z tych osób była kobieta, kapelusz bowiem wcale nie musi zakrywać łysiny - równie dobrze maskuje kobiece włosy.

- A więc Bajaratt - szepnęła Cathy. - Byliśmy tak blisko.

- Bardzo blisko - przytaknął cicho Tyrell, marszcząc gwałtownie brwi. - Nie mamy... Nie mam wyboru. I nie ma czasu do stracenia. - Sięgnął po słuchawkę, ale w tej samej chwili rozległo się stukanie do drzwi. - Zobacz kto to taki, Jackson, dobrze?

.W korytarzu stali dwaj umundurowani policjanci.

- Czy to pokoje major Neilsen, porucznika Poole'a i ich krewnego, wuja z Florydy? - zapytał mężczyzna z prawej, spoglądając na kartki przypięte do podkładki.

- Tak jest, proszę pana - odparł porucznik.

- Rejestracja państwa jest niekompletna - stwierdził drugi policjant, zaglądając do pokoju. - Prawa stanu Wirginia wymagają dodatkowych informacji.

- Przepraszam, koledzy - odrzekł Poole. - Sam wszystko wpisywałem, a bardzo się spieszyliśmy.

- Czy można zobaczyć dowody tożsamości państwa? Funkcjonariusz z notatkami przecisnął się obok porucznika do wnętrza pokoju, a jego kolega zrobił kilka kroków do przodu, blokując drzwi. - I bardzo proszę opisać, co państwo robili w ciągu ostatnich dwóch godzin.

- Nie opuściliśmy tych pokoi od chwili przyjazdu, który nastąpił grubo ponad dwie godziny temu - oświadczył Hawthorne, odkładając słuchawkę. - A ponieważ jesteśmy w pełni świadomymi dorosłymi osobami, nie macie prawa nam przeszkadzać, niezależnie od tego, czy nasz sposób spędzania czasu obraża wasze poczucie przyzwoitości, czy też nie.

- Co? - major Neilsen zbladła i z trudem opanowała wyrywające się jej z gardła słowa protestu.

- Może mnie pan nie zrozumiał - odezwał się policjant z notatkami. - Na dole zastrzelono, zamordowano mężczyznę.

Przesłuchujemy wszystkich, którzy znajdują się w na tym terenie, zwłaszcza zaś osoby z wątpliwymi danymi, a państwo wydają się pasować do tej właśnie kategorii. Obecny tu wuj Joe nie podał ani swego nazwiska, ani adresu na Florydzie, oprócz nazwy miasta, ani nawet numeru karty kredytowej.

- Jak już powiedziałem, bardzo się spieszyliśmy i zapłaciliśmy gotówką.

- Biorąc pod uwagę tutejsze ceny, musicie państwo nosić przy sobie mnóstwo gotówki. Może nawet więcej niż mnóstwo.

- To nie powinno pana obchodzić - odparł ostro Tyrell.

- Słuchaj no pan, ofiara na parkingu została wystawiona oświadczył policjant. - Facet przywiózł ze sobą pudełko fikuśnych czekoladek dla kogoś, z kim miał się spotkać. Na karteczce był napis: „Dla uśmiechu Fortuny”.

- Och, niesamowite! - zawołał Hawthorne. - Zastrzeliliśmy go, zatrzymaliśmy się tu, żeby można nas było obejrzeć, i nawet nie zabraliśmy czekoladek!

- Zdarzały się jeszcze dziwniejsze rzeczy.

- Z całą pewnością - przytaknął funkcjonariusz stojący w drzwiach. Sięgnął pod bluzę, wyciągnął policyjne radio i tym samym ruchem odpiął kaburę. - Sierzancie, mamy trójkę lewych typów, wszyscy podejrzani, pokoje pięć zero pięć i pięć zero sześć.

Przyślijcie posiłki najszybciej, jak możecie... Zgadnij, co właśnie zauważyłem? Pośpieszcie się!

Cała czwórka odwróciła głowy, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. Na sekretarzyku leżał walther Poole'a i rewolwer

Hawthorne'a.

Bajaratt spoglądała przez okno na kłębiący się w dole tłum. Nie interesowało jej zamieszanie ani nic, co się tam działo - znała to wszystko aż za dobrze: zwabieni makabrą gapie, starający się przynajmniej zerknąć na zakrwawione ciało, i policja próbująca zachować coś w rodzaju porządku do chwili, kiedy pojawią się zwierzchnicy i powiedzą, co należy robić. Do tego czasu zwłoki muszą pozostać na miejscu, stanowiąc pożywkę dla rozgorączkowanej gawiedzi, której apetytu na makabrę w niczym nie ograniczały zakrwawione płachty.

Baj nic nie obchodziły infantylne reakcje bezużytecznych ludzików. Rozpaczliwie usiłowała odnaleźć Nicola, którego natychmiast po powrocie do apartamentu wysłała na dół z precyzyjnymi instrukcjami. - Zdarzyło się coś strasznego i musimy natychmiast wyjechać - powiedziała. - Znajdź samochód, nawet jeżeli będziesz musiał obezwładnić jego właściciela! Weź walizki i zjeżdż schodami pożarowymi!

Nagle dostrzegła go. Stał w cieniu słupa podtrzymującego lampę, unosił prawą dłoń, w której coś trzymał, i kiwał głową.

Udało mu się!

Spojrzała do lustra i poprawiła perukę z rzadkimi siwymi włosami. Narysowane i utrwalone płynnym klejem zmarszczki, jasny puder, ciemnoszare półksiężycy pod oczyma o opadających powiekach i wąskie blade wargi - wszystko to pozwoliło stworzyć obraz starej, ekscentrycznej kobiety w brązowym męskim kapeluszu na głowie.

Otworzyła drzwi prowadzące na korytarz. Zaskoczył ją hałas i widok policjantów z bronią w rękach biegnących w stronę pokoju w głębi holu. Omijając funkcjonariuszy, ruszyła w kierunku wind przygarbiona postać kobiety walczącej z nieubłagane mijającymi latami.

- Puśćcie mnie, wy sukinsyny!

- Nie zbliżać się, dranie, bo pożałujecie!

- Nie dotykaj mnie!

Baj zamarła nagle, czując, jak wszystkie mięśnie, ścięgna i stawy odmawiają jej posłuszeństwa. „Puśćcie mnie, wy sukinsyny”. Tylko jeden głos, jednego mężczyzny... Hawthorne!

Odruchowo odwróciła się w prawo, ku pokojowi, skąd dobiegał hałas.

Ponad ciałami i wyciągniętymi rękami przyciskającymi Tyrella do ściany napotkała jego wzrok. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

Psychiczny wstrząs spowodował, że przymrużyła oczy, jego zaś szeroko otwarte, spoglądały z niedowierzaniem graniczącym niemal z paniką.

Howard Davenport, znany działacz polityczny i jeden z gigantów przemysłu, a zarazem sfrustrowany, przegrany szef nienasyconego

Departamentu Obrony, nalał sobie drugą lampkę courvoisiera z barku w gabinecie i wolno podszedł do biurka. Od dwóch mniej więcej godzin czuł ulgę. Samochód służby bezpieczeństwa DO przekazał bowiem nocnemu oficerowi dyżurnemu radiową wiadomość, że limuzyna van Nostranda opuściła posiadłość z pasażerem lub pasażerami na tylnym siedzeniu.

„Jeżeli Hawthorne wyjedzie moją limuzyną, będzie to znaczyło, że się pomyliłem, i proszę zapamiętać o mych podejrzeniach”.

Davenport miał już dość przytłumionej historii otaczającej sprawę polowania na Krwawą Dziewczynkę... Obciążanie myśliwych fałszywymi pogłoskami jedynie zwiększyłyby panikę -jakiś fanatyk wywiadu wprowadziłby dane do komputera entej generacji, a potem kolejni fanatycy sięgaliby do tych informacji, potęgując jeszcze zamieszanie. Van Nostrand rozumiał to doskonale i dlatego przekazał ostateczne instrukcje na wypadek, gdyby się okazało, że eks-komandor podporucznik Hawthorne nie był członkiem niesławnego rynku Alfa... Dobry Boże, jakież ze mnie sekretarz obrony? pomyślał Davenport.

- Nigdy nie słyszałem o tej całej Alfie!

Dość, nadeszła już pora, postanowił. Żałował, że nie ma w domu żony. Przebywała w Kolorado, u córki, która właśnie urodziła trzecie dziecko. Bardzo chciał, żeby przy nim była, ponieważ wreszcie na starym remingtonie, otrzymanym niegdyś od rodziców, napisał swoją

rezygnację. W gazetach często wspomiano o tej starej maszynie do pisania, podkreślając efektowny paradoks oto spadkobierca bogactw Short Hill stukający w klawisze, sporządzający notatki na archaicznym sprzęcie, chociaż mógłby mieć do dyspozycji najwymyślniejsze skomputeryzowane wyposażenie biura, nie mówiąc już o armii sekretarek! Ale „stary Rem” był dla niego zarazem starym przyjacielem, który pomagał mu myśleć, toteż Davenport nie widział potrzeby wprowadzania zmian.

Usiadł, obracając fotel w prawo, w stronę maszyny do pisania, i powtórnie przeczytał swój krótki list do prezydenta. Tak, jego żona powinna znajdować się przy nim. Tak bardzo nie cierpiała

Waszyngtonu, tak tęskniła za swą końską farmą w łowieckich rejonach New Jersey, że wspólne konspirowanie sprawiało jej ogromną radość. Tym bardziej, że ich coroczna kontrola zdrowia w klinice May o wypadła doskonale. Davenport z uśmiechem wypił łyk brandy.

Drogi Panie Prezydencie

Z ogromną przykrością muszę Pana poinformować, że niniejszym składam rezygnację z zajmowanego stanowiska w związku z bardzo poważnymi problemami zdrowotnymi w mojej najbliższej rodzinie.

Niech mi wolno będzie stwierdzić, iż czułem się zaszczycony, pracując pod Pana światłym przywództwem. Jestem głęboko przekonany, że dzięki Pańskim wskazówkom Departament Obrony w dalszym ciągu z poświęceniem i godnością będzie wykonywał swoje zadania.

Dziękuję również za zaszczyt wchodzenia w skład „drużyny”.

Moja żona Elisabeth przesyła Panu najserdeczniejsze życzenia wszystkiego najlepszego, do których oczywiście się przyłączam.

Szczerze oddany

Howard W. Davenport

Sekretarz obrony znowu upił łyk brandy, zachichotał, czytając zdanie, które zwróciło jego uwagę, i przez chwilę zastanawiał się nad nim. Rozważał, czy nie uczciwiej byłoby dodać słowo

„powinien”. Wtedy zdanie brzmiałoby: „[...] dzięki Pańskim wskazówkom Departament Obrony w dalszym ciągu powinien z poświęceniem [...]”. Nie, nie będzie oskarżeń ani plotkarskich ksiązek obciążających winą innych. No, może cykl artykułów przydatnych dla jego następcy - z pewnością publikacje te zwrócą uwagę ale w ostatecznym rozrachunku wszystko zależy od osoby, która obejmie po nim stanowisko. Jeżeli ten ktoś będzie odpowiednim człowiekiem, dostrzeże niedostatki systemu zamówień i gruntownie go

zreorganizuje. Jeżeli zaś okaże się niewłaściwy, a przede wszystkim za miękki, żadne ostrzeżenia nie pomogą. Howard Wadsworth Davenport wiedział, że należy do tej drugiej kategorii.

Prawdę mówiąc, zawiódł.

Odstawił na biurko koniakówkę, która ześlizgnęła się z krawędzi i rozbiła na parkiecie. Dziwne, pomyślał. Przecież postawiłem ją na podstawce... A może nie? Zaczął widzieć niewyraźnie, oddychał głośno, z trudem. Gdzie się podziało powietrze? Wstał niepewnie, dochodząc do wniosku, że przestała działać klimatyzacja, a noc jest gorąca, wilgotna i nie do zniesienia duszna.

I nagle powietrza już w ogóle nie było! Jego klatkę piersiową przeszył ostry ból i gwałtownie objął całą górną część ciała.

Dłonie mu dygotały, ramiona stały się nieposłuszne, a potem załamały się pod nim nogi. Upadł twarzą w dół na twardą podłogę, rozbijając do krwi nos. Straszliwym wysiłkiem woli wstał, wstrząsany skurczami, i upadł znowu, tym razem na wznak. Jego szeroko otwarte oczy patrzyły w sufit, ale nic nie widziały.

Ciemność. Howard W. Davenport był martwy.

Drzwi gabinetu otworzyły się i pojawiła się w nich ubrana na czarno postać z twarzą przykrytą maską filtrującą i dłońmi obciążonymi czarnymi jedwabnymi rękawiczkami. Odwróciła się i przykucnęła obok metalowej butli ze śmiertcionośnym gazem, o długości mniej więcej pół metra, zaopatrzonej w umocowaną do zaworu gumową rurę ciągnącą się do podstawy drzwi. Tkwiąca pod nimi dysza była wąska i spłaszczona. Mężczyzna przekręcił zawór, dwukrotnie sprawdzając zamknięcie. Potem wstał, podszedł do prowadzących na patio balkonowych drzwi i otworzył je na oścież.

Wilgotne i ciepłe powietrze letniej nocy wypełniło pokój zapachem kwiatów. Następnie zbliżył się do remingtona i przeczytał list

Davenporta z prośbą o dymisję. Zdjął go z wałka, zmiął i schował do kieszeni spodni, po czym wkręcił czysty arkusz z papeterii sekretarza obrony i zaczął pisać:

Drogi Panie Prezydencie

Z najwyższym żalem składam swoją natychmiastową rezygnację ze względu na stan zdrowia, który do tej pory utrzymywałem w tajemnicy przed moją drogą żoną. Mówiąc otwarcie, nie mogę już dłużej pełnić swoich obowiązków, i jak sądzę, wielu moich kolegów potwierdzi ten fakt.

Znajdowałem się pod opieką doktora w Szwajcarii, którego zobowiązałem do zachowania tajemnicy. Poinformował mnie właśnie, że jest już kwestią dni...

List urywał się gwałtownie. Skorpion Dwadzieścia Cztery, spełniając rozkazy wydane mu poprzedniego ranka przez Skorpiona

Jeden, zebrał śmiercionośny ekwipunek i wyszedł przez balkonowe drzwi.

Kiedy policja z Fairfax opuściła połączone pokoje w „Shenandoah

Lodge”, zjawił się umundurowany komandor Henry Stevens.

- Na rany Chrystusa, Tye, opanuj się!

- Zaraz, Henry, zaraz - odparł blady jak płótno Hawthorne, siedzący na krawędzi łóżka. Neilsen i Poole z niepokojem pochylali się do przodu w swoich krzesłach. - Przecież to szaleństwo!

Rozpoznałem ją, przede wszystkim jej oczy, a ona poznała mnie!

Była starą kobietą, która ledwo mogła stać, ale ją poznałem!

- Powtarzam ci - Stevens stanął nad Tyrellem - że kobieta, którą widziałeś, jest włoską hrabiną. Nazywa się Cabarini czy jakoś podobnie i jak mówią w recepcji, jest bardzo próżna. Nawet nie chciała się wpisać do księgi gości, twierdząc, że jest niewłaściwie ubrana. Kazała im przynieść książkę później do swego pokoju.

Sprawdziłem ją przez Imigrację. Jest bez zarzutu od góry do dołu.

Miliony i tak dalej.

- Wyjechała. Dlaczego?

- Podobnie jak dwudziestu dwóch innych gości spośród trzydziestu pięciu osób, które tu mieszkały. Na parkingu zabito człowieka, Tye, a ci turyści nie są z Delta Force.

- Dobra, dobra... Zaraz dojdę do siebie. Po prostu nie mogę zapomnieć jej twarzy! - oświadczył Hawthorne, potrząsając wolno głową. - Ten wiek, była taka stara, ale poznałem jej oczy...

Po znałem je.

- Genetycy twierdzą, że istnieją dokładnie sto trzydzieści dwa warianty kształtu oczu i barwy tęczówki. Ni mniej, ni więcej oznajmił Poole. - Chyba cholernie mało, jeżeli weźmiesz pod uwagę liczbę ludzi na tym świecie. „Czy ja skądś pana znam?” jest najczęściej zadawanym pytaniem.

- Dziękuję ci - Hawthorne odwrócił się znowu do Henry'ego

Stevensa. - Zanim zaczęło się to. całe szaleństwo, dzwoniłem do ciebie. Nie wiem, w jaki sposób, ale musisz to zrobić.

- Co zrobić?

- Po pierwsze, powiedz mi prawdę. Czy ktokolwiek wie... czy ktokolwiek może wiedzieć, że van Nostrand nie żyje?

- Nie, informacja została zablokowana, dom jest wyczyszczony i strzeżony. Dyspozytor z Fairfax i dwaj policjanci z patrolu są zawodowcami i wszystko zrozumieli. A poza tym nie da się ich wytropić w razie przecieku. Wszyscy trzej przebywają już poza tym rejonem.

- Dobra. W takim razie przyciśnij każdy dostępny guzik i załatw mi spotkanie z sekretarzem stanu. Dziś w nocy, a właściwie dziś rano. Nie możemy tracić nawet pięciu minut.

- Zwariowałeś! Przecież dochodzi północ!

- Tak, wiem i wiem również, że van Nostrand wyjechał z kraju w tajemnicy, ponieważ utorował mu drogę sekretarz stanu. Bardzo oficjalnie.

- Nie wierzę ci!

- Lepiej uwierz. Wszystko, łącznie z wojskową eskortą i maksymalnie bezpiecznym odlotem z Charlotte w Północnej Karolinie, załatwił elegancki urzędnik państwowy wysokiego szczebla, Bruce

Palisser. Chcę wiedzieć, dlaczego.

- Jezu, ja też!

- To nie będzie trudne. Powiedz mu prawdę. Pewnie i tak już wie, że zwerbowało mnie MI-6, a nie ty czy ktokolwiek w Waszyngtonie, ponieważ w Beltway nie ma zbyt wielu osób, którym ufam.

Powtórz mu, że twierdzę, iż dysponuję informacjami o Krwawej

Dziewczynie, które przekażę tylko jemu, bo mój brytyjski werbownik został zabity. Nie odmówi, ma bliskie kontakty ze

Zjednoczonym Królestwem... Możesz nawet leciutko przesadzić i zapewnić go, jak cholernie żałujesz, że nie udało się nam porozumieć. Kiedyś byłem zupełnie niezły w swoim fachu i niewykluczone, iż coś mam... Tu jest telefon, Henry. Załatw tę sprawę.

Szef wywiadu marynarki wojennej spełnił prośbę Hawthorne'a.

Jego przemowa do sekretarza stanu zawierała odpowiednią porcję niepokoju, nalegania i szacunku. Kiedy skończył, Tyrell odciągnął go na bok i podał mu kawałek papieru.

- Tu jest numer telefonu w Paryżu - powiedział cicho. Skontaktuj się z Deuxieme i poleć im, żeby wzięli to miejsce pod obserwację. Całkowitą.

- Co to takiego?

- Numer, pod który dzwoniła Bajaratt. Więcej nie musisz wiedzieć. Zresztą nie zamierzam nic więcej mówić.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku w Georgetown, gdzie mieszkała waszyngtońska elita. Imponujący trzypiętrowy budynek stał na szczycie wzgórza opadającego trzema obmurowanymi trawiastymi tarasami. Wejście było jaskrawo oświetlone, polakierowane na czarno drzwi połyskiwały, mosiężne ozdoby lśniły. Strone betonowe stopnie pobielono, a wykonane z metalu balustrady pomalowano na biało. Wszystko to miało najwyraźniej ułatwić drogę wchodzącemu tu w nocy. Hawthorne zapłacił kierowcy i wysiadł.

- Czy chce pan, żebym poczekał? - zapytał taksówkarz, zerkając na sportową, rozpiętą pod szyją kurtkę safari Tyrella i niewątpliwie zdając sobie sprawę z późnej godziny albo nawet z faktu, że stoją przed domem sekretarza stanu.

- Nie wiem, jak długo tu będę - odparł Hawthorne, marszcząc brwi. - Ale ma pan rację. Jeżeli jest pan wolny, może wróciłby pan tu za, powiedzmy, czterdzieści pięć minut. Tyle powinno wystarczyć. - Sięgnął do kieszeni, wyjął dziesięciodolarowy banknot i wsunął go przez otwarte okno taksówki. - Niech pan tu zajrzy, a jeśli mnie nie będzie, proszę odjechać.

- Mam spokojną noc. Dam panu trochę czasu.

- Dzięki.

Hawthorne ruszył schodami do góry, zastanawiając się przez chwilę, dlaczego ktoś liczący ponad pięćdziesiątkę mieszka w miejscu, gdzie należałoby choć w części być kozicą, aby dotrzeć do drzwi frontowych. Potem nagle znalazł odpowiedź na swoje zadane w duchu pytanie, ponieważ w górze, na wyłożonej ceglami półce, spostrzegł duże krzesło wyciągu elektrycznego, a poniżej prawej balustrady drugie. Łączył je szeroki metalowy pas przewodzący prąd. Sekretarz Palisser nie zaniedbywał niczego, co czyniło życie wygodniejszym, zresztą odnosiło się to także do wielu innych spraw. Tyrell nie był szczególnym entuzjastą waszyngtońskiego establishmentu, ale Bruce Palisser zdawał się wybijać ponad swoje otoczenie. Hawthorne nie wiedział o nim zbyt wiele, lecz na podstawie tego, co czytał w gazetach i co zaobserwował podczas transmitowanych przez telewizję konferencji prasowych, mógł się zorientować, że sekretarz ma miły sposób bycia oraz obdarzony jest szybkim refleksem, a nawet pewnym poczuciem humoru. Tyrell niezbyt ufał politykom pozbawionym tych właśnie cech charakteru. W każdym kraju. Teraz jednak myślał o Palisserze z pewną rezerwą, a właściwie z podejrzliwością. Dlaczego wyświadczył tę przysługę

Nilsowi van Nostrandowi, przyjacielowi i opiekunowi terrorystki

Bajaratt?

Lśniaca mosiężna kołatka spełniała bardziej ozdobną niż praktyczną funkcję i Hawthorne przycisnął jasno oświetlony guzik dzwonka. W chwilę później drzwi otworzył mu sam Palisser, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami i spodnie zaprzeczające reputacji eleganckiego człowieka, za jakiego uchodził. Miał bowiem na sobie obcięte na wysokości kolan wypłowiałe niebieskie dżinsy.

- Muszę przyznać, że jest pan chłop z jajami, komandorze oświadczył. - Proszę do środka, a kiedy będziemy szli do kuchni, niech mi pan zacznie wyjaśniać, dlaczego nie zwrócił się pan do dyrektora CIA albo DIA, albo nawet do pańskiego cholernego przełożonego, komandora Stevensa z wywiadu marynarki?

- Nie jest moim przełożonym, panie sekretarzu.

- A tak - powiedział Palisser, zatrzymując się w holu i spoglądając na Tyrella. - Wspominał coś o Angolach i chyba

MI-6. W takim razie, dlaczego nie zwrócił się pan do nich?

- Nie ufam Tower Street.

- Nie ufa pan...

- Podobnie jak nie ufam NI, CIA, DIA i każdej innej firmie, panie sekretarzu.

Wszystkie są spenetrowane.

- Mój Boże, pan mówi poważnie.

- Nie jestem tu, żeby żartować, Palisser.

- Już Palisser...? No cóż, chyba ma to w sobie coś odświeżającego. Proszę wejść, właśnie parzę kawę. - Przeszli przez wahadłowe drzwi do wielkiej białej kuchni z solidnym stołem pośrodku. Na jego krańcu stał staroświecki elektryczny ekspres do kawy, podłączony do bocznego gniazdka. Już bulgotał. - Wszyscy mają te plastikowe urządzenia, które kapią, wskazują godzinę, notują, ile filiżanek kawy już wypiteś i Bóg wie co jeszcze, ale żadne z nich nie jest w stanie wypełnić pokoju starym dobrym aromatem prawdziwej kawy. Jaką pan lubi?

- Czarną, proszę pana.

- Pierwsze przyzwoite słowo, jakie usłyszałem z pańskich ust. - Kiedy nalał już kawę do filiżanek, oznajmił: - A teraz proszę mi wyjaśnić, dlaczego się pan tu znalazł, młody człowieku?

Doceniam wagę wiadomości o infiltracji, ale powinien pan raczej zwrócić się z tym do Londynu i o ile dobrze się orientuję, do samej góry. Chyba nie miałby pan żadnych kłopotów z tym człowiekiem?

- Mam kłopoty z dowolną formą łączności, która może być na wewnętrznym podsłuchu.

- Rozumiem. Cóż więc takiego wie pan na temat Krwawej Dziewczynki, że może pan to przekazać wyłącznie mnie osobiście?

- Jest tutaj...

- Wiem o tym, podobnie jak my wszyscy. Prezydent jest całkowicie bezpieczny.

- Ale nie z tego powodu nalegałem, aby się z panem zobaczyć osobiście.

- Jest z pana, komandorze, kawał zarozumiałego, a zarazem irytującego sukinsyna.

Proszę mówić.

- Dlaczego dopomógł pan Nilsowi van Nostrandowi opuścić ten kraj w sposób, który można określić jako wysoce utajniony?

- Pan się zapomina, Hawthorne! - Sekretarz stanu wyrznął dłonią w blat stołu. - Jak pan śmie wtrącać się w ściśle poufne sprawy Departamentu Stanu?

- Van Nostrand próbował mnie zabić niecałe siedem godzin temu. Sądzę, że uzasadnia to moje pytanie.

- Co pan mówi?

- Dopiero zacząłem. Czy wie pan, gdzie w tej chwili znajduje się van Nostrand?

Palisser patrzył na Tyrella i niepokój malujący się na jego twarzy zmienił się w lęk, a lęk niemal w panikę. Zerwał się na równe nogi, rozlewając kawę, podszedł szybkim krokiem do wiszącego na ścianie telefonu z licznymi guzikami. Kilkakrotnie, ze złością, przycisnął jeden z nich

- Janet! - zawołał. - Czy były dzisiaj wieczorem jakieś telefony do mnie...? Dlaczego, u diabła, nic mi nie powiedziałaś?!

Dobrze, już dobrze, nie popatrzyłem... Co takiego? Jezu Chryste...! - Powoli odwiesił słuchawkę i z przestraszeniem spojrzał

Hawthorne'owi prosto w oczy. - Nie dotarł do Charlotte szepnął prawie pytającym tonem. - Byłem poza domem... w klubie... Dzwonił pracownik służby bezpieczeństwa z Pentagonu... Co się stało?

- Odpowiem na pańskie pytanie, jeżeli pan odpowie na moje.

- Nie ma pan prawa!

- W takim razie wychodzę. - Tyrell wstał.

- Niech pan siada! - Palisser podszedł z powrotem do stołu, odsunął krzesło i grzbietem dłoni wytarł rozlaną kawę. - I proszę zacząć mówić! - rozkazał, ponownie siadając.

- Niech pan najpierw odpowie na moje pytanie! - domagał się Hawthorne stojąc.

- Dobrze. Siadaj pan wreszcie... Proszę. - Tę spełnił prośbę i nagle na twarzy sekretarza stanu zauważył niemal grymas bólu. Wykorzystałem moje stanowisko służbowe do osobistych celów, co jednak w żaden sposób nie naraża na szwank reputacji Departamentu Stanu.

- Nie może pan mieć tej pewności, panie sekretarzu.

- Mogę! Natomiast pan nie zdaje sobie sprawy, co ten człowiek wycierpiał i co zrobił dla naszego kraju!

- Jeżeli to ma tłumaczyć pańskie postępowanie, sądzę, że lepiej będzie, jeżeli mi pan opowie wszystko dokładnie.

- Za kogo, u diabła, się pan uważa?

- Chociażby za człowieka, który może wyjaśnić tę sprawę...

Czy nie chce pan wiedzieć, co się stało? Dlaczego nie dotarł do Charlotte?

- Chcę, i to bardzo - odparł Palisser. - Jest pewien wściekły brygadier w G-2, który uwielbia nazywać mnie wywiadowczym nieszczęściem... Dobrze, komandorze, wytłumaczę panu co nieco, ale jeżeli nie umotywuje pan wszystkiego w wystarczający sposób względami bezpieczeństwa i nie przekona mnie, informacja ta pozostanie poufna. Nie poświęcę wspaniałego człowieka i kobiety, którą kocha, dla niczym nie potwierdzonych wywiadowczych śmieci.

Czy wyrażam się jasno?

- Słucham pana.

- Wiele lat temu, w Europie, małżeństwo Nilsa się rozpadło...

Nieważne z czyjej winy, ale wszystko było skończone... Wtedy poznał żonę bardzo znanego polityka, dodam, że wyjątkowo źle traktowaną przez swojego męża, i zakochał się. Mieli dziecko, dziewczynkę, która obecnie, w wieku dwudziestu paru lat, jest umierająca...

Hawthorne siedział i słuchał z twarzą absolutnie bez wyrazu, czekając, aż sekretarz stanu ukończy swoją opowieść o miłości, zdradzie i zemście. Potem uśmiechnął się lekko.

- Mój brat Marc zapewne nazwałby to klasyczną dziewiętnastowieczną literaturą rosyjską, coś w stylu Tołstoja czy Czechowa.

Ja natomiast nazwę wszystko bzdurą. Czy sprawdził pan tę historię europejskiego małżeństwa?

- Dobry Boże, oczywiście że nie! Van Nostrand jest jednym z najbardziej szanowanych, więcej - czcigodnych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem. Był doradcą najrozmaitszych instytucji rządowych, ministerstw, nawet prezydentów!

- Jeżeli w ogóle było jakieś małżeństwo, to wyłącznie formalne.

A jeśli kiedykolwiek miał dziecko, cholernie musiał się przy tym napracować. Van Nostrand nie był typem człowieka skłonnego do żeniaczki. Okłamał pana, panie sekretarzu, i zastanawiam się, ile jeszcze osób nabrał na tę historyjkę.

- Żądam wyjaśnień! Niczego pan nie wytłumaczył!

- Wszystko po kolei... Teraz należy się panu odpowiedź na zadane pytanie... Van Nostrand nie żyje, panie sekretarzu.

Został zastrzelony w chwili, kiedy wydawał rozkaz, aby mnie zabić.

- Nie wierzę!

- Lepiej będzie, jeżeli pan uwierzy, bo to prawda... A Krwawa

Dziewczynka znajdowała się wówczas w jednym z jego gościnnych domków.

Co się stało, signora? Dlaczego zabito tego człowieka? - Chłopak z doków na chwilę przestał zadawać pełne gniewu pytania i spojrzał na Bajaratt. - O mój Boże, to pani?

- Czyś ty zwariował? Pisałam listy, kiedy ty oglądałeś w sypialni telewizję. Nastawiłeś odbiornik tak głośno, że z trudem mogłam zebrać myśli... Słyszałam, jak policja mówiła, że zrobił to zazdrosny mąż. Zabity miał romans z jego żoną.

- Zawsze znajduje pani wyjaśnienie, contessa Cabrini. Dlaczego miałbym pani wierzyć?

- Albo uwierzysz we wszystko, co ci powiem, albo wracaj do

Portici i daj się zabić w dokach, razem ze swoją matką, bratem i siostrami! Capisci?

Nicolo milczał. Jego niewidoczna w mroku twarz była czerwona.

- Co teraz zrobimy? - zapytał w końcu.

- Wjedź w las, gdzieś, gdzie jest ciemno i nikt nas nie zobaczy.

Odpoczniemy kilka godzin, a wcześniej rano odbierzesz z hotelu resztę naszych bagaży. Potem wrócimy do swych ról. Znów będziesz

Dante Paolo, a ja twoją ciotką, hrabiną... Spójrz! Widzisz to pole porośnięte wysoką trawą, taką samą jak u stóp Pirenejów? Zatrzymaj się tam.

Nicolo skręcił kierownicą tak ostro, że Bajaratt padła na drzwi.

Przyglądała mu się, marszcząc brwi.

Sekretarz stanu Bruce Palisser zerwał się gwałtownie, przewracając z hałasem krzesło.

- Nils nie mógł zginać!

- Komandor Stevens nadal jest w swoim biurze. Proszę polecić nocnemu oficerowi dyżurnemu, aby z nim pana połączył. Potwierdzi moje słowa.

- Mój Boże, nie przekazałby mi pan tak straszliwej, niewiarygodnej informacji, gdyby nie mógł jej pan udowodnić.

- Byłaby to tylko strata czasu, panie sekretarzu, a moim zdaniem nie mamy go zbyt wiele do stracenia.

- Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć - Palisser, jakby nagle przybyło mu lat, pochylił się niezgrabnie i podniósł krzesło. Wszystko jest tak nieprawdopodobne.

- I dlatego prawdziwe - odparł Hawthorne. - Ponieważ oni wszyscy są tak nieprawdopodobni. Tutaj, w Londynie, Paryżu i Jerozolimie. Wcale nie zamierzają użyć jakiejś wielkiej bomby, broni jądrowej czy czegoś w tym rodzaju. Nie muszą tego robić, bo skutki byłyby odwrotne od zamierzonych. Dają upust swojej wściekłości za pośrednictwem destabilizacji, chaosu. I czy się na to zgadzamy, czy nie, mogą osiągnąć swój cel.

- Nie mogą, ona nie może!

- Czas działa na jej korzyść, panie sekretarzu. Nie sposób utrzymać prezydenta w ścisłej izolacji. Gdzieś, kiedyś pojawi się w miejscu, gdzie będzie mogła się do niego zbliżyć i zabić go, a tymczasem w Londynie, Paryżu i Jerozolimie przygotowywane są zamachy na pozostałe wyznaczone osoby. Oni nie są głupi, proszę to wreszcie zrozumieć!

- Ja też nie jestem, komandorze. O co chodzi? Co jeszcze ma pan do powiedzenia?

- Van Nostrand nie mógł załatwić wszystkiego wyłącznie z panem. Muszą być inni.

- Co pan ma na myśli?

- Mówił pan, że van Nostrand zamierzał opuścić kraj i już nie wrócić.

- Tak właśnie stwierdził.

- Jak rozumiem, wszystko wydarzyło się bardzo szybko, właściwie w ciągu paru dni?

- Z tego, co mówił, wynikało, że w grę wchodziły godziny, dosłownie godziny. Musiał się dostać do Europy natychmiast, zanim ten drański mąż się dowie, że on tam jest. Chciał dotrzeć do córki, dopóki jeszcze żyje, i zabrać ze sobą jej matkę, aby w końcu, za wszelką cenę, połączyć się z kobietą, którą kocha. W każdym razie tak brzmiała jego opowieść.

- I tu docieramy do sprawy, która mnie niepokoi - oznajmił

Hawthorne. - Chodzi o cenę, koszty. Zacznijmy od nie takiej znowu małej posiadłości van Nostranda, San Simeon. Jest warta miliony.

- Chyba wspominał, że ją sprzedał.

- W ciągu kilku dni, a właściwie godzin?

- Nie wyrażał się jasno, zresztą wcale tego nie oczekiwałem.

- A inne lokaty kapitałowe, które zapewne miał rozproszone po całym kraju, to kolejne miliony, wiele milionów. Człowiek taki jak van Nostrand nie pozostawiłby tego

wszystkiego bez wydania odpowiednich dyspozycji, co z kolei wymagałoby czasu, znacznie więcej czasu niż kilka godzin.

- Jest pan niezbyt dobrze zorientowany, komandorze. Żyjemy w epoce komputerów i pełnoprawne listy intencyjne można przysyłać natychmiast w dowolne miejsce świata. Prawnicy i instytucje finansowe zajmują się takimi sprawami codziennie, a wielomilionowe fundusze w każdej minucie wędrują ponad oceanem.

- Czy takie operacje da się prześledzić?

- W większości wypadków - tak. Rządy bardzo nie lubią tracić należnych im podatków.

- Pan jednak powiedział, że van Nostrand miał zamiar zniknąć, musiał zniknąć. Możliwość sprawdzenia i lokalizacji jego finansowych operacji zapewne niezbyt mu odpowiadała, prawda?

- Niech to diabli, chyba tak. A więc?

- Musiał mieć kogoś, kto by zamaskował wszelkie transakcje mogące doprowadzić do niego samego lub do miejsca, w którym się znajduje... W moim poprzednim życiu, panie sekretarzu, dowiedziałem się, że sprytni ludzie unikają robienia interesów z przestępcami, którzy zbyt łatwo mogliby zaspokoić ich potrzeby. Nie wynika to z jakichś zasad moralnych, ale z chęci uniknięcia ewentualnego szantażu. Do realizacji swoich celów wykorzystują więc niezmiernie szacowne osoby - albo przekonując je, albo przekupując.

- Jest pan niepoprawnym draniem! - burknął z pogardą

Palisser i odsunął krzesło. Oczy płonęły mu oburzeniem. - Czy sugeruje pan, że zostałem przekupiony...?

- Nie, do diabła, pana przekonano - przerwał mu Tyrell. - W dobrej wierze kupił pan całą tę stajnię - z końskim gównem i całą resztą. Chciałem powiedzieć, że ktoś inny, dysponujący podobnymi jak pan legalnymi środkami, umożliwił mu prawdziwe zniknięcie i zatarcie wszelkich śladów w dokumentach. (

- Kto to, u diabła, mógł zrobić?

- Niewykluczone, że jakiś inny sekretarz Palisser, przekonany o słuszności swego postępowania... A przy okazji, czy dostarczył mu pan fałszywy paszport?

- Dobry Boże, nie! Dlaczego miałbym to zrobić? Nigdy mnie o nic takiego nie prosił.

- Niegdyś korzystałem z tej możliwości mnóstwo razy. Fałszywe nazwiska, fałszywe zajęcia, fałszywe dane i fotografie.

Potrzebowałem ich, ponieważ prawdziwy Hawthorne musiał zniknąć.

- Tak, komandor Stevens mówił, że wyjątkowo dobrze sprawdzał się pan w konspiracyjnych działaniach wywiadowczych.

- Musiał strasznie cierpieć, wydając mi taką opinię. Ale czy pan wie, po co mi były potrzebne te fałszywe dokumenty?

- Sam pan odpowiedział na to pytanie: komandor podporucznik Hawthorne musiał zniknąć, żeby na jego miejscu mógł się pojawić ktoś inny. - Palisser skinął ze zrozumieniem głową. Van Nostrand potrzebował nowego paszportu z tego samego powodu.

- Dwa punkty dla sekretarza stanu.

- Jest pan bezczelnym młodym człowiekiem.

- Mam zamiar takim się stać. Jestem bardzo dobrze opłacany, toteż staram się jak najlepiej.

- Nie będę próbował zrozumieć pańskich dość paskudnych wyjaśnień, panie Hawthorne, ale sądzę, że w tym wypadku muszę jednak o nie poprosić. Tylko Departament Stanu może wydać prawomocny paszport, a skoro odrzuca pan ewentualność podjęcia przez van Nostranda nielegalnych działań, do kogo mógł się on zwrócić w tej sprawie?

- Do równorzędnej instytucji rządowej wysokiego szczebla lub ministerstwa, które mają dostęp do waszej techniki w stopniu wystarczającym, aby się nią posłużyć we własnym zakresie.

- Przecież to korupcja!

- Albo przekonanie. Pana przecież nie przekupiono... - Tyrell przerwał. - Ostatnie pytanie, panie sekretarzu. Być może nie powinienem go zadawać, ale muszę. Czy domyśla się pan, jak to się stało, że przyleciałem prywatnym samolotem van Nostranda z Porto

Rico na własną egzekucję?

- Nie zastanawiałem się nad tym. Zakładam, że w sprawę wmieszany był komandor Stevens. Jest przecież jeżeli nie pańskim przełożonym, to przynajmniej oficerem łącznikowym tu, w Stanach.

- Henry Stevens był zaszokowany, kiedy go poinformowałem, że tu jestem, ponieważ nie mógł zrozumieć, jak to było możliwe.

Każdy mój krok kontrolowano, oczywiście kiedy chciałem, aby wiedział o nim zamknięty krąg osób polujących na Krwawą

Dziewczynkę. A fakt mojego przyjazdu powinien być tym bardziej znany, że spowodował go jeden z waszych głównych graczy. Ale on ominął pana i całe środowisko wywiadu tylko dlatego, aby van

Nostrand mógł mi dostarczyć list z instrukcjami, które miałem realizować. Złapałem przynętę i gdyby nie dwoje wyjątkowych ludzi, moje zwłoki leżałyby teraz w Fairfax, a pański święty Neptun lądowałby właśnie w Brukseli, umożliwiając Bajaratt działanie z jego posiadłości.

- Kto to zrobił? Kto do pana dotarł?

- Howard Davenport, sekretarz obrony.

- Nie wierzę! - krzyknął Palisser. - Jest jednym z najporządniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem! Pan kłamie!

Posunął się pan za daleko. Proszę się wynosić z mojego domu!

Hawthorne sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął list van Nostranda.

W miejscu sklejenia widać było pękniętą niebieską taśmę zabezpieczającą. - Jest pan sekretarzem stanu, panie Palisser. Może pan zwrócić się do każdej osoby na całym świecie, a więc także do kierownika sekcji wydziału marynarki w bazie w Porto Rico.

Proszę go zapytać, w jaki sposób doręczono mi ten list i komu miał o tym zameldować.

- O mój Boże...!- jęknął Bruce Palisser, zamykając oczy i odchylając do tyłu siwowłosą głowę. - Jesteśmy rządem oportunistów i łagodnych reformatorów, płytkich umysłów i drapieżników, którzy nie mają prawa rządzić. Ale to nie może być Davenport!

Howard nie zrobiłby niczego dla korzyści osobistej, pan go nie zna!

- Pan również by tego nie zrobił.

- Dziękuję, komandorze. - Sekretarz stanu opanował się i spojrzał przenikliwie na Tyrella. - Przyjmuję wszystko, co mi pan powiedział...

- Chcę, żeby zostało to zarejestrowane - przerwał mu Hawthorne.

- Dlaczego?

- Ponieważ van Nostrand jest jedynym ogniwem łączącym nas z Bajaratt. A zakładając, że Davenport nie wie o jego śmierci, możemy oczekiwać, iż spróbuje się z nim porozumieć.

- Nie jest to odpowiedzią na moje pytanie, nie znaczy też, że nie skontaktuję się z komandorem Stevensem, aby zweryfikować wszystko, co mi pan przekazał, znowu jednak muszę wiedzieć, dlaczego?

- Ponieważ chcę się posłużyć pańskim nazwiskiem, żeby po tym łańcuszku dotrzeć do Krwawej Dziewczynki, a nie uśmiecha mi się trzydzieści lat w Leavenworth za działania niezgodne z prawem.

- W takim razie sędzę, że powinniśmy przedyskutować pański plan zadań, komandorze.

Nagły dzwonek telefonu spowodował, że obydwaj mężczyźni drgnęli gwałtownie. Sekretarz stanu wstał z krzesła i nie spuszczać wzroku z wiszącego na ścianie aparatu, podszedł do niego szybkim krokiem.

- Tu Palisser, o co chodzi...? Co zrobił? - Cała krew odpłynęła mu z twarzy. - Przecież to nie ma sensu! - Sekretarz odwrócił się w stronę Hawthorne'a. - Howard Davenport popełnił samobójstwo! Właśnie znalazła go pokojówka...

- Samobójstwo? - mruknął Tyrell. - Nie założyłbym się...

ROZDZIAŁ 22

Bajaratt z twarzą osłoniętą czarną koronkową woalką siedziała samotnie przy biurku w pokoiku taniego, położonego na uboczu motelu. Właśnie połączyła się z senatorem z Michigan, informując go, że czuje się strasznie wyczerpana mnóstwem rozmów i ludźmi, z którymi miała do czynienia w poprzednim hotelu. Stwierdziła też, że jej jednodniowe przenosiny do posiadłości znajomego jeszcze bardziej ją zmęczyły, jeżeli to w ogóle możliwe, ponieważ ów przyjaciel okazał się królem życia i duszą towarzystwa.

- Ostrzegałem, że będzie pani miała urwanie głowy - powiedział

Nesbitt. - Dlatego właśnie sugerowałem zorganizowanie biura.

- A ja starałam się panu wyjaśnić, dlaczego pomysł ten jest niemożliwy do zrealizowania.

- Owszem, i nie mogę mieć tego baronowi za złe. Nasze miasto jest stawem, a raczej szambem, pełnym natrętów, którzy wpychają się wszędzie, choć nikt ich nie zaprasza.

- W takim razie może zechciałby pan nam pomóc?

- W każdy dostępny sposób, hrabino, przecież wie pani o tym.

- Czy mógłby pan polecić hotel, który nie byłby tak ożywionym ośrodkiem różnych form działalności, a jednocześnie dysponował wszelkimi pożądanymi udogodnieniami?

- Właśnie o takim pomyślałem - odparł senator z Michigan. - Nazywa się „Carillon”. Zazwyczaj mają tam komplet, ale teraz, w miesiącach letnich, nie wszystkich turystów na niego stać.

Poczynię odpowiednie kroki, jeżeli pani sobie życzy.

- Baron będzie wzruszony pańską uprzejmością i udzieloną nam pomocą.

- Bardzo mi miło. Czy mam zarezerwować apartament na pani nazwisko czy woli pani zachować incognito?

- Och, nie chciałabym robić niczego nielegalnie...

- To nie jest nielegalne, hrabino, to pani prawo. Nasze hotele interesuje tylko zapłata. Nikogo nie obchodzi, dlaczego wybiera pani anonimowość. Moje biuro zagwarantuje pani wiarygodność.

Jakiego nazwiska życzy sobie pani użyć?

- Czuję się... jak to określić?... nie w porządku, robiąc coś takiego.

- Nie, dlaczego? A więc, jakie nazwisko?

- Sądzę, że powinno być włoskie... Posłużę się nazwiskiem mojej siostry. Balzini, senatorze. Pani Balzini z bratankiem.

- Doskonale. Kiedy mogę do pani zadzwonić?

- Lepiej... Lepiej będzie, jeżeli ja zadzwonię do pana.

- Proszę mi dać piętnaście minut.

- Och, jest pan cudowny!

- Nie nalegam, ale będę wdzięczny, jeśli wspomni pani o tym baronowi.

- Certo, signore!

.Nowy elegancki hotel był doskonały, co potwierdzała obecność w nim czworga dalszych członków saudyjskiej rodziny królewskiej w garniturach z Savile Rów. Dawniej Baj zastrzeliłaby ich natychmiast i uciekła, ale teraz stawka była tak wysoka, a nagroda tak wspaniała, że tylko skinęła uprzejmie głową, mijając w holu kwartet arabskich książątek o rękach splamionych krwią.

- Nicolo! - zawołała, wstając od biurka w saloniku apartamentu, dostrzegła bowiem zapalające się światełko na aparacie telefonicznym. - Co robisz?

- Dzwonię do Angel, Cabi! - odezwał się głos z sypialni. Podała mi swój numer do studia.

- Proszę, odłóż słuchawkę, kochanie. - Bajaratt podbiegła do drzwi sypialni i otworzyła je. - Obawiam się, że musisz robić to, co ci każę.

Młody człowiek spełnił jej polecenie ze złością i nieukrywanym zdziwieniem.

- Nie odpowiada. Powiedziała mi, żebym odczekał pięć sygnałów i pozostawił wiadomość.

- Zrobiłeś tak?

- Nie. Usłyszałem dopiero trzy sygnały, kiedy krzyknęłaś na mnie.

- Bene. Przepraszam, że odezwałam się tak ostro, ale możesz korzystać z telefonu dopiero wówczas, kiedy mnie uprzedzisz, a ja wyrażę na to zgodę.

- Korzystać z telefonu...? Do kogo innego miałbym dzwonić?

Czy jesteś zazdrosna...?

- Doprawdy, Nico, możesz sobie sypiać z księżniczką, dziwką czy osłem - jest mi to najzupełniej obojętne, nie wolno ci jednak prowadzić rozmów, które mogłyby kogoś naprowadzić na nasz ślad.

- Kiedy byliśmy w tamtym hotelu, pozwoliłaś mi dzwonić...

- Bo tam byliśmy zarejestrowani na nazwisko, którego używamy, a tutaj nie.

- Nie rozumiem...

- Nie musisz, nasza umowa tego nie obejmuje.

- Ale obiecałem, że do niej zadzwonię!

- Obiecałeś...? - Baj zastanowiła się, patrząc na chłopaka z Portici. Nicolo ostatnio zachowywał się zupełnie inaczej, zdarzały mu się krótkie wybuchy złego humoru, jak u młodego zwierzęcia w klatce, które coraz bardziej irytuje się swoim zamknięciem. Tak, to o to chodziło - należało złagodzić ograniczenia. Nie mogła dopuścić, by w chłopaku narastała niechęć, kiedy była już tak blisko celu. Byłoby to idiotyzmem. Poza tym musiała zadzwonić w kilka miejsc, unikając jednak „wzoru”, który mogłyby utworzyć kolejne jej telefony - przestrzegając ją przed tym van Nostrand.

Powinna więc wyjść z hotelu.

- Masz rację, Nico - rzekła. - Za bardzo cię kontroluję.

Wiesz, co teraz zrobimy? Potrzebuję kilku rzeczy z farmacia naprzeciwko, zejść więc na dół, abys miał trochę prywatności.

Zadzwoń do swojej bella ragazza, ale nie podawaj jej ani numeru telefonu, ani nazwy hotelu. Powiedz jej prawdę, Nico, ponieważ nie powinieneś okłamywać swojej uroczej przyjaciółki. Jeżeli będziesz musiał zostawić jej wiadomość, poinformuj, że wyprowadzamy się w ciągu godziny i że porozumiesz się z nią później.

- Właśnie się sprowadziliśmy...

- Coś się zdarzyło. Nasze plany uległy zmianie.

- Madre di Dio, co znowu?! Wiem, wiem, tego nie obejmuje umowa. Jeżeli kiedykolwiek wrócimy do Portici, powinienem zaprowadzić cię do Ennia Il Coltello. Wszyscy się go boją, bo podobno zabija. Kiedy jest niezadowolony, podrzyna ludziom gardła i nikt nigdy nie wie, czy przypadkiem nie będzie następny ani co Ennio robi. Myślę, Cabi, że to on przestraszyłby się ciebie.

- Już tak się stało, Nico - odparła po prostu Bajaratt i uśmiechnęła się leniwie. - Pomógł mi cię znaleźć, ale nikt w dokach nie musi się go więcej obawiać.

- Che?

- Nie żyje... Zadzwoni do swojej pięknej aktorki, Nicolo.

Wróć za piętnaście minut. - Baj wzięła torebkę z krzesła, podeszła do drzwi, opuszczając woalkę, i wyszła z pokoju.

Zjeżdżając samotnie windą, powtarzała w myśli numer telefonu, który podał jej van Nostrand; numer przeprogramowany obecnie tak, aby mogła dotrzeć do nowego Skorpiona Jeden.

Rozkaz, który zamierzała wydać, musiał być wykonany bez pytań i w ciągu dwudziestu czterech godzin, a jeśli to możliwe - nawet szybciej. W razie najmniejszego wahania gniew doliny Bekaa, zwłaszcza zaś Brygady Aszkelonu, spadnie na wszystkich przywódców Skorpionów. Śmierć każdemu, kto chciałby przeszkodzić

Aszkelonowi!

Drzwi otworzyły się i Amaya wyszła do niewielkiego, urządzonego w dobrym guście holu, kierując się wprost do ozdobionego złotym filigranem wejścia. Na chodniku przed hotelem skinęła głową portierowi w liberii.

- Czy mam sprowadzić taksówkę, madame Balzini?

- Nie, grazie, ale to miłe, że zapamiętał pan moje nazwisko. Baj przypatrywała się mężczyźnie zza woalki.

- W „Carillonie” mamy obowiązek znać naszych gości, madame.

- Bardzo sympatyczne... Jest takie wspaniałe popołudnie, że chyba zaczerpnę trochę świeżego powietrza.

- Doskonały dzień na spacer, madame.

Bajaratt znowu kiwnęła mu głową i zaczęła iść po trotuarze, zatrzymując się przed niektórymi wystawami, jakby chciała podziwiać eksponowane na nich kosztowne towary, ale w rzeczywistości od czasu do czasu rzucała na szarmanckiego portiera spojrzenia, dotykając włosów albo poprawiając woalkę. Nie dowierzała takiej uprzejmej obsłudze, która mogła informować o wyjściach i przyjściach gości hotelowych - zbyt wielu ludzi musiała przekupywać w przeszłości. Rychło jednak jej obawy się rozwiały, ponieważ portier przestał się nią interesować i zaczął przyglądać się przechodniom. Nie byłoby tak, pomyślała, gdybym ubrała się normalnie, bez tego watowania, którego Nicolo nie cierpiał. Szła powoli chodnikiem, aż wreszcie dostrzegła to, czego szukała - automat telefoniczny po drugiej stronie ulicy, tuż przy skrzyżowaniu. Podeszła do niego szybko, jeszcze raz powtarzając numer tak ważny dla Aszkelonu. Tak bardzo ważny!

- Scorpione Uno? - zapytała cicho, ale wystarczająco wyraźnie, aby nie zagłuszył jej nawet przypadkowy klakson samochodowy na tej cichej uliczce.

- Mam wrażenie, że mówi pani po włosku - odezwał się niepewny głos w słuchawce.

- A ja mam nadzieję, że liczne dziwne dźwięki, które rozległy się po wybraniu przeze mnie numeru, oznaczają, iż połączyłam się z człowiekiem, z którym muszę mówić absolutnie poufnie, bez obawy o jakikolwiek podsłuch.

- Może być pani tego pewna. Kto mówi?

- Nazywam się Bajaratt...

- Czekałem na pani telefon! Gdzie pani jest? Musimy się jak najszybciej spotkać.

- O co chodzi?

- Nasz wspólny przyjaciel, obecnie znajdujący się gdzieś w Europie, pozostawił dla pani paczkę, o której powiedział, że jest niezmiernie istotna dla pani... przedsięwzięcia.

- Co to takiego?

- Dałem słowo, że jej nie otworzę. Podobno dla swojego własnego dobra nie powinienem znać jej zawartości. -Zapewnił, że pani wszystko zrozumie.

- Oczywiście. Mogą pana przesłuchiwać przy użyciu środków chemicznych, narkotyków... A więc van Nostrand zdołał przeżyć?

- Przeżyć?

- Była strzelanina...

- Strzelanina? Nie...

- Mniejsza o to. - Bajaratt natychmiast zmieniła temat.

Prawdopodobnie ochrona van Nostranda ocaliła go przed niedoszłym zabójcą, Hawthorne'em, pomyślała. W końcu były agent wywiadu nie mógł się równać z działającym jak kobra

Neptunem. To przecież van Nostrand kazał go śledzić, a potem aresztować w „Shenandoah Lodge”, niewątpliwie pozostawiając na terenie posiadłości jedno lub dwa ciała i obciążając w ten sposób intruza z wywiadu marynarki. Aresztowany! Sama była tego świadkiem. Jakie to wspaniałe, jak wyrafinowane pomysły! - A więc nasz poprzedni Skorpion Jeden jest już bezpieczny w innym kraju i nic więcej o nim nie usłyszymy? dodała.

- A tak, uzyskaliśmy potwierdzenie - powiedział nowy

Skorpion Jeden. - Gdzie pani jest obecnie? Wyślę samochód po panią, a także, oczywiście, po chłopca.

- Bardzo pragnęłabym odebrać paczkę - przerwała mu

Baj - ale jest jeszcze jedna sprawa, która musi zostać natychmiast, powtarzam natychmiast, załatwiona. Spotkałam się z młodym człowiekiem, rudowłosym konsultantem politycznym, o którym przeczyta pan w gazetach. Nazywał się Reilly i już nie żyje, lecz informacja, którą chciał mi sprzedać, stanowi śmiertelne zagrożenie dla naszej misji i musi być zniszczona u źródła.

- Mój Boże, o co chodzi?

- Adwokat o nazwisku Ingersol, David Ingersol, ogłosił wśród mętów społecznych w waszych gettach, że poszukuje kobiety i chłopca, cudzoziemców, którzy zapewne podróżują razem.

Osoba, która ich znajdzie, otrzyma sto tysięcy dolarów. Za taką sumę wyrzutki całego świata zamordowałyby rodzoną matkę i braci! Poszukiwania muszą zostać przerwane, odwołane, a ten prawnik zabity! Nie obchodzi mnie, w jaki sposób, ale wiadomość o jego śmierci musi pojawić się w porannych gazetach. Musi!

- Jezu Chryste! - szepnął głos w słuchawce.

- Jest wpół do trzeciej po południu - ciągnęła Bajaratt. Ten Ingersol ma umrzeć do dziewiątej wieczór. W przeciwnym razie wszystkie noże z doliny Bekaa poderzną Skorpionom gardła...

Zgłoszę się w sprawie paczki, jeżeli usłyszę wiadomość w radio lub telewizji. Ciao, Scorpione Uno.

Dawid Ingersol, prawnik i niedawno mianowany, choć właściwie tylko nominalny, Scorpio Jeden, odłożył słuchawkę czarnego zabezpieczonego telefonu, który zawsze znajdował się w stalowym sejfie wmontowanym za boazerią koło biurka w gabinecie.

Spoglądał nie widzącym wzrokiem w czysty błękit waszyngtońskiego nieba. Nie mógł uwierzyć w słowa, które usłyszał.

Właśnie otrzymał rozkaz zlikwidowania samego siebie! Niemożliwe, że coś takiego mogło mu się przytrafić! Zawsze był ponad przemocą, brudem, był katalizatorem wydarzeń, ich koordynatorem. Uważał się za generała, który manipuluje wydarzeniami, wykorzystując w tym celu swoje wpływy i stanowisko, a nie za kogoś, kto tkwi na pierwszej linii frontu razem ze

„śmieciami całego świata”, jak celnie określiła Bajaratt najniższych rangą Skorpionów.

Skorpiony. O Boże, dlaczego?! Dlaczego to zrobił, dlaczego dał się tak łatwo zwerbować...? Odpowiedź była żałośnie prosta. Jego ojciec, Richard Ingersol, znakomity adwokat, szanowany sędzia, wybitny członek Sądu Najwyższego - był jednocześnie człowiekiem przekupnym.

Dickie Ingersol przyszedł na świat wśród bogactwa, które jednak malało w zastraszającym tempie. Lata trzydzieste nie były łaskawe dla moźnych z Wall Street. Dysponowali najczęściej odziedziczonymi majątkami i nie potrafili rozstać się ze wspomnieniami o wielkich posiadłościach oraz armiach służących z lat dwudziestych. Stopniowo jednak uświadamiali sobie z przykrością, że nie stać ich już na wspaniałe limuzyny, bale i letnie wyprawy do Europy. Świat, do którego wkraczali, był niesprawiedliwy i nie do zniesienia, a potem, pod koniec dziesięciolecia, wybuchła wojna, co dla wielu

oznaczało unicestwienie ich epoki, ich sposobu życia, z którego tylko nieliczni umieli zrezygnować.

Prowadzili oddziały do ataku, spadali w płonących samolotach albo służyli na okrętach liniowych razem z arystokracją, jaką tworzył korpus oficerski. Wielu z „ich sfery” nie czekało na kartę powołania ani tym bardziej na Pearl Harbor. Wstępowali do armii brytyjskiej, romantyczni i wyróżniający się z tłumu swoimi szytymi na miarę mundurami i szlachetnymi rysami twarzy. Jak stwierdził jeden z Rooseveltów, Rooseveltów ze wzgórza San Juan i Oyster Bay, nie zaś krewniak tego zdrajcy swojej klasy społecznej z Hyde Parku - „Mój Boże, to lepsze niż prowadzenie forda!”

Richard „Dickie” Ingersol był wśród pierwszych, którzy zaciągnęli się do armii Stanów Zjednoczonych. Obiecano mu korpus lotnictwa, skrzydełka na kurtce mundurowej miał zagwarantowane.

W wojsku jednak dowiedziano się, że Richard Abercrombie Ingersol skończył właśnie aplikanturę w stanie Nowy Jork, i tak rozwiało się marzenie o bezkresnym błękanie. Odkomenderowano go do wojskowej służby sprawiedliwości, ponieważ brakowało prawników z prawdziwego zdarzenia, a niewielu było takich, którzy zdali egzaminy z notą lepszą niż „ledwo dostateczny”. Ponadto trudno było znaleźć kogoś, kto spełniałby wysokie wymagania adwokatury stanu Nowy Jork.

Dickie Ingersol spędził całą wojnę, oskarżając i broniąc w sądach wojskowych od Afryki Północnej po południowy Pacyfik, i nienawidził każdej minuty swojej prawniczej pracy. Wreszcie

Stany Zjednoczone wygrały wojnę na obu półkulach i Dickie znalazł się na Dalekim Wschodzie. Trwała okupacja Japonii i odbywały się liczne procesy zbrodniarzy wojennych. Wielu z nich zostało skazanych i powieszonych dzięki agresywnej taktyce oskarżycielskiej Ingersola. Aż pewnego sobotniego poranka w swoim biurze w Tokio otrzymał telegram z Nowego Jorku. Majątek jego rodziny przepadł, nie pozostało mu nic oprócz bankructwa i zapomnienia. Dotychczasowy styl życia był już niemożliwy.

Ale Dickie uznał, że armia jest mu coś winna, że cały naród ma dług wobec niego, wobec klasy, która prowadziła ten kraj od samego początku. Zawarto więc odpowiednie umowy, na których podstawie uniewinniono dziesiątki przestępców wojennych albo znacznie złagodzone ich wyroki, w zamian za japońskie pieniądze przelewane na tajne szwajcarskie konta przez rodziny wielkich przemysłowców z Tokio, Osaki i Kioto. Oprócz przekazywanych sum były również dokumenty „udziałów” w projektowanych korporacjach, mających powstać jak Feniks z popiołu, którym była zwyciężona Japonia.

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych Ingersol - ponownie bogaty - zrezygnował z „Dickiego”, stał się Richardem i założył własną firmę dysponującą kapitałem, którego mógł mu pozazdrościć każdy młody prawnik w Nowym Jorku. Jego gwiazda wschodziła błyskawicznie, wyższe sfery witały powrót jednego ze swoich, cieszyły się, kiedy Drugi Sąd Apelacyjny mianował go sędzią, radowały, gdy Senat zatwierdził jego nominację do Sądu Najwyższego. Oto jeden z „ich sfery” odzyskał należne mu miejsce w prawniczym siódmym niebie!

Wiele lat później, czyli - patrząc z dzisiejszej perspektywy wiele lat temu, pewnego dnia, innego sobotniego ranka, do mieszczącego się w McLean w stanie Wirginia domu syna sędziego, Davida, zgłosił się mężczyzna, który przedstawiał się jedynie jako pan Neptun. Ingersol młodszy, dysponujący już wspaniałym zapleczem i przetartymi ścieżkami prawniczej kariery, był mile widzianym partnerem Ingersol i White, niezwykle szanowanej firmy w Waszyngtonie, chociaż przyjęto za pewnik, że syn nigdy nie będzie występował przed najwyższym trybunałem krajowym. (Większość klientów właściwie nie uważała tego za konieczne, wierząc, że ich petycje dotrą do właściwych uszu.)

Nieoczekiwanego gościa uprzejmie przyjęła żona Davida, a jego elegancja pozwoliła jej zapomnieć o nie zapowiedzianym charakterze wizyty.

Pan Neptun grzecznie poprosił młodego prawnika, aby poświęcił mu kilka minut, ponieważ ma pewną niecierpiącą zwłoki sprawę, a nie chciał tracić czasu na poszukiwanie jego zastrzeżonego numeru telefonu. Owa pilna sprawa dotyczyła ojca

Davida.

Na osobności, w gabinecie Ingersola, nieznajomy wy dobył plik dokumentów finansowych, które jakimś cudem wydostały się z sanktuarium jednego z najstarszych banków w Bernie, w Szwajcarii. Teczka zawierała nie tylko historię pierwszych japońskich wpłat sięgających aż tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, ale również spis aktualnych wpływów na konto „Zero, zero, pięć, siedem, dwa tysiące”, którego właścicielem okazał się sędzia

Richard A. Ingersol z Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

Wpłaty dokonywało wiele doskonale prosperujących japońskich spółek oraz kilka międzynarodowych korporacji kontrolowanych przez japoński kapitał. W teczce znajdował się także wykaz wyroków wydanych przez sędziego Ingersola na korzyść tych spółek i korporacji, które prowadziły interesy w Stanach Zjednoczonych.

Neptun postawił ultimatum. Albo David wstąpi do niezwykle dobranej i zamkniętej organizacji, albo „ci na górze” będą zmuszeni opublikować całą historię powstania

powojennego majątku Richarda Ingersola oraz jego działalności w Sądzie Najwyższym, niszcząc w ten sposób reputację zarówno seniora, jak i juniora. Nie było alternatywnego wyjścia. David porozumiał się z ojcem, który zrezygnował ze stanowiska w Sądzie Najwyższym, motywując swoją decyzję zmęczeniem, wyczerpaniem intelektualnym i koniecznością odpoczynku przed następnym etapem „aktywnego życia”.

Uzasadnienie to wywołało tak korzystne wrażenie, że sędziego

Ingersola wychwalano pod niebiosa za odwagę i szczerść, rozważając przy tym zasadność sprawowania urzędu przez kilku innych członków starzejącego się i skłóconego Sądu. W rzeczywistości Ingersol-ojciec przeniósł się do Hiszpanii na Costa del Sol, a jego „aktywne życie” polegało na grze w golfa, wyścigach konnych, krykiecie i wędkarstwie morskim oraz na przyjęciach i tańcach. Dickie wrócił do domu - jeżeli nie pod względem geograficznym, to na pewno pod względem sposobu życia. A David

Ingersol-syn stał się Skorpionem Trzy.

Teraz, jako Skorpion Jeden, otrzymał wyrok śmierci na samego siebie. Szaleństwo! David sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu.

- Jacqueline. Nie łącz żadnych rozmów i odwołaj wszystkie spotkania umówione na resztę dnia. Zadzwoń do klientów i powiedz, że nagle coś mi wypadło.

- Oczywiście, panie Ingersol. Czy mogłabym w czymś pomóc?

- Raczej nie... Chociaż tak, być może. Skontaktuj się z agencją wynajmu aut i każ natychmiast postawić samochód. Za piętnaście minut będę przy bocznym wejściu.

- Pańska limuzyna stoi w garażu, a szofer jest w pokoju pocztowym...

- Tym razem to sprawa osobista, Jackie. Zjadę windą towarową.

- Rozumiem, Davidzie.

Prawnik odwrócił się i sięgnął po telefon znajdujący się w skrytce wmontowanej w pokrytą boazerią ścianę. Wziął słuchawkę i wybrał numer. Po serii sygnałów przycisnął pięć kolejnych cyfr i powiedział wyraźnie:

- Zakładam, że otrzymasz tę wiadomość w ciągu kilku minut.

Używając twojego języka, mamy sytuację cztery-zero. Spotkajmy się nad rzeką, jak ustaliliśmy. Pospiesz się!

Z drugiej strony Potomacu, w swoim biurze w Centralnej Agencji

Wywiadowczej, Patrick O’Ryan - jedynie tytułarny Scorpio

Dwa - poczuł delikatną wibrację elektronicznego urządzenia umieszczonego w kieszeni koszuli. Policzył lekkie wstrząsy i zorientował się, że jest to sygnał alarmowy związany z Dobroczyńcami.

Było mu to nie na rękę, ponieważ za czterdzieści pięć minut czekała go konferencja z dyrektorem w sprawie KD, a „Krwawa

Dziewczynka” miała absolutne pierwszeństwo we wszystkich poczynaniach Agencji. Niech to diabli! Ale nie było wyjścia. Dobroczynicy przede wszystkim. Zawsze tak było. Podniósł słuchawkę i połączył się z gabinetem dyrektora.

- Słucham, Pat, o co chodzi?

- Ja w sprawie konferencji, proszę pana...

- A tak - przerwał mu dyrektor. - Jak sądzę, masz jakiś nowy trop, który chciałbyś przedstawić. Z niecierpliwością czekam na twoje rewelacje. Według mnie jesteś naszym najlepszym analitykiem.

- Dziękuję panu, ale materiał nie jest jeszcze kompletny.

Potrzebuję kilku godzin, żeby go uporządkować.

- Przykro mi, Patricku.

- Mnie chyba bardziej. Jest pewien Arab, kontakt, który może dać mi kilka uzupełniających informacji, ale nasze spotkanie ma nastąpić za godzinę - w Baltimore.

- Do licha, zajmij się tym! Odłóż konferencję, daję ci tyle czasu, ile potrzebujesz. Zadzwoń do mnie z Baltimore.

- Dziękuję panu. Na pewno.

Most Riverwalk wcale nie łączył brzegów Potomacu, ale jego mniejszego dopływu. Na wschodnim brzegu znajdowała się średniej klasy wiejska restauracja, w której młodzież mogła zaopatrywać się w kanapki, hot dogi, hamburgery i piwo, na zachodnim zaś las przecinały liczne ścieżki i dróżki. Powszechnie głoszono, że więcej chłopców i dziewczyn stało się tu mężczyznami i kobietami niż w czasach Sodomy i Gomory. Należy to jednak uznać za oczywistą przesadę - ścieżki były zbyt wąskie, a ziemia zanadto kamienista.

Patrick O’Ryan wjechał na parking i z ulgą stwierdził, że znajdują się na nim zaledwie trzy samochody. Przed zmierzchem ruch w restauracyjce był niewielki. Skorpion Dwa wyszedł, sprawdził, czy ma w kieszeni przenośny telefon, i zapalając cygaro, ruszył w stronę mostu. Kiedy słuchał nagrania automatycznej sekretarki, David Ingersol sprawił na nim wrażenie człowieka ogarniętego paniką, a nie wróżyło to nic dobrego. Był błyskotliwym prawnikiem, lecz nigdy nie poddano go prawdziwej próbie - takiej, w której miało się do czynienia z błotem i przelewem krwi. Davey, pomimo całego swego adwokackiego sprytu, był słabeuszem. Dobroczynicy prędzej czy później dowiedzą się o tym. Może prędzej niż później.

- Hej, panie! - Z drzwi restauracji wytoczył się pijany młody człowiek. - Te kutasy mnie wypieprzyły, skurwysyny! Rzuć się pan piątką, a jestem pański na całe życie, człowieku! Jestem nie dopity, człowieku!

U O'Ryanana natychmiast zaczął działać instynkt analityka, który zawsze nakazywał mu dokładne rozważenie wszystkich możliwych i niemożliwych wariantów.

- Załóżmy, że dam ci dziesiątkę albo dwie. Czy zrobisz wtedy wszystko, co ci każe?

- Hej, człowieku, pocałuję cię za to w tyłek, jeżeli sobie zażyczysz. Potrzebuję szmalu, człowieku!

- Nie o to mi chodzi. Może nie będziesz musiał robić niczego.

- Jestem twój, człowieku!

- Kiedy przejdę przez most, ruszaj za mną, ale gdy zniknę między drzewami, staraj się być niewidoczny. Jeżeli zagwizdzę, biegnij do mnie jak wszyscy diabli. Rozumiesz?

- Jasne, nie ma sprawy, człowieku!

- Może nawet dostaniesz pięćdziesiątaka.

- Raj, człowieku, istny raj. Pięćdziesiątka da mi pełny luz, rozumiesz, człowieku, o co mi chodzi?

- Liczę na ciebie... człowieku. - O'Ryan podszedł do solidnego mostu przerzuconego nad pędzącą w dole bystrą wodą, przeszedł po nim i skręcił w drugą ścieżkę po prawej. Przez chwilę kroczył po nierównym, kamienistym gruncie, a kiedy pokonał odległość mniej więcej dziesięciu metrów, zza drzewa wyłoniła się nagle postać

Davidą Ingersolą.

- Patrick, to szaleństwo! - zawołał.

- Rozmawiałeś z Bajaratt?

- Obłąd. Zażądała zabicia mnie! Kazała, aby David Ingersol zginął. Ja, Skorpion Jeden!

- Przecież cię nie zna, chłopie! Skąd takie polecenie?

- Dałem sygnał na ulice, oczywiście między najgorszy element, żeby ich poszukali...

- Po co to zrobiłeś, Davey? Niezbyt sprytne posunięcie. Nie uzgodniłeś go ze mną.

- Na litość boską, O'Ryan, przecież postanowiliśmy zakończyć tę niesamowitą historię.

- Tak, chłopie, ale nie w ten sposób. Strzeliłeś głupotę, Davey. Należało wykorzystać jakiegoś podstawionego pośrednika.

Jezus, Maria! Ustalili, że polecenie wyszło od ciebie? W pierwszej lepszej operacji terenowej nie przeżyłbyś dwudziestu minut, palancie!

- Nie, mylisz się. Przemyślałem wszystko dokładnie i byłem najzupełniej kryty. Istota pomysłu sprowadzała się do tego, że wszystko sprawiało wrażenie całkowitej legalności i dlatego wydawało się niezmiernie kuszące...

- Istota pomysłu, mówisz...? - przerwał mu analityk z CIA. Wszystko to brzmi wspaniale, muszę przyznać. Ale w jaki niby sposób rzekoma legalność była tak kusząca i zupełnie cię kryła, cokolwiek, u diabła, miałyby to znaczyć?

- Tych ludzi szukała firma, nie jakaś konkretna osoba, nie ja! Ja figurowałem jedynie jako osoba, z którą należy się skontaktować w celu odebrania nagrody. Nawet poparłem te poszukiwania uwierzytelnionym pełnomocnictwem, w którym wyraźnie podano, że kobieta i ten młody człowiek są spadkobiercami poważnej sumy pieniędzy - mniej więcej siedmiocyfrowej. Honorarium za znalezienie w wysokości dziesięciu procent jest czymś zupełnie oczywistym.

- Cudownie, Davey, ale chyba zapomniałeś, że poszukiwacze, których rozesłałeś, nie są w stanie wymówić „uwierzytelnione pełnomocnictwo” i legalność mają głęboko w dupie. Z drugiej jednak strony mogą wywęszyć organizowanie obławy szybciej, niż poczułbyś zdenerwowanego skunksa w celi więziennej... Nie, chłopie, w polu nie przeżyłbyś nawet pięciu minut.

- Co mamy... co mam zrobić? Powiedziała, że wiadomość o mojej śmierci ma się pojawić w jutrzejszych porannych gazetach, inaczej dolina Bekaa... Chryste, wszystko zaczyna wymykać się spod kontroli.

- Uspokój się, Skorpionie Jeden - odezwał się sarkastycznie

O'Ryan, spoglądając na zegarek. - Sądzę, że podana w gazetach wiadomość o twoim „zniknięciu” wystarczyłaby jej na dzień lub dwa.

- Tak?

- To tylko ruch pozorujący, Davey. Wiem, o czym mówię.

Przede wszystkim musisz natychmiast wynieść się z Waszyngtonu jesteś tu dość znaną postacią, mecenasie, i przez kilka dni się nie pokazywać. Zawiozę cię na lotnisko. Zatrzymamy się i zafundujesz sobie okulary przeciwsłoneczne...

- Mam je w kieszeni.

- Doskonale. W takim razie kup bilet, dokąd zechcesz. Za gotówkę, nie na kartę kredytową. Masz dosyć pieniędzy?

- Zawsze.

- Znakomicie... Jest tylko jeden problem, który może okazać się trudny. Na dzień lub dwa trzeba przeprogramować twój numer

S-Jeden na mnie. Jeżeli Bajaratt zadzwoni i nikt nie podniesie słuchawki albo nikt nie odpowie na pozostawione wezwanie, Bekaa eksploduje, szczególnie zaś klan jej fanatyków. Padrone wyraźnie mnie o tym uprzedził.

- Musiałbym wrócić do swojego biura...

- Nic podobnego - przerwał mu analityk. - Wiem, co należy zrobić, słowo daję. Z kim rozmawiałeś po raz ostatni?

- Z moją sekretarką... Nie, z człowiekiem z agencji wynajmu samochodów, który podstawiał mi wóz. Przyjechałem tutaj sam.

Nie chciałem korzystać z limuzyny.

- Bardzo dobrze. Kiedy znajdą tu samochód, zaczną szukać.

Co powiedziałaś sekretarce?

- Że powstała nieoczekiwana sytuacja, problem natury osobistej. Zrozumiała. Jest ze mną od lat.

- Jasna sprawa.

- To było zupełnie niepotrzebne.

- Podobnie jak Porto Rico... Czy miałeś jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

- O Boże! - zawołał Ingersol.. - Zapomniałem! Midgie i ja wybieraliśmy się do Heflinów na rocznicowe przyjęcie.

- Nic z tego - Patrick Timothy O'Ryan uśmiechnął się łagodnie do przerażonego adwokata. - Wszystko zaczyna się układać, Davey. Chodzi mi o twoje parodniowe zniknięcie...

Wracajmy do sprawy biurowego telefonu S-Jeden. Gdzie się znajduje?

- W ścianie za moim biurkiem. Płyta boazerii odchyła się po pociągnięciu dźwigni w prawej dolnej szufladzie biurka.

- Doskonale. Po podrzuceniu cię na lotnisko przeprogramuję go na swój numer.

- Nastąpi to automatycznie, jeśli nie odezwę się w ciągu pięciu godzin.

- W wypadku tej Bajaratt musimy reagować błyskawicznie.

- Moja sekretarka, Jacqueline, nigdy cię nie wpuści. Wezwie ochronę.

- Wpuści, jeżeli ją uprzedzisz.

- No tak, oczywiście.

- Więc zadzwoń do niej natychmiast, Davidzie - powiedział

O'Ryan, wyjmując przenośny telefon z kieszeni marynarki. - Ten sprzęt niezbyt dobrze działa w samochodzie - pełno stali wokoło i brak uziemienia - a na lotnisku nie będziemy mieli czasu. Po prostu zostawię cię tam i zaraz odjadę.

- Rzeczywiście chcesz mi pomóc, prawda? Uważasz, że powinienem wylecieć z Waszyngtonu jeszcze dzisiaj po południu? A co sobie pomyśli moja żona?

- Zatelefonujesz do niej jutro stamtąd, gdzie się znajdziesz.

Lepiej, żeby pomartwiła się o ciebie przez jedną noc, niż miała zostać wdową. Pamiętaj o dolinie Bekaa.

- Daj mi telefon! - Ingersol zadzwonił do biura i polecił sekretarce: - Jackie, wysłałam pana.... Johnsona po pewne dokumenty z mojego gabinetu. Są wyjątkowo poufne, więc będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli po zapowiedzeniu go przez recepcję zostawisz nasze drzwi otwarte i wyjdiesz na kawę. Czy będziesz łaskawa tak zrobić?

- Oczywiście, Davidzie. Doskonale rozumiem.

- W porządku, Patricku, chodźmy!

- Chwileczkę, tylko się wysikam, bo przez najbliższą godzinę z hakiem nie będę mógł wyjść zza kierownicy. Uważaj na most. Nie chcielibyśmy przecież, aby nas widziano razem. - O'Ryan zrobił kilka kroków między drzewa, zerknął na adwokata, po czym pochylił się i podniósł kanciasty kamień o rozmiarach piłki baseballowej. Cicho wrócił na ścieżkę, podszedł do zdenerwowanego prawnika, który patrzył przez liście krzewu na most, i z całej siły uderzył go w głowę.

Następnie ściągnął zwłoki ze ścieżki i gwizdnął, aby przywołać pijanego młodego człowieka.

- Już jestem! - Chłopak, zataczając się, nadbiegł ścieżką. I czuje szmal!

Była to ostatnia rzecz, którą poczuł, ponieważ ciężki kamień trafił go prosto w twarz. Patrick O'Bryan spojrział na zegarek. Miał jeszcze mnóstwo czasu, aby przeciągnąć oba ciała bliżej wody, a potem wyjąć kilka przedmiotów z ubrania jednego i przełożyć do kieszeni drugiego. Ciąg dalszy będzie polegał jedynie na synchronizacji działań. Najpierw musi odwiedzić biuro Ingersola, potem przeprosić dyrektora Agencji, wyjaśniając, że arabski kontakt wcale się nie pojawił w Baltimore. A na końcu będzie kilka anonimowych telefonów, w tym od nie zidentyfikowanego informatora, który zauważył dwa ciała na zachodnim brzegu, poniżej mostu Riverwalk.

Była dziesiąta piętnaście wieczorem i Bajaratt chodziła po saloniku apartamentu w hotelu „Carillon”, podczas gdy Nicolo w sypialni oglądał telewizję i pozerął dania dostarczone przez obsługę. Przyjął za dobrą monetę wyjaśnienie, że przeniosą się rano, a nie w nocy.

Baj również miała włączony telewizor. Oglądała miejscowe wiadomości o dziesiątej, a teraz patrzyła uważnie i z każdą minutą ogarniała ją coraz większa wściekłość. Nagle jej

gniew ustąpił i na wargach pojawił się uśmiech. Spikerka przerwała w połowie zdania opowieść o problemach jakiejś drużyny baseballowej i podniosła kartkę papieru, którą położyła na jej biurku.

- Właśnie otrzymaliśmy komunikat. Mniej więcej godzinę temu, w okolicach mostu Riverwalk w Falls Fork w stanie Wirginia, znaleziono ciało znanego waszyngtońskiego prawnika Davida

Ingersola. Przy jego boku znajdowały się zwłoki mężczyzny w zabrudzonym ubraniu, którego zidentyfikowano jako Stevena Cannocka. Pracownik pobliskiej restauracji twierdzi, że mężczyzna ten był pijany i wyrzucono go z lokalu za zakłócanie spokoju oraz niemożność zapłacenia rachunku. Ponieważ obydwa ciała były zakrwawione, policja sądzi, że mecenas Ingersol stoczył gwałtowną walkę z usiłującym go ograbić Cannockiem... David Ingersol, uważany za jednego z najbardziej wpływowych waszyngtońskich prawników, był synem Richarda Abercombe Ingersola, który osiem lat temu zaskoczył naród swoją rezygnacją ze stanowiska w Sądzie Najwyższym, uzasadnioną przezeń „stagnacją intelektualną”, co przyczyniło się do dyskusji na temat dożywotnich nominacji sędziów Sądu Najwyższego...

Bajaratt wyłączyła telewizor. Aszkelon odniósł kolejne zwycięstwo. Najwspanialsze miało dopiero nadejść, ale chwila ta niewątpliwie nastąpi!

Była prawie druga w nocy, kiedy Jackson Poole wpadł do sypialni, którą dzielił z Hawthorne'em.

- Tye, obudź się! - zawołał.

- Co jest? Dopiero zasnąłem, do cholery! - Tyrell zamrugał oczyma i uniósł głowę. - Na rany boskie, co się stało? Nie możemy nic zrobić do rana. Davenport nie żyje i Stevens zajmuje się... Czy to Davenport? Przełom?

- Raczej Ingersol, komandorze.

- Ingersol...? Prawnik?

- Właściwie jego zwłoki, Tye. Zabito go w miejscowości Falls

Fork. Może nasz pilot, Alfred Simon, powiedział nam coś więcej, niż przypuszczaliśmy.

- Skąd wiesz, że go zabito?

- Prawdę mówiąc, oglądałem powtórkę Przemineło z wiatrem - niezwykle film - a kiedy się skończył, podano tę wiadomość w dzienniku.

- Gdzie jest telefon?

- Tuż przy twojej głowie.

Hawthorne opuścił nogi z łóżka, schwycił słuchawkę, a Poole tymczasem włączył światło. Zdenerwowany Tyrell wybrał numer wywiadu wojskowego i usłyszał głos Stevensa w słuchawce.

- Henry... Ingersol!

- Tak. Wiem. - Głos Stevensa był zmęczony. - Wiem o tym od czterech niemal godzin. Oczekiwałem, że się odezwiesz. Bo pomiędzy telefonami wściekłego sekretarza stanu Palissera, który uruchomił własne kanały w sprawie śmierci Davenporta, i Białego

Domu, gdzie Ingersol był na liście A zapraszanych osób, a także z powodu zabójstwa na waszym parkingu, przez które ten pieprzony

„The New York Times” szczypie mnie... nas .. w tyłek, nie miałem czasu, żeby do ciebie zadzwonić.

- Ingersol, do cholery! Przejrzyjcie jego biuro adwokackie.

- Już zrobione, Tye. Tak nazywali cię na wyspach, prawda?

- Ty przeszukałeś?

- Nie, nie ja. Przekazałem sprawę FBI. W ten sposób się działa.

- No i co jeszcze?

- Słońce wstanie i wszystko będzie wyglądać znacznie paskudniej.

- Czy nie widzisz, co ona wyrabia, Henry? To już dno.

Wszyscy biegają tam i z powrotem, zderzając się ze sobą. Destabilizacja. Kto jest podejrzany, a kto nie? Ta dziwka spowodowała, że kręcimy się w kółko, a im szybciej biegniemy, tym więcej jest zderzeń, wskutek czego może wyskoczyć przez jakąś szczelinę!

- Słowa, Tyrell. Prezydent wciąż jest ubezpieczony.

- Według ciebie. Nie wiemy, kogo jeszcze wykorzystuje.

- Szczegółowo prześwietlamy wszystkich znajdujących się na twojej liście.

- Załóżmy, że to ktoś spoza listy?

- Co ci mogę odpowiedzieć? Nie jestem czarodziejem.

- Chwilami sądzę, że Bajaratt jest...

- W niczym nam to nie pomoże, jedynie potwierdza najgorsze pogłoski na jej temat.

- Jest tutaj grupa bardzo wysoko postawionych osób, które mają wobec niej zobowiązania... lub osób ją wspierających.

-

Logiczny wniosek. Czy mógłbyś wyświadczyć nam uprzejmość i zidentyfikować ją?

- Zrobię, co w mojej mocy, komandorze, ponieważ sprawa toczy się już między nią a mną. Chcę dopaść tę Krwawą Dziewczynkę i zabić. - Hawthorne rzucił słuchawkę.

Ale chciał wytropić nie tylko Bajaratt, lecz także wcielony fałsz, który nazywał się Dominique i zranił go tak, jak żadna istota ludzka nie powinna ranić drugiej. Brać miłość i ją wyszydzać, wymieniać najskrytsze tajemnice oszukiwanego na kłamstwa - tak długo, z takim oddaniem, tak przewrotnie! Jak często zabójca śmiał się z głupca, który szczerze wierzył, że znalazł prawdziwą miłość?

Zabójca.

Zapomniała o czymś. On też był zabójcą.

ROZDZIAŁ 23

Patrick O'Ryan siedział przy biurku, pragnąc jak cholera, żeby lato wreszcie się skończyło i szczeniaki zaczęły chodzić do szkoły daleko, dzięki Dobroczyńcom. Nie oznaczało to bynajmniej, że nie lubił dzieci, zwłaszcza gdy zapewniały żonie zajęcie i oboje mieli mniej czasu na kłótnie. Nie można też powiedzieć, że nie kochał żony - na swój sposób darzył ją uczuciem, ale ich drogi zbyt się już rozeszły. Doskonale rozumiał, że przede wszystkim z jego powodu. Przeciętny facet mógł wrócić do domu i wściekać się na robotę albo szefa, albo na za małe zarobki. On jednak nie mógł narzekać. Szczególnie w kwestii pieniędzy, od kiedy w jego życiu pojawili się Dobroczyńcy.

Patrick Timothy O'Ryan pochodził z dużej irlandzkiej rodziny mieszkającej w dzielnicy Queens w Nowym Jorku. Dzięki siostrze zakonnej i kilku księżom z parafialnego systemu oświaty zrezygnował ze wstąpienia do akademii policyjnej, do której wcześniej uczęszczali jego trzej starsi bracia, podobnie jak ich ojciec, dziadek i pradziadek. Stwierdzono, że niezwykła inteligencja Patricka znacznie przekracza przeciętność, i zachęcono go do starania się o stypendium Fordham University. Było z góry przesądzone, że je otrzyma. Potem, kiedy już wywarł odpowiednie wrażenie na profesorach w Fordham, przyznano mu następane, aby mógł zrobić magisterium na Wydziale Służby Zagranicznej w Syracuse University, jednym z podstawowych miejsc rekrutacji do Centralnej Agencji

Wywiadowczej.

Wstąpił do „firmy” trzy tygodnie po uzyskaniu dyplomu.

W ciągu miesiąca kilku przełożonych zwróciło mu uwagę, że istnieją pewne zasady ubierania się, których powinien przestrzegać.

Wymięte spodnie ze sztucznego włókna, pomarańczowy krawat do niebieskiej koszuli i nie dopasowana marynarka z domu towarowego

Macy's absolutnie się nie nadają. Robił wszystko, co możliwe, aby sprostać wymaganiom, a pomagała mu w tym jego świeżo poślubiona żona, włoska dziewczyna z Bronxu. Co prawda uważała wygląd męża za wspianiały, ale mimo to wycinała z gazet reklamy pokazujące, jak powinien się ubierać prawdziwy mężczyzna z Waszyngtonu.

Lata mijały i jak przewidywały siostry zakonne i księża, wyższe kierownictwo Agencji zaczęło rozumieć, jaki niezwykły umysł ma do dyspozycji w osobie Patricka O'Ryan. Nie był człowiekiem, którego można było wysłać w celu składania zeznań na Kapitolu.

Jego sposób ubierania uległ wprawdzie niewielkiej poprawie, ale w dalszym ciągu wypowiedzi miał ostre, niemal brutalne, nieuprzejme i usiane wulgaryzmami. Lecz analizy przypominały jego samego - były lakoniczne, suche i wnikały w istotę rzeczy, bez żadnego owijania w bawełnę i asekuranctwa. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku przewidział rozpad Związku Radzieckiego w ciągu trzech najbliższych lat. Tę nieprawdopodobną tezę głęboko pogrzebano, a O'Ryanę wezwano do biura zastępcy, nakazując mu, aby „przestał pieprzyć te cholerne głupoty”. Nazajutrz jednak został awansowany i dostał podwyżkę, jakby chciano mu w ten sposób uświadomić podstawową zasadę, że dobrzy chłopcy są nagradzani.

W ciągu ośmiu pierwszych lat swojego małżeństwa O'Ryanowie dorobili się pięciorga dzieci, co dla młodszego funkcjonariusza

CIA stwarzało niezmiernie napiętą sytuację finansową. Ale Patrick

Timothy akceptował taki stan rzeczy, ponieważ stanowisko w Agencji umożliwiło mu zaciąganie względnie tanich pożyczek bankowych. O'Ryan nie mógł się jednak pogodzić z faktem, że choć wyniki jego pracy często znajdowały się w centrum uwagi, nic z tego splendoru nie spływało na niego. Jego słowa powtarzali na przesłuchaniach w Kongresie zapięci na ostatni guzik ważniacy, którzy mówili tak, jakby urodzili się w Anglii, a także dobrani senatorzy, kongresmani i przedstawiciele rządu w mających największą oglądalność programach telewizyjnych.

Dostawał odcisków na tyłku, ślęcząc nad analizami, ale zasługi przypisywano wszystkim, tylko nie jemu. Miał już tego serdecznie dosyć, a do białej gorączki doprowadził go fakt, że gdy po dwóch tygodniach oczekiwania złożył zażalenie bezpośrednio do dyrektora Agencji, odprawiono go krótko i dosadnie:

- Ty rób swoje, a my swoje. Wiemy, co jest najlepsze dla

Agencji, ty zaś nie.

Pieprzenie w bambus!

Aż przed piętnastu laty, któregoś niedzielnego poranka, w jego domu w Vienna w Wirginii pojawił się pewien lalusz. Przedstawił się jako pan Neptun i przyniósł ze sobą teczkę wypełnioną wieloma wykonanymi przez O'Ryanę supertajnymi opracowaniami analitycznymi.

- Skąd wykopał pan to gówno? - zapytał Patrick Timothy, siedząc w kuchni sam na sam z przybyszem.

- To nasza sprawa. Pańska natomiast sprawa i troska jest dosyć oczywista. Jak daleko może pan zejść w Langley, co? No, może pan dobrnąć do G-12, ale to tylko pieniądze i

właściwie niezbyt duże. Inni natomiast, którzy korzystają z dostarczonych przez pana materiałów, mogą pisać książki, zarabiać na nich setki tysięcy i uchodzić za ekspertów, choć opierają się na pańskich ekspertyzach...

- Do czego pan zmierza?

- Zaczniemy od tego, że jest pan zadłużony na łączną sumę trzydziestu trzech tysięcy dolarów w jednym banku w Waszyngtonie i dwóch w Wirginii - w Arlington i McLean...

- Skąd, u diabła...

- Wiem, wiem - przerwał mu Neptun. - Informacje są poufne, co bynajmniej nie znaczy, że trudniejsze do zdobycia. Poza tym ma pan dość poważne obciążenia hipoteczne, a szkoła parafialna podniosła chesne... Nie zazdroszczę panu tej sytuacji, panie

O'Ryan.

- Ja też nie, do jasnej cholery! Czy uważa pan, że powinienem złożyć dymisję i napisać swoją książkę?

- Nie może pan tego zrobić w legalny sposób. Podpisał pan stosowny dokument... A w każdym razie nie ominie pan cenzury

CIA. Jeżeli napisze pan trzysta stron, po ich interwencji najprawdopodobniej pozostanie nie więcej niż pięćdziesiąt... Jest jednak wyjście, które wyeliminuje pańskie trudności finansowe i pozwoli na zdecydowane podniesienie stopy życiowej.

- Jakie?

- Nasza organizacja, choć bardzo mała, jest bardzo dobrze finansowana i ma w swoim założeniu jedynie interesy kraju. Musi mi pan uwierzyć, ponieważ osobiście za to ręczę. W tej oto kopercie znajduje się czek na dwieście tysięcy dolarów, wystawiony na pana przez Irlandzki Bank w Dublinie. Jego zabezpieczenie stanowi majątek pańskiego wuja w drugim pokoleniu, Seana Cafferty

O'Ryana z hrabstwa Kilgallen, który zmarł dwa miesiące temu, pozostawiając dosyć dziwny, ale całkowicie prawomocny testament.

Jest pan jedynym uznanym przez niego żyjącym krewnym.

- Nie przypominam sobie wuja o tym imieniu.

- Na pana miejscu, panie O'Ryan, nie zaprzętałbym sobie głowy analizami genealogicznymi. Potwierdzony czek jest w kopercie. Wuj hodował z dużym powodzeniem konie pełnej krwi i tylko ten fakt musi pan pamiętać.

- I co teraz?

- Oto pański czek. - Neptun sięgnął do teczki i wyjął kopertę. - Czy możemy obecnie przedyskutować sprawę naszej organizacji i jej dobroczynne założenia dotyczące naszego narodu?

- Czemu nie? - odpowiedział Patrick Timothy O'Ryan, przyjmując kopertę.

Wszystko to działo się piętnaście lat temu i doprawdy w następnych latach życie potoczyło się jak z płatka. Co miesiąc Irlandzki

Bank w Dublinie przesyłał mu informację o przelewie, dokonany na jego nazwisko do Banque Credit Suisse w Genewie. W ten sposób O'Ryanowie stali się bogaci, a legenda o wujku-hodowcy koni przerodziła się w prawdę, choćby tylko dzięki ciągłemu jej powtarzaniu. Młodsze szczeniaki poszły do ekskluzywnej szkoły z internatem, starsze - na równie ekskluzywne uniwersytety, natomiast jego żona dostała kompletnego hopla na punkcie domów towarowych i agencji handlu nieruchomościami. Przenieśli się do większego domu w Woodbridge i zakupili elegancki letni dom na

Chesapeake Beach.

Życie stało się doskonałe, naprawdę świetne, i coraz mniej irytowało Patricka, kiedy innych chwalono za wykonywaną przezeń pracę, bo w gruncie rzeczy obchodziła go sama praca. Tolerancja ta jednak całkowicie zanikała, kiedy jakiś nadęty błazen pojawiał się na przesłuchaniach -Kongresu lub w porannej audycji telewizyjnej i robiąc mądrą minę, przedstawiał któryś z wypracowanych przez niego w pocie czoła wniosków jako swój własny.

A Dobroczyńcy? Po prostu przekazywał im wszystkie informacje wywiadowcze, jakich sobie życzyli, od zwykłych po ściśle poufne i te z najwyższą klauzulą tajności. Zawsze, oczywiście, przez

Skorpioną Jeden albo padrone. Matko Boska, niektóre z tych materiałów były tak trefne, że nawet Ovalny Gabinet nie miał o nich pojęcia. Nie mówiąc już o facetach z Senatu i Izby

Reprezentantów, którzy najczęściej byli albo politycznymi szaleńcami, albo zwykłymi durniami, albo po prostu nieodpowiedzialni...

W każdym razie Dobroczyńców za takich nie uważał. Kimkolwiek byli, motywy działania z całą pewnością nie kwalifikowały ich do zaliczenia w poczet świętych. O'Ryan dawno już ustalił, że podstawowe zainteresowania Dobroczyńców wiązały się z zagadnieniami gospodarczymi. Nie mogli być komunistami i na pewno mieli wszelkie powody, aby chronić kraj, który pozwalał im na gromadzenie tak ogromnych zysków. Zapewne było to bardziej skuteczne działanie niż pozostawianie wszystkiego w rękach

polityków, zaprzysięgłych kumpli rozmaitych karteli, o kręgosłupie, który natychmiast zgiął się na każde pierdnięcie hojnego ofiarodawcy.

A że Dobroczyńcy zarabiali przy tym parę dolców dzięki otrzymanym wcześniej informacjom - to cóż z tego... W końcu musiało im zależeć, aby kura znosząca dla nich złote jaja pozostawała ciągle zdrowym ptakiem... Był jeszcze jeden aspekt, o którym analityk z Queens w Nowym Jorku nigdy nie zapomniał.

Pewnego popołudnia w Langley, dwanaście lat temu i trzy lata po tym, gdy został milczącym Skorpionem Dwa, wychodził właśnie z grupą innych analityków z rutynowej konferencji, kiedy na korytarzu pojawił się wysoki, dobrze - a właściwie elegancko ubrany mężczyzna i skierował się prosto do drzwi gabinetu dyrektora

Agencji. Jezus, Maria - to był Neptun! O'Ryan bez namysłu podszedł do niego.

- Hej, pamięta mnie pan...?

- Najmocniej przepraszam - odparł cicho, chłodnym tonem mężczyzna. Jego oczy przypominały bryłki lodu. - Mam umówione spotkanie z dyrektorem i jeżeli jeszcze raz zbliży się pan do mnie w publicznym miejscu, pańska rodzina zostanie bez grosza, a pan umrze.

Takiego powitania raczej się nie zapomina.

Ale teraz, właśnie dzisiaj, dzisiaj w nocy, pomyślał O'Ryan, patrząc na wodę z tarasu swojego domu w Chesapeake Beach, coś się strasznie popsuło u Dobroczyńców. Nieodżałowany Davey

Ingersol miał rację - cała ta sprawa Bajaratt była szaleństwem.

Jakaś grupa, jakaś siatka zdobyła możliwość kierowania procesami decyzyjnymi - miała dosyć władzy, aby tam przeniknąć. Czy był to jeden pomyłony, umierający starzec na wysadzonej w powietrze wyspie na Karaibach, którego rozkazy wciąż należało wykonywać?

Odpowiedź na dobrą sprawę nie miała znaczenia. Trzeba było znaleźć rozwiązanie, które pozwoliłoby utrzymać status quo, nie narażając Skorpionów na niebezpieczeństwo. Dlatego też sześć godzin temu zrozumiał, że musi zostać Skorpionem Jeden, z wszelkimi wynikającymi z tego faktu przywilejami i obowiązkami.

W podjęciu decyzji dopomogły mu słowa Ingersola: „Żąda, żeby mnie zabito, żeby zabito Davida Ingersola!”

Niech więc tak się stanie. Skorpionom nic nie może zagrozić.

Gdzieś, kiedyś otrzyma wiadomość i unikatowe wyjaśnienie prawdę. A teraz, właśnie teraz, musi wykorzystać swoje słynne umiejętności analityczne - musi myśleć i pokonać w tym pojedynku nie tylko Bajaratt i tych, którzy za nią stoją, ale również rząd

Stanów Zjednoczonych. Skorpionom nic nie może zagrozić.

Na plaży rozległ się śmiech. Szczeniaki, ich przyjaciele i jego żona stali wokół rozpalonego ogniska. Odbywało się wieczorne pieczenie małży na brzegach Chesapeake. Chryste przenajświętszy, cóż za wspaniałe życie...! Nie, Skorpionom nic nie może zagrozić, nic nie może się zmienić.

Zabrzączał cicho telefon. Aparat miał przygłuszony dzwonek i wszyscy w domu wiedzieli, że słuchawkę może podnieść tylko on.

Cała rodzina nazywała go „szpiegowskim telefonem” i dzieci często żartowały z tego skromnego szarego aparatu stojącego w maleńkim gabinecie ojca. O’Ryan przyjmował te kpiny z dobrodusznym uśmiechem, wiedząc, że podtrzymuje w ten sposób przypuszczenie, iż to telefon do rozmów z Langley. Niekiedy nawet wymyślał melodramatyczne bzdury, których młodsze dzieci wysłuchiwały z otwartymi ustami, dopóki jeden ze starszych chłopców nie psuł całego efektu mówiąc: - Chcieli, żeby ojciec przyniósł pizzę, prawda zero-zero?

Były to żarty, może idiotyczne, ale konieczne. Szary telefon nie miał nic wspólnego z Agencją. Patrick Timothy wstał z fotela plażowego i przeszedł przez niewielki salonik do swojego gabinetu.

Podniósł słuchawkę, przycisnął odpowiednie klawisze z cyframi i zapytał cicho:

- Kto mówi?

- A kim pan jest? - Kobięcy głos w słuchawce miał obcą wymowę. - Nie jest pan tym samym człowiekiem.

- Chwilowy zastępca, nic szczególnego.

- Nie lubię zmian.

O’Ryan pomyślał szybko.

- On również wolałby zachować woreczek żółciowy i co z tego? Nawet nam się zdarza zachorować. Jeżeli pani myśli, że mam zamiar podać jego nazwisko i adres szpitala, to jest pani w błędzie. Pani życzenie zostało spełnione - Ingersol nie żyje.

- Tak, tak, przyznaję i gratuluję sprawności działania.

- Staramy się spełniać polecenia... Padrone życzył sobie, aby iść pani na rękę, o ile to tylko będzie możliwe, i mam wrażenie, że robię, co w mojej mocy.

- Jest jeszcze jeden człowiek, którego należy zlikwidować oznajmiła Bajaratt.

Głos O’Ryana stał się nagle lodowaty.

- Zabójstwa nie są dla nas interesem. Zbyt niebezpieczne powiedział.

- To konieczne - szepnęła z naciskiem Amaya Bajaratt. Żądam tego!

- Padrone nie żyje, więc może należałoby nieco, ograniczyć żądania.

- Nigdy. Wyślę grupy z Bekaa, aby znalazły pana za pośrednictwem naszych kanałów w Atenach, Palermo i Paryżu! Niech pan ze mną nie żartuje, signore!

Analitik był ostrożny, doskonale zdawał sobie sprawę z mentalności terrorystów, ich skłonności do gwałtownego, nieobliczalnego działania.

- Dobrze, dobrze, proszę się uspokoić. Czego pani chce?

- Zna pan człowieka o nazwisku Hawthorne, byłego oficera marynarki?

- Wiemy o nim wszystko. Został zwerbowany przez MI-6 w związku ze swoimi karaibskimi kontaktami. Według ostatnich informacji przebywa na Porto Rico, tkwi w San Juan.

- Jest tutaj, widziałam go!

- Gdzie?

- Motel o nazwie „Shenandoah Lodge” w Wirginii...

- Znam - przerwał jej O'Ryan. - Śledził panią?

- Zabijcie go. Niech pan wyśle animales!

- Załatwione - odparł O'Ryan, myśląc, że obiecywać można wszystko. - Niech go pani uważa za trupa.

- A teraz w sprawie paczki...

- Jakiej paczki?

- Leżący w szpitalu Scorpione Uno powiedział, że jego poprzednik pozostawił dla mnie paczkę. Wyślę po nią chłopca. Dokąd?

O'Ryan odsunął słuchawkę od ucha i zaczął się szybko zastanawiać. Co, u diabła, Ingersol zrobił? Jaka paczka? Ale „chłopcem” warto się zająć. Bez względu na to, jakie miał zadanie, w jaki sposób pasował do planów Bajaratt, można go również wyeliminować.

- Niech mu pani powie, żeby pojechał szosą numer cztery do skrzyżowania z dwieście sześćdziesiątą, a potem skierował się do miejscowości Chesapeake Beach. Wzdłuż całej trasy są drogowaskazy.

Gdy tam dotrze, niech do mnie zadzwoni z przydrożnej jadłodajni, z telefonu na zewnątrz. Spotkam się z nim dziesięć minut później na skałach przy molo, na pierwszej publicznej plaży.

- Doskonale, zapiszę mu wszystko... Wierzę, że nie otworzył pan paczki.

- Oczywiście, to nie moja sprawa.

- Bene.

- Też tak myślę. I proszę nie zaprzętać sobie głowy Hawthorne'em. Jest finito.

- Pański włoski jest coraz lepszy, signore.

Nicolo Montavi stał w padającym deszczu na skałach przy molo, obserwując znikające tylne światła taksówki, która przywiozła go na to pustynne miejsce. Taksówkarza właściwie zmusił do spełnienia życzenia młodego człowieka surowy portier hotelowy.

W razie sprzeciwu nie miałby najmniejszych szans na jakiegokolwiek dalsze zlecenia. Nico wierzył, że pomocnik Cabrini znajdzie sposób, aby odwieźć go do hotelu. Mrok był już całkowity i chłopak z doków w Portici uważnie obserwował postać, która wyłoniła się z mokrej szaroczarnej nocy. Im bardziej mężczyzna się zbliżał, tym większy niepokój ogarniał Nicola, ponieważ nadchodzący nie miał ze sobą żadnej paczki. Szedł nienaturalnie wolno, jak na kogoś, kto idzie w nocy, w ulewnym deszczu na spotkanie, a ręce trzymał w kieszeniach płaszcza przeciwdeszczowego. Postać wspinała się po nierównych skałach sztucznego muru ochronnego. W pewnym momencie mężczyzna poślizgnął się i wyciągnął obie ręce z kieszeni, aby powstrzymać upadek.

W prawej dłoni miał pistolet!

Nicolo odwrócił się gwałtownie i rzucił ze skał w ciemną wodę w tej samej chwili, gdy noc i deszcz rozerwały wystrzały. Pocisk otarł się o lewe ramię chłopca, drugi przeleciał tuż nad jego głową.

Nico płynął pod wodą tak długo, jak mógł, dziękując w duchu dokom w Portici za tę nabytą tam umiejętność. Wynurzył się w odległości niecałych trzydziestu metrów od plaży i odwrócił się, spoglądając na skalną barierę. Jego niedoszły morderca trzymał w ręku latarkę i przesuwając jej promieniem po wodzie tam i z powrotem, szedł wolno na koniec mola, najwyraźniej przekonany, że zabójstwo mu się udało. Chłopak płynął powoli w stronę kamiennego muru. Unosząc ręce w ciemności, zdjął koszulę i wyżył ją najlepiej jak potrafił. Teraz, zanim zatonie, może przez minutę lub dwie unosić się na wodzie. To powinno wystarczyć, jeżeli zdoła odpowiednio ją umieścić. Płynął kraulem wzdłuż mola, podczas gdy mężczyzna znowu skierował się ku plaży. Pozostała jeszcze chwila...

Już! Wyrzucił koszulę przed siebie, w kierunku przesuwającego się po wodzie promienia latarki.

Odgłos strzałów przypominał grzmot. Z materiału tonącej koszuli trysnęły spowodowane pociskami fontanny wody. Aż wreszcie

Nicolo usłyszał dźwięk, na który czekał - powtarzające się trzaski iglicy w pustej komorze naboju.

Wyskoczył do góry, rzucił się do przodu i podrapanymi o ostre skały, krwawiącymi rękami schwycił za kostki oszołomionego człowieka z pustym pistoletem w dłoni. Krępy mężczyzna ryknął wściekle, ale nie mógł sprostać szczupłemu, silnemu pływakowi.

Młody Włoch wskoczył na molo, z całej siły uderzył go pięściami najpierw w brzuch, a potem w twarz i wreszcie złapał za gardło i rzucił na skały. Zwłoki leżały nieruchomo, z roztrzaskaną głową i szeroko otwartymi oczyma, a potem, w ciągle padającym deszczu, martwe ciało ześlizgnęło się na głębszą wodę.

Nicolo poczuł, że ogarnia go paralizujący lęk. Pomimo zimnego deszczu i przemoczonego ubrania, a raczej tego, co z niego zostało, twarz i kark chłopaka pokryły się kroplami potu. Co zrobił? To co musiał. Zabił człowieka, bo ten człowiek chciał zabić jego! Był jednak cudzoziemcem w obcym kraju, gdzie skazywano na śmierć za zabójstwo, wierząc, że sąd ludzki zastąpi wyroki boskie. Ludzie uznali, że ci, którzy odbierają życie innym, sami też powinni umrzeć.

Co powinien teraz zrobić? Nie tylko miał przemoczone spodnie, ale również jego nagi tors był podrapany i krwawił. Miał też, choć niezbyt głęboką, ranę ramienia. Wprawdzie o wiele bardziej kaleczyły go niegdyś stare kamienie i kotwice, gdy nurkował dla badających ocean naukowców, ale nie było to wytłumaczenie, które mógłby zaproponować amerykańskiej policji. Pewnie by powiedzieli, że to nie pertinente. Zabił Amerykanina, być może jest nawet capo-subalterno znieawidzonej mafii sycylijskiej. Matko Boska, przecież nigdy nawet nie był na Sycylii!

Nicolo rozumiał, że powinien wziąć się w garść. Musi myśleć, a nie tracić czas na bezużyteczne wyobrażanie sobie różnych wariantów rozwoju sytuacji. Przede wszystkim należy porozumieć się z Cabrini - tą dziwką Cabrini! Czyżby wysłała go, aby zginął za „paczkę”, której wcale nie było...? Nie, za dużą rolę odgrywał w planach tej wielkiej „hrabiny”; barone-cadetto był dla niej zbyt ważny. To raczej signora sahatora puttana zaczęła mieć jakieś kłopoty. Człowiek, któremu zaufała, chciał ją zniszczyć, zabijając niejakiego Nicola Montaviego, chłopaka z doków w Portici.

Chłostany ulewą zaczął biec po śliskim molo. Później doszedł do wniosku, że szybciej i bezpieczniej dotrze na miejsce po płytkiej wodzie. Zeskoczył w dół i pobiegł w stronę plaży, a potem przez piasek do parkingu. Znajdował się na nim tylko jeden samochód, który niewątpliwie należał do jego niedoszłego zabójcy. Zastanawiał się, czy będzie mógł wyciągnąć przewody rozrusznika, spiąć je na krótko i zapuścić silnik, jak robił to już wielokrotnie z innymi samochodami.

Nic z tego. Wóz był drogą macchina da corsa, sportowym pojazdem dla bogaczy, którzy doskonale zabezpieczali swoją własność. W Neapolu i Portici nikt takich nie ruszał, bo gdyby nawet udało się otworzyć maskę, alarm byłoby słychać w promieniu trzystu metrów, akumulator by się wyłączył, a kierownica zablokowała.

Przydrożna restauracja z oszkloną budką telefoniczną! Miał w kieszeni monety, rzucone mu przez wściekłego taksówkarza, który jednak później, kiedy Nico wręczył mu dwudziestodolarową mancia, tłumacząc, że to bardzo ważna podróż, przeprosił go uprzejmie. W ciągle padającym deszczu ruszył poboczem, wbiegając między drzewa za każdym razem, kiedy dostrzegł światła nadjeżdżającego samochodu.

Trzydzieści pięć minut później dotarł do restauracji, nad którą płonął czerwony napis „Rooster's Nest”. Przykucnął w cieniu za węglem budynku, gdy tymczasem samochody osobowe i ciężarówki przyjeżdżały i odjeżdżały, ale tylko kilka z nich zatrzymało się przed budką telefoniczną. Taki telefon na zewnątrz kawiarni czy restauracji był we Włoszech czymś popularnym; wygodą, która bardzo często skłaniała dzwoniących, aby przy okazji coś zjedli lub napili się wina... Nagle rozgniewana kobieta w budce wrzasnęła tak głośno, że jej głos przedarł się nawet przez szum ulewy, a potem uderzyła słuchawką w składane szklane drzwi i je rozbiła. Następnie niepewnym krokiem wyszła na zewnątrz i zwymiotowała w krzakach otaczających parking. Kilkoro przybyszów biegało wokół niej w ciągle padającym deszczu i Nicolo zrozumiał, że nadeszła jego pora. Światło w budce ciągle się paliło, a w jego blasku groźnie połyskiwało roztrzaskane szkło. Przebiegł przez trotuar, ściskając w ręce monety.

- Informazione! Proszę informację! Jaki jest numer hotelu

„Carillon” w Waszyngtonie? - Telefonistka dyktowała cyfry, a on wydrapywał je kantem następnej monety na półeczce pod aparatem.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, przed budką zatrzymała się wielka ciężarówka. Krępy kierowca o gęstej, niechlujnej brodzie popatrzył na nagi i zakrwawiony tors Nicola, mrużąc głęboko osadzone oczy, i wrzasnął:

- Coś za jeden, do kurwy nędzy, speedol

Muskularny, wysoki chłopak zachował się tak, jak dyktował mu instynkt. Wyskoczył przez rozbite drzwi i zawołał:

- Zostałem postrzelony, signor! Jestem Włochem, a tutaj, wszędzie dokoła są mafiosi. Czy może mi pan pomóc?

- Pieprz się sam, makaroniarzu! - Ciężarówka ruszyła ostro i Nicolo mógł przeprowadzić rozmowę telefoniczną.

Co zrobiłeś? - spytała ostro Bajaratt.

- Niech pani nie okazuje mi gniewu, signora! - odparł z furią chłopak przez telefon z Chesapeake Beach. - Ten straszny człowiek przyszedł mnie zabić, a nie oddać paczkę!

- Nie mogę w to uwierzyć!

- Nie słyszała pani strzałów ani nie ma, tak jak ja, niemal odstrzelonego ramienia, które jest opuchnięte i wciąż krwawi.

- traditore! Bastardo! Coś się stało, Nico, coś bardzo złego, okropnego. Ten człowiek miał nie tylko swoim życiem zagwarantować twoje bezpieczeństwo, ale również wręczyć ci dla mnie paczkę.

- Nie było żadnej paczki. Nie może mi pani wmówić, że to część naszej umowy! Nie umrę za panią, za żadne pieniądze w Napoli!

- Nigdy, mój chłopcze-mężczyzno, nigdy. Jesteś moją młodą miłością, czyż ci tego nie udowodniłam?

- Widziałem, jak zabiłaś dwóch ludzi, pokojówkę i kierowcę...

- Wytłumaczyłam ci wszystko. Wolałbyś, żeby nas zabili?

- Uciekamy z miejsca na miejsce...

- Podobnie jak w Neapolu, w Portici... Aby ocalić .ci życie.

- Zbyt wielu rzeczy nie mogę zrozumieć, signora Cabrini! Być może dziś w nocy to był już ostatni raz!

- Nie możesz tak myśleć, nigdy tak nie myśl! Stawka jest zbyt wysoka! Pozostań tam, gdzie jesteś, a ja po ciebie przyjadę... Gdzie jesteś?

- Przy restauracji, która nazywa się „Rooster's Nest”, w tej miejscowości Cheez-a-peake Beach - powiedział przesadnie wyraźnie.

- Pozostań tam, przyjadę najszybciej, jak będę mogła. Pamiętaj o Neapolu, Nicolo. Myśl o swojej przyszłości. Czekaj na mnie!

Baj rzuciła słuchawkę. Była wściekła, wstrząśnięta, niezdecydowana, co robić dalej. Skorpiony umrą, wszyscy, lecz komu ma wydać polecenie? Padrone nie żyje, van Nostrand jest nieosiągalny gdzieś w Europie, człowieka, który podawał się za Skorpiona Dwa, zabił Nicolo na odległej plaży, a nieznany Scorpio Dwa leży w szpitalu, ona zaś nawet nie wie, jak brzmi jego nazwisko.

Prymitywny włoski chłopak ma rację - wszystko było szaleństwem.

Ale do kogo się teraz zwrócić? Siatka doliny Bekaa sięgała wszędzie, obejmowała całą kulę ziemską, ona jednak zaufała kontaktom padrone w Ameryce, Skorpionom. O Boże, czyżby ich przywódcy zwrócili się przeciwko niej, a jej jedyny nadzwyczajny kontakt stał się straszliwym zagrożeniem?

Nie można do tego dopuścić! Przecież jej czyn miał się stać ostatecznym wyrazem jej pełnego bólu życia. Jedynym powodem, który pozwolił przetrwać cierpienie z Pirenejów. Muerte a toda autoridad! Nie mogli jej powstrzymać ludzie w ciemnych garniturach,

właściciele wielkich posiadłości i takichże limuzyn przewożących ich z jednego miejsca władzy do drugiego jak rydwany niosących śmierć faraonów w starożytnym Egipcie. Nie można do tego dopuścić! Cóż oni wiedzą o przyziemnej brutalności, o koszmarze, jakim jest zmuszanie do patrzenia, jak władza ścina głowy matkom i ojcom...? Podobnie było w wielu innych miejscach: całe wioski baskijskie puszczane z dymem tylko dlatego, że ich mieszkańcy chcieli czegoś własnego; lud jej ukochanego męża mordowany, domy niszczone spychaczami, a ziemia kradziona przez ludzi, których uzbroiły potęgi tego świata; potęgi winne temu, że nie zdołały powstrzymać morderców Żydów; morderców, z którymi rodacy jej męża nie mieli nic wspólnego! Gdzież jest sprawiedliwość, gdzie humanitaryzm...? Władzom, bez względu na to, gdzie istnieją, należy dać nauczkę. Trzeba zadać im ból, udowodnić, że są równie bezbronni jak ci, których zniszczyły swoimi fałszywymi programami.

Bajaratt podniosła słuchawkę i wybrała numer podany jej przez

Nilsa van Nostranda. Nie było odpowiedzi. Przypomniała sobie rozmowę z padrone:

- „Wszystkie moje środki łączności mają urządzenia przypominające rozruszniki serca, które informują posiadaczy, że muszą natychmiast odpowiedzieć na wezwanie, bez względu na to, w jakiej sytuacji się znajdują. A jeżeli sytuacja przez dłuższy czas nie pozwala im nawiązać łączności, automatycznie uruchamia się kolejny numer. Odczekaj dwadzieścia minut, a potem spróbuj znowu.

- Ale co robić, jeśli wciąż nie będzie odpowiedzi, mój jedyny ojciec?

- Nie ufaj nikomu. W obecnych czasach nadzwyczajnej techniki elektroniczne kody zawsze można złamać. Postępuj ostrożnie, moje dziecko, zakładaj najgorsze i opuść miejsce, w którym przebywasz.

- I co dalej?

- Trzeba działać na własną rękę, moja jedyna córko. I wykorzystywać innych”.

Amaya odczekała dwadzieścia minut i zadzwoniła jeszcze raz.

Nic. Tak jak radził jej padrone, przyjęła najgorszy wariant. Skorpion

Dwa usiłował zabić Nicola i sam zginął.

Dlaczego?

O czwartej trzydzieści sześć rano ostry dzwonek telefonu wwiercił się w uszy Hawthorne'a, dzielącego pokój z Poole'em w „Shenandoah Lodge”.

- Odbierzesz, Tye? - zapytał bardziej rozbudzony porucznik.

- Odbieram, Jackson - Tyrell niezgrabnie zdjął słuchawkę i przyłożył ją do ucha. - Słucham? - zapytał.

- Czy to komandor podporucznik Hawthorne?

- Tak, były komandor podporucznik. Z kim mówię?

- Tu kapitan Allen, John Allen, wywiad marynarki, czasowo zastępujący komandora Stevensa, który udał się na bardzo zasłużony odpoczynek.

- O co chodzi, kapitanie?

- Otrzymałem informację o ograniczonym zakresie, komandorze, ale chciałbym, aby przeprowadził pan szybką analizę aktualnych wydarzeń, które w założeniu mogą mieć wpływ na moją ewentualną decyzję zwrócenia się do komandora Stevensa...

- Na litość boską, niech pan mówi po ludzku...

- Czy zna pan, lub znał kiedykolwiek, albo czy ostatnio kontaktował się pan z analitykiem z Centralnej Agencji Wywiadowczej o nazwisku Patrick Timothy O'Ryan? A może on zwracał się do pana?

Tyrell milczał przez chwilę, zanim odpowiedział cicho:

- Nigdy o nim nie słyszałem. O co chodzi?

- Dowiedziałem się, że mniej więcej godzinę temu łowiący ostrygi rybacy z Chesapeake wydobyli jego ciało zaplątane w sieć.

Uznałem, że powinienem porozumieć się z panem, nim podejmę decyzję o obudzeniu komandora.

- Skąd otrzymał pan tę wiadomość?

- Z Chesapeake C. G., od straży przybrzeżnej.

- Czy powiadomiono miejscową policję?

- Jeszcze nie, proszę pana. Kiedy zdarza się podobna sprawa, taka na przykład jak ta dziesięć czy dwanaście lat temu, kiedy zastrzelono komandora marynarki wojennej pływającego łodzią wiosłową, próbujemy przez jakiś czas zajmować się nią jedynie we własnym zakresie, nic nie zmieniając na miejscu.

- Wystarczy, kapitanie, rozumiem. Proszę zabezpieczyć wszystko do chwili mojego przybycia. Gdzie się pan znajduje?

- W River Bend Marina, około trzech kilometrów na południe od Chesapeake Beach.

Czy powinienem powiadomić komandora Stevensa?

- W żadnym razie, kapitanie. Niech się wyśpi. Przejmiemy sprawę.

- Bardzo panu dziękuję. Mógłby się wściec.

Hawthorne wyskoczył z łóżka, gdy tymczasem Poole, już na nogach i po drugiej stronie pokoju, zapalił światło.

- Ruszamy, Jackson! - rzucił Tyrell. - Mamy przełom, i tym razem prawdziwy.

- Skąd wiesz?

- Powiedziałem, że nie znam zabitego faceta o nazwisku

O'Ryan, i rzeczywiście nie znam go osobiście, ale wiem, że był jednym z najlepszych analityków, jacy kiedykolwiek pracowali w Agencji... Pojawił się w Amsterdamie pięć czy sześć lat temu na jednym z tych cichych kwalifikacyjnych ćwiczeń CIA, usiłując wykryć niedociągnięcia w uzyskiwaniu informacji wojskowych.

Tacy jak ja unikali go jak zadżumionego.

- Skąd więc to olśnienie?

- Był najlepszy, a Bajaratt korzysta tylko z najlepszych - do chwili, kiedy nie są jej już do niczego potrzebni. Wtedy ich usuwa, zabija, żeby zatrzeć każdą łączącą ją z nimi poszlakę.

- Wariactwo, Tyrell. Ty naprawdę posuwasz się...

- Być może, Jackson, ale wierz mi, mam intuicję... O'Ryan musiał być podstawowym przeciekiem. To jedyne, czego mogę się uchwycić.

- Dość przerażająca sprawa, komandorze. Mówisz o naszej wywiadowczej górze.

- Wiem, poruczniku. Obudź Catherine.

W domu na wysadzonej drzewami ulicy zamieszkaną przez wyższe sfery Montgomery County w stanie Maryland, z telefonu stojącego koło łóżka senatora Paula Seebanka wydobywało się delikatne brzęczenie. Aparat był wyciszony, dzięki czemu nie mogła go usłyszeć śpiąca obok żona polityka. Seebank otworzył oczy, wyciągnął rękę i przycisnął guzik ponownego wezwania. Następnie wstał z łóżka i zszedł na dół do gabinetu o ścianach zastawionych regałami pełnymi książek. Jeszcze raz przycisnął guzik ponownego wezwania, wprowadził kod odbioru i usłyszał następujące słowa wypowiedziane beznamietnym, monotonnym głosem z angielskim akcentem:

„Mamy kłopoty ze współpracownikami, w związku z czym nasze połączenia już nie działają. Będziesz odbierał wszystkie rozmowy. Przejmij pełną władzę.”

Senator Paul Seebank, jeden z przywódców czcigodnego grona prawodawców, dygocącymi palcami wcisnął odpowiednie cyfry otwierające mu dostęp do zakonspirowanego personelu Dobroczyńców. Był Skorpionem Cztery, a wszystko wskazywało na to, że odtąd stał się Numerem Jeden.

Siedział nieruchomo w fotelu, błądy jak płótno. Nie potrafiłby nawet przypomnieć sobie sytuacji, w której był bardziej przerażony niż teraz.

ROZDZIAŁ 24

Zaplątane w rybacką sieć ciało było kredowobiałe, sztywne i nabrzmiące, twarz stanowiła opuchniętą, zniekształconą karykaturę.

Na pomoście leżały oświetlone pojedynczą lampą osobiste przedmioty wyjęte z kieszeni denata przez funkcjonariuszy straży przybrzeżnej.

- To wszystko, komandorze - oznajmił John Alenn, oficer wywiadu marynarki. - Poza tym nic nie ruszono, a rzeczy wyjmowano z kieszeni pincetą. Jak pan widzi, pracował w CIA, z najwyższą klauzulą dostępności. Obecny tu lekarz, który wykonywał wstępne oględziny, stwierdził, że według niego śmierć O'Ryana nastąpiła w wyniku obrażeń głowy zadanych twardym przedmiotem lub na skutek zderzenia z wieloma twardymi przedmiotami. Dodał, że sekcja zwłok może wykazać coś więcej, ale osobiście w to wątpi.

- Dobra robota, kapitanie - pochwalił Hawthorne. Poole i Catherine stali przy nim, sparaliżowani obrzydliwym widokiem zwłok. - Zabierzcie ciało i wykonajcie autopsję.

- Czy mogę zadać pytanie? - zapytał Jackson.

- Jestem zaskoczony, że tak długo byłeś cicho - odparł

Tyrell. - O co chodzi?

- No cóż, jestem tylko chłopakiem ze wsi...

- Przestań pieprzyć - przerwała mu cicho Cathy, odrywając spojrzenie od opuchniętych zwłok. - Pytaj.

- W Luizjanie mamy odnogi odchodzące od Pontchartrain we wszystkie strony, nazywamy je cofkami. Czy tutaj Chesapeake płynie normalnie, z północy na południe?

- Chyba tak - odparł Allen.

- Jasne, że tak - wtrącił się brodaty rybak, który przysłuchiwał się rozmowie, wyplątując ciało z sieci. - A jak, u diabła, może być inaczej?

- No cóż, na przykład rzeka Nil, proszę pana, zachowuje się nietypowo. Płynie...

- Przestań - przerwał mu Hawthorne. - Jakie miałeś pytanie?

- Otóż zakładając, że Chesapeake płynie z północy na południe, a rzecz dotyczy twardych przedmiotów, chciałbym zapytać, czy tam, na północy, są jakieś progi spiętrzające?

- O co ci chodzi, Jackson? - zapytała Cathy i popatrzyła na niego, wyraźnie uświadamiając sobie, że jej podwładny nie zadaje głupiego pytania.

- Proszę spojrzeć, majorze...

- Wolałabym nie, poruczniku.

- O co chodzi, Poole?

- Głowa tego człowieka nosi liczne ślady obrażeń - otarcia, stłuczenia i tak dalej. Nie był to jeden twardy przedmiot, ale cała ich kupa. Tego faceta poobtłukiwało ze wszystkich stron. A więc, czy są tam jakieś progi?

- Spiętrzenia - odparł brodaty rybak. Trzymał w ręku sieć i wpatrywał się w Poole'a. - W górę i w dół Chesapeake, żeby bogaci ludzie mogli sobie popływać przed swoimi domami.

- Gdzie jest najbliższe, proszę pana?

- Tam właściwie nie ma żadnej posiadłości, kolego - odparł rybak. - Myślę, że najbardziej pasowałoby molo na północ od

Chesapeake Beach. Dzieciaki często tam przesiadują.

- Teraz przyszła moja kolej, żeby powiedzieć to słowo, Tye.

Ruszamy.

Bajaratt starała się opanować niecierpliwość.

- Czy nie może pan jechać szybciej? - zapytała szofera wynajętej w hotelu limuzyny.

- Jeżeli spróbuję, proszę pani, zatrzyma nas policja i stracimy więcej czasu.

- W każdym razie proszę się pospieszyć.

- Staram się, jak mogę, proszę pani.

Baj siedziała z tyłu i czuła, że jej umysł niemal eksploduje. Nie mogła stracić Nicola, przecież był jej atutem! Zaplanowała wszystko tak starannie, błyskotliwie, opracowała każdy krok, każdy ruch i szczegół - jedynie dni dzieliły ją od osiągnięcia największego celu jej życia, który miał się stać początkiem ogólnoświatowego chaosu.

Muerte para todos autoridad!

Musi być łagodna, pełna troski, przekonująca. Gdy chłopak wprowadzi ją do Białego Domu, do gabinetu samego prezydenta, a potem umożliwi jej wyjście stamtąd, będzie mogła zlikwidować barone-cadetto, kiedy tylko zechce. Absolutnie nie wolno dopuścić, aby po ogłoszeniu wiadomości o zabójstwie prezydenta żył dłużej niż kilka minut.

Ale do tej pory będzie niemal histerycznie dbać o dobre samopoczucie Nica, zaklinać się na wszystkich świętych, że winni zapłacą za swoje ohydne zbrodnie, kochać się z młodym Adonisem w sposób, o jakim nigdy nawet nie marzył... Mój Boże, zrobi wszystko! Musi jak najszybciej znowu przeobrazić go w swoją marionetkę. Spotkanie w Gabinetcie Owalnym coraz bardziej się przybliżało. Ta podróż trwa całą wieczność!

- Jesteśmy w Chesapeake Beach, proszę pani, a restauracja jest tam, po lewej - oświadczył szofer w liberii. - Czy mam wejść z panią do środka?

- Proszę wejść samemu - odparła Baj. - Mój przyjaciel przyjdzie do mnie. Czy ma pan jakiś koc? Mogę potrzebować.

- Tuż za panią, między lampkami, leżą dwa koce.

- Dziękuję panu. A teraz proszę iść.

Tak, komandorze Stevens, zrobiłem to, proszę pana - oznajmił zmieszany kapitan Allen przez telefon z samochodu wywiadu marynarki. - Polecenie komandora Hawthorne'a było zupełnie wyraźne. Rozkazał mi, żebym pana nie budził. Słowo daję.

- Nie jest komandorem i nie ma prawa wydawać panu rozkazów! - wrzasnął Stevens do słuchawki stojącego na nocnym stoliku telefonu. - Gdzie on jest, do diabła?

- Wspominali coś o molo w Chesapeake Beach...

- W miejscowości, gdzie mieszkają O'Ryanowie?

- Chyba tak, proszę pana.

- Czy ich powiadomiono?

- W żadnym wypadku, proszę pana. Komandor...

- Nie jest komandorem!

- No cóż, polecił, aby wszystko utrzymać w tajemnicy, a jest to zgodne z naszą polityką w tych sprawach. Zaakceptowaliśmy tę sugestię. Oczywiście, chwilowo.

- Oczywiście - westchnął zrezygnowany Henry Stevens. Natychmiast poinformuję dyrektora Agencji, niech podejmie odpowiednie działania. A pan niech mi znajdzie tego sukinsyna i dopilnuje, aby natychmiast do mnie zadzwonił!

- Przepraszam, proszę pana, ale skoro Hawthorne nie jest oficerem wywiadu, to kim właściwie jest?

- Remanentem, panie Allen. Draniem, o którym najlepiej byłoby zapomnieć.

- Dlaczego więc jest tutaj, komandorze? Dlaczego działa z nami?

Cisza. A w końcu odpowiedź:

- Ponieważ był najlepszy, kapitanie. W końcu to zrozumieliśmy. Niech go pan znajdzie!

W czasie gdy szofer znajdował się w restauracji, krwawiący, nagi do pasa Nicolo podszedł do smaganego deszczem okna limuzyny, Bajaratt otworzyła szeroko drzwi, wciągnęła go na tylne siedzenie, przytuliła mocno do siebie i okryła kocem.

- Proszę przestać, signora! - zawołał. - Posunęła się pani za daleko. Niewiele brakowało, żebym nie żył!

- Nic nie rozumiesz, Nico. Był innym agente segreto, człowiekiem, który przeciwstawiał się nam, to znaczy mnie i woli naszego świętego Kościoła!

- W takim razie, dlaczego wszystko jest takie tajemnicze?

Dlaczego pani, ludzie, którzy są z panią, i nasi księża nic nie mówią o tej jakiejś straszliwej rzeczy, cokolwiek to jest?

- Takich spraw nie załatwia się w podobny sposób, moje cudowne dziecko. Przecież próbowałaś w porcie sam walczyć ze złym człowiekiem i co z tego wynikło? Wszyscy w dokach Portici chcą cię zabić, nawet twoja ukochana rodzina nie może się do ciebie przyznać, ponieważ im również groziłaby śmierć. Czy tego nie dostrzegłeś?

- Wydaje mi się, że mnie pani wykorzystuje, signora, tak samo jak wykorzystuje pani do swoich celów pomysły z udawaniem barone-cadetto.

- Naturalmente! Wybrałam cię, ponieważ swoją wrodzoną inteligencją przewyższasz wszystkich innych. Tłumaczyłam ci już...

- Rzeczywiście. Kiedy nie nazywała mnie pani głupcem i prostakiem.

- Och, to tylko w chwilach zdenerwowania. Co mogę ci powiedzieć...? Uwierz mi, Nico. Później, kiedy mnie już nie będzie, a ty dzięki pieniądzom w Neapolu staniesz się wielkim studioso, spojrzysz wstecz i wszystko zrozumiesz. Będziesz dumny z roli, którą odegrałeś w tej wielkiej sprawie.

- W takim razie, w imię Matki Bożej, niech mi pani powie coś więcej o tej sprawie!

- W szerszym sensie niewiele się ona różni od tego, za co chcieli cię powiesić na nabrzeżu w Portici. Chodzi o zdemaskowanie przekupnych, i to nie tylko na opuszczonym portowym nabrzeżu, ale na całym świecie.

Dygocący pod kocem i szczękający zębami Nico pokręcił głową.

- Znowu bardzo dużo słów, których nie rozumiem.

- Zrozumiesz, kochanie. W swoim czasie... Przecież cię musi boleć. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Tu jest restauracja, prawda? Może napiłbym się wina albo kawy. Jest mi tak zimno.

Baj szarpnęła klamkę, wyskoczyła na zewnątrz i w zacinającym deszczu pobiegła w stronę schodów prowadzących do restauracji.

Kiedy dotarła już do drzwi, nagle na parking zakręciły gwałtownie dwa samochody i z piskiem opon zatrzymały się obok siebie. W tej samej chwili przez szum wiatru i deszczu dobiegły ją głosy.

- Komandorze, musi pan zrobić tak, jak powiedziałem! To rozkaz!

- Odpieprz się, palancie!

- Tye, na litość boską, posłuchaj go! - zawołała kobieta, kiedy sprzeczący się rozmówcy podeszli do schodów.

- Nie! Wystarczająco długo robili mnie w konia! Pójdę na całość, wykorzystując wszystko, co mogę wydobyć z O'Ryanów i Ingersolów. I dosyć!

To był Hawthorne! Bajaratt, odziana w swoje stateczne, lecz modne ubranie z via Condotti, weszła szybkim krokiem do restauracji i odszukała szofera jedzącego wielki kawałek placka w odosobnionym boksie.

- Wychodzimy! - szepnęła. - Już!

- Co, u diabła... O rany! Tak, oczywiście, proszę pani! Kierowca rzucił na stół trzy dolary i wstał szybko, a w tym samym czasie do środka weszło pięć rozgniewanych osób. Troje czy czworo z nich klóciło się zaciekłe.

- Siadać! - rozkazała Baj. Schwyciła szofera za ramię i pociągnęła go w dół, za osłonę ścianki boksu. Pięcioro przybyszów usiadło przy dużym stole pod ścianą z drugiej strony sali. Odgłosy ich zażartej sprzeczki były teraz stłumione, ale z tego, co docierało do Amai, wynikało, że jej dawny kochanek w dalszym ciągu nie dawał się przekonać. Dobrze знаła tę jego cechę. Oficer wywiadu z Amsterdamu wiedział, kiedy jego instynkt nie kłamie, kiedy ma całkowitą rację. Nieżyjący mężczyzna był kolejnym śladem prowadzącym do Krwawej Dziewczynki. Dobra robota, Tye - pomyślała, ukrywając się wraz z kierowcą za ścianką odgradzającą boks od sali. Rzadko, jeżeli w ogóle kiedykolwiek, kochałam się z kimś gorszym ode mnie. Och, jesteś tak podobny do mojego męża, Tyrellu. On też był czułym stworzeniem, które chciało jedynie tego, co najlepsze. Dlaczego ten świat jest tak szalony, dlaczego nie możesz być po mojej stronie? To ja mam rację, i dobrze o tym wiesz, najdroższy. Nie ma Boga! Bo gdyby był, dzieci nie umierałyby z głodu w cierpieniach... Cóż Bóg ma przeciwko nim? Nienawidzę twojego Boga, Tyrellu! Jeżeli w ogóle jest on twoim Bogiem, bo nigdy się tego nie dowiedziałam, nigdy mi o tym nie mówiłeś.

A teraz muszę cię zabić, Tye. Nie chcę tego. Nie mogłam cię zabić na St. Barts, chociaż powinnam. Myślę, że padrone mnie zrozumiał.

Myślę, że wiedział, jak bardzo cię kocham. Był na tyle mądry, że nie próbował mnie wybadać, ponieważ też kochał osobę, którą powinien był zabić, ale nie potrafił. Prawdę mówiąc, mój kochany

Tye, Skorpiony upadły dlatego, że mój jedyny ojciec nie zrobił tego, co należało uczynić wiele lat temu - nie zlikwidował Neptuna.

Miał zbyt emocjonalne podejście do spraw związanych z miłością.

Ale ja nie, komandorze!

- Teraz! - powiedziała do siedzącego obok niej szofera. Niech pan wolno wstanie, wyjdzie na zewnątrz i pobiegnie do samochodu. Proszę się nie niepokoić, widząc z tyłu

rannego człowieka. To mój bratanek, dobry chłopak, który został napadnięty i obrabowany. Proszę podjechać, zatrzymać się przy schodach i dwukrotnie zatrąbić, kiedy będzie pan już na miejscu.

- Proszę pani, nigdy nie wymagano ode mnie, abym zachowywał się w taki sposób!

- Ale teraz ja wymagam. Dostanie pan za spełnienie moich poleceń tysiąc dolarów.

Proszę iść!

Zdenerwowany kierowca limuzyny ruszył ku wyjściu o wiele szybciej, niż mu kazano, i otworzył drzwi tak gwałtownie, że siedzący przy kilku stolikach goście obejrzeli się, słysząc ostre trzaśnięcie. Wśród osób, które zwróciły na niego uwagę, był Tyrell

Hawthorne. Baj nie mogła dostrzec jego twarzy, ale ktoś inny zwrócił uwagę na reakcję Tye'a.

- Co się stało? - zapytała Catherine Neilsen.

- Skąd się tu wziął taki wściekły kierowca?

- Słyszałeś rybaka w porcie? Wspominał, że w górę i w dół biegu Chesapeake mieszkają bogaci ludzie. Dlaczego nie mieliby mieć szoferów?

- Może.

Bajaratt nie mogła usłyszeć tej. krótkiej rozmowy, czekała jedynie na sygnał informujący, że limuzyna czeka przed restauracją.

I wreszcie rozległy się dwa krótkie sygnały klaksonu.

- Szofer? - powiedział na głos, ale właściwie do siebie

Hawthorne. - Van Nostrand! - zawołał nagle. - Przepuście mnie! - krzyknął, przepychając się przed Poole'em i Catherine wzdłuż brudnej ścianki z zielonego plastyku.

W tej samej chwili Bajaratt wyszła ze swojego boksu i z opuszczoną głową ruszyła w stronę drzwi. Teraz już dwie postacie kierowały się szybkim krokiem do wyjścia z restauracji, chcąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

- Przepraszam! - powiedział krótko Tyrell, przebiegając obok kobiety. Otarł się o nią i uderzył gwałtownie ramieniem w drzwi, otwierając je szeroko. Deszcz ponownie przekształcił się w ulewę.

- Hej! - ryknął Tyrell w stronę niewidocznego kierowcy limuzyny i zaczął zbiegać po stopniach. Nagle zatrzymał się raptownie i odwrócił, ponieważ z szybkością błyskawicy eksplodowało w nim olśnienie. Spojrzał na drzwi restauracji i kobietę, którą właśnie odepchnął na bok. „Shenandoah Lodge”, stara kobieta... oczy! Dominique! Bajaratt!

Szum deszczu rozerwała seria strzałów. Pociski przeszły metal karoserii i zrykoszetowały od chodnika. Hawthorne rzucił się w lewo, czując w górnej części uda

gwałtowne, przesywające zimno. Trafiono go. Padł na ziemię i przetoczył pod osłonę zaparkowanej półciężarówki w chwili gdy z drzwi restauracji wybiegła następna kobieta, wykrzykując jego imię. Bajaratt wystrzeliła w jej kierunku pozostałe naboje, szarpnięciem otworzyła drzwi limuzyny i wskoczyła do środka. Catherine Neilsen runęła po schodach w dół, a samochód ruszył ostro z miejsca i zniknął w mroku.

Była piąta rano i Henry Stevens przeczuwał tak dobrze mu znany moment kryzysu. Zmęczenie osiągnęło już stadium, gdy sen nie chciał nadejść, zwłaszcza że jego wypoczynek na samym początku zakłóciła nieoczekiwana informacja. Umysł nie dawał się wyłączyć, pytania pojawiały się w postępie geometrycznym, wypełniając mu głowę tyloma możliwościami, tyloma wariantami prawdopodobieństw, że nie było już miejsca na jedną choćby myśl o odpoczynku.

Leżenie w łóżku było równoznaczne z przewracaniem się z boku na bok, z otwartymi, ale nic nie widzącymi oczyma. Obawiał się, że śpiąca w sąsiednim, bliźniaczym łóżku żona obudzi się i będzie próbowała go uspokoić. Zawsze czyniła to znakomicie. Nie chciał się do tego przyznać, ale w głębi duszy wiedział, że nie zaszedłby tak wysoko bez Phyllis. Była w irytujący sposób racjonalna, zawsze spokojna, bez dyktatorskich skłonności. Przypominała wytrawnego sternika, który utrzymuje statek na równym kursie, dbając jednocześnie, aby płynął po wzburzonym morzu, nie narażając się na zatonięcie.

Śmieszne, myślał siedząc na sofie w oszklonej werandzie, że ujmując to w kategoriach morskich. Tylko raz był na morzu podczas ostatniego roku w Annapolis. Wszyscy kończący uczelnię midszypmeni musieli spędzić dziesięć piekielnych dni na jakimś wielkim żaglowcu, udając marynarzy z cholernego dziewiętnastego wieku.

Z trudem wytrzymał ten okres i prawdę mówiąc, większość czasu przesiedział rzygając w ustępie.

Marynarka jednak machnęła ręką na żeglarskie wady Stevensa i zainteresowała się jego talentami organizacyjnymi, administracyjnymi. Był cholernie dobrym gabinetowym marynarzem, który potrafił wyłowić niekompetentnych, przeciętnych pracowników i zwolnić ich od ręki, bez wysłuchiwania nieprzekonujących tłumaczeń. Jeżeli jest robota do wykonania, zrób ją, a nie trać czasu na wyszukiwanie pretekstów do niepodejmowania decyzji - to była jego dewiza. Miał rację, przeważnie miał rację.

Tylko raz się pomylił. Tragicznie. W Amsterdamie opowiedział

Phyllis o żonie Hawthorne'a, Ingrid, i wtedy oznajmiła mu cicho i spokojnie: „Mylisz się, Hank, tym razem się mylisz. Znam Tyrella i Ingrid. Musiałeś coś pominąć”.

A kiedy ciało Ingrid Hawthorne wydobyto z kanału w Amsterdamie, Phyllis przyszła z ambasady do jego biura.

„- Czy miałeś z tym coś wspólnego, Hank? - zapytała.

- Dobry Boże, nie, Phyll! To byli Sowieci, wszystkie ślady o tym świadczą.

- Mam nadzieję, Henry, ponieważ właśnie tracisz najlepszego oficera wywiadu, jaki kiedykolwiek służył w marynarce”.

Phyllis nigdy nie nazywała go Henrym, chyba że była na niego wściekła.

Niech to diabli! Skąd mógł wiedzieć? Zarejestrowana poza systemem! Co za cholerne gówno?

- Hank?

Stevens odwrócił głowę i spojrzał na drzwi werandy.

- Och, przepraszam, Phyll, po prostu siedzę tu sobie i myślę.

- Nie śpisz od chwili tego telefonu. Czy chcesz o tym porozmawiać? Czy możesz o tym mówić, czy raczej nie?

- Sprawa dotyczy twojego starego przyjaciela Hawthorne'a.

- Znowu jest w systemie? Jeżeli tak, to rzeczywiście sensacja, Hank. Niezbyt cię lubi.

- Ale zawsze lubił ciebie.

- Dlaczego nie? Programowałam jego podróże, a nie życie.

- Czy uważasz, że ja coś takiego robiłem?

- Właściwie nie wiem. Mówiłeś mi, że nie.

- Bo tak było.

- W takim razie ten rozdział jest już zamknięty, prawda?

- Tak.

- Co Tyrell robi dla ciebie? A może nie powinieneś mi o tym mówić? - W słowach Phyllis Stevens nie było urazy, ponieważ wiedziała, że żony i mężowie pracowników wywiadu na wysokich stanowiskach są szczególnie narażeni. A kto nic nie wie, nic nie powie.

- Pracowałeś przez kilka dni na okrągło, więc zakładam, że masz stan czerwony.

- Mogę ci podać kilka szczegółów, pewnie i tak będą przecieki... Mamy do czynienia z terrorystką z doliny Bekaa, która przysięgła zamordować prezydenta.

- To niemal nieprawdopodobne, Hank! - przerwała mu żona, zatrzymując się i pochylając w zamyśleniu głowę. - A może i nie. Bezstronnie oceniając moją płęć, muszę stwierdzić, że w przeciwieństwie do mężczyzn, potrafimy wiele zrobić i dotrzeć prawie wszędzie.

- Już to udowodniła, pozostawiając za sobą kilka dość dziwnych śmierci i „śmiertelnych wypadków”.

- Nie będę cię prosiła o szczegóły.

- Nie podałbym ci ich.

- A Tyrell? Co on ma z tym wspólnego?

- Ponieważ ta kobieta przez jakiś czas działała z Karaibów, z wysp...

- A Hawthorne ma tam swoje przedsiębiorstwo czarterowe.

- Właśnie.

- Ale w jaki sposób udało ci się go ściągnąć z powrotem? Nie sądziłam, że to możliwe.

- To nie nam się udało, ale MI-6. My tylko płacimy jego dniówki. Kontrakt ma z Londynu.

- Dobry, stary Tye. Trzecia klasa nigdy mu nie odpowiadała, chyba że była nieodzownym elementem jego legendy.

- Naprawdę go lubiłaś, co?

- Ty też byś go polubił, gdybyś mu dał kiedykolwiek szansę, Hank - powiedziała Phyllis, siadając w wiklinowym fotelu przed mężem. - Tye był sprytny - w tworzeniu legendy, w działaniach na ulicy - ale nie według twoich kryteriów, jako kandydat do

Mensy ze współczynnikiem inteligencji sto dziewięćdziesiąt i tak dalej. Ma jednak instynkt i z uporem się nim kieruje, nawet jeżeli mądrale sądzą, że się myli. Jest człowiekiem, który potrafi podejmować ryzyko.

- Mówisz tak, jakbyś się w nim kochała.

- Wszystkie młode dziewczyny się w nim kochały, ale ja nie.

Lubiłam go, zgoda, byłam zafascynowana tym, co robił, ale „kochać się w nim” w każdym znaczeniu tego słowa - nie. Był dla mnie jak utalentowany, zwariowany bratanek, nawet nie jak brat, lecz raczej jak ktoś, kogo obserwuje się z zaciekawieniem, ponieważ łamie zasady i od czasu do czasu wyświadcza jakieś uprzejmości. Sam tak mówiłeś.

- Owszem, zgadza się. I miał rezultaty. Ale wprowadził zamieszanie w siatce, którą potem trzeba było z dużym wysiłkiem odtwarzać. Nigdy mu nie wspominałem o straconych informatorach, którzy uznali, że działa tam wariat. Byli przestraszeni. Próbowali wchodzić w układy z naszymi wrogami. Podobno głosił zasadę

„Dostyc zabójstw”. Ale przecież to nie my zabijaliśmy, lecz inni!

- Wtedy zamordowano Ingrid.

- Tak. Sowieci, nie my.

Phyllis Stevens założyła nogę na nogę, a potem znowu usiadła prosto, ani przez chwilę nie spuszczać wzroku z człowieka, który od dwudziestu siedmiu lat był jej mężem.

- Hank - odezwała się cicho - coś cię dręczy. Wiem już, kiedy nie powinnam się wtrącać, ale muszę ci coś powiedzieć.

Gryzie cię coś, z czym nie możesz dać sobie rady. Posłuchaj jednak, mój drogi. Nikt w całej marynarce nie zdołałby dokonać tego, co ty zrobiłeś w Amsterdamie. Utrzymałeś organizację w całości - od ambasady w Hadze po NATO. Twoim umiejętnościom kierowniczym i walorom intelektualnym zawdzięczamy wszystkie nasze

ówczesne sukcesy. Owszem, masz paskudny charakter, lecz dokonałeś tego. Nie sądzę, aby ktokolwiek inny był do tego zdolny, nawet Tye Hawthorne.

- Dziękuję ci, Phyll - szepnął Henry. Nagle wyprostował się, uniósł ręce do poblądłej twarzy i dłońmi z szeroko rozstawionymi palcami usiłował ukryć płynące mu z oczu łzy. - Ale w Amsterdamie pomyliliśmy się. Ja się pomyliłem. Zabiłem żonę Tyrella!

Phyllis zerwała się z fotela, podbiegła i usiadła na sofie, obejmując męża obydwoma rękami.

- Daj spokój, Hank, przecież zabili ją Sowieci, nie ty. Sam mówiłeś, czytałam raporty. Wszystkie ślady wskazywały na nich!

- Naprowadziłem ich na jej ślad... Teraz on jest tutaj, a ponieważ pomyliłem się wtedy, mogę pomylić się i teraz. On również może zginąć.

- Przestań! - zawołała. - Dosyć, Hank. To wyczerpanie, ale jesteś lepszy, mocniejszy, niż sądzisz. Jeżeli tak się tym dręczysz, wycofaj Tyrella. Możesz to zrobić w każdej chwili.

- Będzie protestował. Nie wiesz, co on czuje. Zabito już zbyt wielu jego przyjaciół.

- Wyślij grupę i zmuś go.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Sygnał był niski, niezwykły.

Phyllis wstała z sofy i przeszła do małej wnęki na werandzie, gdzie za niewielkimi żaluzjowymi drzwiczkami stały, jeden obok drugiego, trzy telefony. Beżowy, czerwony i granatowy.

- Mieszkanie Stevensów - powiedziała, podnosząc słuchawkę czerwonego aparatu, na którym pulsowało światło.

- Z komandorem Stevenssem proszę.

- Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni? Komandor był na nogach prawie siedemdziesiąt dwie godziny i naprawdę musi się wyspać.

- W porządku, sądzę, że nie ma to teraz szczególnego znaczenia - odparł młodzieńczy głos w słuchawce. - Mówi kapitan

Allen z WMW. Być może komandor Stevens chciałby wiedzieć, że komandor podporucznik Hawthorne - były komandor podporucznik - został postrzelony przed restauracją w Chesapeake Beach.

O ile mogłem się zorientować, rany nie zagrażają jego życiu, ale dopóki nie dotrze tu karetka z zespołem pierwszej pomocy, nie możemy mieć tej pewności. Poza tym kobieta, oficer lotnictwa...

- Henry!

ROZDZIAŁ 25

Hawthorne i zapłakany Poole siedzieli naprzeciwko siebie w korytarzu przed salą operacyjną. Tyrell na krześle z kulami u boku, porucznik na ławce - pochylony do przodu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Żaden z nich się nie odzywał. Nie było nic do powiedzenia. Rana uda Hawthorne'a wymagała wyjęcia pocisku i zrobienia siedmiu szwów, ale z trudnością wytrzymał na stole operacyjnym dłużej, niż to było konieczne, i przez cały czas chciał przejść do poczekalni, gdzie za ścianą major Catherine Neilsen walczyła o życie.

- Jeżeli ona umrze - oznajmił łamiącym się, ledwo słyszalnym głosem Poole, przerywając panującą ciszę - wystąpię z tej cholerniej armii i jeśli będę musiał, poświęcę resztę życia, tropiąc tych skurwysynów, którzy ją zabili.

- Doskonale cię rozumiem, Jackson - odparł Tye, spoglądając na rozstrojonego porucznika.

- Czy aby do końca, komandorze? Jednym z nich możesz być ty...

- Potrafię zrozumieć nawet to, chociaż uważam, że po prostu ktoś mnie wymanewrował.

- Ktoś cię wymanewrował, ty sukinsynu?! - Poole odsunął dłonie od twarzy i uniósł głowę, spoglądając ostro na Tyrella. W moim słowniku, cholernie bogatszym niż twój, to po prostu wykręt. Nie jesteś bez skazy, panie Hawthorne. Nawet nie powiedziałaś Cathy i mnie, o co tu w ogóle chodzi, dopóki nie zmusiłem cię do tego na tej pieprzonej wyspie, na której zginął Charlie.

- Czy to by cokolwiek zmieniło - po tym, jak zabito Charliego?

- Skąd mogę wiedzieć?! - zawołał porucznik. - Skąd mogę cokolwiek wiedzieć? Po prostu wyobraziłem sobie, że nie jesteś z nami szczerzy.

- Byłem szczerzy w takim stopniu, w jakim to było możliwe, bez zbędnego narażania waszego życia informacją, której nie powinniście znać.

- To szpiegowskie pieprzenie!

- Być może, ale kiedyś byłem właśnie szpiegiem i widziałem kobiety oraz mężczyzn zabitych tylko dlatego, że znali sprawy lub zaledwie ich fragmenty - które podpisały na nich wyrok śmierci. Od dawna jestem poza branżą, lecz pamięć o tych ludziach wciąż mnie prześladowuje.

Drzwi sali operacyjnej otworzyły się i pojawił się w nich ubrany w biały fartuch lekarz. Jego luźny szpitalny strój był pochłapany krwią.

- Długo mi to zajęło - oznajmił ze zmęczeniem. - Który z was jest Poole?

- Ja - odparł Jackson z zapartym tchem.

- Mam panu powtórzyć, żeby się pan uspokoił.

- Jak się czuje?

- Zaraz o tym powiem. - Chirurg odwrócił się do Tyrella. W takim razie pan jest Hawthorne'em, tym drugim pacjentem?

- Tak.

- Chce się z panem zobaczyć...

- O czym, do jasnej cholery, pan gada? - Poole zerwał się na równe nogi. - Jeżeli chce się z kimkolwiek widzieć, to ze mną!

- Dałem jej szansę wyboru, panie Poole. Nie chciałem się zgodzić na żadną wizytę, ale pani Neilsen jest bardzo uparta. Jeden odwiedzający, najwyżej dwie minuty, choć muszę stwierdzić, że z medycznego punktu widzenia jest to zdecydowanie niepożądane.

- Jak się czuje, doktorze? - spytał Tye, powtarzając pytanie Jacksona, ale bardziej stanowczo.

- Zakładam, że zastępuje jej pan bezpośrednią rodzinę?

- Niech pan zakłada, co się panu podoba - odparł spokojnie

Hawthorne. - Przywieziono nas tutaj razem, a ponadto chyba orientuje się pan, że to sprawa wagi państwowej.

- Tak, domyślam się. Przyjmujemy dwie osoby poza rejestracją, żadnych raportów policyjnych i na wszystkie pytania o stan zdrowia mamy odpowiadać, że o niczym nie wiemy... A tymczasem nasi pacjenci mają rany postrzałowe. Wyjątkowo niezgodne z procedurą, lecz nie mogę podawać w wątpliwość poleceń władz. Nigdy nie rozmawiałem -z osobą z wywiadu, która miałaby takie pełnomocnictwa.

- Proszę więc odpowiedzieć na moje pytanie.

- Zdecydują mniej więcej najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

- Zdecydują o czym? - wybuchnął Poole. - Czy umrze, czy nie?

- Szczerze mówiąc, nie mogę obiecać, że przeżyje, ale sądzę, że wyeliminowaliśmy już taką możliwość. Nie potrafię też obecnie zapewnić, że będzie osobą pełnosprawną.

Jackson opadł na ławkę, kryjąc twarz w dłoniach.

- Cath, och Cath... - załkał.

- Kręgosłup? - zapytał spokojnie Tyrell.

- Widzę, że zna się pan na podobnych ranach?

-- W każdym razie już się z nimi stykałem. Zakończenia nerwowe po urazie...?

- Jeżeli zareagują - skinął głową chirurg - może za kilka dni rozpocząć normalną rekonwalescencję. A jeżeli nie, cóż mogę powiedzieć?

- Powiedział już pan dosyć, doktorze. Czy mogę się teraz z nią zobaczyć?

- Oczywiście... Pomogę panu. Widzę, że pan też miał drobny zabieg. - Hawthorne wstał, niezgrabnie próbując złapać równowagę, i ruszył w stronę drzwi. - Pańskie kule - przypomniał lekarz, wyciągając je w jego stronę.

- Właśnie z nich zrezygnowałem - odparł Tyrell. - Dziękuję bardzo.

Do sali, gdzie leżała Catherine, zaprowadziła go siostra, która uprzejmie, ale stanowczo oświadczyła, że czas wizyty będzie kontrolowany. Hawthorne popatrzył na postać w łóżku: pasemka blond włosów wymykające się spod operacyjnej siatki, delikatne, urocze rysy bladej twarzy podświetlone łagodnym światłem lampy na nocnym stoliku... Catherine usłyszała kroki, otworzyła oczy i obróciwszy głowę, zobaczyła Tye'a, Dała mu znak ręką, aby podszedł bliżej, i wskazała krzesło przy łóżku. Kulejąc przeszedł przez pokój i usiadł. A potem wolno, z wahaniem ich dłonie zbliżyły się i złączyły w uścisku.

- Podobno u ciebie wszystko w porządku - odezwała się

Cathy słabym głosem i uśmiechnęła się blado.

- Ty też wkrótce będziesz zdrowa - zapewnił. - Trzymaj się, majorze.

- Daj spokój, Tye, stać cię na coś lepszego.

- Staram się jak mogę... Jackson jest trochę zmartwiony, że nie poprosiłaś o jego wizytę.

- Bardzo go kocham, ale nie mam czasu na cudowne dziecko i jego nieobliczalne zachowanie. - Neilsen mówiła z wysiłkiem, cicho, ale wyraźnie, przerywając co chwila. Potrząsnęła głową, gdy

Hawthorne próbował ją powstrzymać. - Czy to nie tego rodzaju decyzja, do której przygotowują nas, oficerów? Wydaje mi się, że kiedy zabito Charliego, chciałeś mi powiedzieć coś w tym rodzaju.

- Może i tak, Cathy, ale nie jestem najlepszym nauczycielem.

Tamten oficer rozsypał się zupełnie w Amsterdamie, pamiętasz?

- Ale teraz tego nie zrobisz, prawda?

- Mam nadzieję, że nie. Jestem wściekły, Cathy, równie wściekły jak w Amsterdamie... I ty jesteś teraz tego częścią... Skąd to pytanie?

- Zestawiłam kilka spraw, Tye, i jestem przerażona...

- Wszyscy jesteśmy - przerwał jej łagodnie Tyrell.

- Boję się o ciebie, o sprawę, która cię gnębi... Gdy wróciłeś z Jacksonem ze starego San Juan, z lokalu Simona, bardzo się zmieniłeś. Nie potrafię tego określić, nawet nie wiem, czy chciałabym znać konkrety, ale głęboko w tobie tkwi coś strasznego...

- Straciłem dwóch przyjaciół - przerwał jej nerwowo Hawthorne - podobnie jak ty utraciłaś Charliego.

- A potem - ciągnęła cicho dziewczyna, nie zwracając uwagi na jego słowa - kiedy byliśmy w „Shenandoah”, otrzymałeś telefoniczną wiadomość. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby czyjaś twarz tak gwałtownie się zmieniła. Nagle zbladłeś, wargi ci zsiniały, oczy zaczęły płonąć, a nam powiedziałeś, że ktoś połączył się pomyłkowo. Jeszcze później, kiedy nie wiedziałeś, że mogę cię usłyszeć, podałeś Stevensowi numer telefonu w Paryżu.

- To był...

- Proszę..-. No a dzisiaj wieczorem wyskoczyłeś z restauracji jak wariat, zupełnie jakbyś chciał zabić tego szofera... Pobieglam za tobą i gdy byłam tuż przy zamykających się właśnie drzwiach, na sekundę przed strzałami usłyszałam, jak krzyknąłeś, nie Tye, wrzasnąłeś: „T y!” Potem ta kobieta zaczęła strzelać.

- Tak, zgadza się - odparł Tyrell, patrząc jej prosto w oczy.

- , Oczywiście, spotkałeś Bajaratt.

- Tak.

- Wiesz, kim ona jest, prawda? Chodzi mi o to, że ją znałeś.

- Tak.

- Znałeś bardzo dobrze?

- Sądziłem, że znam. Ale się myliłem.

- Bardzo mi przykro, Tye... Nie mówiłeś o tym nikomu?

- Nie było sensu. Nie jest tym, kim była, nie ma tu żadnego związku.

- Nie masz co do tego wątpliwości?

- Najmniejszych. Jej świat zamyka się w dolinie Bekaa. Ja zaś znałem ją w innym świecie, który nie miał nic wspólnego z Bekaa.

- W świecie dobra, dobrego życia, gdzie twoje jachty rozcinają wodę, pływając od wyspy do wyspy, a zachody słońca są piękne i spokojne?

- Tak.

- Czy numer w Paryżu może w czymś pomóc?

- Mam nadzieję. Chciałbym.

Catherine wpatrywała się w jego zmęczoną twarz, w oczy, na których dnie kryło się tyle bólu i gniewu.

- Mój Boże, biedny nieszczęśniku. Tak ci współczuję, Tye...

I nie mówmy już o tym.

- Jestem ci wdzięczny, Cathy... Po tym wszystkim, co przeszedłeś, możesz jeszcze myśleć o mnie?

- Oczywiście - szepnęła. Była osłabiona, ale uśmiechała się. - To lepsze, niż myśleć o sobie, nie sądzisz?

Tyrell pochylił się w krzesło, wyjął rękę z jej dłoni i dotknął twarzy dziewczyny. Pochylił się ku niej i ich wargi się spotkały.

- Jesteś cudowna Cathy, taka śliczna.

- Hej, to brzmi lepiej niż „wybitna”, komandorze.

Otworzyły się drzwi. Stojąca w nich pielęgniarka kaszlnęła dyskretnie.

- Czas minął - oznajmiła. - Najprzystojniejsza pacjentka w całym szpitalu musi teraz odpocząć.

- Założę się, że mówi tak pani wszystkim po operacji skomentowała to Neilsen.

- Ale bardzo często kłamię. Teraz - nie.

- Tye?

- Słucham? - odparł Hawthorne, wstając z krzesła.

- Wykorzystaj zdolności Jacksona, uczyni z niego pełnowartościowego współpracownika. Zrobi wszystko co ja, i o wiele lepiej.

- Możesz być spokojna, ale chciałaś powiedzieć coś jeszcze.

- Dzięki temu przestanie zaprzętać sobie mną głowę.

Phyllis Stevens skoczyła do telefonu. Była prawie dziesiąta rano, lecz dopiero o szóstej trzydzieści udało się jej położyć do łóżka zmęczonego, dręczonego poczuciem winy męża. Kobieta oficer lotnictwa przeszła operację i jak na razie jej stan był nieznany, ale rana Tye'a Hawthorne'a nie okazała się poważna. Fakt ten nieco uspokoił Stevensa, nie zdołał jednak zupełnie wyeliminować jego niepokoju. Kilka centymetrów i Tye mógł nie żyć!

- Tak, słucham? - powiedziała cicho Phyllis, przesuwając się na samą krawędź swojego łóżka.

- Tu FBI, pani Stevens. Czy mógłbym rozmawiać z pani mężem?

- Mówiąc szczerze, wołałabym go nie budzić. Nie spał prawie trzy doby i wreszcie udało mu się położyć. Czy nie może pan przekazać tej wiadomości mnie?

- Tylko jej część, proszę pani.

- Doskonale rozumiem.

- Phyll, o co chodzi? - Henry Stevens usiadł gwałtownie na sąsiednim łóżku. - Słyszałem dzwonek telefonu, z pewnością to był telefon!

- Ma go pan, panie federalny - westchnęła Phyllis i poddała słuchawkę mężowi, który właśnie opuścił nogi na podłogę.

- Tu Stevens, kto mówi?

- FBI, proszę pana. Agent operacyjny Becker z grupy śledczej Ingersola.

- Macie coś?

- Trudno powiedzieć, proszę pana. Znaleźliśmy telefon w stalowej szafce ukrytej pod boazerią wyglądającą jak normalna ściana.

Musieliśmy rozciąć ją palnikiem.

- Czy to zwykły telefon, a jeżeli tak, to dlaczego był ukryty?

- Na tym właśnie polega całe wariactwo, komandorze. Technicy pracowali prawie całą noc i rano, ale jak na razie udało im się osiągnąć tylko jedno.

- Co takiego?

- Znaleźli na dachu talerz anteny satelitarnej połączony z ukrytym telefonem oraz ustalili, że wysyła sygnał retransmitowany do stanu Utah.

- Utah? Gdzie, u diabła, jest Utah?!

- Może istnieje kilkaset częstotliwości laserowych adresowanych do tysiąca anten odbiorczych na tamtym obszarze, a może też być jednego i drugiego o wiele więcej.

- Jakiś obłąd!

- Po prostu nowa technika, komandorze.

- W takim razie zaprzęgnijcie do roboty wasze kosztowne komputery, te wszystkie magiczne maszyny, które kosztują podatników tyle pieniędzy, i zróbcie wreszcie coś pożytecznego.

- Pracujemy nad tym, proszę pana.

- No to pracujcie lepiej! - Stevens cisnął słuchawkę i opadł na poduszki. - Mają własnego satelitę w kosmosie - szepnął. Nieprawdopodobne!

- Nie wiem, o czym mówisz, Hank, ale domyślam się, że nie ma rzeczy niemożliwych. Potrzebne są tylko pieniądze.

- Postęp! - mruknął Stevens. - Czyż to nie cudowne?

- Wszystko zależy od tego, kto nad nim sprawuje kontrolę odparła jego żona. - Zawsze sądziliśmy, że będziemy .to my najlepsi i najinteligentniejsi. Najwidoczniej się pomyliliśmy.

Było późne przedpołudnie. Szpital nie miał żadnych nowych komunikatów na temat stanu zdrowia Catherine Neilsen prócz informacji, że wypoczywa i wszystkie wskaźniki utrzymują się na ustabilizowanym poziomie. W sypialni „Shenandoah Lodge” Hawthorne uważnie oglądał swoją nogę, a Poole krytycznie obserwował jego poczynania.

- Boli cię, co? - zapytał porucznik. - Dokucza ci nieco?

- Nie tak bardzo - odparł Tyrell. - Udało mi się w miarę przyzwoicie wyspać, chociaż wcale się tego nie spodziewałem.

Muszę tylko pamiętać, żeby nie opierać się na lewej nodze.

- Lepiej by było, gdybyś na kilka dni wyłączył się całkowicie ze sprawy - oświadczył Poole. - Trzeba pozwolić ranom się zabliznić.

- Nie mamy kilku dni. Zdobądź jeszcze bandażę i owiń mi mocniej nogę. - Zadzwoń na telefon. - Pewnie Stevens. Phyllis obiecała, że każe mu do mnie zadzwonić, kiedy tylko się obudzi.

- Odbiorę - oznajmił Jackson, podchodząc do biurka. Słucham...? Tak, tak, jest tutaj. Chwileczkę. - Porucznik odwrócił się do Hawthorne'a. - Ktoś, kto twierdzi, że jest twoim bratem i może nawet ma rację, bo mówi podobnie jak ty, ale o wiele uprzejmiej.

- Naprawdę wcale taki nie jest. To trik, którego nauczył się w czasie prowadzenia lekcji. Zadzwoń do niego na St. Thomas w nocy ze szpitala. - Tyrell podszedł kulejąc do łóżka i usiadł ostrożnie. Podniósł słuchawkę aparatu na nocnym stoliku. - Cześć, Marc. Obliczyłem sobie, że powinieneś dzisiaj przycumować.

- Owszem, mniej więcej godzinę temu, i uważam za bardzo miłe z twojej strony, że łaskawie informujesz mnie o swoim istnieniu - odparł sarkastycznie Marc Anthony Hawthorne. - Bo przecież jeszcze egzystujesz, jak sądzę?

- Daj spokój, braciszku. Byłem zajęty. I nie bądź ciekawski, bo ten telefon jest zastrzeżony.

- Ale nie dla paru innych osób.

- Jakich osób? Nie sprawdzałem zapisów.

- Pierwszy jest od B. Jonesa. Telefonował wczoraj o czwartej dwanaście po południu. Pozostawił ci numer w Mexico City i stanowczo nalegał, abys się z nim porozumiał w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

- Podaj mi go.

Brat wykonał polecenie i Tyrell zapisał numer na kolejnym spisie potraw.

- Kto jeszcze?

- Kobieta, która przedstawiła się jako Dominique i powiedziała, że dzwoni z Monte Carlo. Odczyt zegara wskazuje, że połączenie było o piątej dwie dzisiaj rano.

- Wiadomość!

- Przełączę ci sekretarkę. To nie jest tekst, który niewinny młodszy brat powinien powtarzać swojemu wzorowi postępowania...

Jesteś prawdziwym wyspiarzem, mon.

- Włącz mi wiadomość, pozostań na linii i nie komentuj!

- Tak jest!

- „Tyrell, kochanie, moja miłości, tu Domie! Dzwonię z „L'Hermitage” w Monte Carlo. Wiem, że jest późno, ale mój mąż przebywa właśnie w kasynie, a ja mam takie cudowne wieści!

Sprawowałam się wyjątkowo dobrze w ciągu ostatnich kilku dni, ale szczerze mówiąc, już mnie mdli od tego wszystkiego i tak bardzo brakuje mi ciebie... Powinnam też побыć trochę z wujkiem.

Rozmawiałam o tym z moim mężem i nie uwierzysz, co odpowiedział! Oznajmił mi: „Wróć do swojego wujka, bo cię potrzebuje, podobnie jak ty potrzebujesz swego kochanka”. Powiadam ci, byłam zaskoczona i zapytałam, czy jest na mnie zły, a jego odpowiedź okazała się darem od Boga! „Nie, moja droga oznajmił - ponieważ mam własne plany na kilka następnych tygodni. Wręcz przeciwnie, bardzo się cieszę twoim szczęściem...”

Czyż to nie cudowne? Mówiłam ci, że jest dobry, choć brakuje mu pewnych męskich cech. W każdym razie zaraz jadę na lotnisko w Nicei, żeby złapać pierwszy samolot. W Paryżu będę jutro cały dzień biegała, ponieważ mam tyle spraw do załatwienia przed wyjazdem na długie wakacje, ale jeżeli chcesz mnie usłyszeć, zadzwoń tam. Jeśli mnie nie będzie, rozmawiaj tylko z Pauline. Porozumiem się z tobą... Już czuję twoje ramiona, moje ciało przytulone do twojego... o Boże, mówię jak zakochany podlotek, a przecież nie jestem już taka młoda! Będę na wyspach za dzień, może dwa, najwyżej za trzy, i natychmiast do ciebie zadzwonię... Mój kochany, najdroższy!”

Hawthorne poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Co za podłość!

Słowa miłości tak podstępnie wykorzystane, aby podtrzymać mistyfikację. Rozmowa została nagrana godzinę po tym, jak ta sama kobieta usiłowała go zabić! Nie na jachcie na Morzu

Śródziemnym, ale na stopniach restauracji w Maryland... Jakże łatwo mówić automatycznej sekretarce wszystko, co ktoś chciałby usłyszeć! Opadły go wspomnienia rozgrywek w Amsterdamie.

Podtrzymuj swoją legendę za wszelką cenę, może tylko to ci pozostało - nakazał sobie. Krwawa Dziewczynka gra znaczonymi kartami, wierząc, że uzna je za dobre. Upewni ją w tym mniemaniu, dzwoniąc do Paryża, do wszechobecnej „Pauline”, oczywiście uprzedziwszy wcześniej Deuxieme.

- Dobra, Tye - w słuchawce rozległ się głos jego brata. Przewinąłem taśmę i rozpoczynamy wszystko od początku. Czy nie cieszysz się, że nie robię żadnych komentarzy?

- Nie prosiłem cię o nie, Marc.

- No cóż, musi ci o coś chodzić, skoro chciałeś, abym pozostał na linii.

- O rany, przepraszam, braciszku - przerwał mu Tyrell, zbierając ponownie myśli. - Praktyczne sprawy... Zakładam, że pieniądze już przyszły i rozglądasz się za parką jachtów klasy A.

- Hej, daj spokój, Tye. Przecież wpłynąłem do Red Hook zaledwie godzinę temu! Ale zgadza się, kontaktowałem się z Charliem w Chase na Charlotte Amalie i powiedział mi, że dostaliśmy nieprawdopodobny przelew z Londynu. Naciskał, bym mu zdradził, jakie mam powiązanie z byłą paczką Noriegi!

- Niech sprawdzi przelew, a przekona się, że jest równie czysty jak bielizna królowej. Zajmij się sprawą łodzi.

- Bez ciebie?

- Mówiłem, żebyś wziął się do roboty, a nie zawierał umowy.

Jeżeli znajdziesz coś ciekawego, zastrzeż sobie prawo pierwokupu.

- Ach tak, przypominam już sobie - pierwokup. Jak sądzisz, kiedy wrócisz?

- To już nie potrwa długo, bez względu na rezultat.

- Co to znaczy „bez względu na rezultat”?

- Nie mogę ci wyjaśnić. Zadzwoń za dzień lub dwa.

- Tye...?

- Słucham.

- Na litość boską, bądź ostrożny, dobrze?

- Oczywiście, braciszku. Znasz moją zasadę - nie cierpię nieostrożnych ludzi.

- Podobno.

Hawthorne przechylił się w lewo i skrzywił z bólu, odkładając słuchawkę.

- Gdzie są notatki, które miałem w kieszeni spodni? - zapytał

Poole'a.

- Tutaj - odparł Jackson, podchodząc do sekretarzyka i biorąc do ręki kilka spiętych razem kartek.

Tyrell wziął je do ręki, przerzucił, wyjął jeden arkusik i rozprostował na łóżku. Znowu odwrócił się, krzywiąc z bólu, podniósł słuchawkę i odczytawszy zapisane cyfry, wybrał numer.

- Chciałbym rozmawiać z sekretarzem Palisserem - powiedział uprzejmie. - Mówi T.N. Hawthorne.

- Tak jest - odparła sekretarka. - Mam polecenie natychmiast pana łączyć.

- Dziękuję.

- To pan, komandorze? - Głos Palissera dokładnie odzwierciedlał jego charakter - był władczy, ale nie agresywny. Dowiedział się pan już czegoś?

- Następne zabójstwo. Niewiele brakowało, a byłbym kolejną ofiarą.

- Dobry Boże, nic się panu nie stało?

- Zaledwie parę szwów. Wszedłem, a właściwie wbiegłem prosto pod lufę.

- Co się wydarzyło?

- O tym później, panie sekretarzu. Mam inną sprawę. Czy zna pan analityka z CIA o nazwisku O'Ryan?

- Tak, chyba znam. Był asystentem dyrektora Agencji w czasie naszej ostatniej odprawy. O ile dobrze sobie przypominam, pracuje tam od dość dawna i uchodzi za jednego z tych cichych geniuszy.

Mogę się mylić, ale zdaje się, że nazywa się Ryan albo właśnie O'Ryan.

- Nie myli się pan. Nie żyje. Robota Krwawej Dziewczynki.

- O mój Boże!

- I jeżeli oceniam sytuację właściwie, był podstawowym przeciekiem informacji wywiadowczych pracującym dla Bajaratt i jej bandy.

- Czy przypadkiem nie zaprzecza pan sobie? - przerwał zaskoczony, ale wciąż analizujący wszystko Palisser. - Jeżeli przedstawiał dla niej, dla nich, taką wartość, dlaczego mieliby go zabić?

- Z kilku powodów. Na przykład mógł popełnić jakiś błąd, co groziło doprowadzeniem nas do niej, albo - co jeszcze bardziej prawdopodobne, wypełnił swoje zadanie i został wyeliminowany ze względu na to, co wiedział i kogo znał.

- Czyli powraca pan do tezy, że sojusznicy doliny Bekaa w Waszyngtonie potrafili przeniknąć do niebezpiecznie wysokich szczebli.

- Niektórzy współpracują z nią świadomie, inni nieświadomie, panie sekretarzu - wtrącił się szybko Hawthorne. - Na przykład pańska pomoc udzielona van Nostrandowi wynikała ze współczucia, a nie z udziału w spisku. Oszukano pana.

- Tak trudno mi w to uwierzyć...

- Poza tym, jeżeli śmierć Howarda Davenporta wiąże się z tym wydarzeniem, a jestem przekonany, że tak, nawet najbardziej zagorzały zwolennik teorii spiskowej zawahałby się przed nazwaniem go przyjacielem Bajaratt, podobnie jak pana. Po prostu z punktu widzenia logiki bylibyście nieodpowiednimi kandydatami.

- Chwała Bogu!

- Ale O'Ryan był...

- Skąd ma pan taką pewność?

- Kiedy go zabito, Bajaratt znajdowała się w odległości niespełna kilometra.

- Skąd pan wie?

- Mówiłem już panu, że próbowała wpisać mnie na swoją listę.

- Widział ją pan?

- Można i tak to określić. Bardzo się starałem zejść jej z linii strzału... Przepraszam, panie sekretarzu, ale tracimy czas. Czy zdobył pan dokumenty, o które prosiłem?

- Otrzymam je za pół godziny, chociaż wciąż są wątpliwości.

- Czy ma pan wybór... Czy mamy wybór?

- Jeżeli akta są dokładne i nie zostały napisane przez pańską matkę, nie mamy. A przy okazji: zdobyliśmy fotografię z pańskiej ostatniej legitymacji służbowej, wykonaną sześć lat temu. Nie za bardzo się pan postarzał.

- Wyglądam lepiej, ponieważ mam lepszą pracę. Proszę zapytać moją matkę.

- Dziękuję, wolałbym jednak uniknąć kontaktu z kolejnym członkiem rodziny Hawthorne'ów, bez względu na to, jak czarującą osobą jest pańska matka. Niech porucznik się tu zjawi i zabierze wszystko, co trzeba. Powinien poprosić o skierowanie go do podsekretarza do spraw karaibskich, u którego będzie czekała koperta z dokumentami dla agenta specjalnego z Operacji Konsularnych. Dokumenty będą zarejestrowane, opieczątowane i zaopatrzone w nagłówek: Służba Geologiczna, Północne Wybrzeże Montserrat.

- Tak jak Bajaratt?

- Należy zawsze przewidywać dziwactwa przyszłych przesłuchań kongresowych, komandorze. A także uwzględniać mentalność przesłuchujących. Tak oczywisty kod zmniejsza podejrzenie o przestępczy spisek.

- Naprawdę?

- Z całą pewnością... Senator pyta: „Montserrat i Bajaratt?”

Czyż to nie jest zbyt jednoznaczne, panie sekretarzu...?” „Ależ pan jest spostrzegawczy, senatorze! Jak więc błyskotliwie pan zauważył, angażując byłego komandora porucznika Hawthorne'a, nie dopuściliśmy się żadnego oszustwa. W przeciwnym razie bez wątplenia nie byłibyśmy, jak pan to zauważył, tak jednoznaczni”.

- Innymi słowy, chroni pan tyłek Departamentu Stanu?

- Oczywiście - zgodził się sekretarz. - Jak również pański, komandorze. I jeszcze jedno, Hawthorne.

- Słucham?

- Jaką taktykę zastosuje pan wobec rodzin zabitych?

- Paskudną i brutalną.

- Biorąc pod uwagę, że przygotowałem pańskie dokumenty, wolałbym, aby był pan nieco bardziej precyzyjny.

- Zastosuję metodę bezpośredniej konfrontacji. Będę twierdził, że w Departamencie Stanu powstała wyjątkowo krytyczna sytuacja, w którą mogą być zamieszani zmarli. Dlatego nie ma czasu na zwyczajowy okres żałoby przed przesłuchaniami.

- Będą oburzeni. Być może członkowie rodzin albo gmin religijnych zechcą pana powstrzymać.

- Byłoby mi to nawet na rękę. Sam bowiem jestem wściekły...

Powiedzmy, że mam głęboką motywację osobistą. Poza tym moja przyjaciółka leży w szpitalu i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie chodzić. - Tyrell odłożył słuchawkę i odwrócił się w stronę zamyślnego, zapatrzonego przez okno Poole'a. - Zostałeś wybrany, Jackson - oznajmił. - Masz się spotkać z podsekretarzem do spraw Karaibów. Wręczy ci dla mnie dużą, wypchaną kopertę...

O co chodzi?

- Wszystko rozgrywa się w tak cholernym tempie, Tye odparł porucznik, odchodząc od okna, i spojrzął na Hawthorne'a. - Lista zwłok rośnie szybciej, niż możemy nadążyć... Van

Nostrand i jego szef ochrony, plus strażnik przy bramie, potem ta stara kobieta, szofer, rudowłosy facet na parkingu, następnie

Davenport, Ingersol i teraz ten O'Ryan.

- Zapomniałeś o jeszcze paru, poruczniku, nieprawdaż? zapytał Tyrell. - Jeżeli sobie dobrze przypominam, byli moimi bliskimi przyjaciółmi, a jeden bardzo bliskim twoim. Nie sądzę jednak, aby to była odpowiednia pora na ewangeliczny pacyfizm.

- Nie słuchasz mnie, komandorze.

- Czyżbym coś opuścił?

- Nie jesteśmy teraz daleko, na Karaibach, gdzie ty i ja moglibyśmy kontrolować przebieg wydarzeń. Geografia cholernie się nam skurczyła, a w sprawę wciąż jest wplątanych wiele osób, o których nic nie wiadomo.

- To logiczne. Nie mamy planu działania, lecz wiemy, że znajdujemy się w pobliżu punktu zero, a Bajaratt systematycznie eliminuje wszystkie możliwe ogniwa prowadzące bezpośrednio do niej.

- Wiemy, skąd się wzięła, ale kto jest po naszej stronie? Kto kontroluje?

- Powtórzmy San Juan - odpowiedział Hawthorne. Zajmiesz miejsce Cathy i założysz tu bazę operacyjną. Będziesz koordynował moje działania w miarę napływu informacji.

- W jaki sposób? I od kogo będą te informacje?

- Za pomocą techniki, która najprawdopodobniej zastąpi ludzi takich jak ja - takich, jakimi kiedyś byliśmy. Być może istniała już wtedy, ale nie mieliśmy na nią szczególnego zapotrzebowania albo chłopcy z laboratorium uważali, że nie jesteśmy w stanie nauczyć się nią posługiwać.

- Jakie wyposażenie?

- Przede wszystkim urządzenie zwane transponderem.

- Odzewowe urządzenie śledzące, które działa w paśmie

UHF - wyjaśnił surowo Poole. - W pewnym określonym zasięgu można ustalić twoją pozycję na siatce koordynat.

- Tak właśnie myślałem. Może być umieszczone w pasku.

Poza tym mam aparat przyzywowy, który emituje drobne ładunki elektryczne, informując, że ktoś chce się ze mną skontaktować.

Dwa sygnały powtórzone dwukrotnie oznaczają, żeby porozumieć się przy pierwszej sposobności, a trzy powtórzone kilkakrotnie łączność alarmową. Zastosowano w nim światłowodowy i zamontowano w plastikowej zapalniczce, dzięki czemu nie rejestrują go wykrywacze metalu.

- Kto kontroluje aparaturę? - zapytał porucznik.

- Ty. Ustawię ją na ciebie.

- Ustaw w taki sposób, abym - stosując odmienne kody wiedział, czy to Agencja, czy Departament Stanu przekazuje dla ciebie wiadomość. Cyfra ta powinna być zastrzeżona wyłącznie dla niezbędnego personelu pracującego w zmianach cztery na cztery, wszyscy umieszczeni pod strażą i bez dostępu do telefonów.

- Czy działałeś już w mojej dawnej branży, Poole?

- Nie, komandorze. Jestem starszym operatorem komputerów AWACS-a. Fałszywa informacja, świadomie fałszywa, jest koszmarem, do którego musimy się przyzwyczaić.

- Zastanawiam się, gdzie jest Sal Mancini...? Przepraszam.

- Nie musisz. Jeżeli kiedykolwiek go zobaczę, dowiesz się o tym, czytając gazety. Jest już martwy, bo w równym stopniu ponosi odpowiedzialność za śmierć Charliego jak pozostali! I cholernie dobrze się upewnij, czy ludzie przekazujący ci informację są tymi samymi, którzy figurują na siatce współrzędnych.

- Jakiej siatce?

- Obraz na ekranie ustala przekazane przez transponder miejsce, w którym się znajdujesz. Jeden zespół może obsługiwać jedno i drugie. Kiedy pracują oddzielne grupy, grozi to bałaganem.

- Czy przypadkiem nie ulegamy jakiejś paranoi? Palisser wyraźnie mi oświadczył, że będą dla nas pracować jedynie najbardziej doświadczeni i zaufani ludzie z Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Innymi słowy - stwierdził porucznik - może to być ktoś w rodzaju świętej pamięci pana O'Ryana?

- Powiem Palisserowi, że wszystko ma być zorganizowane dokładnie w zlecony przez ciebie sposób - oznajmił Hawthorne, kiwając wolno głową. - Dobra, zaczynajmy. - Wstał wolno z łóżka i wskazał na biodro. - Słuchaj, Jackson, mówiłem poważnie.

Przylep opatrunek mocniej.

- A co z twoim ubraniem? - Poole wziął z biurka plaster z opatrunkiem. Tyrell wstał, opuścił szorty i obserwował, jak porucznik z wprawą umacnia opatrunek, zalepiając go na krzyż plastrem. - Nie możesz iść do O'Ryanów i Ingersolów w gatkach.

- Dałem swoje wymiary sekretarce Palissera. W ciągu godziny mam mieć garnitur, koszulę, krawat i buty - wszystko z najlepszych sklepów. Pracownik Departamentu Stanu nie może naruszać obowiązujących zasad ubierania się. - Zadzwoił telefon i Hawthorne rzucił się na łóżko, znowu krzywiąc się z bólu. - Tak? zapytał krótko.

- Tu Henry, Tye. Czy przespałeś się chociaż trochę?

- Więcej, niż się spodziewałem.

- Jak się czujesz? Jak rana?

- Uważam na nią i szwy trzymają. Phyllis powiedziała, że sam wreszcie z głośnym hukiem zwałeś się do łóżka. Ciągłe jeszcze nie nauczyłeś się subtelności, co, Hank?

- Dziękuję ci za to... Za Hanka.

- Bardzo proszę. Jeszcze cię nie skreśliłem z mojej osobistej listy podejrzanych i może kiedyś uzupełnisz brakujące strony zgubione w Amsterdamie, ale obecnie pracujemy wspólnie. A skoro już o tym mowa, czy masz coś nowego? Co wiesz w sprawie telefonu w Paryżu?

- To numer w pałacyku w ParcMonceau, który należy do rodziny, a właściwie dynastii, o nazwisku Couvier. Bardzo starej i bardzo rozległej. Według Deuxieme właściciel jest ostatnim z wielkich elegantów. Ma prawie osiemdziesiąt lat i piątą żonę, która do minionego roku była hostessą na plaży w SaintTropez.

- Czy odnotowano jakieś rozmowy? Chodzi mi o międzynarodowe.

- Cztery z tej strony jeziora. W ciągu ostatnich dziesięciu dni dwie z Karaibów i dwie z kontynentu. Są zarejestrowane na taśmie.

Teraz nasi ludzie ustalają konkretną lokalizację na podstawie kodów strefowych i numerów.

- Czy Couvierowie przebywają w swojej rezydencji?

- Zarządzająca twierdzi, że nie. Są w Hongkongu.

- W takim razie to ona odbiera telefony?

- Tak właśnie sądzi Deuxieme - odparł Stevens. - Ma na imię Pauline i jest pod ścisłą obserwacją - elektroniczną i bezpośrednią. Kiedy coś się wyjaśni, skontaktują się z nami.

- To najlepsze, czego moglibyśmy się spodziewać.

- Czy zechcesz mi wyjaśnić, skąd wiedziałeś o Couvierach?

- Przykro mi, Henry, ale nie. Może później, o wiele później...

Czy coś jeszcze?

- Owszem. Zdobyliśmy swego rodzaju dowód, że Ingersol tkwił po uszy w kręgu Bajaratt. - Komandor opowiedział o ukrytym telefonie w gabinecie nieżyjącego adwokata i o satelitarnym przekaźniku na dachu. - Na pewno miał połączenie z jachtem w Miami Beach i wyspą tego szalonego starca.

- „Szalony” to bardzo właściwe słowo, Henry. Mogę zrozumieć van Nostranda, ale dlaczego tacy ludzie jak O’Ryan i Ingersol?

Dlaczego brali w tym udział? To bez sensu.

- Nie jestem pewien - odparł szef wywiadu marynarki. Pomyśl o pilocie z Porto Rico, Alfredzie Simonie. Był przekonany, że wiedzą o nim coś, co może go kosztować czterdzieści lat w Leavenworth. Niewykluczone, że podobnie było z O’Ryanem i Ingersolem. A przy okazji, Agencja przysłała nam wszystkie informacje, jakie mają na ich temat..

- Skoro już o tym mowa, to gdzie jest Simon? Co się z nim stało?

- Ma się jak pączek w maśle. Dzięki uprzejmości uwielbiającego go Pentagonu mieszka w apartamencie w Watergate.

Odbyła się nieoficjalna uroczystość ni mniej, ni więcej tylko w Gabinetcie Ovalnym, podczas której otrzymał parę medali i czek na okazałą sumę.

- Sądziłem, że prezydent raczej nie udziela się publicznie...

- Nie słuchałeś mnie uważnie. To była bardzo prywatna uroczystość, bez obsługi fotograficznej, bez prasy - wszystko w ciągu pięciu minut.

- W jaki sposób Simon wytłumaczył swoją, mówiąc najdelikatniej, długotrwałą nieobecność? Chryste, tyle lat!

- Słyszałem, że bardzo sprytnie. W każdym razie, wystarczająco mętnie, jak na potrzeby ludzi, którzy tak naprawdę nie chcieli żadnych wyjaśnień. Rzekomo zwolnienie ze służby wysłano mu na jakieś australijskie zadupie, gdzie zostało zagubione. Biedak wędrował przez lata z miejsca na miejsce jak prawdziwy wygnaniec, z jednego kraju do drugiego, bez przerwy pracując w lotnictwie. Nikomu nie zależało, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

- A więc Simon wyszedł z wody suchy - stwierdził Hawthorne. - Natomiast wpływowy prawnik z listy A Białego Domu i ogólnie szanowany analityk z Centralnej Agencji Wywiadowczej nie zdołali się wywinąć. Ingersol i O'Ryan nie byli z tej samej gliny co Al Simon.

- Nie powiedziałbym, to raczej sprawa lepszej jakości materiału. - W telefonie Stevensa rozległ się melodyjny odgłos dzwonka do drzwi. - Poczekaj, Tye, ktoś dzwoni do drzwi, a Phyllis bierze prysznic.

Cisza.

Komandor Henry Stevens nie wrócił do telefonu.

ROZDZIAŁ 26

Wyjeżdżamy natychmiast! - oznajmiła głośno Bajaratt, otwierając drzwi do sypialni i budząc Nica z głębokiego snu. - Wstawaj i spakuj nas, szybko!

Młody człowiek usiadł na łóżku i zaczął przecierać oczy oślepione jasnym popołudniowym słońcem padającym przez okna.

- Ubiegłej nocy spojrzałem w oblicze mojego Boga i miałem szczęście, że udało mi się przeżyć. Pozwól mi spać - powiedział.

- Wstawaj i proszę cię, rób, co każę. Zamówiłam limuzynę.

Będzie tu za dziesięć minut.

- Dlaczego? Jestem taki zmęczony i obolały.

- Szczerze mówiąc, tysiąc dolarów może nie zamknąć ust naszemu szoferowi, chociaż obiecałam mu więcej.

- Dokąd jedziemy?

- Wszystko załatwiłam, nie zaprzataj sobie tym głowy. Pośpiesz się! Muszę jeszcze zadzwonić. - Baj przeszła szybkim krokiem do saloniku i wybrała dobrze zapamiętany numer.

- Proszę się przedstawić - rozległ się obcy głos w słuchawce i wyjaśnić, o co chodzi.

- Nie jest pan człowiekiem, z którym rozmawiałam poprzednio - odparła Bajaratt.

- Dokonano zmian...

- Zaszło już zdecydowanie zbyt dużo zmian... - oznajmiła spokojnie, ale groźnie Baj.

- Były konieczne - przerwał jej mężczyzna reprezentujący

Skorpiony. - A jeżeli jest pani osobą, o której myślę, niech się pani lepiej z nimi pogodzi.

- Skąd mogę mieć pewność... Czy czegoś w ogóle mogę być pewna? Taki chaos byłby niedopuszczalny w Europie, a w dolinie

Bekaa wszyscy zostalibyście straceni!

- Skorpionów Dwa i Trzy już nie ma, prawda? Czy nie zostali straceni, Krwawa Dziewczynko?

- Proszę nie bawić się ze mną w dziecięce gry, signore odrzekła lodowatym tonem Bajaratt.

- I vice versa, łaskawa pani... Jeżeli chce pani dowodu, dobrze.

Znajduję się w kręgu wtajemniczenia, znam bowiem każdy ruch, jaki wykonano, aby panią odnaleźć. Wśród ludzi związanych z tą sprawą był komandor H.R. Stevens, szef wywiadu marynarki wojennej.

Współpracował z komandorem porucznikiem w stanie spoczynku Hawthorne'em...

- Hawthorne? Wie pan o...

- Tak jest. Doszli pani tropem do miejsca, które nazywa się

Chesapeake Beach. Każdy z naszego kręgu został zaalarmowany zabezpieczonym faksem. Ale komandor Stevens nie będzie już nikogo tropił. Nie żyje i prędzej czy później odnajdą ciało w gęstym żywopłocie za jego garażem. Zapewne przeczyta pani o tym w popołudniowych gazetach, a może nawet podadzą tę wiadomość w wieczornym dzienniku, o ile oczywiście nie będzie blokady informacji.

- Jestem zadowolona, signore - odparła łagodnie Bajaratt.

- Tak szybko? - zapytał Skorpion. - Z tego, co słyszałem i czytałem, to do pani niepodobne.

- Otrzymałam dowód.

- Moje słowo?

- Nie, nazwisko.

- Stevens?

- Nie.

- Hawthorne?

- Wystarczy, Scorpione Uno. Potrzebuję wyposażenia. Ta chwila może nastąpić lada dzień.

- Jeżeli coś mniejszego od czołgu, już pani tym dysponuje.

- Jest nieduże, ale dość wyrafinowane. Mogłabym zlecić przesłanie mi egzemplarza w przeciągu nocy z Bekaa przez Londyn lub Paryż, lecz nie ufam naszym technikom. W dwóch przypadkach na pięć egzemplarze są niesprawne. Nie mogę ryzykować.

- Ani też ludzie, którzy myślą podobnie jak ja, a jesteśmy w całym tym mieście. Pamięta pani Dallas trzydzieści lat temu to nasze dzieło. Jakie działania pani proponuje?

- Mam ze sobą szczegółowy rysunek techniczny...

- Proszę mi go przesłać - przerwał Scorio.

- W jaki sposób?

- Przypuszczam, że nie zamierza pani zdradzić mi miejsca swojego pobytu?

- Oczywiście, że nie - odrzekła Baj. - Pozostawię dla pana kopię w recepcji wybranego przeze mnie hotelu. Zadzwoń na kilka minut przed jej przekazaniem.

- Na jakie nazwisko?

- Proszę sobie wybrać.

- Racklin.

- Wybrał pan bardzo szybko.

- Był porucznikiem, jeńcem wojennym, który zginął w Wietnamie. Myślał tak samo jak ja. Był przeciwny naszej ucieczce z Sajgonu, nienawidził tych lalusiów z Waszyngtonu, którzy wzięli nam ręce.

- Doskonale, niech będzie Racklin. Gdzie mam zadzwonić, pod ten numer?

- Będę tu przez parę godzin, to wszystko. Potem muszę wrócić do biura na konferencję... Na pani temat, Krwawa Dziewczynko.

- Jakie wspaniałe przezwisko. Zdrobnienie, a takie śmiercionośne - odparła Bajaratt. - Zadzwoń do pana... powiedzmy w ciągu najbliższych trzydziestu minut. - Odłożyła słuchawkę. Nicolo! - zawołała.

Henry! - wrzasnął do słuchawki Tyrell. - Gdzie, do cholery, jesteś?

- Czy coś się stało? - zapytał Poole.

- Nie wiem - odparł Tye, kręcąc głową. - Henry'emu każda nowa sprawa przesłania cały świat. Może dostał raport z wewnętrznego kręgu wtajemniczenia, zabrał się do czytania i zapomniał o telefonie? Zadzwoń do niego później, i tak nie miał nic nowego. - Hawthorne odłożył słuchawkę i popatrzył na porucznika lotnictwa. - No dalej, pozaklejaj mnie i startuj do Departamentu

Stanu. Chciałbym już zaczynać. Nie mogę się doczekać spotkania z pogrążonymi w żałobie O'Ryanami i Ingersolami.

- Nigdzie się nie ruszysz, dopóki nie dostaniesz dokumentów i ubrania. Czy, z całym szacunkiem, mógłbym zaproponować, aby łaskawie się pan położył i nieco wypoczął, panie komandorze?

Przeszedłem szkolenie medyczne w czasie bojowego kursu kwalifikacyjnego, a także zapoznano mnie z zasadami postępowania w razie wstrząsu po ranieniu i jestem głęboko przekonany, że pan komandor powinien...

- Zamknij się, Jackson, i zaklej to cholerstwo!

Bajaratt zadzwoniła do Skorpiona, podając mu nazwę hotelu, i pozostawiła w recepcji „Carillonu” kopertę zawierającą rysunek techniczny śmiercionośnego urządzenia,

zaopatrzoną w wyraźny napis: „Racklin Esq. Do odbioru przez kuriera po sprawdzeniu całości pieczęci”.

- Sono desolato! - szepnął Nicolo w chwili, gdy ich bagaż ładowano do limuzyny. - Z moją głową jeszcze nie wszystko w porządku. Obiecałem Angel, że zadzwonię do niej z nowego hotelu, i się spóźniłem.

- Nie mam już cierpliwości do tych bzdur - rzuciła Bajaratt, idąc w stronę wielkiego samochodu.

- Ale ja muszę! - zawołał chłopak, chwytając ją za ramię i zatrzymując. - Przecież należy się jakiś szacunek i mnie, i jej!

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?

- Proszę mnie posłuchać, signora. Przeżyłem przy pani straszne chwile i zabiłem człowieka, który mógł mnie zabić. Wciągnęła mnie pani w swój szalony świat, a ja żywię dla tej młodej kobiety wielkie uczucie. Niech mi pani nie staje na przeszkodzie. Owszem, jestem młody i miałem wiele kobiet z różnych powodów, które mi pani przypisuje, ale ta dziewczyna jest inna.

- To brzmi lepiej po włosku niż po angielsku... Oczywiście, jeżeli musisz, zadzwoń do swojej przyjaciółki z telefonu w limuzynie.

W samochodzie starszy wiekiem czarny kierowca zapuścił silnik i odwrócił się w chwili, gdy Nicolo wyjmował telefon z uchwytu. Dyspozytor powiedział, że poda mi pani adres - rzekł.

- Chwileczkę, proszę - Bajaratt dotknęła policzka Nica. Mów cicho - poprosiła po włosku. - Muszę coś uzgodnić z szoferem.

- W takim razie zaczekam, aż pani skończy, bo mogę krzyknąć z radości.

- Gdybyś poczekał jeszcze trochę, powiedzmy jakieś pół godziny, mógłbyś się cieszyć tak głośno, jak ci się spodoba.

- O?

- Zanim dojedziemy do naszego nowego miejsca zamieszkania, będziemy musieli się zatrzymać, to znaczy ja będę musiała się zatrzymać. Nie ma potrzeby, żebyś mi towarzyszył, a więc pozostaniesz w samochodzie sam przynajmniej przez dwadzieścia minut.

- W takim razie poczekam. Czy uważa pani, że kierowca się obrazi, jeżeli poproszę go, aby podniósł przegródkę między nami?

- A po co? - Bajaratt spojrzała na niego przymrużonymi zimnymi oczyma. - Jestem pewna, że nie mówi po włosku.

Przecież ty rozmawiasz ze swoją aktoreczką tylko po włosku, prawda?

- Proszę, signora, ona mnie przejrzała, zanim wyjechała do Kalifornii. Wie, że znam angielski. Powiedziała, że dostrzegła to w moich oczach, kiedy byliśmy wśród innych - jak mi się śmiały, gdy opowiadano coś wesołego.

- Przyznałeś się, że mówisz po angielsku?

- Zawsze rozmawiamy przez telefon, więc chyba nic nie szkodzi, prawda?

- Wszyscy sądzą, że nie znasz angielskiego!

- Mylisz się, Cabi. Ten dziennikarz w Palm Beach wiedział o tym.

- To bez znaczenia, on już...

- Co?

- Mniejsza z tym.

- Jaki adres, proszę pani? - zapytał szofer, słysząc, że przestali mówić po włosku.

- Tak, zaraz. - Baj otworzyła torebkę i wyjęła skrawek pogniecionego brązowego papieru, na którym widniały arabskie litery zawierające zakodowane słowa i cyfry. Rozszyfrowała je w myśli i odczytała na głos nazwę ulicy oraz numer domu w Silver Spring, w Maryland.

- Czy wie pan, gdzie to jest? - zapytała.

- Znajdę, proszę pani - odparł kierowca. - Bez problemu.

- Proszę podnieść przegrodę.

- Z przyjemnością, proszę pani.

- Czy ta twoja Angel rozmawia o tobie z innymi? - zapytała nieprzyjemnym tonem Bajaratt, ze złością odwracając głowę w stronę Nica.

- Nie wiem, Cabi.

- Aktorki są tanie, są ekshibicjonistkami i zawsze szukają rozgłosu!

- Angelina jest inna.

- Widziałeś zdjęcia w czasopiśmie, te plotki...

- Wypisywali straszne rzeczy.

- A jak sądzisz, skąd się tam wzięły?

- Ponieważ jest znaną osobą, wszyscy troje doskonale to rozumieliśmy.

- Ona sama wszystko zaaranżowała! Chce w ten sposób zyskać większą popularność, to wszystko!

- Nie wierzę.

- Jesteś głupim portowym chłopakiem. O czym właściwie masz pojęcie? Czy sądzisz, że gdyby wiedziała, kim naprawdę jesteś, spojrzałaby na ciebie drugi raz?

Nicolo zamilkł. Wreszcie odezwał się, odchylając głowę na oparcie siedzenia:

- Masz rację, Cabi. Jestem nikim, zerem. Sięgnąłem za wysoko, wierząc w coś, w co nie powinienem był wierzyć, tylko dlatego, że z powodu prowadzonej przez ciebie wielkiej gry cieszę się zainteresowaniem i noszę eleganckie ubranie.

- Przed tobą całe życie, mój kochany chłopcze. Potraktuj to jako doświadczenie, które pozwoli ci z chłopca wyrosnąć na mężczyznę... A teraz posiedź cicho, muszę pomyśleć.

- O czym?

- O kobiecie, z którą mam się spotkać w Silver Springs.

- Ja też muszę pomyśleć - powiedział Nicolo.

Hawthorne włożył nowe ubranie przy pomocy Poole'a, który poprawił mu krawat, cofnął się i stwierdził:

- Wiesz, jak na cywila, zupełnie nieźle wyglądasz.

- Czuję się, jakby mnie ktoś wykrochmalił - stwierdził Tyrell, kręcąc szyją w sztywnym kołnierzyku.

- Kiedy ostatni raz nosiłeś krawat?

- Gdy ostatni raz byłem w mundurze. - Zadzwoił telefon i Hawthorne obrócił się, krzywiąc z bólu.

- Zostań na miejscu. Ja odbiorę - powiedział porucznik.

Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. - Słucham. Tu adiutant komandora. Proszę poczekać. - Przysłonił dłonią mikrofon i odwrócił do Tyrella. - Jasny gwint, z gabinetu dyrektora CIA. Stary chce z tobą mówić.

- Kimże jestem, aby się sprzeciwiać? - odparł Hawthorne, kładąc się niezgrabnie na łóżku i sięgając po słuchawkę. - Tu

Hawthorne - odezwał się.

- Dyrektor chce z panem rozmawiać. Proszę poczekać.

- Dzień dobry, panie komandorze.

- Dzień dobry, panie dyrektorze. Mam wrażenie, że wie pan, iż jestem w stanie spoczynku.

- Wiem o wiele więcej, młody człowieku, i bardzo tego żałuję.

- Co ma pan na myśli?

- Rozmawiałem z sekretarzem Palisserem. Tak jak on zostałem wmieszany w to niesłychane oszustwo zorganizowane przez van

Nostranda. Mój Boże, ten człowiek był genialny.

- Miał szansę być genialny. Ale teraz jest również martwy.

- Wiedział, jakie guziki przycisnąć. Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, wszyscy czulibyśmy się usprawiedliwieni w świetle jego tak zwanych zasług. Był przekonującym aktorem, więc podobnie jak moi koledzy wierzyłem mu całkowicie.

- W czym mu pan pomógł?

- Pieniądze, komandorze, ponad osiemset milionów dolarów przetransferowane do rozmaitych europejskich krajów.

- Kto teraz je dostanie?

- Biorąc pod uwagę wielkość sum, zapewne nastąpi międzynarodowe postępowanie sądowe. Po pierwsze, będziemy musieli w odpowiednim momencie ujawnić nielegalny przelew. Oczywiście, złożę rezygnację i wszystkie wielkie plany, jakie miałem, podejmując tę pracę, wezmą w łeb.

- Czy odniósł pan jakieś osobiste korzyści z tych przelewów?

- Dobry Boże, skądże!

- W takim razie, dlaczego podaje się pan do dymisji?

- Ponieważ bez względu na moje dobre intencje, działania te były nielegalne. Wykorzystałem swój urząd, aby pójść na rękę pojedynczemu człowiekowi, łamiąc prawo i utrzymując swe poczynania w tajemnicy.

- Zatem pomylił się pan w ocenie sytuacji. Nie był pan osamotniony. Fakt, że chce się pan przyznać do tego, co zrobił i dlaczego, według mnie uwalnia pana od oskarżeń.

- Jak na człowieka z takim bagażem doświadczeń, to dość niezwykle oświadczenie. Czy może pan sobie wyobrazić naciski na prezydenta? Człowiek, którego mianował na tak newralgiczne i wpływowe stanowisko, dokonuje nielegalnych przelewów na sumę ośmiuset milionów dolarów?! Opozycja zacznie wrzeszczeć o korupcji na najwyższych szczeblach, tak jak w wypadku afery Iran-contras, i nawet nie będę mógł się zasłonić względami bezpieczeństwa państwa.

- Niech pan machnie ręką na te bzdury - zaproponował

Hawthorne. Siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę tuż nad aparatem telefonicznym, a w jego oczach kryły się złość i lęk. - O jakim moim bagażu doświadczeń pan mówi?

- No cóż, sądziłem, że pan zrozumie.

- Amsterdam?

- Tak. Skąd to zdziwienie?

- Co pan wie o Amsterdamzie? - przerwał mu Tyrell ochryłym głosem.

- Zadaje pan trudne pytanie, komandorze.

- Proszę odpowiedzieć!

- Mogę jedynie stwierdzić, że komandor Stevens nie ponosi odpowiedzialności za śmierć pańskiej żony. Błąd tkwił w systemie, a nie w działaniach jednostki.

- To chyba najbardziej wykrętne sformułowanie, jakie słyszałem, może poza „ja tylko wykonywałem rozkazy”.

- Taka akurat jest prawda, Hawthorne.

- Czyja prawda? Pańska, jego, systemu?! Nikt za nic nie ponosi odpowiedzialności, czyż nie?

- Kiedy obejmowałem to stanowisko, miałem nadzieję, że uda mi się zlikwidować tę chorobę. Szło mi zupełnie nieźle do czasu, kiedy pojawił się pan i ta Bajaratt.

- Zejdź pan ze mnie, sukinsynu jeden!

- Jest pan wyprowadzony z równowagi, komandorze, ale mógłbym panu odpowiedzieć tym samym. Proszę mi pozwolić coś sobie wyjaśnić. Nie lubię wyszkolonego personelu Stanów Zjednoczonych - tak jak pan doskonale wyszkolonego za pieniądze naszych podatników - który sprzedaje się obcemu rządowi! Czy wyrażam się jasno?

- Nie interesuje mnie, co pan myśli czy mówi. Pan i pański system zabiliście mi żonę, i dobrze pan o tym wie. Nic nie jestem wam winien, skurwysyny!

- W takim razie wypieprzaj pan ze sprawy. Mam tuzin głęboko zakonspirowanych agentów lepszych od pana. Mogę ich wprowadzić do akcji i nawet przez chwilę nie odczuję pana braku. Niech mi pan zrobi tę uprzejmość i się wyłączy.

- Ani mi się śni! Zabito moich przyjaciół, dobrych przyjaciół, a osoba, która przeżyła, może nigdy nie będzie mogła chodzić. Pan i pańscy cwaniacy bylibyście tak samo bezużyteczni jak zawsze.

Zabieram się do roboty na serio i dobrze radzę obserwować moje działania, ponieważ doprowadzę was do Krwawej Dziewczynki.

- Wie pan co, komandorze? Sądzę, że jest to prawdopodobne, ponieważ, jak już wspomniałem, był pan dobrze wyszkolony. Jeżeli chodzi o monitorowanie pańskich działań, może pan być tego absolutnie pewien, albowiem pańska aparatura jest podłączona do naszych makrokomputerów. Wróćmy do sprawy, komandorze.

Zgodnie z pańskimi życzeniami, przekazanymi mi przez Palissera, grupy łączności i obsługi transponderów nie będą miały dostępu do zewnętrznych telefonów. Szczerze mówiąc, uważam to za przesadę i nasz personel będzie tym głęboko urażony. Są najlepszymi ludźmi, jakimi dysponujemy.

- Takimi jak O'Ryan... Czy opowiedział pan o nim swoim podwładnym?

- Rozumiem. - Dyrektor milczał przez chwilę, po czym oświadczył: - Być może zastosuję się do pańskich żądań, choć nie mamy dowodu jego zdrady.

- Od kiedy to bawi się pan w sądowe procedury, panie wodzu wywiadu? Był tam, i ona też. Ona przeżyła, oni nie. Czy zasady naszego działania uległy jakiejś zmianie?

- Nie, nie uległy. Zbieg okoliczności jest dość rzadkim, jeżeli w ogóle występującym, czynnikiem. Wyjaśnię ludziom, że operacja została zinfiltrowana, to powinno wystarczyć. Odosobnienie ma bardzo zły wpływ na morale, a wszyscy ci ludzie są wybitni. Muszę brać ten fakt pod uwagę.

- Jestem innego zdania. Niech im pan powie o O'Ryane!

Czego, u diabła, jeszcze pan potrzebuje? Dlaczego, skoro mamy tysiące kilometrów kwadratowych wybrzeża, O'Ryana zlikwidowano akurat w odległości zaledwie paruset metrów od Bajaratt?

- To nie jest ostatecznym dowodem, panie Hawthorne...

- Podobnie było w wypadku mojej żony, panie dyrektorze.

Obaj wiemy, co ją zabiło! Nie musimy przypuszczać, my wiemy!

Czy jeszcze nie wyciągnął pan wniosku? Jeżeli nie, to nie powinien pan zajmować tego fotela.

- Wyciągnąłem go przed wieloma laty, młody człowieku, ale moja obecna sytuacja wymaga wyciągnięcia następnego, podyktowanego nie tyle wiarą, ile pragmatyzmem. Bardzo wiele chciałbym tu zmienić, lecz nie mogę tego dokonać w sposób autorytarny. Zbyt często tak postępowano. Mimo wszystko jednak obaj jesteśmy po tej samej stronie.

- Nie, panie dyrektorze. Działam po mojej własnej stronie i w pewnym stopniu po stronie zdrowia psychicznego. Ale nie po waszej. Powtarzam: nie jestem wam, skurwysyny, nic winien. To wy macie wobec mnie dług, którego nigdy nie zdołacie spłacić. Czując, jak krew uderza mu do głowy, Hawthorne cisnął słuchawkę tak mocno, że pękł plastik obudowy.

Raymond Gillette, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, pochylił się nad biurkiem i masując palcami czoło, starał się pozbyć koszmarnego bólu głowy. Nieoczekiwanie przypomniała mu się placówka w Sajgonie i wspomnienie to przepełniło go smutkiem i gniewem, których źródła nie był w stanie zlokalizować. Aż nagle zrozumiał: chodziło o Tyrella Hawthorne'a, o to, co zrobił byłemu oficerowi marynarki. Podobieństwo z Sajgonem było boleśnie bliskie.

Swego czasu w Wietnamie młody oficer lotnictwa, absolwent

West Point, został zestrzelony razem ze swoją załogą i wyskoczył z płonącego samolotu niedaleko granicy z Kambodżą, w odległości niecałych ośmiu kilometrów od

zamaskowanych, krzyżujących się dróg zaopatrzenia szlaku Ho Chi Minha. Jakim cudem zdołał przeżyć dżunglę i bagna, a jednocześnie wymknąć się Vietcongowi i północnym Wietnamczykom, Bóg jeden raczy wiedzieć, ale jednak tego dokonał. Szedł na południe, forsując rzeki i przedzierając się przez lasy, żywiąc jagodami, korą i gryzoniami, aż wreszcie dotarł na własne terytorium. Historia, którą opowiedział w czasie odprawy, była niewiarygodna.

Widział zaakamuflowaną bazę o rozmiarach dwudziestu stadionów futbolowych, wykopaną w zboczu góry. Setki ciężarówek, czołgów, cystern samochodowych i wozów pancernych zniknęło w niej w ciągu dnia, a w nocy ruszało dalej na północ. Według młodego oficera był to zarazem skład amunicji, ponieważ zaobserwował wjeżdżające tam, pokryte plandekami, ciężarówki amunicyjne, które wracały stamtąd puste.

Wyobraźnię przesłuchującego lotnika oficera wywiadu - tego samego, który obecnie siedział za biurkiem dyrektora CIA - wypełniły wizje Peenemiinde, niemieckiej bazy rakietowej z czasów drugiej wojny światowej. Zbombardowanie, całkowite zniszczenie tak potężnego zespołu byłoby nie tylko wielkim zwycięstwem strategicznym, ale również bardzo ważnym czynnikiem psychologicznym, podnoszącym morale maszyny wojennej, zmęczonej walką z przeciwnikiem zupełnie nie liczącym się ze stratami.

Gdzie była ta gigantyczna górська kryjówka, wystarczająco duża, aby pomieścić całą dywizję wraz z jej siłą ogniową? Gdzie?

Młody oficer lotnictwa nie potrafił dokładnie wskazać miejsca na mapie lotniczej, ponieważ ukrywał się i uciekał na ziemi. Znał jednak koordynaty rejonu, w którym został zestrzelony, i był przekonany, że gdyby go tam zrzucono, zdołałby odtworzyć drogę ucieczki. Jednocześnie był pewien, że dotrze do wzgórz położonych naprzeciwko owego arsenału, skąd prowadził swoje obserwacje.

Tak, był tego absolutnie pewien. Istniała tylko jedna grupa takich wzgórz - „jak łyżeczki zielonych lodów, nałożone jedna na drugą”, ale nie do rozpoznania na zdjęciach lotniczych.

- Nie mogę pana o to prosić, poruczniku - powiedział

Gillette. - Stracił pan jedenaście kilogramów wagi, a pańskie siły fizyczne są na wyczerpaniu.

- Uważam, że może pan i powinien - odparł pilot. - Im dłużej czekamy, tym gorzej z moją pamięcią.

- Rany boskie, to po prostu kolejny skład.

- Poprawka, proszę pana, to jest ten skład. Nigdy nie widziałem nic podobnego i pan z pewnością też nie. To tak, jakby ktoś skrzył kawałek Wielkiego Kanionu w bok i zrobił wjazd!

Niech mi pan pozwoli jechać, kapitanie, proszę!

- Mam jedną wątpliwość, poruczniku. Dlaczego tak panu na tym zależy? Jest pan człowiekiem rozsądnym, nie szuka dodatkowych medali, a operacja może być bardzo niebezpieczna.

- Mam jeden, podstawowy powód, kapitanie. Razem ze mną wyskoczyli dwaj członkowie mojej załogi. Wylądowali blisko siebie na polu, podczas gdy ja wpadłem między drzewa, mniej więcej czterysta metrów dalej. Wrzuciłem spadochron pod gałęzie i pobiegłem w stronę pola najszybciej, jak potrafiłem. Kiedy do niego dotarłem, na drugim krańcu pojawiła się grupa żołnierzy - żołnierzy w mundurach, a nie dzieciaków w piżamach! Schowałem się w trawie i widziałem, jak te skurwysyny zadźgały moich ludzi bagnetami! To byli nie tylko moi przyjaciele, kapitanie; był wśród nich także mój kuzyn! Żołnierze, kapitanie! Żołnierze nie zabijają jeńców bagnetami...! Widzi pan, ja muszę tam wrócić. Zaraz.

Zanim wszystko zatrze mi się w pamięci.

- Dostanie pan najlepszą ochronę, jaką zdołamy zorganizować, oraz najnowocześniejsze wyposażenie techniczne, jakim dysponujemy. Będziemy monitorowali każdy pański krok. Przez cały czas będą panu towarzyszyły śmigłowce Cobra w odległości nie przekraczającej pięciu kilometrów, gotowe na każdy znak podleciec i ewakuować pana stamtąd.

- Czegóż więcej mógłbym jeszcze chcieć, panie kapitanie?!

O wiele więcej, młody człowieku, ponieważ nie orientowałeś się w tych sprawach, tak samo zresztą jak ja. Operacje Specjalne nie działają w taki sposób. Tam obowiązuje inna moralność, inna etyka, a maksymą jest „wykonać robotę za wszelką cenę”.

Młodego oficera przerzucono drogą powietrzną na północny wschód, razem z dezerterskim z Vietcongu, który pochodził z pogranicza Kambodży. Wylądowali na spadochronach w pobliżu miejsca, gdzie strącono samolot porucznika, i razem zaczęli odtwarzać trasę jego powrotnej wędrówki. Gillette, odpowiedzialny za akcję kapitan wywiadu, poleciał na północ, w okolice Hań Minh, i przyłączył się do zespołu Spec-Op, monitorującego działania dwuosobowej grupy zwiadu.

„- Gdzie są Cobry? - zapytał oficer wywiadu z placówki w Sajgonie.

- Niech się pan nie obawia, kapitanie - odpowiedział pułkownik.

- Powinny już tam być. Nasz pilot i uciekinier z Vietcongu podchodzą do celu. Niech pan ich posłucha!

- Jesteśmy na nasłuchu - odparł major siedzący przy radiostacji. - Proszę się rozluźnić. Podchodzą do celu zero i mamy doskonały namiar na ich pozycję.

- Jeżeli podadzą sygnał, będzie to oznaczało, że znaleźli się w odległości mniej więcej tysiąca metrów na zachód od zero dodał pułkownik.

- W takim razie wyślijcie Cobry! - ryknął kapitan z Sajgonu. - Zrobili wszystko, czego od nich chcieliśmy!

- Kiedy nadadzą sygnał - odrzekł pułkownik.

Nagle rozległy się trzaski zakłóceń atmosferycznych, którym towarzyszyło stacatto wystrzałów. A potem cisza, straszna cisza.

- To jest to! - zawołał major. - Załatwili ich. Każ bombowcom ruszać na cel i wywalić wszystko, co mają! Znasz koordynaty!

- Co to znaczy „załatwili ich”?! - zawołał Gillette.

- Najwidoczniej wykryły ich i zlikwidowały patrole północnych

Wietnamczyków, kapitanie. Oddali życie za powodzenie tej wspaniałej operacji.

- Gdzie, u diabła, są Cobry, śmigłowce, które miały ich zabrać?

- Jakie Cobry? - spytał sarkastycznie major ze Spec.-Op. Myśli pan, że zawalilibyśmy całą operację, trzymając Cobry w powietrzu w odległości kilku kilometrów od zero? Złapałoby je na radarze i po zabawie!

- Nie tak było uzgodnione! - wrzasnął kapitan. - Dałem pilotowi słowo!

- To było pańskie słowo, nie moje - oświadczył pułkownik. Próbuje wygrać wojnę, którą właśnie przegrywamy.

- Wy skurwysyny! Obiecałem pilotowi...

- Pan obiecywał, nie my. A przy okazji, jak się pan nazywa, kapitanie?

- Gillette - odparł zdziwiony oficer wywiadu. - Raymond

Gillette.

- Już widzę te nagłówki: „Żyłka Gillette przecina wielki szlak zaopatrzeniowy”! Mamy dobre chody w Wydziale Prasowym”.

Raymond Gillette, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej podniósł głowę, odchylił do tyłu i znowu ścisnął palcami skronie.

Przez wisko „Żyłka Gillette” otworzyło mu drogę do świata

Firmy - kosztem życia młodego pilota i jego wietnamskiego towarzysza. Czy znowu postępował tak samo? Z Hawthorne'em?

Czy możliwe, aby na górnych szczeblach CIA istniał kolejny O'Ryan?

Wszystko jest możliwe, doszedł do wniosku Raymond Gillette, wstając z fotela i podchodząc do drzwi gabinetu. Miał zamiar osobiście porozmawiać z każdym mężczyzną i każdą kobietą w Wydziale Łączności, spojrzeć im w oczy i korzystając z doświadczenia całego życia, spróbować odnaleźć w nich jakąś skazę. Od wielu lat był to winien martwemu oficerowi lotnictwa i jego wietnamskiemu przewodnikowi. Był to również winien Tyrellowi Hawthorne'owi, któremu dał słowo zaledwie kilka minut temu.

Zrobi coś więcej - musi osobiście zbadać wszystkich, w których rękach znajduje się życie Hawthorne'a. Otworzył drzwi i odezwał się do sekretarki:

- Helen, chciałbym, abyś powiadomiła zespół Dziewczyнки.

Cały personel ma się ze mną spotkać za dwadzieścia minut w Wydziale Operacyjnym, sala piąta.

- Tak jest, proszę pana - odparła siwowłosa kobieta w średnim wieku, wstając z fotela i obchodząc biurko. - Obiecałam pani

Gillette, że dopilnuję, aby wziął pan swoją popołudniową pastylkę - Wyjęła tabletkę z małego plastikowego pudełka, nalała do papierowego kubka wody z termosu i podała jedno i drugie zniecierpliwionemu dyrektorowi CIA.

- Pani Gillette prosiła, aby użył pan tej wody. Jest bez soli.

- Pani Gillette potrafi być bardzo męcząca, Helen - oznajmił dyrektor, wrzucając pastylkę do ust i popijając.

- Po prostu dba o pańskie zdrowie. Jak pan dobrze wie, zawsze nalega również, żeby usiadł pan na minutę lub dwie, aby organizm mógł przyswoić lekarstwo. Proszę usiąść, panie dyrektorze.

- Jesteś w zмовie z moją żoną, Helen, i nie zgadzam się na to - powiedział Gillette, siadając z uśmiechem w fotelu za biurkiem sekretarki. - Nienawidzę tych cholernych prochów. Czuję się po nich, jakbym wypił bez żadnej przyjemności trzy burbony.

Nagle, bez żadnych oznak nadchodzącego złego samopoczucia, Raymond Gillette wstał niepewnie zza biurka, skrzywił się i próbując złapać powietrze, podniósł ręce do twarzy. Potem zsunął się na podłogę z głową opartą o przód biurka. Usta miał rozchylone, oczy szeroko otwarte. Nie żył.

Sekretarka podbiegła do drzwi, zamknęła je i podeszła do zwłok. Przeciągnęła ciało do gabinetu dyrektora i położyła je przed kozetką, koło wychodzącego na północ okna. Wróciła do sekretariatu, ponownie zamknęła drzwi i powoli, oddychając równo i spokojnie, podniosła

słuchawkę swojego zabezpieczonego telefonu. Przycisnęła guzik wewnętrznego połączenia z oficerem kierującym operacyjną grupą łączności, wyznaczoną do działań w sprawie

Krwawej Dziewczynki.

- Słucham? - odezwał się męski głos.

- Tu Helen z sekretariatu dyrektora. Mam przekazać w jego imieniu, aby zaczął pan próby wyposażania grupy natychmiast, gdy dowiedzie się, że komandor Hawthorne jest na miejscu.

- Wiemy. Uzgodniliśmy to przed piętnastoma minutami.

- Mam wrażenie, że dyrektor nie życzy sobie, aby na niego czekać. Przez większą część popołudnia będzie zajęty na konferencjach.

- Nie ma sprawy. Ruszamy, gdy tylko dostaniemy wiadomość.

- Dziękuję - odparła Skorpion Siedemnaście, odkładając słuchawkę.

ROZDZIAŁ 27

Była czwarta trzydzieści pięć po południu. Andrew Jackson Poole V, wyraźnie oszołomiony, siedział przy biurku w „Shenandoah Lodge” i patrzył na rozłożony przed nim sprzęt dostarczony przez Centralną Agencję Wywiadowczą. Otrzymał dwa elementy, które właściwie wymusił: zwrotna, zabezpieczona linia łączności z Tyrellem omijała system komunikacyjny CIA, a pojedynczy żółty iks na ekranie oznaczał, że nastąpiło przechwycenie, na drugim zaś ekranie ruchomy punkt potwierdzał działanie transpondera Hawthorne'a.

Personel w Langley był oburzony, że podano w wątpliwość jego uczciwość, ale nie miał wyboru, ponieważ Tye kategorycznie oświadczył dyrektorowi CIA, że w szeregach Agencji może znajdować się jeszcze jeden O'Ryan, bez względu na to, czy Gillette chce w to wierzyć, czy nie.

- Słyszysz mnie, komandorze? - zapytał Poole, przerzucając przełącznik na małym pulpicie kontrolnym zabezpieczonej częstotliwości, na której utrzymywał łączność z Hawthorne'em.

- Tak - odparł siedzący w samochodzie Tye. Jego głos zadudnił echem z głośnika.- Jesteśmy sami?

- Całkowicie - odparł porucznik. - Czytam te skanery jak ta lala. Jesteśmy jeden na jeden bez przechwyceń.

- Co z Cathy?

- Ani dobrze, ani źle. Mają do powiedzenia tylko tyle, że jej stan jest stabilny, cokolwiek może to, do cholery, oznaczać.

- Lepsza taka wiadomość niż jakaś inna, Jackson.

- Ależ z ciebie palant, człowieku.

- Przykro mi, że tak sądzisz... Czy masz moje koordynaty?

- Tak, mam cię namierzonego, a Langley lokalizuje cię na południowy wschód, na drodze dwieście siedemdziesiąt. Zbliżasz się do skrzyżowania prowadzącego do trzysta pierwszej. Dziewczyna przy mapie mówi, że zna to miejsce. Po twojej lewej stronie jest zaniedbane trzeciorzędne wesołe miasteczko. Mają tam unieruchomioną karuzelę i strzelnicę, w której nic nie wygrasz, bo popsuli przyrządy celownicze.

- Właśnie je minąłem. Dobrze nam idzie.

Telefon na pulpicie zaczął dzwonić bez przerwy.

- Poczekaj, Tye, moja alarmowa linia z Langley rozgrzała się do czerwoności. Połączę się z tobą później.

Hawthorne prowadził samochód z tablicami rejestracyjnymi

Departamentu Stanu, obserwując drogę i panujący na niej ruch, ale myśli miał zaprzątnięte zupełnie czym innym. Co w kwaterze głównej CIA zaszło takiego, że ogłoszono alarm? Przecież wszelkie tego typu wezwania powinny wychodzić od niego, a nie od kogokolwiek w Langley. Znajdował się w odległości czterdziestu pięciu minut jazdy od Chesapeake Beach i letniego domu O'Ryanów.

Jeżeli cokolwiek miało się zdarzyć, to właśnie tam. Tyrell dotknął plastikowej zapalniczki tkwiącej w kieszeni koszuli. Powinna wysyłać elektryczne impulsy, gdyby ktoś chciał nawiązać z nim łączność, a on znajdował się poza samochodem. Poole wypróbował urządzenie - funkcjonowało, lecz impuls był słaby, może zbyt słaby. Czy Langley ustaliło przyczynę wadliwego działania? Może o to właśnie chodziło?

- Dobry Boże, to straszne! - rozległ się podniecony głos Jacksona. - Ale nic się nie zmieniło. Działamy dalej!

- Na rany boskie, co jest straszne?

- Znaleziono dyrektora Gillette'a martwego w jego gabinecie.

Serce. Od dawna miał problemy kardiologiczne, przechodził terapię.

- Kto tak twierdzi? - zapytał Hawthorne.

- Jego lekarz, Tye - odparł Poole. - Powiedział medykom z CIA, że można się było tego spodziewać któregoś dnia, choć nie przypuszczał, że aż tak szybko.

- Posłuchaj mnie, poruczniku, bardzo uważnie. Chcę, aby natychmiast przeprowadzono, powtarzam natychmiast przeprowadzono, sekcję zwłok Gillette'a, ze szczególnym uwzględnieniem analizy substancji znajdujących się w drogach oddechowych od krtani po oskrzela oraz treści żołądkowej. Muszą ją wykonać w ciągu paru godzin. Każ im zacząć niezwłocznie!

- O czym ty mówisz...? - wyjąkał Poole. - Powtórzyłem ci, co stwierdził jego lekarz.

- Ja zaś powtórzę ci słowa Gillette'a, wypowiedziane zaledwie trzy godziny temu: „Zbieg okoliczności jest dość rzadkim, jeśli w ogóle występującym, czynnikiem.” A śmierć dyrektora Centralnej

Agencji, całkowicie odpowiedzialnego za tę operację, to cholerny zbieg okoliczności! Niech szukają śladów digitaliny! - ciągnął dalej. - Jest stosowana do tak dawna jak skopolamina i równie skuteczna. Nie musisz mieć problemów kardiologicznych, aby

spowodowała arytmie albo nawet łagodne zaburzenia w pracy serca.- Wystarczy maleńka dawka. Poza tym szybko ulega rozpadowi.

- Skąd to wiesz...?

- Jasna cholera! - zaklął Hawthorne. - Wiem i już! A teraz ruszaj się i dopóki nie będziesz miał wykonanej przez niezależne laboratorium zaprzysiężonej analizy stwierdzającej, że był czysty, ta linia łączności jest zamknięta. A jak będziesz ją miał, daj mi pięć impulsów przekaźnikiem. Inaczej nie będę w ogóle odpowiadał. I nie obchodzi mnie, ile ci to zajmie, nawet jeżeli musiałbyś zarwać noc!

- Tye, nie rozumiesz. Gillette'a znaleziono jakieś dwie i pół godziny temu i ciało przewieziono do szpitala Walter Reed...

- Rządowy szpital! - eksplodował Hawthorne. - Jesteśmy zablokowani.

- To przecież głupie - wtrącił się Poole. - Znam tę aparaturę i Langley o tym wie. Nikt nas nie podsłuchuje. Przeprowadziłem dwa kontrolne podłączenia i obydwie zostały wykazane. Jesteśmy jeden na jeden, nikogo więcej.

- Mógłbym ci wyrecytować długą listę waszyngtońskich podwójnych agentów, Jackson. Powiedziałem, że możemy być.

- Dobra, załóżmy, że masz rację, chociaż to wykluczone.

Przyjmijmy, że są w Langley inni paskudni ludzie podobni do pana O'Ryana, którzy mieliby ochotę iść twoim tropem i wrednie cię potraktować. W takim razie odetnijmy siatkę koordynat, a nie łączność.

- Zdejmę pas z transponderem zainstalowanym w pasku i wyrzucę go przez okno - zagroził Tyrell.

- Czy mógłbym ci zaproponować, żebyś wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, wrócił do wesołego miasteczka i pozostawił tę cholerną rzecz koło beczki śmiechu? Albo na karuzeli?

- Poole, rzeczywiście jesteś oficerem o wielkich możliwościach.

Jadę do wesołego miasteczka. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy usłyszę, że grupa głęboko zakonspirowanych agentów CIA szturmowała tunel miłości. Albo, przy pewnej dozie szczęścia, utkwiała na szczycie karuzeli.

Wyłożona płytkami ścieżka prowadziła do znajdującego się między kolumnami wejścia do domu, stanowiącego replikę wielkiej plantatorskiej rezydencji z okresu przed wojną secesyjną. Bajaratt skierowała się w stronę grubych dwuskrzydłowych drzwi pokrytych inskrypcjami z naukami Mahometa. - Bzdura! - szepnęła do siebie. Nie było żadnego Allacha ani Mahometa, ani Chrystusa.

Istniał jedynie radykalny żydowski awanturnik, stworzony przez
Esseńczyków, na wpół analfabetów, którzy nie potrafili nawet uprawiać swojej ziemi.
Nie było Boga, ale głos rozbrzmiewający w pobudzonej jednostce ludzkiej, wewnętrzny głos
nakazujący mężczyźnie lub kobiecie walczyć o sprawiedliwość - dla wszystkich uciskanych.
Cóż jeszcze innego? Baj splunęła na ścieżkę, potem opanowała się, uniosła arystokratyczną
dłoń i nacisnęła dzwonek.

Chwilę później drzwi otworzył jej Arab w długim do ziemi burnusie.

- Jest pani oczekiwana, madame, ale spóźniła się pani.

- A gdybym przyszła jeszcze później, nie pozwoliłbyś mi wejść?

- Możliwe...

- W takim razie odchodzę - oznajmiła Bajaratt. - Jak śmiesz?

Z wnętrza rozległ się kobiecy głos:

- Och, Achmet Ashad, pozwól pani wejść do środka i odłóż broń. Jesteś bardzo
nieuprzejmy.

- Nie trzymam broni na widoku - odparł służący.

- W takim razie jesteś tym bardziej nieuprzejmy. Wprowadź naszego gościa.

Pokój był typowym salonikiem w podmiejskim domu, jeśli chodzi o wygląd okien,
zasłon i tapet, ale cała reszta w niczym nie przypominała zwyczajnego pomieszczenia. Nie
było krzesel, jedynie ogromne poduszki rozrzucone na podłodze, a przed każdą z nich stał
miniaturowy stolik. Na jednym z powleczonych czerwoną satyną pagórków spoczywała
niezwykle urodziwa ciemnoskóra kobieta w nieokreślonym wieku. Jej nieruchoma twarz o
klasycznych rysach była mimo wszystko pełna ciepła i pozbawiona sztywności. Gdy się
uśmiechnęła, oczy wypełniły się światłem jak opale, zdradzając szczerą ciekawość i
zainteresowanie.

- Proszę usiąść, Amayo Aquirre - powiedziała łagodnym, melodyjnym głosem,
doskonale harmonizującym ze szmaragdowozielonym kombinezonem, który miała na sobie. -
Widzi pani, znam pani nazwisko, a także wiele wiem o innych związanych z panią sprawach.
Przestrzegam również arabskiego zwyczaju, według którego powinnyśmy znajdować się na
tym samym poziomie - dla nas będzie to podłoga, tak jak piasek dla Beduinów dzięki czemu
żadna z nas nie będzie górować nad drugą, nawet symbolicznie. Uważam to za jeden z
bardziej interesujących arabskich zwyczajów: podejmowanie wszystkich, nawet stojących od
nas niżej, na tym samym fizycznym poziomie.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że stoję niżej od pani?

- Ależ nie, skądże znowu, lecz nie jest pani Arabką.

- Walczyłam o waszą sprawę... Mój mąż za nią zginął!

- W czasie szalonej wyprawy, która nie przyniosła pożytku ani Żydom, ani Arabom.

- Wszyscy w Bekaa wyrazili zgodę, pobłogosławili nas!

- Zgodzili się, ponieważ pani mąż był zapaleńcem, ludowym bohaterem, a jego z góry przesądzona śmierć uczyniła z niego symbol, bojowe zawołanie: „Pamiętajmy Aszkelon!”. Chyba słyszała już pani takie zdanie? Wszystko to jest bzdurą, oczywiście oprócz odniesień emocjonalnych.

- Czy to ma znaczyć, że życie moje i mojego męża, że my sami jesteśmy niczym?! - Baj zerwała się z poduszki i w tej samej chwili w drzwiach pojawił się Achmet. - Pragnę umrzeć za największą sprawę w historii! Śmierć świniom sprawującym władzę!

- O tym właśnie musimy porozmawiać... Pozostaw nas same, Achmecie, ona nie ma broni... Pani pragnienie, aby umrzeć, nie jest tak strasznie ważne, moja droga. Na całym świecie są mężczyźni i kobiety pragnący umrzeć za coś, w co wierzą, i o większości z nich nikt nigdy nie słyszał - ani przed, ani po ich czynie.... Nie, chcę dla pani, dla nas, czegoś więcej.

- A czegoż to? - zapytała Bajaratt, powoli siadając z powrotem i wpatrując się prosto w oczy pięknej, wprowadzając starzejącą się, ale nie poddającą się czasowi kobiety.

- Jak na razie, radziła sobie pani doskonale, przy pewnej oczywiście pomocy, ale przede wszystkim dzięki własnym niezwykłym talentom. W ciągu zaledwie kilku dni stała się pani wpływową, działającą z ukrycia siłą. Potężni tego świata szukają z panią kontaktu, licząc, że uzyskają to, co według nich może im pani zapewnić. Nikt z nas nie potrafiłby tego dokonać. Stworzyła pani genialną koncepcję. Młody człowiek - ni mniej, ni więcej tylko baron - który właśnie pobiera nauki, i rodzina w Ravello dysponująca milionami do zainwestowania! A ta młodzianka aktorka - cóż za uroczy efekt uboczny, prawdziwie wzruszający!

Zasługuje pani na swoją reputację. /

- Robię, co mam do zrobienia, a osąd pozostawiam innym.

Szczerze mówiąc, jest on dla mnie bez znaczenia. Pytam ponownie, czego pani ode mnie chce? Rada Bekaa poleciła mi nawiązać z panią kontakt w ostatnich dniach mojego tu pobytu, a być może i życia. Mój czas dobiega końca...

- Zdaję sobie sprawę, że my... że ja nie mam nad panią władzy. Prerogatywy te należą wyłącznie do Rady Najwyższej.

- Wiem. Przybyłam tu jednak złożyć należne wyrazy szacunku prawdziwemu przyjacielowi, sojusznikowi naszej sprawy i wysłuchać pani słów... A więc słucham.

- Przyjaciółką - owszem, Amayo, ale sojuszniczką jestem tylko do pewnego stopnia, moja droga. Nie należymy do Skorpionów van Nostranda, tej grupki zakonspirowanych oportunistów, których jedynym celem jest lukratywne służenie Dobroczyncom.

A ci ostatni dążą tylko do zapewnienia sobie bogactwa i władzy. Ja zaś... my... dysponujemy jednym i drugim.

- Kim pani jest? Wie pani bardzo dużo.

- Nasza praca polega na tym, żeby wiedzieć.

- Ale kim pani jest?

- Niemcy w czasie drugiej wojny światowej mieli odpowiednie określenie: Der Nachrichtendienst, elitarna jednostka wywiadowcza, o której nawet najwyższe dowództwo Trzeciej Rzeszy wiedziało bardzo niewiele albo wcale. W jej skład wchodził niecały tuzin członków - w podeszłym wieku, najczęściej Prusaków, których wkładem było blisko osiemset lat doświadczenia i wpływów. Byli

Niemcami do szpiku kości, ale działali poza zamętami i namiętnościami wojny, wybierając jedynie to, co było najlepsze dla ich ojczyzny, ponieważ zdawali sobie sprawę, jak bardzo szkodzi ich narodowi przywództwo Adolfa Hitlera i jego opryszków... My także dostrzegamy szkody, jakie przynoszą nam terroryści mordujący kobiety i dzieci w Izraelu. To po prostu daje odwrotne skutki.

- Uważam, że ta rozmowa zaszła już za daleko! - ucięła

Baj, zrywając się z miejsca. - Czy pani i ta elita zastanawialiście się, co znaczy wygnanie całego narodu? Czy byliście w obozach dla uchodźców? Czy widzieliście, jak izraelskie spychacze zrównują z ziemią wasz dom na podstawie nikłego zaledwie podejrzenia?

Czy zapomnieliście o krwawej łaźni urządzonej w obozach Szatila i Sabra?

- Doniesiono nam, że wasze spotkanie z prezydentem ma nastąpić jutro wieczorem, mniej więcej o ósmej - powiedziała kobieta cicho, jeszcze bardziej odchylając się na satynowe poduszki.

- A więc jutro? O ósmej?

- Początkowo planowano je na trzecią po południu, ale biorąc pod uwagę charakter amerykańskiej wizyty „hrabiny”, a zwłaszcza perspektywy zagranicznych inwestycji, które są obecnie nader delikatnym problemem dla tak dumnego kraju, zasugerowano

Białemu Domowi, że bardziej odpowiednia byłaby późniejsza, wieczorna godzina. Dzięki temu prasa będzie miała mniejsze szansę dowiedzenia się, że prezydent wyróżnia w

ten sposób ambitnego włoskiego arystokratę, wykorzystującego aktualną sytuację gospodarczą.

- Jaka była reakcja? - zapytała oszołomiona Baj.

- Szef personelu zgodził się natychmiast i z entuzjazmem.

Nie cierpi wyświadczać uprzejmości senatorom i kongresmanom, ale prezydent w równym stopniu nie lubi obrażać kogokolwiek, kto dysponuje politycznymi wpływami. Jeżeli uderzy pani o ósmej, będzie pani miała zdecydowanie większą szansę ucieczki i podjęcia walki na nowo. O tej porze bowiem następuje zmiana posterunków ochrony Białego Domu, a podczas przekazywania zmiennikom najnowszych informacji i instrukcji w oczywisty sposób rozluźnia się dyscyplina. Pomocy udzielą pani trzej mężczyźni. Jeden z nich, w liberii szofera, udając, że chroni panią przed prasą, będzie wskazywał drogę i przeprowadzi panią przez korytarze zaplecza do następnej limuzyny.

Naszej. Hasłem będzie „Aszkelon”. Mam nadzieję, że się pani zgadza?

- Nie rozumiem - powiedziała Bajaratt - dlaczego to robicie?

Przed chwilą z pani słów wynikało, że nie aprobujecie...

- Pani pozostałych zamiarów - przerwała jej ostro Arabka. Ale w zamian za ochronę pani życia chcemy o coś poprosić, a raczej czegoś zażądać. Właściwie nie mamy żadnych zastrzeżeń, geopolitycznych czy innych, jeżeli chodzi o zabójstwo amerykańskiego prezydenta. Kieruje nim opinia publiczna, a nie zasady, można go więc usunąć. W części społeczeństwa ten człowiek nie wzbudza żadnych emocji. Och, oczywiście, zapanuje oburzenie, zostaną powołane najrozmaitsze komisje śledcze, ale z czasem wszystko ucichnie. Natomiast wiceprezydent jest wyjątkowo popularny.

I chociaż uważamy to za melodramatyczny gest, możemy nawet zgodzić się na zabójstwa w Anglii i Francji, jeżeli tak bardzo pani na nich zależy. Europejskie rządy mają doświadczenie życiowe i nie czynią idoli ze swoich przywódców politycznych. Przyjmują do wiadomości brutalną rzeczywistość i zaczynają negocjować. Szczerze mówiąc, jeżeli w Ameryce zapanuje chaos i próżnia polityczna, będziemy mogli dalej rozciągnąć nasze wpływy, a co ważniejsze - następcy prezydenta i ich gabinety otrzymają istotny sygnał. Może nie dysponujemy tyloma głosami czy pieniędzmi co Żydzi, lecz mamy co innego; coś, co jest warte tyle, ile osławiony Mossad. Nie jesteśmy mitem, fantazją czy wymysłem szaleńca. Jesteśmy prawdziwi. I jak powiedziała pani kilka minut temu, dysponujemy ludźmi, którzy zgodzą się umrzeć, aby obciąć głowę wężowi. I jak już udowodniłaś, moje dziecko, swoją genialną strategią, nigdy nie będą wiedzieli, skąd i kiedy możemy się zjawić. Sprawujący zaś

władzę zastanowią się dwukrotnie, zanim znowu zaczną całować izraelski but. Innymi słowy
- Ameryka również zdobędzie doświadczenie życiowe.

- A czego pani żąda w zamian za ochronę mojego życia, które nie ma w tym wypadku większego znaczenia?

- Nie zabijaj Żydów. Proszę odwołać swoich ludzi z Jerozolimy i Tel Awiwu.

- Jak pani może mówić coś takiego?! To nasz ostateczny czyn, zemsta za Aszkelon!

- I śmierć wielu tysięcy spośród naszego ludu, Amayo.

Izrael traktuje takie sprawy jednostronnie - osobiście, jeśli wolisz. Na dobrą sprawę nie obchodzi go, co się dzieje poza jego granicami, chyba że pewne działania mogą mu zagrozić.

Gdyby jakiś inny naród przeszedł holocaust, zachowywałyby się tak samo. Wyjaśniam: jesteśmy praktyczni. Jeżeli zabijesz żydowskiego przywódcę, izraelskie samoloty będą w dzień i w nocy, całymi tygodniami, bombardowały nasze obozy i osiedla tak długo, aż zniszczą je całkowicie, zamienią w ruiny i cmentarzyska.

Weź pod uwagę niedawne wydarzenia - Żydzi zwolnili tysiąc dwustu więźniów za sześciu izraelskich żołnierzy. A przywódca równa się dziesięciu tysiącom izraelskich żołnierzy, ponieważ jest kimś więcej niż człowiekiem - jest żywym symbolem swojego narodu.

- Żąda pani ode mnie zapłacenia ogromnej ceny - odparła

Bajaratt prawie szeptem. - Ceny, na którą nie jestem przygotowana.

Całe życie czekałam na tę chwilę, na ten wspaniały moment, który nada sens mojej egzystencji...

- Moje dziecko... - zaczęła Arabka.

- Nie! Nie jestem dzieckiem ani pani, ani nikogo innego odparła Bajaratt zimnym tonem. - Nigdy nie byłam dzieckiem.

Muerte a toda autoridad.

- Nie rozumiem...

- I nie musi pani rozumieć. Przecież sama pani powiedziała, że nie ma nade mną żadnej władzy.

- Oczywiście, że nie. Próbuję jedynie przemówić ci do rozsądku, ochronić.

- Rozsądek? - szepnęła Baj. - Co rozsądek dał pani albo mojemu ludowi? Pani naród jest przynajmniej w obozach, obojętne jak brudnych, a na mój poluje się w górach niczym na zwierzęta, zabija, morduje bez wyroku... obcina głowy. Muerte a toda autoridad! Muszą zginąć wszędzie.

- Proszę, moja droga - odezwała się ciemnoskóra kobieta.

Była wyraźnie zaniepokojona hipnotyzującym wpływem Bajaratt. Proszę, nie jestem twoim wrogiem, Amayo.

- Widzę to - odparła Bajaratt. - Próbuje mnie pani tylko powstrzymać prawda? Ma pani uzbrojonego służącego, który z łatwością może mnie zabić.

- I ściągnąć na nasze głowy gniew doliny Bekaa? Jesteś ich adoptowaną ukochaną córką, żoną poległego bohatera Aszkelonu, uwielbianą kobietą, której Rada udzieliła na zawsze swych błogosławieństw i w której głos pilnie się wsłuchuje. O ile dobrze wiem, ludzie z Bekaa podążali za tobą do tego domu.

- Nigdy! Zawsze działam na własną rękę.

- To ty tak sądzisz, ale ja nie jestem tego aż tak pewna i dlatego nic złego cię tu nie spotka. Proszę. Jesteś bardzo zmęczona. Powtarzam ci: nie uważaj mnie za twojego wroga, lecz za przyjaciółkę.

- I dlatego radzi mi pani usunąć Jerozolimę z mojego planu?

Jak pani może?!

- Z powodów, które ci podałam... Jednym z nich jest perspektywa rzezi być może miliona Palestyńczyków. A wtedy nie będzie już sprawy palestyńskiej, bo mojemu ludowi zostanie wydarte serce.

- Zabrali wam ziemię, dzieci, przyszłość, czemuż więc nie mieliby zabrać i serc?

- To tylko słowa, Amayo, szaleńcze deklaracje...

- Nigdy nie zabiorą naszych dusz!

- To jeszcze bardziej szalone słowa. Dusze nie mogą walczyć bez ciał. Trzeba przeżyć, aby kontynuować walkę. Spośród wszystkich kobiet ty powinnaś wiedzieć o tym najlepiej. Jesteś genialnym strategiem.

- A pani? Żyjąc wśród tego wszystkiego, kim pani jest, aby udzielać mi pouczeń? - Bajaratt ruchem ręki wskazała bogato urządzone pokój.

- Ach, ten wystrój... - odparła ponadczasowa piękność, śmiejąc się cicho. - Obraz bogactwa i dogadzania sobie, połączenie, które cechuje władzę i wpływy, ponieważ jedno towarzyszy drugiemu w tym zmaterializowanym świecie. Wszyscy działamy na pokaz.

Przecież to świadczy o naszej ważności, nieprawdaż? Nie muszę ci tego tłumaczyć, wszak sama jesteś imagiste extraordinaire. Nie różnimy się zbyt od siebie, Amayo Aquirre. Ty odwracasz uwagę, działając z zewnątrz, aby przedrzeć się przez powierzchnię, ja natomiast drążę od środka i kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, rozsadzam skorupę za pomocą dostępnego materiału... Ty jesteś tym materiałem, nitrogliceryną, moje dziecko... I

nie mów mi, żeś nie jest moim dzieckiem w tej sprawie, tej świętej sprawie, ponieważ uważam cię teraz za moją córkę.

- Nie jestem już niczyją córką! Zrodziła mnie śmierć; to, że widziałam śmierć!

- Jesteś moja. Cokolwiek widziałas, to nic w porównaniu z tym, co ja przeżyłam. Mówiłaś o Szatili i Sabrze, ale tam nie byłaś. Ja tak! Twierdzisz, że pragniesz zemsty, moje ty niearabskie dziecię? Ja pragnę jej bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

- Czemu więc chce mnie pani powstrzymać przed zabijaniem Żydów?

- Ponieważ spowodujesz tysiąc nalotów wymierzonych w mój naród. M ó j, a nie twój.

- Jestem jedną z was i wie pani o tym! Udowodniłam to.

Oddałam wam swojego męża i jestem gotowa oddać własne życie.

- Niezbyt trudno oddać coś, czym się pogardza, Amayo.

- A jeżeli odmówię pani żądaniu?

- W takim razie nie dotrzesz do Białego Domu ani tym bardziej do Owального Gabinetu.

- Śmieszne! Moja wizyta w Białym Domu jest już zapewniona!

Człowiek, który mi pomaga, pragnie milionów Ravello i wcale nie jest głupcem.

- A co wiesz o tym człowieku, o senatorze Nesbitcie ze stanu Michigan?

- A więc zna go pani?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Termin twojego spotkania zmieniono, Amayo - odparła.

- Tak, oczywiście... Sprawia wrażenie zwykłego amerykańskiego polityka, a w końcu poświęciłam wiele czasu, aby zdobyć o nim wiadomości. Chce być powtórnie wybrany w stanie, w którym występuje duże bezrobocie, musi więc przekonać wyborców, że zasługuje na ich głosy. A jakiż jest lepszy sposób niż wpompowanie setek milionów w ogarniętą recesją gospodarczą miejsca zatrudnienia?

- Tak, rzeczywiście zebrałaś informacje, moja droga. Ale jakim jest człowiekiem? Czy określiłabyś go jako dobrego, uczciwego człowieka?

- Nie mam pojęcia i nie interesowałam się tym. Powiedział, że był prawnikiem, zdaje się sędzią, jeżeli ma to jakieś znaczenie.

- Niezbyt duże, są sędziowie i sędziowie... Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że może być Skorpionem? Że ci pomaga, ponieważ mu kazano?

- Nie, nigdy...

- Wiemy, że w Senacie jest Skorpion.

- Ujawniłby się - oznajmiła Bajaratt, przechodząc do obrony. - Czemu nie? Van Nostrand tyle zrobił. Podał mi kody telefoniczne, żebym mogła porozumieć się ze Skorpionami.

- Nie dające się wysledzić przekazy satelitarne. Wiemy o nich wszystko.

- Trudno mi uwierzyć...

- Zajęło to nam prawie trzy lata, ale w końcu zdołaliśmy wyszukać i kupić jednego Skorpiona. Między nami mówiąc, spotkałaś ją na Florydzie. Podejmowała cię w Palm Beach. Ma bardzo przyjemną posiadłość, prawda? Sylvii i jej męża zapewne nie byłoby na nią stać bez poważnej pomocy finansowej. Jedyne bowiem talenty jej męża polegały na umiejętności przepuszczenia spadku w wysokości trzydziestu milionów dolarów w niespełna trzydzieści lat. Ona natomiast jest bardzo pożytecznym Skorpionem, wynalezionym przez van Nostranda. Po prostu wysledziliśmy ją za jego pośrednictwem, zaproponowaliśmy więcej niż Dobroczyńcy i zdobyliśmy sojusznika.

- Przedstawiła mnie Nesbittowi... Oboje są Skorpionami!

- Ona tak, senator na pewno nie. To był mój pomysł, aby zaprosić go do Palm Beach z, jak sądzi, całkowicie uzasadnionych motywów politycznych. Nie ma najmniejszego pojęcia, kim naprawdę jesteś ani dlaczego się tu znalazłaś. Wie jedynie, że jesteś hrabiną Cabrini, mającą niezwykle bogatego brata w Ravello.

- W takim razie potwierdza pani moją opinię. Nie może mnie pani powstrzymać, chyba że mnie pani zabije, narażając się na znane represje doliny Bekaa. Sądzę, że nasza rozmowa dobiega końca. Wysłuchałam pani i tym samym wypełniłam swoje zobowiązania wobec Rady.

- Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę, Amayo. Nic na tym nie stracisz, a to, co powiem, może się okazać pouczające. Arabka wstała wolno, z kocią gracją. Bajaratt zaskoczył jej wzrost. Była niska, miała zaledwie metr pięćdziesiąt dwa, lecz jej przypominająca elegancką lalkę postać wbrew wszystkiemu nakazywała absolutny posłuch. - Wiedzieliśmy, że pracujesz ze Skorpionami - naszą sojuszniczkę z Palm Beach poinformowało o tym fakcie biuro imigracyjne w Fort Lauderdale, a ponieważ otrzymaliśmy wiadomość o twojej rychłej wizycie w Białym Domu, musiałam się upewnić, że najpierw przybędziesz tutaj.

- Wiedziała pani, że tak zrobię - przerwała jej Baj. - Nasze spotkanie było uzgodnione przed wieloma tygodniami w dolinie

Bekaa i odpowiednia informacja zakodowana po arabsku - adres, dzień i godzina.

- Wierzę w ciebie całkowicie, ale wtedy jeszcze cię nie znałam, więc zapewne zrozumiesz moje obawy. Gdybyś nie pojawiła się dzisiaj wieczorem, madame Balzini zostałaby zabrana z hotelu

„Carillon” jutro wczesnym rankiem.

- Balzini... „Carillon”? Pani o tym wie?

- Oczywiście, lecz nie od Skorpionów - odparła kobieta, podchodząc do zawieszzonego na ścianie pozłacanego interkomu bo o tym nie wiedzieli - dokończyła, odwracając się w stronę

Bajaratt. - Nasza przyjaciółka z Palm Beach zadzwoniła i „powiedziała, że ma trudności ze skontaktowaniem się ze swoimi przełożonymi za pośrednictwem zakodowanej łączności Skorpionów. Prawdę mówiąc, przestała próbować, bojąc się dekonspiracji.

- Pojawiło się kilka problemów - stwierdziła Baj, nie wdając się w wyjaśnienia.

- Najwidoczniej... Jednakże, jak się przekonasz, nie potrzebujemy Skorpionów. - Szczupła, mała kobieta wyciągnęła nie patrząc rękę i dotknęła srebrnego guzika na interkomie. - Achmecie, teraz - poleciła, nie spuszczać wzroku z Amai. - Za chwilę zobaczysz, moja droga, człowieka o dwóch wyraźnie odmiennych osobowościach, a nawet- jeśli wolisz - tożsamościach...

Ten, którego znasz, jest równie prawdziwy jak ten, którego za chwilę ujrzysz. Pierwszy to pełen poświęcenia sługa społeczeństwa, uczciwy, dobry człowiek. Drugi natomiast jest kimś, kto doświadczył bólu nieudanego życia, mimo ozdabiających je pozorów władzy...

„Nieudane” nie jest właściwie odpowiednim słowem, lepszym będzie nie do zniesienia.

Bajaratt osłupiałym wzrokiem patrzyła na człowieka, który schodził po szerokich schodach. Po obu jego stronach szli u jednego boku ubrany w burnus Achmet, u drugiego zaś olśniewająca blondynka w przezroczystym szlafroku, przez który wyraźnie było widać jej ciało, wydatne piersi i kołyszące się biodra. Bajaratt poznała go z trudem, ale niewątpliwie był to Nesbitt. Towarzyszące osoby podtrzymywały senatora z Michigan, pomagając mu schodzić.

Twarz Nesbitta była blada, niemal trupio blada, i zastygła jak w transie, oczy przypominały dwie nieruchome porcelanowe kulki.

Ubrany był w szlafrok z niebieskiego welwetu, stopy z widocznymi żyłami miał bosc.

- Otrzymał swój zastrzyk - wyjaśniła cicho gospodyni. Nie pozna cię.

- Znajduje się pod wpływem narkotyków?

- Zapisanych przez doskonałego lekarza. Jest rozdwojony.

- Rozdwojony?

- Cierpi na rozdwojenie jaźni, Amayo. Doktor Jekyll i pan

Hyde, ale bez zła, tylko z nie spełnionymi pragnieniami... Ponad czterdzieści lat temu, wkrótce po zawarciu małżeństwa, zdarzyła się tragedia: napaść, w której wyniku jego żona stała się psychiczną i fizyczną inwalidką, kobietą oziębłą seksualnie. Psychopata włamywacz, który wdarł się do ich mieszkania, związał młodego prawnika i zmusił go do obserwowania, jak gwałci jego żonę. Od tej nocy pani Nesbitt nie była w stanie wypełniać swoich małżeńskich obowiązków. Akt płciowy stał się dla niej odrażający, sama myśl o nim ją przerażała. Mimo to obecny senator pozostał oddanym mężem, a co jeszcze pogarszało sytuację - głęboko religijnym człowiekiem, który nie szukał innych sposobów zaspokojenia swojego naturalnego popędu płciowego. Wreszcie kiedy trzy lata temu żona zmarła, zupełnie załamał się pod brzemieniem cierpienia, a właściwie powinnam powiedzieć - załamała się jego część.

- W jaki sposób dowiedziała się pani o tym?

- Jest stu senatorów, a wśród nich, jak nam było wiadomo, jeden Skorpion. Sprawdzaliśmy ich w porządku alfabetycznym, bardzo drobiazgowo, każdy szczegół życia... Niestety, nie znaleźliśmy Skorpiona, ale natknęliśmy się na głęboko sfrustrowanego człowieka, którego częste i tajemnicze zniknięcia ukrywała jedyna naprawdę mu oddana osoba - siedemdziesięcioparoletnia gospodyni, zatrudniona u niego od dwudziestu ośmiu lat.

Nesbitt i para jego opiekunów dotarła do końca schodów i przeszli obok drzwi do salonu.

- Niczego nie widzi! - szepnęła Baj.

- Owszem - przytaknęła arabska piękność. - Mniej więcej za godzinę odzyska zdolność widzenia, ale nie przypomni sobie żadnych konkretnych wydarzeń, które zaszły dzisiejszej nocy.

Uświadomi sobie jedynie, że jest zadowolony, osiągnie ten wewnętrzny stan, który przynosi spokój.

- Często tak robi?

- Raz albo dwa razy w miesiącu, zazwyczaj późnym wieczorem. Wszystko zaczyna się od nucenia dziwnej melodyjki zapamiętanej z dzieciństwa. Potem jak lunatyk przebiera się w rzeczy z całkowicie odmiennego zestawu, który trzyma w szafie swojej zmarłej żony. Trudno je uznać za odzież potężnego senatora, zwykle jest to raczej strój zamożnego rozpustnika wyruszającego na nocne łowy. Zamszowa lub skórzana marynarka, często peruka albo beret,

zawsze ciemne okulary, lecz nigdy nic, co pozwoliłoby go zidentyfikować. Dla jego gospodyni jest to koszmar. Teraz, ilekroć powstaje taka sytuacja, dzwoni do nas i się nim zajmujemy.

- Współpracuje z wami?

- Nie ma wyboru. Jest dobrze opłacana, podobnie jak jego szofer-ochroniarz.

- I w ten sposób go kontrolujecie?

- Jesteśmy bardzo szczególnymi przyjaciółmi. Znajdujemy się na miejscu, kiedy nas potrzebuje, ale są również takie chwile, gdy my potrzebujemy jego; władzy, którą daje urząd senatora.

- Rozumiem - powiedziała chłodno Bajaratt.

- Oczywiście, najlepszym rozwiązaniem byłoby dowiedzieć się, kto w Senacie jest najwyżej postawionym Skorpionem, ponieważ moglibyśmy go kontrolować tak samo jak Dobroczyńcy. Ale ustalenie schematu, choćby nie wiem jak subtelnego, jest tylko kwestią czasu. Twoje działania nam dopomogą, ponieważ każdego członka Senatu ponownie poddamy obserwacji. Ich zaś reakcja na chaos wyjaśni nam motywy działania van Nostranda.

- Czy to dla was takie ważne?

- Droga Amayo, to sprawa o życiowym znaczeniu. Powtórzę ci, co już mówiłam. Żywimy wielką sympatię dla Bekaa i mamy z nią bliskie związki, ale uczucia te nie dotyczą najemnych

Skorpionów, którzy są tworem van Nostranda i jego szalonego towarzysza z Karaibów. Zwerbowano ich szantażem i utrzymuje się pod kontrolą pieniędzmi; pieniędzmi, które są niczym w porównaniu z fortunami, jakie przynoszą Dobroczyńcom. A Dobroczyńcy to w rzeczywistości padrone i van Nostrand, nikt inny. Skorpionami nie kieruje żadna idea, jedynie lęk przed dekonspiracją i oczywiście pieniądze. Ich ambicje nie sięgają poza ich małą egzystencję opanowaną chciwością i niepokojem. Muszą zostać zniszczeni, obezwładnieni... albo zwerbowani przez nas.

- Przypominam jedno - przerwała jej Baj. - Dobrze mi służyli, a tym samym, za moim pośrednictwem, dolinie Bekaa.

- Na rozkaz wszechpotężnego van Nostranda! Jednym telefonem może wstrzymać im fundusze, nie mówiąc już o wyjawieniu władzom ich dawnych i obecnych zbrodni. Czy myślisz, że w ogóle ich obchodzimy, a zwłaszcza drogie nam ideały i sprawy? Jeżeli tak sądzisz, nie jesteś kobietą, za którą cię uważałam.

- Van Nostrand się wycofał. Jest gdzieś w Europie albo nie żyje. Przestał być Skorpionem Jeden.

- ...Kłopoty Palm Beach z kodami telefonicznymi - rzekła ledwo słyszalnie maleńka, kocio zwinna Arabka. - Zaskakująca wiadomość... Czy jesteś tego pewna?

- Nie mogę mieć pewności, czy żyje, czy też zginął. Ocalał natomiast ktoś inny - były oficer wywiadu Hawthorne, którego jak przypuszczałam, aresztowano. Tak się jednak nie stało. Ale Nils

van Nostrand zniknął. Sam mi mówił, że ma taki zamiar.

- To nie tylko zaskakujące, ale i bardzo niepokojące. Dopóki van Nostrand był na miejscu, mogliśmy go kontrolować. Mieliśmy ludzi w jego majątku, przy bramie, lojalnych wobec nas informatorów... Z kim teraz załatwiasz sprawę? Musisz mi powiedzieć!

- Nie wiem...

- Biały Dom, Amayo!

- Nie kłamie. Stwierdziła pani, że macie ich kody. Proszę je wybrać samej. Ktokolwiek odpowie, z całą pewnością nie zechce się przedstawić.

- Oczywiście. Masz rację...

- Natomiast bez wątpienia Skorpion, z którym ostatnio rozmawiałam, jest człowiekiem mającym dostęp do najbardziej poufnych informacji. Dysponuje wszystkimi wiadomościami na temat poszukiwań mojej osoby. Bardzo szczegółowymi. Nazwał to udziałem w wewnętrznym kręgu.

- Wewnętrzny krąg...? - Palestyńska piękność zmarszczyła brwi i na jej ciemnoskórej twarzy o klasycznych rysach pojawiło się parę linii. - Wewnętrzny krąg... - powtórzyła. Spacerując w zamyśleniu po ogromnym pokoju, podpierała kształtną bródkę drobnymi palcami o wylakierowanych paznokciach. - Jeżeli jest to poszukiwany przez nas senator, to w rachunek wchodzi tylko jedna komisja, która ma dostęp do takich poufnych informacji - Senacka

Komisja do Spraw Wywiadu. Oczywiście, przecież to jasne, tak genialnie proste! Od czasów Watergate i Iran-contras każda instytucja wywiadowcza w Waszyngtonie dokłada wszelkich starań, aby szczegółowe raporty na temat ich tajnych operacji dotarły do tej komisji. Nikt nie ma ochoty na oskarżenie o nielegalną działalność przed całym Kongresem... Jak widzisz, droga Amayo, okazałaś mi ogromną pomoc.

- Poza tym jest człowiekiem, który zabija, przynajmniej tak mi mówił. Oznajmił, że zabił Stevensa, szefa wywiadu marynarki, ponieważ był bliski zidentyfikowania mnie. Za to jestem mu wdzięczna.

- Nie jesteś mu niczego winna! Wypełniał rozkazy i nic więcej!

Niezależnie od tego, czy powiedział ci prawdę, czy też skłamał, abyś czuła się zobowiązana, nie ma to większego znaczenia. Jest tylko jeden człowiek w Senacie, który wyraża się z taką zuchwałością, a przecież zbadaliśmy ich wszystkich... Seebank - nieznośny, wybuchowy generał Seebank. Dziękuję ci, Baj!

- Przyznam się pani również, że poddałam go pewnej próbie.

Zapewne pani wie, że w określonych sytuacjach, kiedy należy kogoś - lub nawet punkt dowodzenia - koniecznie zlikwidować, wybiera się człowieka, który wejdzie do pomieszczenia, ale już z niego nie wyjdzie. Tajemnica tkwi w obuwiu.

- But Allacha - odparła Palestynka. - Ładunek wybuchowy umieszczony w podeszwie i obcasie, detonowany uderzeniem czubka buta o twardy przedmiot. Przynosi śmierć temu, kto go nosi, i wszystkim w pobliżu.

- Tak. Nawet dostarczyłam mu rysunek techniczny. - Baj powoli skinęła głową. - Jeżeli dostarczy odpowiedni przedmiot, będę wiedziała, że mogę mu zaufać. Jeżeli nie, zerwę łączność. Jeśli okaże się szczerzy, wykorzystam go... a pani będzie miała swojego

Skorpiona.

- Czyż jest granica twoich umiejętności, Amayo?

- Muerte a toda autoridad. To wszystko, co musicie wiedzieć.

ROZDZIAŁ 28

Senator Paul Seebank szedł polną drogą na peryferiach Rockville w stanie Maryland. Zapadał zmierzch, niebo zasnuły ciężkie chmury.

Miał w ręku latarkę, którą co chwila nerwowo włączał i wyłączał.

Jego krótko przycięte szpakowate włosy skrywała czapka, ostre rysy twarzy osłaniał podniesiony kołnierz lekkiego letniego płaszcza.

Prawdę mówiąc, zahartowany, twardy były generał brygady, obecnie zaś równie twardy oraz wymowny senator Seebank był ogarnięty paniką, znajdował się niemal na skraju załamania nerwowego. Nie mógł powstrzymać dygotania dłoni ani wzmagającego się tik, który powodował krótkie, gwałtowne skurcze prawego kącika dolnej wargi.

Musiał skoncentrować myśli, nie mógł utracić panowania nad sobą. W dalszym ciągu perspektywa przeobrażenia się w Skorpiona

Jeden wzbudzała w nim paniczny lęk. Szaleństwo zaczęło się osiem lat temu, na tej samej drodze prowadzącej do rozpadającej się, dawno opuszczonej stodoły na jakiejś zapomnianej farmie, której właściciele woleli uprawiać ogrody niż pola.

Wszystko zapoczątkował dzwonek telefonu obsługującego prywatną linię w gabinecie, świętą linię nowo wybranego senatora.

Połączenie było bezpośrednie, aparat dzwonił wyłącznie na jego biurku. Ten numer był zastrzeżony tylko dla rodziny i bardzo bliskich przyjaciół, ale rozmówca nie zaliczał się ani do jednej, ani do drugiej kategorii. Nieznajomy przedstawił się jako Neptun.

- Obserwowaliśmy pana walkę o miejsce w Senacie z wielkim zainteresowaniem, panie generale.

- Kim pan jest, u diabła, i skąd pan ma ten numer?

- To bez znaczenia, w przeciwieństwie do interesującej nas sprawy. Proponuję, abyśmy się spotkali jak najszybciej, ponieważ moim przełożonym zależy na błyskawicznym kontakcie z panem.

- A ja proponuję, żeby się pan wypchał!

- W takim razie sugeruję zmianę założeń propagandowych pańskiej kampanii wyborczej. Bohaterski jeniec wojenny w Wietnamie, który w ekstremalnych warunkach, dzięki swojemu przywództwu i osobistej odwadze jednoczył ludzi... Mamy przyjaciół w Hanoi, senatorze. Czy mówić dalej?

- Co, u diabła...?

- Przy drodze za miastem Rockville jest stara stodoła...

Cholera! Co oni wiedzą?

Wtedy, przed ośmioma laty, Seebank poszedł do przydrożnej stodoły, podobnie jak teraz pod wpływem telefonu innego nieznanego. Ale osiem lat temu, przy świetle starej latarni, w obecności ukrytego w cieniu eleganckiego Neptuna, musiał czytać notatki sporządzone przez komendantów pięciu obozów jenieckich, w których był zamknięty razem ze swoimi ludźmi:

„Pułkownik Seebank był niezwykle chętny do współpracy i często jadał z nami obiad [...]”.

„Pułkownik przedstawił nam plany ucieczki wymyślone przez jego oficerów [...]”.

„Kilkakrotnie udawaliśmy, że poddajemy go torturom, on zaś krzyczał tak, aby słyszeli go współwięźniowie [...]”.

„Stosowaliśmy łagodny roztwór kwasu, aby odbarwić jego skórę - zazwyczaj kiedy był bardzo przyjemnie pijany - a potem odsyłaliśmy go na kwaterę w podartym ubraniu [...]”.

„Był chętny do współpracy, ale nie cieszył się naszą sympatią [...]”.

Dysponowali bogatą dokumentacją. Generał brygady Paul

Seebank nie był bohaterem. Był zupełnie kimś innym. A ponieważ przedstawiał dużą, bardzo dużą, wartość dla Dobroczyńców, otrzymał wyjątkową pozycję - Skorpion Cztery. Wszystkie następne wybory miał już w kieszeni, bo żaden z konkurentów nie mógł dorównać jego politycznym funduszom. Wygrał drugą kadencję, zasypując swojego rywala prawdziwą lawiną pieniędzy.

Senator - ekspert wojskowy miał po prostu przekazywać kontrakty zbrojeniowe tym, których wskażą Dobroczyńcy.

Stara stodoła była już w zasięgu wzroku. Na wzgórzu porośniętym dziko rosnącą trawą rysowała się na tle szarego nieba sylwetka zrujnowanego budynku. Seebank zszedł z drogi i skierował do miejsca spotkania. Latarkę trzymał już pewną ręką. Sześć minut później dotarł do połamanych drzwi, a właściwie ich połówki, i zawołał:

- Jestem.

W odpowiedzi na chwilę błysnęło światło drugiej latarki.

- Proszę wejść - rozległ się głos z ciemności. - Przyjemnie mi spotkać mojego przełożonego, oczywiście w innej armii... Niech pan wyłączy światło.

Seebank spełnił polecenie.

- Czy służyliśmy razem? Znam pana?

- Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście. Może pan jednak przypomnieć sobie numer jednostki, rangę, a nawet lokalizację „południowy obóz”.

- Był pan jeńcem! Czy byliśmy uwięzieni razem?

- Dawne czasy, senatorze - przerwała niewidoczna postać. A może woli pan, żebym mówił „generale”?

- Wolałbym wiedzieć, dlaczego mnie pan wezwał i dlaczego akurat w tym miejscu?

- Czy nie został pan tu zwerbowany? W tej właśnie szopie? Bo ja tak. Po prostu myślałem, że w ten sposób przekonam pana, jak ważna jest sprawa.

- Zwerbowany...? Pan? A więc jest pan...

- Oczywiście, że tak. W jakim innym celu miałbym się tu zjawiać? Pozwoli pan, że się przedstawię, generale. Jestem Skorpion

Piąty, ostatni z kierownictwa Skorpionów. Pozostała dwudziestka jest w równym stopniu ważna, ale nie dysponuje naszą władzą.

- Muszę powiedzieć, że odczuwam ulgę. - Dłonie Seebanka znów dygotały, tik dolnej wargi nie ustawał. - Oczywiście, to miejsce wywarło na mnie niezwykle silne wrażenie. Szczerze mówiąc, przypuszczałem, że będzie to raczej spotkanie z jednym z naszych... naszych...

- Jednym z naszych Dobroczyńców, prawda?

- Tak... z Dobroczyńcą.

- Biorąc pod uwagę niezwykle wydarzenia ostatnich dwóch dni, dziwię się, że nie czuje pan pewnej ulgi również z tego powodu.

- Co ma pan na myśli?

- No cóż, zgodnie z telefonicznymi kodami Skorpion Czwarty jest obecnie pod każdym względem Skorpionem Jeden, nieprawdaż?

- Tak, sądzę, że tak. - Tik Seebanka stał się jeszcze szybszy. - Czy wie pan, dlaczego?

- Nie, właściwie nie.

Senator zacisnął dłonie na zgaszonej latarce, aby opanować ich drżenie.

- No tak, to możliwe, nie ma pan przecież dostępu do pełnej informacji. Na szczęście ja mam i działam na jej podstawie.

- Mówicie ogródkami, żołnierzu, i nie podoba mi się to.

- Nie ma znaczenia, co się panu podoba. Skorpion Dwa i Skorpion Trzy zostali usunięci. Przestraszyli się. Nie potrafili sprostać obecnemu scenariuszowi, a więc Krwawa Dziewczynka kazała ich wyeliminować, co mnie w pełni satysfakcjonuje.

- Nie rozumiem. Kim, u diabła, jest Krwawa Dziewczynka?

- Zastanawiałem się właśnie, czy pan się w ogóle orientuje w sprawie. Jak widzę, najwyraźniej nie. Działa pan dla Dobroczyńców w innej sferze, bardzo dochodowej, ale zupełnie odmiennej, i to nie pańska działka. Biorąc pod uwagę, kim pan jest - a obaj wiemy, kim - nie dałby pan rady. Brak panu przecież odwagi. Jest pan tchórzem, Skorpionie Cztery, i już wiele lat temu kazano mi pana obserwować... Teraz stał się pan zagrożeniem.

- Jak pan śmie?! - wrzasnął przerażony Seebank. - Jest pan moim podwładnym!

- Przykro mi, ale nie mogłem czekać zbyt długo na zmiany, nie mogłem czekać. Gdyby zadzwonił pan teraz do swojej żony, dowiedziałby się pan, że dziś o ósmej dziesięć rano, dwadzieścia minut po pańskim wyjeździe do Senatu, w pana domu pojawił się człowiek z naprawy telefonów. Zajął się aparatem w pańskim gabinecie... Rozumie pan, generale, jesteśmy zbyt blisko możliwości przywrócenia temu krajowi należnego mu miejsca. Ogołoco nas, budżet wojskowy katastrofalnie ograniczono, nasz personel zdziesiątkowano, potęgę militarną zredukowano do tego stopnia, że stała się gównem warta. W całej Europie i Azji jest w nas wycelowanych dwadzieścia tysięcy głowic jądrowych, a my udajemy, że nie istnieją! No cóż, sytuacja się zmieni, kiedy Krwawa Dziewczynka przeprowadzi swoją operację. Znowu staniemy na czele i będziemy rządzić tym narodem tak, jak powinien być rządzony! Ponieważ sparaliżowany kraj zwróci się, jak zawsze, do nas o ochronę i przywództwo.

- Nie jestem przeciwko wam, żołnierzu - zdołał wykrztusić rozdygotany senator. - To mogłyby być moje własne słowa, na pewno zdajecie sobie z tego sprawę.

- Do diabła, generale, oczywiście, że tak, ale to są tylko słowa.

Wszystko u pana jest tylko słowami, nigdy czynem. Pańskie tchórzostwo jest wadą, na którą nie możemy sobie pozwolić. Nie podoła pan.

- Podoła... czemu?

- Nie będzie pan w stanie umożliwić zabicia prezydenta. Co pan o tym myśli?

- Mój Boże, pan jest szalony - szepnął Paul Seebank.

Straszliwe przerażenie sprawiło, że jego dłonie przestały drżeć, a tik prawie zniknął. - Nie wierzę w to, co pan mówi. Kim pan jest?

- No tak, sądzę, że nadeszła pora. - Zza ściany z cegły wyłoniła się jednoręka postać. Prawy rękaw miała pusty i przypięty do ramienia. - Czy mnie pan poznaje, generale?

Seebank patrzył nieprzytomnym wzrokiem na twarz, którą znał aż za dobrze.

- Pan...?

- Czy brak mojej ręki przywołuje jakieś wspomnienia? Z całą pewnością poinformowano pana o tym.

- Nie! Żadnych wspomnień! Nie wiem, o czym pan mówi!

- Ależ bez wątpienia pan sobie przypomina, generale, chociaż wtedy nie widział pan mojej twarzy. Byłem dla pana po prostu kapitanem Iks, bardzo szczególnym kapitanem Iks.

- Nie... nie! Pan zmyśla... Nigdy pana nie znałem!

- Jak już stwierdziłem, istotnie, nigdy nie spotkaliśmy się osobiście. Czy wyobraża pan sobie moje rozbawienie, kiedy siedziałem przy stole w czasie pańskich nie kończących się przesłuchań senackich i wysłuchiwałem tych tak zwanych opinii wojskowych, które były czystej wody bzdurami dostarczonymi panu przez naszych wspólnych Dobroczyńców za pośrednictwem Skorpiona Jeden?

Armia łaskawie załatwiła mi protezę, sztuczną prawą rękę, która wypełniła rękaw munduru, ponieważ Pentagon uznał, że moje zdolności nie wymagają ręki, lecz jedynie mózgu i takiej dozy elokwencji, jaka przystoi wojskowemu.

- Jak Boga kocham, znam pana tylko stamtąd, nigdy wcześniej pana nie znałem!

- W takim razie pozwoli pan, że ulecę pańską chwilową amnezję? Pamięta pan obóz południowy? I pogłoski, że pewien mało ważny kapitan przygotował niezawodny sposób ucieczki?

Ucieczki, która mogła się udać... Ale się nie udała, ponieważ inny amerykański oficer doniósł komendzie obozu. Żółtki przysły do naszego baraku, wyprostowały mi prawą rękę i obcięły tą swoją cholerną szablą. I prawie idealną angielszczyzną powiedziały:

„Spróbuj teraz uciec”.

- Nie miałem z tym... z panem nic wspólnego!

- Niech pan da spokój, generale. Mam pana namierzonego.

Kiedy mnie werbowano, Neptun pokazał mi informacje z Hanoi zawierające nie znany panu fragment. I to on mi polecił obserwować pana. A także wyjaśnił, w jaki sposób przeprogramować pański telefon, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

- Przecież to przeszłość! Nie ma już żadnego znaczenia!

- Czy uwierzy pan, jeżeli powiem, że dla mnie ma? Czekałem dwadzieścia pięć lat, żeby spłacić dług.

W mżawce omywającej starą, rozsypującą się stodołę na ugorze w Rockville rozległy się dwa strzały. A potem przewodniczący

Połączonego Komitetu Szefów Sztabów ruszył przez wysoką trawę w kierunku ukrytego cywilnego buicka. Zgodnie z planem, Krwawa

Dziewczynka znalazła się o krok bliżej punktu zero.

Zdziwiony, podenerwowany Hawthorne prowadził samochód

Departamentu Stanu w stronę McLean w Wirginii, próbując zrozumieć tajemnicę rodziny O'Ryanów. Byli najgłupszą, najbardziej łatwowierną grupą ludzi, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia, albo też zostali tak doskonale wytrenowani przez O'Ryana, że mogli przejść badania na wykrywaczu kłamstw, twierdząc, iż w chwili gdy rabowali bank, nie było ich nawet w okolicy!

Tyrell przybył do domku plażowego wkrótce po piątej trzydzieści, a o siódmej doszedł do wniosku, że Patrick O'Ryan był najbardziej małomównym Irlandczykiem w historii celtyckiej rasy.

W teczce personalnej zmarłego analityka, dostarczonej Hawthorne'owi przez Agencję na godzinę przed jego wyjazdem z „Shenandoah Lodge”, uderzał brak jakichkolwiek szczegółowych informacji.

Spadek po wuju-hodowcy koni z Irlandii był zbyt wygodnym wyjaśnieniem nagłej odmiany losu rodziny - przenosin ze skromnego domu utrzymywanego z przeciętnej pensji pracownika CIA do o wiele większej rezydencji oraz zakupu drogiego domu letniego.

Agencja zadowolili się dokumentami prawnymi - nawet nie spróbowano sięgnąć głębiej. A zdaniem Tyrella powinni byli kopać głębiej, o wiele głębiej. Na przykład Patrick miał braci w nowojorskiej komendzie policji. Gdzie się znajdują i dlaczego pominął ich bogaty krewny, który - według pani O'Ryan - nigdy z żadnym z braci się nie spotkał?

- Wujek Finead był święty! - zawołała zapłakana Maria

Santoni O'Ryan. - Dobry Pan Bóg powiedział mu, że Paddy to najbardziej przez Jezusa ukochany człowiek! Czy musiał pan zjawić się tu w godzinie smutku i cierpienia, i zadawać mi takie pytania?

Niezbyt dobrze, pani O'Ryan, pomyślał Tyrell. Ale i tak nie ma pani żadnych odpowiedzi. Podobnie ogarnięci niewinnym gniewem trzej synowie i dwie córki. Wszystko tu potężnie cuchnęło, lecz

Hawthorne nie mógł ustalić źródła tego smrodu.

Była już prawie dziewiąta trzydzieści, kiedy skręcił do McLean, na prywatną drogę prowadzącą do wielkiego domu w stylu kolonialnym, należącego do Ingersolów. Długi okrągły podjazd wypełniały ciemne limuzyny i drogie samochody - jaguary, mercedesy oraz cała kolekcja cadillaców i lincolnów. Trawnik po lewej stronie domu również przeznaczono na parking dla samochodów gości przybyłych z kondolencjami.

W drzwiach powitał go syn Davida Ingersola, przyjemnie wyglądający młody człowiek, szczerzy i uprzejmy. A także z głębokim smutkiem w oczach, zauważył Hawthorne, pokazując mu swoje pełnomocnictwa.

- Sądę, że lepiej będzie, jeżeli poproszę współnika ojca powiedział chłopak. - Nie potrafiłbym panu w niczym pomóc, bez względu na to, w jakiej sprawie pan tu przybył.

Edward White z biura adwokackiego Ingersol i White był łysiejącym, krępy męczyzną średniego wzrostu, o przenikliwym spojrzeniu piwnych oczu.

- Zajmę się tym! - oznajmił krótko, po przestudiowaniu legitymacji Tyrella. - Zostań przy drzwiach, Todd. Ten pan i ja wejdziemy do korytarza. - Kiedy znaleźli się już w wąskim przejściu, White wybuchnął: - Stwierdzenie, że jestem oburzony pańską obecnością w tym domu, byłoby zbyt słabe. Dochodzenie

Departamentu Stanu, kiedy ten biedak nawet nie został jeszcze... przygotowany w zakładzie pogrzebowym? Jak pan mógł?

- Bardzo łatwo i szybko, panie White - odparł Tyrell. Czas ma dla nas decydujące znaczenie.

- Dlaczego, na litość boską?

- Ponieważ David Ingersol może być bezpośrednio zamieszany w ogromne operacje prania brudnych pieniędzy należących między innymi do starego kartelu narkotykowego Medellin i nowego Cali, prowadzonych za pośrednictwem Porto Rico.

- To kompletna niedorzeczność! Mamy oczywiście, przede wszystkim David, klientów w Porto Rico, ale trudno się w tym dopatrywać choćby cienia przestępczych działań. Byłem jego współnikiem i wiedziałbym, gdyby sytuacja przedstawiała się inaczej.

- Prawdopodobnie wie pan mniej, niż przypuszcza. Od informatorów Departamentu Stanu dowiedzieliśmy się, że David Ingersol miał na kontach bankowych w Zurychu i Bernie ośmiocyfrowe sumy. Nie pochodzą one bynajmniej z pańskiej prawniczej firmy.

Jest pan bogaty, ale nie do tego stopnia.

- Jest pan albo kłamcą, albo paranoikiem... Chodźmy do gabinetu Davida, tu nie ma warunków do rozmowy. Proszę tędy. Obaj mężczyźni minęli tłum wypełniający wielki salon i przeszli do drugiego korytarza, gdzie Edward White otworzył jakieś drzwi. Za nimi znajdował się pełen książek gabinet. Ściany pokryte były boazerią i zastawione regałami, a wszystkie meble - krzesła, stół, dwie leżanki, nawet wysokie oparcie odwróconego tyłem obrotowego fotela za ogromnym biurkiem, na którym leżały papiery

Ingersola - obciążone ciemnobrązową skórą.

- W dalszym ciągu nie wierzę panu - oznajmił White, zamykając drzwi.

- To nie jest żadne przesłuchanie, mecenasie, jedynie element dochodzenia. Jeżeli ma pan zastrzeżenia do mojej osoby, proszę zadzwonić do Departamentu Stanu. Jestem pewien, że zna pan odpowiednie osoby.

- Cholerny sukinsynu! Pomyślałby pan o rodzinie Davida!

- Myślę o kilku zagranicznych kontach bankowych, które powinny być zatwierdzone przez BCCI, oraz o pewnym amerykańskim obywatelu, który wykorzystywał swoje wpływy, aby pomagać narkotykowym bandom w prowadzeniu ich brudnych interesów.

/ - Czy jest pan wszystkim w tym nader podejrzanym śledztwie, panie Hawthorne? Policją, sędzią i ławą przysięgłych? Czy kiedykolwiek przyszło panu do głowy, jak łatwo jest założyć takie „zagraniczne konto” na jakiegokolwiek nazwisko? Wystarczy wzór podpisu dający się sprawdzić skanerem...

- Nie, nigdy, o tym nie pomyślałem, ale pan najwyraźniej tak.

- Owszem, ponieważ trochę studiowałem te sprawy, bo każdy klient naszej firmy mógł mieć powód do posiadania takowego konta, zwłaszcza jeżeli nam z niego płacił.

- Mówi pan o zupełnie nie znanym mi świecie - skłamał

Tyrell - ale jeżeli to, co pan powiedział jest prawdą, wystarczy jedynie wysłać faksem podpis Davida Ingersola do Zurychu i Berna.

- Mechaniczne faksymile nie poddaje się skanerowej kontroli spektrograficznej. Dziwi mnie, że nie wie pan o tym.

- To pan jest ekspertem, nie ja. Ale zdradzę panu, jaka jest moja specjalność - jestem świetnym obserwatorem. I widzę was, limuzynowych kowbojów, jak godni i wspaniali jeździcie po mieście i jednocześnie sprzedajecie swoje wpływy temu, kto da więcej. A ja jestem po to, aby was dopaść, jeśli wychylicie się za bardzo.

- Nie jest to raczej język Departamentu Stanu. Mówi pan jak paranoidalny, komiksowy mściciel i zupełnie nie pasuje pan do odgrywanej roli. Mam wrażenie, że jednak będę musiał przeprowadzić zasugerowaną przez pana rozmowę telefoniczną...

- Nie trudź się, Edwardzie. - Głos, który rozległ się w pokoju, zaskoczył obu mężczyzn. Nagle stojący za biurkiem fotel obrócił się i rozmówcy ujrzeli siedzącego w nim mężczyznę w podeszłym wieku - szczupłego, najwyraźniej dość wysokiego i ubranego tak perfekcyjnie i modnie, że Tyrell z zapartym tchem pomyślał przez chwilę, iż w skąpym świetle widzi Nilsa van Nostranda.

- Jestem Richard Ingersol, panie Hawthorne, były sędzia

Sądu Najwyższego. Uważam, że powinniśmy porozmawiać w cztery oczy, Edwardzie - ale nie w tym pokoju. Ani w żadnym innym pokoju tego domu.

- Nie rozumiem, proszę pana - odparł zdziwiony współwłaściciel firmy Ingersol i White.

- Bo pan nie może, mój drogi. Proszę, niech pan dopilnuje, aby moja synowa i wnuk zajęli się tymi... limuzynowymi pochlebcami. Pan Hawthorne i ja wymknijemy się przez kuchnię.

- Ależ sędzio Ingersol...

- Mój syn nie żyje, Edwardzie, i nie sądzę, aby obchodziło go, co w kronice towarzyskiej „The Washington Post” napiszą o jego szanownych żałobnikach, z których wielu jest osobistymi klientami waszej firmy. - Stary człowiek wstał z fotela i obszedł biurko. Chodźmy, Hawthorne, nie ma tu nikogo, kto mógłby udzielić panu wyjaśnień. A poza tym jest wspaniała noc na spacer.

Poirytowany White przytrzymał drzwi, Tyrell zaś poszedł za starszym Ingersolem wzdłuż korytarza, przez zatłoczoną kuchnię, a następnie otoczony płotem trawnik z podświetlonym basenem, do miejsca, które przypominało ogromny ogród otoczony sześciometrowej wysokości żywopłotem. Były sędzia stanął na wyłożonym cegielkami obudowaniu basenu i zapytał:

- Dlaczego pan tu przyjechał, panie Hawthorne, i co pan wie?

- Słyszał pan, jak wyjaśniałem to współnikowi pańskiego syna.

- Pranie pieniędzy...? Kartele narkotykowe...? Niech pan da spokój. David nie miał ani takich skłonności, ani odwagi, żeby nawet pomyśleć o tego rodzaju działalności. Ale w pańskich słowach dotyczących kont w Szwajcarii tkwi pewien sens.

- W takim razie może powinienem zapytać, co pan wie, sędzio Ingersol?

- Znam makabryczną historię z elementami triumfu i cierpienia, o sporej dozie tragedii - w istocie swej ateńskiej, ale pozbawionej dostojeństwa dramatu greckiego.

- Podziwiam erudycję, lecz nic mi to nie mówi.

- Kiedy byliśmy wewnątrz, popatrzył pan na mnie dziwnie rzekł Ingersol, pomijając milczeniem uwagę Hawthorne'a. - W pańskim wzroku było nie tylko zdziwienie moim pojawieniem się, ale także coś jeszcze, prawda?

- Przypomniał mi pan kogoś.

- Tak też pomyślałem. Pański występ sprawiał wrażenie opartego na strategii ataku - wytrącić obiekt z równowagi, wprowadzić w panikę, a pana reakcja na mój widok potwierdziła me przypuszczenie.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Ależ wie pan. Nils van Nostrand albo Neptun, jeżeli pan woli... Natychmiast zauważył pan nasze podobieństwo, to było widać w wyrazie pana twarzy, chociaż zapewniam, że jest ono wyłącznie zewnętrzne. Jeżeli pewne elementy są zbliżone - wzrost, .

sylwetka, kolor skóry - ludzie w zaawansowanym wieku i tego samego stanu wydają się podobni. W naszym wypadku podobieństwo wynika ze sposobu ubierania się. Znał pan van Nostranda i zupełnie nie spodziewał się go pan zobaczyć w tym domu. To daje wiele do myślenia.

- W takim razie jestem zaskoczony, że przyznaje się pan do znajomości z Neptunem.

- Och, to część całej tej historii - ciągnął Ingersol, wchodząc przez ażurowe łukowate przejście do ogrodu pełnego kwiatów, cudownego zacisza odseparowanego od domu i tłumu.

- Kiedy wszystkie figury znajdowały się na szachownicy, Nils pojawił się w Costa del Sol kilka razy. Oczywiście, nie wiedziałem, kim jest, ale zaprzyjaźniliśmy się. Wydawał się taki jak wielu z nas - mężczyzna w starszym wieku, bez stałego miejsca pobytu i z wystarczająco dużymi pieniędzmi, aby latać odrzutowcem, dokądkolwiek chciał, w poszukiwaniu płytkich rozrywek. Nawet poleciłem go mojemu osobistemu krawcowi w Londynie.

- Kiedy dowiedział się pan, że jest Neptunem?

- Pięć lat temu. Zacząłem podejrzewać, że jest z nim coś nie tak - te jego nagłe, krótkie przyjazdy i także zniknięcia, sposób mówienia o problemach rodzinnych, a nawet sprawa majątku, którego wielkość wydawała się równie nie sprecyzowana jak jego źródła...

- Trochę to dziwnie zabrzmiało - przerwał mu Tyrell. - Nie znam zbyt wielu ludzi z pana części miasta, którzy otwieraliby przed sąsiadami swoje księgi rachunkowe.

- Oczywiście, że nie, ale zazwyczaj źródła majątku są ogólnie znane. Można zarobić wielkie pieniądze, zajmując się poszukiwaną produkcją rynkową, zapełniając lukę czymś nowym albo w odpowiednim momencie zakładając bank lub kupując majątek ziemski.

Zawsze są to określone punkty wyjścia, które pozwalają założyć księgi rachunkowe, o których pan wspominał. Jeśli o mnie chodzi, przed objęciem stanowiska w Sądzie Najwyższym byłem założycielem i starszym wspólnikiem wyjątkowo dochodowej firmy prawniczej, mającej swoje biura zarówno w Waszyngtonie, jak i w Nowym Jorku. Bez trudu więc mogłem udźwignąć koszty zaszczytu sprawowania tak wysokiego urzędu.

- Zgadza się - stwierdził Hawthorne, odtwarzając w pamięci akta Davida Ingersola, które zawierały również liczne dane dotyczące jego ojca. Jedynym brakującym szczegółem był prawdziwy powód rezygnacji Richarda Ingersola. Nagle Tyrell uświadomił sobie, że za chwilę pozna rozwiązanie tej zagadki.

- Neptun - odezwał się stary człowiek, jakby czytając w jego myślach, i usiadł na białej metalowej ławce stojącej w oddalonej części ogrodu - stanowi fragment całej tej historii, dosyć nieprzyjemny i niepotrzebnie brutalny. Pewnej nocy siedzieliśmy na werandzie jacht klubu z widokiem na zalane światłem księżycyca

Morze Śródziemne, kiedy zawsze spostrzegawczy van Nostrand rzekł: „Dostrzega pan we mnie coś dziwnego, nieprawdaż, panie sędzio?” Odparłem, że przypuszczam, iż jest homoseksualistą, co nie było już wówczas niczym niezwykłym. Międzynarodowe kręgi towarzyskie roily się od pederastów. A wtedy on, z najbardziej diabolicznym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem, rzekł:

„Jestem człowiekiem, który pana zrujnował; człowiekiem, który włada przyszłością pańskiego syna. Jestem Neptunem”.

- Jezu Chryste! Powiedział tak wprost?

- Oczywiście, byłem wstrząśnięty, zapytałem, dlaczego chce, abym teraz się o tym dowiedział? Jaką okrutną, perwersyjną satysfakcję zamierza w ten sposób osiągnąć? Miałem osiemdziesiąt jeden lat i niewielkie szansę, aby rzucić mu wyzwanie, jeszcze mniejsze, żeby go zabić. Moja żona umarła, byłem więc sam i co wieczór, idąc do łóżka, zastanawiałem się zupełnie serio, czy obudzę się następnego ranka. „Nils, dlaczego? - zapytałem go ponownie. - Dlaczego to zrobiłeś i dlaczego teraz mi o tym mówisz?”

- Odpowiedział?

- Tak, panie Hawthorne, odpowiedział. Dlatego właśnie wróciłem... Mojego syna nie zabił przypadkowy narkoman, ale zamordowali go z premedytacją ludzie, którzy według słów van Nostranda

„zrujnowali” mnie, a Davidem „władali” . Mam obecnie osiemdziesiąt sześć lat i w pewnym sensie żyję ukradzionym czasem, całkowicie dezorientując moich lekarzy. Ale pewnego dnia nie obudzę się, aby znowu powitać słońce. Godzę się z tym. Nie mogę jednak zabrać do grobu tajemnicy, która nieuczciwe życie zamieniła w całkowitą hańbę i w rezultacie zabiła mego syna.

- Jaka była odpowiedź Neptuna? - nalegał Tyrell.

- Udzielił mi jej z takim samym złośliwym uśmiechem i ogniem płonącym w głębi jego lodowatych oczu. Pamiętam dokładnie jego słowa, wypaliły się na zawsze w mojej duszy...

„Ponieważ udowodniliśmy, że możemy tego dokonać, drogi Dickie - przez dwa pokolenia. Jest tylko kwestią czasu, abyśmy obaj - Mars i Neptun - opanowali rząd Stanów Zjednoczonych.

Chciałem, żebyś to dostrzegał, wiedział o tym i uświadomił sobie, że nic nie możesz począć...” Na tym polegała jego satysfakcja - na rzuceniu mi tego w twarz; mnie, bezradnemu staremu człowiekowi, którego odzyskane bogactwo opierało się na korupcji. Kiedy jednak zabili mego syna, uznałem, że nadeszła pora, aby wyjść z luksusowego schronienia mego

piekła i odnaleźć kogoś, komu będę mógł powierzyć prawdę. Nie wiem, od czego zacząć, są bowiem pewne sprawy, które nigdy nie zostaną ujawnione. Muszę chronić swego wspaniałego wnuka - zapewne o wiele lepszego niż jego ojciec i dziadek - ale reszta musi być wyjaśniona. I wtedy, w gabinecie, usłyszałem pana, panie Hawthorne, obróciłem fotel i przyjrzałem się panu. Został pan wybrany, młody człowieku. Jest w panu coś, co budzi ostrożne zaufanie. - Ingersol wpatrywał się uparcie w oczy Tyrella. - Nie wykonuje pan jedynie swoich obowiązków - stwierdził. - Pan się całkowicie oddał swej pracy.

I to jest chyba powód pańskiego gwałtownego występu na tutejszej scenie.

- Nie jestem aktorem, panie Ingersol.

- Wszyscy jesteśmy aktorami, panie Hawthorne. Wszyscy, którzy pojawiają się i znikają w życiu innych ludzi. I postępujemy tak, kierując się bądź instynktem samozachowawczym, bądź pragnieniem dowartościowania się czy też wyrównania rachunków.

- Co z tego wynika...?

- Jak już powiedziałem, wszyscy jesteśmy aktorami... A teraz przejdźmy do mojej niepisanej umowy...

- Jakiej umowy?

- Mam zamiar udzielić panu pewnych informacji, pod warunkiem że moja tożsamość nigdy nie zostanie ujawniona. Jestem pańskim anonimowym „kontaktem”. Musimy porozumiewać się całkowicie prywatnie, bez kontroli.

- Niemożliwe. Muszę mieć potwierdzenie.

- W takim razie po pogrzebie wrócę na Costa del Sol. I jeżeli van Nostrand się pojawi, moim ostatnim czynem będzie wyjęcie z kieszeni małego rewolweru, palnięcie mu w łeb i zdanie się na łaskę hiszpańskiego sądu. Spontaniczny czyn dla obrony honoru, spotykany przypadek.

- Van Nostrand się nie pojawi. Nie żyje.

Stary człowiek spojrzał na Tyrella.

- Nie było informacji o jego śmierci - rzekł.

- Stał się pan jednym z niewielu wtajemniczonych. Sprawa jest utajniona.

- W jakim celu?

- Aby zmylić przeciwnika. To odpowiedź równie dobra jak każda inna.

- „Przeciwnika”? W takim razie wiecie, że istnieje zhierarchizowana organizacja?

- Wiemy.

- Zorganizowana metodami, według których zwerbowano mojego syna. Wymuszanie, szantaż i groźba zniszczenia, jeżeli kandydat nie wyrazi zgody. I gwarancja wynagrodzenia, jeżeli to uczyni.

- Z wyjątkiem kilku, których znaleźliśmy albo sądzimy, że znaleźliśmy, wszyscy oni nie żyją. Nie wiemy, ani kim, ani czym są.

Czy może nam pan pomóc?

- Miał pan na myśli, czy mogę panu pomóc?

- Moich przyjaciół zabito, a przyjaciółka może być okaleczona na całe życie.

- Ponownie przyjmuję pańską odpowiedź... Nazywają się

Skorpionami, od Jednego do Dwudziestego Piątego. Pierwsza piątka jest wyższą rangą od pozostałych, ponieważ to oni przekazują rozkazy od, powiedzmy, rady nadzorczej.

- Jakiej rady nadzorczej?

- Są znani pod dość trafną nazwą Dobroczyńców.

- Kim są?

- Czy przyjmuje pan warunki umowy? Z panem!

- Jak może pan żądać ode mnie zachowania tajemnicy? Nie zna pan stawki w tej grze.

- Wiem tylko, że nie chcę, aby był w nią wmieszany mój wnuk. Todd ma przed sobą całe życie i nie życzę sobie, żeby szedł przez nie z piętnem syna przekupnego człowieka.

- Zdaje pan sobie sprawę, że mogę pana okłamać?

- Owszem, ale nie sądzę, aby pan to zrobił, zwłaszcza jeżeli da mi pan swoje słowo.

Zaryzykuję... Daje pan słowo?

Tyrell ze złością odszedł kilka kroków w prawo, przez chwilę patrzył na błądy księżyc i wreszcie odwrócił się i spojrzał prosto w smutne, lecz spokojne oczy starego człowieka.

- Chce pan, żebym przekazał informację z nie znanego i nie sprawdzonego źródła? To szaleństwo!

- Nie powiedziałbym. Pamięta pan, było Głębokie Gardło i niezależne czasopismo, które posłużyło się jego danymi?

- Czy może mi pan dostarczyć konkretnych danych?

- Mogę dostarczyć poszlak, które uznaję za istotne. Całą resztę musi pan ustalić na własną rękę.

- W takim razie ma pan moje słowo - oznajmił wreszcie cicho Hawthorne. - I nie kłamię... Proszę mówić.

- Van Nostrand miał małą, ale bardzo drogą willę, z tych, jakie najczęściej wybierają samotni ludzie, którzy raczej nie przyjmują gości na noc - chyba że kochanków. Kiedy

powiedział mi, kim jest i co zrobił, wziąłem tę willę pod ścisłą obserwację, mówiąc językiem służb wywiadowczych. Przekupiłem jego służących, pracownika miejscowego urzędu telefonicznego, a także telefonistki w naszych klubach. Wiedziałem, że nie mogę zabić tego człowieka, nie ponosząc konsekwencji, na które wcale nie miałem ochoty, lecz gdybym dowiedział się czegokolwiek istotnego o tym sukinsynu, może mógłbym diametralnie zmienić sytuację syna i moją...

- Stosując jego własną taktykę? - przerwał mu Tyrell. Wymuszenie? Groźba ujawnienia wszystkiego, o czym się pan dowiedział?

- Dokładnie tak... W połączeniu z tym, co przekazał mi

David. Musieliśmy być wyjątkowo ostrożni, sam pan rozumie.

Żadnych listów, rozmów telefonicznych - nic w tym rodzaju... Syn dużo podróżował i co dość dziwne, niekiedy składał raporty do

Centralnej Agencji Wywiadowczej na tematy, którymi na ich żądanie się zajmował.

- Słyszałem o tym - ponownie wtrącił się Hawthorne. Gdy po raz pierwszy wymieniłem jego nazwisko, szef wywiadu marynarki orzekł, że jestem idiotą. Pański syn w ich mniemaniu był tak czysty, że nawet CIA wykorzystywała go jako swojego człowieka.

- Dosyć ironiczna sytuacja, prawda...? Mimo wszystko jednak spotykaliśmy się w tajemnicy, dokładając wszelkich starań, aby nie widziano nas razem - w tłumie na Trafalgar Square, w gwarnej kafejce na Rive Gauche albo też w położonych na uboczu gospodach. David przekazał mi kody telefoniczne połączeń satelitarnych...

- Wiemy o nich...

- Zrobiliście postępy.

- Nie dość duże. Proszę mówić.

- Syn znał van Nostranda towarzysko, było to bowiem nie do uniknięcia w waszyngtońskich kręgach, w których obaj się obracali, lecz rzadko rozmawiali ze sobą w miejscach publicznych. A potem, w związku z alarmową sytuacją, która wymagała natychmiastowych działań - chodziło o pilne oceny analityczne z CIA - van

Nostrand polecił mojemu Davidowi, aby przekazywał te skorygowane dane Skorpionowi Dwa.

- Skorpionowi Dwa...? O'Ryanowi?

- Tak. David był Skorpionem Trzy.

- Czyli należał do kierowniczej piątki?

- Zapewniam pana, że z wielkimi oporami. Zresztą wyjaśnienie przyczyn nie wchodzi w skład informacji, których mam zamiar panu udzielić.

- Kim są pozostali dwaj? Chodzi mi o ściśle kierownictwo Skorpionów.

- Nigdy nie dowiedział się tego wprost, ale domyślał się, że jednym z nich jest jakiś senator, ponieważ van Nostrand powiedział mu kiedyś, że Senacka Komisja do Spraw Wywiadu jest doskonałym źródłem informacji. Jeżeli natomiast chodzi o piątego człowieka, David stwierdził, że O'Ryanowi udało się go namierzyć, lecz napomknął jedynie, że S-Pięć to „waga ciężka” - najcięższa w Pentagonie.

- Spore miejsce z mnóstwem zawodników wagi ciężkiej zauważył Tyrell.

- Zgadza się. W każdym razie potwierdza to informacje uzyskane w Costa del Sol. Van Nostrand wykonywał mnóstwo telefonów ze swojej rezydencji i wiele z nich właśnie do Pentagonu.

Niestety, jak wyjaśnił mi syn, lista jest bezużyteczna. Kiedy Neptun chciał nawiązać łączność ze Skorpionem, używał łącza satelitarnego z zakodowanym dostępem.

- Chyba że do przesyłania meldunków wykorzystywał skrzynki kontaktowe - oświadczył Hawthorne. - Pański syn miał rację. To ślepa uliczka... Czy uzyskał pan jakieś wiadomości z tej willi, oprócz wykazu rozmów telefonicznych?

- Owszem, znalazłem korespondencję z mieszczącym się w Lozannie przedsiębiorstwem handlu nieruchomościami. Najwyraźniej

van Nostrand miał posiadłość nad jeziorem zapisaną na inne, hiszpańskie nazwisko. Sam natomiast był na niej określany jako „opiekun”.

- Nic tam nie ma, a nawet gdyby było, rozwikłanie tych danych zajęłoby nam zbyt wiele czasu. Czy coś jeszcze?

- I znowu odpowiedź brzmi „tak” - Ingersol uśmiechnął się słabo. - Lista dwudziestu nazwisk i adresów zapisanych na papierze firmowym Gemeinschaft Bank w Zurychu. Osiemnaście miesięcy temu znajdowała się w ściennym sejfie van Nostranda.

Zapłaciłem dziesięć tysięcy dolarów cudownemu łajdakowi odbywającemu obecnie wyrok w Estepona za zneutralizowanie systemu alarmowego i otwarcie tego sejfu. Dwadzieścia nazwisk, panie

Hawthorne. Dwadzieścia.

- Żyła złota! - szepnął Tyrell. - Pozostałe Skorpiony. Czy pana syn wiedział o tym?

- Jestem doświadczonym prawnikiem, panie Hawthorne.

Wiem, kiedy dostarczyć dowody rzeczowe, a kiedy nie, zwłaszcza jeżeli dowody te mogłyby zaszkodzić klientowi.

- Co to znaczy?

- Mówiąc brutalnie, David nie był przygotowany ani też nie nadawał się na stanowisko, do którego objęcia został zmuszony. Był świetnym adwokatem, dobrym radcą prawnym, ale nie był adwokatem procesowym, nie występował w sprawach karnych, które w jakiś sposób dotyczyłyby przestępczego podziemia. Mógł nieźle odegrać rolę Skorpiona Trzy, lecz było to właśnie odgrywanie roli. Wciąż był przerażony, niekiedy ulegał przygnębieniu i atakom paniki. Gdybym dał mu tę listę, równie dobrze mógłby w jednym ze swoich paroksyzmów niepokoju spróbować się uwolnić za jej pomocą.

- Czy było to możliwe?

- Dobry Boże, niechże pan ruszy głowę, młody człowieku!

Van Nostrand, bliski znajomy prezydentów, z koneksjami w całym

Waszyngtonie; O'Ryan, analityk najwyższego szczebla, mający dostęp do najgłębszych tajemnic - i lista nie znanych nikomu nazwisk dostarczonych przez ogarniętego paniką człowieka, który nie umiałby nawet wyjaśnić, kim ci ludzie są ani czym się zajmują?

- A co z kodami dostępu do łączy satelitarnych?

- Zostałyby natychmiast zablokowane przez Skorpionów mających możliwość przesłania alarmu... Gdybym był spiskowcem zamieszany w zabójstwo Johna Kennedy'ego, potrafiłbym dokładnie wyjaśnić, w jaki sposób bez trudu można było wszystko zamaskować, całkowicie znikając z pola widzenia Komisji Warrena.

Skorpiony są najlepszym dowodem, jak łatwo jest coś takiego zrealizować.

- Dlaczego zabito pańskiego syna?

- Wpadł w popłoch. Nie wiem, z jakiego powodu, ale jego lęk musiał wynikać z nie znanych mi ostatnich wydarzeń. Jak już panu mówiłem, nie korzystaliśmy z korespondencji ani połączeń telefonicznych. Był przekonany, że jego biuro i dom są pod kontrolą

Dobroczyńców.

- I rzeczywiście?

- Dom - nie, biuro - nie wiem. To duża firma o skomplikowanym systemie telefonicznym. Podśluchy mogłyby wywołać podejrzenia.

- Czy jest pan pewien domu?

- Moi ludzie sprawdzali go co miesiąc, ale nie udało mi się uspokoić Davida. Powtarzał ciągle: „Nie wiesz, co oni mogą”.

Przyznałem, że nie wiem. Stwierdziłem jedynie, że dom ma czysty.

Jak panu wiadomo, pluskwy bardzo łatwo wykryć.

- Kim są Dobroczyńcy?

- Nie jestem pewien, mogę tylko udzielić kilku naprowadzających wskazówek. Do van Nostranda przylatywano prywatnymi samolotami, a więc oczywiście posmarowałem tu i ówdzie na lotnisku w Marbella i na cle. O tak, panie Hawthorne, mam nazwiska i punkty startu wszystkich, z którymi się spotykał. Na pewno byli wśród nich i Dobroczyńcy, ale niestety nie mogłem z tego nic wywnioskować. W tego rodzaju dokumentach kłamstwa są czymś oczywistym, a jakoś nie potrafiłem znaleźć punktu zaczepienia... Byli jednak mężczyzna i kobieta - on z Mediolanu, ona z Bahrajnu - którzy odwiedzali go częściej niż inni. Początkowo myślałem, że to raisons de coeur - kochankowie korzystający z dyskrecji i gościnności van Nostranda. Potem jednak uświadomiłem sobie moją idiotyczną naiwność. Oboje byli w podeszłym wieku i straszliwie tędzy. Jeżeli byli kochankami, to mogli się kochać jedynie przy pomocy służby... Nie, panie Hawthorne, nie byli kochankami. Moim zdaniem, Hawthorne, ci ludzie mieli ściśle powiązania z Dobroczyńcami. Być może byli nawet ich przywódcami, a przynajmniej przedstawicielami finansowymi.

- Mediolan, północny kanał przerzutowy z Palermo, od mafii - oznajmił cicho Tyrell. - Bahrajn ze wszystkimi pieniędzmi świata, bardzo często poważne źródło finansowania doliny Bekaa.

Czy mógłby ich pan zidentyfikować, powiedzieć, kim są?

- Cii! - Ingersol podniósł gwałtownie prawą rękę. - Ktoś przeszedł przez pergole.

Hawthorne zaczął się odwracać, ale się spóźnił. Rozległo się puknięcie - odgłos strzału z broni z tłumikiem - i pocisk roztrzaskał czoło starego człowieka. Tyrell rzucił się w prawo, w kępę krzaków róż, sięgając jednocześnie za pasek po rewolwer, ale nie starczyło mu już czasu. Jakaś sylwetka spadła na niego niczym drapieżny ptak, wypełniając mrokiem pole widzenia. Ciężki metalowy przedmiot uderzył o jego czaszkę i nagle nie było już nic...

ROZDZIAŁ 29

Hawthorne najpierw poczuł ostry, przenikliwy ból, a potem ściekające mu po twarzy strumyki krwi. Łapiąc spazmatycznie powietrze, spróbował unieść głowę, wskutek czego jedynie włosy wplątały mu się w gałęzie, a twarz podrapały ostre kolce. Był fatalnie zaplątany w krzewy róż - kłujące pędy pętały i spowijały go szczelnie, wbijały się w ubranie, zupełnie jakby ktoś wdeptał go w te cierniste gałęzie. Domyślał się, kto - widziany zaledwie jako sylwetka zabójca Richarda Ingersola, ojca Skorpiona Trzy.

Powoli, niepewnie i krzywiąc się z bólu, Tyrell wyplątał się z krzaków róż. Wstał i nagle się zorientował, że trzyma w ręku rewolwer, który jednak jest o wiele większy i cięższy od jego własnego. Obejrzał go w poświęcie padającej od strony basenu.

Było to magnum kaliber 0.38, z lufą zaopatrzoną w perforowany tłumik - broń, z której zastrzelono Ingersola-seniora. Chcą mnie zrobić! - pomyślał i dopiero wtedy uświadomił sobie, że pod marynarką odczuwa drażniące impulsy. Jeden, dwa, trzy... Jeden, dwa, trzy... Poole próbował przekazać mu sygnał wezwania alarmowego. Nie miał pojęcia, od jak dawna.

Szedł niepewnym krokiem po miękkiej ziemi, usiłując dokonać oceny sytuacji. Jednocześnie wyciągnął zza paska połę koszuli i otarł nią krew z twarzy. Nikogo w pobliżu nie było, leżały jedynie zwłoki Ingersola. Głowa zabitego była zalana krwią, twarz przypominała lśniąca szkarłatem maskę. Tę zaczął działać szybko.

Instykt podpowiadał mu, co musi zrobić - pod warunkiem, że robi to natychmiast. Opuścił ciało za białą ławkę i wciągnął pod gęsty żywopłot otaczający ogród. Przeszukał kieszenie starego człowieka. Nie było w nich nic, oprócz portfeli wypełnionych banknotami i kartami kredytowymi. Włożył go z powrotem i z kieszeni na piersi Ingersola wyjął czystą chusteczkę: Światło z basenu - woda!

Hawthorne przebiegł przez pergolę i wyjrzał ostrożnie zza węgła, wsuwając jednocześnie magnum za pasek. Nikogo nie było, ale przytłumione głosy świadczyły o obecności kilkudziesięciu osób spacerujących wolno za witrażowymi drzwiami salonu. Namoczył chusteczkę w wodzie basenu i otarł nią głowę i twarz. Gdyby udało mu się niezauważenie przejść przez zatłoczoną, kipiącą pracą kuchnię, dotarłby do korytarza, z którego jedynie kilka kroków dzieliło go od gabinetu młodszego Ingersola. Musiał tak zrobić!

A także natychmiast porozumieć się z Jacksonem, dowiedzieć się, co jest powodem alarmu, i opowiedzieć o zaszłych tu wydarzeniach.

Na wiklinowym fotelu wisiał ręcznik kąpielowy. Schwycił go, nie bardzo wiedząc, do czego może mu posłużyć, poza symbolicznym przysłonięciem zabrudzonego ubrania. I nagle nieomylnie zorientował się, co go ocuciło - słabe, lecz nieustannie pulsujące ładunki elektryczne z plastikowej zapalniczki w kieszeni na piersi. Bez tej elektronicznej interwencji znalazłoby go tuż przy zakrwawionych zwłokach Richarda Ingersola i aresztowano pod zarzutem morderstwa. W ten sposób zostaliby wyeliminowani dwaj ludzie, być może jedyni - oprócz terrorystki Bajaratt - którzy wiedzieli o zakonspirowanych Skorpionach.

Ruszaj się, natychmiast!

Tyrell zbliżył ręcznik do twarzy i pobiegł wyłożoną płytkami dróżką ku drzwiom do kuchni. Wdarł się w wir białych fartuchów, jakby był jednym z przybyłych żałobników, który z żalu wypił o jednego za dużo. Ci, którzy zauważyli jego dość żałośnie wyglądającą postać, odwrócili dyskretnie głowy, nie chcąc odrywać się od pracy. W wąskim korytarzyku skręcił w stronę gabinetu i z ulgą zauważył, że drzwi są wciąż zamknięte. Wślizgnął się do środka, zamknął za sobą drzwi na klucz i zasłonił po kolei wszystkie okna. Rana na głowie otworzyła się ponownie, ale dzięki

Bogu, szwy na udzie trzymały. Przydał się dodatkowy opatrunek założony przez Jacksona... Z gabinetu uchylone drzwi prowadziły do łazienki. Zajmie się rozciętą głową najprędzej, jak będzie mógł, ale pierwszeństwo ma telefon do A. J. Poole'a, porucznika wojsk powietrznych Stanów Zjednoczonych.

- Gdzieś ty się podziewał?! - wrzasnął zaniepokojony Poole. - Usiłuję się z tobą porozumieć od czterdziestu pięciu minut.

- Później, Jackson, przede wszystkim twoje informacje. Czy to Cathy?

- Nie. Szpital podaje, że nie ma zmian.

- W takim razie co?

- Wolałbym ci tego nie mówić, Tye, ale chyba muszę... Zabito

Henry'ego Stevensa, został pchnięty nożem w pierś. Jego ciało policja znalazła za garażem. - Porucznik przerwał na chwilę, a potem dodał: - Ponadto chcę ci zameldować, że pani Stevens dręczyła sekretarza stanu Palissera tak długo, aż jej podał ten numer.

Miała dla ciebie wiadomość i nie przyjmowała żadnej odmowy.

Zapisałem jej słowa i przysiągłem na honor, że ci je przekażę. Brzmia następująco: „Najpierw Ingrid, teraz Henry, Tye. Jak długo ma to trwać? Rozwikłaj tę sprawę, dopóki wszyscy nie zwariujemy...” Co to znaczy, komandorze?

- Kojarzy jedną sprawę z drugą, choć nie mają związku. Tyrell nie mógł sobie pozwolić na myślenie o bólu, jaki odczuwała

Phyllis Stevens. Nie miał czasu! - Czy policja ustaliła coś w sprawie zabójstwa Henry'ego Stevensa? - zapytał.

- Tylko tyle, że rana ma niezwykley charakter, jest bardzo duża.

Wszystko utrzymywane jest w tajemnicy. Policja dostała polecenie nieprzekazywania żadnej informacji prasie ani nikomu innemu.

- Co z tą raną?

- Zadana dużym i grubym ostrzem. Podobno wyjątkowo rzadki przypadek.

- Kto ci to powiedział?

- Sekretarz Palisser. Objął dowodzenie od chwili ataku serca dyrektora Gillette'a, czy cokolwiek to było. Nie zapominaj, że pracujesz na rzecz Departamentu Stanu i właśnie on prowadzi teraz bal.

- Czy możesz porozmawiać z nim bezpośrednio? - zapytał

Tyrell.

- Trochę za wysokie progi jak na faceta ze srebrnym prostokąciem, ale spróbuję. Dał mi swoje prywatne numery - zarówno w domu, jak i w Departamencie Stanu.

- Posłuchaj mnie uważnie, Jackson, i notuj. Jeżeli czegoś nie zrozumiesz, każ mi powtórzyć. - Hawthorne opowiedział szczegółowo wszystko, co zaszło w domu Ingersolów w McLean, szczególnie dokładnie przekazując mu opowieść Richarda Ingersola i okoliczności jego śmierci.

- Jak ciężko jesteś ranny? - dociekał porucznik.

- Przeżyję. Wykię się paroma dodatkowymi szwami i cholernym bólem głowy. A teraz połącz się z Palisserem i powtórz mu wszystko, co ci powiedziałem. Chcę, żeby mi załatwił natychmiastowe dojście do materiałów, jakie Centralna Agencja ma na każdego senatora w Komisji do Spraw Wywiadu i na wszystkich oficerów wyższego szczebla pracujących w Pentagonie. Na każdego, kto jest wystarczająco wysoko, aby mógł podejmować decyzje.

- Zapisuję, jak szybko potrafię - rzekł Poole. - Jeezu, co za scenariusz!

- Masz już wszystko?

- Nie popełniam zbyt wielu błędów, komandorze. Przypadkiem dysponuję czymś takim, co się nazywa pamięcią słuchową. Wszystkie twe życzenia zostaną spełnione... A przy okazji, twój brat Marc znowu dzwonił. Jest zmartwiony.

- Zazwyczaj jest zmartwiony. O co teraz chodzi?

- O tych pilotów z posiadłości van Nostranda, braci Jonesów.

Dają ci dwanaście godzin na uregulowanie z nimi spraw, w przeciwnym razie wszystko ogłoszą.

- Do diabła z nimi. Niech sobie ogłaszają. Spowodują tylko panikę w siatce Skorpionów, a jeden z nich jest tutaj, w tym domu!

Zobaczył mnie, jak wychodzę z ojcem Ingersola, Skorpiona Trzy.

Trzech już nie ma, w tym O'Ryana i van Nostranda. Z górnej piątki pozostało dwóch. Zaczął się już popłoch.

- Tye, co z twoją głową?

- Trochę mi się w niej kręci i boli jak cholera.

- Znajdź gdzieś kawałek plastra i przyklej ściśle do włosów, na krzyż. A potem ukradnij jakiś kapelusz.

- Czek wysyłam pocztą, panie doktorze... Muszę się stąd wydostać. Przekaż Palisserowi, że jadę do Langley. Zajmie mi to przynajmniej dwadzieścia minut, a więc ma czas na załatwienie mi wejścia i przygotowanie wszystkiego tak, aby w jednym z tych ich tajnych pokojów bez okien komputery CIA zaczęły wypływać pierwsze z zamówionych akt. Powiedz mu, żeby ruszył tyłek i wyjaśnij, że to są moje słowa.

- Lubisz dopieprzyć władzy, co?

- W końcu to jedna z niewielu radości, które mi pozostały.

W szpitalu Waltera Reeda, w zabezpieczonym prosektorium, do którego wstęp miało tylko niewielkie grono upoważnionych osób, dwaj lekarze przeprowadzający sekcję zwłok komandora Henry'ego

Stevensa spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Na sterylnym, wykonanym z nierdzewnej stali stoliku umieszczonym u stóp stołu operacyjnego, znajdował się zestaw trzydziestu siedmiu noży - od średniej wielkości noża do warzyw, po największy do krojenia mięsa.

- Mój Boże, to był bagnet - powiedział lekarz z prawej.

- Jakiś szajbus daje o sobie znać - przytaknął chirurg z lewej.

Bajaratt przeciskała się przez tłum w stronę elektronicznych drzwi.

Wewnątrz terminalu El Al skrzyła w prawo, oddalając się od stanowisk odprawy pasażerów, i ruszyła w kierunku automatycznych schowków bagażowych. Odsunęła zamek błyskawiczny z boku torebki, wyjęła mały kluczyk przekazany jej w Marsylii i zaczęła odczytywać cyfry na zamkniętych schowkach. Kiedy znalazła, oznakowany numerem sto szesnaście, otworzyła go, wsunęła do środka rękę i wyciągając palce, obmacała niewidoczną górną część schowka, do której przyklepiona była koperta. Odczepiła ją, rozerwała, wyjęła z

niej kwit bagażowy i szybko włożyła go do bocznej kieszonki, na miejsce klucza pozostawionego w zamku pustego schowka.

Znowu precyzyjnie przeszła przez tłum i skierowała do sali przylotów

El Al, gdzie obojętnym ruchem wyciągnęła kwit i podała dziewczynie za kontuarem.

- Jeden z naszych pilotów miał zostawić dla mnie paczkę powiedziała, uśmiechając się czarująco. - Im bardziej się starzejemy, tym bardziej potrzebne są nam perfumy z Paryża, prawda?

Urzędniczka wzięła kwit. Minęło kilka minut, w czasie których niepokój Bajaratt narastał. Trwało to za długo. Jej oczy biegały na wszystkie strony, jak u osaczonego zwierzęcia, zbliżającego się do potencjalnej pułapki. Aż wreszcie kobieta wróciła.

- Bardzo mi przykro - oznajmiła - ale pani zaprzyjaźniony pilot pomylił kraje - wyjaśniła, podając Bajaratt dokładnie oklejoną taśmą paczkę. - Nie jest z Paryża, tylko bezpośrednio z Tel

Awiwu... Między nami mówiąc, paczki krajowe przechowujemy w oddzielnym miejscu. Ludzie tak się niepokoją, kiedy przychodzą tu coś odebrać, rozumie pani, co mam na myśli?

- Niezupełnie, lecz dziękuję. - Baj wzięła paczkę. Była lekka.

Potrząsnęła nią... - Ten paskudny pilot musiał polecieć najpierw do domu i oddać połowę mojej porcji jakiejś innej kobiecie.

- Tacy są mężczyźni - przytaknęła urzędniczka. - Jak można im wierzyć, a szczególnie pilotom?

Bajaratt szła do wyjścia, niosąc paczkę wśród kłębiących się ciał. Była szczęśliwa - metoda zdała egzamin. Jeżeli materiał wybuchowy przeszedł przez izraelską kontrolę, przejdzie również przez wszystko, czym może dysponować Biały Dom! Niecałe dwadzieścia cztery godziny! Aszkelon!

Minęła elektroniczne drzwi, wyszła na zewnątrz i zobaczyła, że limuzyny nie ma. Najprawdopodobniej jeździła w strefie, gdzie parkowanie jest zabronione. Była poirytowana, ale nie rozgniewana.

Pomyślnie przybycie paczki podniosło ją na duchu. Pakunku nie wykryły ani urządzenia na lotnisku, ani skanery przechowalni bagażu. Kontrola w tym miejscu była obowiązkowa od czasu wybuchów, które nastąpiły w latach siedemdziesiątych w terminalu w Tel Awiwie. Mało kto wiedział, że w dolnym szwie eksplodującej torby znajdowała się stalowa czarna nitka długości zaledwie centymetra. Jej wyciągnięcie uruchamiało maleńkie baterie litowe i uzbrajało zapalnik bomby o sile eksplozji równej kilku kilogramom dynamitu.

Detonację powodowało ustawienie na godzinę dwunastą wskazówek wysadzanego brylantami ręcznego zegarka i trzykrotne naciśnięcie główki klucza do nakręcania. Znowu poczuła się jak dziesięcioletnia dziewczynka, wbijająca myśliwski nóż w kark hiszpańskiego żołnierza, który z zapalem pozbawiał ją dziewictwa.

Muerte para toda autoridad!

- Czy to nie sabra z kibucu Bar-Szoen? - Słowa te zabrzmiały jak uderzenie piorunu, odbierające jej na krótko możliwość skoordynowanego myślenia. Podniosła wzrok i zobaczyła nieznajomego, który wcale nie był nieznajomy! Stał przed nią ów niegdyś ciemnowłosy, a teraz ufarbowany na blond agent Mossadu, z którym spała przed laty i którego dostrzegła koło recepcji hotelu „Carillon”. Ale nie sądzę, żebyś miała na imię Rachela - ciągnął dalej. - Coś mi się wydaje, że raczej zaczyna się na B, jak Bajaratt. Wiedzieliśmy, że masz kolegów w Jerozolimie i Tel Awiwie i- że najlepszym punktem do odbierania wiadomości lub przesyłek jest takie miejsce, w którym nikt nie będzie się ciebie spodziewał. To był tylko domysł, ale my potrafimy się domyślać...

- Jak dawno cię nie widziałam, kochanie! - krzyknęła Bajaratt i zarzuciła ramiona na szyję agenta Mossadu. - Obejmij mnie, pocałuj, mój kochany, najdroższy! - Zgromadzeni licznie przy wejściu ludzie przyglądali im się z przyjaznymi uśmiechami. - Nie widziałam cię od czasów kibucu Bar-Szoen! Chodźmy do kawiarni.

Musimy koniecznie porozmawiać!

Baj schwyciła mężczyznę pod ramię i bez przerwy paplając po hebrajsku, pociągnęła go przez rozstępujący się chętnie tłum z powrotem do wnętrza terminalu. Gdy tylko znaleźli się w środku, skierowała się wraz z zakłopotanym Izraelczykiem w stronę długich kolejek przed stanowiskami odprawy pasażerów. Nagle wrzasnęła:

- To on! - krzyczała histerycznie, z szeroko otwartymi z przerażenia oczyma i tak głośno, że żyły wystąpiły jej na szyi. To Achmet Soud z Hezbollahu! Popatrzcie na jego włosy! Rozjaśnił je, ale to on! Zamordował moje dzieci i zgwałcił mnie w czasie walk na granicy! Skąd się tu wziął?! Zawołajcie policję, zawołajcie naszą ochronę! Zatrzymajcie go!

Mężczyźni wybiegli z kolejek i otoczyli oficera Mossadu, a Baj korzystając z zamieszania - wybiegła na zewnątrz, roztrącając wchodzących, - Jedźmy stąd! - zawołała, zatrzymując podjeżdżającą wolno limuzynę i wskakując na tylne siedzenie obok oszołomionego Nicola.

- Dokąd, proszę pani? - zapytał szofer.

- Do najbliższego hotelu, możliwie przyzwoitego - odpowiedziała, z trudem łapiąc oddech.

- Jest takich kilka na lotnisku.

- W takim razie do najlepszego.

- Basta, signora! - oznajmił Nicolo, wpatrując się w nią swoimi wielkimi ciemnymi oczyma. Podniósł szybkę oddzielającą ich od kierowcy i ciągnął dalej po włosku: - Przez minione dwie godziny usiłowałem z panią porozmawiać, ale pani nie chciała mnie słuchać. Teraz będzie pani słuchała.

- Mam bardzo wiele spraw na głowie, Nico. Brak mi czasu na...

- Albo znajdzie pani natychmiast czas, albo zatrzymam samochód i wysiądę.

- Co zrobisz?! Jak śmiesz?

- Śmiem, signora. Po prostu każę szoferowi stanąć, a jeżeli mnie nie posłucha, zmuszę go.

- Jesteś krnąbrnym dzieckiem.... Doskonale, wysłucham cię.

- Wspomniałem pani, że rozmawiałem z Angeliną...

- Tak, tak, słyszałam. Aktorzy w Kalifornii strajkują i jutro przylatuje do domu.

- Najpierw przyleci do Waszyngtonu, gdzie spotkamy się o drugiej po południu w porcie lotniczym National.

- Wykluczone - odparła stanowczo Bajaratt. - Mam inne sprawy do załatwienia.

- W takim razie proszę załatwić je beze mnie, ciociu

Cabrini.

- Nie możesz... Nie pozwalam ci!

- Nie jestem pani własnością, signora. Opowiadała mi pani o wielkiej sprawie i o tym, że ludzie musieli umrzeć, bo mogliby uniemożliwić pani zrealizowanie tej wielkiej sprawy... Chociaż nie rozumiem, w jaki sposób służąca z wyspy i szofer czy byli aż tak ważni...

- Mogli mnie zdradzić, nawet zabić!

- Tak właśnie pani mówiła, ale nic poza tym. Wydaje mi pani wiele rozkazów, których również nie rozumiem. Jeżeli ta wielka sprawa jest aż tak dobra i szlachetna, tak istotna dla Kościoła, to dlaczego musimy udawać ludzi, którymi nie jesteśmy...? Nie, proszę pani, myślę że nie tknę tych lirów w Neapolu, a pani nie będzie mi już wydawać rozkazów ani zabraniać widywania Angeliny. Jestem silny i nie taki znowu głupi. Znajdę pracę... Może Capelli pomoże mi, kiedy powiem mu prawdę, a powiem ją!

- Wyrzuci cię z domu!

- Będzie mi towarzyszył ksiądz, który mnie pobłogosławi i udzieli rozgrzeszenia przy spowiedzi. Będzie wiedział, że mówię szczerze, że prawdziwie żałuję grzechu kłamstwa,

którego się dopuściłem... Chociaż nie wspomnę o człowieku, który usiłował mnie zabić. Zapłacił swój dług, a ja nie zostanę ukarany za coś, co musiałem zrobić.

- Powiesz im o mnie?

.- Powiem, że nie jest pani hrabiną, ale bogatą kobietą wysokiego rodu lubiącą zabawy, które między bogatymi są bardzo modne. W dokach wiemy o tym dobrze. Ileż to razy w Portici i Neapolu przygotowywaliśmy jachty dla wielkich signores i signoras, którzy tak naprawdę byli alfonsami i kurwami z Rzymu?

- Nie możesz tego zrobić, Nicolo!

- Nie będę mówił o złych rzeczach... Nic o nich nie wiem, a pani zasłużyła na moje milczenie tym, że wprowadziła Angelinę

Capelli do mojego ubogiego życia.

- Nico, posłuchaj mnie. Jeszcze tylko jeden dzień, a będziesz bogaty i wolny!

- O czym pani mówi?

- Jutro... Tylko jutrzejszy dzień. Wieczór, jedynie wieczór i przez krótką chwilę. Proszę cię jeszcze o ten drobiazg, a potem odejdę.

- Odejdzie pani?

- Tak, uwielbiane dziecię. I wówczas pieniądze w Neapolu staną się twoje, a wielka rodzina w Ravello uzna cię za swego...

Przecież to wszystko dla ciebie, Nicolo! Marzenie tysiąca dzieci z nabrzeży. Nie zniszcz go teraz!

- Jutrzejszy wieczór?

- Tak, zaledwie godzina... I oczywiście możesz po południu spotkać się z Angel... Byłam zamyślona i nie słuchałam uważnie.

Sama pojedę z tobą na lotnisko. A więc zgoda?

- I żadnych więcej kłamstw i innych takich historyjek, signora

Cabrini. Proszę pamiętać, że jestem chłopakiem z ulicy. Mam wrażenie, że wyczuwam prawdę szybciej niż pani. Jest o wiele mniej skomplikowana.

Hawthorne odłożył słuchawkę telefonu w gabinecie Ingersola i rozejrzał się wokoło. Obok była łazienka. Przeszedł do niej i otworzył apteczkę. Wewnątrz znajdowały się rozmaite medykamenty, między innymi pastylki valium, pigułki na nadkwasotę, dwa sztyfty odkażające, a także krem do golenia, butelka płynu po goleniu, puszciczka plastrów z opatrunkami i rolka przylepca. Na półeczce stało marmurkowe pudełko z papierowymi chusteczkami.

Wziął pięć albo sześć, pochylił głowę do lustra, ścisnął krawędzie rany na głowie i przyłożył chusteczki. Gorączkowo manipulując palcami, oderwał kawałki plastra i przykleił je do włosów oraz chusteczek, zasklepiając ranę najlepiej, jak potrafił. Wrócił do gabinetu, znalazł w szafie niezującego adwokata kapelusz burberry w drobną kratkę i wcisnął go na głowę. Prowizoryczny opatrunek powinien powstrzymać krwawienie do chwili, kiedy dotrze do Langley. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Przeszedł przez korytarz i nagle zaczął się zastanawiać, w jaki by tu sposób ukraść księgę gości umieszczoną w widocznym miejscu i podpisywaną przez tych przybyłych z kondolencjami, którzy pragnęli, aby ich obecność zapamiętano. Dziennik z wartowni w posiadłości van Nostranda w pewnym stopniu mu dopomógł, a w domu Ingersola niewątpliwie ktoś był Skorpionem. Świadczyła o tym śmierć starego człowieka, cudzy zaś rewolwer za paskiem

Hawthorne'a jeszcze bardziej utwierdzał go w tym przekonaniu.

Ale wszelkie myśli o kradzieży rozwiały się, kiedy dotarł do drzwi frontowych.

- Opuszcza nas pan? - zapytał go w holu młody Todd

Ingersol.

- Obawiam się, że muszę - odparł Tyrell, wyczuwając gniew w głosie młodego człowieka. - Moja wizyta miała charakter oficjalny i wiąże się ze spełnianymi przeze mnie obowiązkami, szczerze jednak współczuję pańskiej rodzinie.

- Mam wrażenie, że wyrazów współczucia usłyszeliśmy aż za dużo. Całe zgromadzenie zaczyna, przypominać nudne spotkanie koleżeńskie, dlatego chciałbym odnaleźć dziadka.

- Ach tak?

- Ta bzdura mierzi go w takim samym stopniu jak mnie.

Każdy z obecnych zdobył się na króciutkie zdanie o ojcu, a potem wszyscy zaczęli mówić o sobie. Niech pan spojrzy chociażby na tego człowieka z Cro-Magnon, generała Meyersa.

Jak on rozprawia! Tata go nie cierpiał, tylko udawał, że go toleruje.

- Bardzo mi przykro. Taki jest Waszyngton.

Nagle barczysty mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach, ubrany w zwykły niebieski garnitur, szybkim krokiem wszedł przez drzwi frontowe, mijając Hawthorne'a i syna Ingersola. Zbliżył się do Meyersa i z naciskiem zaczął mu coś mówić do ucha. Wyglądało to niemal, jakby wydawał generałowi rozkazy.

- Kto to taki? - zapytał Tyrell.

- Adiutant Maksymalnego Mike'a. Od pół godziny usiłuje wyciągnąć stąd generała. Widziałem nawet, jak przed chwilą szarpał go za rękę... Gdzie jest mój dziadek? Pan White mówił, że pan z nim rozmawiał. Potrafiłby elegancko wyprosić całe to towarzystwo... Ja nie, z pewnością nie zachowałbym się uprzejmie i matka byłaby na mnie wściekła jak diabli.

- Rozumiem. - Hawthorne przez moment przyglądał się młodemu człowiekowi. -
Posłuchaj, Todd... Ma pan na imię

Todd, prawda?

- Tak, proszę pana.

- W tej chwili nie zrozumiesz tego, co ci powiem, ale twój dziadek bardzo cię kocha. Nie znam go zbyt dobrze, lecz tych kilka minut, które spędziłem w jego towarzystwie, przekonało mnie, że jest wyjątkowym człowiekiem.

- Wszyscy o tym wiemy...

- Pamiętaj o tym, Todd. Wierz w to... Przynajmniej w tej części, która dotyczy ciebie.

- Co, u diabła, chce mi pan dać do zrozumienia? .

- Sam nie wiem do końca. Po prostu zależy mi, abyś wiedział, że opuszczam ten dom z czystymi rękami.

- Pańska twarz. Niech pan spojrzy na swoją twarz!

Tyrell poczuł strumyki krwi spływające mu po policzkach.

Odwrócił się i wybiegł.

Hawthorne był już w połowie drogi do Langley, kiedy gwałtownie nacisnął hamulec i skierował samochód na pobocze drogi. Meyers!

Maksymalny Mike Meyers, przewodniczący Połączonego Komitetu

Szefów Sztabów. „Waga ciężka” w Pentagonie z opisu O'Ryana!

Czy to możliwe?! Początkowo nazwisko nic mu nie mówiło, nie zaliczał się bowiem do entuzjastów wojskowych struktur. Prawdę mówiąc, starał się nie czytać większości artykułów dotyczących sił zbrojnych. Ale przezwisko „Maksymalny Mike” zapadło mu w pamięć, choćby dlatego, że go nienawdził, nienawdził wszystkiego, co oznaczało. I nazwisko Meyers. Rzeczywiście waga najcięższa z najcięższych.

Wybrał dwustronną linię łączności z Poole'em i nacisnął guzik.

- Jestem - rozległ się natychmiast głos porucznika.

- Co słyszeć u Cathy?

- Poruszyła lewą nogą, co pozwala mieć pewną, choć jeszcze niewielką, nadzieję. A u ciebie?

- Skreśl Langley. Zadzwoń do Palissera i powiedz mu, że jadę do jego domu. Mamy nowe tornado.

ROZDZIAŁ 30

Proszę jechać dalej! - poleciła Bajaratt, gdy szofer limuzyny skręcił w kierunku wejścia do przylotniskowego hotelu. - Wolałabym jakiś inny.

- Wszystkie właściwie są takie same, proszę pani - odparł kierowca.

- Proszę poszukać jednak innego.

Patrzyła przez okno, na oddalający się okrągły podjazd do portu lotniczego. Wypatrywała jakichkolwiek oznak pościgu jadącego za nimi samochodu, szybko przesuwających się reflektorów, ale nie zauważyła nic takiego. Siedziała, przytrzymując na kolanach paczkę, i czuła bijący szaleńczo puls, po karku spływał jej pot. Mossad ją znalazł, znalazł mimo prób zniszczenia wszelkich tropów! W grę włączyła się Jerozolima, wysyłając jedynego człowieka, który mógł ją zidentyfikować łatwiej niż ktokolwiek inny: dawnego kochanka, znającego jej sposób poruszania się, jej ciało, jej drobne gesty na zawsze utrwalone w pamięci oficera wywiadu, któremu zlecono zajęcie się podejrzanym obiektem.

W jaki sposób Mossad ją odnalazł? Jak? Czy miało to jakiś związek z waszyngtońskimi kręgami Krwawej Dziewczynki...?

A może najnowszy przywódca Skorpionów wie coś na ten temat? Na dobrą sprawę przyznał, że nie tylko zna, ale i próbuje cel jej misji.

„Pamięta pani Dallas trzydzieści lat temu? To nasze dzieło” oznajmił z entuzjazmem. Wspomniał również, że nienawidzi tych mięczaków w Waszyngtonie, którzy swoimi decyzjami uniemożliwili takim jak on wykorzystanie w Wietnamie całej amerykańskiej potęgi.

Warto spróbować, na pewno warto spróbować - myślała Bajaratt.

- Panie kierowco - odezwała się głośno - proszę nas zawieźć na jeden z parkingów.

- Słucham, proszę pani?

- Zdaję sobie sprawę, że sprawiam kłopot, ale chciałabym wyjąć kilka rzeczy z walizki.

- Jak pani sobie życzy.

- I proszę stanąć w pobliżu automatu telefonicznego.

- Najbardziej dostępny jest tuż koło pani.

- Wolałabym inny...

- Tak, ludzie coraz częściej tak postępują, widziałem w telewizji. Te komórkowce łatwo jest podsłuchać.

- Cóż mnie to obchodzi! - Ale jest coś, co ma dla mnie znaczenie, pomyślała Baj. Podjazd do parkingu był ogrodzony, wjeżdżające i wyjeżdżające samochody natychmiast rzucały się w oczy. Jeżeli są śledzeni, dowie się o tym od razu, a rozległe, pogrążone w ciemności przestrzenie były przecież dla Amayi

Aquirre... dla Bajaratt, dobrze znanym terenem łowieckim. Dotknęła torebki, wyczuwając przez jej materiał stal pistoletu. Magazynek był pełen.

Jedynym samochodem, jaki pojawił się w ciągu kilku minut od ich przyjazdu, był jaskrawo pomalowany jeep, w którym siedzieli hałaśliwi młodzi ludzie. Wyjazd znajdował się kilkaset metrów dalej, z drugiej strony parkingu, za szeregami stojących aut. Byli bezpieczni, nikt ich nie śledził. A w pobliżu znajdowała się budka telefoniczna.

- To ja - odezwała się Baj. - Czy możemy rozmawiać?

- Jestem w moim służbowym rydwaniu, niech mi pani da dziesięć sekund na włączenie kodera, zaraz się odezwę.

W osiem sekund później znów rozległ się w słuchawce głos przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabu.

- Proszę się nie denerwować. Dałem rysunek techniczny opłatanemu przeze mnie specjalistom z G-2. Zna się na tym doskonale, pracował na Bliskim Wschodzie. Przedmiot zostanie dostarczony jutro rano, nie później niż o siódmej.

- Działa pan profesjonalnie, Skorpionie Jeden, ale nie w tej sprawie dzwonię. Możemy rozmawiać swobodnie, czy jesteśmy kontrolowani?

- Choćby miała mi pani podać nuklearne kody rakietowe, nikt tego nie usłyszy.

- Jest pan przecież w samochodzie...

- To bardzo szczególny pojazd. Właśnie złożyłem ostatni hołd cykorowi, który łaskawie wyniósł się z tego świata. Ten sukinsyn mógłby nas wszystkich wsypać.

- A może już to zrobił?

- Wykluczone. Wiedziałbym o tym.

- Tak, wspominał pan, że jest w uprzywilejowanej sytuacji...

- W maksymalnie uprzywilejowanej - przerwał jej Meyers co w zestawieniu z moim przezwiskiem brzmi dość śmiesznie.

- Słucham?

- Nic, po prostu taki prywatny dowcip.

- Chcę zapytać o sprawę, która bynajmniej nie jest zabawna.

Pojawił się Mossad. Co pan o tym wie?

- Tutaj?

- Właśnie.

- Niech mnie diabli! Nie otrzymaliśmy żadnej informacji, a na pewno by do mnie dotarła. Mam tam paru wypróbowanych przyjaciół prawników, nie jakichś tam lewaków.

- Mimo wszystko nie dodaje mi to poczucia pewności siebie.

- Oddzielam i rozróżniam, łaskawa pani. Moje sprawy mają pierwszeństwo, a wszystkie pozostałe zajmują dalsze miejsca w kolejności.

- Łącznie ze mną?

- Obecnie jest pani pierwsza na mojej liście priorytetów. Pani powinna przywrócić nam pozycję, na której się znajdowaliśmy, i dlatego zrobiłbym dla pani wszystko. Czuję zapach ognia, słyszę wrzaski przerażonych tłumów, widzę nasze kolumny kontynuujące marsz... Znowu przejmujemy ster!

- Muerte a toda autoridad.

- Co pani powiedziała?

- To nie ma dla pana znaczenia. Tylko dla mnie.

Bajaratt odwiesiła słuchawkę i z namysłem zmarszczyła brwi.

Ten człowiek był fanatykiem. Doskonale - jeżeli wszystko, co mówił, to prawda, a nie zasłona dymna. Jest szczerzy czy też wtyczką wprowadzoną do gry przez ów wewnętrzny krąg, którego tak ostentacyjnie się wyrzekał? Dowie się o tym rano, kiedy jak wytrawny fachowiec rozbierze but Allacha i sprawdzi sposób jego montażu oraz elementy składowe. Technik mógłby wykonać wyglądającą na autentyk kopię, ale istniały trzy punkty kontaktu, których nie sposób było zmontować, nie przekształcając przy tym całego urządzenia w śmiertcioną bombę. Nie miało znaczenia, czy ten człowiek jest wrogiem, czy przyjacielem. W końcu nic mu nie powiedziała.

Wrzuciła następną monetę i połączyła się z hotelem „Carillon”, aby odebrać wiadomości pozostawione w recepcji. Było ich wiele, ale wszystkie, oprócz jednej, zawierały tylko jakieś prośby. Jedyna odmienna pochodziła z biura senatora Nesbitta i brzmiała cudownie:

„Przyjęcie hrabiny w Białym Domu jest zaplanowane na jutro na ósmą wieczorem. Senator zadzwoni do hrabiny rano”.

Bajaratt wróciła do limuzyny, odruchowo lustrując parking w poszukiwaniu przybyłych samochodów. Spojrzała też na nocne niebo, sprawdzając, czy nie zobaczy unoszącego się śmigłowca.

- Proszę nas zawieźć z powrotem do pierwszego hotelu oznajmiła kierowcy. - Chyba się za bardzo pospieszyłam.

Hawthorne stał obok solidnego stołu w kuchni sekretarza stanu.

Jego zagniewany, niechętny gospodarz siedział jak zwykle przy ekspresie do kawy. Rozmowa, którą prowadzili, była nadzwyczaj gorąca.

- Mówi pan jak bałwan, z proporcjonalnym do tego określenia współczynnikiem inteligencji, komandorze! Czy utracił pan resztki krytycyzmu?

- Sam pan jest bałwanem, Palisser, jeżeli nie słucha pan, o czym mówię!

- Chciałbym przypomnieć, młody człowieku, że rozmawia pan z sekretarzem stanu.

- Obecnie jest pan sekretarzem jednego wielkiego pieprznika!

- Wcale nie jest pan zabawny...

- Ostatnio mówił pan to samo o van Nostrandzie. Wtedy się pan mylił i teraz też. Czy byłby pan łaskaw myśleć i starać się za mną nadażać?

- Wysłuchałem wszystkiego, co pański pomocnik -jak się on tam nazywa? - miał mi do powiedzenia, i do tej pory kręci mi się w głowie.

- Nazywa się Poole, jest porucznikiem lotnictwa i o wiele inteligentniejszym człowiekiem niż pan czy ja, a wszystko, co panu przekazał, jest prawdą. Ja tam byłem, pan - nie.

- Postawmy sprawę jasno, Hawthorne - oznajmił Palisser. Na jakiej podstawie uważa pan, że stary Ingersol miał klepki w porządku? Dobiegał dziewięćdziesiątka, jego syna brutalnie zamordowano, a ponadto leciał cały dzień przez sześć czy siedem stref czasowych. Biorąc pod uwagę jego wiek i napięcie, w jakim się znajdował, stary, pogrążony w żalu człowiek mógł równie dobrze fantazjować, wymyślając całą armię demonów, która wyłoniła się z piekła, aby siać zagładę i śmierć, i oczywiście spowodować śmierć jego własnego syna... Dobry Boże! Siatka Skorpionów z elitą przywódców, wykonująca rozkazy mitycznego klanu Dobroczyńców?! Przecież to jest żywcem wyjęte z jakiejś koszmarnej nieprawdopodobnej bajdy.

- Podobnie traktowano Schutzstaffeln.

- Wczesnych nazistów?

- Tych samych bandziorów, którzy dysponowali mundurami i paroma tysiącami par długich butów, kiedy za taczkę marek nie można było kupić nawet kromki chleba. W każdym razie nie w czasie gospodarczego załamania Republiki Weimarskiej.

- O czym, do diabła, pan gada?

- Bardzo istotny element, panie sekretarzu. Ktoś musiał dostarczyć te mundury i buty. Przecież nie zmaterializowały się same z siebie. Kupili je i zapłacili za nie ludzie, którzy chcieli mieć dla siebie tamten kraj! Dobroczyńcy niewiele się od nich różnią.

Mają zamiar zdobyć kontrolę nad tym rządem, a jednym ze sposobów osiągnięcia celu jest zamordowanie prezydenta i wykorzystanie chaosu, który zapanuje w państwie. Z tego, co wiemy, są w Senacie i Pentagonie, zapewne także w łączności i innych ważnych punktach, gotowi natychmiast wypełnić polityczną próżnię.

- Jak to „wiemy”?

- Ingersolowie połączyli wiedzę Skorpiona mimo woli, jakim był Ingersol-junior, z tym, co van Nostrand opowiedział seniorowi na Costa del Sol.

- Van Nostrand...?

- Przecież mówiłem. Ten elegancki skurwysyn tkwił w samym centrum sprawy. Wyłożył to byłemu sędziemu Sądu Najwyższego... Wyjaśnił, że on i jego banda zamierzają wziąć Waszyngton pod kontrolę, a stary Ingersol i jego syn nic na to nie mogą poradzić.

- Absurd!

- Podobnie jak jestem przekonany, że pan i nieżyjący sekretarz obrony jesteście czysti, tak samo mam całkowitą pewność, że przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów jest jednym z nich.

- Zwariował pan kompletnie...

- Jestem wściekły jak diabli, Palisser, ale mam wszystkie klepki w porządku, a poza tym, na dowód prawdziwości moich słów, rozwalony łeb. - Hawthorne zerwał z głowy kapelusz skradziony z szafy Dawida Ingersola i pochylił się, pokazując zakrwawiony opatrunek.

- To się stało w domu Ingersolów?

- Mniej więcej dwie godziny temu, kiedy przebywał tam

Maksymalny Mike Meyers, potężny przewodniczący Komitetu

Szefów Sztabów. Jednego ze Skorpionów określono jako „wagę ciężką” w Pentagonie - najcięższą. Czy potrzebuje pan atlasu samochodowego, żeby zobaczyć, jak dojechać z domu Ingersolów do Pentagonu, panie sekretarzu?

- Sprowadzimy starego Ingersola i przesłuchamy go przy pomocy odpowiednich lekarzy specjalistów - burknął z namysłem

Palisser.

- Przepraszam, że zastosowałem starą technikę - Hawthorne zaczął mówić ciszej i ze zmęczeniem oparł się o blat stołu. Na linii włosów zaczęły mu się zbierać krople potu. - Doprowadziłem ją do perfekcji w Amsterdamie, nazywałem decydującym argumentem i stosowałem, kiedy kontakt się wahał... Nie może pan sprowadzić sędziego Ingersola,

ponieważ nie żyje. Pocisk z magnum 0.357 rozwalił mu głowę, a mnie starano się zrobić w to zabójstwo.

Krzesło Palissera zgrzytnęło po kamiennej posadzce kuchni, gdy sekretarz zerwał się na równe nogi.

- Co pan...

- To prawda, panie sekretarzu.

- Przecież byłoby już o tym w prasie i telewizji! Otrzymałbym informację na ten temat!

- Na pewno nie zrobiliby tego Pentagon, a bardzo możliwe, że nikt w domu Ingersolów nie poszedł jeszcze do ogrodu za basenem kąpielowym. Mogą go znaleźć dopiero rano. Dzisiejsze spotkanie w ich domu raczej nie nastraja do pływania w basenie, chyba że zupełnie nie znam się na waszyngtońskiej obyczajowości.

- Kto go zastrzelił i dlaczego? - Twarz Palissera była blada, usta rozchylone.

- Mogę się tylko domyślać, opierając na tym, co widziałem i słyszałem w chwili, kiedy starałem się wykręcić i wydostać z domu

Ingersolów. Widziałem, jak wyjątkowo zbulwersowany adiutant

Meyersa podbiegł do niego i niemal wyciągał go stamtąd siłą, co niezbyt przystoi podwładnemu przewodniczącego Komitetu Szefów

Sztabów. I wtedy wnuk Richarda Ingersola powiedział, że adiutant już od pół godziny próbuje wyprowadzić stamtąd generała. Pół godziny. Mniej więcej od chwili, kiedy były sędzia został zabity, a ja dostałem po głowie.

- Nic z tego nie ma sensu. Dlaczego ktoś chciałby zabić starego człowieka?

- Ponieważ Skorpiony istnieją, są realni. Nie wiem, co zabójca słyszał, ale Ingersol miał właśnie zidentyfikować dwoje ludzi, którzy często odwiedzali van Nostranda w Costa del Sol. Czuł, że stanowili klucz do Skorpionów - o nich myślał przede wszystkim. Zrobiłby wszystko, aby zerwać więzy, którymi spętano jego syna.

- A więc uważa pan, że to adiutant Meyersa zastrzelił Ingersola?

- To jedyne sensowne wytłumaczenie.

- Ale jeżeli pan go widział, wychodząc stamtąd, dlaczego w takim razie on nie zobaczył pana - człowieka, którego zatłukł niemal na śmierć, jeśli zaś dostrzegł, dlaczego nie zareagował odpowiednio?

- W holu było ciemno i tłoczno, poza tym miałem na głowie kapelusz. Przebiegł obok chłopaka i mnie jak szalony. Myślał tylko o jednym - żeby jak najszybciej wynieść się stamtąd.

- I chce pan, żebym na podstawie tej niespójnej hipotezy naraził na szwank dobre imię i zakwestionował patriotyzm przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów, człowieka, który wycierpiał cztery lata w północnowietnamskim obozie jenieckim, i kazał go aresztować?

- Wręcz przeciwnie, wcale tego nie chcę! - oznajmił z naciskiem Tyrell. - Chcę, żebym mi pan pomógł w czymś, co już zacząłem robić, wykorzystując wszystkie chwyt, aby przeniknąć możliwie szybko w środowisko tych ludzi... Meyers stanowi część

„kręgu wtajemniczenia”, prawda? Należy do tej nielicznej grupy osób, która codziennie, a może nawet co godzina, jest informowana o postępie prac związanych z operacją „Krwawa Dziewczynka”.

- Naturalnie...

- Wiem, kim on jest - przerwał mu Hawthorne - ale on nie ma pojęcia, że się orientuję, iż jest Skorpionem.

-- A więc?

- Niech pan umożliwi nam spotkanie. Dziś w nocy. Jestem ekspertem w sprawie Bajaratt i o mało mnie nie zabito u Ingersolów.

- Na litość boską, jeżeli ma pan rację, spróbuje pana zlikwidować!

- Nic o tym nie wiem i nawet tego nie podejrzewam - odparł nieszczerze Tyrell. - Sądzę, że w domu Ingersolów był ktoś jeszcze, a ponieważ przebywałem tam również, zwracam się do niego, aby pomógł mi ustalić tożsamość tego człowieka. - Hawthorne odwrócił się nagle i podszedł do płyty z ciemnego szkła zamykającej górny piekarnik. Jego głos stał się ostry, inkwizytorski. - Niech pan pomyśli, generale! Proszę się zastanowić nad każdym nazwiskiem, każdą zapamiętaną twarzą! To niesłychanie istotne, generale: ktoś spośród obecnych tam osób pracuje dla Krwawej Dziewczynki! Odwrócił się ponownie i spojrzął na Palissera. - Widzi pan, jak się to robi, panie sekretarzu?

- Rozszyfruje pana.

- Jeżeli wszystko wykonam jak należy, na pewno nie. A przy okazji: będzie mi potrzebny jeden z tych minimagnetofonów, które można włożyć do kieszeni koszuli. Chcę zarejestrować każde słowo, które ten sukinsyn wypowie.

- Nie muszę pana uprzedzać, Hawthorne, że jeżeli się pan nie myli, Meyers zacznie podejrzewać, iż go pan nagrywa, i zabije pana.

- Jeśli spróbuje, nie widzę dla niego przyszłości.

Generał Michael Meyers, przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów, stał zniecierpliwiony, nagi do pasa, podczas gdy adiutant odczepiał mu protezę prawej ręki, wypełniającej rękaw jego cywilnego ubrania. Kiedy mocujące rzemyki zostały wreszcie odczepione, generał potrząsnął kikutem i z irytacją spostrzegł, że skóra na nim jest zaczerwieniona. Trzeba zmienić mocowania.

- Przyniosę maść - zaproponował adiutant, zauważywszy, na co ze zmarszczonymi brwiami patrzy przełożony.

- Daj mi najpierw drinka i zapisz sobie, że masz z rana zadzwonić do lekarzy ze szpitala Walter Reed. Powiedz im, żeby wreszcie zrobili to cholerstwo jak należy!

- Mówiłem im już ostatnim razem - odparł starszy sierżant. - Ponad rok temu. Mówiłem i tobie setki razy, że mocowanie się rozciąga, a kiedy robi się luźne, zaczyna ocierać. Ale nie, ty mnie w ogóle nie słuchasz.

- Jesteś jak wrzód na dupie...

- Nie obrażaj mnie, palancie. Za dzisiejszy wieczór masz wobec mnie cholerny dług.

- Dobra, dobra, wiem - odparł ze śmiechem generał. - Ale uważaj, bo odbiorę ci twoje bajeranckie porsche, które trzymasz w Easton.

- Weź je sobie. Będę korzystał z ferrari, przechowywanego przez ciebie w Annapolis. Też jest na moje nazwisko.

- Jesteś kawał starego zupaka, Johnny.

- Owszem - przyznał sierżant, nalewając przy barze dwa drinki i spoglądając na Meyersa. - Jesteśmy razem szmat czasu, Michael. I nieźle nam było, nie licząc paru przerw, które spędziliśmy w żółtkowie.

- A będzie jeszcze lepiej - dodał generał, siadając w fotelu i opierając stopy na podnóżku. - Wracamy na należne nam miejsce.

- I o to dzisiaj w nocy chodziło?

- Lepiej w to uwierz - odparł z namysłem Meyers, spoglądając na ścianę. - Obaj Ingersolowie byli cholernymi, zasmarkanymi tchórzami. Któryś z nich porozumiał się z tym skurwysynem

Hawthorne'em. Paskudna wiadomość, najgorsza, jaką można sobie wyobrazić.

- Hawthorne? Ten facet, którego chciałeś zrobić; ten, który rozmawiał ze starym? Nie mów, jeżeli nie masz ochoty. Nie jestem ciekawy, tylko idę za przywódcą.

- Ed White powiedział mi, że wyszli razem. White chciał wiedzieć, czy słyszałem coś o śledztwie prowadzonym przez Departament Stanu w sprawie jego partnera. To był kamuflaż. Hawthorne jest w innej lidze. Wredna sprawa.

- Teraz już żadna sprawa, M.M. Obaj są historią.

Zadzwoił telefon i starszy sierżant nazywany „Johnny” podszedł do aparatu.

- Rezydencja generała Meyersa - oznajmił. - Tak jest, proszę pana! - zawołał po kilku sekundach. Odwrócił głowę w stronę generała. Na jego twarzy malowało się zdziwienie. - Pan przewodniczący jest pod prysznicem, panie sekretarzu, ale jak tylko wyjdzie, przekażę mu, żeby natychmiast zadzwonił do pana. Wziął ołówek i zaczął pisać w notatniku. Tak jest, proszę pana.

Zapisałem. Połączy się z panem za kilka minut.

Podoficer w średnim wieku odłożył słuchawkę, bez przerwy wpatrując się w generała. Przełknął ślinę i odezwał się:

- Dzwonił sekretarz stanu! Musieli znaleźć ciała... Chryste, a ty chciałeś tkwić tam jeszcze dłużej!

- Jesteś pewien, że nikt cię nie rozpoznał?

- Nie ma mowy, sam dobrze o tym wiesz. Ile razy robiłem taki numer złotym złodziejaskom surowej koki w Hon Chów? Dziewięć trupów i nic, co by do mnie prowadziło.

- Wierzę ci. Co mówił Palisser?

- Tylko tyle, że stało się coś strasznego, i oni - powiedział

„oni” - potrzebują twojej pomocy... Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, Maks. Nie zawiozę cię tam, nie chcę, żeby cię ze mną widziano. Nie dzisiaj w nocy!

- Masz rację. Zadzwoń z samochodu do zmiennika, Everetta, każ mu włożyć ciemny garnitur, a potem pojedź po niego. Kiedy będziesz wracał, dokładnie opowiedz mu, co robiłeś w domu

Ingersolów, opisz wszystkie zapamiętane osoby, a zwłaszcza te, z którymi się witałeś.

- Jadę - oświadczył Johnny. Podał Meyersowi drinka i skierował się ku drzwiom. - Nie zwlekaj z telefonem do Palissera. Był naprawdę zdenerwowany.

- Zapomnieliście, sierżancie, że macie fatalny charakter pisma.

Musiałem wszystko odcyfrować.

- Na litość boską, Michael, zadzwoni znowu i nie wypadnie to dobrze!

- Nie przejmuj się. Twoja siódemka wygląda na dwójkę, a trójka jak ósemka...

- Ty dupku! Przecież możesz mnie zapytać!

- Raczej nie, zresztą zgodnie z prawdą. Już wyszedłeś. Wysłałem cię w jakiejś sprawie, ponieważ przypuszczałem, że rozmowa z sekretarzem będzie mieć poufny charakter.

Nikt bez upoważnienia z samej góry nie może być dopuszczony do informacji dotyczących pewnej krwawej dziewczynki.

- O czym, do diabła, gadasz?

- Widzisz, o co mi chodzi? Ruszaj, Johnny.

Adiutant pokręcił głową i wyszedł, mrużąc przekleństwa.

Maksymalny Mike Meyers wypił łyk kanadyjskiej whisky zbożowej. Siedział, wpatrując się w stojący na barze telefon, i myślał. Bruce Palisser był sprytny, dzielny w czasie wojny i chyba najuczciwszy w całej administracji, jak często to podkreślały środki przekazu. Mówił prawdę prosto z mostu, często nawet kosztem kolegów z gabinetu, a krążyły również pogłoski - zawsze elegancko dementowane - że zdarzało mu się upominać samego prezydenta.

Prasa nazywała go Georgem Shultzem obecnej administracji i człowiek taki jak on raczej nie wdawał się w waszyngtońskie gierki.

A więc jeżeli zadzwonił, prosząc o pomoc, na pewno jej potrzebuje.

Był zbyt uczciwy, żeby udawać. Meyers zasadniczo nie przepadał za sekretarzem stanu - nie uważał, aby profesorowie byli przydatni w rządzie. Zbyt lubili nie kończące się dyskusje i rozpatrywanie problemów z różnych punktów widzenia. Mimo wszystko jednak szanował tego sukinsyna.

Generał wstał wolno, opierając się lewą ręką na podłokietniku fotela, i zabierając ze sobą szklaneczkę, podszedł do barku. Postawił szklanę na czarnym marmurowym blacie i spojrzał na zegarek. Od wyjścia Johnny'ego minęło siedem minut. Podniósł słuchawkę i wybrał cyfry wyraźnie wypisane w notesie., - Tu Palisser - odezwał się sekretarz stanu.

- Bruce, przepraszam - oznajmił zdecydowanym tonem

Meyers. - Sierżant jest świetnym adiutantem, ale ma koszmarny charakter pisma. Zadzwoniłem w trzy różne miejsca, zanim wreszcie odcyfrowałem właściwy numer. Oczywiście, wysłałem go, zanim zacząłem dzwonić, i możemy swobodnie porozmawiać.

- Właśnie miałem zadzwonić jeszcze raz, Michael. Zdarzyło się coś strasznego - strasznego i groteskowego, ale w jakiś sposób może się wiązać z tą Bajaratt.

- Mój Boże, co takiego?

- Byłeś dzisiaj wieczorem u Ingersolów, prawda?

- Tak, moje biuro uznało, że dobrze by było, gdybym się tam pojawił. David był przyjacielem Pentagonu, często radziliśmy się go w czasie zawierania kontraktów z przemysłem obronnym.

- Może to nierozważne, ale tego nie sposób przewidzieć...

- Nie rozumiem cię.

- Jesteś na bieżąco z raportami w sprawie Krwawej Dziewczynki, prawda?

- Oczywiście.

- W takim razie wiesz, że cieszy się ona poparciem pewnej organizacji - nie mamy pojęcia, czy jest z nią powiązana luźno, czy ściśle, ale na pewno pomagają jej bardzo wpływowi ludzie.

- Jasne - odparł generał, uśmiechając się do swoich myśli. Gdyby tak nie było, nie uniknęłyby sieci, które rozstawiliśmy.

- Dziś pojawił się nowy trop. Materiał dowodowy, którym dysponujemy, jest nie wystarczający, aby go upowszechnić, ale wiarygodny. Dzisiejszy wieczór to potwierdza.

- Co potwierdza?

- Ingersol należał do grupy Bajaratt.

- David?! - zawołał Meyers z udanym zdziwieniem. - Ostatnia rzecz na ziemi, jakiej bym się spodziewał!

- Jest coś więcej. Dotyczy także jego ojca, byłego sędziego Sądu Najwyższego.

- Wprost trudno mi w to uwierzyć. Kto wysunął tę hipotezę?

- Wszystko ustalił komandor Hawthorne.

- Kto...? A, ten był agent wywiadu marynarki, zwerbowany przez Angoli. Teraz sobie przypominam.

- Ma szczęście, że żyje. Był również u Ingersolów.

- Żyje...? - Zaskoczony Meyers szybko się opanował. - Co się stało?

- Był na zewnątrz, w ogrodzie za basenem. Rozmawiał tam z Richardem Ingersolem i dowiedział się wielu wstrząsających szczegółów o ojcu i synu. Prawdopodobnie ich śledzono i ktoś zastrzelił starego Ingersola. Trafił go w głowę, zabijając na miejscu.

Zanim Hawthorne zdołał zareagować, ta sama osoba zaatakowała także jego. Pozostawiono go nieprzytomnego, wkładając mu w rękę broń, z której dokonano zabójstwa.

- Niewiarygodne! - oświadczył ostro Meyers.

- Wysłano więc na miejsce grupę interwencyjną CIA, która usunęła ciało, wynosząc je przez przylegający las. Panią Ingersol i jej syna poinformowano, że starszy pan poczuł się zmęczony przeżyciami dnia i pojechał do hotelu.

- Kupili to?

- Syn - tak. Oznajmił, że gdyby wiedział, przyłączyłby się do dziadka. Ponieważ sprawa wiąże się z Krwawą Dziewczynką, musimy utrzymać ją w tajemnicy i wymyślić, co powiemy później.

- Zgadza się, ale Bruce, jak Boga kocham, nie słyszałem żadnych strzałów, a przecież rozpoznałbym je z odległości kilometra!

- Na pewno nie. Komandor ma tę broń. To magnum 0.375 z tłumikiem. Odzyskał przytomność, zanim ktokolwiek go odnalazł - mówi, że ocuciły go kolce krzaku róży - i zniknął stamtąd... Zaraz oddam mu słuchawkę, chce z tobą porozmawiać.

Nim wiadomość ta dotarła do zaskoczonego przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów, Tyrell był już przy telefonie.

- Pan generał Meyers?

- Tak...?

- Przede wszystkim chciałbym wspomnieć, że ogromnie pana podziwiam.

- Dziękuję.

- Musimy natychmiast ze sobą porozmawiać, ale nie przez telefon. Musimy omówić wszystko, czego pan i ja byliśmy świadkami dzisiaj wieczorem. Potrzebuję informacji o każdej osobie, którą pan widział lub z którą rozmawiał, ponieważ ja nie znałem tam nikogo.

Wiem tylko jedno, panie generale: ktoś z obecnych u Ingersolów pracuje dla Bajaratt!

- Gdzie chciałby się pan ze mną spotkać?

- Mogę przyjechać do pana.

-- Będę czekał, komandorze.

Generał Michael Meyers odłożył słuchawkę i zerknął na kikut prawej ręki. Nie po to zaszedł tak daleko, aby teraz mógł go powstrzymać jakiś marynarz renegat.

ROZDZIAŁ 31

Kwatera główna Mossadu

Tel Awiw

Ubrany w koszulę z krótkimi rękawami pułkownik Daniel Abrams z grupy antyterrorystycznej przydzielonej do sprawy Bajaratt siedział u szczytu stołu konferencyjnego. Miejsce po jego prawej stronie zajmowała kobieta. Miała niecałe czterdzieści lat, ostre rysy twarzy i skórę opaloną izraelskim słońcem. Jej ciemne włosy były zaczesane do tyłu i związane w kok. Z lewej siedział młody człowiek o przeredzonych blond włosach i niebieskich oczach. Jego nos, zmiażdżony po wzięciu go do niewoli przez Hezbollah, Partię Boga w południowym Libanie, został, całkowicie odtworzony. Kobieta była majorem, on zaś kapitanem Mossadu i oboje mieli wielkie doświadczenie w prowadzeniu tajnych operacji.

- Naszego człowieka, Yakova, wymanewrowała Bajaratt oznajmił pułkownik. - Napotkał ją w terminalu El Al w porcie lotniczym Dulles, ale się wymknęła i jego wepchnęła w pułapkę.

Niemal wywołała rozruchy, krzycząc, że jest przebrany palestyńskim terrorystą, i uciekła. Yakova o mało nie zabili rozwścieczeni turyści, przeważnie Amerykanie, zanim nasi ludzie zabrali go i sprawdzili dokumenty.

- Nie powinien podchodzić do niej sam - powiedziała major. - Musiała go rozpoznać. Zajmował się nią przecież w kibucu

Bar-Szoen. Miała nad nim bezpośrednią przewagę.

- Mogło być zupełnie inaczej - zasugerował młody kapitan. - Kiedy przebywali w kibucu, Yakov nigdy nie był pewien, że ta kobieta to Bajaratt. Ustaliliśmy ten fakt później, po Aszkelonie, na podstawie doniesień agenturalnych z Bekaa. Był po prostu podejrzliwy, zakładał, że może być kimś innym.

- I rzeczywiście miał rację - stwierdził Abrams. - Dlaczego

Yakov ją wypuścił?

- Nie zrobił tego. Parę razy wyjechał z nią z kibucu, całkiem nieoficjalnie i bardzo dyskretnie, żeby się zorientować, czy zdoła się czegoś o niej dowiedzieć. Musiała mieć jednak własne zdanie na ten temat. Być może zdobyła więcej informacji o nim niż on o niej.

Pewnego ranka po prostu nie pojawiła się na śniadaniu. Zniknęła.

- Popęłnił głupstwo, trzymając się blisko niej bez wsparcia, a tym bardziej zbliżając się do niej na własną rękę.

- Posłuchaj, majorze - odezwał się kapitan. - Czy wolałabyś, aby podeszła do niej grupa agentów, co bez wątpienia wywołałoby chaotyczną strzelaninę, która mogłaby doprowadzić do śmierci postronnych osób, w większości Amerykanów? Bo my nie dlatego postanowiliśmy wysłać Jakova i pozwolić mu działać samodzielnie, mając nadzieję, że ją rozpozna mimo jej powszechnie znanego talentu do charakteryzacji. Poza tym Yakov sam zmienił wygląd.

Jego ufarbowane na blond włosy były jeszcze jaśniejsze od resztek moich, rozjaśniono również jego brwi i zmieniono ich kształt.

Oczywiście, efekt nie był idealny, jak po operacji plastycznej, ale całość mogła ujść, nawet z bliższej odległości.

- Mężczyźni patrzą na twarz, a potem obserwują ciało. Kobiety najpierw oceniają ciało, a dopiero później twarz.

- Bardzo was proszę - przerwał dyskusję pułkownik Abrams. - Nie zniżajmy się do poziomu seksistowskich spekulacji psychologicznych.

- To udowodniony fakt - upierała się major.

- Jestem tego pewien, ale z naszego niepowodzenia wynikło coś dodatkowego i musimy się zastanowić, jak to wykorzystać...

Złamaliśmy Palestyńczyka, którego trzymaliśmy w areszcie, śpiewaka zabawiającego tych kretynów, naszych rzekomo wiecznie czujnych oficerów. Strażnik doniósł o próbie przekupstwa za uwolnienie więźnia, więc przewieźliśmy Palestyńczyka na Negew, a strażnika odkomenderowaliśmy do innego oddziału.

- Sądziłam, że Aszkelon i Bajaratt przysięgali, iż raczej umrą w torturach, aniżeli cokolwiek pisną - oznajmiła z pogardą kobieta oficer. - Tyle warta jest ta arabska odwaga.

- Głupia uwaga, majorze! - ofuknął ją pułkownik. - Jakikolwiek tortury, których zresztą nie stosujemy w ogólnie przyjętym sensie tego słowa, nic by nie dały. Kiedy wreszcie uwierzymy, że ci ludzie są równie ofiarni jak my? Dopiero gdy przyjmiemy ten fakt do wiadomości, zapanuje pokój. Zastosowaliśmy środki chemiczne.

- Przyjmuję nagane, pułkowniku Abrams. Czego się dowiedzieliśmy?

- Analizowaliśmy najrozmaitsze rozmowy telefoniczne, prowadzone przez Bajaratt ze Stanów, poszukując w każdej jakiegoś słowa, nazwiska, zdania - wszystkiego, co mogłoby nas naprowadzić na jakikolwiek ślad. Mniej więcej dwie godziny temu coś znaleźliśmy.-

Oficer Mossadu wyjął z kieszeni koszuli notes i otworzył go. - To są te słowa: „Amerykański senator... strategia pomyślna... pracuje dla nas... nazywa się Nesbitt”.

- Kto?

- Senator ze stanu Michigan o nazwisku Nesbitt. On właśnie jest kluczem do wszystkiego. Oczywiście, przekazemy tę wiadomość do Waszyngtonu, ale nie zwyczajnymi kanałami. Mówiąc szczerze, nie mam zaufania do systemu łączności. Zbyt wiele spraw toczy się ostatnio w podejrzany sposób.

- Mogliśmy ją już mieć - westchnął oficer Mossadu o chłopięcym wyglądzie. - To śmieszne.

- Arogancja nam nie przystoi, kapitanie. Nie byliśmy tam, a Bajaratt jest groźnym przeciwnikiem. Jest także bardziej zdecydowana niż ktokolwiek, z kim miałem do czynienia. Sprawa sięga korzeniami okresu jej dzieciństwa i być może tylko to tłumaczy ten wściekły fanatyzm.

- Jaki kanał chce pan wykorzystać? - Niecierpliwiła się kobieta major.

- Was dwoje - odparł pułkownik. - Polecicie tam dziś w nocy. Na miejscu znajdziecie się rankiem, według czasu waszyngtońskiego. Musicie porozumieć się bezpośrednio z sekretarzem stanu Palisserem - z nikim innym. Załatwiłem wam natychmiastową audiencję.

- Dlaczego on? - zaprotestował kapitan. - Sądzę, że powinniśmy nawiązać kontakt albo z jakąś służbą wywiadowczą, albo z Secret Service.

- Znam Palissera. Mam do niego zaufanie. A nie-mógłbym tego powiedzieć o kimkolwiek innym w Waszyngtonie, choć wiem, że brzmi to paranoicznie.

- Rzeczywiście - przyznała major.

- A więc niech i tak będzie - zgodził się kapitan.

Bajaratt stała przy oknie lotniskowego hotelu. Gruba szyba tłumiła hałas lądujących i startujących samolotów. Poranne słońce przebijało się przez mgłę, rozświetlając początek najważniejszego dnia jej życia. Uniesienie, które czuła, w pewien sposób przypominało podniecenie doznane wiele lat temu, kiedy uzbrojona w długi nóż umocowany do uda, zaprowadziła hiszpańskiego żołnierza do lasu.

Było w tym jakieś podobieństwo, ponieważ brutalna żołdacka świnia stanowiła jej pierwszą ofiarę, a tamten czyn zdeteterminował całe jej dalsze życie. Ale dzisiejsze uczucie daleko przewyższało nie ukształtowane dziecięce emocje. Nadeszła bowiem pora triumfu kobiety - myślącej, dorosłej osoby, która pokonała w pojedynku intelektów pretoriańskie straże najpotężniejszego kraju na świecie.

Zapisze się w historii, ponieważ ją zmieni, a jej życie uzyska ostateczny sens.

Muerte a toda autoridad! Dawne dziecko uśmiechnęło się do niej, do kobiety, która stała się olbrzymem, i w uśmiechu tym była miłość i wdzięczność za pomszczenie wszystkiego, co uczyniono im obu.

Wejdziemy obie, moja młoda ja, w krwawą chwałę zemsty. Nie bój się, dziecko, które było mną. Nie obawiałaś się wtedy, nie bój się i teraz. Śmierć jest spokojnym snem i być może najokrutniejsze, co mogłoby nas spotkać, to przeżyć. Ale jeśli tak się stanie, gniewna dziewczyno, zachowaj ogień w swych oczach i wściekłość w swojej piersi - myślała.

- Signora! - zawołał z łóżka Nicolo. - Która godzina?

- Jeszcze za wcześnie, żebyś się budził - odparła Baj. Twoja Angel jeszcze nawet nie wsiadła do samolotu w Kalifornii.

- Przynajmniej jest już ranek - powiedział chłopak, ziewając głośno i przeciągając się.
- Wciąż się budziłem w nadziei, że zobaczę słońce.

- Zadzwoni na służbę, żeby przyniosła ci twoje ogromne śniadanie, a kiedy skończysz, będę miała dla ciebie zadanie.

Chciałabym, abyś się ubrał i pojechał taksówką do hotelu „Carillon”. Weź stamtąd resztę naszych bagaży oraz paczkę, którą zostawiono dla mnie w recepcji, i przywieź wszystko tutaj.

- Doskonale, to mi pomoże spędzić czas... Czy zamówić coś dla pani?

- Tylko kawę, Nico. Wypiję filiżankę i pójdę na spacer; na bardzo długi spacer w bardzo jasnym słońcu, które triumfalnie wspina się na niebo.

- Czy to poezja, signora!

- Jeżeli nawet, to niezbyt dobra, ale dla mnie wspaniała. Dzień jest cudowny.

- Dlaczego patrzy pani przez okno i mówi tak cicho?

Baj odwróciła się i spojrzała na leżącego w łóżku chłopaka z Portici.

- Ponieważ zbliża się koniec, Nicolo. Koniec bardzo długiej i trudnej podróży.

- A tak, wspomniała pani, że po dzisiejszej nocy będę mógł robić wszystko, co zechcę: wrócić do Neapolu i mieć pieniądze, które pani dla mnie zostawiła. I może nawet wielka rodzina Ravello zechce powitać mnie jak swego.

- Zrobisz, co uznasz za słuszne.

- Zastanawiałem się nad tym, Cabi. Oczywiście, że wrócę do

Włoch i przynajmniej spotkam się z tą szlachetną wielką rodziną.

Podziękuję tym ludziom najpiękniej jak umiem, bez względu na to, czy zostanę z nimi czy też nie, ale czy mój wyjazd nie mógłby poczekać kilka dni?

- Dlaczego?

- Nie domyślasz się, bella signora! Chciałbym spędzić trochę czasu z Angeliną.

- Rób, jak sobie życzysz.

- Przecież mówiłaś, że po dzisiejszej nocy mnie opuścisz.

- Owszem - przytaknęła Bajaratt.

- W takim razie będę potrzebował dużo pieniędzy, bo jestem barone-cadetto di Ravello i muszę dbać o swoją pozycję.

- Nicolo, co ty mówisz?

- To, co słyszałaś, mia bella signora. - Młody Włoch odrzucił kołdrę i wstał nago, patrząc wyzywająco na swoją dobrodziejkę. Część chłopaka z doków się nie zmieniła, Cabi, chociaż mam nadzieję, że pewnego dnia zniknie on całkowicie. Uważnie czytałem fari al casos, rachunki, które odbierałem dla ciebie w hotelach i ristoranti, i obserwowałem cię... Rozmawiałaś z kimś przez telefon, po czym dostarczano ci pieniądze, najczęściej w nocy i zawsze w bardzo grubej kopercie. Palm Beach, Nowy Jork, Waszyngton - wszędzie było tak samo.

- Aż czego żyliśmy? - zapytała spokojnie Bajaratt, uśmiechając się słodko. - Na karty kredytowe?

- Aż czego ja będę żył, kiedy pani odejdzie, signora? Tutaj, gdzie chciałbym jeszcze trochę zostać? Nie przypuszczam, że pani o tym pomyślała, i bardzo się tym niepokoję. Chłopcy z doków trzymają się blisko pasażerów, obawiając się, że im znikną, a razem z nimi ich napiwki.

- Innymi słowy, żądasz ode mnie pieniędzy?

- Tak, właśnie tak, i uważam, że powinienem je dostać dzisiaj rano, w każdym razie przed wieczorem.

- Przed wieczorem...?

- Tak, na długo przed wieczorem. W jednej z tych grubych kopert, którą oddam Angel, gdy spotkam się z nią po południu na lotnisku. Nawet ustaliłem sumę na podstawie rachunków, które przynosiłem dla pani - ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na gniew malujący się na twarzy Bajaratt. - Nasz styl życia jest taki kosztowny... Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów powinno wystarczyć.

Naturalmente, może je pani odliczyć od moich pieniędzy w Neapolu, a ja podpiszę dokument, że się zgadzam.

- Jesteś robakiem, niczym! Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? Wysuwać takie oburzające żądania! Przecież stworzyłam ci zupełnie nowe życie! Odmawiam kontynuowania tej obrzydliwej rozmowy!

- W takim razie odmawiam pójścia po bagaże i nie zastanie mnie pani tutaj, po powrocie ze spaceru... A wieczorem, który otacza pani taką tajemnicą, może sobie pani iść sama. Wielka dama nie potrzebuje towarzystwa takiego robaka jak ja.

- Nicolo, masz się spotkać z najpotężniejszym człowiekiem na świecie, obiecałam ci to kiedyś! Przyjmie cię sam prezydent Stanów

Zjednoczonych!

- Nie interesuje mnie ta wizyta. A czy on w ogóle interesuje się mną? Chyba raczej barone-cadetto di Ravello, którym nie jestem?

- Nie rób mi tego! - wrzasnęła Baj. - Zniweczysz wszystko, nad czym pracowałam, co było sensem mego życia! Nie rozumiesz tego?

- Mogę zrozumieć kopertę, którą Angelina otworzy dopiero wówczas, kiedy zobaczę się z nią w Brooklynie. W głębi serca wiem, że pomoże mi się uwolnić od chłopaka z doków.

- Nicolo stał wyprostowany, z gniewem wpatrując się w oczy Bajaratt. - Zrób to, Cabi. Zrób albo odejść.

- Ty skurwysynu!

- Tego również mnie nauczyłaś, bella signora. Kiedy po straszliwych burzach dotarliśmy do tej dziwnej wyspy, nazwałem cię potworem... Ale jesteś czymś gorszym niż potwór; czymś tak złym, że tego nie rozumiem. Proszę podejść do telefonu i zadzwonić do któregoś ze swoich subalterni. Pieniądze mają tu być do południa, w przeciwnym razie odchodzę.

Kwatera główna MI-6, Londyn

Minęła już północ, kiedy czarnoskóry mężczyzna z fryzurą afro wbiegł do centrali operacyjnej, zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem podszedł do pierwszego krzesła z lewej strony okrągłego stołu konferencyjnego. Miał na sobie brązową zamszową marynarkę z rękawami ozdobionymi frędzlami i rozszerzone u dołu rdzawe spodnie. W sali znajdowały się trzy osoby. Przy północnej części stołu siedział przewodniczący, sir John Howell, z prawej - mężczyzna w ciemnym garniturze w drobne prążki, a w pobliżu nowo przybyłego - mężczyzna w burnusie. Jego nakrycie głowy, ghotra, leżało obok teczek z aktami. Skórę miał smagłą. Był

Arabem.

- Chyba mamy punkt zaczepienia - oznajmił przybysz, próbując przygłodzić nieposłuszne włosy. Mówił z akcentem charakterystycznym dla wyższych klas. - Pochodzi z parku samochodowego.

- Co to znaczy? - zapytał mężczyzna w garniturze w prążki.

- Dostarczył go jeden ze starszych mechaników z Downing Street. Uwagę jego zwróciło, że kilkakrotnie podnoszono maski dwóch samochodów dyplomatycznych. Rzekomo, aby sprawdzić silniki w czasie gdy pojazdy były poza garażem.

- I co z tego? - zapytał sir John. - Jeżeli jest problem z cholernym silnikiem, to jak inaczej można ustalić, co się dzieje, jeśli nie podniesie się maski?

- To samochody kolumny dyplomatycznej - odparł oficer

MI-6 z Bliskiego Wschodu. - Majstrowanie przy nich jest zabronione.

- Każdego kierowcę sprawdza się co najmniej dwukrotnie, niemal robi mu się encefalogram.

- O to właśnie chodzi, panie przewodniczący - wtrącił się czarnoskóry przybysz z oksfordzkim akcentem. - Wszystkie niedomagania silnika, bez względu na to jak drobne, muszą być zgłaszane dyspozytorowi. Poza tym każdy samochód wyposażony jest w automatyczną wewnętrzną plombę mechanizmu otwierania maski. W razie jej zerwania przed okresowym przeglądem taśma zabarwia się na żółto. A w tym wypadku nie było żadnej informacji o jakichkolwiek problemach, co więcej - oba samochody prowadzi ten sam kierowca.

- Chce pan przez to powiedzieć, że encefalograf nawalił? zauważył mężczyzna w garniturze w prążki, spoglądając ze słabym uśmiechem na przewodniczącego.

- Albo obiekt jest wyjątkowo utalentowany i niezwykle dobrze wyszkolony - odparł czarnoskóry oficer. - Wystarczająco dobrze, by zdobyć pracę w parku samochodowym.

- A więc zajmijmy się tym. Oczywiście, ma pan nazwisko tego kierowcy i niewątpliwie o wiele więcej informacji?

- O tak, proszę pana. Podaje się za naturalizowanego

Egipcjanina, byłego szofera osobistej kolumny samochodowej

Anwara Sadata, ale jego dokumenty nie mają żadnego znaczenia.

Są z całą pewnością podrobione, choć trzeba przyznać, że idealnie.

- Na jakiej podstawie otrzymał naturalizację? - zapytał mężczyzna w garniturze. - Oczywiście, w świetle jego dokumentów...

- Spisek oficerów przeciwko Sadatowi zakładał wymordowanie całego jego personelu. Otrzymał więc azyl.

- Cholernie sprytnie - zauważył Howell. - Sadat cieszył się szczególną przyjaźnią Foreign Office. Tamtejsi chłopcy chuchali i dmuchali na jego współpracowników. O wiele bardziej, niż byśmy sobie tego życzyli. Mieliśmy jedno poważne zastrzeżenie - zbyt wiele kukulczych jaj w sieci ratunkowej. Proszę dalej.

- Używa nazwiska Barudi. Śledziłem go przez większą część wieczoru. Poszedł do Soho, do mających wyjątkowo złą renomę miejsc, i spotkał się w czterech różnych barach z czterema różnymi osobami... I tu muszę przerwać, by wyrazić swój podziw i wdzięczność.

- Słucham?

- Chodzi o kurs szkoleniowy w posiadłości w Sussex. Jest rzeczywiście znakomity. Mam na myśli przygotowanie do zdobywania informacji na podstawie przedmiotów należących do obserwowanych obiektów.

- Co?

- Sądzę, że James ma na myśli sztukę kradzieży kieszonkowej - wyjaśnił mężczyzna w garniturze w prążki. - Najwidoczniej doprowadził ją do mistrzostwa.

- Udało mi się zdobyć portfele tych dwóch dżentelmenów.

Trzeci jegomość chyba nie miał kieszeni, a w torebce kobiety zamek był zbyt solidny. Zabrałem portfele do kabinki w toalecie, gdzie wszystkie materiały przepuściłem przez ręczną kopiarkę, a potem zwróciłem naszym obiektom ich własność, chociaż w jednym wypadku, stwierdzam to z żalem, do innej kieszeni. Niestety, nie dało się tego uniknąć.

- Doskonała robota - pochwalił przewodniczący. - Czego się pan dowiedział o dość dziwnych znajomych naszego kierowcy?

- Znowu zwyczajne przedmioty, takie jak prawo jazdy czy karta kredytowa, sprawiają wrażenie autentycznych, i pewnie są, z wyjątkiem umieszczonych na nich nazwisk. Ale w każdym portfelu, wsunięte na samo dno i złożone tak ściśle, że nie przekraczało rozmiarów znaczka pocztowego, znajdowało się właśnie to. Funkcjonariusz MI-6 sięgnął do kieszeni zamkowej marynarki, wyjął cztery małe paczki zwiniętego papieru do kserokopii i zgrabnym ruchem rozwinął je na stole jak macki ośmiornicy. - Przesunąłem moim powielaczem nad dwoma kawałkami papieru i oto wyniki.

- Co to takiego? - zapytał mężczyzna w garniturze, razem z pozostałymi biorąc do ręki paski papieru.

- Wydrukowane linijki są w klasycznym arabskim - oznajmił Arab. - Ręczne dopiski to tłumaczenia.

- Po arabsku?! - zawołał Howell. - Bajaratt!

- Jak panowie widzą, mamy tu spisy dat, czasów i miejsc.

- Cholernie dobre przekłady - wtrącił arabski funkcjonariusz

MI-6. - A przecież niektóre nazwy miejsc są niemal nieprzetłumaczalne. Kto to robił?

- Zadzwoiłem do naszego głównego arabisty w Chelsea i pojechałem do niego koło dziewiątej. Tłumaczenie nie zajęło mu zbyt wiele czasu.

- Chyba nie - stwierdził mężczyzna w burnusie. - Zapewne znał te miejsca, a po kilku pierwszych znalazł klucz i złamał system.

Dobry fachowiec.

- O co chodzi? - nalegał przewodniczący. - Czy to skrzynki kontaktowe?

- Dlatego właśnie przyszedłem tak późno, proszę pana. Przez ostatnie trzy godziny jeździłem z jednego miejsca na drugie, a w każdym spisie jest ich dwanaście. Na początku byłem całkowicie zdezorientowany. Potem dotarłem do piątego punktu i wszystko stało się jasne. Ponownie sprawdziłem pierwsze cztery i miałem już pewność: to są automaty telefoniczne..

- Najwidoczniej nasze obiekty odbierają rozmowy, ale same nie telefonują - zasugerował Arab.

- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? - zapytał siedzący po lewej stronie Anglik.

- Zapisanie po arabsku numerów pod które należy dzwonić, byłoby proste, zwłaszcza przy użyciu różnicujących je plusów i minusów, które zapobiegłyby błędom w zapamiętywaniu. Ponieważ jednak nie widzę tutaj żadnych, należałoby zapamiętać minimum dziewięćdziesiąt sześć, a maksimum sto siedemdziesiąt cyfr.

- A gdybyśmy założyli, że jest to tylko jeden numer? zapytał sir James.

- Zupełnie możliwe - odparł Arab - ale to by znaczyło, że odbierający telefon przebywa w stałym miejscu, co z kolei wykluczałoby Bajaratt. Poza tym użycie pojedynczego numeru jest zbyt niebezpieczne w każdej operacji tego typu, wszystkie zaś opracowane przez nas analizy osobowości Bajaratt świadczą, że cechuje ją maniackalna wprost obsesja zachowania tajemnicy.

W rezultacie prawie zawsze odmawia korzystania z pośredników.

Rozmawia bezpośrednio ze swoimi współpracownikami.

- Przekonał mnie pan - stwierdził sir John. - Gdzie i kiedy będzie miał następny kontakt? - zapytał, przeglądając leżącą najbliżej taśmę.

- Jutro w południe, Brompton Road Knightsbridge, niedaleko

Harrodsa - odparł czarny oficer wywiadu. - Według waszyngtońskiego czasu siódma rano.

- A kolejny? - dopytywał dalej szef MI-6.

- Dwadzieścia minut później na rogu Oxford Circus i Regent.

- Jeszcze większe tłumy - zauważył Arab. - Bardzo przypomina strategię IRA.

- Nie muszę ci mówić, co należy zrobić, Jamesie - oznajmił przewodniczący. - Furgonetka łączności w każdym z tych miejsc, otwarte linie z dwoma ogólnodostępnymi numerami zarówno do

Waszyngtonu, jak i do komputerów telefonicznych. Konieczne jest natychmiastowe śledzenie, ale rzeczywiście natychmiastowe.

- Tak jest, proszę pana. Pozwoliłem sobie postawić w stan pogotowia nasz Wydział Łączności, ale obawiam się, że z ludźmi od telefonów będzie pan musiał porozmawiać osobiście. Ode mnie nie przyjmą takich poleceń. Ponadto wydaje mi się, że na uruchomienie podsłuchu potrzebny jest nakaz Sądu Najwyższego.

- Nakaz Sądu Najwyższego, jeszcze czego! - wybuchnął szef

MI-6, uderzając nagle kaleką prawą ręką w blat stołu i natychmiast uświadamiając sobie, że efekt już nie jest taki jak kiedyś. - Boże drogi, wysłałem Geoffreya Cooke'a na śmierć z tego właśnie pokoju. Mapy leżały na tym oto stole i musiał przewracać mi strony, wyjaśniać nie znane szczegóły...! Chcę, żeby ta wścicka dziwka zdechła! Zróbcie to dla mnie, dla Cooke'a!

- Zrobimy wszystko, co trzeba, zapewniam pana.- James wstał z krzesła.

- Poczekajcie! - Szef MI-6 zamilkł na chwilę. Stał z pochyloną głową i najwyraźniej myślał nad czymś intensywnie. - Powiedziałem

„otwarte linie do Waszyngtonu”, ale chyba postąpimy inaczej.

Bajaratt ma tam swoje wtyczki. Musimy ograniczyć łączność.

Tylko jedna linia.

- Do kogo? - zapytał mężczyzna w garniturze.

- Kto jest na miejscu Gillette'a w CIA?

- Czasowo jego pierwszy zastępca. Specjalnie wybrany i uznany przez naszych tamtejszych kolegów za doskonałego faceta - odparł

James.

- To mi wystarczy, porozumiem się z nim szyfrowaną linią.

Również z tym jegomościem, który prowadzi Hawthorne'a. Jak się nazywa?

- Stevens, proszę pana. Komandor Henry Stevens, wywiad marynarki wojennej.

- Cokolwiek z tego wyniknie, pozostaje to między nami.

Zachowujemy więc pełną tajemnicę, dopóki wszyscy trzej nie postanowimy, co robić dalej.

Konferencja ta odbyła się dziesięć i pół godziny wcześniej.

Obecnie furgonetki znajdowały się już na miejscu w Knightsbridge i Oxford Circus.
W porcie lotniczym Dulles zbliżała się siódma rano.

ROZDZIAŁ 32

Bajaratt skręciła z betonowej ścieżki koło przylotniskowego hotelu na otaczający go trawnik i stanęła przy rogu, wpatrując się w wejście.

Spojrzała na wysadzany brylancikami zegarek - była szósta trzydzieści dwie. Wcześniej siedziała w pokoju obserwując jak

Nicolo się ubiera i pożera śniadanie, które wystarczyłoby dla stada wilków, oraz popędzając go od czasu do czasu. Unikała jednak ostrych tonów, które mogłyby go zaniepokoić.

Ujrzała, jak elegancko ubrany w granatowy blezer i szare flanelowe spodnie chłopak wychodzi szybkim krokiem i wsiada do stojącej przy krawężniku taksówki. Był niewątpliwie idealną męską

Galateą, wyrzeźbioną przez mistrzynię wszystkich Pigmalionów wspaniale prezentująca się ludzka istota, młoda, piękna, wibrująca życiem. Tylko takie dzieło godne jest zginąć, dokonując aktu doskonałego zniszczenia...

Była szósta czterdzieści siedem. Mogła już spokojnie wrócić na ścieżkę i skierować się z powrotem do hotelu. Musiała wykonać pięć telefonów - dwa do Londynu, jeden do Paryża, jeden do

Jerozolimy i wreszcie do banku, przechowującego nieograniczone rezerwy finansowe doliny Bekaa. Nie miało już znaczenia, że zadzwoni z hotelowego telefonu, nic już nie miało znaczenia.

Wyjedzie stąd w ciągu godziny i pozostawi adres hotelu w Waszyngtonie, do którego Nicolo powinien zawieźć ich rzeczy. Tam też otrzyma swoje pieniądze. Nic nie znaczącą sumę, z której nigdy nie skorzysta.

Knightsbridge, Londyn

Na Brompton Road, bezpośrednio przed wejściem do Harrodsa, w furgonetce ozdobionej napisem „The Scotch House”, siedzieli trzej mężczyźni. Elektroniczne wyposażenie wewnątrz samochodu zdecydowanie przekraczało zdolności pojmania zwykłych śmiertelników, mających kłopoty z instrukcją obsługi telewizora.

W ścianach dźwiękoszczelnego pojazdu znajdowały się trzy czarne okna, umieszczone bezpośrednio nad aparaturą. Kiedy się patrzyło ze środka na zewnątrz, wszystko było widać idealnie, natomiast przechodnie na ulicy nie widzieli nic. Koło okna od strony chodnika siedział czarnoskóry funkcjonariusz MI-6 o imieniu James. Przez cały czas błdził wzrokiem

wokół budki telefonicznej, podczas gdy jego dwaj towarzysze ze słuchawkami na uszach wpatrywali się we wskazówki zegarów i ekrany z wijącymi się wśród siatki koordynat zielonymi liniami sygnałów akustycznych.

- Jest - oznajmił James ostro, lecz spokojnie.

- Który? - Technik w średnim wieku, w koszuli z krótkimi rękawami, spojrział w okno.

- Facet w szarym garniturze i pułkowym krawacie, z gazetą pod pachą.

- Nie przypomina żadnego z tych facetów z knajpy w Soho, o których mówiłeś - stwierdził trzeci, szczupły mężczyzna w okularach. Obrócił się w swoim umieszczonym od ulicy foteliku i nieco uniósł nad konsolą. - Wygląda raczej jak cholerny urzędnik od pożyczek z banku na Strandzie.

- Być może nim jest, ale w tej chwili spogląda na zegarek i rusza w stronę budki... Patrzcie! Właśnie zauważył kobietę, która najwyraźniej chce się tam dostać pierwsza!

- Dobry zawodnik! - powiedział technik w koszuli z krótkimi rękawami i uśmiechnął się. - Pewnie grał w rugby. Niemal ją spoliczkował.

- Rzeczywiście, jest wściekła - zauważył szczupły kolega obsługujący aparaturę od strony ulicy. - Gdyby mogła, zabiłaby go wzrokiem.

- Ale za bardzo jej się spieszy, żeby zostać i zrobić scenę oświadczył James, skupiając uwagę na nieporozumieniu między obcymi na zewnątrz. - Idzie do następnej budki.

- Dziewięćdziesiąt sekund do uruchomienia programu skanującego - rozległ się głos z radia na konsoli od strony ulicy.

- Powtórz kontrolę linii z Waszyngtonem - polecił funkcjonariusz MI-6.

- Oddział Specjalny Waszyngton, jesteście tam, stary?

- Londyn. Gotów i czekam.

- Czy potwierdzasz, że wasza częstotliwość wciąż jest wolna od jakiegokolwiek podsłuchu?

- Całkowicie. Nawet astronauta na orbicie nie mogą nas podsłuchać. Ale chcielibyśmy przekazywać policji w pobliskich rejonach wszystko, czego się od was dowiemy. W ten sposób będziemy mogli szybciej przerzucić personel na ustalony punkt. Po prostu nazywamy to „sytuacją czerwoną” i nie podajemy żadnych szczegółów, tylko rysopisy obiektów.

- Nie mamy z tym żadnych problemów, Waszyngton. Zaczynamy.

- Dziękuję, Londyn.

- Uaktywnić wszystkie kanały - polecił czarnoskóry oficer

MI-6. - Program skanujący - zaczynać.

Minęło osiemdziesiąt siedem sekund, w czasie których słycać było jedynie ciche oddechy trzech pracowników wywiadu. Nagle przez szumy zakłóceń przebił się wzmocony głos kobiety.

- Aszkelon, to ja!

- W twym głosie słyszę napięcie, ukochana córo Allacha oznajmił niewyraźnie mężczyzna z odległej o dziesięć metrów budki na Knightsbridge.

- Dziś wczesnym wieczorem, mój wierny bracie!

- Tak prędko? Chwała, że i my jesteśmy gotowi! Działałaś z zadziwiającą prędkością.

- Czy cię to dziwi?

- Tam, gdzie ty działasz, nic nie może mnie zdziwić. Zaskakują mnie jedynie twoje talenty. Czy są jakieś szczegóły, o których powinniśmy wiedzieć?

- Nie. Po prostu bądźcie w pobliżu waszych aparatów radiowych. Kiedy usłyszycie wiadomość, przystąpcie do działania.

Wszędzie zwołają natychmiast narady rządowe. W stolicach zapanuje chaos, ogromne zamieszanie. Czy muszę mówić więcej?

- Wierzę, że nie, ciemność tam bowiem wciąż oznacza ciemność tutaj. Mrok i chaos pomagają tym, którzy pragną zabić. Ochrona będzie w rozsypce. Nie może się stać inaczej, ponieważ nikt niczego nie podejrzewa. Zamieszanie.

- Byłeś zawsze jednym z mądrzejszych ludzi...

- Poczekaj! - Mężczyzna w szklanej budce telefonicznej zaczął nagle patrzeć w lewą stronę.

- Jezu Chryste! - zawołał James z MI-6, trzymając przy oczach lornetkę. - Patrzy prosto na nas!

- Uciekaj, gdziekolwiek jesteś! - ryknął przez radio głos oddalonego o dziesięć metrów mężczyzny. - Okna, są nieprzezroczyste, czarne! Uciekaj, namierzają cię! - Człowiek w ciemnym garniturze rzucił słuchawkę, wybiegł z budki i lawirując między samochodami wypełniającymi Brompton Road, zniknął w tłumie wchodzącym do Harrodsa.

- Niech to cholera! - wrzasnął James. - Zgubiliśmy go!

- Waszyngton, Waszyngton! - powtarzał technik. - Wzywa Londyn, zgłoś się, proszę, mamy kłopoty.

- Wiemy, Londyn - odezwał się Amerykanin z głośnika. Słyszeliśmy to samo co wy.

- I?

- Jest namiar, właśnie go ustaliliśmy. To hotel w porcie lotniczym Dulles!

- Doskonale, przyjacielu. Ruszacie do akcji?

- Nie tak doskonale i wcale nie takie łatwe, ale ruszamy.

- Co się stało? - zawołał oficer MI-6, pochylając się nad konsolą.

- Zaczniemy od tego - odparł Amerykanin - że hotel ma dwieście siedemdziesiąt pięć pokoi, co oznacza dwieście siedemdziesiąt pięć telefonów, z których można bezpośrednio połączyć się z Londynem czy jakimkolwiek innym miejscem na świecie.

- Chyba nie mówisz poważnie?! - ryknął James. - Zeskanujcie całą cholerną łącznicę!

- Londyn, bądź realistą, to jest hotel, nie Langley. Ale nie trać nadziei, ochrona z Dulles jest już w drodze, a my też zjawimy się tak szybko, jak tylko zdołamy.

- Najszybciej jak zdołacie? Dlaczego już nie jesteście na miejscu?!

- Ponieważ Dulles to mniej więcej dziesięć tysięcy akrów.

Przypadkiem mamy tu też recesję i wielu służbom poważnie obcięto fundusze. W tym również ochronie policyjnej miejsc użyteczności publicznej.

- Nie mogę wprost uwierzyć! Przecież tu chodzi o najpoważniejszy ze wszystkich alarmów!

- Wszystko?

- Wszystko, co nam przekazano.

- Jeżeli uciekają, to przecież się rozdziela, na litość boską!

- A więc szukamy chłopaka i zaniepokojonej kobiety...

Poczekaj! - Zawołał do mikrofonu: - Powtórz jeszcze raz, proszę. Chcę się upewnić... Przyjąłem. - Policjant odwiesił mikrofon. - Poszukiwani są uzbrojeni i uznani za szczególnie niebezpiecznych. Wchodzimy od frontu, nasi kumple zabezpieczają obiekt, takie miejsca jak drogi pożarowe, okna i tak dalej.

- A więc?

- Chłopaki mają strzelby śrutowe i jeżeli nam albo im uda się odnaleźć poszukiwanych, nie będziemy się bawić w ostrzeżenia. Po prostu ich rozwalimy.

Dyrektor hotelu w porcie lotniczym Dulles zerwał się z fotela ze słuchawką w rękę. Właśnie ochrzaniał zaopatrzenie w bieliznę pościelową, gdy nagle przerwał mu telefonista, przekazując wiadomość, że ogłoszono stan alarmowy i ma pozostać przy aparacie, ponieważ chce z nim mówić policja. Następnie odezwał się chłodny, stanowczy głos mężczyzny, który przedstawił się jako szef służby bezpieczeństwa portu lotniczego. Jego rozkazy były krótkie i stanowcze. Komputery hotelowe i wszystkie windy mają być natychmiast wyłączone, goście zaś poinformowani, że nastąpiła poważna awaria instalacji elektrycznej czy co tam uzna za odpowiednie. Wszystkie wymeldowania należy maksymalnie opóźnić, służbę boyów

hotelowych zawiesić. Dyrektor gorączkowo połączył się ze swoją sekretarką i przekazał jej polecenia.

Dwie przecznice dalej pierwszy z trzech samochodów patrolowych pędził w stronę hotelu, rozpędzając syreną ruch na drodze.

- Czego, u diabła, mamy szukać? - zapytał kierowca. - Nic nie słyszałem.

- Kobiety w wieku trzydziestu-czterdziestu lat podróżującej z wielkim chłopakiem, który nie mówi po angielsku - odparł towarzysz policjanta, pochylając głowę nad głośnikiem, aby w hałasie syren i klaksonów lepiej słyszeć dyspozytora.

W gabinecie pełniącego obowiązki dyrektora Centralnej Agencji

Wywiadowczej zadzwonił biały telefon. Była to zabezpieczona linia łącząca z zespołem „Krwawej Dziewczynki”. Szef operacji elektronicznych, zimny profesjonalista, nalegał, aby go natychmiast połączyć z nowym dyrektorem CIA, ale sekretarka upierała się, że to absolutnie niemożliwe. Przełożony uczestniczy bowiem w międzynarodowej konferencji telefonicznej z szefami służb bezpieczeństwa trzech obcych rządów, zorganizowanej osobiście przez prezydenta, który chciał w ten sposób zademonstrować, jak chętny do współpracy z sojusznikami jest nowy szef wywiadu Stanów Zjednoczonych. Nie była to odpowiednia chwila, aby włączać się w takie rozmowy.

- Proszę podać mi tę informację, a ja niezwłocznie mu ją przekażę.

- Niech pani tego dopilnuje. Sprawa jest wyjątkowo pilna.

- Młody człowieku, pracuję w firmie od osiemnastu lat.

- Dobra, proszę posłuchać. Informacja brzmi: Dziewczynka atakuje dziś wczesnym wieczorem. Zaalarmujcie Biały Dom!

- Dla zabezpieczenia proszę tu przesłać wewnętrzny faks.

Natychmiast.

- Jest nadawany w czasie naszej rozmowy. Zabezpieczony, bez kopii i usunięty z komputera.

Egzemplarz informacji przesłanej przez zespół „Krwawej Dziewczynki” wysunął się z faksu sekretarki.

Skorpion Siedemnaście zapaliła zapałkę i spaliła papier nad pustym koszem na śmieci.

Bajaratt zatrzasnęła obie walizki, wrzucając wszystkie pozostałe ubrania pod łóżko. Następnie pobiegła do łazienki, namoczyła ręcznik i błyskawicznie, gwałtownie wytarła nim twarz, usuwając cały makijaż. Potem wzięła z półeczki tubkę jasnego podkładu

Cover Girl i równie szybko jak usunęła makijaż, rozsmarowała bładny krem na policzkach, czole i powiekach, wbiegła z powrotem do pokoju i schwyciła leżący na sekretarzyku kapelusz z woalką.

Włożyła go na głowę, spuściła woalkę, wzięła torebkę z biurka i podniosła walizki. Podeszła do drzwi, otworzyła je i rozejrzała się po korytarzu. Koło znaku wyjścia dostrzegła to, czego się spodziewała - napis: „Lód. Napoje”.

Zatrzasnęła drzwi i z bagażami w rękach podbiegła do małego, oświetlonego neonówkami pomieszczenia, w którym znajdowały się automaty z lodem i napojami. Wrzuciła obie walizki w kąt.

Ukradną je w ciągu godziny, pomyślała, prostując się i poprawiając ubranie oraz woalkę. Potem skierowała się do klatki schodowej.

Cztery piętra niżej, w holu, panował absolutny chaos. Przy stanowiskach kasjerów wydłużały się kolejki, a bagaże wyjeżdżających piętrzyły się przy drzwiach i na trotuarze przed wyjściem.

Baj natychmiast zrozumiała: wydano rozkazy. Ociąganie się, bałagan, kłopoty z wydawaniem bagażu, nawet awaria komputerów działania opóźniające!

Rozległy się okrzyki, że zbliża się pora odlotów; słyhać było protesty innych gości, żądających ekspresowego wyrejestrowania; niektórzy klęli, rzucali klucze na podłogę i ruszali biegiem w stronę drzwi, wykrzykując takie zdania, jak: „Podajcie mnie do sądu!”, „Zwróćcie się do mojego adwokata, niekompetentni durnie!” czy „Niech mnie cholera, nie mam zamiaru spóźnić się na samolot!”

Wszystko układa się doskonale, pomyślała Bajaratt. Zatrzymała się, a potem kulejąc poszła w kierunku postoju - krucha, delikatna leciwa dama, wyraźnie potrzebująca pomocy. Nagle do krawężnika podjechał wyjący syreną i błyskający światłami wóz policyjny i stanął, blokując pierwszą taksówkę. Wyskoczyli z niego dwaj funkcjonariusze, zajrzeli do samochodu i pobiegli zatłoczonym chodnikiem do wejścia, roztrącając wszystkich po drodze. Rozległy się pełne wściekłości krzyki; oburzeni, zdenerwowani podróżni byli u granic wytrzymałości nerwowej. Potem pojawiły się następne dwa radiowozy i ich połączone syreny oraz migacze uspokoiły tłum.

Krzyki protestu ucichły i zapadło pełne fascynacji milczenie towarzyszące katastrofom.

Policjanci z nowo przybyłych samochodów rozbiegli się we wszystkich kierunkach, przez wschodni i zachodni trawnik. Każdy z nich trzymał w ręku strzelbę. Doskonale, uznała Bajaratt, kuśtykając w stronę taksówki stojącej na końcu kolejki.

- Proszę mnie zawieźć do najbliższej budki telefonicznej oznajmiła, wsuwając dwudziestodolarowy banknot w szczelinę w kuloodpornej przegrodzie oddzielającej ją od kierowcy. Najpierw zatelefonuję, a potem powiem panu, dokąd mamy jechać.

- Bardzo proszę, łaskawa pani - odparł długowłosego taksówkarz, wyciągając ze szczeliny banknot.

Niecałe dwie minuty później taksówka podjechała do krawężnika koło tuzina osłoniętych plastikowymi kołpakami automatów telefonicznych. Bajaratt wysiadła i podążyła do najbliższego wolnego aparatu. Z pamięci, nadzwyczajnej pamięci, pomyślała z satysfakcją, wybrała numer hotelu „Carillon” i poprosiła o połączenie z recepcją.

- Tu madame Balzini - rzekła. - Czy mój bratanek już przyjechał?

- Jeszcze nie, proszę pani - odparł głos w słuchawce. - Ale niecałą godzinę temu dostarczono dla pani paczkę.

- Tak, wiem o tym. Kiedy mój bratanek się pojawi, proszę mu powiedzieć, żeby na mnie poczekał. Przyjadę do niego.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do taksówki. Myśli kłębiły się w jej głowie. W jaki sposób Londyn rozszyfrował plan połączeń telefonicznych? Kto zawiódł albo co gorsze - kogo zdemaskowano i zmuszono do mówienia?

Nie! Nie może tracić czasu na bezpłodne rozważania. Tylko dzisiaj, dziś wieczorem! Sygnał, który wysłał na cały świat, będzie jak gigantyczna niszcząca błyskawica! Nic innego się nie liczyło, musiała jedynie doprowadzić ten dzień do końca.

Była druga czterdzieści osiem nad ranem, gdy Hawthorne opuścił mieszkanie generała Michaela Meyersa w Arlington. Zbliżając się do bramy, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mikromagnetofon i z ulgą spostrzegł, że czerwona dioda w dalszym ciągu się świeci. Cofnął nieco taśmę, przycisnął guzik odtwarzania i usłyszał głosy. Jego stopa odruchowo nacisnęła mocniej pedał gazu. Odczuwał pełne satysfakcji uniesienie i pragnął jak najszybciej dotrzeć do „Shenandoah Lodge”. Udało się - miał zarejestrowaną na taśmie dwugodzinną rozmowę, którą przeprowadził z przewodniczącym Komitetu Szefów Sztabów, ostatnim z kierownictwa

Skorpionów.

Kiedy przyjechał, Meyers początkowo przyglądał mu się z niechętnym szacunkiem i wściekłością, zupełnie jakby patrzył na zwłoki przeciwnika, który może okazać się bardziej niebezpieczny po śmierci niż za życia. Tyrell doskonale znał ten typ ludzi, w Amsterdamie było ich pełno. Wiecznie dążyli do osiągnięcia swojego strategicznego celu i każdy z nich odznaczał się niezwykle rozwiniętym poczuciem miłości własnej. Hawthorne odwołał się do

tej właśnie cechy Maksymalnego Mike'a; grał tą kartą tak długo, aż wreszcie gigantyczny egotyzm Meyersa wziął górę.

Zadający mu pytania, płaszczący się admirator zdawał się pełnym uwielbienia idiotą. Generał mógł mu bezkarnie powiedzieć wszystko, na co miał ochotę, bo przesłuchujący go stawał się w razie potrzeby jego pierwszą linią obrony - jeżeli w ogóle będzie jej potrzebował.

Potrzebuje jej bardziej, niż sobie uświadamia, pomyślał Tyrell, skręcając na autostradę. Hawthorne zdał sobie z tego sprawę w chwili, gdy drzwi otworzył mu adiutant generała. Na pierwszy rzut oka barczysty podkomendny przypominał mężczyznę, którego

Tye widział z ciemnego holu domu Ingersolów, ale nie był to ten sam człowiek. To był ktoś inny. Zabójcę ukryto.

Tyrell wjechał na parking koło „Shenandoah Lodge” o trzeciej trzydzieści. Dwie minuty później wszedł do pokoju, w którym

Poole siedział czujnie przy biurku, przed miniaturowym sprzętem elektronicznym.

- Jest jakaś wiadomość o Cathy? - spytał.

- Od naszej rozmowy przed kilkoma godzinami nic się nie zmieniło, a dzwoniłem ze sześć razy.

- Powiedziałaś, że poruszyła nogą. To chyba coś znaczy?

- Tak mnie poinformowali, ale teraz przestali mówić cokolwiek, tylko powtarzają, żebym nie dzwonił i że w razie czego sami dadzą mi znać. Więc aby przestać myśleć, zacząłem się bawić w ciuciubabkę z Langley.

- Co to znaczy: bawić się w ciuciubabkę?

- Ktoś wziął twój transponder i teraz doprowadza do szaleństwa tych, którzy cię namierzają. Wciąż do mnie dzwonią i pytają, czy jesteśmy w kontakcie. Odpowiadam im, że oczywiście, w każdej chwili. Oni zaś chcą wiedzieć, dlaczego zatrzymałeś się w Wilmington w stanie Delaware, a potem pojechałeś do New Jersey?

- Co im mówisz?

- Że najwidoczniej lotnictwo dysponuje dokładniejszym sprzętem niż oni, ponieważ według mnie jedziesz właśnie do Georgii.

- Już się z nimi nie baw. Jeżeli zadzwonią znowu, powiedz prawdę: że jestem tutaj i mamy robotę do wykonania. Bo faktycznie mamy.

- Taśma? - Oczy Poole'a się rozszerzyły.

- Przynies trochę papieru, żebyśmy mogli robić notatki. Hawthorne przewinał taśmę jeszcze w samochodzie; teraz postawił magnetofon na sekretarzyku. - Ruszamy - rzekł, kiedy porucznik zaopatrzył ich obu w notesy, i ostrożnie opuścił się na poduszki łożka.

- Jak twoja głowa? - zapytał Jackson, przenosząc sprzęt na biurko.

- Pokojówka Palissera nałożyła mi na nią całą paczkę gazy i umocowała plastrem. A teraz włącz to draństwo i pozwól, że nie zdejmę kapelusza. - Obaj mężczyźni w milczeniu słuchali nagranej rozmowy. Odtwarzanie trwało godzinę i czterdzieści trzy minuty.

Sporządzali notatki, a kiedy nagranie dobiegło końca, jeszcze raz przesłuchali wybrane fragmenty.

- Byłeś świetny, komandorze - oznajmił z podziwem Poole. Przez kilka minut sam uwierzyłem w twój wielki podziw dla Huna

Attyli.

- Trochę mi to wraca, poruczniku. Nie za dużo, ale co nieco...

No dobra, zabierzmy się do roboty.

- W porządku, przesłuchajmy wybrane fragmenty od początku.

Będę przeskakiwał od jednego do drugiego, ponieważ odnotowałem ważniejsze miejsca i wiem, gdzie się znajdują.

- Kim, u diabła, jesteś? Prawnikiem?

- Niestety, nie. Tatuś bardzo chciał, żebym nim został na jego podobieństwo...

- Oszczędź mi - przerwał mu Tyrell. - Po prostu włącz magnetofon.

/HAWTHORNE/ Czy zobaczył pan dzisiaj wieczorem u Ingersollów kogoś nieoczekiwanego; kogoś, czyja obecność pana zaskoczyła?

/MEYERS/ Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, panie Hawthorne. Przede wszystkim było tam cholernie tłoczno i niezbyt widno na dobrą sprawę jedyne źródło światła stanowiły świece na stołach bufetowych, ja zaś, ponieważ unikam jedzenia między posiłkami, nie przebywałem w ich pobliżu. Być może żołnierz idzie żołądkiem, jak powiedział Napoleon, ale nie powinien mieć tego żołądka zbyt pełnego, prawda?

/HAWTHORNE/ Absolutnie ma pan rację, panie generale. Ale czy był tam ktoś, kogo zapamiętał pan szczególnie, kto z jakiegoś powodu zwrócił pańską uwagę? Słyszałem, że dysponuje pan nieprawdopodobną pamięcią. Słyszałem też, że pańska taktyka przeciwko

Vietcongowi opierała się na zdjęciach lotniczych, o których nikt oprócz pana nie pamiętał.

/MEYERS/ Owszem, owszem, ale przecież zawsze miałem swoich adiutantów, nie będę ujmował im zasług... Tak, kiedy pomyślę o tym dokładniej, przypominam sobie kilku senatorów, których obecność raczej mnie zaskoczyła. Politycznie usytuowanych daleko na lewo, jeżeli dobrze pan rozumie, co mam na myśli. No a powszechnie wiadomo, że David Ingersol był zaprzyjaźniony z Pentagonem.

/HAWTHORNE/ Czy mógłby pan sformułować to bardziej konkretnie, panie generale?

/MEYERS/ Owszem. Chociażby ten senator z Iowa, wciąż jęczący, że farmerzy cierpią z powodu wydatków na obronę, a przecież kto ma większe dotacje niż stany rolnicze? Jak zwykle przyjmował te swoje pozy pastora ze środkowego zachodu. Także paru innych lewaków, których nazwisk nie mogę sobie przypomnieć, ale przejrzę album Kongresu i zadzwonię do pana.

/HAWTHORNE/ Bardzo by mi to pomogło, panie generale.

/MEYERS/ W jaki sposób?

/HAWTHORNE/ Wszystkie nie znane nam informacje są bardzo cenne, panie generale. Tacy ludzie mogą swoją obecnością starać się odsunąć podejrzenia. Słyszeliśmy o rozłamie w kręgu spiskowców

Bajaratt...

/MEYERS, przerywając/ Rzeczywiście...?

/HAWTHORNE/ Rozszerza się. W ciągu kilku dni, może nawet godzin, otrzymamy nazwiska.

/MEYERS/ To brzmi nieprawdopodobnie, komandorze... Bóg mi świadkiem, że bardzo bym chciał, aby miał pan rację.

- Dobra, to jest pierwszy - oznajmił Poole, wyłączając magnetofon. - Masz jakieś uwagi? Ty wybrałeś ten fragment, nie ja, Tye.

- Byłem w środku i widziałem z korytarza, jak Meyers zażera się przy stole bufetowym. Nie mógł mieć żadnych problemów z widocznością - te świece dawały dużo światła. Nie obchodzi mnie, na kogo zwrócił uwagę. Po prostu chciałem usłyszeć jego typy, żebym mógł się z nim zgodzić.

- I trochę napędzić mu strachu rozłamem w szeregach Bajaratt? - zauważył z uśmiechem Jackson.

- Fachowo nazywa się to wyprowadzeniem z psychicznej równowagi, poruczniku. Ale ja używam innego określenia: wsadzenie kolca w tyłek. Posłuchajmy dalej.

/HAWTHORNE/ Czy David Ingersol, o którym obecnie wiemy, że był zdrajcą współpracującym z Krwawą Dziewczynką, dawał panu jakieś rady dotyczące zawieranych kontraktów?

/MEYERS/ Boże drogi! Podałem w wątpliwość mnóstwo jego decyzji prawnych! Oczywiście, nie jestem adwokatem, ale coś mi w tym śmierdziało, zapewniam pana!

/HAWTHORNE/ Czy zgłaszał pan swoje zastrzeżenia, panie generale?

/MEYERS/ Jasne! Jeżeli nie do protokołu, to ustnie. Dobry Boże, przecież był partnerem prezydenta do golfa!

- Idealna zasłona dymna - stwierdził Poole. - Nie sposób ustalić tego, co rzekomo zgłoszono ustnie.

- Zgadzam się - przytaknął Tye. - Proszę następny.

- Też krótki. Obaj go wyłapaliśmy.

/HAWTHORNE/ Podobno Edward White, wspólnik Ingersola, pytał pana, czy ma pan jakieś informacje na temat dochodzenia

Departamentu Stanu przeciwko Davidowi Ingersolowi Z całą pewnością musiał je pan mieć, ponieważ śledzi pan na bieżąco raporty dotyczące Krwawej Dziewczynki...

/MEYERS/ Jak brzmi pańskie pytanie?

/HAWTHORNE/ To nie jest pytanie, ale podziękowanie za tak wielką pomoc w utajnieniu całej sprawy. Ktoś nie dorównujący panu intelektem mógłby dać się złapać w pułapkę.

/MEYERS/ // ujawnić informację o najwyższym stopniu poufności?

Ale nie ja ani nikt z mojego sztabu! Zastrzeliłbym takiego sukinsyna.

Oczywiście, że wiem o dochodzeniu, lecz nikt o tym ode mnie nie usłyszy.

- Bingo! - oznajmił Tyrell. - Byłem poza rejestracją, a więc żadna wiadomość nie została wysłana. Palisser załatwił mi te dokumenty, ale utrzymał wszystko w tajemnicy.

- Dlatego właśnie to zaznaczyłem - skinął głową Poole. Przejdźmy do następnego fragmentu, dobra?

/MEYERS/ Jak pan myśli, komandorze, co się tam naprawdę stało?

/HAWTHORNE/ Mogę panu pokazać, co mi się przytrafiło, panie generale. Proszę obejrzeć moją głowę. Widok nie jest piękny, ale tak to wygląda.

/MEYERS/ Straszne, po prostu straszne. Oczywiście, widziałem o wiele poważniejsze rany, lecz odniesione na polu walki, a nie w przyzwoitej podmiejskiej dzielnicy, na litość boską!

/HAWTHORNE/ Był pan najlepszym oficerem frontowym w całej armii.

/MEYERS/ Nie, synu, to moi chłopcy byli najlepsi...

/HAWTHORNE/ Jest pan wyjątkowo skromnym człowiekiem, jak na kogoś z taką przeszłością.

/MEYERS/ Nie powinno się stroić sobie skroni laurami, które inni dla nas zdobyli, prawda?

/HAWTHORNE/ Znowu ma pan rację, panie generale... Ale jednak ktoś zastrzelił Richarda Ingersola i zaatakował mnie w ogrodzie, zanim zdołałem go zobaczyć. Teraz musimy ustalić, kim był ten człowiek...!

/MEYERS, przerywając mu/ Powinien pan przejść szkolenie rangersów, komandorze. Nie sądzę, aby poza SEAL-ami ktoś je wam urządzał w marynarce. Z drugiej jednak strony słyszałem, że ledwo uszedł pan z życiem, kiedy na wyspach wpadł pan na Dziewczynkę.

Podobno pańscy dwaj koledzy z wywiadu zostali zabici, Anglik i Francuz, ale pan ocalał. Musi pan być bardzo utalentowany, komandorze...

- Zatrzymaj, Jackson - poprosił Tyrell, pochylając się w fotelu. Poole wyłączył magnetofon. - Chciałem się upewnić, że dobrze usłyszałem. Miałem rację, to kolejne bingo. Londyn i Paryż nigdy nie informowały, że Cooke i Ardisonne byli związani z MI-6 albo z Deuxieme. Meyers otrzymał tę wiadomość za pośrednictwem siatki Skorpionów. Waszyngton nie wspominał o tym w raportach na temat Bajaratt. Ani Anglicy, ani my nie przyznaliśmy się do współpracy wywiadów.

- Kolejny gwóźdź do sosnowej jesionki Maksymalnego - zauważył Poole. - A teraz zdejmijmy jeszcze kilka warstw psychiki pana generała. Obydwaj wybraliśmy ten kawałek, ponieważ nieźle ilustruje jego osobowość. Odwaliłeś cholerną robotę, Tye... Startujemy.

/HAWTHORNE/ Jako wojskowy cieszy się pan tak doskonałą opinią, że może jej panu pozazdrościć każdy żołnierz, jaki kiedykolwiek służył temu krajowi...

/MEYERS, przerywając/ To bardzo miło z pańskiej strony, ale jak już powiedziałem, nigdy nie byłem sam. Nawet w klatkach tortur i tygrysiach jamach Vietcongu wiedziałem, że wspiera mnie naród amerykański. Tej wiary nie utraciłem do dziś.

/HAWTHORNE/ W takim razie, panie generale, pozwoli pan, że zadam mu osobiste pytanie, które nie ma nic wspólnego z wydarzeniami ostatniej nocy. Dlaczego zgadza się pan na ograniczanie do minimum naszej siły militarnej? Pytam jako człowiek, który ogromnie pana podziwia.

/MYERS/ Nie dopuścimy do tego! W żadnym wypadku! W nasz kraj wycelowane są międzykontynentalne pociski balistyczne na całym świecie. Musimy się zbroić i przezbrajać! Sowietów może się skończyć, ale ich miejsce zajmą inni. Należy się przezbroić; przezbroić, na litość boską! Odzyskać nasze dawne miejsce!

/HAWTHORNE/ Oczywiście, zgadzam się, panie generale, ale jak tego dokonać? Politycy obu partii domagają się cięć budżetowych, obiecując narodowi, „pokojową dywidendę” przede wszystkim kosztem obronności.

/MEYERS, ścisząc głos/ Jak tego dokonać? Powiem panu, komandorze, i niech to zostanie między nami, dobrze?

/HAWTHORNE/ Przysięga oficera marynarki - przed Bogiem i panem, panie generale.

/MEYERS, ledwo słyszalnym głosem/ Musimy najpierw zdestabilizować Hawthorne. Zaalarmować naród, uświadomić mu, że wrogowie są wszędzie! A kiedy już go ostrzeżemy, odzyskamy należne nam miejsce strażników tego kraju.

/HAWTHORNE/ Jak zaalarmować, panie generale? Przeciw komu walczyć?

/MEYERS/ Przeciw sytuacji nie do uniknięcia w rozdartym społeczeństwie, szarpanym przez niepożądane elementy i malkontentów! Musimy być zdecydowani, wypełnić polityczną próżnię i objąć przywództwo!

- Mógłby zostać komikiem - oświadczył Poole, wyłączając magnetofon - pod warunkiem, że miałby poczucie humoru. A tak jest tylko groteskowym sukinsynem.

- Po prostu paranoik - dodał cicho Tyrell. - W oczach

Dobroczyńców idealny, oddany Skorpion. Nie tylko jego konta bankowe rosną - pewnie zresztą niewiele go to obchodzi - ale również wierzy, że jego sny o dyktowaniu prawa z pozycji siły mogą się spełnić. Najbardziej jednak przerażające jest to, że ów cel może zostać osiągnięty w ciągu kilku zaledwie sekund, za pomocą jednego pocisku czy granatu wystrzelonego albo rzuconego przez kogoś, kogo nie możemy odnaleźć, kto poświęcił całe życie temu jednemu zabójstwu. Gdzie ona jest?

ROZDZIAŁ 33

Była ósma dwanaście rano, kiedy hotel „Carillon” ponownie przywitał madame Balzini i jej bratanka. Wszystkie formalności załatwiła uczynna recepcjonistka, sownie wynagrodzona za swoje usługi. O dziewiątej pięćdziesiąt osiem Bajaratt zadzwoniła do wybranego przez dolinę Bekaa banku na Kajmanach. Kiedy podała kod identyfikacyjny, zapewniono ją, że suma pięćdziesięciu tysięcy dolarów zostanie dostarczona do hotelu w ciągu godziny bez zbędnych formalności przelewowych. Pieniądze przyniesiono w opieczetowanej kopercie.

- Czy mogę je wziąć? - zapytał Nicolo, gdy urzędnik bankowy wyszedł.

- Weźmiesz tyle, ile ci dam. Wierzę, że szlachetny chłopiec z doków pojmuje, iż sama też mam pewne potrzeby. Otrzymasz dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a reszta jest dla mnie, za moją pracę. Dlaczego patrzysz na mnie tak dziwnie?

- Co się z panią stanie, signora? Dokąd pani pójdzie, co będzie robiła?

- Na wszystko otrzymasz odpowiedź dzisiaj wieczorem, mój młodzieńcy, uwielbiany kochanku.

- Jeżeli mnie pani tak uwielbia, to dlaczego nie chce odpowiedzieć na moje pytania? Twierdzi pani, że mnie opuści dziś wieczorem, że pani zniknie, odejdzie i zostanę sam... Czy nie rozumiesz, Cabi?

Uczyliś mnie częścią siebie. Byłem nikim, a teraz jestem kimś.

Dzięki tobie. Będę o tobie myślał przez resztę mego życia. Nie możesz tak po prostu zniknąć i pozostawić mnie samego.

- Przecież masz swoją Angel, prawda?

- Jest tylko bardzo odległą nadzieją.

- Dosyć rozmów - ucięła Bajaratt, podchodząc do biurka i biorąc do ręki kopertę. Złamała trzy pieczęcie i zerwała paskowaną taśmę zabezpieczającą. Wyjęła dwadzieścia sześć tysięcy dolarów; tysiąc podała chłopakowi, dwadzieścia pięć położyła na stole, a dwadzieścia cztery pozostawiła w kopercie. Potem ponownie zacisnęła na niej pieczęcie i podała młodemu Włochowi.

- Powinno wystarczyć na twoje wydatki w Nowym Jorku oświadczyła. - Czy jestem wobec ciebie sprawiedliwa i uczciwa?

- Grazie - odparł Nicolo. - Oddam tę kopertę Angelinie dziś po południu.

- Czy możesz jej zaufać, chłopcze?

- Tak. Nie należy do pani świata ani nie pochodzi z dzielnicy portowej. Rozmawiałem z nią kilka minut temu, wyjeżdżała na lotnisko. Będzie tam o drugiej dwadzieścia pięć, przy wejściu siedemnastym. Nie mogę się doczekać.

- I cóż powiesz tej słynnej damie?

- To, co podyktuje mi serce, signora, nie głowa.

Bruce'a Palissera, sekretarza stanu, obudził telefon z Białego

Domu o piątej czterdzieści sześć rano, a dziesięć po szóstej znajdował się już w swojej limuzynie. Wezwano go do Gabinetu Owального.

W stosunkach syryjsko-izraelskich nastąpił impas. Sytuacja groziła wybuchem wojny - być może nawet jądrowej, a zapobiec jej mogły jedynie połączone wysiłki Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji i Niemiec. Konieczne było uspokojenie jastrzębi w obu zwaśnionych krajach. O szóstej trzynastej żona Palissera odebrała telefon od komandora porucznika Hawthorne'a, który prosił o natychmiastową rozmowę z sekretarzem. Sprawa była pilna.

- Najwidoczniej ktoś inny też tak ocenił sytuację - odparła

Janet Palisser. - Mąż jest w Białym Domu.

Bardzo mi przykro, proszę pana, ale mamy rozkaz nie przerywać spotkań Rady Bezpieczeństwa pod żadnym pozorem...

- Załóżmy - przerwał telefonistce zdenerwowany Tyrell tylko załóżmy, że w powietrzu znajduje się pocisk balistyczny wycelowany prosto w Biały Dom! Czy wtedy też nie można by mnie było połączyć?

- Czy chce pan powiedzieć, że taki pocisk nadlatuje?

- Nie, nie chcę! Po prostu muszę porozumieć się z sekretarzem stanu w wyjątkowo pilnej sprawie.

- Proszę się zwrócić do Departamentu Stanu.

- Nie mogę zadzwonić do Departamentu Stanu! Sekretarz wyraźnie zastrzegł, że mam rozmawiać wyłącznie z nim.

- W takim razie proszę połączyć się z jego alarmem przyzywowym...

- Nie wiem, jak to zrobić...

- Skoro nie ma pan jego numeru, nie może pan być kimś ważnym.

- Bardzo proszę, muszę przekazać sekretarzowi Palisserowi wiadomość!

- Chwileczkę... Jak brzmi pańskie nazwisko?

- Hawthorne.

- Jezu, bardzo pana przepraszam. Pańskie nazwisko dopisano w komputerze na końcu listy. Literki są tak małe, rozumie mnie pan? Proszę o wiadomość.

- Niech natychmiast do mnie zadzwoni. Wie, dokąd. Będę czekał. Czy dostanie tę wiadomość od razu?

- Już ją przesyłam, proszę pana.

Rozległ się trzask i w słuchawce zapadła cisza.

Hawthorne odwrócił się do Poole'a, który siedział pochylony do przodu na krawędzi fotela i przysłuchiwał się rozmowie.

- W Białym Domu jest niezwykle ważna konferencja, a centrala musi odczytać drobny druk, aby połączyć mnie z Palisserem po to, bym mógł mu powiedzieć, że szalony generał, który prawdopodobnie znajduje się w tym samym pokoju, pomaga w zorganizowaniu zabójstwa prezydenta.

- Co teraz zrobimy?

- Musimy czekać - odparł Tyrell. - Najgorsza rzecz z możliwych...

W międzynarodowym porcie lotniczym Dulles przez odprawę celną do głównego terminalu przeszły dwie osoby. Zachowywały się obojętnie, ale ich pojawienie się w Stanach Zjednoczonych miało swoją istotną przyczynę. Byli agentami Mossadu, którym zlecono zadanie wyjątkowej wagi. Wieźli ze sobą informację o człowieku będącym główną postacią w planach Bajaratt - o senatorze

Nesbitcie, który wbrew zdrowemu rozsądkowi ułatwiał terrorystce zabójstwo. Mogło to nastąpić każdego dnia i o każdej godzinie.

Przylecieli El Al, lotem numer osiem tysięcy dwa z Tel Awiwu, i jak wyjaśnili urzędnikom celnym, ich pobyt miał potrwać krótko.

Byli inżynierami, których rząd izraelski przysłał do Waszyngtonu na konferencję poświęconą planom nawadniania pustyni Negew.

Obojętny urzędnik przystawił na paszportach swoją pieczęć, życzył im miłego pobytu i podniósł głowę, spoglądając na następnego interesanta.

Oficerowie Mossadu przeszli szybko do terminalu - kobieta ubrana w surowy czarny kostium, jej towarzysz w równie poważny szary garnitur. Oboje mieli pokryte materiałem torby lotnicze i identyczne dyplomatki. Skierowali się do automatów telefonicznych. Ciemnowłosa kobieta odezwała się pierwsza.

- Zadzwonię pod jego prywatny numer w Departamencie

Stanu; ten, który podał mi pułkownik Abrams.

- Szybko - ponaglił ją kolega, blondyn o wyraźnie przerzedzonych włosach, których pasma przypominały kolor skóry na głowie. - Ale pamiętaj, jeżeli po piątym dzwonku nie podniesie słuchawki, rozłączysz się.

- Rozumiem. - Po piątym sygnale major odwiesiła słuchawkę. - Brak odpowiedzi.

- W takim razie musimy zadzwonić do domu. Trzeba unikać centrali telefonicznych.

- Mam tu numer. - Kobieta wyjęła ćwierćdolarówkę, ponownie włożyła do automatu i wybrała numer.

- Halo? - odezwał się kobiecy głos.

- Proszę z sekretarzem stanu. Sprawa bardzo pilna.

- Straszne dzisiaj zamieszanie - odparł poirytowany głos. Jeżeli ma pani coś ważnego do zakomunikowania sekretarzowi, proszę zadzwonić do Białego Domu. Ja wyjeżdżam do domku letniskowego w St. Michaels.

- Kobieta była raczej zdenerwowana i odłożyła słuchawkę oznajmiła oszołomiona oficer Mossadu, odwracając się do kapitana. - Radziła mi zadzwonić do Białego Domu.

- A tego właśnie nie mamy prawa zrobić! - odparł jej podwładny. - Musimy rozmawiać wyłącznie z sekretarzem stanu.

- Najwidoczniej jest w Białym Domu.

- Nie wolno nam łączyć się z nim przez centralę. Nikomu nie można ufać, jedynie Palisserowi. Abrams przekazał mu kanałami dyplomatycznymi informację, że powinien spodziewać się dwóch gości. Pułkownik i sekretarz są przyjaciółmi, a skoro przybywamy od Abramsa, Palisser domyśli się, że sprawa jest pilna.

- W takim razie nie zgadzam się z naszymi instrukcjami.

Ponieważ Palisser jest w Białym Domu, nie widzę powodu, dlaczego by nie połączyć się z centralą i nie przekazać mu wiadomości.

Abrams twierdził, że każda godzina ma ogromne znaczenie.

- Jakiej wiadomości? Nie możemy się przedstawić.

- Powiemy, że przybyli kuzyni jego przyjaciela, pułkownika

Davidą, i w razie potrzeby zadzwonimy pod jego prywatny numer albo nawet do biura...

- Do jego biura? - przerwał jej kapitan, marszcząc brwi.

- Każda godzina ma znaczenie - przypomniała major. Nie zdradzimy, kim jesteśmy, a on poleci asystentowi, sekretarzowi albo służącemu, aby nas powiadomił, gdzie i jak możemy się z nim skontaktować. Musimy mu przekazać nazwisko Nesbitta... Znajdźmy jakąś limuzynę... z telefonem.

Pozornie obojętny urzędnik celny odczekał kilka minut, aż nabrał pewności, że para nie wróci. Przekonany, że sobie poszli, umieścił na biurku czerwoną tabliczkę z napisem „Przerwa” i podniósł słuchawkę telefonu. Nacisnął trzy cyfry i natychmiast połączył się z szefem ochrony urzędu imigracyjnego w biurze położonym piętro wyżej, gdzie nad licznymi konsolami elektronicznymi znajdowały się dwa szeregi monitorów telewizyjnych.

- Dwa ewentualne izraelskie obiekty - oznajmił. - Kobieta i mężczyzna, wiek i rysopis w ogólnych zarysach zgodne.

- Zawody?

- Inżynierowie. Tak jest w dokumentach, - Cel wizyty?

- Gromadzenie funduszy na realizację projektu nawadniania pustyni Negew. Powinni teraz być w terminalu. Kobieta nieco wyższa, ubrana na czarno, on w szarym garniturze. Oboje mają torby lotnicze i dyplomatki.

- Znajdziemy ich na monitorach i sprawdzimy. Dziękuję.

Szef służby ochrony, tęgi mężczyzna w średnim wieku, o nalanej twarzy i oczach bez wyrazu, wstał zza biurka stojącego za dużą szklaną przegrodą i przeszedł do zewnętrznego pomieszczenia, gdzie pięć osób siedziało przed swoimi konsolami i monitorami telewizyjnymi.

- Szukajcie pary - polecił. - Kobieta wyższa i ubrana na czarno, mężczyzna w szarym garniturze.

- Mam ich - oświadczyła zaledwie trzydzieści sekund później pracownica w czwartym fotelu. - Rozmawiają przez telefon.

- Dobra robota. - Szef ochrony podszedł do operatorki. Daj mi zbliżenie. - Kobieta przekreśliła przełącznik na konsoli, co z kolei uruchomiło teleobiektyw kamery w terminalu. Kiedy postacie pojawiły się w zbliżeniu, szef skrzywił się na ich widok z obrzydzeniem. - Chryste, wcale nie wyglądają jak na fotografiach. Zapomnij o tym, dziecinko. Mamy na dole nadgorliwego urzędasza.

- Kogo szukamy, Stosh? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Pary, która może przewozić diamenty.

- Czy mogę zejść na dół i odprowadzić ich do osobistego jubilera?

Przełożony pośmiał się przez chwilę razem z podwładnymi, po czym skierował się do drzwi na zewnątrz. - Popilnujcie mojego telefonu - powiedział. - Idę na spacer.

Szef bezpieczeństwa wyszedł do wąskiego korytarzyka, skręcił w lewo i szybkim krokiem dotarł do miejsca, gdzie znajdował się balkonik z balustradą, z którego widać było większość terminalu.

Sięgnął do kieszeni, wyjął mikrokrótkofalówkę i przełączył na inną częstotliwość. Po chwili odezwał się, wypatrując jednocześnie w tłumie na dole osób, które widział na ekranie monitora.

- Grzechotnik, tu Drozd, odezwij się.

- Tu Grzechotnik. Co jest?

- Cele potwierdzone.

- Para M? Gdzie?

- Idą do postoju limuzyn. On jest w szarym garniturze, ona wyższa i ubrana na czarno.

Ruszajcie!

- Widzę ich - szepnął trzeci głos przez radio. - Jestem w odległości niecałych piętnastu metrów. Jezu, ale dostali popędu.

Naprawdę się spieszą.

- My też, Miedzianka - odparł szef ochrony, wymieniony w spisie Skorpionów jako numer czternasty.

Dwoje oficerów Mossadu siedziało z tyłu limuzyny, a ich dyplomatki leżały na torbach, na bocznych siedzeniach. Teczka kapitana była otwarta. W lewej ręce jasnowłosy agent trzymał laminowaną kartę o wymiarach dziesięć na piętnaście centymetrów, zawierającą wszystkie nie zabezpieczone numery telefoniczne, jakich mogli potrzebować w Stanach Zjednoczonych - ambasady i konsulatów, sojusznicznych i nieprzyjacielskich instytucji wywiadowczych, jak również ulubionych restauracji, barów i kilku kobiet, które - jak się spodziewał - byłyby zadowolone ze spotkania z nim.

- Skąd to masz? - zapytała major.

- Sam sporządziłem - odparł kapitan. - Nie cierpię szukania czegokolwiek w książce telefonicznej. Pamiętaj, byłem tu na placówce przez osiemnaście miesięcy. - Wsunął kartę kredytową w szczelinę telefonu i poczekał, aż na wyświetlaczu pojawi się napis

„Wybierz numer”.

- Teraz bądź cicho - nakazał, przyciskając cyfry odczytywane ze spisu. - To centrala Białego Domu. Ale nie zwracają sobie głowy pytaniami, jedynie przyjmują wiadomości do przekazania.

- Robiłeś już to wcześniej...?

- Często. Znałem tam uroczą dziewczynę, pokojówkę z pokoiów recepcyjnych na pierwszym piętrze... Pssst! Mam telefonistkę.

- Biały Dom - odezwał się w słuchawce zmęczony kobiecy głos.

- Najmocniej przepraszam, ale właśnie dowiedziałem się od żony sekretarza stanu Palissera, że jej mąż jest u prezydenta. Czy mógłbym zostawić wiadomość dla pana sekretarza?

- Czy ma pan zezwolenie? W przeciwnym razie nie mogę przerwać posiedzenia Rady Bezpieczeństwa.

- Nie ośmieliłbym się przerywać, proszę pani. Chcę po prostu zostawić informację.

- Słucham.

- Proszę mu tylko przekazać, że kuzyni jego starego przyjaciela, pułkownika Davida, są w mieście i chcą się z nim skontaktować.

Będą dzwoniли do jego domu lub biura. Niech łaskawie zostawi wiadomość, w jaki sposób mogliby się z nim jak najszybciej porozumieć.

- Czy może pan zostawić swój numer?

- Nie chcemy być aż tak natrętni i sprawiać pani jeszcze większy kłopot.

- Sekretarz Palisser otrzyma pańską wiadomość natychmiast po zakończeniu konferencji.

Kapitan Mossadu odwiesił słuchawkę i oparł się wygodnie. Będziemy na zmianę dzwoniли do jego biura i domu co pięć minut.

Jak już powiedziałaś, musimy przekazać mu nazwisko Nesbitta, nawet jeżeli trzeba będzie zrobić to telefonicznie - oświadczył.

Pochylił się nieco do przodu, aby włożyć laminowany spis telefoniczny z powrotem do teczki, i przy okazji popatrzył przez zamknięte okno w lewo. Jakiś samochód spychał ich z autostrady! Jego tylne okna były otwarte... a te czarne punkty to lufy broni!

- Padnij! - wrzasnął, rzucając się na major i w tej samej chwili rozpętała się wściekła strzelanina. Pełnopłaszczowe pociski przebiły szkło i metal, szarpiąc znajdujące się w aucie ciała ludzi.

Jednocześnie w roztrzaskane okno wpadł granat. Samochód zjechał z autostrady, przetoczył się kilkakrotnie po poboczu, aż wreszcie uderzył w metalową ścianę wygłuszającą i stanął w ogniu.

ROZDZIAŁ 34

Autostrada prowadząca z portu lotniczego Dulles przypominała piekło. Trzydzieści siedem pojazdów spiętrzyło się, zderzając się ze sobą w momencie gdy płomienie - wskutek wielokrotnego przebicia zbiornika z paliwem - rozpełzły się po całej jezdni. W ciągu kilku minut poranne powietrze wypełnił jęk syren i ogłuszający łopot wirników śmigłowców, do których wkrótce przyłączyło się dwutonowe zawodzenie karet ratunkowych starających się poboczami dotrzeć do ofiar katastrofy.

Była to nie tylko scena śmierci obu wysłanników Tel Awiwu, ale również śmierci dwudziestu dwóch przypadkowych mężczyzn i kobiet, którzy chcieli jedynie po trudach podróży powrócić do swoich domów i rodzin. Ten koszmar stanowił uboczny produkt spisku, który zakiełkował wiele lat temu w Pirenejach, kiedy pewne dziecko zmuszono, aby przyglądało się kaźni swoich rodziców. Szaleństwo w jasny letni dzień, o dziesiątej pięćdziesiąt dwie rano.

11.35

Bajaratt była bliska utraty cierpliwości, jeżeli nie szaleństwa.

Nie mogła się porozumieć z senatorem Nesbittem! Zamiast niego najpierw odezwał się recepcjonista, potem sekretarka służbistka, a następnie osobisty sekretarz i wreszcie asystent senatora.

- Mówi hrabina Cabrini - oświadczyła ostrym tonem Baj. Jestem głęboko przekonana, że senator chce ze mną rozmawiać.

- Z całą pewnością, pani hrabino, ale niestety nie ma go w biurze. Proszę pamiętać, że Senat ma letnią przerwę i nasz rozkład dnia nie jest tak precyzyjny jak w czasie sesji.

- Czy chce mi pan dać do zrozumienia, że nie możecie go odnaleźć?

- Próbujemy, pani hrabino. Być może jest na polu golfowym albo u przyjaciół...

- Przecież ma gospodynię i kierowcę! Oni na pewno wiedzą, gdzie przebywa senator.

- Gospodyni wiadomo jedynie, że senator wyjechał swoim samochodem, a telefon w aucie informuje tylko, że właściciel opuścił pojazd.

- Nie mogę zaakceptować tych wyjaśnień. Chcę rozmawiać z senatorem osobiście!

- Jestem przekonany, że pan senator również pragnie rozmawiać z panią, hrabino. Jeżeli jednak chodzi pani o wizytę w Białym

Domu, mogę zapewnić, że jest ona całkowicie pewna. Mam przed sobą notatkę w tej sprawie. Pan senator przyjedzie po panią do hotelu „Carillon” dokładnie o siódmej piętnaście

wieczorem. Może nieco za wcześnie, ale wolimy być przezorni, na wypadek dużego ruchu ulicznego.

- Uspokoił mnie pan. Bardzo dziękuję.

12.17

W pokoju hotelowym Hawthorne rzucił się do stojącego na biurku telefonu.

- Słucham?

- Tu Palisser. Jestem zdziwiony, że się pan nie odezwał.

- Nie odezwał?! Przecież pozostawiłem pół tuzina informacji!

- Naprawdę?... To dziwne, był pan upoważniony do natychmiastowego łączenia się ze mną.

- Wiem. Telefoniści mi o tym wspominali, za każdym razem powtarzając, że moje nazwisko jest przekazywane dalej.

- Nic nie otrzymałem. Ale może dlatego, że program dnia był tak napięty. Mieliśmy pewien międzynarodowy kryzys do omówienia. Przy pewnej dozie szczęścia kilka gróźb powinno wystarczyć, żeby go zneutralizować... Co się stało z generałem

Meyersem? Szczerze mówiąc, w czasie konferencji zachowywał się jak idiota. Jego odpowiedzią na wszystko były „mądre bomby”!

- Co takiego?

- Pociski, które dokładnie trafiają w wybrane cele, czyli miejsca przebywania przywódców obu stron. Mówił całkowicie serio.

- Jest zagorzałym Skorpionem. Dysponujemy odpowiednim materiałem na taśmie. Zna informację, która mogła do niego dotrzeć jedynie za pośrednictwem siatki Skorpionów. Jest jednym z nich, to nie ulega już żadnej wątpliwości. Proszę mi zaufać, wiem, co mówię. Zwińcie go, odizolujcie, naszpikujcie chemikaliami!

- Zdobyliśmy coś jeszcze. Mój przyjaciel w Izraelu, pułkownik

Mossadu, który uważa, że jesteśmy tak zinfiltrowani, mamy tyle przecieków, iż leje się z nas jak z sita, wysłał dwoje swoich ludzi z bardzo ważnymi wiadomościami. Gdyby było inaczej, nie poczyniłby tak drastycznych kroków. Poczekajmy, aż do mnie dotrą, a potem uderzymy na wszystkich frontach.

- Zgadzam się. Zgarniemy ich wszystkich razem i wreszcie załatwimy tę dziwkę.

- Jak brzmi to powiedzonko? „Z twoich ust do uszu Boga?”

Miejmy nadzieję.

Gdy Hawthorne odłożył słuchawkę, na ekranie hotelowego telewizora pojawiło się miejsce katastrofy na drodze dojazdowej do

Dulles. Kamery na krążącym w pobliżu śmigłowcu pokazywały płonące lub eksplodujące samochody, zwęglone ciała na chodnikach - obraz straszliwej tragedii.

Tęgi szef bezpieczeństwa biura imigracyjnego poczuł ostre, krótkie impulsy pagera Skorpionów. Znów wyszedł z gabinetu i szybko skierował się do najbliższego automatu telefonicznego.

- Numer Czternasty - powiedział po wybraniu długiej sekwencji cyfr.

- Tu Numer Jeden - odezwał się ostry głos w słuchawce. Doskonale, Czternasty, świetna robota. Jest we wszystkich dziennikach.

- Mam nadzieję, że była to właściwa para - odparł Skorpion

Czternasty. - Ci negocjatorzy w sprawie funduszy na pustynię

Negew najbardziej mi pasowali.

- Rzeczywiście. Mój kontakt w Jerozolimie poinformował mnie o nich, a jest to cholernie twardy sukinsyn. Gdyby mógł rozpieprzyć całą tę administrację, zabrałby się do tego osobiście.

Porozumiem się z nim i przekażę wiadomość. Chce tego samego co ja i mamy zamiar załatwić tę całą enchiladę.

- Nic mi nie mów, Numerze Jeden, nic nie chcę wiedzieć.

- Możesz na to liczyć.

Trzyście tysięcy kilometrów od Waszyngtonu, na ulicy Ben Yehuda w Jerozolimie, silnie zbudowany mężczyzna tuż po siedemdziesiątce siedział przygarbiony przy biurku, zapoznając się z zawartością teczek z aktami. Jego głęboko pobrużdżona twarz sprawiała wrażenie wyprawionej skóry, umieszczone w niej małe oczy patrzyły wrogo.

Nagle zadzwonił stale sprawdzany prywatny telefon. Jeżeli to ktoś z rodziny, zaraz go spławi, bo linia ta musi być wolna. Musi być wolna.

- Tak? - odezwał się sucho.

- Szalom, Mustang - odezwał się głos w słuchawce.

- Do diabła, Ogier, dlaczego to trwało tak długo?!

- Jesteśmy zabezpieczeni?

- Proszę nie zadawać głupich pytań, proszę mówić!

- Posłańców skierowano na boczny tor...

- Nie jesteśmy w żadnym pieprzonym bunkrze. Mówmy po angielsku!

- Limuzyna, którą jechali, została podziurawiona jak sito, a potem wysadzona w powietrze...

- Dokumenty? - zapytał ostro Izraelczyk. - Instrukcje czy coś, co mogłoby posłużyć do identyfikacji?

- Nic nie mogło przetrwać eksplozji, a nawet gdyby tak się stało, laboratoria kryminalistyczne musiałyby poświęcić dobrych kilka dni, żeby to wszystko poskładać do kupy. Byłoby już za późno.

- Aha! Czy ma pan mi coś jeszcze do przekazania?

- Informację od naszego człowieka w Agencji, że nastąpi to dziś wieczorem. Londyn przechwycił rozmowę.

- W takim razie Biały Dom zostanie ostrzeżony!

- Nie, nic podobnego. Nasz człowiek zablokował kanały informacji przychodzącej, a niczego nie przekazuje się poza kanałami.

Waszyngton jest przekonany, że operacja MI-6 nigdy się nie odbyła albo że została przerwana. Dzisiejsza noc ma być taka sama jak każda inna.

- Brawo, Ogier! Tego właśnie sobie życzyliśmy, prawda?

- Dzięki panu, Mustang.

- Wstrząśniemy całym światem! A jeżeli w Londynie i Paryżu sukces będzie taki sam - oby Bóg to sprawił w swojej mądrości! ten ogień przekształci się w światowy pożar i wówczas my, żołnierze, znowu staniemy na czele.

- Jestem o tym przekonany. Ale byłoby to niemożliwe bez pańskiego do mnie telefonu, stary przyjacielu.

- Przyjacielu? - przerwał Izraelczyk. - Nie, nie jesteśmy przyjaciółmi, generale. Jest pan przecież tak zażartym antysemitą jak rzadko. Po prostu jesteśmy sobie nawzajem potrzebni - pan ze swoich, a ja z moich powodów. Chce pan, żeby oddali mu jego wielkie zabawki, ja zaś pragnę, aby Izrael zachował swą potęgę, co

„wymaga amerykańskiej hojności. Kiedy wszystko się skończy i ustalimy, że winnymi tego koszmaru byli Arabowie z doliny

Bekaa, pańska administracja i Kongres otworzą przed nami swoje skarbcze - bo sprawcami tego straszliwego, niewyobrażalnego aktu przemocy byli ci sami, którzy chcieliby nas zniszczyć!

- Widzimy wszystko w bardzo podobny sposób, Mustang, i trudno mi wprost wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczny za telefon.

- Wie pan, dlaczego tak postąpiłem?

- Chyba właśnie mi pan wytłumaczył.

- Nie, nie chodzi o motywację, ale jak to było możliwe.

- Nie rozumiem.

- Ten ugodywo intelektualista Abrams, pułkownik Abrams z wszechmocnego Mossadu, zaufał mi. Proszę sobie wyobrazić, ten rzekomy geniusz organizacyjny przypuszcza, że jestem po jego stronie, że chcę pokoju z tymi brudnymi arabskimi dzikusami! A to dlatego, że byłem największym dowódcą w historii naszego kraju, teraz zaś prawie piękne słówka rządowym kretynom, aby utrzymać swoją pozycję i pozostać na widoku... Powiedział mi, powiedział przysięgam na Torę - „Przecieki są zbyt głębokie, zbyt liczne i nie mogę już mieć zaufania do naszych kanałów...” Wtedy zapytałem:

„Komu więc możesz zaufać?”, a on na to: „Tylko Palisserowi.

Kiedy byłem wojskowym charge d'affaires naszej ambasady, często ze sobą rozmawialiśmy. Spędziłem weekend w jego domu na wybrzeżu. Myślimy podobnie...” Wówczas mu poradziłem: „Wyślij kurierów, dwóch, nie jednego - na wypadek gdyby były jakieś kłopoty; niech się porozumieją wyłącznie z nim. Załatw im dokumenty inżynierów - wszyscy są jakimiś inżynierami - a ponieważ realizują projekty dotyczące Negew, więc potwierdzą ich legendę”.

Rzucił się na pomysł jak głodny szczeniak i zaczął się rozpląwać, jaki to jestem wspaniały, jaki twórczy. Owszem, jestem. Teraz jego senator Nesbitt ze stanu Michigan jest kartą, którą wyjęliśmy mu z talii!

- I wtedy zadzwonił pan do mnie - oznajmił spokojnie głos w słuchawce.

- Tak, zadzwoniłem do pana - potwierdził mocno zbudowany stary mężczyzna. - Spotkaliśmy się dwukrotnie, przyjacielu, ale to wystarczyło, bym zobaczył w panu człowieka przepełnionego nienawiścią, nienawiścią zbliżoną do mojej i płynącą z podobnych pobudek. Rzykowałem, lecz doszedłem do wniosku, że warto.

Przekazałem fakty, nie sugerując wniosków. Wyciągnął je pan sam.

- Intuicja pana nie zawiodła..

- Wybitni żołnierze, a zwłaszcza sprawdzeni w walce przywódcy, potrafią zajrzeć sobie nawzajem w duszę, prawda?

- Ale pod jednym względem się pan myli, - nie jestem antysemitą.

- Z całą pewnością pan jest, podobnie jak ja! Chcę najpierw mieć bojowników, a dopiero na drugim miejscu Żydów, pan zaś chce mieć przede wszystkim żołnierzy, a następnie gojów! Świątynie i kościoły zbyt często są zawadą.

- Być może ma pan rację.

- Co pan teraz zrobi... To znaczy dziś w nocy według waszego czasu?

- Będę w pobliżu, może nawet w samym Białym Domu. Po wszystkim muszę bardzo szybko i zdecydowanie objąć władzę.

- Wszystko rozegra się właśnie tam?

- A gdzieżby indziej? Wątpię, czy będziemy mieli okazję znowu porozmawiać.

- Sądzę, że nie. Życzę dobrego dnia, Ogierze.

- Szalom, Mustangu! - Generał Meyers, przewodniczący

Komitetu Szefów Sztabów odłożył słuchawkę.

ROZDZIAŁ 35

14.38

Angel Capell przeszła przez wejście numer siedemnaście portu lotniczego National; pasażerowie i paparazzi tłoczyli się wokół niej, wykrzykując pytania. Zauważyła baronecadetto i jego ciotkę. Cała trójka została zaproszona do gabinetu przedstawiciela linii lotniczych.

- Bardzo mi przykro, Paolo! Te wszystkie bzdury muszą ci sprawiać przykrość.

- Wszyscy cię kochają! Dlaczego ma mi to sprawiać przykrość?

- A mnie tak. Pocieszam się jedynie tym, że miesiąc po zakończeniu serialu, stanę się b y ł ą znakomitością.

- Nigdy!

Do rozmowy wtrąciła się Bajaratt, podając Angel zapieczętowaną kopertę.

- Ojciec Dante Paola życzy sobie, aby przeczytał te polecenia dopiero jutro.

- Dlaczego?

- Nie mogę powiedzieć, ponieważ sama nie wiem, Angelino.

Mój brat ma różne wspaniałe pomysły, których nigdy nie podaję w wątpliwość. Wiem jedynie, że muszę załatwić interesy gdzie indziej, a Dante Paolo oświadczył, że chciałby jutro pojechać do

Nowego Jorku i zobaczyć się z tobą i twoją rodziną.

- Jeżeli mi pozwolisz, Angel - wtrącił Nicolo.

- Czy pozwolę? Święty Jacku, przecież to wspaniale! Zabiorę rodzinę do pewnego miejsca nad jeziorem w Connecticut. Pojedziemy tam na weekend i pokażę ci aktorkę, która potrafi gotować, panie baronie!

Drzwi otworzyły się i stanął w nich urzędnik linii lotniczych, który wprowadził ich do tego pokoju.

- Panno Capell, porozumieliśmy się z pani studiem i uzyskaliśmy zgodę. Proponujemy prywatny odrzutowiec, który zawiezie panią do Nowego Jorku. Będzie to o wiele prostsze i nikt nie będzie się pani narzucał.

- Ależ to mi nie przeszkadza. W końcu ci ludzie są moją publicznością.

- No cóż, niestety wstają z miejsc i blokują przejścia w czasie lotu.

- A, rozumiem. Sprawiają kłopot.

- Chodzi o bezpieczeństwo, panno Capell.

- Och! Tak, rozumiem pana doskonale.

- Bardzo pani dziękuję. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chcielibyśmy wystartować natychmiast. Przy wyjściu siedemnastym jest bałagan.

Angel odwróciła się do Nicola.

- Hej, szlachetnie urodzony, jeżeli chcesz, możesz mnie pocałować na pożegnanie. Nie ma tu ani fotoreporterów, ani mojego ojca.

- Dziękuję ci, Angel.

Objęli się i pocałowali czule, a potem młoda gwiazda telewizji wyszła z pokoju w towarzystwie urzędnika, niosąc ze sobą dwadzieścia cztery tysiące dolarów w grubej brązowej kopercie.

15.42

Macie go? - zapytał Hawthorne przez telefon. - Minęły prawie trzy cholerne godziny i nie otrzymałem od pana żadnej wiadomości. To kurewsko paskudne!

- A ja nie otrzymałem żadnej wiadomości od dwóch Izraelczyków, którzy wiozą mi informację o zasadniczym znaczeniu, co jest jeszcze paskudniejsze, komandorze - odparł sekretarz stanu, starając się ze wszystkich sił opanować gniew.

- Co z Meyerssem?

- Jest pod ścisłą obserwacją. Prezydent zgadza się na zastosowanie wyłącznie takiego środka bezpieczeństwa, dopóki nie uzyska bardziej konkretnego materiału dowodowego. Stwierdził jednoznacznie, że aresztowanie bohatera tej rangi co Meyers nie przysporzyłoby popularności jego administracji. Zaproponował przekazanie pańskiej informacji Senatowi, aby to on wyciągał kasztany z ognia.

- Cholernie odważny, prawda?

- Waha się, tylko tyle zdołałem uzyskać.

- No dobrze, a gdzie jest Meyers?

- W tej chwili w swoim gabinecie i zajmuje się własnymi sprawami.

- Czy jego telefon jest na podsłuchu?

- Natychmiast by się zorientował. Niech pan nawet o tym nie myśli.

- Co w CIA?

- Nic. Rozmawiałem nawet z pełniącym obowiązki dyrektorem. Nie miał żadnej wiadomości. Najwidoczniej Londyn okazał się niewypałem, w przeciwnym bowiem razie MI-6 i nasza grupa byłyby we wszystkie dzwony. A ponieważ wygląda na to, że mamy mnóstwo przecieków, nie odważam się zwracać o dalsze informacje naszymi rzekomo zabezpieczonymi kanałami.

- Stary numer, panie sekretarzu. Kiedy szlag trafia operację, należy pozwolić jej umrzeć szybko i w milczeniu. A później, jeśli ktoś o niej wspomni, mówić: „Nie wiem o czym, u diabła, pan gada”.

- Co powinniśmy zrobić, Hawthorne? Albo, mówiąc dokładniej, co p a n ma zamiar zrobić?

- Coś, na co nie mam najmniejszej ochoty, ale to konieczne.

Idę się zobaczyć z Phyllis Stevens.

- Uważa pan, że coś wie, że będzie w stanie cokolwiek wyjaśnić?

- Niewykluczone. Sama może nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. Zawsze była nadopiekuńcza w stosunku do Henry'ego.

Była jak betonowy mur, którego nikt nie mógł ominąć. Phyllis jest źródłem, którego jeszcze nie badaliśmy.

- Policja nie nadaje sprawie rozgłosu, bo brakuje śladów...

- Ludzie, z którymi mamy do czynienia, nie zostawiają śladów - przerwał mu Tyrell. - A przynajmniej nie takie, jakie mogłaby znaleźć policja. Śmierć Henry'ego Stevensona ma coś wspólnego ze mną.

- Jest pan tego pewien?

- Nie, niezupełnie, ale tak mi się wydaje.

- Dlaczego?

- Ponieważ Hank popełnił ten sam błąd, co w Amsterdamie.

Na przekór swojej normalnej zawodowej małomówności, powiedział za dużo wtedy, kiedy nie powinien.

- Czy mógłby mi pan wyjaśnić to bliżej?

- W tej sytuacji czemu nie? Wasz dyrektor, Gillette, wiedział, że istnieje między nami konflikt, sam mi o tym wspomniał. O wiele bardziej niebezpieczny był jednak fakt, że znał podstawową, niezwykle osobistą przyczynę tego stanu rzeczy. Na tym polegał błąd Henry'ego.

- Nie widzę związku. O ile sobie przypominam, nie ukrywał pan swojej wrogości do komandora Stevensa? Było powszechnie wiadomo, że nie zdołał pana zwerbować. Pozostawiono to Brytyjczykom.

- Wrogość - owszem, ale nigdy nie wdawałem się w szczegóły: ani w rozmowie z panem, ani z kimkolwiek innym. Po prostu wyraźnie podkreślałem, że nie jest on moim zwierzchnikiem.

- Sądzę, że dzieli pan włos na czworo.

- Owszem. Na tym polega cały ten interes.... Istnieje jeszcze jeden pewnik, wywodzący się z czasów, kiedy faraonowie wysyłali szpiegów do Macedonii. Poszkodowany może rzucać wszelkie oskarżenia, jakie mu przyjdą do głowy, ale sprawca trzyma język za zębami. Dlaczego Henry miałby powiedzieć komukolwiek o istniejącym między nami konflikcie? Przecież mogło to sprowokować pytania, jak on sam się zachowywał. Najważniejsze, komu jeszcze o tym wspominał? Kto mógł natychmiast dostrzec korzyści wynikające z wyeliminowania Stevensa, a tym samym, pośrednio, pozbawić mnie możliwości kontrolowania sytuacji.

- Nie widzę związku - powtórzył sekretarz stanu. - O jakiej kontroli pan mówi?

- Dopóki nie nawiązałem kontaktu z panem, on był moim jedynym informatorem.

- Wciąż nie rozumiem...

- Ani ja - przerwał mu Tyrell. - Może Phyllis pomoże nam rozwikłać tę zagadkę.

15.29

Para była tak gęsta, że postać w kącie łaźni była ledwo widoczna. Syk ucichł, drzwi otworzyły się i do środka weszła następna osoba. Pozostawiła drzwi otwarte i z dużym ręcznikiem w ręku zbliżyła się do siedzącego na wyłożonej kafelkami ławie nagiego mężczyzny. Para wydobywała się na zewnątrz falami i kłębami, odsłaniając pokryte potem ciało senatora Nesbitta.

Jego oczy były na wpół szkliste, półprzytomne, usta szeroko otwarte.

- Znowu się wyłączyłem, prawda, Eugene? - zapytał ochryłym głosem, wstając niepewnie i owijając się ręcznikiem, zarzuconym mu na ramiona przez kierowcę-ochroniarza.

- Tak jest, proszę pana. Margaret zauważyła oznaki tuż po lunchu...

- Mój Boże, już po południu?! - zawołał senator w popłochu.

- Nie przydarzyło się to panu od bardzo dawna - odparł ochroniarz, wyprowadzając zaniepokojonego pracodawcę z łaźni w stronę oddalonego o kilka kroków prysznic. - Tylko jedno czy dwa zamroczenia - dodał.

- Całe szczęście, że jest lato i Senat ma przerwę... Czy zawiozłeś mnie do... Maryland?

- Nie mogliśmy, nie było czasu. Lekarz przyjechał tutaj. Dał panu kilka zastrzyków i powiedział, co robić.

- Nie było czasu...?

- Ma pan umówione spotkanie w Białym Domu, senatorze.

O dziewiętnastej piętnaście trzeba odebrać hrabinę i jej bratanka.

- O Jezu, jestem ruiną!

- Zaraz poczuje się pan doskonale. Po prysznicu Maggie zrobi panu masaż i da zastrzyk z witaminy B 1, a potem odpocznie pan godzinę, zanim się ubierze. Będzie pan w świetnej formie, szefie.

- Świetnej formie? - Wyraz twarzy Nesbitta był żałosny. Obawiam się, że nie, przyjacielu. Jest to luksus, którego już chyba nie zaznam. Żyję ze straszliwym koszmarem - w straszliwym koszmarze. Uderza bez ostrzeżenia i nie mam nad nim żadnej kontroli. Czasami myślę, że wszechmocny Bóg sprawdza granice mojej wytrzymałości, aby zobaczyć, czy popełnię śmiertelny grzech i odbiorę sobie życie.

- Nie dopuścimy do tego - powiedział ochroniarz-opiekun, łagodnie sadowiąc swego nagiego podopiecznego na plastikowym stołku pod dyszą prysznicza. Powoli przykręcał kurek z letnią wodą, aż stawała się coraz zimniejsza i wreszcie lodowaty deszcz zaczął chłostać ciało polityka. - Pańska głowa czasami płata panu figle, ale jak mówi doktor, pod wieloma względami funkcjonuje lepiej niż u innych... Teraz zrobię trochę zimniejszy. Proszę zostać na miejscu.

- Auu! - zawołał Nesbitt smagnięty chłodnymi biczami. Dość, Eugene!

- Jeszcze nie, proszę pana, niech pan wytrzyma chwilę.

- Zamarzam!

- Wyłączę za jakieś piętnaście sekund. Tak mi polecił lekarz.

- Już nie mogę!

- Cztery, trzy, dwa, jeden - stop, proszę pana. - Ochroniarz znowu zarzucił ciężki ręcznik na ramiona pacjenta i pomógł mu wstać. - Jak teraz, senatorze? Wrócił pan do świata żyjących.

- Mówią, że to nieuleczalne, Eugene - odparł senator cicho.

Kiedy przy pomocy kierowcy wyszedł spod prysznicza, wzrok miał już jasny i twarz spokojną. - Powiadają, że albo mija z upływem czasu i dzięki terapii, albo trzeba brać ogromne dawki narkotyków, żeby zminimalizować skutki. Oczywiście, prowadzi to do dysfunkcji mózgu.

- Nic takiego się nie stanie, dopóki będziemy przy panu.

- Tak, wiem, Eugene i dam wyraz mojej wdzięczności, hojnie wynagradzając cię i Margaret, zanim umrę. Ale dobry Boże, człowieku, jest we mnie dwóch ludzi! I nigdy nie wiem, który z nich weźmie górę. To przecież piekło!

- Zdajemy sobie z tego sprawę, proszę pana, podobnie jak pańscy przyjaciele w Maryland. Wszyscy o pana zadbamy.

- Czy uświadamiasz sobie, Eugene, że absolutnie nie mam pojęcia skąd się wzięli ci moi przyjaciele z Maryland?

- Ależ na pewno są nimi. Ich doktor przyszedł, żeby się z nami zobaczyć po tym, jak miał pan mały problem w kinie dla dorosłych w Bethesda. Nie zrobił pan nic złego, po prostu kilka osób sądziło, że rozpoznało pana.

- Nic sobie nie przypominam.

- Tak właśnie przypuszczał lekarz... Ale przecież wszystko minęło, prawda, szefie? Jest pan znowu w porządku i czeka pana wspaniały wieczór. Prezydent, proszę pana! Zdobędzie pan wiele punktów u swoich wyborców przy pomocy tej bogatej hrabiny i jej jeszcze bogatszego bratanka.

- Tak, sądzę, że tak, Eugene. Niech Margaret zrobi mi masaż i zdrzemnę się chwilę.

17.07

Stała sekretarka tymczasowego dyrektora Centralnej Agencji

Wywiadowczej po raz trzeci odebrała telefon z Londynu. Oznajmiła, że nowo mianowany pełniący obowiązki dyrektor CIA, „otrzymał wiadomość od grupy Dziewczynki”, ale jest bardzo zajęty z powodu najrozmaitszych, wyjątkowo ważnych konferencji, które odbywają się w różnych instytucjach Waszyngtonu. Obecnie znajduje się w gabinecie prezydenta w Białym Domu i porozumie się z szefem

Wydziału Specjalnego MI-6 natychmiast, gdy kryzys minie. Była stanowcza, na ile pozwalało jej stanowisko, być może w ryzykowny sposób stanowcza, ale nie miała wyjścia. Po pomyślnym załatwieniu sprawy portu lotniczego Dulles, stanowiła ostateczny element blokady informacji - wiadomości z Londynu nie mogły się przez nią przedostać. Spojrzała na zegar stojący na biurku. Spędzała właśnie ostatnie minuty w tym gabinecie.

Skorpion Siedemnaście zebrała wszystkie leżące przed nią materiały, wstała zza biurka i podeszła do drzwi gabinetu przełożonego. Zastukała.

- Proszę wejść - usłyszała.

Sekretarka otworzyła drzwi i weszła do środka, niosąc dokumenty i plik telefonogramów.

- Przyniosłam notatki, o jakie pan prosił, a także nazwiska wszystkich osób, które do pana dzwoniły w czasie, kiedy rozmawiał pan przez telefon. Mój Boże, to wygląda jak waszyngtońskie Who's

Who. Wszyscy chcieli mówić z panem. - Położyła papiery na biurku dyrektora.

- Każdy udziela mi rad i zapewnia, jak wysoko mnie ceni.

Oczywiście, do czasu, kiedy prezydent wyznaczy swojego kandydata na to stanowisko.

- Sądziłam, że pan wie...

- Co?

- Plotki na Beltway głoszą, że prezydent pana lubi, ceni pańskie osiągnięcia i zdaje sobie sprawę, że kadra kierownicza

Agencji wolałaby widzieć właśnie pana na tym fotelu, niż jakiegoś amatora z politycznej stajni.

- Słyszałem o tym, ale nie postawiłbym wiele na swoje szansę.

Szef ma mnóstwo politycznych zobowiązań, a wicedyrektor CIA nie jest jednym z nich.

- No cóż, jeżeli nie ma pan nic dla mnie, pójdę już do domu.

- Czy nic nie napłynęło od zespołu „Dziewczynki”? Miałem być natychmiast informowany.

- Informacja tu leży. Akurat rozmawiał pan z wiceprezydentem.

- Do diabła, powinna się pani włączyć!

- Nie było specjalnego powodu, proszę pana. Nie znam wszystkich okoliczności, ale założyłam, że „klapa” w Londynie oznacza to samo co tutaj. Operacja nie wypaliła.

- Cholera jasna! - wybuchnął pełniący obowiązki dyrektor. Gdyby im się powiodło, może miałbym szansę! Gdzie jest ten facet - jak się on nazywa? - który kieruje zespołem?

- On i pozostali byli tu od trzeciej rano przez piętnaście godzin, po niezbyt przespanej nocy. Z tego, co powiedział, wywnioskowałam, że zamyka sklepik i ma nadzieję, iż jutro będzie lepszy dzień - kiedy znowu zaczną widzieć na oczy.

- Dobrze, porozmawiam z nim jutro. Oczywiście, z panią również.

- Jeżeli pan chce, mogę zostać.

- Po co? Żeby patrzeć, jak liżę rany i zaczynam się żegnać z tym cholernie imponującym gabinetem? Idź do domu, Helen.

- Dobranoc, panie dyrektorze.

- Ładnie to brzmi, prawda?

Sekretarka podjechała do najbliższego centrum handlowego w Langley, zamknęła samochód i podeszła do automatu telefonicznego przy supermarkecie. Wrzuciła monetę, wybrała od dawna zapamiętany numer i odczekała odpowiednią liczbę piśnieć.

Potem wybrała pięć dodatkowych cyfr i po chwili odezwał się głos.

- Utah?

- Numer Siedemnaście... Jak zapewne wszystkich nas to czeka, nadszedł mój czas. Nie wracam rano.

- Trochę się tego spodziewałem. Wyślę cię z kraju dziś w nocy.

Weź ze sobą jak najmniej rzeczy.

- Praktycznie biorąc, nie mam nic. Wszystko, co mi potrzeba, jest już w Europie. Od kilku lat.

- Gdzie?

- Tego nie powiem nawet tobie.

- I słusznie, Kiedy chcesz wyjechać?

- Jak najszybciej. Z mieszkania zabieram tylko paszport i biżuterię. Dojadę taksówką. Mieszkanie powinno sprawiać wrażenie, jakbym w ogóle nie wróciła. Mieszkam niedaleko, a więc mogę być gotowa za piętnaście czy dwadzieścia minut.

- W takim razie weź taksówkę do Andrews i zgłoś się do ochrony. Zostaniesz odprawiona na następny wojskowo-dyplomatyczny lot do Paryża.

- Dobry wybór. Kiedy?

- Mniej więcej za półtorej godziny. Przyjemnego życia, Siedemnastka.

- Liczę na nie. Zasłużyłam.

ROZDZIAŁ 36

Hawthorne polecił Poole'owi, aby pozostał przy telefonie w „Shenandoah Lodge” i czekał przede wszystkim na wiadomości o Catherine Neilsen. Wysadzaną drzewami podmiejską ulicą dotarł do chodnika przed domem Henry'ego Stevensa, zamordowanego szefa wywiadu marynarki wojennej. Na podjeździe stał szary samochód Departamentu Marynarki, patrolowy wóz służby bezpieczeństwa. Uzbrojony i umundurowany bosman wpuścił komandora do środka i gestem głowy wskazał mu salon, w którym stała ubrana na czarno kobieta, patrząc przez okno.

Spotkanie Phyllis i Tyrella początkowo przypominało pełne zakłopotania spotkanie dawnych przyjaciół rozdzielonych głęboką osobistą tragedią jednego z nich i teraz widzących się ponownie w okolicznościach, które boleśnie przypominały dawny dramat w Amsterdamie. W milczeniu patrzyli na siebie wymownie, aż wreszcie Hawthorne podszedł do wdowy po Stevensie, ona zaś rzuciła mu się w ramiona. Łzy spływały po jej policzkach.

- To wstrętne, tak cholernie wstrętne! - zawołała.

- Wiem, Phyll, wiem.

- Oczywiście, że tak!

Stali, obejmując się i rozumiejąc bez słów - dwoje przyzwoitych ludzi, z których każde utraciło część swojego życia w wyniku bezsensownej śmierci bliskich. Po długiej chwili Hawthorne wolno wypuścił z objęć Phyllis Stevens.

- Czy mogę ci coś podać, Tye? Herbatę, kawę, może drinka.

- Nie, dziękuję - odparł. - Może później.

- Kiedy zechcesz. Usiądź, proszę. Jestem pewna, że nie przyszedłeś tylko z uprzejmości. Jesteś zbyt zajęty.

- Jak dużo wiesz, Phyll?

- Jestem żoną oficera wywiadu, może niezbyt inteligentną, ale poskładałam więcej elementów, niż Henry się spodziewał. Mój

Boże, nie spał prawie cztery noce... i bardzo się o ciebie niepokoił, Tye. Musisz być wyczerpany.

- A więc wiesz, że na kogoś polujemy?

- Oczywiście. Wyjątkowo niebezpieczna kobieta, popierana przez równie niebezpieczne osoby...

- Wiesz, że to kobieta?

- Tyle mi Hank powiedział. Terrorystka z doliny Bekaa.

Wątpię, czy by to zrobił, gdyby nie był tak zmęczony.

- Phyllis - odezwał się Hawthorne, pochylając się do przodu w fotelu i spoglądając surowo na dawną przyjaciółkę z ambasady w Amsterdamie. - Muszę ci zadać kilka pytań na temat dni poprzedzających zabójstwo Hanka. Wiem, że pora nie jest odpowiednia, ale nie mamy czasu...

- Rozumiem. Tkwię w tym od lat, przecież wiesz.

- Jesteś tu sama?

- Już nie. Przyleciała moja siostra z Connecticut. Teraz wyszła.

- Chodzi mi o to, czy mieszkaliście tu z Hankiem sami?

- O tak, ze zwykłą pompą: uzbrojony samochód marynarki patrolujący teren przez całą dobę, limuzyny wożące go do biura i z powrotem, system alarmowy, który przeraziłby specjalistów raketowych. Byliśmy zabezpieczeni, jeżeli o to ci chodzi.

- Wybacz, ale najwyraźniej nie do końca. Ktoś przyszedł i zabił Henry'ego, kiedy właśnie rozmawiał ze mną przez telefon.

- Nie wiedziałam, że z tobą, ale mówiłam o tym zarówno z marynarką, jak i policją. Słuchawka telefonu kuchennego była odłożona. Ale pod jednym względem masz rację: przychodzili do nas zwykli dostawcy i ludzie do różnych napraw. Nie można przecież było odmówić wszystkim wstępu, bo bylibyśmy napiętnowani i pewnie nie moglibyśmy nawet zamówić pizzy. Hank zazwyczaj informował patrole, kiedy spodziewaliśmy się gości, ale przez wiele miesięcy zapominał tego robić. Środki bezpieczeństwa sprawiały tutaj tak nienaturalne wrażenie, w przeciwieństwie do

Amsterdamu... Uważał je za paranoję.

- Innymi słowy, facet w kombinezonie, ze skrzynką z narzędziami, albo mężczyzna w garniturze i z teczką lub też wojskowy w mundurze nie zostaliby sprawdzeni - oznajmił Tyrell i było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.

- Pewnie tak - przyznała wdowa - ale uprzedzając cię, chciałabym powiedzieć, że zarówno policja, jak i marynarka dysponowały tą informacją i patrol, który pełnił wówczas służbę, dokładnie przesłuchano. Obaj funkcjonariusze ochrony stwierdzili, że oprócz chłopaka z gazetami nikt się nie zbliżał do domu.

- Czy przez cały czas parkowali przed domem?

- Niezupełnie, nie tak jak obecna ochrona, ale chyba nie jest to jakoś szczególnie istotne. Jak już wspomniałam, patrolowali.

Hank żądał tego i ze względów praktycznych, i z powodu sąsiadów.

- Patrowali?

- Jeździli wokół kwartału. Całe okrażenie zajmowało im minutę i dziesięć sekund.

- Znam te „względy praktyczne” Hanka - oznajmił Hawthorne, kiwając głową. - Stacjonarny patrol - obojętne, oznakowany czy nie - jest łatwym celem.

- Nie oznakowany - przerwała mu Phyllis. - A nasi sąsiedzi na pewno niechętnie by widzieli nie znane im samochody parkujące przed domem przez długi okres. Nie ma tu dosyć miejsca, choć niewątpliwie dodawałoby to pikanterii tej ulicy. Gdybym nie była taka stara, może by pomyśleli, że prowadzę niewielki dom schadzek.

- Nie jesteś stara, Phyll, jesteś bardzo piękną kobietą.

- Ach, czaruś powraca. Brakowało mi tego, kiedy opuściłeś ambasadę.

- A więc zabójcą Henry'ego mógł być każdy, kto miał dostęp do harmonogramu ochrony. Minuta i dziesięć sekund w taktycznym, nie chronologicznym pojęciu, równa się godzinie i dziesięciu minutom.

- Masz na myśli kogoś z marynarki?

- Albo kogoś wystarczająco wysoko postawionego w hierarchii wojskowej, żeby mieć tu dostęp.

- Mów jaśniej! - zażądała stanowczo Phyllis.

- Nie mogę, nie teraz.

- Był moim mężem!

- W takim razie powiem ci tylko tyle, ile powiedziałby ci twój mąż, i będę maksymalnie szczery. Są pewne sprawy, których nie sposób jeszcze ujawnić. Nikomu.

- Pieprzysz głupstwa, Tyrell! Mam prawo wiedzieć. Daje mi je dwadzieścia siedem lat spędzonych z Hankiem.

- Uspokój się, Phyll - Hawthorne zacisnął z całej siły dłonie kobiety. - Robię dokładnie to, co zrobiłby na moim miejscu Henry. Wbrew temu, co często mu mówiłem, był wspaniałym analitykiem - może nie najlepszym pracownikiem operacyjnym, ale w wydziałach prognozujących niewielu .mogło się z nim równać. Szanowałem go za to... a jeszcze bardziej za to, że miał ciebie za żonę.

- Och, daj spokój, czarusiu - odparła Phyllis Stevens, uśmiechając się przez chwilę ze smutkiem. Uścisnęła jego rękę i cofnęła dłonie. - Zabieraj się za swoje pytania.

- Właściwie sprowadzają się do trzech. Kiedy, jak często i komu wymieniał moje nazwisko?

- Gdy cię postrzelono w tym plażowym kurorcie w Maryland, niemal oszalał, myśląc, że znowu ponosi odpowiedzialność...

- Znowu?

- Później, Tye, błagam cię - poprosiła łagodnie.

- Ingrid?

- To skomplikowana sprawa. Proszę cię, później.

- Dobrze. - Hawthorne przełknął ślinę. Twarz poczerwieniała mu od nagłego napływu krwi do głowy.

- Wymienił twoje nazwisko może trzy albo cztery razy, żądając, aby udzielono ci najlepszej opieki i odgrażając się, że osobiście powiesi każdego, kto tego nie zrobi.

- Komu, Phyll?

- Do diabła, nie wiem. Komuś, kto był dobrze poinformowany o tym, co robisz. Hank powiedział mi, że chce, aby rozesłano pełen raport, nie wolno bowiem popełnić żadnego błędu.

- Co znaczy, że dostał go cały krąg zajmujący się sprawą Krwawej Dziewczynki w tym „waga ciężka”.

- O czym mówisz?

- Nieważne.

- Bardzo bym chciała, żebyś przestał używać tego słowa.

W Amsterdamie, kiedy życzliwi ci ludzie pytali, co się stało, widząc cię z ręką na temblaku albo z opuchniętą twarzą, niezmiennie odpowiadałeś: „nieważne”.

- Bardzo mi przykro, naprawdę - Tyrell zmarszczył brwi, powoli kręcąc głową.

- Masz coś jeszcze? - zapytała wdowa.

- Nic nie przychodzi mi do głowy. Muszę ustalić schemat.

Henry ciągle powtarzał: ”Zawsze musi być jakiś schemat, tego musisz szukać”. Mnie zazwyczaj interesowały raczej szczegóły.

- Ale kiedy je odnajdywałeś, dopiero wtedy Hank mógł je poskładać w całość. Dlatego cię tak cenił, nawet jeżeli nie mówił ci o tym.

- Nigdy mi nie mówił... Dobra, przynajmniej mamy jeszcze jeden haczyk w pułapce na psychopatycznego generała, chyba że jest jeszcze coś - cokolwiek, obojętne jak pozornie nieistotne o czym mi jeszcze nie wspomniałeś, Phyll.

- Może telefony z Londynu?

- Z Londynu?

- Zaczęły się dzisiaj około siódmej czy ósmej rano. Odbierała je moja siostra, bo ja odmówiłam.

- Dlaczego?

- Ponieważ, przyjacielu, musiałam! Henry oddał życie za to paskudztwo i nie chciałam odbierać żadnych telefonów - nieważne, z Londynu czy Paryża, placówki w Istambule, Kurdystanie czy też z wywiadu Floty Śródziemnomorskiej! Na litość boską, on nie żyje!

Niech go zostawiają... i mnie... w spokoju!

- Phyll, ci ludzie nie wiedzą, że Henry nie żyje.

- No to co? Na moją prośbę siostra kierowała ich do Departamentu Marynarki. Niech te skurwysyny same wymyślają kłamstwa, ja już nie mogę.

- Gdzie jest telefon?

- Henry nigdy się nie zgodził, aby umieścić aparat w salonie.

Jest na werandzie... Są na werandzie, trzy w różnych kolorach.

Hawthorne wstał gwałtownie i szybkim krokiem przeszedł przez drzwi balkonowe na przeszkloną werandę. Na stoliku w lewym rogu stały trzy telefony - beżowy, czerwony i granatowy. Wszystkie były częściowo przysłonięte rozchyłonymi żaluzjowymi drzwiczkami.

Tyrell podniósł słuchawkę czerwonego aparatu, przycisnął guzik

0 i odezwał się do telefonisty:

- Mówi komandor podporucznik Hawthorne, przydzielony czasowo do komandora Henry'ego Stevensa. Proszę mnie połączyć ze starszym oficerem dyżurnym wywiadu marynarki.

- Tak jest.

- Komandor Ogilvie, czerwona linia - przedstawił się głos w kwaterze głównej wywiadu. - Nazywa się pan Hawthorne?

Wprowadzam informację.

- Ten sam, komandorze, i muszę zadać panu pytanie.

- Na tej linii mogę odpowiedzieć na każde.

- Czy do biura komandora Stevensa przekazano jakieś informacje z Londynu?

- Żadnych, o których bym wiedział.

- Nie chcę słyszeć „o których bym wiedział”, potrzebuję powtarzam; potrzebuję! - konkretnej odpowiedzi. Tak lub nie.

- Chwileczkę. - Mniej więcej przez dziesięć sekund w słuchawce panowała cisza, a potem Ogilvie odezwał się znowu. - Nic z Londynu. Żadnych wiadomości.

- Dziękuję, komandorze. - Tyrell odłożył słuchawkę i wrócił do salonu. - W biurze Henry'ego nie ma jakichkolwiek informacji z Londynu - oznajmił.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła Phyllis, podnosząc gwałtownie głowę. - Dzwonili z pół tuzina razy!

- Zastanawiam się, czy nie był to poufny kanał - rzekł

Hawthorne. - Czy wiesz, na który aparat dzwonili?

- Nie, już ci mówiłam, odbierała moja siostra. Powtórzyła mi jedynie, że za każdym razem miała wrażenie, iż jest to ten sam, bardzo oficjalnie brzmiący głos podenerwowanego Anglika. I za każdym razem kierowała go do Departamentu Marynarki.

- Ale tego nie zrobił - odparł Tyrell. - Wciąż dzwonił tutaj.

Dlaczego? Co jeszcze powiedziała twoja siostra?

- Niewiele, niezbyt jej słuchałam.

- Gdzie ona jest?

- W supermarkecie, kupuje parę rzeczy. Powinna wrócić lada chwila. Prawdę mówiąc, kiedy przyjechałaś, sądziłam, że to ona. Na zewnątrz rozległ się krótki sygnał klaksonu. - O, jest! Bosman pomoże jej przynieść pakunki.

Prezentacja była krótka - siostra Phyllis od razu zrozumiała, że sytuacja jest nagląca. Starszy bosman zajął się jej torbami z zakupami, a Tyrell zaprowadził ją do saloniku.

- Pani Talbot... - zaczął.

- Wystarczy „Joan”, Phyll mnóstwo mi o panu opowiadała.

Mój Boże, co się stało?

- Tego właśnie chcielibyśmy się od pani dowiedzieć... Od kogo były te telefony z Londynu?

- Były po prostu obrzydliwe, nigdy w życiu nie czułam się tak paskudnie! - zawołała gwałtownie Joan Talbot. - Ten straszny człowiek wciąż dopytywał się o Henry'ego, powtarzał, że sprawa jest pilna, i pytał, w jaki sposób może się z nim natychmiast porozumieć. A ja musiałam odpowiadać, że próbujemy go odnaleźć, żeby zadzwonił do jego biura w Departamencie Marynarki, on zaś twierdził, że marynarka utrzymuje, iż jest nieosiągalny... Nieosiągalny, dobry Boże! Człowiek nie żyje, w Departamencie nie chcą tego ujawnić, a ja nie mogę nic powiedzieć! Niedobrze się robi.

- Są ku temu powody, Joan, bardzo ważne powody...

- Aby tak dręczyć moją siostrę? Jak pan myśli, dlaczego nie chciała - zresztą bym jej na to nie pozwoliła - odbierać telefonów i przyjmuję je albo ja, albo ten „admirał” w korytarzu? Odpowiem panu. Bo przez dwa dni ludzie dzwonią do Henry'ego, a ona musiałaby odpowiadać: „Och, jest pod prysznicem” albo „Och, właśnie gra w golfa” lub też „Och, jest gdzieś na zebraniu...” zupełnie jakby się spodziewała, że Hank lada chwila pojawi się w drzwiach i zapyta, co jest na obiad! Jesteście hienami czy ludźmi?

- Joannie, przestań - przerwała jej Phyllis Stevens. - Tye po prostu wykonuje swoją pracę, paskudną pracę, która jednak musi być wykonana. A teraz odpowiedz na jego pytania. Od kogo były te telefony?

- Zupełna abrakadabra, którą pogarszała jeszcze głupia angielska wymowa tego sukinsyna. Prawdę mówiąc, miałam nieomal wrażenie, jakby groził.

- Kim był, Joan?

- Nie przedstawił się. Powiedział tylko M jakieś tam i coś specjalnego.

- MI-6? - zapytał Hawthorne - Wydział Specjalny?

- Tak, właśnie tak.

- Chryste, dlaczego? - szepnął prawie do siebie Tyrell. - To musiał być bardzo poufny kanał.

- Znowu ta abrakadabra? - zapytała Joan.

- Niewykluczone - przyznał Hawthorne. - Tylko pani może mi pomóc to wyjaśnić. Na który aparat dzwonił?

- Na granatowy, zawsze na granatowy.

- No właśnie - „marynarzyk”! Bezpośrednie programowane linie, stałe sprawdziany przeciw podsłuchowi.

- Zaczynam rozumieć - wtrąciła się Phyllis. - Za każdym razem, kiedy Hank chciał rozmawiać z kimś na wysokim stanowisku w Europie albo na Bliskim Wschodzie, korzystał z tego aparatu.

- Wszystko pasuje. Światowa sieć łączności przeznaczona dla głównych sprzymierzonych wywiadów i ich wojskowych odpowiedników. Nie ma nic, co byłoby bardziej bezpiecznym środkiem międzynarodowej łączności niż „marynarzyk”. Rzecz jednak w tym, że trzeba znać numer, pod który zamierza się dzwonić, a ja go nie mam. Porozumiem się z Palisserem, zdobędzie go dla mnie.

- Chodzi panu o ten numer w Londynie? - zapytała Joan

Talbot. - Jest zapisany w notatniku koło telefonu.

- Podał go pani?

- Owszem, dwukrotnie jednak powtarzając, że będzie „zmieniony rano, łaskawa pani”. Wymawiał każde słowo tak, jakby dawał mi jakieś diabelskie błogosławieństwo.

- Może jednak nie zmienili. - Hawthorne wrócił szybkim krokiem na werandę, znalazł notatnik i zaczął nerwowo wybierać czternastocyfrowy numer w Londynie. W tej samej chwili poczuł ostry ból w piersi - ostrzeżenie, które odbierał już niezliczoną liczbę razy i które nie miało nic wspólnego z jego zdrowiem, lecz raczej wiązało się z przecuciami. Wypytyjąc

Phyllis, spodziewał się odnaleźć jakąś lukę, jakieś słowo czy strzępek informacji, które pozwoliłyby mu odszukać więź między jego osobą a zabójstwem

Henry'ego Stevensa. Wiedział, że ją znalazł, w momencie kiedy okazało się, iż Hank kazał puścić w obieg pełen raport o stanie jego zdrowia po wydarzeniach w Chesapeake Beach. W ten sposób chciał mu zapewnić odpowiednią opiekę. Ale raport dotarł do wszystkich członków zespołu zajmującego się sprawą Krwawej

Dziewczynki, w tym również do Skorpiona o nazwisku Meyers; do

Maksymalnego Mike'a Meyersa, postrachu pacyfistów. To on mógł bez problemu zdobyć plan patrolów samochodu ochraniającego dom Stevensa. Właśnie takiej informacji szukał. Natomiast telefony z MI-6 w Londynie za pośrednictwem poufnego kanału pozwalającego pominąć wywiad marynarki były całkowitą niespodzianką. To wyglądało na posunięcie zrodzone z paniki. Stąd się wziął ów ostry ból w piersi Tyrella; sygnał, który znaczył: "Strzeż się nieoczekiwanych wydarzeń, gdy ich źródłem jest zaprzyjaźniony kraj". Coś było poza programem, jak określiliby Poole.

- Tak? - prawie krzyknął głos z Londynu.

- Tu Stevens - skłamał Hawthorne w nadziei, że szybko wypowiedziane słowa zmylą rozmówcę, nawet jeżeli znał Henry'ego Stevensa.

- Na litość boską, komandorze, co wy tam wyprawiacie?! Nie mogę się połączyć z waszym dyrektorem CIA, a z panem usiłuję się skontaktować od niemal dziesięciu godzin!

- Mieliśmy trudny dzień...

- Mnie pan to mówi? Ponieważ się jeszcze nie znamy, nazywam się Howell, John Howell. Mam też „sir” przed nazwiskiem, na wypadek, gdyby sprawdzał pan w komputerze, ale zapewniam pana, że można się bez tego doskonale obejść.

- MI-6, Wydział Specjalny?

- No cóż, z całą pewnością nie królewski koniuszy. Zakładam, że podjęliście maksymalne środki ostrożności. Bóg mi świadkiem, że Paryż i my tutaj tak zrobiliśmy. Nie otrzymaliśmy wiadomości z Jerozolimy, ale ci faceci zazwyczaj daleko nas wyprzedzają.

Pewnie trzymają swojego delikwenta w tunelu pod górą Synaj.

- A więc gramy razem, John. Ponieważ jednak prawie cały dzień tkwiłem na naradach i nie bardzo jestem na bieżąco, czy zechciałby mnie pan szybko wprowadzić w sytuację?

- Chyba pan żartuje! - wrzasnął Howell - Przecież to pan nadzoruje u siebie komandora Hawthorne'a, prawda?

- Tak, oczywiście - odparł Tyrell, gorączkowo usiłując odnaleźć jakiś cień logiki w tej absurdalnej sytuacji. - A przy okazji, dziękuję że go zwerbowaliście...

- Geoffrey Cooke, świeć Panie nad jego duszą, nie ja.

- Tak, wiem, ale jak już powiedziałem, odebrałem pańską wiadomość po powrocie do domu. W biurze nic od was nie było.

- Do diabła, komandorze, przecież nie mogłem zostawić swojego nazwiska ani informacji, kim jestem! Uzgodniłem z waszym nowym dyrektorem Agencji, że utrzymamy całą sprawę w cholerniej tajemnicy do tego stopnia, że o wszystkim będziemy wiedzieli jedynie my trzej. Pana włączyliśmy ze względu na nadzór nad

Hawthorne'em. Co się, u diabła, stało? Czy dyrektor CIA kontaktował się z panem? Jego sekretarka, ta cholerna arogancka dziwka, przepraszam za wyrażenie, mówiła, że jej szef dostał wiadomość od zespołu i jest na bieżąco, lecz jakim cudem mu się to udało, jeżeli nie porozumiał się z panem?

- Mamy na głowie problem izraelsko-syryjski - odparł nieprzekonująco Tyrell. - Trąbią o tym radio i telewizja...

- Absolutna bzdura - przerwał mu szef Wydziału Specjalnego

MI-6. - Po prostu udają, jedni i drudzy. Jeżeli o mnie chodzi, mogą się zetrzeć nawzajem z powierzchni ziemi. W porównaniu z naszą sprawą to błazenada bez znaczenia.

- Chwileczkę, Howell - odezwał się cicho Tyrell. Jego twarz coraz bardziej bladła. - Wspomniał pan zespół... Czy chodzi o operację kontroli telefonicznej, którą koordynowaliście z Agencją?!

- To nie do wiary! Chce pan powiedzieć, że nic o tym nie wie?

- O czym, John? - Hawthorne wstrzymał oddech.

- Dziś wieczorem! Bajaratt twierdzi, że uderzy dziś wieczorem!

Waszego czasu!

- O mój Boże... - rzekł ledwo słyszalnie blady jak płótno

Hawthorne. - I mówi pan, że zespół Agencji przekazał tę informację dyrektorowi?

- Oczywiście.

- Jest pan pewien?

- Mój dobry człowieku, osobiście rozmawiałem z tą jego cholerną sekretarką. Powiedziała mi, że dyrektor Agencji ma rozmaite konferencje w całym Waszyngtonie, a konkretnie, kiedy dzwoniłem ostatni raz, z gabinetem prezydenta w Białym Domu.

- Z gabinetem...? Po kiego diabła?

- To pański kraj, przyjacielu, nie mój. Oczywiście, gdyby chodziło o naszego premiera, byłby pod ochroną Scotland Yardu zresztą jest - a nie spotykał się ze swoim gabinetem na Downing

Street dziesięć. Zbyt wielu tych typów mogłoby zechcieć wysadzić go w powietrze.

- Taka możliwość istnieje również tutaj.

- Słucham?

- Nieważne... A zatem dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej zna tę informację i przekazał ją w Waszyngtonie wszystkim, którzy powinni wiedzieć?

- Słuchaj, stary, on jest nowy i najwyraźniej wpadł w popłoch.

Nie bądź dla niego zbyt surowy. Może powinienem być bardziej oględny, ale moi ludzie twierdzili, że to doświadczony pracownik i wspaniały facet.

- Prawdopodobnie mają rację, istnieje jednak pewien drobny szczegół...

- Jaki?

- Wątpię, że otrzymał tę informację.

- Co?

- Proszę nie zmieniać tego numeru, sir Johnie. Spalę notatkę i porozumiem się z panem normalnymi kanałami.

- Na litość boską, czy mógłbym wiedzieć, co się tam u was dzieje?

- Nie mam czasu. Zadzwoń później. - Tyrell odłożył słuchawkę granatowego telefonu i natychmiast podniósł czerwonego, przyciskając guzik 0. Połączenie nastąpiło błyskawicznie.

- Mówi komandor Hawthorne...

- Tak jest komandorze, już rozmawialiśmy - odezwał się telefonista. - Mam nadzieję, że skontaktował się pan ze starszym oficerem służbowym wywiadu?

- Tak, dziękuję. Teraz potrzebuję sekretarza stanu Palissera, najchętniej na tej linii, jeżeli możecie ją zabezpieczyć.

- Możemy i znajdziemy go.

- Czekam przy telefonie. Sytuacja alarmowa. - Czekając

Tyrell próbował dobrać słowa, którymi przekaze sekretarzowi stanu niewiarygodną wiadomość, w którą Palisserowi trudno będzie uwierzyć. Skoordynowany nadzór łączy telefonicznych przyniósł pożądane rezultaty! Rozmowę Bajaratt udało się przechwycić i zarejestrować! Zaatakuj w którymś momencie dzisiejszej nocy! Przerażający natomiast był fakt, że nikt o tym nie wie! Nie, nie tak, pomyślał Hawthorne, ktoś wie i zdołał skutecznie przerwać obieg informacji. Gdzie, u diabła, jest Palisser?

- Komandorze...?

- Słucham. Gdzie jest sekretarz?

- Są pewne problemy ze zlokalizowaniem go. Mamy kod pańskiej czerwonej linii i jeżeli pan sobie życzy, kiedy go odnajdziemy, natychmiast przełączymy rozmowę do pana.

- Nie, pozostanę na linii.

- Doskonale, panie komandorze.

W słuchawce znowu zapadła cisza. Kolejne opóźnienie tylko wzmogło charakterystyczny ból w piersi Tyrella. Już po szóstej, pomyślał, spoglądając na zegarek. Sporo po szóstej, niemal szósta trzydzieści. Chociaż wciąż było jasno, zaczynał się wieczór. Do diabła, Palisser, gdzie się podziewasz?!

- Komandorze?

- Słucham?

- Nie wiem, jak mam to wytłumaczyć, ale po prostu nie możemy znaleźć sekretarza stanu.

- Chyba żartujesz! - wrzasnął Tyrell, mimowolnie naśladując sir Johna Howella.

- Porozumieliśmy się z panią Palisser w St. Michaels, w Maryland. Powiedziała, że mąż powiadomił ją telefonicznie, że zatrzyma się na chwilę w ambasadzie izraelskiej i przyjedzie do niej mniej więcej za godzinę.

- I co?

- Rozmawialiśmy z pierwszym attache ambasady, bo sam ambasador jest chwilowo w Jerozolimie. Oświadczył, że sekretarz

Palisser był tam około dwudziestu pięciu minut. Omawiali, jak to określił, „sprawy Departamentu Stanu”, „, a potem pan sekretarz odjechał.

- Jakie sprawy?

- Raczej nie wolno nam zadawać tego rodzaju pytań.

- Od kiedy to amerykański sekretarz stanu fatyguje się do ambasady Izraela, a nie na odwrót?

- Nie wiem, proszę pana.

- Ale może ja wiem... Proszę mnie połączyć z attache Izraela i wyraźnie mu powiedzieć, że sytuacja jest wyjątkowo ważna. Jeżeli nie ma go na terenie ambasady, musicie go znaleźć.

- Tak jest, panie komandorze.

Trzydzieści dziewięć sekund później w słuchawce rozległ się głęboki głos:

- Tu Asher Ardis z ambasady Izraela. Powiadomiono mnie, że jest to ważny telefon od wyższego oficera wywiadu marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Czy to prawda?

- Nazywam się Hawthorne i blisko współpracuję z sekretarzem stanu Bruce'em Palisserem.

- Uroczy człowiek. W czym mogę panu pomóc?

- Czy wie pan coś o operacji „Krwawa Dziewczynka”?

Jesteśmy na czerwonej linii, może więc pan mówić swobodnie.

- Owszem, mogę mówić, panie Hawthorne, ale nic nie wiem o takiej operacji. Czy jest skoordynowana z naszym rządem?

- Tak, panie Ardis. Z Mossadem. Czy Palisser rozmawiał z panem na temat dwóch agentów Mossadu, którzy lecieli tu, aby doręczyć mu pakiet? Sprawa jest ogromnie ważna, proszę pana.

- Pakiet może oznaczać bardzo wiele, panie Hawthorne, nieprawdaż? Na przykład kawałek papieru, rysunki techniczne albo paczkę z naszymi wspaniałymi owocami, prawda?

- Nie mam czasu na Dwadzieścia Pytań, panie Ardis.

- Ja również, ale jestem ciekaw. Wykazaliśmy gościnność do tego stopnia, że umieściliśmy sekretarza stanu w prywatnym pokoju z bezpieczną linią do Izraela, aby mógł porozumieć się z pracującym w Mossadzie pułkownikiem Abramsem. Chyba pan rozumie, że była to niezwykła prośba i równie niezwykła uprzejmość z naszej strony, nie sądzi pan?

- Nie jestem dyplomatą. Nie wiem.

- Mossad często działa poza normalnymi kanałami, co bywa dość irytujące, lecz próbujemy zrozumieć ten styl jako próbę dopasowania się do obrazu podziemnej ośmiornicy o daleko sięgających mackach...

- Nie należy pan do jego szczególnych wielbicieli, jak widzę przerwał mu Tyrell.

- Przypomnę panu Jonathana Pollarda, który na nieokreśloną liczbę lat ugrzązł w waszym systemie penitencjarnym. Czy chce pan zapytać o coś jeszcze?

- Znowu muszę stwierdzić, że nie interesuje mnie wasza międzywydziałowa rywalizacja. Interesuje mnie jedynie wizyta sekretarza Palissera w waszej ambasadzie. Czy porozumiał się z pułkownikiem Abramsem, a jeżeli tak, to co Abrams mu powiedział? Ponieważ jestem na czerwonej linii, może pan założyć, że mam prawo do zastrzeżonej informacji... W końcu pracujemy wspólnie, na litość boską! Jeżeli chce pan potwierdzenia, proszę nacisnąć jakieś swoje guziki kodowe i mnie sprawdzić!

- Bardzo się pan ekscytuje, panie Hawthorne.

- Mam powyżej uszu waszego cholernego pieprzenia!

- Teraz ma to sens. Wściekłość inteligentnego człowieka zdradza prawdę.

- Nie potrzebuję żadnych pieprzonych talmudycznych porównań! Co się stało, kiedy Palisser porozumiał się z Abramsem?!

- Prawdę mówiąc, nie porozumiał się. Nieuchwytny pułkownik Mossadu był rzeczywiście nieuchwytny, ale kiedy wróci do swojego biura, odnajdzie alarmowe wezwanie, aby porozumiał się z waszym sekretarzem stanu, oraz sześć numerów telefonów połowa zabezpieczona, połowa nie. Czy moja odpowiedź jest wystarczająca?

Tyrell ze zniechęceniem rzucił słuchawkę i wrócił do saloniku

Stevensów. Przy drzwiach balkonowych spotkał Phyliss.

- Na zwykłej linii dzwonił porucznik Poole. Odebrałam telefon w kuchni...

- Cathy? Major Neilsen? Co z nią?

- Nie, w sprawie generała Michaela Meyersa, przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów. Telefonował do ciebie. Chce się z tobą natychmiast spotkać. Mówił, że sprawa jest bardzo pilna.

- Pewnie. Szuka kaczek do swojej osobistej strzelnicy.

18.47

Limuzyna z tablicą rejestracyjną DOS 1 jechała wzdłuż szosy numer dziewięćdziesiąt, kierując się na południe, w stronę wschodniego wybrzeża Maryland, do miejscowości St. Michaels. Na tylnym siedzeniu sekretarz stanu z narastającą irytacją naciskał guziki swojego zabezpieczonego telefonu. Wreszcie z rozdrażnieniem opuścił szklaną przegródkę i odezwał się do kierowcy:

- Nicholas, co się u diabła dzieje z telefonem? Z nikim nie mogę się połączyć!

- Nie wiem, panie sekretarzu - odparł szofer przysłany przez

Secret Service. - Ja też mam kłopoty z radiostacją. Nie zdołałem porozumieć się z dyspozytorem.

- Chwileczkę. Nie jesteście Nicholas. Gdzie on się podział?

- Musiał zostać zastąpiony, proszę pana.

- Zastąpiony? Dlaczego? Co się z nim stało? Był na swoim miejscu, kiedy przyjechaliśmy do ambasady Izraela.

- Być może problemy rodzinne. Przesłano mnie, abym go zastąpił. To wszystko, co wiem, proszę pana.

- Bardzo niezgodne z przepisami. Moje biuro powinno mnie powiadomić, przecież taka jest standardowa procedura.

- Pańskie biuro nie wie, gdzie pan jest.

- Mają ten numer.
- Telefon nie działa, panie sekretarzu.
- Chwileczkę, kierowco! Skoro w moim biurze nie wiedzą, gdzie jestem, skąd wyście wiedzieli?

- Mamy swoje sposoby. Otrzymujemy informacje poza oficjalnymi kanałami.
- Odpowiedzcie!
- Mam obowiązek podać jedynie swoje nazwisko, stopień i numer. Tak właśnie postępujemy w obliczu wroga.

- Coście powiedzieli?
- Ubiegłej nocy doprowadził pan do tego, że Biały Dom wziął generała pod nadzór. To była podłość w stosunku do tak wielkiego człowieka jak generał Meyers.

- Wasze nazwisko, żołnierzu?
- Wystarczy Johnny. - Kierowca gwałtownie skręcił w lewo, na prawie niewidoczną gruntową drogę. Stale przyspieszał, pędząc po nierównej, wyboistej powierzchni, aż wreszcie wyjechał na niewielką polankę, gdzie w oczy rzucał się stojący śmigłowiec Cobra.

- Może pan teraz wysiąść, panie sekretarzu.
Wstrząśnięty Palisser namacał klamkę. Drzwi otworzyły się i sekretarz niepewnym krokiem wyszedł na ostrą strzyżoną trawę.

W odległości trzech metrów od niego stał przewodniczący Komitetu Szełów Sztabów; prawy rękaw munduru miał założony i przypięty do ramienia.
- Byłeś zupełnie niezłym żołnierzem w czasie drugiej wojny światowej, Bruce, ale zapomniałeś lekcji o bojowym zajęciu terenu oznajmił generał. - Kiedy wchodzisz na terytorium wroga, musisz się cholernie dobrze upewnić, komu z miejscowych możesz ufać.

Nie zauważyłeś jednego naszego człowieka w Białym Domu. Gdyby dopuścił do przyniesienia ci na konferencję wiadomości, na którą czekałeś, zostałby zastrzelony.

- Dobry Boże - odezwał się cicho Palisser. - Jesteś dokładnie taki, jak mówił Hawthorne. Nie tylko przyzwalasz na zabójstwo prezydenta, ale w rzeczywistości pomagasz mordercy.

- Jest tylko człowiekiem, Bruce, nierozważnym politykiem, a w czasie jego kadencji potęga wojskowa Stanów Zjednoczonych uległa znacznemu osłabieniu. Ale wszystko się zmieni dziś wieczorem, cały świat się zmieni.

- Dziś wieczorem?
- Za niecałą godzinę.
- O czym, u diabła, mówisz?

- Słusznie, skąd miałbyś wiedzieć! Przecież posłańcy z Mossadu nie dotarli do ciebie.
- Abrams - powiedział Palisser. - Pułkownik Abrams!
- Niebezpieczny człowiek - skinał głową Meyers. - Z powodu swojej pokrętej moralności nie potrafi dostrzec korzyści.

Między nami mówiąc, słusznie nikomu nie dowierzał i dlatego wysłał dwoje ludzi, aby podali ci nazwisko. Nazwisko nic nie znaczącego senatora, który umożliwił wszystko, co się stanie mniej więcej za godzinę.

- Skąd wiesz?

- Dzięki komuś, na kogo na pewno nigdy nie zwróciłeś uwagi.

Niewielki, też nic nie znaczący asystent w Radzie Bezpieczeństwa; ten sam człowiek, który przechwytywał informacje, przekazywane ci przez tego renegata Hawthorne'a. Nasza wtyczka w Białym

Domu jest prawdziwym potakiwaczem, prezydent go lubi i często z nim rozmawia. Jest moim byłym adiutantem, podpułkownikiem.

To ja załatwiłem mu tę pracę. I również ze sobą rozmawiamy. Generał popatrzył na zegarek oświetlony promieniami zachodzącego letniego słońca. - Za godzinę z minutami prezydent, aby sprawić przyjemność naszemu nieważnemu senatorowi, odbędzie prywatne, poza protokołem, spotkanie z... No zgadnij, z kim, Bruce? Widzę, że się domyśliłeś, i masz rację. Tak, z Krwawą Dziewczynką...

A potem bum! Wybuch, który usłyszy cały świat.

- Ty wariacki skurwysynu! - ryknął Palisser. Wyprostował swoje starcze ciało i z wyciągniętymi rękami rzucił się do przodu.

Przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów wsunął rękę pod bluzę i wyciągnął zza paska bagnet. Gdy leciwy sekretarz stanu chwycił go za gardło, Meyers wbił ciężki nóż w brzuch Palissera i gwałtownym ruchem pchnął go aż do serca.

- Usuń ciało - polecił starszemu sierżantowi. - I zatop limuzynę. Zrzuć ją z barki koło Taylor's Island.

- Tak jest, Maksymalny.

- Gdzie kierowca?

- Tam, gdzie nikt go nie znajdzie. Gwarantuję.

- Dobrze. Oto jeszcze jeden nie wyjaśniony epizod historii. Za godzinę nie będzie już miał znaczenia, nic nie będzie miało znaczenia.

Lecę do Białego Domu. Będę w saloniku wypoczynkowym na pierwszym piętrze.

- Do diabła, bądź tam rzeczywiście. Ktoś przecież musi przejąć dowodzenie.

ROZDZIAŁ 37

18.55

Na chodniku ciemnej bocznej uliczki w Jerozolimie leżała chłostana deszczem postać w przemoczonym ubraniu. Krew wypływająca z jej ciała mieszała się z wodą spływającą z nieba i po płytach chodnika ściekała do rynsztoka. Pułkownik Daniel Abrams, dowódca grupy zajmującej się sprawą Bajaratt, został sześciokrotnie śmiertelnie trafiony z pistoletu z tłumikiem. Stary, mocno zbudowany mężczyzna szedł po Sharafat, głęboko przekonany, że postąpił słusznie.

Bajaratt spojrzała na swoje ubranie, szykując się do najważniejszego momentu w jej życiu. Kiedy spoglądała w wielkie lustro, zobaczyła obraz dziesięcioletniej dziewczynki wpatrującej się w nią z podziwem i uwielbieniem. Dokonałyśmy tego, najdroższa mi osobo, która niegdyś byłaś mną. Nikt już nas nie powstrzyma - zmienimy historię. Ból zrodzony w górach zniknie, splukany krwią płynącą przez świat, i ty oraz ja doznamy spełnienia, pomścimy cierpienie, które nam zadano... Czy pamiętasz toczące się po skałach głowy mamy i taty, odcięte od ciał, z szeroko otwartymi oczyma, błagającymi o coś ich obrzydliwego Boga, który dopuścił, aby stała się taka rzecz? Być może błagali o nas obie, skazane na pamiętanie tego obrazu do końca naszego życia? Muerte a toda autoridad!

Dokonamy tego, ty i ja, ponieważ stałyśmy się jednym i jesteśmy niezwyciężone! - myślała.

Obraz zniknął, gdy Baj przysunęła się do lustra i zaczęła się przyglądać srebrzystym pasmom w swoich włosach oraz odpowiedniemu jaśniejszemu makijażowi z delikatnymi cieniami pod oczyma.

Miało to stworzyć efekt twarzy nieco, ale tylko nieco, starszej niż jej własna. Jej strój był drogi i elegancki, lecz zarazem w dobrym guście i bez żadnej ekstrawagancji. Sięgająca za kolana granatowa suknia z wszytym między biodrami a biustem watowaniem również była szykownie, z wdziękiem skrojona; Bajaratt sprawiała w niej wrażenie kobiety w średnim wieku walczącej z postępującą otyłością.

Podwójny sznur kosztownych, starannie dobranych pereł, jasnoniebieskie rajstopy i granatowe buty Ferragama dopełniały całości.

Wszystko miało kreować obraz bogatej włoskiej arystokratki, której obecność często odnotowywano na Via Condotti, rzymskim odpowiedniku paryskiego Saint-Honore. Ostatecznym akcentem uzupełniającym całość była maleńka szaroniebieska torebka z

zapięciem wysadzonym perłami. Nie było żadnych wątpliwości, że te dwie perły są równie prawdziwe jak w naszym życiu.

Na przegubie wyznawczyni haute couture widniał delikatny zegarek, na pierwszy rzut oka przypominający dzieło Piagetów. Był jednak wspaniale wykonanym falsyfikatem, zdolnym wytrzymać sztorm na morzu, a jednocześnie zaopatrzonym w prosty mocny nadajnik, który po trzech mocnych naciśnięciach klucza do nakręcania mógł wysłać do oddalonego o pięćdziesiąt metrów odbiornika potężny elektroniczny impuls przenikający przez szkło, twarde drewno i gruby tynk. Odbiornik impulsu elektronicznego umocowany był do jedwabnej podszewki torebki. Ten maleńki okrągły moduł mieścił się na cienkiej warstewce plastyku, inicjującego po zdetonowaniu eksplozję drugiej ścianki. Ogólna siła niszcząca równała się sile wybuchu siedmiuset trzydziestu gramów nitrogliceryny albo dziewięćdziesięciokilogramowej bomby. Muerte a toda autoridad! Śmierć przywódcom rządów, którzy stawali się przyczyną śmierci - świadomie lub nie.

- Cabi! - zawołał z sypialni Nicolo. Bajaratt drgnęła odeszła od lustra i pospieszyła do drzwi.

- O co chodzi?

- Te głupie złote przedmioty nie chcą przejść przez dziurki w rękawie! Z lewą mi się udało, ale z prawą...

- Bo jesteś praworęczny, Nicolo - przerwała mu Baj, wchodząc do środka. - Zawsze miałeś kłopoty z prawą spinką do mankietów, pamiętasz?

- Nic nie pamiętam, mogę myśleć jedynie o jutrzejszym dniu.

- A nie o dzisiejszym wieczorze? O prezydencie Stanów Zjednoczonych?

- Proszę mi wybaczyć, signora, ale on jest nagrodą dla pani, nie dla mnie. Moja jest w Nowym Jorku. Jestem tak podekscytowany! Czy słyszała ją pani na lotnisku? Angel obiecała, że spędzimy

„week...end” -fine di settimana - gdzieś nad lago z jej rodziną!

- Musisz poznać ją lepiej, Nico. - Bajaratt włożyła spinkę do mankietu i cofnęła się, podziwiając swoje dzieło. - Jesteś wspaniały, mój piękny chłopcze z doków.

- Ale wciąż z doków, signora! - spytał Nicolo, wpatrując się w swoją stwórczynię. - Nie pozwala mi pani o tym zapomnieć.

Doprowadziła mnie pani tak wysoko, tak daleko, ale wciąż nie pozwala mi zapomnieć, skąd pochodzę. Czy sprawia to pani przyjemność?

- Doprowadziłam cię do miejsca, w którym możesz zostać tym, czym Bóg zechce cię uczynić.

- Bardzo dziwnie pani mówi. Przecież nie wierzy pani w Boga, słyszałem wyraźnie. Ma pani visionę, której nie rozumiem, i bardzo mi pani żal. Opłakuję panią, bo zrobiła pani wiele rzeczy, które uważam za złe, chociaż podobno wymagała tego ta wielka, nie znana mi bliżej sprawa.

- Nie opłakuj mnie, Nico. Pogodziłam się z moim przeznaczeniem.

- Przeznaczenie? Destino! Bardzo wielkie słowo, signora. Nie pojmuję go.

- Dajmy temu spokój... Włóż marynarkę z mosiężnymi guzikami. - Młody człowiek spełnił polecenie i jego kreatorka cofnęła się jeszcze o krok, zachwycona widokiem tego, co okazało się kwintesencją jej sztuki. - Jesteś niezrównany. Twój wzrost, szerokie ramiona, wąska talia, idealna twarz, zwieńczona czarnymi falującymi włosami, splendido!

- Proszę przestać, zawstydzę mnie pani. Mój brat jest ode mnie wyższy - ma metr dziewięćdziesiąt trzy, a ja tylko metr dziewięćdziesiąt.

- Widziałam go. Jest animale. Twarz ma płaską, oczy bez wyrazu i wolno myśli.

- Jest dobrym chłopcem, signora, i o wiele mocniejszym ode mnie! Jeżeli ktokolwiek zachowuje się niewłaściwie wobec siostr, potrafi cisnąć nim o ścianę oddaloną o dziesięć metrów. Mnie udaje się to tylko na odległość czterech lub pięciu metrów.

- Powiedz mi, Nico, czy go poważasz?

- Muszę, ponieważ jest starszy i od śmierci naszego taty opiekuje się rodziną.

- Ale czy go naprawdę szanujesz?

- Moje trzy siostry go uwielbiają. Jest teraz padrone i zapewnia nam wszystkim opiekę dzięki swojej sile.

- A ty, Nico, ty sam? Czy go uwielbiasz?

- Och, proszę przestać, signora, to non importante.

- Dla mnie jest ważne, kochany chłopcze, ponieważ chcę, abyś wiedział, dlaczego wybrałam ciebie.

- Dlaczego?

- Kolejne pytanie, na które nie odpowiem, dopóki nie powiesz mi, kim jest dla ciebie twój starszy brat.

- Ojej - wzruszył ramionami Nico. - Jeżeli już musi pani wiedzieć, to myli siłę z mądrością. Chce jedynie rządzić dokami za pomocą swoich mięśni. I będzie mu się to udawało tak długo, aż pojawi się inny lupo i usunie go, zabijając. Stupido!

- Teraz rozumiesz! Szukałam doskonałości i ją znalazłam.

- A ja sędzę, że pani jest pazzo. Czy mogę zadzwonić do

Angeliny - Angel - w Brooklynie, w Nowym Jorku? Musiała już dojechać na miejsce.

- Oczywiście. Przeprowadź swoją miłosną rozmowę, ale nie dłużej niż dziesięć minut.

Senator przyjedzie po nas za dwadzieścia minut.

- Chciałbym porozmawiać z nią na osobności.

- Naturalmente - oznajmiła Baj, wychodząc z sypialni i zamykając za sobą drzwi.

19.09

Hawthorne o mało nie eksplodował z wściekłości! Każdy kontakt w agencjach wywiadowczych, jaki mogli sobie przypomnieć wraz z Phyllis, albo „już skończył pracę”, albo był „nieosiągalny”, albo też „nie miał ochoty rozmawiać z komandorem, o którym nie słyszeli”. Powoływanie się na kryptonim „Krwawa Dziewczynka” nic nie dawało. Środki ostrożności były tak ścisłe, krąg tak zamknięty, że nie znalazł się nikt, kto zechciałby wziąć na siebie odpowiedzialność - po prostu dlatego, że nikt nie dysponował odpowiednią władzą. Powstał cyrk totalnej niemożliwości, ponieważ nie było osoby kompetentnej, aby zwrócić się do wyższych szczebli władzy, ponieważ on, ona lub oni nie mieli takich uprawnień!

Centrala Białego Domu była najgorsza.

- Otrzymujemy takie informacje tuzin razy dziennie, proszę pana. Jeżeli może pan uwiarygodnić swoje twierdzenie, proszę zadzwonić do Secret Service albo do Pentagonu.

Secret Service załatwiła sprawę krótko: - Pańska informacja została odnotowana i możemy pana zapewnić, że prezydent jest całkowicie bezpieczny. A teraz mamy swoje zajęcia, panie komandorze, i pan zapewne też. Do widzenia.

Tyrell nie mógł zadzwonić do Pentagonu, bo ostrzegłby w ten sposób Maksymalnego Mike'a Meyersa i szef Skorpionów przeciąłby wszelkie możliwości komunikowania.

Sekretarza stanu, Bruce'a Palissera, nie sposób było nigdzie znaleźć; podobnie jego kontaktu w Izraelu, pułkownika Daniela

Abramsa z Mossadu. Co się działo?

Na werandzie zadzwonił telefon i Phyllis Stevens, która stała bliżej, rzuciła się ku niemu.

- Tye! - zawołała. - To Izrael. Czerwony telefon!

Czyżby przełom?

Hawthorne zerwał się z fotela, przebiegł przez drzwi balkonowe i chwycił słuchawkę.

- Jestem pańskim kontaktem - oznajmił. - Kto mówi?

- Wyjašnjmy coś sobie - odezwał się głos z Jerozolimy. Jak się pan nazywa?

- Były komandor porucznik Tyrell Hawthorne, czasowo przydzielony do sekretarza stanu Palissera, i zarazem oficer łącznikowy komandora Henry'ego Stevensa z wywiadu marynarki wojennej

Stanów Zjednoczonych. Jeżeli muszę to wyjaśniać, nie powinien pan rozmawiać przez ten telefon.

- Nie musi pan.

- Co nowego, Jerozolimo?

- Straszna wiadomość... Pułkownika Abramsa zlikwidowano na Sharafat. Policja odnalazła jego ciało zaledwie kilka minut temu...

- Bardzo mi przykro, doprawdy, ale Abrams wysłał dwóch agentów Mossadu, aby skontaktowali się z Palisserem!

- Wiem, przygotowywałem im dokumenty. Jestem... byłem... osobistym adiutantem pułkownika Abramsa. Pański sekretarz

Palisser zostawił pułkownikowi sześć numerów, pod którymi miał go po powrocie szukać w Stanach Zjednoczonych. Wśród nich znajdowała się czerwona linia do pana, na aparat komandora

Stevensa.

- Czy może mi pan coś powiedzieć?

- Tak, i mam nadzieję, że pomogę panu. Kluczem jest senator

Nesbitt ze stanu Michigan. Tak brzmiała informacja, którą nasi agenci wieźli panu Palisserowi.

- Senator z Michigan? Co, u diabła, może to znaczyć?

- Nie wiem, komandorze, ale taką właśnie wiadomość nasi oficerowie wywiadu mieli przekazać sekretarzowi stanu. Według pułkownika Abramsa przedstawiała ona tak dużą wartość, że nie chciał jej powierzyć kanałom dyplomatycznym.

- Dziękuję, Jerozolimo.

- Bardzo proszę, komandorze, i jeżeli dowie się pan, co się stało z naszymi agentami, będziemy bardzo wdzięczni za przekazanie tej informacji jak najszybciej., - Jeżeli się dowiem, dam wam znać.

Tyrell odłożył słuchawkę. Czuł się absolutnie oszołomiony.

19.32

Coś się musiało wydarzyć! Limuzyna Nesbitta spóźniła się prawie o dwadzieścia minut! Takie zachowanie zupełnie nie pasowało do pozbawionego pewności siebie polityka, któremu jedno krótkie spotkanie w Gabinetce Owalnym mogło dać szansę wpompowania w

jego stan setek milionów, a jemu samemu zapewnić powtórny wybór do Senatu... „Przyjedzie po panią dokładnie o siódmej piętnaście. Trochę wcześniej, ale to na wypadek, gdyby ruch był duży”. Tak powiedział główny asystent senatora Nesbitta.

Dokładnie siódma piętnaście... O Boże! Czyżby Nesbitt miał jeden ze swoich ataków? Może zmienił się nagle w żalosego starego człowieka w dziwnym ubraniu i źle dopasowanej peruce, który wymknął się swoim opiekunom i teraz włóczy się po podejrzanych dzielnicach miasta? Czyżby jego chore psychicznie drugie ja doszło do głosu w tym najwspanialszym, najważniejszym momencie jej życia, które zaczęło się w piekle w Pirenejach? Nie chciała, nie mogła się z tym pogodzić!

- Nicolo, kochanie - odezwała się Bajaratt, ale jej beznamiętny lodowaty ton przeczył pieszczotliwym słowom. - Zostań tu i wypatruj samochodu senatora. Będę w środku, przy najbliższym automacie telefonicznym.

- Per certo - odparł wysoki chłopak, stając pod markizą osłaniającą wejście. Wyglądał tak interesująco, że przechodnie spoglądali na niego z uwagą, jakby był jakąś znakomitością, której nie mogą rozpoznać, albo gwiazdorem filmowym, którego nazwisko chwilowo wypadło im z pamięci.

Z automatu telefonicznego znajdującego się naprzeciwko recepcji

Baj zadzwoniła do Silver Spring.

- To ja - powiedziała. - Mamy krytyczną sytuację.

- Możesz mówić, Amayo, telefon jest bezpieczny - odezwał się natychmiast głos drobnej Arabki zamieszkałej na północnym przedmieściu.

- Limuzyna Nesbitta niepokojąco się spóźnia. Czy on był dzisiaj w normalnym stanie?

- Miał po południu atak, ale zbadał go doktor...

- To niemożliwe! - szepnęła gardłowo Baj. - W takim razie pojedę tam sama. Spotkanie zostało już zaplanowane!

- Obawiam się, że nie. Jest poza rejestracją i bez senatora nie przedostaniesz się nawet przez bramę.

- Muszę. To wina Skorpionów. Obrócili się przeciwko mnie!

Próbują mnie powstrzymać! Schwytali Nesbitta!

- Niewykłuczone, moja droga, ponieważ odpowiada im obecny stan rzeczy. A ty im zagrażasz. Ale nie rób nic pochopnie, pozostań przy telefonie. Połączę się z samochodem senatora z drugiego aparatu.

Bajaratt czekała przy automacie telefonicznym. Jej ciało było spięte, twarz przypominała kamienną maskę. Nagle uświadomiła sobie, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się. Nie okazując zaskoczenia, popatrzyła na elegancko ubraną kobietę, jej gospodynię z Palm

Beach, damę w średnim wieku o niebieskawych włosach i zbyt dużych zębach. Kobieta w lewej ręce trzymała zieloną torebkę, a prawą dłoń zaciskała na widocznej kolbie pistoletu.

- To już koniec drogi - oświadczyła Skorpion.

- Cóż pani na tym pani zyska, oprócz tysiąca sztyletów, które będą panią ścigać? - zapytała lodowatym tonem Baj.

- A co stracimy, jeżeli rozpieprzy pani wszystko, co zdobyliśmy? - zapytała pierwsza dama towarzystwa z Palm Beach.

- Dobry Boże, takie słowa w ustach ozdoby eleganckiego świata?

- I zrobię wszystko, żeby nią pozostać, miss Bekaa.

- Bardzo się pani myli - odparła spokojnie Bajaratt. Bekaa jest przy pani, zawsze tu była. Nasz wspólny padrone zadbał o to...

- Nie żyje - odparła dama z towarzystwa. - Wyspa zniknęła, wiemy o tym wszyscy. Teraz nie możemy już dotrzeć do nikogo z górnej piątki. Łączność między nami jest zerwana i to z pani przyczyny!

- Porozmawiajmy, ale nie tutaj - zaproponowała Baj.- Ta rozmowa nie ma znaczenia, a już z pewnością nie może pani do mnie strzelać tu, w holu, bo skutek byłby odwrotny od zamierzonego. Albo by panią aresztowano, albo nawet zastrzelono... Chodźmy, tu jest boczne wejście - dla dostawców i samochodów dyplomatycznych. Będziemy mogły swobodnie porozmawiać. I zapewniam panią, że doskonale zdaję sobie sprawę, iż ma pani broń.

Będę bardzo posłuszna - w końcu jestem bezbronna. - Kiedy szły przez hol ku bocznym drzwiom, Bajaratt ciągnęła: - Proszę mi zdradzić - pytam jedynie, aby wyrazić moje uznanie - w jaki sposób mnie pani znalazła?

- Jestem pewna, że nie zdziwi się pani, jeżeli powiem, iż jestem dość popularna w Waszyngtonie - odparła kobieta, idąc po prawej stronie Amai i trzymając torebkę tak, że ukryta w niej lufa pistoletu od czasu do czasu wbijała się w biodro Bajaratt.

- Nie zaskoczy mnie nic, co pani dotyczy.

- Oczywiście, jestem Skorpionem.

- To na dzień dobry, jak mawiacie wy, Amerykanie... Jak mnie pani znalazła?

- Wiedziałam, że pani i chłopak ukryliście się, najwidoczniej pod przybranymi nazwiskami, ale nie mogła pani zmienić wyglądu, przynajmniej chłopca... Kazałam więc

mojemu sekretarzowi sprawdzić wszystkie eleganckie hotele, podać rysopisy i powiedzieć, że mój biedny mąż zapomniał waszych nazwisk oraz gdzie się zatrzymaliście - jest z tego dosyć znany. Cała reszta była już prosta, pani Balzini.

- Wyjątkowo pomysłowe! - zawołała Bajaratt, otwierając drzwi do hałaśliwego, pełnego spalin, przypominającego tunel przejścia, w którym znajdowała się rampa obsługująca nieprzerwany ruch samochodów. - Nic dziwnego, że została pani Skorpionem.

- I mam zamiar nim pozostać - przerwała jej gwałtownie gospodyni z Palm Beach. - Wszyscy tego chcemy! Wiemy, co pani zamierza zrobić, i nie dopuścimy do tego.

- Co zrobić, na litość boską?

- Proszę nie kłamać, Miss Bekaa! - zawołała dama. - Jedna z nas jest... była... osobistą sekretarką dyrektora CIA w Langley.

Helen znajduje się obecnie w Europie, zniknęła bez śladu, ale przed wyjazdem zadzwoniła do mnie i powiedziała, co się dzieje. Była oszołomiona, śmiertelnie przerażona, lecz nowy Skorpion Jeden żądał, aby spełniała wszystkie rozkazy, jeżeli chce przeżyć i wyjechać... No cóż, my nie dostaliśmy żadnych rozkazów, pragniemy zachować wszystko, co posiadamy, i nikt tego nie zmieni. Sądzi pani, że dziś wieczór zabierze stąd panią mój stary przyjaciel

Nesbitt? Och, niech pani nie wytrzeszcza oczu, kochanie, on nazywa mnie Sylvią i w końcu poznałam was ze sobą, pamięta pani? Po rozmowie z Helen i telefonie do jego domu dodałam jedno do drugiego - i oto efekt! Obawiam się, że jego limuzyna miała właśnie wypadek, bardzo mi przykro. A teraz panią spotka to samo. Czyż można znaleźć lepsze miejsce niż ta hałaśliwa jaskinia, w której ledwo co widać, a już z całą pewnością nikt nic nie usłyszy z odległości większej niż półtora metra?

Kobieta o imieniu Sylvia rozejrzała się i zaczęła wyjmować z torebki pistolet.

- Na pani miejscu nie robiłabym tego - ostrzegła Baj, zauważywszy nadjeżdżającą od strony wejścia wielką zmechanizowaną śmieciarkę.

- Nie jest pani mną. Jestem sobą.

- Moje życie nic nie znaczy - ciągnęła Bajaratt - ale powiedziano mi, że pani ceni swoje, nawet kosztem zdrady Skorpionów.

- O czym pani mówi?

- O Silver Spring w stanie Maryland. Wczoraj odwiedziłam dom pewnej niewielkiej wzrostem arabskiej królowej - jest pani przez nią opłacana. A mimo to sprzedała pani Skorpionów.

Wyłącznie dla pieniędzy, jakby nie miała ich pani dosyć.

- Absurd!

- W takim razie niech pani to wyjaśni Skorpionowi Jeden. Nie możecie się z nim skontaktować, aleja tak. Jeżeli nie dotrę dzisiaj do

Białego Domu, jutro rano na jego biurku znajdzie się obszerny opis pani zdrady... Zapomniała pani o czymś. Jestem Baj. Nigdy nie przestaję obserwować i szukać, a kiedy już odkryję czyjś słaby punkt, robię wszystko, aby ten słaby punkt zapewnił mi siłę. - Bajaratt powoli przesuwiała się w prawo, zbliżając do damy z Palm Beach, stojącej nieruchomo, z szeroko otwartymi umalowanymi oczyma. Jej zbyt duże górne zęby sterczały z rozchylnych gapiowato ust. A teraz proszę mi powiedzieć, signora, czy rzeczywiście chce mnie pani zabić?

Odpowiedź nigdy nie padła, ponieważ Baj cofnęła się nagle, udając, że potknęła się o krawężnik, a potem rzuciła się do przodu, trafiając ramieniem w Skorpiona i spychając ją pod zbliżającą się do rampy gigantyczną ciężarówkę. Piszczące rozpaczliwie hamulce nie zapobiegły tragedii: gospodyni z Palm Beach zginęła, zmiażdżona wielkimi przednimi kołami.

- Zawołam pogotowie! - krzyknęła Bajaratt, wbiegając w boczne drzwi. Gdy tylko je przekroczyła, natychmiast zwolniła krok i całkowicie już opanowana, podeszła do najbliższego automatu.

Wrzuciła monetę i ponownie wybrała numer.

- Słucham? - odezwała się Arabka z Silver Spring.

- Znaleźli mnie - oznajmiła chłodnym, beznamiętnym tonem

Baj. - Samochód Nesbitta miał wypadek.

- Wiem. Wysłałam limuzynę, będzie na miejscu lada minuta.

- Skorpiony są przeciwko mnie!

- Obie doszliśmy do wniosku, że można się było tego spodziewać, moje dziecko.

- Pani dziwka z Palm Beach była główną zdrajczynią!

- To zrozumiałe. Ma wiele znajomości w całym mieście i jest szczególnie blisko związana z siatką wywiadu Skorpionów.

- Mówiła o tym, ale już nic więcej nie powie. Nie żyje. Zginęła pod kołami śmieciarki, czyli tam, gdzie powinna się znaleźć.

- Dziękuję, że oszczędziłaś nam kłopotów. Gdy Skorpiony upadną, my osiągniemy - musimy osiągnąć - wielkość... A teraz uprzejmość za uprzejmość. Limuzyny zamieniono, zaraz więc zostaniesz zabrana z hotelu i zawieziona do Białego Domu, gdzie wszystko jest już przygotowane. O ósmej wieczorem dwaj agenci

FBI z przepustkami Białego Domu przypiętymi do kieszeni zejda z pokoi wypoczynkowych na pierwszym piętrze. Dołączy do nich szofer w liberii, również z przepustką. Kiedy znajdzie się w środku, otrzyma broń na wypadek jakichś kłopotów. Wszyscy troje skierują się w stronę Gabinetu Ovalnego, przed którym zaczekają na twoje wyjście. Jak już ci powiedziałam, hasło brzmi „Aszkelon”. Idź szybko za nimi.

- Agenci FBI...?

- Kiedy gdzieś przenikamy, przenikamy głęboko, Amayo

Aquirre. To wszystko, co musisz wiedzieć. A teraz czyn swoje, dziecię Allacha.

- Nie jestem dziecieniem Allacha ani nikogo innego - odparła

Baj. - Jestem sama dla siebie.

- A więc idź i wypełnij swoją misję.

Bajaratt i Dante Paolo, barone-cadetto di Ravello, weszli do limuzyny i usiedli z tyłu obok senatora z Michigan.

- Przepraszam za spóźnienie - zawołał Nesbitt - ale czy możecie państwo sobie wyobrazić: mieliśmy wypadek! Został zgnieciony cały przód naszego samochodu, a kierowca tego drugiego auta uciekł. Na szczęście moje biuro jest wyjątkowo skuteczne w działaniu i przysłało mi drugi samochód.

- Należy pogratulować pańskim pracownikom, signor senatore.

- To doskonali ludzie. Chciałbym również napomknąć, że prezydent z niecierpliwością oczekuje spotkania z państwem.

Zwierzył mi się, że sądzi, iż poznał barona i jego ojca - i pani ojca, oczywiście - gdy w czasie drugiej wojny światowej lądował pod

Anzio. Wspomniał, że pomogło nam wtedy wielu posiadaczy ziemskich. Prezydent był wówczas młodym porucznikiem.

- Całkiem możliwe! - wykrzyknęła z entuzjazmem contessa. Rodzina od początku była przeciwko fascisti. Udawali, że są lojalni wobec tej świni, Mussoliniego, a jednocześnie współpracowali z partyzantami i pomogli w ucieczce wielu waszym strąconym pilotom.

- W takim razie będziecie mieli państwo wspólny temat do rozmowy.

- Proszę mi wybaczyć, senatorze, ale urodziłam się po wojnie...

- No tak, oczywiście.

- Mój brat jest o wiele ode mnie starszy.

- Nigdy nie ośmieliłbym się twierdzić, że brała pani udział we wspomnianym przez prezydenta spotkaniu, hrabino.

- Non importa - oznajmiła Bajaratt, spojrzała na Nicola i uśmiechnęła się. - Urodziłam się trochę później.

Limuzyna jechała na wschód przez waszyngtoński zmierzch.

W zależności od natężenia ruchu powinni dotrzeć do Białego Domu w ciągu piętnastu minut, a nawet szybciej.

19.33

Telefonista z czerwonej linii dał Hawthorne'owi domowy numer senatora Nesbitta. Słuchawkę podniosła kobieta, która jednak albo nic nie wiedziała, albo nie chciała nic powiedzieć.

- Jestem tylko gospodynią, proszę pana. Senator nie mówi mi, gdzie się udaje, i nawet bym nie śmiała go o to prosić. Po prostu dbam, żeby miał posiłki na czas.

- Do diabła! - ryknął Tyrell, rzucając słuchawkę -beżowego aparatu.

- Próbowałeś połączyć się z jego biurem? - spytała Phyllis, wchodząc na werandę.

- Oczywiście. Automatyczna sekretarka bredzi tam banałami dla wyborców: „Senator i członkowie jego sztabu skontaktują się z państwem telefonicznie lub korespondencyjnie, jeżeli zechcą państwo pozostawić nazwisko, adres i numer telefonu. Senator jest zawsze do państwa usług”. I tak dalej, i tak dalej.

- A co z jego pracownikami? - nalegała wdowa. - Kiedy Hank chciał uzyskać jakąś informację, bardzo często szybciej udawało mu się otrzymać ją od przełożonego obsługi biura lub od któregoś z pracowników niż od potrzebnej mu osoby, której akurat nie mógł znaleźć.

- Jest drobny problem: nie mam pojęcia o pracownikach

Nesbitta.

- Ale Hank miał - oznajmiła Phyllis. Podeszła do solidnego mebla wysokości mniej więcej sześćdziesięciu centymetrów i szerokości około pół metra, którego ciemne drewno zdobiła misterna orientalna snycerka. Na wierzchu stała lampa. - To kartoteka wyjaśniła, pochylając się i przesuwając palcami po prawym boku mebla. - Dobry Boże, zamknął ją, a ja nie znam szyfru. Uważał, że nie powinienam.

- O czym mówisz, Phyll?

- To wielka chińska łamigłówka, kupiliśmy ją wiele lat temu, kiedy był na placówce w Hongkongu. Jeżeli boczny zamek jest zamknięty, należy w odpowiedniej kolejności nacisnąć kilka wyrzeźbionych figurek.

- Chodzi mi o jej zawartość.

- Henry przechowywał tu stale uaktualniane listy wszystkich ważnych osób w Waszyngtonie, a także personelu każdego, z kim chciałby się porozumieć w jakiejś bardzo pilnej sprawie. Oczywiście, także senatorów i kongresmanów. Był...

- Wiem - przerwał jej Hawthorne. - Miał słabość do tego rodzaju rzeczy. Jak otworzymy kartotekę?

- Rozbijemy ją. - Phyllis Stevens złapała ciężką stojącą lampę i wyciągnęła sznur z gniazdka. - Rozwał to, Tye!

Hawthorne kilkakrotnie uderzył grubą, ciężką podstawą lampy w górną część skrzynki. Po siódmym uderzeniu rozpadła się i oboje z Phyllis przykucnęli wśród szczątków zniszczonego chińskiego kufierka, grzebiąc wśród rzędów teczek.

- Mam! - zawołała wdowa po Henrym Stevensie, sięgając po grubą teczkę. - Izba Reprezentantów i Senat. Wszystko jest tutaj.

Pierwsza osoba - nie automatyczna sekretarka - z którą połączył się Hawthorne, wcale nie znajdowała się na szczycie listy pracowników biura senatora. Był to średniego szczebla asystent o nazwisku zaczynającym się na A.

- Krążyły pogłoski, że ma dzisiaj wieczorem być w Białym

Domu, komandorze, ale nie znam bliższych szczegółów. Pracuję w jego biurze od niedawna, uzyskałem magisterium z nauk politycznych...

- Wszystkiego najlepszego! - odparł Tyrell, odkładając słuchawkę, i zwrócił się do Phyllis: - Daj mi następną, ale poszukaj kogoś na stanowisku.

- Tu jest ktoś odpowiedni - oznajmiła. - Stenografistka.

Drugi telefon odebrała osobista sekretarka Nesbitta. Jej słowa sprawiły, że Tye poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach, a ból zdaje się rozrywać pierś i ogarniać całe ciało.

- Wspaniała sprawa, komandorze. Senator ma dzisiaj wieczorem prywatne spotkanie z prezydentem. Towarzyszy hrabinie

Cabrini i jej bratankowi, synowi bardzo bogatego włoskiego barona, który zamierza dokonać u nas wielkich inwestycji...

- Hrabina z bratankiem? - przerwał jej Hawthorne. - Kobieta z młodym chłopakiem?

- Tak jest, proszę pana. Sądzę, że nie powinnam tego mówić, ale dla mojego szefa był to wyjątkowo szczęśliwy traf. Zainwestowanie tych milionów w nasz stan...

- Czy spotkanie ma się odbyć w prywatnym mieszkaniu prezydenta?

- Och nie, proszę pana. Pierwsza Dama jest bardzo stanowcza pod tym względem, zwłaszcza od kiedy wnuki są w domu. Planowane jest w Gabinetce Owalnym...

Blady jak płótno Tyrell odłożył słuchawkę.

- Bajaratt jedzie właśnie do Białego Domu! - szepnął.

A potem krzyknął na cały głos: - Chłopak jest z nią! Chryste, ominęła wszystkie przygotowane środki ochrony! Czy ludzie z tego patrolu na zewnątrz są dobrzy?

- Nie mają prawa opuszczać tego miejsca, Tye.

- A ja nie mam czasu, żeby załatwić im odwołanie rozkazu.

Ale znam drogę i dysponuję samochodem Departamentu Stanu, w którym jest guzik z napisem „Syrena”.

- Chcesz jechać tam osobiście?

- Nie mam wyboru. Nie mogę porozumieć się z Palisserem, CIA jest poza obiegiem albo co gorsza w opozycji, a Pentagonu muszę unikać jak ognia. Secret Service nie zechce mnie wysłuchać, policja natomiast założy mi kaftan bezpieczeństwa!

- Co mogę zrobić?

- Dotrzyj do każdego typa, który był coś dłużny Henry'emu; do każdego sukinsyna w wywiadzie marynarki czy w jakimkolwiek innym szpiegowskim interesie, z którym kiedykolwiek współpracował, i pomóż mi dostać się do bramy Białego Domu!

- Przychodzi mi na myśl kilka osób, w tym między innymi admirał, którego Hank wyciągnął z kłopotów. Gra w pokera z szefem ochrony drogi tysiąc sześćset.

- Dzwon, Phyll!

19.51

Limuzyna senatora zatrzymała się przy południowej bramie

Białego Domu. Sprawdzono jego nazwisko na liście, a potem strażnik z piechoty morskiej zasalutował mu dziarsko. Po kilku sekundach kierowca ruszył w stronę głównego wejścia, a nie w lewo, w kierunku zachodniego skrzydła, w którym znajdował się

Gabinet Ovalny. Kiedy stanęli przy krawężniku, przed krótkimi schodami, Nesbitt pomógł wysiąść hrabinie i jej bratankowi, wymienił uprzejmości ze stojącymi przy wejściu strażnikami i wprowadził zaproszonych gości do środka.

- Mój kolega z Michigan - przedstawił im szybko jakiegoś mężczyznę. - Drugi senator z naszego stanu. - Uściśnięto sobie dłonie, ale nazwiska umknęły uwadze w ogólnym chaosie, jaki zapanował w chwili, gdy w drzwiach pojawił się fotograf z przygotowanym aparatem. - Jak już wspomniałem, mój kolega jest z partii prezydenta i przede wszystkim dzięki niemu doszło do tego spotkania.

- Tak, przypominam sobie - odparła Bajaratt. - Chciał pan, aby wykonano fotografię, na której znalazłby się pan, pański kolega i Dante Paolo.

- Oczywiście, pani również, jeżeli można prosić.

- O nie, signore, najważniejszą osobą jest tu Dante Paolo, nie ja. Proszę się jednak pospieszyć.

Wykonano już cztery zdjęcia, kiedy korytarzem nadeszła szybko kolejna postać.

- Najmocniej przepraszam! - zawołał nadchodzący mężczyzna w ciemnym garniturze.

- Najwyraźniej pomyłono instrukcje.

Mieliście państwo podjechać do wejścia w zachodnim skrzydle.

- Pomyłono, gadaj zdrów - szepnął młodszy senator z Michigan do swojego kolegi. - Możesz sobie wyobrazić, że szef personelu przyznałby, iż pozwolił nam na zrobienie zdjęć?

- Psst! - mruknął Nesbitt. - Przyjmij to za dobrą monetę, Jack.

- Jasne... Oczywiście.

- Gdyby strażnik nie dał nam znać, długo byście państwo tu stali - oznajmił nowo przybyły, wyjawiając kolejną pomyłkę

Białego Domu. - Proszę za mną, przeprowadzę państwa do zachodniego skrzydła.

Czterdzieści sześć sekund później, po szybkiej wędrówce korytarzami, cała czwórka dotarła do Gabinetu Ovalnego i została przedstawiona szefowi personelu prezydenta. Był to szczupły, niewysoki mężczyzna, na którego twarzy malował się stały wyraz czujności, zupełnie jakby ciągle spodziewał się nagłego ataku z jakiegoś niewidocznego miejsca. Ale mimo to miał przyjemny sposób bycia i mówił lekko zmęczonym głosem przepracowanego człowieka.

- Niezmiernie się cieszę, że mogę państwa powitać - oznajmił, ściskając ręce Baj i Nicola. - Prezydent już schodzi, ale mam nadzieję, że rozumie pani, hrabino, iż spotkanie niestety musi być krótkie.

- Ależ o nic więcej nie śmielibyśmy prosić, signore. Wystarczy jedynie fotografia dla mojego brata, barone di Ravello.

- No cóż, prezydent pragnie, aby pani wiedziała - i pewnie sam o tym powie - że bardzo by chciał, aby krótki czas tej wizyty wynikał z ważnych spraw państwowych, prawda jednak jest nieco inna. Po prostu ma bardzo liczną rodzinę, w tym dwanaścioro wnucząt, które odwiedziły go w tym tygodniu. A Pierwsza Dama bardzo ściśle przestrzega rozkładu dnia.

- Która matka, a zwłaszcza babcia, tego nie robi?! My, Włosi, jesteśmy znani z dużych rodzin i zamieszania, jakie powodują.

- To bardzo uprzejme z pani strony. Proszę spocząć.

- Cóż za wspaniały pokój, nieprawdaż, Dante Paolo?

- Non ho capito.

- La stanza. Magnifica!

- Ah, si, zietta.

- Tu mieści się centrum władzy nad światem... Jesteśmy ogromnie zaszczytzeni.

- Trudno mi potwierdzić, że nad całym światem, hrabino, na pewno jednak nad sporą jego częścią... Panowie senatorzy zechcą usiąść?

- Dziękujemy, Fred, ale raczej nie - odparł młodszy senator. - Trochę się spieszymy, nieprawdaż?

- Młody człowieku...? Panie baronie...?

- Mój bratanek jest zbyt zdenerwowany, aby mógł usiedzieć, signore.

- Ah bene - odparł Nicolo, sprawiając wrażenie, że z trudem zrozumiał, co powiedziała ciotka.

Nagle za drzwiami Gabinetu Owalnego rozległ się tubalny głos, ale mówiącą postać zasłaniaли dwaj senatorzy:

- Jezu, jeśli jeszcze jeden dzieciak wyrznie mnie w żołądek, założy Nelsona albo usmaruje mi twarz, zamówię kampanię reklamową kontroli urodzin!

Prezydent Donald Bartlett, krótko, odruchowo uściśnął dłonie obu senatorów i wszedł do pokoju. Był mężczyzną zbliżającym się już do siedemdziesiątki, o wzroście nieco niższym niż metr osiemdziesiąt, prostych szpakowatych włosach i wyrazistych regularnych rysach podstarzałego aktora, podtrzymywanego na siłach wspomnieniami o minionych latach. Zarazem jednak był doświadczonym politykiem, zdolnym zmobilizować niezbędną energię i poczucie humoru w wielu nieprzewidzianych sytuacjach. Stanowił niezaprzeczalną osobowość.

- Hrabina Cabrini i jej bratanek, baron... baron, panie prezydencie - wykrztusił szef personelu.

- Mój Boże, ogromnie przepraszam! - zawołał z niekłamana skrucą Bartlett. - Sądziłem, że przychodzę przed czasem... Scusi, contessa. Non l'ho vista! Mi perdoni.

- Parlare italiano, signor Presidente? - spytała zaskoczona

Baj, unosząc się z fotela.

- Niezbyt dobrze - odparł prezydent, kręcąc głową. - Per favore, si sieda. - Bajaratt usiadła. - Trochę się poduczylem w czasie wojny. Byłem oficerem zaopatrzenia podczas wyzwalań

Włoch i muszę przyznać, że niektóre z waszych wielkich rodzin udzieliły nam ogromnej pomocy. Wie pani - ci, którzy niezbyt lubili Mussoliniego.

- Duce, tego wieprza!

- Wiele o tym słyszałem, hrabino. Przed desantami dokonywaliśmy nocą zrzutów zaopatrzenia na wypadek, gdyby sytuacja się skomplikowała - pazzo - i nasze oddziały kierujące się na północ zostały odcięte. Nazywaliśmy je punktami aprowizacyjnymi. Prawdę mówiąc, wspomniałem obecnemu tu sędziemu, senatorowi Nesbittowi, iż mam wrażenie, że spotkałem się w Ravello z pani bratem.

- Sądzę, że był to raczej mój ojciec, panie prezydencie.

Człowiek honoru, który nie mógł ścierpieć fascisti.

- Niewątpliwie ma pani rację. Scuzzi di nuovo. Starzeję się i dziesięciolecia wydają mi się latami. Oczywiście, że był to pani ojciec. Pani była małeńka, jeżeli w ogóle już się urodziła.

- Pod wieloma względami wciąż jestem dzieckiem; dzieckiem, które wiele pamięta.

- Słucham?

- Non importa. Czy mogłabym przedstawić panu prezydentowi mojego bratanka, barone-cadetto di Ravello! - Bajaratt znowu wstała, gdy Bartlett odwrócił się i uścisnął rękę Nicola, który był wyraźnie oszołomiony i zachwycony. - Mój brat, który chciałby dokonać poważnych inwestycji w amerykańskim przemyśle, pragnąłby jedynie otrzymać fotografię pana i swojego syna.

- Nie widzę żadnych przeszkód, hrabino. Muszę jednak stwierdzić, że choć ten młody człowiek jest następcą barona, na mnie robi raczej wrażenie obrońcy waszyngtońskich Redskinów...

Hej, chłopcy, może powinienem stanąć na jakiejś skrzynce? Wyglądam przy nim jak liliput!

- Odrobiłem lekcje, panie prezydencie - oznajmił fotograf

Białego Domu. - Proponuję, abyście obaj panowie usiedli w fotelach przy biurku. Oczywiście, podając sobie ręce.

W czasie gdy fotograf i szef personelu ustawiali fotele, Bajaratt wsunęła swoją małą, wyszywaną perełkami wieczorową torebkę między poduszki fotela, a kiedy błysnął flesz, wcisnęła ją jeszcze głębiej, całkowicie ukrywając.

- Cudownie, panie prezydencie! Mój brat będzie taki wdzięczny, taki uradowany!

- To ja będę wdzięczny, jeżeli Ravello Industries uznają za stosowne... powiedzmy... spenetrować bazę przemysłową w naszym kraju.

- Proszę być pewnym, panie prezydencie. Może zechce pan omówić szczegóły ze swoimi dwoma senatorami? Wyjaśniłam stanowisko mojego brata i jestem pewna, że nie rozczaruje ono pana.

- Mam taki zamiar - odparł Bartlett z uśmiechem i wstając razem z Nikiem z fotela, skinął mu uprzejmie głową. - Poświęcę tej sprawie przynajmniej tyle czasu, ile trzeba na wypicie chłodnego drinka i dzięki temu choć przez parę minut będę poza zasięgiem tych chuliganów piętro wyżej.

- Jest pan brigante, signore! - powiedziała uśmiechając się

Bajaratt i podała prezydentowi rękę. - Ale wiem, że kocha pan swoją rodzinę.

- Rzeczywiście. Proszę przekazać bratu ukłony.

- Ma guardi - rzekła Baj, spoglądając na wysadzany brylancikami zegarek, który wskazywał tuż po ósmej. - Mój brat! Za niecałe pół godziny powinnam się z nim porozumieć naszym specjalnym telefonem.

- Samochód odwiezie państwa do hotelu - oświadczył Nesbitt.

- Odprawdę panią do portalu, pani hrabino - dodał pracownik Białego Domu. - Zaraz podjedzie tam limuzyna senatora.

- Zabraliśmy panu wystarczająco dużo czasu, panie prezydencie. A baron byłby bardzo niezadowolony, gdybym się z nim nie skontaktowała.

- Specjalne telefony, specjalne czasy, częstotliwości i nawet satelity - westchnął prezydent. - Chyba już nigdy się nie przyzwyczaję do tej całej elektroniki.

- Zwyciężył pan fascisti, tenente Bartlett! Zwyciężył pan w ludzkim sensie tego słowa i czyż może być większy triumf?

- Wiem, hrabino, mówiono o mnie różnie: zły, dobry... Taki jest urok tego urzędu. Ale to najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek o mnie powiedziano.

- Proszę o tym pomyśleć, panie prezydencie. Na tej ziemi wszyscy musimy wygrać w ludzkim sensie tego słowa. W przeciwnym razie nie pozostanie nic... Chodź, Paolo, trzeba pomyśleć o twoim ojcu.

20.02

Hawthorne wjechał samochodem Departamentu Stanu przez południową bramę Białego Domu dzięki interwencji najwyższej rangą osobistości z czerwonej linii. Nie żądano od niego żadnych dokumentów tożsamości, a radar odnotował go w chwili, gdy tylko dotarł na podjazd. Phyllis Stevens dobrze wykonała swoje zadanie.

Tyrell skręcił w prawo, w stronę zachodniego wejścia, i z piskiem opon zatrzymał się przed schodami. Wskoczył z wozu i pobiegł po marmurowych stopniach w kierunku kapitana piechoty morskiej, który stał przed czteroosobowym oddziałem straży Białego Domu.

- Owalny Gabinet! - rzucił tonem wykluczającym dyskusję.

- Mam nadzieję, że ma pan upoważnienie, komandorze oznajmił oficer piechoty morskiej, trzymając dłoń na rozpiętej kaburze. - Zapewniono mnie, że je pan ma, ale nigdy dotąd nic podobnego się nie wydarzyło, a jeżeli okaże się pan sprzedawcą kitu, dobiorą mi się do dupy!

- Sprzedawcy kitu nie wjeżdżają tą bramą, kapitanie. Chodźmy.

- Stać! Dlaczego do Owalnego?

- Muszę przerwać trwające tam spotkanie. Którędy?

- Stać! - powtórzył oficer. Cofnął się o krok i wyciągnął z kabury służbowego kolta 0.45. Skinął głową swoim podkomendnym, którzy natychmiast również wydobyli broń.

- Co, u diabła, pan robi?! - wrzasnął wściekły Hawthorne w chwili, gdy w jego stronę skierowało się pięć luf. - Otrzymaliście rozkazy!

- Uległy uchyleniu w momencie, kiedy powiedział pan oczywiste kłamstwo.

- Co?!

- Nie ma żadnego spotkania! - oznajmił groźnym tonem

Oficer piechoty morskiej. - Otrzymaliśmy ten telefon piętnaście minut temu i wszystko sprawdziliśmy. Osobiście dopilnowałem!

- Jaki telefon?

- Ten sam, który upoważnił pana do ominięcia alarmowych hasła straży. Niech mnie diabli wezmą, jeżeli wiem, jak się panu udało tego dokonać, ale już dalej pan nie pójdzie...

- Na rany Chrystusa, o czym, człowieku, mówisz?!

- „Zlokalizujcie Zeusa” - polecił facet z góry. - „Wyprowadźcie go ze spotkania i zabezpieczcie w piwnicy...”

- Jak dotąd wszystko się zgadza...

- Bynajmniej! Nie ma żadnego spotkania! Popędziliśmy korytarzem do biura organizacyjnego, gdzie znaleźliśmy szefa personelu.

Powiedział mi - prosto w oczy - że wystarczy sprawdzić w naszych harmonogramach, żeby się przekonać, że na dziś wieczór prezydent nie ma nic zaplanowanego. A jeżeli chcemy gdzieś go zabrać, musimy pójść do jego prywatnych apartamentów i przekonać

Pierwszą Damę, bo przebywa tam w otoczeniu całej swojej rodziny, razem ze stadkiem wnucząt!

- Ja otrzymałem inną informację, kapitanie.

- No cóż, niech pan sobie doda tę do tamtej. Ponieważ jesteśmy ruchomym patrolem, szef personelu dokładnie mi wyjaśnił, co się stanie, jeśli przemknie się koło nas prasa, aby

trochę powęszyć. Możemy się wtedy pożegnać z najfajniejszą robotą w całym Korpusie Piechoty Morskiej.

- To głupie...

- Określiłbym to inaczej, lecz musimy się trzymać wojskowej terminologii. A teraz, sprzedawco kitu, przekazemy cię służbie bezpieczeństwa...

- Odpieprz się, idioto! - ryknął Tyrell. - Nie wiem, w co się tu gra, ale wiem, jaka jest stawka! A teraz mam zamiar pobiec korytarzem, kapitanie, najszybciej jak potrafię. Może pan otworzyć ogień, jeżeli pan chce, zapewniam jednak, że próbuję przeszkodzić komuś w zabiciu prezydenta!

- Co pan powiedział? - odezwał się prawie szeptem oszołomiony oficer i nagle zamarł.

- To, co pan usłyszał, kapitanie. Wyprowadźcie go z tego spotkania!

- Nie ma żadnego spotkania. Szef personelu wyraźnie mówił...

- Może nie chce, aby pan o tym wiedział, a może nie zamieszczono tego spotkania w harmonogramie, ponieważ jednak jestem upoważniony, żeby się tam dostać, niech się pan sam przekona! Ruszamy!

Hawthorne popędził przodem długim, szerokim korytarzem, a dowódca ruchomego patrolu popatrzył na swoich ludzi i skinął im głową. W ciągu kilku sekund marines zrównali się z Tyrellem”.

Kapitan trzymał się tuż przy jego boku.

- Kogo szukamy? - szepnął oficer. /

- Kobiety i dzieciaka.

- Dzieciaka? Małego dziecka?

- Dużego. Nastolatka.

- Jak wyglądają?

- To bez znaczenia, poznamy ich... Jak daleko jeszcze?

- Zaraz za rogiem, duże drzwi z lewej - odrzekł kapitan, wskazując oddalony o jakieś dwadzieścia metrów zaułek w kształcie litery T.

Kiedy zbliżyli się do końca korytarza, Tyrell podniósł rękę, nakazując wszystkim zwolnić kroku. Nagle przed nimi rozległy się głosy powtarzające „Adios”, „a rivederci i „do widzenia”, a jednocześnie w przeciwnym wschodnim korytarzu pojawili się trzej mężczyźni - dwaj w ciemnych urzędowych garniturach, trzeci zaś w szarej liberii szofera i czapce z daszkiem. Wszyscy trzej mieli do kłap przymocowane plastikowe tabliczki z przepustkami.

- Aszkelon! - zawołał szofer, zwracając się do kogoś z drugiej strony.

- Kim, u diabła, jesteście? - spytał oszołomiony kapitan marines.

- Funkcjonariusze FBI wyznaczeni przez Departament Stanu do ochrony dyplomatycznej - odparł zaskoczony mężczyzna obok szofera, spoglądając to na oficera, to na niewidoczne postacie wyłaniające się z Gabinetu Ovalnego. - Mamy odprowadzić hrabinę do hotelu. Czy dyspozytor was nie uprzedził?

- Jaki dyspozytor? FBI czy nie FBI, gdy chodzi o Gabinet, Ovalny, nasza służba bezpieczeństwa informuje nas przynajmniej z godzinnym wyprzedzeniem, taka jest zasada!

- Kłamie! - mruknął Hawthorne, cofając się nieco za plecy kapitana i wyciągając pistolet zza paska. - Użyli nazwy Aszkelon, a to oznacza tylko jedno... Bajaratt! - zawołał nagle, obracając się i strzelając w sufit. Natychmiast jednak uświadomił sobie, jaką głupotą był ten strzał ostrzegawczy. Rozpętała się strzelanina, w której kapitan, oberwał pierwszy i upadł, krwawiąc z rany brzucha. Pozostali marines uskoczyli za załom korytarza. Aszkeloni rzucili się do przodu, strzelając na oślep i wrzeszcząc. Najwyraźniej chcieli ściągnąć krzyżowy ogień na siebie, by umożliwić komuś przejście. Szeregowiec marines wychylił się zza wschodniego węgła korytarza i wypalił pięć razy, trafiając obu mężczyzn podających się za agentów federalnych. Jeden z nich, skulony w pozycji embrionalnej, wciąż strzelał, gdy przez korytarz w kształcie litery T przebiegła kobieta, krzycząc:

- Zabijcie go, zabijcie chłopaka! Nie może przeżyć!

- Cabi... Cabi! - rozległ się przeraźliwy głos niewidocznego nastolatka, ukrytego gdzieś za załomem ściany. - Co ty mówisz...?

Auu!

Drugi szeregowiec wyskoczył do przodu i dwoma strzałami rozwalił głowę szofera, który upadł prosto na Bajaratt. Tyrell złapał żołnierza piechoty morskiej za ramię.

- Wyprowadźcie stąd prezydenta! - zawołał. - Wyprowadźcie wszystkich!

- Co?

- Wykonać!

Bajaratt odepchnęła padające na nią ciało, schwyciła broń zabitego i pobiegła korytarzem, a tymczasem marines ruszyli do

Owalnego Gabinetu. Hawthorne, z wyciągniętym przed siebie pistoletem, przykucnął i rozejrzał się wkoło, szukając wzrokiem kobiety, o której kiedyś sądził, że ją kocha. Teraz jednak nienawidził jej, tego węża o szklanych oczach i ustach pełnych jadu. Była na końcu korytarza! Tyrell poderwał się tak gwałtownie, że otworzyła się rana na udzie. Kiedy biegł, krwawa plama na jego spodniach coraz bardziej się powiększała.

Gdy był już w połowie korytarza, w Gabinetcie Ovalnym rozległa się potężna eksplozja. Hawthorne obejrzał się z przerażeniem, oszołomiony dymem i latającymi szczątkami, a potem natychmiast poczuł ulgę, widząc na trawniku przed otwartymi drzwiami zdenerwowane, gestykulujące postacie. Marines wykonali zadanie. Wprawdzie prezydent i inni biegali wkoło w popłochu, ale jednak wydostali się ze strefy zagrożenia. Tyrell odwrócił się znowu i zamarł. Gdzie się podziała Bajaratt? Zniknęła! Pobiegnął przed siebie i dotarł do dużego okrągłego pomieszczenia, w którym za szeroką klatką schodową widać było trzy wejścia do korytarzy.

Wybrała jeden z nich, ale który? Nagle w pustych przestrzeniach budynku rozległy się syreny i przeraźliwe dzwonki. A potem dołączyły się do nich głosy - krzyki, polecenia, histeryczne wołania dobiegające właściwie zewsząd i znikąd. A w tym totalnym chaosie na schodach pojawiła się wysoka postać jednorękiego mężczyzny.

Schodził z nich z kamienną twarzą; jego oczy były szeroko otwarte i jasne, jak u sadysty obserwującego jakieś okrutne, niezwykle go podniecające widowisko.

- Zrobione, nieprawdaż, generale?! - zawołał Hawthorne. Dokonał pan tego, co?

- To ty! - krzyknął przewodniczący Połączonego Komitetu

Szefów Sztabów, a tymczasem z korytarzy wyłaniali się marines i cywile. Przebiegali przez duży okrągły pokój i znikali w korytarzu prowadzącym do Gabinetu Ovalnego. Nikt z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na słynnego generała i krwawiącego mężczyznę, który kulejąc szedł mu naprzeciw po schodach. - Spóźniłeś się, Hawthorne, czyż nie? - Meyers założył rękę za plecy i spojrzał na pistolet w ręce Tyrella. - Mierzyło we mnie tysiąc luf i żadnej się nie zląkłem.

- Nie musi się pan jej bać, generale. Może rozwalę panu oba kolana, ale chcę mieć pana żywego. Chcę, żeby cały świat obejrzał sobie pana, bo wcale się nie spóźniłem. Przegrał pan.

Bez ostrzeżenia, bez najmniejszego sygnału, Meyers wyciągnął rękę zza pleców i jednym ruchem ciął ostrzem bagnetu przez pierś

Hawthorne'a. Tyrell odskoczył do tyłu i wystrzelił, czując, jak strumyki krwi wsiąkają mu w koszulę pod marynarką. A generał

Maksymalny Mikę Meyers runął ze schodów, z szyją zmienioną w masę mokrego, lśniącego czerwienią mięsa i białych kości -jego głowa była prawie oderwana od reszty ciała.

Bajaratt! Gdzie?

Strzał! Krzyk! Z korytarza położonego najdalej po prawej.

Dominique zabiła znowu... Nie, nie Dominique, Bajaratt!

Przyciskając do piersi zwinięty materiał koszuli, aby powstrzymać upływ krwi, Hawthorne kulejąc szedł wzdłuż korytarza, z którego dobiegły go strzał i krzyk. Ściany były tu w ciepłym żółtym odcieniu, światło padało z kryształowych kandelabrow, a nie z neonowych lamp. Był to krótki korytarzyk prowadzący do pomieszczeń, w których goście mogli się przygotować do uroczystości państwowych. Dwoje drzwi wiodło na prawo, dwoje na lewo.

Nie widać było żadnych zwłok, jedynie rozmazane smugi krwi, jakby ktoś wciągnął czyjeś ciało do pomieszczenia po prawej.

Zastawiający pułapkę zabójca popełnił błąd, który tylko drugi zabójca mógł dostrzec. W takiej sytuacji nie idzie się śladem krwi, ale spogląda w drugą stronę. Tyrell posuwał się bokiem po korytarzu, przyciskając plecy do ściany. Rana w udzie coraz bardziej krwawiła. Dotarł do pierwszych drzwi i zbierając całą siłę, obrócił się, jednocześnie przycisnął klamkę i uderzył w nie ramieniem. Bogato zdobiony pokój był pusty; kilka wielkich lusterek odbijało jego postać. Kulejąc wycofał się szybko do korytarza, do panującego tam pandemonium wyjących syren i ogłuszających dzwonek. Podszedł do drugich drzwi na lewo. Było to nielogicznie logiczne sanktuarium mordercy, wiedział o tym, czuł to.

Znowu, sięgając do ostatnich już rezerw sił, przycisnął klamkę i uderzył ciałem o drzwi tak, że otwierając się uderzyły w ścianę.

Nic...! I wtedy, w przypominającym błysk olśnieniu, obrócił się i rzucił w prawo. Tak, znając swojego prześladowcę, Bajaratt odwróciła pułapkę! Wybiegała z otwartych drzwi pokoju z drugiej strony korytarza. Jej ubranie wisiało w strzępach, twarz wykrzywiał demoniczny grymas, rysy miała zniekształcone wściekłością. Wystrzeliła dwukrotnie. Pierwszy pocisk otarł się o lewą skroń Tyrella, który instynktownie odchylił głowę; drugi roztrzaskał lustro na toaletce... Wymierzyła po raz trzeci i... rozległ się tylko trzask.

W broni, którą zabrała swojemu zabitemu koledze, nie było już nabożów.

- Strzelaj! - wrzasnęła. - Zabij mnie!

Hawthorne'a ogarnęły sprzeczne uczucia nienawiści i zapamiętanej miłości.

- Kogo mam zabić? - zapytał słabo, oddychając ciężko, z wysiłkiem. - Dominique czy terrorystkę, którą nazywają Bajaratt?

- Jakie to ma znaczenie? Żadne z nas nie może dłużej żyć, czy nie rozumiesz tego?

- Częściowo tak, a częściowo nie całkiem.

- Jesteś słaby! Zawsze byłeś słaby i skłonny do obrzydliwego uzalania się nad sobą! Jesteś żałosny! No dalej, zrób to! A może nie masz odwagi?

- Nie sędę, aby odwaga miała z tym coś wspólnego. Nie potrzeba jej, by zabić wściekłego psa. Ale nieco więcej odwagi wymaga schwywanie bestii, żeby zrobić jej wiwisekcję i zobaczyć, co spowodowało chorobę. A także aby dowiedzieć się, jakie inne wściekłe psy znalazły się w tym samym stadzie.

- Nigdy! - wrzasnęła Bajaratt. Obróciła bransoletę na przegubie i rzuciła się na Hawthorne'a. Zranione udo odmówiło mu posłuszeństwa, upadł pod jej ciężarem. Siły opuściły go już prawie zupełnie; z trudem przeciwstawiał się szaleńczej sile fanatyczki.

A potem, kiedy złota bransoleta coraz bardziej zbliżała się do jego gardła, powstrzymywana jedynie przez jego dłoń zaciśniętą na nadgarstku Baj, dostrzegł odkryty otwór w ostrym złotym kolcu.

Sączył się z niego płyn, który był przeznaczony dla niego. Wystrzelił.

Prosto w jej pierś.

Bajaratt jęknęła i stoczyła na bok, szarpana śmiertelnymi drgawkami.

Muerte a toda... - Głowa Amai Aquirre przechyliła się w prawo i spoczęła wygodnie na ramieniu. Jej twarz nagle odmłodziła, grymas nienawiści zniknął i zaczęła przypominać dziesięcioletnie, spokojnie leżące dziecko.

EPILOG

THE WASHINGTON POST

Pierwsza strona, lewy dolny róg

Samobójcza śmierć generała Meyersa

WASZYNGTON D.C., 5 września. - Dzisiaj wczesnym rankiem, w zaroślach oddalonych o kilkaset metrów od Pomnika Wietnamu, odnaleziono ciało generała Michaela Meyersa, przewodniczącego Połączonego Komitetu

Szefów Sztabów. Bezpośrednią przyczyną śmierci była rozległa rana postrzałowa szyi, zadana z bliskiej odległości z broni, którą generał trzymał w ręce. Powód tej dramatycznej decyzji wyjaśniają słowa generała Meyersa, wypowiedziane 31 maja na konferencji organizacji „Zawsze Ameryka”: „Jeżeli nadejdzie taki czas, kiedy stan mojego zdrowia nie pozwoli mi już spełniać obowiązków w zadowalający sposób, raczej spokojnie odbiorę sobie życie, niż stanę się ciężarem dla kraju, który kocham. Gdyby moje życzenia miały się spełnić, nastąpiłoby to wśród mych żołnierzy, którzy tak wspaniale służyli mnie i narodowi”. - Generał, były jeńiec wojenny, był wielokrotnie ranny w czasie działań w Wietnamie.

Informacje o życiu i karierze wojskowej generała Meyersa znajdują się w części gazety zawierającej nekrologi. Rzecznik Pentagonu oświadczył, że flagi w tej instytucji

zostaną opuszczone na tydzień do połowy masztu, a w południe wszyscy życzliwi generałowi uczczą jego pamięć minutą cichej modlitwy.

THE INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE

Wydanie paryskie /s. 3/

ESTEPONA, Hiszpania, 31 sierpnia. - W dniu wczorajszym policja, której towarzyszył ambasador Stanów Zjednoczonych, opieczetowała willę należącą do emerytowanego sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, Richarda A. Ingersola, który doznał śmiertelnego ataku serca w czasie pogrzebu swojego syna w Wirginii. Sędzia Ingersol był wybitnym członkiem ekskluzywnej społeczności Playa Cervantes na Costa del Sol.

Obecność amerykańskiego ambasadora uznano za niezbędną ze względu na udzielone mu przez spadkobierców Ingersola zlecenie zabrania i przewiezienia do Stanów Zjednoczonych jego osobistych dokumentów, zawierających poufne informacje oraz wyniki konsultacji udzielanych przedstawicielom rządu Stanów Zjednoczonych.

THE NEW YORK TIMES /s. 2/

Czyżby czystka?

WASZYNGTON, D.C., 7 września - Źródła zbliżone do CIA, Wywiadu Marynarki Wojennej oraz Służby Imigracyjnej podają, że trwa masowa weryfikacja licznych pracowników oraz osób zatrudnionych w wymienionych trzech wydziałach na luźnych kontraktach. Nie wiadomo, co spowodowało tę akcję, ale uzyskaliśmy potwierdzenie kilkudziesięciu aresztowań.

LOS ANGELES TIMES /s. 47/

MEXICO CITY - Dwaj amerykańscy piloci, Ezekiel i Benjamin

Jonesowie, zjawili się w biurach „La Ciudad”, popularnej meksykańskiej popołudniówki, twierdząc, iż dysponują informacjami o „zniknięciu” Nilsa

van Nostranda, multimilionera, międzynarodowego finansisty i doradcy minionych trzech administracji oraz wybranych komitetów Kongresu.

Rzecznik pana van Nostranda oznajmił, że nigdy nie słyszał o obu braciach, i z rozbawieniem przyjął wiadomość o rzekomym zniknięciu swego pracodawcy, który w rzeczywistości odbywa trzymiesięczny rejs dookoła świata - podróż, którą planował od wielu lat. Lotnicza firma czarterowa w Nashville, w stanie Tennessee, w której piloci byli rzekomo zatrudnieni, oświadczyła, że nie dysponuje żadnymi dokumentami potwierdzającymi ten fakt. Dziś rano doniesiono, że dwaj mężczyźni odpowiadający rysopisami braciom Jones ukradli

odrzutowiec Rockwell i posługując się fałszywymi dokumentami przelotowymi, odlecieli na południe, zapewne do

Ameryki Środkowej.

A więc teraz znacie prawdę, famiglia Capelli - oznajmił Nicolo, siedząc nerwowo na krawędzi krzesła. Marynarka i koszula okrywały jego obandażowany tors, lewą rękę miał na temblaku.

Znajdowali się w obszernym mieszkaniu nad delikatesami-restauracją. - Jestem jedynie chłopakiem z doków w Portici, chociaż obiecywano mi, że wielka rodzina w Ravello uzna mnie za swojego, bo rzekomo przypominam zmarłego syna barona... Nie mogę tego zrobić, bo zbyt długo udawałem kogoś innego i okłamywałem ludzi.

- Nie bądź dla siebie tak surowy, Paolo... Nico! - odezwała się Angel Capell z fotela stojącego w drugim kącie pokoju był to pomysł jej ciągle ostrożnego ojca. - Mój adwokat rozmawiał z ludźmi z rządu...

- Jej adwokat, tato! - zawołał ze śmiechem młodszy brat aktorki. - Angelina ma adwokata!

- Basta! - wrzasnął ojciec. - Jeśli będziesz wystarczająco pilnie pracował, może sam zostaniesz awocato swojej siostry... I co stwierdził prawnik, Angelino?

- To sprawa rządowa, tato, wszystko utrzymują w silenzio.

Nicolo spędził ostatnie cztery dni w izolacji, przesłuchiwało go wielu urzędników, którym powiedział wszystko, co wie. Byli wśród nich tacy, którzy chcieli go zamknąć na wiele lat do więzienia, ale nasze prawo wymaga przeprowadzenia procesu.

Każdy oskarżony o przestępstwo ma zapewnionego adwokata do obrony i prawdę mówiąc, tato, zapewniłam mu najlepszych obrońców, jakich mój prawnik mógł znaleźć. - Angel Capell, czyli Angelina Capelli, przerwała, zaczerwieniła się lekko i uśmiechnęła do Nica. - Oczywiście, sprawa będzie miała wielki rozgłos i jak słyszałam, spowoduje sporo kłopotów wielu ludziom w rządzie i poza nim, którzy pomagali terrorystce, licząc, że uzyskają od niej pieniądze.

- Tak?! - zagrzmiął Capelli. - To wszystko jest zupełnie niewiarygodne!

- Ależ, tato! Żołnierze piechoty morskiej i dowodzący oficer marynarki wyraźnie stwierdzają w swoich utajnionych zeznaniach, że słyszeli, jak ta kobieta kazała Nicola zabić. Zabić, tato!

- Madre di Dio - szepnęła pani Capelli, wpatrując się w Nica. - To taki dobry chłopak. Może nie jest ideałem, ale nie cattivo.

- Nie, na pewno nie jest taki, mamó. Wychował się na ulicy, podobnie jak wielu naszych młodych ludzi, którzy uczestniczą w gangach i postępują głupio, ale pragnie stać się lepszy. Ilu chłopaków z doków we Włoszech chodziło do liceum?

A Nico - tak.

- W takim razie nie pójdzie do więzienia? - zapytał brat Angel.

- Nie - odparła. - Jeśli przysięgnie, że nic nie powie, uznają, że był marionetką - un fantoccio, tato - tej strasznej kobiety.

Adwokat załatwił wszystkie papiery i Nico podpisze je dziś po południu.

- Scusa - odezwał się ojciec Capelli z oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia. - Twój przyjaciel - barone-cadetto...

Paolo czy właściwie Nicolo - bardzo dużo mówił o pieniądzach w Neapolu, że nie wspomnę już o kopercie wypełnionej tyłoma denar o, że musiałbym pracować na nie sześć miesięcy...

- Wszystko tam jest, tato - odparła Angel. - Mój adwokat sprawdził w banku w Neapolu... Polecenia są wyraźne: Nicolo

Montavi z Portici może pobrać pieniądze, przedstawiając wiarygodne dokumenty tożsamości. W razie jego śmierci suma wraca do depozytariusza, który prowadzi interesy z bankiem. A jeżeli żadne z nich nie zgłosi się w ciągu sześciu miesięcy, cała kwota zostanie przelana na tajne konto w Zurychu.

- To prawda, signor Capelli - dodał Nicolo. - Nie wiedziałem, na czym ma polegać moja praca. Wiedziałem tylko, że będzie to sciarada, gra o pieniądze, w którą, mówiąc szczerze, w dokach

Portici gra się bardzo często.

- I te pieniądze w dalszym ciągu możesz odebrać?

- Miało być inaczej - przyznał chłopak. Przez jego twarz przemknął grymas gniewu. - Jak już Angelina wspomniała, ta kobieta kazała mnie zabić - dodał cicho.

- Ale teraz są jego! - zawołała Angel. - Mój adwokat powiedział, że wystarczy, jak polecimy do Neapolu, zgłosimy się do banku i wszystko będzie należało do Nica!

- Polecimy...? Oboje polecicie?

- On jest innocente, tato. Wsiądzie do niewłaściwego samolotu.

- Ile tam jest tych pieniędzy?

- Milion dolarów.

- Weź ze sobą swojego awocato - oznajmił Angelo Capelli, wachlując się kartą potraw. - Musisz mieć odpowiednią przyzwoitkę, ale jeżeli ten adwokat w czymkolwiek przypomina twojego agente, tego robaka, który zmienił ci nazwisko, to i na niego rzucę moje maledizione.

Droga Cath

Ogromnie się cieszę, że mogłem Cię wczoraj zobaczyć, a jeszcze bardziej z wiadomości, iż po jakimś czasie wszystko będzie dobrze.

Wyglądałaś wspaniale, choć prawdę mówiąc, zawsze dla mnie tak wyglądałaś. Piszę ten list, żebyś nie mogła mnie szantażować swoją rangą ani rozmawiać jak z uprzykrzonym braciszkiem, który ciągle gubi się w supermarketach, rozumiesz? Doceniam, że udzielili mi urlopu, lecz nie bardzo chcę z niego skorzystać.

Pamiętam, że kiedy Ci mówiłem o moim tacie, powiedziałaś, iż nawet nie sądziłaś, że jest wielkim prawnikiem i tak dalej, ale chyba Ci nie wspomniałem, że w ubiegłym roku przeszedł na emeryturę. Nie był już taki młody, Cath. Moją siostrzyczkę i mnie można nazwać późnymi dziećmi, bo gdy przyszliśmy na ten świat, rodzice byli już po czterdziestce. Wprawdzie tata twierdzi, że to dlatego jesteśmy tacy mądrzy, ale obawiam się, że teorii tej nie potwierdziłyby żadne badania nad dziedzicznością. Nie istnieje jakikolwiek istotny powód, dla którego miałbym jechać do domu - po prostu dlatego, że rodziców w nim nie ma.

Jak para dzieciaków włóczy się po całej Europie, a kiedy już ją zaliczą, skierują się gdzie indziej. Ostatnio słyszałem, że interesowali się Adelaidą w Australii, ponieważ jest tam wspaniałe kasyno. Mama kocha grać, a tata lubi wypić parę bur bonów w towarzystwie miejscowych ludzi i mieć mnóstwo wolnego czasu.

Zastanawiałem się, czy nie spotkać się z siostrzyczką - w końcu dobrze się rozumiemy - ale ostatnio zawzięcie romansuje z facetem, który ma własne przedsiębiorstwo komputerowe i chce ją ukraść z obecnego miejsca jej pracy, prawdopodobnie nęcąc stanowiskiem pierwszego wiceprezesa. Kiedy dzwoniłem do niej niedawno, powiedziała mi: „Nie waź się tu przyjeżdżać, starszy bracie, bo zaproponuje ci moją posadę!” Chyba miała rację, Cath. Dobry z niej dzieciak, bardzo pomysłowy, lecz to ja nauczyłem ją prawie wszystkiego, co wie. O rany, byłbym złotym jabłkiem dla każdego, kto pracuje w prywatnym sektorze! Dobra, dobra, może trochę przesadzam, ale wiem, że powinienem trzymać się z daleka.

Co zamierzam zrobić? Wracam do jedyne go domu, jaki mam w tej chwili, czyli do bazy; sądzę, że nie spowoduję tym żadnych problemów?

Chodzi o to, że odjeżdżam, nie pożegnawszy się z Tobą osobiście.

Pozwolisz więc, że teraz powiem coś, co dotyczy Ciebie, majorze?

Wydaje mi się, że masz obecnie wiele spraw do przemyślenia. Znam

Cię dobrze, Cath, obserwowałem Cię przez pięć prawie lat i chyba nie muszę wyjaśniać, że szczerze Cię kocham. Czasami, w myślach, może zbyt przyziemnie, ale dobrze wiem, kiedy nie należy z tym przesadzać.

Poza tym jesteś około siedmiu czy ośmiu lat starsza ode mnie i nie chciałbym Cię wykorzystywać... Żartuję, majorze! Chcę Ci jedynie uświadomić, że masz kilka możliwości ułożenia sobie życia, jakich ja nigdy nie miałem, a jedną z nich jest facet, którego szczerze szanuję.

Człowiek, który jest prawdziwym mężczyzną, między innymi dlatego, że nie uważa, iż musi to udowadniać. Po prostu nim jest. Po raz pierwszy zdałem sobie z tego sprawę, kiedy zabito Charliego, a ja zupełnie się rozkleiłem. Dobrze wiesz, co się wtedy zdarzyło, i jak sobie przypominam - rozmawiał wówczas również z Tobą. Takie momenty wiele mówią o człowieku, nie sądzisz? Być może Ty e -jak to niektórzy uważają -zdezerterował, ale według mojej definicji jest kimś, kogo określa się kretyńskim zwrotem „oficer i dżentelmen”.

Jak wspominałem, po prostu taki jest, chociaż pewnie nigdy by się już do mnie nie odezwał, gdybym powiedział mu to prosto w oczy.

Wiem, że zawsze Ci powtarzałem, iż jesteś urodzoną kandydatką na naczelnego dowódcę lotnictwa, i pewnie mówiłem prawdę, ale było to, zanim Tye uświadomił mi, co chciałabyś robić, gdy Cię było stać na chodzenie do college'u. Może będziesz mogła zająć się tym obecnie, tak jak sugerował komandor? Mam nadzieję, że zastanowisz się nad tym, a wtedy może mnie uda się wskoczyć na stanowisko szefa lotnictwa.

W szpitalu powiedziano mi, że dostałaś już mundur. Szczerze mówiąc, uważam, że wyglądasz wystrzałowo w sukni.

Kocham Cię, Cathy, i zawsze będę Cię kochał. Proszę, przemyśl, wszystko, o czym tu napisałem. Chciałbym też zauważyć, że będę cudownym wujkiem dla Waszych dzieci. Ile rodzin może się pochwalić, że w odrabianiu zadań domowych pomaga ich pociechom geniusz?

Żartuję? Wcale nie!

Jackson

Major Catherine Neilsen, ubrana w swój niebieski mundur lotniczy, siedziała samotnie w fotelu na tarasie szpitalnej restauracji wychodzącym na Potomac. Przed nią stała wysoka szklanka z mrożoną kawą, z drugiej strony stolika - metalowe wiaderko z lodem, w którym

chłodziło się pół butelki białego wina. Ruch przy oszklonych drzwiach spowodował, że popatrzyła w tę stronę i spostrzegła, że do jej stolika zmierza - kulejąc - Tyrell

Hawthorne. Szybko schowała list Poole'a do torebki.

- Cześć - powiedział Tye, przecisnąwszy się między stolikami. - Dzięki tobie mundur wygląda zdecydowanie atrakcyjniej.

- Miałam już dosyć szpitalnej odzieży, a ponieważ sama nie mogę wyjść na zakupy, Jackson kazał mi go przysłać z bazy...

Zamówiłam dla ciebie trochę chardonnay. Chyba nie masz nic przeciwko temu. Nie podają tu nic mocniejszego.

- Pewnie jest za dobre. Mój żołądek może się zbuntować.

- A skoro już mowa o medycznych szczegółach...?

- Dziękuję, nowe szwy doskonale trzymają. Kapitan marines ma się lepiej; pocisk przeszedł gładko przez jego bok, rana paskudna, ale czysta.

- Jak konferencja?

- Spróbuj sobie wyobrazić klatkę pełną ocelotów, które biegają w kółko po błocie... Na dobrą sprawę nie mają pojęcia, co na nich spadło ani w jaki sposób przeciwnikowi udało się pokonać ich niezawodne środki bezpieczeństwa.

- Daj spokój, Tye Musisz przyznać, że cała strategia była niezwykle pomysłowa.

- To nie zmienia postaci rzeczy, Cathy. Była pomysłowa dlatego, że dopuszczono do takiego spenetrowania naszej strony, iż przez istniejące dziury mogła swobodnie przejechać ciężarówka

Macka. Chryste, o dzieciaku pisały wszystkie gazety, pseudohrabina trzymała się wprawdzie w cieniu, przyznając, ale zawsze też była obecna. Gdzie natomiast byli ci supergeniusze z kontrwywiadu, używający swoich wspaniałych komputerów, które sprawdzają, sprawdzają sprawdzone, a potem sprawdzają po raz trzeci?!

- Nie włączyłeś się do akcji wystarczająco wcześnie, a komputerów nie obsługiwał Poole.

- Chciałbym wierzyć, że to, co o mnie mówisz, jest prawdą, ale jak zwykle, zbyt wiele było przypadków... Poole, w porządku, ty też, moja damo. Byliście wyjątkowi... W każdym razie w Pokoju

Sytuacyjnym Białego Domu wydarzenia referował między innymi

Howell - sir John Howell - z MI-6. Londyn zwinął czterech współników Bajaratt. Howell sądzi, że pozostali, jeżeli było ich więcej, uciekli z powrotem do Bekaa. Paryż okazał się rzeczywiście dobry. Deuxieme nadało sygnał, który grupa z doliny Bekaa musiała

odczytać jako ten oczekiwany. O drugiej w nocy wszystkie stacje radiowe i telewizyjne ogłosiły, że zwołano nadzwyczajne zebranie Izby Deputowanych. Przyczyną takiego alarmu mogła być tylko ogólnoswiatowa katastrofa, jakieś straszliwe wydarzenie utrzymywane chwilowo w tajemnicy. No i schwytali pięciu terrorystów, jak wychodzili jeden po drugim przez te same drzwi.

- A co z Jerozolimą?

- Byli wspaniali. Nic nie mówią - oprócz tego, że wszystko jest pod kontrolą. Śmierć van Nostranda również się jakoś zakamufluje. Gdzieś kiedyś ogłosi się, że w czasie podróży, może na oceanie, spotkał go atak serca albo wypadek i zostaną mu oddane wszelkie honory.

- Biały Dom?

- Podtrzymują historyjkę o remoncie Gabinetu Owalnego, który ma potrwać jeszcze kilka tygodni, uniemożliwiając oczywiście wycieczki. Jeżeli będzie trzeba, uzyskają fikcyjny harmonogram prac w Szefostwie Służb Inżynieryjnych Wojsk

Lądowych, jak również w cywilnym przedsiębiorstwie budowlanym.

- I to się uda?

- A kto się ośmieli zaprzeczyć? Zgranie w czasie było idealne.

Prezydent znajdował się na górze razem z rodziną, a wybuch był o wiele głośniejszy wewnątrz niż na zewnątrz.

- Przecież zginęli ludzie, Tye, i cała sprawa jest niesłychanie paskudna.

- Secret Service działa szybko i dokładnie wie, co trzeba robić. - Podeszła kelnerka. Kiedy otwierała wino, Cathy i Tyrell rozmawiali o drobiazgach. - Dziękuję - powiedział Tye. Zamówimy później.

- A więc tak sprawa wygląda - oznajmiła dziewczyna, patrząc, jak Hawthorne wypija kilkoma łykami prawie całe wino. Bruzdy na jego twarzy świadczyły o zmęczeniu.

- Właśnie tak - skinął głową Tyrell. - Ale to nie koniec wszystkiego, to dopiero początek. Wkrótce zaczną się przecieki i wśród szaleńców, których nigdzie nie brakuje, rozejdzie się wieść:

„Jak niewiele brakowało, żeby jej się powiodło!” Okrzyk „Aszkelon!” zostanie zapewne zastąpiony innym: „Bajaratt. Pamiętajcie

Bajaratt!” - znaną również jako Dominique, Dominique Montaigne. - Kiedy Hawthorne napełniał sobie kieliszek, jego głos obniżył się niemal do szeptu. - Mam nadzieję, że nauczyliśmy się czegoś dodał ledwo słyszalnie.

- Czego?

- Należy poznać każde ogniwo w ich tajnym łańcuchu dowodzenia; każdego, kto ma jakieś znaczenie, albo dać sobie z tym spokój i zrobić co innego - wszystko ujawnić.

- Czy nie wywoła to zamieszania, nawet hysterii?

- Nie przypuszczam, a przemyślałem sprawę dokładnie. W czasie wojny nalot zapowiadają syreny i reflektory. A wtedy większość obywateli udaje się spokojnie do schronów, wiedząc, że ci, których szkolono na taką okoliczność, uczynią wszystko, aby obronić ich i interesy państwa. Podobnie jest w tym wypadku - chodzi o cholerny element ostrzeżenia... Załóżmy, że FBI razem z CIA przeprowadziłyby wspólną, transmitowaną na cały kraj, konferencję prasową - czyli właściwie ogłosiły alarm - na której by stwierdzono, że do Stanów Zjednoczonych przedostali się nielegalnie kobieta i młody mężczyzna w celu zrealizowania misji zleconej im przez dolinę Bekaa... I tak dalej, i tak dalej. Czy sądzisz, że

Dominique... - Hawthorne przerwał, odetchnął głęboko, zaciskając palce na kieliszku - Bajaratt miałyby wówczas jakiejkolwiek szansę w Palm Beach czy Nowym Jorku? Wątpię. Gdzieś, w którymś miejscu jakiś dociekliwy reporter zacząłby łączyć fakty, a w każdym razie zadawać pytania wykraczające poza starannie skonstruowaną legendę. Niewykluczone, że teraz też jeden czy dwóch tak zrobiło - prawdopodobnie reporter z „The Miami

Herald” i rudowłosy specjalista od grzebania w błocie, który nazywał się Reilly.

- Może masz rację. Myślę o ujawnianiu.

- Bez względu na to, czy ją mam, czy nie, właśnie coś takiego zaleciłem dziś po południu... Chyba zamówię jeszcze jedną butelkę wina. - Tyrell dał znak kelnerce i wskazał wiaderko z lodem.

Skinęła głową i podeszła do baru.

- Czy... - zapytała łagodnie Cathy - powiedziałaś im, kim była Bajaratt?

- Nie - odparł szybko, unosząc umęczone, pełne bólu oczy. Nie było takiej potrzeby, a raczej wręcz przeciwnie. Odeszła i demony, które ją prześladowały, odeszły razem z nią. Jej ślady prowadziły prosto do doliny Bekaa; wszystko pozostałe było tylko kamuflażem, który mógłby zaszkodzić ludziom, wykorzystanym przez nią w taki sam sposób, w jaki wykorzystwała mnie.

- Nie mam zamiaru z tobą polemizować - oznajmiła Cath, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Uważam, że podjąłeś właściwą decyzję. Proszę, nie gniewaj się.

- Ależ wcale się nie gniewam. Bóg mi świadkiem - nie na ciebie. Po prostu chcę wrócić do moich czarterów i przyglądać się, jak łódź rozcina wodę.

- To przyjemne życie, prawda?

- Najwspanialszy „balsam Gileada”, jak powiedzieliby moi wykształceni ojciec i brat.
- Hawthorne uśmiechnął się, a wyraz jego twarzy wcale nie świadczył o próbie wymuszenia współczucia.

- Tak, chyba masz rację - przytaknęła Cathy, dostrzegając prawdę ukrytą pod przywdzianą przez niego maską. - Ale mimo wszystko bardzo mi przykro, że ci się to przytrafiło.

- Mnie też, nie widzę jednak potrzeby roztrząsania tego dalej.

Najwidoczniej mam wyjątkowy talent do przyciągania kobiet albo byłem przyciąganym przez kobiety - które są później zabijane z niesłusznym lub słusznym powodów. Gdybym mógł tę umiejętność butelkować, można by uniknąć wielu rozwodów.

- To, co powiedziałaś, nie było zbyt miłe i ani przez chwilę nie wierzyłam, że mówiłaś serio.

- Zgadłaś. Po prostu niezbyt dobrze się czuję, wiesz? Za często mi się zdarzało deja vu... Ale nie mówmy o mnie, mam siebie dosyć, powyżej uszu. Chcę porozmawiać o tobie.

- Dlaczego?

- Już to przerabialiśmy. Bo jestem zainteresowany, bo mi zależy.

- I znowu powtarzam: dlaczego, komandorze Hawthorne?

Ponieważ cię zraniono - głęboko zraniono, przyznaję - a ja jestem tutaj; osoba, której na tobie zależy; ktoś, do kogo mógłbyś się zwrócić tak, jak zwracałeś się do swojej Dominique?

- Jeżeli tak sądzisz, majorze - odparł sztywno Tyrell, odsuwając krzesło i próbując wstać - w takim razie naszą rozmowę uważam za skończoną.

- Siadaj, ośle!

- Co?

- Po prostu powiedziałaś coś, co chciałam usłyszeć, ty cholerny durniu!

- A co takiego powiedziałam?

- Że nie jestem żadna Dominique czy Bajaratt, czy jak się tam nazywała. I nie jestem też duchem twojej Ingrid. Jestem sobą!

- Nigdy nie myślałem inaczej!

- Musiałam to usłyszeć.

- O, Chryste! - zawołał Hawthorne, siadając z powrotem i opierając się wygodnie. - Co mam teraz zrobić?

- Złożyć mi propozycję, a może dwie. Prezydent osobiście polecił dowództwu lotnictwa, aby mi dali bezterminowy urlop na rekonwalescencję, która zdaniem lekarzy potrwa ze trzy lub cztery miesiące.

- O ile wiem, Poole odmówił wzięcia urlopu - wtrącił Tyrell.

- Nie miał dokąd jechać, Tye. Lotnictwo, komputery są całym jego życiem. Jego, Jacksona, ale niekoniecznie moim.

Hawthorne powoli pochylił się nad stołem, wpatrując się w Cathy.

- Mój Boże - powiedział łagodnie - czyżbym był świadkiem, jak z tego munduru wyłania się ktoś zupełnie inny? Może dziewczyna, która chciała zostać antropologiem?

- Nie wiem. Wszystkie rodzaje sił zbrojnych błagają o przechodzenie na wcześniejszą emeryturę, bo kraju nie stać na utrzymywanie wojskowego status quo. Po prostu nie wiem.

- Ale czy wiesz, że Karaiby są pełne niewyjaśnionych zagadek antropologicznych? Na przykład takich, jak zaginione kolonie

Indian Ciboney i Couri, których migrację można prześledzić od wysp przez Gujanę aż do Amazonii? Albo prymitywni Arawakowie, których praca, mające na celu utrzymywanie cywilizowanego pokoju, o kilkaset lat wyprzedzały nasze czasy. Albo wojowniczy naród Karibów, swego czasu zamieszkujący większą część Małych

Antyli, który tak doskonale opracował taktykę wojny partyzanckiej, że hiszpańscy konkwistadorzy za wszelką cenę starali się nie wchodzić im w drogę... aby uniknąć wieczornego pieczenia na ognisku, ponieważ królewscy żołnierze stawali się oczywiście głównym daniem? Von Clausewitz z pewnością by to zaaprobował zarówno ze strategicznego, jak i psychologicznego punktu widzenia...

A wszystko to działo się na długo przed rozpoczęciem handlu niewolnikami i wszystkie te rozrzucone cywilizacje utrzymywały swoją zwartość za pośrednictwem wielkich bębnow, kanoe i przywódców czyniących sprawiedliwość od wyspy do wyspy w taki sam sposób jak wędrowni sędziowie na Dzikim Zachodzie - oczywiście kiedy nie byli pijani albo nieuczciwi. Niewiele stuleci jest równie fascynujących i tak mało zbadanych.

- Dobry Boże, to ty powinieneś zajmować się ich badaniem.

Naprawdę się tym pasjonujesz.

- O nie, jestem po prostu facetem, który lubi siedzieć przy ognisku i słuchać historii. Nie badam. Ale ty możesz.

- Musiałabym wrócić do szkoły, na uniwersytet.

- Jest tu kilka doskonałych - od Martyniki po Porto Rico, i słyszałem, że wykłada na nich paru znakomitych antropologów.

Nieźle miejsce na rozpoczęcie studiów, Cathy.

- Pewnie żartujesz... ale czy chcesz powiedzieć...?

- Tak, majorze, dobrze zrozumiałaś. Chcę powiedzieć, żebyś wróciła tam razem ze mną. Nie jesteśmy dziećmi, a po jakimś czasie przekonamy się, czy się nie myliliśmy. Spójrzmy prawdzie w oczy nasze rozkłady zajęć nie są zbyt wypełnione, coś więc znaczy kilka miesięcy? Dokąd miałybyś pojechać, z powrotem na farmę?

- Może na kilka dni. A potem tata wypędziłby mnie do obory i kazał obrządzać krowy. I Bóg mi świadkiem, że mój rozkład zajęć jest czysty jak łąka.

- Dlaczego więc nie mielibyśmy spróbować, Cath? Jesteś wolnym człowiekiem, zawsze możesz odejść.

- Lubię, kiedy nazywasz mnie Cath...

- Porucznik Poole miał przecucie.

- Owszem. Daj mi swój numer telefonu.

- Czy to wszystko, co otrzymam?

- Nie, komandorze. Będę tu, kochanie.

- Dziękuję, majorze.

Uśmiechali się coraz szerzej, wyciągając do siebie dłonie...

Koniec